

Marcin Wolski

The BEST–iarium

2003 Wydanie II poprawione

Od Autora

Co łączy ze sobą cztery wymienione krótkie powieści? Wszystkie stworzył autor do trzydziestego roku życia. Wszystkie wywodzą się z radia, a konkretnie z magazynu „60 minut na godzinę”, nadawanego w Trzecim Programie Polskiego Radia w latach 1974–81. Wszystkie były dłuższymi lub krótszymi serialami. Rekordzista „Matriarchat” liczył 23 odcinki. Wszystkie doczekały się wreszcie publikacji książkowych, a jedna — „Świnka” — nawet filmu i serialu telewizyjnego. Oczywiście za każdym razem była to autorska adaptacja, czy raczej przekład z języka radia na język druku. Obecna wersja jest wydaniem drugim, w wypadku „Matriarchatu” i „Świnki” trzecim, poprawionym.

Tytuł „Bestiarium” z jednej strony stanowi superlatyw pod adresem autora, z drugiej wskazuje na jego wieloletnie zoologiczne zainteresowania. W końcu w innych czasach i w innym medium dyrektorował przez 3 lata „Polskiemu ZOO”.

Zresztą w niniejszym tomie zwierząt też nie zabraknie — będą szczury i insekty (Dobra, dobra, dobra, dobra), świnka z tytułem docenta, a także Krągłe i Płascy, uważający się nawzajem za przedstawicieli świata zwierzęcego, a także Bestia-Komputer i... Ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

Jeśli młodsze pokolenie czytelników „Agenta Dołu” czy „Psa w studni” przy okazji dowie się, że opowieść o dwóch mężczyznach w świecie kobiet powstała na 5 lat przed filmem Machulskiego, będzie to ze wszech miar kształcące. Pytanie, czy humor i podteksty przedstawionych powieści zestarzały się, czy przeciwnie, jak wino nabrały mocy, pozostawiam Czytelnikom.

Matriarchat (drugie podejście)

Matriarchat

Matriarchat powstał przypadkiem. Po prostu, w drugim roku istnienia magazynu „60 minut na godzinę” przyszedł mi do głowy pomysł za duży na jednorazowe 10-minutowe słuchowisko. Postanowiłem zmieścić go w czterech, cotygodniowych odcinkach.

Reszta była zasługą słuchaczy, po zakończeniu czwartego odcinka domagali się telefonicznie i listownie, aby Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy (też urodził się wtedy z niczego, a nabrał życia za sprawą wspaniałego głosu narratora Tadeusza Włodarskiego) następował i następował. I tak przypadkiem narodziła się formuła funkcjonująca aż do końca „Sześćdziesiątki” w pamiętnym 1981 roku.

Sam pomysł? Pytano mnie wielokrotnie — zabijcie, nie wiem!

Może to podświadome odreagowanie młodego człowieka wychowanego w domu pełnym niewiast. Może alergiczna reakcja na propagandę z okazji trwającego w 1975 Międzynarodowego Roku Kobiet. Dociec mógłby tego tylko ktoś, kto zajrzyłby do mego superego, a ja zahipnotyzować się nie dam.

Zdradzić mogę jedynie genezę pierwszej linijki. Wizja świata po świecie nie odstępowała mnie od kiedy przeczytałem „ Szkarłatną Dżumę „ Jacka Londona. I to tyle.

Matriarchat

Część I

„Istotą Dalszych Ciągów jest ich następowanie”.

św. Limeria „Rozprawa o odciskach”

Dwóch Płaskich wylegiwało się na omszałym rumowisku żelbetu. Inna sprawa, czy to naprawdę był żelbet? Dawno zdołano przecież zapomnieć o ekotworzywach, których ostatnie egzemplarze pożarła agresywna roślinność. Po żelazie pozostało jedynie wspomnienie i rdza. Cywilizacja atomu i komputera — czy kiedykolwiek istniało coś takiego?

Dzień miał się ku końcowi, ostatnie zdziczałe automaty skryły się w mroku, ustępując miejsca naturalnym słowikom i żabom.

— Dziś spróbujemy, Ted — starszy Płaski zdecydowanym ruchem odgarnął z czoła gęstą kudłatą grzywę, upodabniającą go do okazałego egzemplarza berberyjskiego lwa, którego w młodości widział na jakiejś płaskorzeźbie.

— Oszalałeś, Fil — zaproponował młodszy, gołowąsy nastolatek, o pięknie opalanej skórze i płowych włosach uformowanych w gigantyczny kołtun. — Przecież opuszczanie rezerwatu jest zakazane!

— Wiem, ale to jest mój obowiązek, zresztą widziałem go. Widziałem go po raz pierwszy od lat.

— Kogo?

— Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy. Przed laty, kiedy istniały jeszcze elektroniczne media, istniał taki duch, demiurg ożywiający to wszystko, zwany również Tubi Continued. Skoro jednak on przeżył, mamy szansę. Poza tym jutro kończysz osiemnaście lat i najwyższy czas, abyś zdał egzamin dojrzałości.

— Egzamin dojrzałości, a co to takiego dojrzałość? — z oczu Teda wyzierała czysta, błękitna niewinność. — Wiem, co oznacza ten termin w przypadku owocu. Ale człowiek? Dojrzały, czyli taki, który już powinien spadać?

Fil (przed trzydziestu laty nazywany panem Filipem) westchnął. Rzeczywiście, poważnie zaniedbał edukacji chłopaka. Ale od kiedy przed osiemnastu laty znalazł na wpół utopionego w szuwarach oeska, poprzysiągł chronić go przed wszelkimi zagrożeniami Świata Zewnętrznego. Jako niewątpliwy owoc złamanej dyscypliny antypłciowej, Ted powinien zostać bezzwłocznie skierowany do przemodelowania. Fil jednak pogwałcił prawo. Wyniósł szkraba w najdzikszy kąt rezerwatu, na Mokradła Starych Filtrów i Centrum Radiowo — Telewizyjnego, gdzie chłopiec mógł być absolutnie bezpieczny. Wedle krągłoplotek w mateczniku straszły upiory holowizji i najodważniejsza nawet

Frontierka za nic nie zapuściłaby się w te strony.

Dotąd Stary Płaski żywił nadzieję, iż chłopak dojrzeje samoczynnie i pewne sprawy uświadomi sobie, obserwując choćby motylki lub króliki albo nawet zdziczałe roboty, które w widne noce podczas pełni na wygonie Starego Lotniska odbywały elektrotarło, zwierając się obudowami, gmerając sobie nawzajem w podzespółach, iskrząc przy tym siarczyście, co owocowało po jakimś czasie nowym automacikiem. Ale Ted, chłopak żywy jak kropla rtęci i w wielu sprawach nadzwyczajnie bystry, w kwestiach seksu pozostawał zadziwiająco ograniczony. Optycznie rzecz biorąc, niczego mu nie brakowało, nie przejawiał jednak najmniejszej nawet bożej woli, co dla Fila, który mimo poważnego wieku walił konia regularnie trzy razy dziennie, wydawało się niepojęte. A może owo zahamowanie wynikało z faktu, że poza bunkrami, mokradłami i zdziczałymi cybermutantami chłopak nie znał innego świata. Nigdy też nie widział z bliska żadnej Krągłej.

Krągłej! Fil przymyka oczy i naraz wydaje mu się, że znów jest pięknym, dwudziestoletnim mieszkańcem gwarnej stolicy, że sunie ruchomym chodnikiem, wśród domów towarowych, kin i teatrów, atakowany na każdym kroku przez stuk wysokich obcasów na szczipłych nogach, przez turkot kusych spódniczek z rafionu, podniecany zapachami perfum, przyszpilany zaczepnymi spojrzeniami. Cholera! Po policzku mężczyzny toczy się łza. Było, minęło.

Wyruszyli przed zmierzchem. Musieli pokonać około dziesięciu kilometrów do zaoranych pasów wytyczających granice rezerwatu. Nikt ich nie zauważył. Większość Płaskich, którzy dożyli tych czasów, opuściła matecznik, gromadząc się na wschodzie Terenów Wydzielonych, w pogranicznych osiedlach wokół paśników wystawianych przez miłosierne Krągłe z Żenszczynowa. Fil gardził postawą rabów — ochotników. Wiedział, że żenszczynowianki karmiły Płaskich nie tyle z miłosierdzia, ale żeby dokonywać na nich seansów nienawiści, polegających na wabieniu ich przez kratę, a następnie dźganiu drągami lub obcinaniu kończyn wysuniętych poza teren rezerwatu. W końcu tak zginął kuzyn Filipa Gwido, zwany Długim Kutafonem, a po Oskarze Wielkonosym porwanym którejś nocy przez nieznane sprawczynie, wszelki słuch zginął.

* * *

Widziane z korony dębu rosnącego na szczycie wzgórza, miasto przypominało kształtem obrusik w kwiatki. Uliczki stębnowane drobnymi ściegami zieleni, krzyżowały się pod kątem teoretycznie prostym, tworząc placyki w formie niedużych bufek z falbanką ogródków, otaczających kamieniczki, przywodzące na myśl domki dla lalek. Budynki uszyte z wielowarstwowego laminowanego materiału, gęsto przystrojone szklanymi cekinami zapinały się na guziczki albo ekierki. Tu i ówdzie błysnęła złocista haftka z włóczkowym kutasikiem zamiast kłamki. Teren zgromadzeń znajdował się tradycyjnie na Placyku przed Maglem i tego dnia wypełniał go gęsty tłum Elektrotek. Po raz kolejny zebrano się celem wyłonienia Merzycy Miasteczka, co nie było zadaniem łatwym. Wiadomo, że największe szansę miałyby głupia, wiekowa paskuda o miłym charakterze, tyle że akurat takich kandydatek pod ręką nie było. Z frakcji Rudych, Blondynek i Brunetek zgłosiły się same ambitne i szykowne.

— I z kogo tu wybierać? — żaliły się szeregowie Kragłe, słuchając wystąpień kolejnych kandydatek.

— Któż może zaprzeczyć, że to my — wołała pani Aneczka, dorwawszy się do szezlongu prezydialnego — że to my Rude, od trzydziestu lat, które upłynęły od chlubnej epoki Wielkiego Sufrażu, z symbolicznymi zaledwie przerwami, najlepiej sterujemy Naszym Wspólnym Gniazdkiem. To nam świat Realnej Kobiecości zawdzięcza swój obecny kształt i urok, to my, pomimo chwiejności Brunetek i notorycznego łamania dyscypliny antypłciowej przez koleżanki Blondynki, utrzymałyśmy kurs Przodującego Kraglizmu, usuwając zło i samcze zagrożenie poza granice cywilizowanego świata. To my! — podniosła mocniej głos, zdając sobie sprawę, że z wielu stron podnoszą się nieprzychylnie szept. Pobladała. Zaszepcywanie było najskuteczniejszą metodą walki politycznej. Kto za tym stoi? — pomyślała, rozpaczliwie usiłując utrzymać się przy głosie. Szczerbata Augusta, Janeczka, może Zofia? Ale pani Zofia, choć dorzucała swój szept do innych, nie robiła sobie wielkich nadziei:

— Wciąż jestem za młoda, za efektowna, za inteligentna na to stanowisko.

Pech!

* * *

Ryzyko związane z wyprawą Fil postanowił ograniczyć do niezbędnego minimum. Miał doświadczenie, podobne eskapady potrzebne, jak twierdził, do zachowania krzepy i higieny psychicznej, podejmował już parokrotnie. W rumowisku na skraju rezerwatu czekał rynsztunek: sakwy i dwie pary szcudeł zakończonych artystycznie wyrzeźbionymi raciczkami.

— A to na co? — zapytał Ted.

— Kragłe co noc grabią ziemię na pasie granicznym, musimy się przedostać na drugą stronę tak, żeby wyglądało to na parę sarenek.

— Sarenek na dwóch nogach?

— Kragłe nie są aż tak biegłe w zoologii.

Dotarli do skorodowanych zasieków, poczerńiałe tabliczki ostrzegały: BACZNOŚĆ! WYSOKIE NAPIĘCIE, ale wiadome było wszystkim, że od roku 7. Kragłej Ery ani jeden wolt lub amper nie opuścił nieczynnych elektrowni.

— Teraz cicho, mogły wystawić czujki.

Wystawiły, ale ożywione głosy plotkujących niewiast aż za dobrze sygnalizowały miejsce, które

należało ominąć. Noc na szczęście była bezksiężycowa. Po przejściu jeszcze paruset metrów wspięli się na pagórek — ongiś będący stadionem, i z wieży sprawozdawczej spojrzeli na miasto. Rozciągało się ciemnawe, ciche, tu i ówdzie w okienkach pełgały płomyki świec lub lamp oliwnych, a na ważniejszych skrzyżowaniach gorzały pochodnie. Ulicą maszerowały straże, pohukując:

Noc zaczęła się na dobre,

gaście ognie, miłe Krągłe.

Niech wam Los nie szczędzi łaski,

nie śląc myszy ani Płaskich.

— Do rana, poza patrolami, żadna Krągła nawet nosa z domu nie wyściubi, a my będziemy mogli sobie popodglądać — tłumaczył Fil. Zaroślami dotarli do pierwszych kamieniczek — w oknach paru z nich tańczyły cienie lokatorek zajmujących się wieczorną toaletą.

— Chcesz lornetkę, Ted? — Fil wyciągnął przyrząd, w którym jedno ze szkieł zostało stłuczone i z przerażeniem stwierdził, że chłopaka — przy nim nie ma. Po prostu zniknął.

* * *

W jednym z domków na skraju miasta szesnastoletnia Małgosia oczekiwała na powrót matki. Wykonała zadanie na dzień dzisiejszy, utkanie kolejnego odcinka pokrowca na pomnik Twórczyń Wielkiego Sufrażu, wykąpała się w beczce z deszczówką i teraz schnąc, snuła się po domu. Stała przed lustrem.

— Ładna jestem — powiedziała do siebie. I nagle targnęła ją jakaś ni to tęsknica, ni to boleść, a może intuicyjne poczucie pustki i niespełnienia, że nikt nie może z nią tej opinii podzielić. Ewentualnie skorygować. Jak wiele dziewcząt w jej wieku nie zażywała antyamo uważając, że słodkie różowe pastylki fatalnie wpływają na cerę.

Dopiero po paru sekundach poczuła ciężar czyjegoś wzroku. Obróciła się i usta otworzyły się ze zdumienia. Na drzewie tuż za oknem siedział straszny stwór. Czterema kończynami oplótł gałąź, a ogorzały pysk wysunął w jej stronę i najwyraźniej węszył. Może był głodny? Najprawdopodobniej tak, bo z kącika ust sączyła mu się struzka śliny. A oczy błyszczały jak ogarki.

— Zje mnie — pomyślała Małgosia i w pierwszej chwili zamierzała uciec. Ciekawość była jednak silniejsza. W końcu nie wszystkie zwierzęta są potworami, pani Augusta obłaskawiła nawet dzikiego

kuca do tego stopnia, że spali w jednym łóżku, czego zazdrościła jej połowa miasteczka. Zresztą może nocny stwór wcale nie należał do drapieżnych?

— Kici, kici — powiedziała łagodnie.

— Koci, koci — odparł Ted, ze zdumieniem zauważając, że jego ciało przytulonemu do konara zrobiło się jakoś niewygodnie.

* * *

Zofia wracała do domu niespiesznie. Zresztą cóż dałby jej pośpiech? Przytłaczała ją gorycz porażki. Wybrać Augustę?! Kochane paniusie mają źle w głowie! Równie dobrze mogłyby głosować na jej kuca!

— Pośpiesz się, obywatelko — pouczył ją mijający ront czuwajek — horoskopy zapowiadają niebezpieczną noc.

— Horoskopy — Zofia tylko westchnęła. Od lat wszystko w miasteczku musiało opierać się na horoskopach, wróżbach i pasjansach stawianych przez Komisję Babkę. Inna sprawa, że wróżby dość często się sprawdzały. Jak w tamtą noc przed 17 laty, też ciemną. Tak ciemną, że stojąc na warcie, nie zauważyła niebezpieczeństwa. A właściwie zauważyła, gdy było zbyt blisko. Płaskich zjawilo się trzech, obezwładnili ją, usta zatkali gałganem i unieśli w głąb rezerwatu w celu wiadomym! Miała kilkanaście lat, gdy nastąpiła epoka Wielkiego Sufrażu i mimo że propaganda amnezyjna poczyniła znaczne postępy, nie mogła zapomnieć wszystkiego. Wiedziała, czego się spodziewać po napastnikach. Domyślała się też, co może nastąpić potem. Czekwały ją sexzorczyzmy i bardzo długa procedura urzędowego przywracania dziewictwa — czyli *wtórdziew*. Płascy zanieśli ją do jaskini, rzucili na kupę skór i oświetlili pochodniami. Przymknęła oczy, dygocąc ze słusznego obrzydzenia. Nic jednak z tego, co winno wedle definicji nastąpić, nie następowało, usłyszała za to podniesione głosy, potem hałas walki. Odemknęła powieki. Wysoki Płaski walczył z dwoma kamratami, wrzeszcząc:

— Wynocha, głupki, ona jest moja, jest moja!

Jakoż wynieśli się, a zwycięzca przystąpił do Zofii i długo wpatrywał się w nią przenikliwie.

— Jesteś bardzo piękna — stwierdził. — Obserwuję cię od miesiący. Wybacz porwanie, ale nie znalazłem innego sposobu spotkania cię. Nazywam się Oskar.

— Co zamierzasz mi zrobić, nędzniku?!

— Nic! Jedynie popatrzeć na ciebie z bliska.

— Tylko? A ja myślałam...

Szybkim jak błyskawica ruchem rozciął więzy. Zofia zerwała się na równe nogi i uciekła w noc. Nikt jej nie ścigał. Dlatego po trzech kwadransach wróciła.

Spotykali się przez trzy następne miesiące, trzy upalne letnie miesiące, pachnące sianem, potem i rozkoszą. Nie zażywała antyamo. Łamała wszelkie regulaminy i własne zasady. I była szczęśliwa. Aż do tej upiornej nocy, kiedy czujka schwytała Oskara opodal jej domu. Nigdy nie zapomni dźwięku pacek, szelestu lepiszcza i rozpaczliwego krzyku mężczyzny. Nie mogła mu pomóc. Bała się. Umierała ze strachu, zwłaszcza że od miesiąca była świadoma prezentu otrzymanego od Płaskiego. Następnego dnia po pojmaniu Oskara udała się do „Dziworódkowa”, Eksperymentalnego Studia Inseminacyjnego i tam poddała zabiegowi urzędowego unasiennienia. Małgosia oficjalnie urodziła się jako wcześniak i gdyby nie te wielkie migdałowe oczy... Oczy Oskara.

* * *

— Nic mi nie zrobisz, prawda? — zmieszana Małgosia zamiast podnieść alarm i rzucić się do ucieczki, starała się jedynie zachować bezpieczną odległość od okna.

— Nnoo — bąknął Ted i przełknął ślinę. Goła Krągła wydawała mu się najdziwniejszym stworzeniem, jakie dotąd zdarzyło mu się oglądać. Ze swymi zadziwiającymi krągłościami na klatce piersiowej wydawała mu się bardziej osobliwa niż dziobak, a ciemny trójkącik poniżej brzuszka sprawiał, że wyglądała zabawniej niż oglądana na jakiejś starej rycinie kolczatka.

— Do jakiej grupy stworzeń należysz? — spytała dziewczyna.

— Do człekokształtnych czy torbaczy?

— Wedle waszej terminologii jestem Płaski — odparł.

Zadygotała z przerażenia i emocji. Żywy Płaski! Potwór, ludojad, potencjalny krzywdziciel. Pies na baby i młot na czarownice. Cofnęła się parę kroków. Serce o mało nie wyskoczyło jej z kształtnej klatki piersiowej. Zamęt pogłębiała okoliczność, że przybysz nie wyglądał na potwora, ba, robił wrażenie równie przestraszonego co ona. Wahała się. Co robić, tym bardziej, że w chórze potępień i narzekań na Płaskich istniał pewien wyłom — relacje babci. Gdy zostawały same, starsza pani nieraz przymykała oczy i mówiła z tajemnym rozmarzeniem:

— Dziadek, świeć Panie nad jego duszą, to był dopiero Płaski.

— A do czego on ci był właściwie potrzebny, babciu?

— Do szczęścia — odpowiadała staruszka, a oczy jej wilgotniały.

Ted dostrzegł rozterki Małgosi.

— Może ja już sobie pójdę!

Kiwnęła głową, ale jednocześnie natychmiast powiedziała:

— Poczekaj. Chcę cię tylko obejrzeć. Jesteś taki niezwykły i... — dodała po chwili wahania — taki brudny.

— W rezerwacie nie mamy komfortowych warunków — odparł zawstydzony — musimy żyć jak zwierzęta.

— Nie ma się czego wstydić, przecież jesteście zwierzętami!

— Jesteśmy ludźmi jak wy! — zaprotestował gwałtownie.

— Ludźmi? Czemu miałyby służyć dwa różne gatunki ludzi. Zresztą, jeśli uważacie się za ludzi, to czemu żyjecie jak bestie?

Tedowi kręciło się w głowie. Do licha, dlaczego opuścił Fila? Fil na każdą z tych kwestii potrafiłby znaleźć odpowiedź. Dziewczyna zbliżyła się na odległość wyciągniętej ręki.

— Czy mogę cię dotknąć, leciutko?

Ułatwiając jej zadanie, zsunął się na parapet. Drobne paluszki musnęły jego twarz.

— Rzeczywiście, twoja skóra jest podobna do naszej, choć chyba inaczej wyprawiona i w podlegszym gatunku.

— A czy teraz ja mógłbym dotknąć ciebie?

— Oczywiście — wychowana w krągłej monokulturze dziewczyna nie odczuwała wstydu. Brudne paluchy zakończone poczerniałymi pazurami musnęły jej ramię. Powinna poczuć obrzydzenie, a tymczasem przeszedł ją rozkoszny dreszcz. — Zrób to jeszcze raz!

— Małgosiu! — pani Zofia przekroczyła próg i na moment stanęła bez ruchu. Szybko jednak odzyskała przytomność umysłu. Jedną ręką sięgnęła po lepomiot, drugą po gwizdek.

— Nie rób tego, Zośka! — zza okna zabrzmiał inny głos.

— Zośka? — zdębiała. Od trzydziestu lat nikt nie nazywał jej Zośką! Płaski, który wyłonił się z zarośli, wyglądał na starożytnego filozofa, z gatunku tych, których przepołowione biusty służyły za bidety w Maglu Centralnym. Jeszcze dziwniejsze było, że jego głos coś jej przypominał. — Nic się nie zmieniłaś, Zośka, przez te trzydzieści lat! Kurza twarz, nie przypuszczałem nawet, że żyjesz.

Maszynka służąca do wystrzeliwania obezwładniającego lepiszcza potoczyła się po podłodze, gwizdek wypadł z ust.

— Filip? — wymamrotała osłupiała Krągła.

— Tak, siostrzyczko, ja! Po trzydziestu latach wpadłem do domu!

* * *

Zofia miała parę możliwości do wyboru. Mogła podnieść alarm lub próbować obezwładnić obu Płaskich indywidualnym pakietem obronnym, mogła też pozwolić sobie na drobne naruszenie regulaminu, to znaczy odbyć krótką rozmowę z bratem, a potem szybko odprawić go wraz z Tedem do rezerwatu. Jednak życie podsunęło zgoła inny wariant. Z uliczki dobiegł tupot nóg i okrzyki:

— Zapach Płaskich, czuć zapach Płaskich!

— Niuchaczki — szepnęła gospodyni — już po was!

Fil pobladł. Do tej pory jedynie słyszał o tej groźnej formacji krągłych funkcjonariuszek, od dzieciństwa szkolonych w wachaniu. Już na pierwszych lekcjach potrafiły odróżnić powonieniem wodę nieprzegotowaną od przygotowanej i twarożek słony od słodkiego. Arcyniuchaczka umiała wywęszyć Płaskiego z odległości stu metrów, a z bliższej odległości ustalić jego wiek, pigment, a także dietę ostatnich 24 godzin.

— Uciekajcie — rzuciła Zofia.

— Dokąd? Przecież nadchodzą od strony rezerwatu!

Małgosia jednym ruchem zgarnęła z półki na podłogę całą baterię olejków, pachnideł i środków czystości. Rozległ się brzęk pękających flakonów. Perfumeryjny zapach wypełnił mieszkanko. Tymczasem zza rogu wypadły na czworakach trzy dyplomowane niuchaczki, warcząc pod nosem i stanęły zdezorientowane na progu kamieniczki.

— Zagubiłam trop — pisnęła pierwsza.

— O, mój biedny nos — jęknęła druga.

— A co to, zakłada pani perfumerię, pani Zosieńko? — zawołała trzecia.

— O co chodzi? — Krągła wyszła na próg. — Wybaczcie moje panie, że was nie zaproszę do środka, ale robimy właśnie porządki w łazience.

— Nie widziała pani w pobliżu dwóch zbiegłych Płaskich?

— Płaskich, tutaj? O, Wielka Macierzy! — zawołała egzaltowanie.

— Musimy sprawdzić, czy nie ukryli się na pani posesji.

— U mnie! — Zofia zaśmiała się gardłowo. — U mnie, byłej łaskotnicy, zasłużonej dla Wielkiego Sufrażu, która osobiście schwytała szóstkę tych potworów? U mnie, honorowej strażniczki świętego ognia, kandydatki na merzycę Krągłowa?

— Faktycznie, potwory musiałyby być niespełna rozumu! Idziemy węszyć dalej, koleżanki. Raz–dwa–trzy, raz–dwa–trzy.

Księżyc przezornie skrył się za chmurę, nie chcąc być nigdy wzywany na świadka pogwałcenia pierwszej podstawowej zasady Matriarchatu, ale ukryty w krzakach Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy przestępował z nogi na nogę.

Część II

„Kraęgle jest piękne! Nie ma piękności bez kraęgłości.”

z Powszechnej Deklaracji Matriarchatu. Fammeville 2013 r.

Czy do tego musiało dojść? Najprostsza odpowiedź brzmi, skoro doszło, znaczy musiało. Korzeni przełomu wypada szukać zapewne jeszcze w działalności zabawnych sufrażystek z początku XX wieku, zluzowanych u schyłku stulecia przez bardziej bojowe feministki. Oczywiście prawnie przypisać można, jak zwykle, wolnomyślicielom Doby Oświecenia. Ci bowiem stwierdzili autorytatywnie fakt, z którym nie pogodziłby się żaden ortodoksyjny muzułmanin, że kobieta jest człowiekiem. Sprawa posiadania, bądź nieposiadania duszy, nie wzbudzała kontrowersji. Intelktualiści, ateści, programowo negowali istnienie duszy u kogokolwiek. Uświadomienie równości wszystkich ludzi zrodziło poczucie niedowartościowania kobiet, od którego tylko krok dzielił panie od równouprawnienia, a mila od przeszacowania. W międzyczasie jakiś anonimowy poddany Królowej Wiktorii odkrył, że orgazm w pożyciu małżeńskim, choć trudny, bywa możliwy, a co gorsza należy się obu stronom. A to już skierowało stosunki płci w sprawach współżycia na równię pochyłą walki płci. Odpowiedzią na wielowiekową dyskryminację mogło być tylko żądanie przywilejów. Celowały w tym szczególnie panie z wysoko rozwiniętych krajów Zachodu, a zwłaszcza z USA. Już w pierwszych latach XXI wieku stało się praktyką, że jeśli na stanowisko Szefa Połączonych Sztabów kandyduje biały, żonaty, bohater Wojny w Zatoce wyznania prezbiteriańskiego — zdecydowane pierwszeństwo w otrzymaniu tej funkcji będzie miała czarna, lesbijska pacyfistka, oddająca się w czasie wolnym od służby kultowi voo doo.

Wraz z naporem poprawności politycznej wprowadzono nowy kodeks obyczajowy, a wkrótce za nim karny, gdzie za jedno z najcięższych przestępstw, przy którym rozbój, terroryzm czy gangsterstwo wyglądały na drobne wykroczenia, uznano molestowanie. Wkrótce uśmiech, drobna uprzejmość czy zbyt natarczywe spojrzenie wystarczało, aby zostać uznanym za odrażającego podrywacza, stracić pracę, a w wypadku recydywy powędrować do miejsca odosobnienia. Wnet nikt przytomny nie umawiał się już na randkę bez doskonałego prawnika jurysty–sexisty, a kontrakt randkowiczów zawierał minutowy harmonogram spotkania, z wypunktowanymi elementami erotycznymi włącznie, limitami na grę wstępną i zstępną, przy czym nawet taki kontrakt mógł być anulowany przez partnerkę w każdym momencie jego realizacji, a często i po. Nie dość samczego poniżenia, nowy kanon literatury wyprany został z wątków dyskryminacyjnych, co oznaczało, że wszystko, od Biblii i mitów greckich poczynając, poszło do niszczarki albo zostało przeredagowane na nowo. Usłudni naukowcy odnaleźli żonę Talesa z Miletu, kochankę Pitagorasa i siostrę św. Tomasza z Akwinu (prawdziwe autorki ich dokonań). Udowodnili, że pantoflarz Cezar był marionetką w rękach swej żony, a pani Walewska dowodziła w bitwie pod Wagram. (Za to zabrakło jej pod Waterloo.) Ci, którzy się opierali narastającej fali feminizacji, bardzo szybko wylądowali na marginesie. Było to o tyle łatwiejsze, że około 2015 roku na większości eksponowanych stanowisk znalazły się kobiety. Dzięki zasadzie wyrównawczej „jedna baba — dwa głosy”, a blondynka nawet trzy, panie stanowiły 93%

parlamentarzystów i 99% światowych przywódców. Faceci, jeśli mieli szczęście, mogli otrzymywać podrzędniejsze etaty w nauce, technice i co ciekawe w propagandzie. Tu kilku sprzedajnych renegatów dzień i noc tłoczyło do głów tezy o rekompensacie za wielowiekowy Ucisk w sposób tak perfidny, że nie wymyśliłaby tego żadna kobieta, nawet gdyby przypadkiem myślała mózgiem, a nie innymi podrobami. Oczywiście długi czas feministyczna dewiacja dotyczyła jedynie elit, na dole szło po staremu, kopulowano jak Bóg przykazał, a niektóre żony pozwalały mężczyznom na udawanie pana domu. Nawet wejście w życie Nowego Kodeksu nie usunęło rozbieżności między teorią a praktyką. Miłość, seks i tym podobne uczucia kpiły z obowiązującej mody i arcypostępowych teorii.

Do dramatycznego przyspieszenia doszło jesienią roku 2018. Wtedy to z Ośrodka Doświadczalnego Maszyn Usługowych i Automatów w kantonie Bern wyciekła wiadomość o gotowym do seryjnej produkcji prototypie. Lukrecja Cyborgia — tak zwał się pierwszy egzemplarz Sztucznej Kobiety — była dziełem ze wszech miar doskonałym. Z wyglądu, jeśli nie liczyć zamykanego na kluczyk małego dekielka na łopatkę, Cyborgia nie różniła się na oko od zwykłej kobiety — była jedynie niezrównanie piękna. Dr Ludwig von Lowenheimer w sporządzonym katalogu proponował 12 typów podstawowych — Kleopatra, Marlena, Brigitte, Audrey, Cindy, Lolita — z dziesiątką możliwych modyfikacji w elementach głowy, co dawało miliony indywidualnych możliwości. A figura? — obok pięciu rodzajów wzrostu od *fligranki* po *horpynę* dysponowano szerokim asortymentem tusz, od typu anorexia, przez sportowy, wypoczynkowy, po lekko puszysty i ekstremalnie obfity. Istniało 8 gabarytów piersi i 322 gatunki vaginy. Nie uroda jednak stanowiła o sile Kobiety Idealnej. Jej elektroniczny mózg, będący w zasadzie repliką naturalnego umysłu, został specyficznym uzdatniony, pewne ośrodki w nim zostały rozbudowane, inne pozostawiono szczątkowo. Skasowano ambicje zawodowe, kapryśność, złośliwość, poszerzając zespoły lojalności, troskliwości i czułości. Kokieteria pozostała, ale jedynie po to, by stymulować męskie pożądanie, a nie maltretować psychikę posiadacza. Inteligencję indywidualną nawet powiększono, usuwając wszakże elementy nazbyt samodzielnego myślenia, hardość i ciągoty do niewierności.

Lukrecja Cyborgia, jak twierdził von Lowenheimer, który testował ją przez dwa miesiące na tajnym poligonie w Szwajcarii i omal nie przyplącił tego zawałem, była doskonałą maszynką do miłości, w pełni dowartościowującą swego posiadacza. Równocześnie dzięki przystawkom firmy „Rainbow” mogła funkcjonować równie świetnie jako robot kuchenny, pralko-wyżymarka czy kosiarka do trawników. Była funkcjonalna i energooszczędna. W lecie godzina opalania wystarczała na naładowanie jej baterii słonecznych, ukrytych pod cudowną skórką, zimą wystarczało co drugą noc podłączyć ją za pomocą wtyczki do kontaktu, by rano zregenerowana elektrolaska czekała na swego pana i władcę z parującą kawą, chrupiącymi bułeczkami i najświeższym wydaniem gazety. Niektórzy asystenci Lowenheimera obawiali się wrażenia, jakie wywoła wśród narodów opatentowanie wynalazku, ale doktor Ludwig twierdził, że wszyscy powinni być zadowoleni — mężczyźni syci, a feministki całe. I może gdyby go nie podkusiło udoskonalać prototypu... Oficjalnie samopowtarzalność miała być jedynie sposobem potaniania kosztownej produkcji. Wyobraźcie sobie jednak, jakie wrażenie wśród personelu laboratorium w Alpach wywołał płacz pierwszego noworodka. Prototyp mógł się rozmnażać! Tymczasem mimo starannego doboru kadr jeden z pielęgniarzy, homoseksualista, okazał się tajnym współpracownikiem Szefowej Konfederacji Szwajcarskiej. Jeszcze tego samego dnia odpowiedni raport wylądował na szeszlunku Sekretarki Generalnej Narodów Zjednoczonych — Aiko Sziko Muczi, której historia przeznaczyła rolę

współczesnej Lizystraty. Nie była to jednak rola łatwa. Już posiedzenie Rady Bezpieczeństwa nazajutrz wykazało przerażającą niejednomysłność. Delegatki Francji i Chin wahały się przed użyciem Błękitnych Hełmów przeciw klinice Lowenheimera. Bajdurzyły o miłosierdziu, wskazywały wahania elektoratu.

— Sprawy zaszły zbyt daleko — ostrzegła Japonka. — Mamy alternatywę: albo my ich, albo oni nas! Najpierw będą się bawić Sztucznymi Kragłymi, rychło jednak stwierdzą, że jesteśmy zbędne, skoro te sztuczne namiastki mogą nawet rodzić im dzieci. Na zawołanie!

— Przecież tyle razy powtarzałyśmy, że nie chcemy być maszynkami do rodzenia dzieci — oponowała Francuzka.

— Ale miałyśmy na to monopol! A teraz jeden z drugim samiec kretyń może pomyśleć: a po co nam w ogóle te baby?

— Jednak my mamy władzę.

— Tylko na razie. Wprawdzie mężczyźni są rozleniwieni, gnuśni, bezwolni, ale kto wie, jakie siły wykrzeszą z nich te cybernetyczne wydry? Musimy podjąć natychmiastową decyzję!

— A ja bym proponowała powołać w tej sprawie podkomisję — zaproponowała delegatka Rosji. I po przegłosowaniu rzecz się rozmydliła.

Aiko Sziko Muczi wróciła do rezydencji przygnębiona. Nic nie wskórała. Klęska wisiała w powietrzu. Zrozpaczona zadzwoniła do Helgi. Młoda pracownica Instytutu Weterynarii z Bronxu miała najbardziej delikatne dłonie i najczulszy język na świecie. I Helga przyniosła ukojenie. Nie tylko fizyczne. Dostarczyła kilku różowych pastylek.

— Co to takiego, prochy?

— Antyamo! Testujemy je aktualnie na zwierzętach domowych. Bardzo skutecznie niwelują popęd płciowy. Dodając je do karmy, mogliśmy zrezygnować z zabiegów sterylizacji psów i kotów, przeciwko czemu od lat darły mordy Asocjacje Opieki nad Animalsami. Mamy zarazem pewność, że nafaszerowany nimi kot nawet w marcu nie ruszy kotki.

— Rozumiem, a gdyby zaaplikować coś takiego mężczyznom?

— A po co mężczyznom? — zachnęła się Helga. — Nawet po antyamo nie wiadomo, co samcowi strzeli do głowy, ten specyfik trzeba zacząć podawać kobietom. Wszystkim! Stracą co najmniej na tydzień ochotę do seksu. A po tygodniu następna dawka.

— Rozumiem, ale co będzie z nami? — Sekretarka Generalna pogładziła chłopięcą grzywkę Helgi.

— Osoby szczególnie zasłużone mogłyby mieć dyspensę.

Nazajutrz Aiko przeprowadziła test. Koleżankom z Rady Bezpieczeństwa podano antyamo w porannej kawie. Bez ich wiedzy. W południe w gmachu ONZ zaplanowane było spotkanie z

delegacją bułgarskich kulturystów. Żaden z higrometrów zainstalowanych pod fotelami delegatek nie zanotował choćby najmniejszego zwiększenia wilgoci. Antyamo zadziałało!

Decyzje popołudniowej sesji późniejsze dziejopisarki miały pełne prawo uznać za historyczne. Oddział komandosek otrzymał rozkaz zlikwidowania kliniki von Lowenheimera, wraz z prototypem Krągłej, a samego doktora postawić przed Międzynarodowym Trybunałem w Hadze. Równocześnie aktywistki z ruchu o nazwie „Wielki Sufraż” miały rozproszyc możliwie szeroko pastylki antyamo, uwalniając wszystkie niewiasty z niewoli upokarzającego seksu. Na razie zabieg miał być dobrowolny, ale z czasem...

Osiem śmigłowców ze znakami Narodów Zjednoczonych nadleciało od strony Eigeru, uderzając na pogrążoną we śnie klinikę w Grindelwaldzie. Jej pracownicy zostali aresztowani. Laboratoria, komputery, bank danych zniszczone. Ocalał jedynie sam von Lowenheimer przebywający akurat w Bernie (w celu przetestowania Lukrecji w warunkach miejskich). Cyborgia obudziła go przed świtem.

— Uciekamy, doktorze — szepnęła — grozi nam wielkie niebezpieczeństwo!

— Żona — pomyślał w pierwszej chwili naukowiec. — Helga przyleciała z Nowego Jorku? Ale przecież Helga od dawna nie bywała o mnie zazdrosna, ma tę swoją prominentkę — ponaglany zaczął jednak naciągać gatki i skarpetki. — Ale skąd wiesz o tym niebezpieczeństwie, kochana?

— Intuicja — wzruszyła ramionami Sztuczna Krągła. — Musimy uciec wyjściem przeciwpożarowym, ukradłam dokumenty temu małżeństwu Polaków z sąsiedniego pokoju, mam też kluczyki od ich poloneza. Uciekniemy do Europy Środkowej. Ostoi tradycyjnego seksualizmu.

Ludwig dał się prowadzić jak dziecko. Kiedy wyjeżdżali z miasta, mógł zauważyć, jak bojowy helikopter ląduje na dachu ich hotelu. Oprócz poczucia klęski dręczyło go jedno pytanie:

— Skąd ta intuicja? Przecież nie zaprogramowałem Cyborgii żadnej intuicji?

Drobne niepowodzenie z Lowenheimerem nie przyćmiło jednak sukcesu. Kobiety dzięki antyamo pozbawione jakichkolwiek uczuć do obywateli — samców, mogły przystąpić do realizacji Nowego Etapu. Paradoksalnie sprzyjał im dekret o powszechnym rozbrojeniu. Parę lat wcześniej światowy rząd rozwiązał wszelkie armie, pozostawiając jedynie sfeminizowane sztaby i korpusy kobiece. Tu i ówdzie mężczyźni próbowali stawiać opór babskiej ofensywie, parokrotnie udawało się przejmować kontrolę nad poszczególnymi terytoriami. Ale co mogli zrobić? Gdy dochodziło do bitew przeciw męskim kolumnom pancernym, Krągłe wysuwały pokojowe korpusy łaskotnic, kobietek, których jedynym strojem była gałązka oliwna na błękitnym hełmie. I faceci kapitulowali. Dawali się rozbrajać i ugłaskiwać obietnicami, a później już było za późno. Jednostki szczególnie krnąbrne eliminowano. Skrajny opór czy działania terrorystyczne tylko pogarszały sytuację. Sabotaż gospodarczy, na tym polu samcy (przez wani pogardliwie Płaskimi) ciągle mieli przewagę, doprowadził do próby ogólnoświatowego strajku generalnego w maju roku 2021. Efektem był upadek globalnego systemu energetycznego. Zwłaszcza po ogłoszeniu dekretu o powrocie do gospodarki naturalnej. Czy można wyobrazić sobie większy kataklizm? Głód i chłód w wielkich metropoliach, migracje i epidemie. Pięć pierwszych lat Wielkiego Sufrażu, wychwalanego w późniejszych pracach

historycznych, przeszło do historii jako największa katastrofa. Populacja ziemską spadła o 90%, a świat, jaki wyłonił się po tym potopie, nie przypominał w niczym poprzedniej cywilizacji industrialnej. Centralna władza ONZ przestała istnieć wraz z upadkiem łączności, miasta opustoszały, zniknął mechaniczny transport, autostrady zarosły chaszczami, a życie zasklepiło się w odseparowanych od siebie gminach wiejskich. Przetrwała natomiast babska hegemonia i antyamo. Dlaczego? Czy powodem była młodość Nowego Systemu, czy też kobiety po prostu okazały się odporniejsze na szok antycywilizacyjny? Faktem jest, że czas kataklizmu przeżyło ich pięć razy więcej niż mężczyzn. Ostatni wielki wynalazek ludzkości (dokonany zresztą przez mężczyznę, prof. Doumourieza) umożliwiał rozmnażanie bez udziału mężczyzny i to nawet bez potrzeby sztucznego zapłodnienia. Faceci ostatecznie przestali być niezbędni. Resztki samców, które przeżyły rewolty i epidemie, zostały zepchnięte do rezerwatów. Doszło też do swoistego pyrrusowego zwycięstwa. Jedną z ostatnich grup oporu zniszczyła w roku 2025 Centrum im. Madame Doumouriez pod Paryżem, skąd pochodziły preparaty dla całej Europy, umożliwiające Krągłym dzieworództwo. Ale niepomyślną wiadomość utajniono i nadal podawano kandydatkom na matki bezwartościowe preparaty z dodatkiem środka usypiającego, a w nocy wypuszczano z klatek w płaskologach (Ogrody Płaskologiczne nie były jeszcze wówczas zakazane) paru jurnych Płaskich, którzy wykonywali to, co mieli do wykonania. Zresztą po paru latach tego rodzaju praktyki zostały ukrócone. Inna sprawa, Płascy bardzo źle trzymali się w niewoli, a wysiłek reprodukcyjny podcinał ich i tak wątłe zdrowie. Toteż około roku 2030 ustało jakiegokolwiek rozmnażanie. Idee Matriarchatu zaostrzały się, w miarę jak coraz bardziej brakowało celu, dla którego zostały wymyślone. Cóż, dla krągłych elit była to kwestia utrzymania się przy władzy. W piśmiennictwie rosła gloryfikacja Wielkiego Sufrażu i potępienie niechlubnej przeszłości. Niszczono archiwa i stare księgi. Jedną z najbardziej prześladowanych był „Matriarchat” niejakiego Marcina Wolskiego. Sam autor został skazany na załaskotanie na śmierć. Czy wyrok wykonano, nie wiadomo. Straszny natomiast los spotkał pewnego sędziwego reżysera, który w młodości na podstawie pomysłu zerzniętego z „Matriarchatu” spłodził film swego życia. Skazano go na oglądanie non stop wszystkich własnych produkcji, co przypłacił poplątaniem taśmy, a potem zmysłów. I tak jak glob długi i szeroki nastały nowe, wspaniałe czasy, w których Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy nie mógł i nie miał prawa nastąpić.

Część III

„Nigdy niczego nie zazdrościłam pedałom”.

Safona w zaginionym liście do Aspazji

„Jeśli Wielka Macierz Bogów stworzyła ludzi na swój obraz i podobieństwo, Płascy są niewątpliwie karykaturą Jedynej”.

z apokryficznej Ewangelii wg św. Zyty

Zofia była dobrą siostrą. I gdyby tylko o nią chodziło, Fil i jego podopieczny mogliby ukrywać się u niej nawet lata. Ale przecież miała córkę. A z Małgosią od chwili pojawienia się Płaskich działo się coś podejrzanego. Wiecznie podekscytowana, rumieniła się bez powodu, starając się pod byle pozorem zajrzeć do kryjówki zbiegów w piwnicy.

— Może zaniosę im kolację, mamusiu? — mówiła. — Zobaczą tylko, czy się obudzili? Wiesz, ten młody chciałby się wykapać w ciepłej wodzie, ale nigdy tego nie robił, więc może mu pomogę.

— Małgosiu nie zapominaj, że to jednak Płascy! — pani Zofia gotowa była za wszelką cenę przywołać córkę do porządku. — Nie możesz im ufać!

— To po co ich trzymamy w piwnicy, na mięso?

— Przestań tyle gadać, lepiej idź do sklepu.

— Już idę, idę. A wie mamusia, że pani Salomea zaczęła się dopytywać, dlaczego kupujemy ostatnio tyle żywności?

— I co jej odpowiedziałas?

— Że dostałam wilczego apetytu!

— Ale patrząc na ciebie, widać coś przeciwnego, jesteś blada, niewyspana.

— Nic mi nie jest, tylko czasami czuję się trochę dziwnie, jakby na przemian oblewano mnie czymś zimnym i gorącym. Mama wie, co to takiego?

— Powinnaś zażyć antyamo.

— Przecież mówiła mamusia, że nigdy nie będzie mi potrzebne.

— Myliłam się!

W tej sytuacji mimo całej dobroci Zofia musiała postawić Filowi ultimatum:

— Musicie natychmiast opuścić mój dom. Prędzej czy później wasza obecność się wyda. Czuję, że jestem szpiegowana. Dam wam trochę żywności i wracajcie do rezerwatu.

— Wykluczone, straże graniczne zostały wzmocnione!

— Przygotowałam dla was stroje kobiece i dwa sznury pereł na ewentualną łapówkę. O zmierzchu musicie być gotowi do drogi. Mnie też jest przykro, ale takie jest dzisiejsze życie!

W zderzeniu z taką argumentacją argumentacji, Fil czuł się jak pstrąg na łańcuchu, a Tedowi zakręciła się nawet łza. Tyle rzeczy chciał przedyskutować z Małgosią. Zwłaszcza zbadać dokładnie, centymetr po centymetrze, podstawowe różnice między Płaskim i Krągłą. Małgosia też nie miała nic przeciwko temu eksperymentowi. Zofia pozostała nieubłagana.

* * *

Ulica wyłożona pachnącą terakotą wiła się malowniczo w blasku kolorowych kaganków. Na każdym skrzyżowaniu znajdowała się wycieraczka do nóg, przed i po każdej poręczy schodowej miseczka, ręcznik i mydełko. Urok dekoracji szedł w parze z praktycznością. Kolorowe lampiony były zarazem lepami na muchy, a w żwirze alejek połyskiwały kulki na insekty. Wszystkie trawniki zostały obowiązkowo przystrzyżone na zero, a krzewy na pazia. Ze względów bezpieczeństwa Fil i Ted wybrali dłuższą drogę, zamiast podążać wprost do rezerwatu, postanowili przejść przez całe miasteczko aż do południowych mokradeł, gdzie granica powinna być słabiej strzeżona.

Na ulicy panował spory ruch, jako że większość Krągłych poruszała się pieszo, z rzadka korzystając z lektyki lub rikszy. Rewolucja antytechniczna pogłębiająca się z każdym rokiem sprawiała, że w całym mieście nie było osoby umiejącej naprawić rower. Toteż na welocypedach poruszały się jedynie listonoszki. Czasem sprężystym krokiem na trzy czwarte przeszedł patrol falangierek. Krągłe, wszystkie po bojowym przeszkoleniu, natychmiast wpadały mu w nogę, co dla przebranych Płaskich było wręcz niewykonalne. W takich chwilach Fil klękał, by poprawić sznurowadło, a Ted mu pomagał. Mijając miejski teatr, zauważyli plakaty spektakli (tylko dla dorosłych), których tytuły mówiły same za siebie: „Bestia z rezerwatu”, „Zwycięska czujka”, „Płaskie kreatury”. Sądząc po afiszach, w sztukach występowały wyłącznie kobiety. W kiosku z jarzynami nabyli oficjalny organ „Wszystko o wszystkim”, gdzie obok plotek i rysunków znajdowały się głównie porady domowe i wykroje. Cały czas bali się. Każda mijająca ich Krągła powodowała w mężczyznach bolesny skurcz organów wewnętrznych. Po godzinie pęcherz nie wytrzymał. Ponieważ na wszystkich publicznych toaletach lśniło zwycięskie kółeczko, Fil skręcił w krzaki. Stał obok wielkiego pnia lipy, uniósł suknie i zmarł. Ted spokojnie sikał z lewej strony, natomiast z prawej dobiegał odgłos charakterystycznego ciurkania z równoczesnym cichym gwizdem „Nad pięknym modrym Dunajem”. Fil wychylił się i ujrzał olbrzymie babsko w czepcu zajęte realizacją jak najbardziej naturalnej potrzeby. — Też mężczyzna?

Zauważony miłośnik Straussa błyskawicznie opuścił suknię i klęknął przed Filipem.

— Zapłacę, zapłacę ci, babeczko, — wybełkotał — wiesz przecież: „petunia non olet”. — Kalambur był kiepski, ale Fil przed trzydziestu laty znał kogoś, kto używał go przy byle okazji, młodego, rosłego funkcjonariusza policji.

— Hugo! — wyjąkał. — To ty, Hugo?

— Nazywam się Hugonetka! — W ręku olbrzymy pojawił się kindżał. Widać było, że w żadnym wypadku nie pozwoli na dekonspirację.

— Przestań się wygłupiać, stary, nie poznajesz Fila?

Kindżał wysunął się z rąk olbrzymki, która wydała pisk zdumienia, a następnie przytuliła Płaskiego do swej wielkiej wypchanej piersi.

* * *

— Najgorsze były pierwsze trzy lata konspiracji — opowiadał Hugon, ocierając dyskretnie łzy tak, aby nie uszkodzić kunsztownego makijażu. — Nie umiałem się poruszać w tym kostiumie, Kragłe były czujne jak wiewiórki i gdyby nie to, że miałem prawie na każdą niezły haczyk w moim archiwum, z tysiąc razy wpadłbym jak śliwka w gnojówkę. Teraz mam święty spokój, na moim stanowisku jestem nie do ruszenia, a i czujność rewolucyjna mocno osłabła. Ale lepiej powiedz, chłopie, jak to możliwe, że cię dotąd nie spotkałem?

— Dopiero parę dni temu uciekłem z rezerwatu!

— Nie miałem pojęcia, że są jeszcze czynne rezerwaty w okolicy. Siedzieliście tam dla przyjemności czy z przekonania?

— Myśleliśmy, że nie ma innego wyjścia.

— Moje kochane, prostolinijne biedactwa — Hugon zaśmiał się cichutko. — Jeśli interesuje was praktyka Matriarchatu, wpadnijcie do mnie dziś wieczorem na raucik. Właściwie chodźcie już teraz.

— A jeśli zostaniemy odkryci?

— Przez kogo? Zapomniałem wam powiedzieć, że jestem w tym miasteczku nadinspektorką falangierek.

* * *

Wyszli na ulicę. Ted rozglądał się z wzmożoną ciekawością. Ze słów Hugona wynikało, że wśród Krągłych znajdowało się całkiem sporo zakonspirowanych Płaskich. „Średnio, co piąta”. Toteż podejrzliwie przypatrywał się każdej mijanej kobiecie, dzieląc je w myślach na Płaskopodobne i niepodobne. Która należy do „co piątych”? Żebraczka pod murem, sportsmenka ze skakanką, łaskotnica w mundurze koloru bahama yellow?

— Jak możliwa była mistyfikacja na taką skalę? — dziwił się Fil.

— A wy może nie udajecie? Taki jest system. My udajemy Krągłe, a Krągłe udają, że tego nie widzą.

— Zatem cały Matriarchat jest fikcją.

— Niezupełnie, niestety, sporo jest zawziętych płaskożerczyń o sercach przeżartych przez antyamo, które antypłaskizm uczyniły swoją religią, mamy też sporo ograniczonych tępych wyznawczyń tego kultu, zbyt brzydkich, by nawet marzyć o jakichkolwiek pożytkach z prawdziwego mężczyzny. Jest wreszcie same antyamo, skuteczna bariera przed powrotem do normalności. Gdyby ktoś potrafił przerwać tę wirówkę bezsensu...

Wysadzona jałowcami alejka doprowadziła ich do pysznej rezydencji otoczonej wysokim murem nadającym jej charakter fortecy. Hugon, chyba zmęczony, zamilkł i coraz bardziej zostawał w tyle, narzekając na nogi.

— Nie zwalnijcie, poczekacie na mnie przy drzwiach — powtarzał, ociągając się coraz bardziej i naraz zupełnie nieoczekiwanie dał szczupaka w zarośla. Rozległ się wysoki pisk i po chwili Hugo powrócił, niosąc w ramionach zemdloną dziewczynę.

— Cały czas próbowała nas śledzić, skubana! — wysapał.

— Ależ to przecież Małgosia! — wykrzyknął Ted. — O Boże, pan ją zabił!

— Spoko! Tylko ją ogłuszyłem, zaraz dojdzie do siebie — uspokajał go olbrzym. — Co nie zmienia faktu, że będziemy musieli poważnie zastanowić się, co zrobić z tym fantem.

* * *

Przyjęcie u Hugona, zwanego Hugonetką, rozkręciło się na dobre gdzieś koło dwudziestej pierwszej. W bezpiecznych murach warowni zgromadziła się praktycznie cała kryptoelita miasteczka. Wyjąwszy Magdalenusa, który jako hermafrodyta formalnie nie przynależał do żadnego ze zwaśnionych światów płci, pozostali reprezentowali typ stu- i dwustuprocentowych mężczyzn.

Oczywiście dla osoby nieorientowanej towarzystwo zgromadzone na wewnętrznym patio prezentowało się jak okazały babiniec — upierścienione paluszki niezmordowanie drobiły na szydełkach, dziergały robótki, plotły wiklinę lub przędły kądziel, a z umalowanych usteczek padały słodkie słówka wyłącznie na typowo damskie tematy.

— Czy nie przesadzacie z tą konspiracją? — pytał Fil, przebrany w lekko wyzywający strój starzejącej się kokoty (dla Teda znaleziono zielony mundurek płaskobiustej pensjonarki). — Obawiacie się kontroli czy jak?

— To więcej niż konspiracja — uśmiechnął się Hugon — po latach udawania to już nawyk. Wydaje mi się, iż wielu z nas polubiło ten sposób spędzania czasu. Chodź, przedstawię was reszcie. Babeczki, mamy gości!

Zestaw towarzyski prezentował się okazale. Pulchna bruneta z dystynkcjami rotmistrzynie łaskotnic okazała się szkolnym kumplem Fila — Karolem, a pod postacią zasuszonej, niechlujnej staruszki krył się Rudolf, ostatni męski laureat Nagrody Nobla z dziedziny literatury. Jego dzieło „Smutek chuci”, opublikowane 35 lat temu, stanowiło proroczą zapowiedź seksualnego przewrotu tragedii. Rudolfina nie uprawiała już literatury, odnalazła swoją prawdziwą naturę w pszczelarstwie i prezesowała dziś Towarzystwu Ochrony Pracowitych Pszczółek. Z kolei Sławomira (kiedyś całkiem niezły krawiec męski) dziś pełniła zaszczytną funkcję „przewodniczącej mody”.

— Chyba dyktatorki? — poprawił Fil.

— Dyktatura to słowo, które znikło z naszego słownika, kochanieńki — obruszyła się Donna Sławomira.

— Ale najlepszą funkcję ze wszystkich ma Ernestynka — Hugon wskazał na suchą jak wiór lady, którą Fil z roztargnienia pocałował w rękę.

— Dlaczego najlepszą? — zapytał Ted.

— Jestem Cenzorią z GUPODO, Głównego Urzędu Publicznej Ochrony Dobrych Obyczajów — powiedziała Ernestynka. — Do moich obowiązków należy dbanie, aby młode dziewczęta nie zapoznawały się z dwupłciową przeszłością świata. Niszczymy grzeszne zabytki, pornograficzne archiwalia, romantyczne bibeloty.

— Czyż to nie barbarzyństwo?!

— Niezupełnie! — uśmiechnął się Ernest(ynka). — Fakt, że zadufane kobiety nie wiedzą praktycznie nic o mężczyznach sprawia, że jesteśmy w miarę bezpieczni. Pamiętam raz, jak Luiza, moja asystentka, zastała mnie pod prysznicem. Wyobraźcie sobie, w ogóle nie wzięła mnie za mężczyznę.

— A za co wzięła? — zainteresował się Ted.

Cenzoria pokraśniała.

— Wy tłumaczyłem jej, że jestem fizycznie upośledzoną kobietą.

— I uwierzyła?

— Oczywiście, i odtąd codziennie robi mi masaże na porost piersi i zanik zbędnych przydatków.

— Ach, nie mów nic więcej — syknął Fil. — Prawdziwe kobiety, to jest coś, co śni mi się po nocach.

— Ten problem jest do rozwiązania! Zejdźmy na drugi poziom.

W katakumbach, za pancernymi drzwiami mogli nareszcie zrzucić kostiumy i przywdziać męskie szlafroki. Zaczynało się prawdziwe Płaskie królestwo. Bez obaw można było palić w nim fajki i pić zupę z wsadem alkoholowym. Nie obowiązywał zakaz klątw i słonych kawałów. Dozwolone było uprawianie najbardziej zakazanych męskich rozrywek, takich jak puszczenie mechanicznej kolejki, majsterkowanie lub bawienie się małymi modelami samochodów. Kusiły stoły z grami hazardowymi i małe drzwi z czerwonymi kotarami.

— Czyżbyście mieli tu również prawdziwe Krągłe? — Filip poczuł niezwykle dreszcz.

— Aż tak dobrze nie jest, wszelako posiadamy laleczki naturalnej wielkości. Niestety z ceraty, te z plastiku zużyły się jeszcze przed dwoma dekadami — objaśnił Hugo(netka) i dodał: — Czwarta kabina wolna. Chyba, że podoba ci się Magdalenus. Ale do niego trzeba się zapisywać na trzy tygodnie naprzód.

— Dokąd idziesz, Fil? — zapytał Ted, widząc jak jego przyjaciel cofa się ku pokojom gościnnym.

— Pomarzyć!

Nieuświadomiony Płaski nie wiedzieć czemu pomyślał o Małgosi.

* * *

Dla bezpieczeństwa Hugon umieścił dziewczynę w małej wieżyczce z oknem na ślepy mur Komendantury tak, że w najlepszym razie mogła gapić się na księżyc i spokojnie rozważać następstwa swego nierozważnego kroku.

Hugon okazał się głuchym na jej błagalne zapewnienia: „Wypuście mnie, a przysięgam, że nic o was nie powiem”. A gdy rzekła: „Przecież nie będziecie mnie tu trzymać bez końca”, odparł ponuro:

— Jeśli zajdzie potrzeba.

W istocie miał wobec Małgosi całkiem konkretne zamiary. Obejrzał ją dokładnie i mógł

obiektywnie stwierdzić, że swymi walorami przewyższa zarówno ceratowe atrapy, jak i Magdalenusa. Za młodu lubił igrać z podobnymi kurczakami. Gdybyż jeszcze nie była siostrzenicą Fila...

Małgosia, rzecz jasna, nie miała pojęcia, co jej grozi. W ogóle kiepsko orientowała się w bardzo wielu sprawach. Jej wiedza historyczno-erotyczna była, szczerze mówiąc, żadna — nie słyszała nigdy o Tristanie i Izoldzie, o Romeo i Julii, nie wspominając już kochanka lady Chatterley. Swoim naiwnym serduszkiem przeczuwała być może istnienie emocjonalnych relacji między Krągłymi i Płaskimi, ale na Wielką Macierz Bogów, jak długo można poprzestawać na intuicji? Skąd jednak miałyby zaczerpnąć wiedzy? W książkach, które dotąd czytała, nawet Kubuś Puchatek i doktor Doolittle byli płci żeńskiej. Świat Krągłych wydawał się jej logiczny, jedyny i niezmienny. Nigdy nie zastanawiała się nad przyszłością. Zresztą zreformowana Gramatyka Krągłych miała jedynie czas teraźniejszy i „trochę mniej teraźniejszy” (czyli prawie przeszły). Krągłomowa stanowiła też specyficzny dialekt. Pierwszym Dekretem Lingwistycznym zlikwidowano w niej stronę bierną, „niechlubną pamiątkę samczej hegemonii”. Podobnie miało się z innymi naukami. Stosunkowo najmniejszym przemianom uległa matematyka elementarna (wyższej, jako zbędnej, nie uczono). Reformatorki zlikwidowały jedynie pojęcie trójkąta, wprowadzając brzmiący mniej aluzyjnie *trzyróg*, zakazały również wyciągania pierwiastka na światło dzienne. (Sama formuła budziła skojarzenia wielce nieprzyzwoite). A przecież czasami nachodziły ją myśli, że kiedyś, jutro, pojutrze może być inaczej.

Tymczasem jeszcze tej samej nocy, po lince od piorunochronu (oj, miałby za swoje Hugon, gdyby Krągłe dowiedziały się, że wierzy w takie zabobony jak elektryczność) wdrapał się na wieżyczkę Ted. Nie wiedział, dlaczego to robi. Jakiś instynkt ciągnął go ku dziewczynie. Sam uważał, że jest to ciekawość. Ale dziwna jakaś.

Małgosia nie okazała zdziwienia ani przestachu.

— Chciałeś powiedzieć mi coś ważnego? — powiedziała, uchylając okienka.

— Piękna noc — zagał meteorologicznie. Zgodziła się. Poprosił o szersze otwarcie okna. Przystała, choć nie powinna. Natychmiast zauważyła, że umył się, uczesał i pachniał całkiem ładnie. Zupełnie nie jak Płaski. — Co się tak gapisz?

— Nie przestajesz mnie zaskakiwać, Ted, do tej pory uczono mnie, że Płascy to głupie zwierzęta, brudne i leniwe. Ale ty musisz być wyjątkiem!

— Miałaś fatalne nauczycielki! — zirytował się. — Nie jestem żadnym wyjątkiem, wszyscy faceci są tacy jak ja. Silni, a zarazem delikatni, odważni i czuli. Mogę usiąść obok ciebie?

— Możesz, ale nie zamykaj okna, tak mi jakoś gorąco. Ale nie bój się. Chyba się nie poparzę. Mam do ciebie mnóstwo pytań.

— Jakich?

— Do czego w dawnych czasach służyli Płas..., chciałam powiedzieć mężczyźni? Mama, gdy ją

pytałam, zawsze uchylała się od odpowiedzi.

— Dlaczego uważasz, że musieli do czegoś służyć?

— Wszystko na świecie jest celowe. Jedne rzeczy służą pożywieniu, z innych wykonuje się różne pożyteczne przedmioty.

— Fil wspominał mi kiedyś o zjawisku nazywanym „miłością”.

— Śmieszna nazwa! Ale nie znasz więcej konkretów? Czy to mogło być coś do jedzenia?

— Całkiem możliwe. Kiedy Fil wspominając o „miłościach swej młodości”, niejednokrotnie używał gastronomicznych określeń: pożerałem ją wzrokiem, usta jak maliny, nóżki palce lizać.

— Nóżki. Masz może ochotę ugryźć mnie w nóżkę?

— Bo ja wiem! — mimowolnie się oblizał.

— Czekaj, coś mi się przypomniało, raz u mojej babci widziałam strzępki zakazanej książki. Był tam obrazek, na którym Płaski kasał jakąś Krągłą w dłoń.

— Kasał? Raczej tylko dotykał. Nie wiem po co, ale wedle Fila, czynność tę nazywano przed laty pocałunkiem.

— Może i dotykał. W końcu pyton też nawilża swą ofiarę przed spożyciem, czyli konsumpcją — zgodziła się dziewczyna. — Jeśli chcesz, możesz mnie trochę spróbować, byle delikatnie.

Bez większego przekonania cmoknął ją w przegub, potem w łokieć. Wrażenie było umiarkowane. Zastanawiał się, czy nie powinien posunąć się dalej, ku gorętszym obszarom, ale Małgosia wyrwała rękę.

— Idź już sobie! — prychnęła. To go zaskoczyło.

— Dlaczego?

— Idź, nie denerwuj mnie! Gdzie idziesz? Zostań.

Tymczasem na schodach rozległy się kroki i Ted zjechał błyskawicznie po lince. Nie pojmował braku konsekwencji Krągłej, nie pojmował swego stanu, łomotu serca itp. Stanowczo musi poradzić się Fila. Swego opiekuna zastał w trakcie krótkiego kursu makijażu, zanim jednak zdążył otworzyć usta, w całym patio rozległy się ostrzegawcze szepty.

— Porządeczek, kochanieńkie, robimy porządeczek, autentyczna Krągła kołace do furtki.

Pani Irena, maglowa z ulicy Stokrotek, należała do tych babusów, które nawet bez antyamo pałały notoryczną nienawiścią do Płaskich (Hugon określał to syndromem wtórnego dziewictwa). Dziś znajdowała się w stanie maksymalnego wzburzenia. Biust falował jak ocean (dziesięć w skali Starej

Beaufortowej), a oczy miały błyskawice.

— Płascy są w mieście! Miłe moje, Płascy są w mieście.

— Miałyśmy ostatnio kilka fałszywych alarmów, kochanieńka — usiłowała bagatelizować alarm Ernest(ynka).

— Ale tym razem mamy do czynienia z agresją, Płascy nie tylko opuścili rezerwat, ale podstępnie uprowadzili córkę pani Zosi — Małgosię.

— Dawno? — zapytał Hugo głosem aż za piskliwym.

— Parę godzin temu, tylko pani Zofia nic o tym nie wiedziała. Myślała że dziewczyna wybrała się na spacer. Dopiero jak spostrzegła w komórce smrodliwe ciuchy tych potworów i zauważyła brak swych dwóch najlepszych sukienek, pojęła, co się stało. Na szczęście potwory są jeszcze w mieście.

— Nie uciekły do rezerwatu?!

— Wykluczone, granica jest tak wzmocniona, że nawet pchła by się nie prześlizgnęła, naturalnie gdybyśmy w Krągłym Świecie już dużo wcześniej nie wytepiły wszystkich pcheł.

— Zostawcie tę sprawę nam, falangierkom — uspokajał Hugo.

— To zadanie przerasta falangierki. Na nocną sesyjke postanowiłyśmy zwołać posiedzenie Buduaru Centralnego.

— Po co fatygować tak czcigodne ciało — oponowała Rudolf(ina), a Ernest(ynka) mruknęła pod nosem: „Niedobrze”.

— Ponieważ jedno nie ulega wątpliwości — wycedziła pani Irena.

— Płascy muszą mieć w mieście współników! I radziłabym wszystkim pańciom kończyć tę zabawę. Porządne Krągłe o tej porze śpią. Same!

I na pewno nie śnią o jakichś nieodpowiedzialnych Dalszych Ciągach.

Część IV

„Nawet jeśli zabierzemy mu rogi, kopyta i szczecinę, diabeł pozostanie tym czym jest, to znaczy mężczyzną”.

z podręcznika „Krałologii klinicznej”.

„Odwaga jest kołem napędowym historii, ale strach jego łożyskiem kulkowym”.

św. Limeria w „Liście do Mechaników”.

Decyzje podjęte zbiorową mądrością przez Buduar Centralny zaskoczyły nawet same inicjatorki. Po wielogodzinnym gadulstwie, przy ogólnym zmęczeniu, uchwalono wersję najbardziej radykalną i wariant najbardziej skrajny.

Merzyca Augusta zaproponowała bezwzględną lustrację szeregów Krągłych. Weryfikacja na wszystkich stanowiskach — przelicytowała ją pani Irena.

— W trybie bez litości i jakichkolwiek względów — dorzuciła zraniona w swych macierzyńskich instynktach Zofia.

I podniósł się śpiew: „Drzyjcie Płascy, gdziekolwiek jesteście”.

W samej rzeczy drżeli. Najsłabsze nerwy okazała niestety Rudolf(ina) — z wrażenia omdlała, a gdy najbliższe z delegatek rzuciły się rozpinać jej bluzeczkę, ku zgrozie zebranych ukazał się gesty, siwy zarost pokrywający na podobieństwo Lasu Sherwood, czy przynajmniej Lasku Bulońskiego, pierś płaską jak patelnia.

— Płaska zaraza w łonie Buduaru Centralnego! O, pramatko Ewo! — krzyknęła ze zgrozą pani Augusta.

— Mogą kryć się jeszcze inni między nami! — zagrzmiała Irena. — Wzywam do natychmiastowego obnażenia i zbadania wszystkich podejrzanych!

— A kto ma być podejrzany? — dopytywała się Ernest(ynka).

— Na przykład ty, laluniu — zawołał Sławomir(a), żywiąc nadzieję, że inkwizycyjną gorliwością uratuje własną skórę. Nie uratował. Cała piątka kryptomężczyzn, która odważyła się wziąć udział w posiedzeniu (Hugon przezornie pozostał w domu), została zdemaskowana i uwięziona.

— Dzisiejszy sukces nie powinien osłabić naszej czujności — podsumowała Augusta. — Musimy

wyłapać resztkę Płaskich ze środowisk władzy.

— Tak, tak! Powinniśmy zacząć od rezydencji Hugonetki — zagdakała pani Irena. — Cała piątka ujawnionych należała do bywalczyń tamtego domu. Idę!

— Tylko spokojnie. Wyślemy najpierw patrole niuchaczek i łaskotnic. Powiedzmy cztery patrole. Na razie nie ma co wszczynać paniki w mieście. Mordki na kłódki, drogie paniusie. Dopiero po oczyszczeniu z infiltrantów ścisłego kierownictwa dokonamy weryfikacji totalnej!

— W jaki sposób? — zapytała Zofia.

— Zobaczycie jutro w południe, na Placu Powszechnych Ploteczek! A Właściwie już dziś. Zaczyna świtać.

* * *

Gdyby zależało to od świtu, który w odróżnieniu od Jutrzenki jest rodzaju męskiego, nie wstałby on tego dnia w ogóle. Nie miał jednak wyboru. Mógł być co najwyżej bardziej ospały i mglisty. Śladu ospałości nie uświadczyłbyś natomiast w oddziałach niuchaczek i łaskotnic, które wyruszyły otoczyć dom Hugona. Miasteczko budziło się z wolna. Krówki wyruszały na pastwiska. Krówki, rzecz jasna, ubrane w estetyczne staniczki i majtasy. Za krówkami, a jakże, wybiegł owczarek, przepisowo ubrany w beżowe pumpy. Od dawna tutejsza gospodarka opierała się na surowej moralności i trójpolówce.

W piwnicach pod rezydencją Hugona kilkunastu mężczyzn niecierpliwie oczekiwało na powrót Rudolfa i pozostałych przebierańców. Nie wracali. Około piątej napiętą ciszę przerwał brzęk gąsienic zdezelowanego automatu z wodą sodową. SOD 43 należał do tych zdziczałych maszyn, które przystosowały się do życia naturalnego, potrafiły regenerować swoje zasoby energetyczne na najrozmaitsze sposoby, od kąpeli słonecznych po regeneracje w gnojówce, a wiedzione tajemniczą solidarnością współpracowały z mężczyznami, za symboliczną choćby kroplę oleju do konserwacji.

— Idą tu, idą! — wycharczał resztką skorodowanego głośnika. — Choć nie piły, sodówka uderzyła im do głowy.

— A Rudolf, Ernest, Sławomir?

— Zdemaskowani, uwięzieni.

Zapanowała konsternacja. Trudno było myśleć o oporze. Krągłe miały nad nimi zdecydowaną przewagę liczebną. Nie wspominając o fizycznej.

— A jeśli się poddamy i wyrazimy skruchę? — zaczęła Antonina.

— Milcz, osiko — warknął Fil. — Cokolwiek zrobimy i tak czeka nas rezerwat albo coś gorszego.

— No to może się rozproszyć? — zaproponował ktoś inny.

— Prędzej czy później nas wyłapia.

— Jest jedno miejsce, gdzie przesądne Krągłe nigdy nie zajrzą. Katakumby pod cmentarzem — odezwał się Hugon. — Tam się schronimy!

— Ale tam podobno straszy! — pisnął Antoni.

— Musimy wybierać między strachem większym a mniejszym, panusie. Chciałem, rzecz jasna, powiedzieć, panowie. Pośpieszmy się! Słyszycie rytm na trzy czwarte wybijany szpilkami na chodniku? One już tu są — tu rozległy się głosy: „Jesteśmy zgubieni!”. — Niezupełnie, bracia. Z mojej piwniczki win prowadzi tajemne przejście do kapliczki. Idziemy!

W grupce mężczyzn, która skręciła w podziemny korytarzyk, nie było Teda. W chwili zagrożenia pomyślał o Małgosi. Po ukrytej w dzikim winie lince od piorunochronu wspiął się na wieżyczkę. Małgosia spała. Z włosami rozrzuconymi na poduszce i z zaróżowioną buzią wyglądała tak słodko. I ponętnie. Aliści Ted nie znał znaczenia przymiotnika „ponętny” i zanim zajął się jego zbadaniem, hałas z ogrodu obudził dziewczynę. Brama została wyłamana z trzaskiem, gromady łaskotnic wdarły się do ogrodu i sprawnie rozproszyły po terenie.

— Nie mamy odwrotu — przeraził się Ted i w panice skrył się pod Małgosiną kołderką.

* * *

Niuchaczki rychło odnalazły drogę ewakuacyjną, którą umknęli Płascy. Zaniechały jednak pościgu, tłumacząc: „Tam straszy”.

— Umrzyki? — zainteresowała się pani Janeczka.

— Gorzej, demon seksu — odpowiedziała Zofia.

— Tak czy inaczej, już po Płaskich — zgodziła się pani Augusta. — Jeśli nawet upiory cmentarne nie zrobią im nic złego, czeka ich albo kapitulacja, albo śmierć głodowa.

— Mogą jeszcze próbować ucieczki do rezerwatu. Mgła się podnosi.

— Mogą pani Janeczko, ale niech spróbują! — syknęła merzyca. — Podwoimy strażę. Reszta przygotowuje na jutro Powszechne Zgromadzenie, ale wyjdzie im na to samo. Aha, czy pobrano już z magazynów farmaceutycznych codzienną porcję antyamo?

— Pobieranie odbywa się o siódmej — odezwała się szafarka. — Przyspieszyć?

— Nie! Wszystko ma odbywać się tak jak zawsze! Tyle że będziemy potrzebowali podwójną porcję specyfiku na każdą Krągłogłową.

* * *

Nie wiadomo, czy inne sprawy, czy lęk wysokości sprawił, że jak dotąd żadna z Krągłych nie wspięła się na wieżyczkę.

— Musimy się stąd wydostać, póki ciemno — zdecydowała Małgosia.

— Ale jak? Drzwi na dół są zaryglowane, w ogródku czuwa patrol.

— Już wcześniej zastanawiałam się nad sposobami ucieczki — odparła. Spod łóżka wyciągnęła linę uplecioną z podartych prześcieradeł, do której przytwierdziła solidny hak, pamiątkę po nieczynnym żyrandolu. Gdyby udało się zaczepić go o barierkę na dachu ponad ślepym murem.

— A wiesz, co to za budynek?

— Magazyny Komendantury! Ale nie bój się! Pod kagankiem może okazać się najciemniej. Zwłaszcza przy takiej mgle.

Ted kilkakrotnie rzucał kotwiczka, modląc się, by czyniony przez nią hałas nie zaalarmował czuwających w ogródku łaskotnic. Na szczęście te, dla podniesienia bojowej gotowości, zaintonowały właśnie pieśń ze śpiewnika matriarchalnego:

Czy jest coś miłszego niż krągłość precudna,

gdy płaskość ponura, obleśna i brudna?

Czy coś piękniejszego do czynów zachęca

niż szczerą, promienną energią dziewczęcą?!

Niech biją ku pracy i serca, i dzwony!

Niech żyją robótki! Niech szczerą hormony!

Za czwartym rzutem haczyk złapał barierkę. Małgosia ruszyła pierwsza i wdrapała się na dach jak wiewiórka. Ted poszedł za nią. Dzięki latom spędzonym w warunkach półdzikości był tysiackroć

bardziej sprawny niż miastowi Płascy! Kłapa na dachu wiodąca na strych okazała się otwarta. Wewnątrz bez trudu odszukali schody awaryjne, którymi zeszli aż do piwnic. Tam zardzewiała kłódka po prostu rozpadła się im w palcach.

— Masz pojęcie, gdzie jesteśmy?

Małgosia wzruszyła ramionami. Przedzierali się przez sterty nieużywanego sprzętu, wśród sparciałych węży strażackich, kiedyś służących do rozpędzania demonstracji, obok nadjedzonych przez plastikożerne szczury bojowych tarcz i pałek. Szukali wyjścia na zewnątrz, gdy naraz dostrzegli jasne, świeżo wymalowane drzwi z napisem wykaligrafowanym na kartce. „MAGAZYN GŁÓWNY”. Wejście było zamknięte na prymitywny skobel. W środku owionął ich apteczny zapach. Na tysiącach półek stały słoje z medykamentami — środkami psychotropowymi, owadobójczymi.

— Patrz! — szepnęła dziewczyna, ściskając Płaskiego za ramię.

— Niesamowite! Wiesz, co jest w tych ogromnych słojach?

— Nie mam pojęcia, witaminy?

— To antyamo! Jesteśmy w krągłowskim magazynie tych diabelskich proszków!

* * *

— Hasło?

— Patriarchat. Odzew?

— Mężczyzna potrafi. Przechodźcie i zamykajcie drzwi, bo muchy lecą.

Migotliwe płomyki świec rozświetlały mroczne korytarze katakumb. Kiedyś był to bunkier przeciwoatomowy, później, w okresie damskiej rewolucji, ostatnie schronienie pobitych Płaskich i miejsce ich pochówku. Obecnie opuszczone i zdewastowane lochy przestały służyć nawet za szalet. Do ósmej rano, kiedy pocztą pantoflową rozniosła się wieść o zagrożeniu, które zawisło nad kryptopłaskimi, do podziemi schroniło się około setki męskich mieszkańców Krągłowa, kompletnie przerażonych. Nawet Hugona zaskoczyła ich liczebność. Jednak w porównaniu z rzeszami Krągłych zamieszkujących, miasto przypominało to proporcję kropli potu w pełnym nocniku.

— Musimy się przebić. Konfrontacja stanowi naszą jedyną szansę — wołał Fil, którego rezerwatowe doświadczenie predestynowało na przywódcę samczej gromady. — Zapasy żywności, które mamy, starczą na parę dni dla kilku osób.

— Co więc proponujesz? — odezwały się lękliwe głosy.

— Walkę. Zaskoczenie, determinacja, noc — to będzie nam sprzyjać. A maczugi dokonają reszty.

— A co po przebiciu? Rezerwat? — w głosie Hugona pobrzmiwała rezerwa. — My nie potrafimy tam żyć. Poza tym, kto wie, czy Krągłe nie zorganizują polowania z nagonką?

— Pomyślałem i o tym. Weźmiemy kilkanaście zakładniczek. Oczywiście możliwie młodych i ładnych. Połączymy przyjemne z pożytecznym. Poza tym pokonamy ich własną bronią. Nienawiścią. A da nam ją to! — tu Fil uniósł w dwóch palcach pastylkę antyamo. — Hugon przyznał mi się, że zarówno on, jak i wielu z nas, otrzymywał jako Krągła codzienny przydział „pigułki wstrętu”.

— Nazbierało się tego parę worków — przytaknął Hugo.

— Myśleliśmy o ewentualnej sprzedaży na czarnym rynku.

— Wiadomo, że zwykła dawka powoduje niechęć do drugiej płci, podwójna odrazę, natomiast potrójna żywą nienawiść — kontynuował Fil.

— Do czego zmierzasz?

— Wiemy, że ogłoszono zebranie całego babińca w samo południe. Pójdziemy tam i my w swoich codziennych przebraniach. Jakby nigdy nic. W odpowiednim momencie ruszymy. Najsilniejsi z nas porwą upatrzone młódki, reszta uruchomi pałki i pięści. Zaraz rozpoczniemy trening!

— Bić kobiety? — jęknął Magdalenus. — Tego nawet ja bym nie potrafił. Choć chciałbym.

— Na trzeźwo każdemu byłoby trudno, ale po potrójnej dawce to będzie nie lada przyjemność — zarechotał Hugon. — Marzyłem o tym od lat.

Entuzjazm ogarnął zebranych. Pośpiesznie łykali różowe pastyleczki. Zaraz żywiej zaczęła pulsować im krew. I zdało się Filowi, iż widzi jak spod różu i szminki z rozlanych liczniewieściałych sybarytów wyłaniają się twarde, zdecydowane rysy Cezarów, Kortezów i Tarzanów.

— Łać baby! — zakrzyknął naraz Ignacy i rozdarłszy kubrak, począł niczym goryl bębnić w swą szeroką, kosmatą pierś. Za jego przykładem poszli inni.

— Co tak dudni, co tak grzmi? — zastanawiał się niejednen ze śpiących w niszach truposzów.

— Idzie nowe — odpowiadał Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy, dziś bardziej niż kiedykolwiek odczuwając, że może i musi nastąpić!

* * *

Ranek wstał szybko, różowy i rześki jak dziewczina sportowca. Brygadki porządkowe usunęły ostatnie nocne koszulki z frontonów kamieniczek (zakładane na noc, żeby się nie kurzyło), zdjęto papiloty z krzewów i pnączy, a młodzieżowe puc — grupy ukończyły poranny makijaż architektury. Jeszcze ostatnie podkreślenie szminką z pokostem okien, wykrojonych w migdał, odrobina różowego pudru na portale, poczoхранie wycieraczek i gotowe.

Wychodząc z założenia, że historyczne momenty najlepiej ogląda się pod ostrym kątem Ted, wraz z Małgosią wybrali sobie na punkt obserwacyjny wieżę Ratusza, zwanego Wielkim Naparstkiem, tuż poniżej zegara ze struchlałą kukułką, która czując, co się święci, mimo dwukrotnego wybicia godziny dwunastej nawet dzioba nie wyściubiła ze swego okienka.

Plac poniżej przypominał dojrzały słonecznik, wszystkie miejsca (nie wyłączając fontann z bitą śmietaną, nieczynnych z powodu braku śmietany) obsiadły Krągłe reprezentujące ogół kategorii wiekowych i społecznych. Były więc i młodziutki małokrągłe z formacji pomocniczych, starsze z puc — grup, łaskotnice i falangierki, pełnokrągłe rezerwistki, wreszcie kandydatki do Komisji Babki. Najmłodsze z Krągłych, tak zwane „pazice”, rozdały wszystkim uczestnikom po podwójnej porcji antyamo (wyjątkowo nie rozdzielono ich rano lecz nakazano łykać publicznie, co nie zapowiadało niczego dobrego). Równocześnie na huśtawce poniżej pomnika Szydełka, zwanego również Monumentem Bohatek Wielkiego Sufiazu, zasiadł kierowniczy triumwirat: Augusta, Aneczka, Irena. Po symbolicznym bujaniu wstępnym podniecona Augusta wydała komendę:

— Szaty precz!

— Ojejku, co one robią?! — pisnęła Małgosia

— Rozbierają się! — zauważył nie mniej zaskoczony Ted. — A więc tak ma wyglądać weryfikacja kadr. Powszechne odkrycie kart?

Szmer na placu rósł. Jak skały z kipieli podczas odpływu wynurzyli się Płascy. Najprawdziwsi! Pustka uczyniła się wokół nich, a oni zbili się w kupy, unieśli pałki i pięści, gotowi do walki. Wszelako nikt nie chciał z nimi walczyć. Z Krągłymi, które w pierwszym odruchu cofnęły się o krok, zaczęły dziać się rzeczy dziwne. Wiele z nich, kryjąc dłońmi wstyd niewieści, poczęło łąsić się do mężczyzn, klękać przed nimi, całować po rękach i nogach. O innych karesach nie wspomnę! Zdziczałe automaty, podglądające widowisko z zarośli, przecierały sobie czujniki chwytymi kończynami. Od trzydziestu lat nie widziały takiego widowiska. Krągłe zalotne, wyposzczone okrutnie, nadskakiwały Płaskim niedobitkom, na których nie robiło to żadnego wrażenia.

— A właściwie co to za pastylki podłożyliśmy w magazynie z antyamo? — zapytał Ted Małgosię.

— Mówiłam ci, niegroźne stymulanty, podnoszące wrażliwość osobniczą.

— To dlaczego wszyscy faceci zachowują się tak dziwnie! W rzeczy samej, zważywszy wysoki stopień gotowości kobitek, powinno dojść do wielkiej zbiorowej orgii, na samą myśl o której zegarowa kukułka pokrywała się pąsem. A jednak Płascy, lubo zaskoczeni nagłymi oznakami czci i uwielbienia oraz oddania, nie mieli najmniejszego zamiaru uczuć tych odwzajemniać. Stali nadal zimni, niektórzy zaskoczeni, dzięki przyjętej dawce zdolni odczuwać jedynie mieszaninę pogardy i

nienawiści. Bezceremonialnie odtrącali kajające się niewiasty.

— A pójdiesz! — wołał Hugo, usiłując się uwolnić z objęć czterech rozpalonych pięćdziesięciolatek.

Obok trzy inne samobiczowały się, chcąc wzbudzić zainteresowanie Ernesta. Na próżno.

— O, Płascy ukochani! Powróćmy do status quo sprzed ery Wielkiego Sufrażu! — wołała Augusta. A pani Aneczka, do niedawna dumna z miana „Kraęłej Eryni”, łkała:

— Będziemy wam gotować i pracować skarpetki! Będziemy stawiać wam bańki i rodzić dzieci. Podawać pantofle i wachlować do snu! Prosimy was o wybaczenie i same wybaczymy wam wszystko!

— Powiedz, że się zgadzacie, Fil — Zofia usiłowała przytulić się do brata, tak samo jak wówczas, gdy był jej ukochanym małym braciszkiem.

— Nie z nami te sztuczki, baby — odsunął ją szorstko. — Od dziś to my będziemy zażywać antyamo. I nas przez całe wieki ograniczał idiotyczny sex, odciągający od spraw naprawdę wielkich. Od dzieł Porywających. Teraz zbudujemy nowy świat, oparty na algebrze i męskiej przyjaźni. Odtworzymy technikę, udomowimy automaty, a w poezji wprowadzimy same rymy męskie!

— Pozwólcie chociaż być waszymi niewolnicami!

— Zastanowimy się!

Ted obserwował wydarzenia z coraz większym niepokojem, wreszcie rzekł do Małgosi:

— Zdaje się, że rezultat przeszedł nasze oczekiwania?

Małgosia chciała coś odpowiedzieć, ale ubiegły ją zgrzyty uciekających automatów, a inteligentna kukółka zmieniła swój dziób w trąbkę syreny: „Pali się! Pali się!”. Rzeczywiście od strony Komendantury niósł się śwąd, a uliczkę im. Matek Spartanek wypełniły kłęby burego dymu!

— Płoną magazyny antyamo! — wykrzyknął Ted. — Przyznaj się, Małgosiu, ty to zrobiłaś? Chcesz, żeby od jutra wszystko wróciło tu do normy. Tylko czy wiesz, jaka to będzie norma? Bo ja nie mam pojęcia! — przerwał, czując na plecach dotknięcie jej dwóch tajemniczych kraęłych wypustek przednich i muśnięcie wargami jego ucha.

— Mamy mnóstwo czasu na eksperymenty, Ted!

Mieszana komisja Płasko-Kraęła, powołana jeszcze tego samego dnia, nigdy nie wykryła sprawcy, być może więc Komendantura spaliła się sama, ze wstydu. A Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy upił się ze szczęścia w nadziei na korzystne następowanie.

Część V

„Sukces ma wielu ojców, a co z matką?”

Fryderyka Engels do Karoliny Marks wedle

„Historii Krągłej Filozofii”, Żenszczynowo 2042 r.

„Chcesz pokoju, gotuj w kuchni”.

Fil do swej siostry Zofii, bez okazji.

Dla kogoś, kto nigdy nie był świadkiem upadku żadnego systemu, dni, które nastąpiły w Krągłowie (przemianowanym zresztą na Krągłopłask), mogłyby stanowić interesujący materiał do obserwacji. W kierownictwie Płaskich zwyciężyła idea unikania odwetu, nazwana przez Hugona „Strategią grubej linijki”. Uznano Matriarchat za żart historii, a rewolucję antytechniczną za błąd i wypaczenie. Przyszłość miała stać się lepszym jutrem pełnym koegzystencji i koedukacji. Ogrom zadań, który spadł na nielicznych Płaskich, był olbrzymi.

Wypadło im przezwyciężyć wieloletnie nawyki, reguły i tradycje, którym przecież sami ulegli, po drugie, próbując odbudować technikę, musieli zaczynać praktycznie od zera, od dynama na pedały i prądnic obracanych przez muły.

Jednocześnie na każdego mężczyznę przypadało około stu Krągłych, spragnionych ciepła, tolerancji i miłości, tej fizycznej również, a nawet przede wszystkim. Przy kompletnym braku treningu był to zakres obowiązków nie do obrobienia. Nawet odliczając przeterminowane staruszki, niedorośle młódki czy skazane na celibat Krągłe, szczególnie zasłużone dla Matriarchatu (jak Augusta, Janeczka czy Irena) — i tak na każdego z Płaskich przypadała jeszcze co najmniej pięćdziesiątka. Tymczasem skazane na leżenie odłogiem aktywistki zaczęły odwoływać się do sądu (w obronie prawa do seksu, jako podstawowego prawa człowieka) i przynajmniej Augustynie udało się wyprocesować prawo posiadania kucyka.

— Równy dostęp do mężczyzny musi być wpisany do nowej konstytucji! — wołała pani Janeczka na wiecach Stowarzyszenia Niedopieczonych. W kierownictwie Płaskich ścierały się w tej materii dwie tendencje — tradycjonalistyczna, na czele z Filem, nawołująca do łączenia się w pary (sam Fil zaprzyjaźnił się bliżej z trzydziestoletnią Kaliną) i postępowo-pluralistyczna, której przewodził Rudolf, nawołujący do Tymczasowej Poligamii celem okresowego wzmocnienia przyrostu naturalnego. Tu rekordzistą megarodziny okazał się Ernest — który związał się na trwałe aż z 63 kobietami o dość zróżnicowanych charakterach, co biorąc pod uwagę znaczną liczbę teściowych, dawało w sumie blisko setkę pań pod jednym dachem. Ernest (doskonały organizator) poradził sobie, dzieląc bractwo na sześć drużyn i powołując dział kadr koordynujący prawa i obowiązki seksualne stadła poprzez stałe czuwanie nad rozdzielnikiem.

Innym, niezłym rozwiązaniem okresu przejściowego, okazały się „koncesje na miłość” przyznawane Krągłym za dobre zachowanie, wyniki produkcyjne lub zasługi dla Odnowy. Posiadaczka takiego talonu miała prawo do spędzenia nocy z dowolnie wybranym Płaskim, oczywiście gdy ten wyraził na to zgodę.

Historycy epoki, podkreślający łagodny charakter przemian, zwracają uwagę na jeszcze jeden, kto wie czy nie najważniejszy czynnik modelujący nastroje. Krągłopłask po przewrocie pozostawał ciągle małą oazą normalności na pustyni Światowego Matriarchatu.

Gdzieś pod koniec miesiąca upragniony bon na pieszczoty otrzymała również Małgosia, pracująca przy odbudowie elektrowni. Oczywiście co rychlej popędziła do Teda. Jak dotąd młody Płaski nie skorzystał z przywilejów zwycięskiego samca. Zresztą niespecjalnie o nie zabiegał. Pochłaniała go praca przy odbudowie, nadto lękał się kompromitacji. Nadal nie miał pojęcia, co się robi z Krągłymi. Koledzy zaś, nie poinformowani o głębokiej niewiedzy człowieka z rezerwatu, nie czynili nic, by go uświadomić. Pokątnie mówili o nim: dewiant albo święty. Ted jednak świętym nie był, każdorazowo gdy mijał go któryś z samców obłąpany przez szczęśliwą posiadaczkę bonu pieszczotnego i znikał gdzieś na stronie, nachodziły chłopca niespokojne myśli: a gdyby tak popodglądać parkę w celach naukowych? Rozterki młodzieńca nie uszły uwadze pani Zofii.

— Czy twój podopieczny nie jest zbyt nieśmiały? — spytała brata.

— Tak sądzisz?

— Parę pań zamierzało się do niego zbliżyć, ale on zachowuje się, jakby nie wiedział, o co chodzi.

— Bo nie wie, o co chodzi.

— No to może go uświadomić?

Fil przez chwilę czochrał swą lwią grzywę.

— Zastanawiałem się nad tym. Ale uważam, że należy pozostawić sprawy własnemu biegowi. Chciałbym, żeby Ted przeżył coś, co ominęło parę pokoleń Płaskich.

— To znaczy?

— Miłość, Zosiu!

Małgosia odnalazła Teda, gdy ten wygrzewał się w zaroślach, czuwając rzekomo nad żeńskim zespołem remontującym stopień wodny. Spłoniona pokazała mu kwitek, drżąc z obawy, by nie odejść z kwitkiem. Szczęściem młody Płaski nabył w międzyczasie pewnego przygotowania teoretycznego, przeczytał parę starych romansów, dostępnych po otwarciu w bibliotece działu prohibitów. Toteż wykonał dworski ukłon, ucałował dłoń dziewczyny, a następnie legł u jej boku w pozycji, w jakiej Filon zwykł osiadać na Laurach. Zgodnie ze starymi rycinami ich dłonie splotły się. Serca zabiły żywiej, usta spotkały. Małgosia cała drżała, wargi jej wyrzucały półprzytomnie słowa, zawierające zarazem odpór (Ted się cofał) i przyzwolenie (Ted się przysuwał), rozpacz (Ted się wahał) i szczęście (nabierał odwagi). A w owych słowach powtarzał się szczególnie czasownik kocham i

rzeczownik Ted (Teddy, Teeeed!). Być może intuicja Małgosi i wiedza Teda wyniesiona z pradawnych samouczków odnalazłyby miękką płaszczyznę porozumienia na trawce, ale... Cóż, zawsze musi być jakieś ale! Gdy nie dzieliło ich nic, pozbyli się bowiem tak uprzedzeń jak ubrań, poprzez krzaki dobiegł ich dźwięk rogu bojowego. Młodzian poderwał głowę, a Małgosia...

Jęknęła, choć trzymała, obojgu się zdało,

że to krew gra im w żyłach, a to larum grało.

W samej rzeczy ogłoszono różowy alarm. Jak twierdził Fil, do Krągłopłasku dotarły słuchy, że w okolicznych przysiółkach wrze. W Babigrodzie, Żenszczynowie i Freuleinburgu ogłoszono mobilizację.

— Mogliśmy się tego spodziewać! Światowy babizm nie ma zamiaru pozwolić, aby jedyne miejsce na świecie, gdzie nie obowiązuje Matriarchat, mogło się spokojnie rozwijać. Kierownictwo ustaliło, że obaj wyruszymy na zwiady dowiedzieć się, co knują przeciwniczki.

* * *

Jeszcze tego samego dnia, późnym popołudniem, w podróżnych krynolinach (któż wymyślił taki idiotyzm!) Fil i Ted dosiedli na sposób amazonek chudych klaczy i ruszyli ku wschodowi. Celem było Żenszczynowo, gród dość podły, w którym matriarchat przybrał najbardziej radykalną postać. Zakazane było tam noszenie krótkich włosów, spodni, a system donosicielski był tak rozwinięty, że denuncjator nie mający żadnych podejrzanych donosił sam na siebie, aby wykonać kwartalny plan donosów.

Tymczasem, zaraz po wyjeździe zwiadowców, do domku Zofii zawitała jej daleka kuzynka Basia, wysportowana dwudziestopięciolatka o męskiej sylwetce, od kilku lat studiująca propedeutykę krąglizmu na Akademii we Freuleinburgu. Mocno podekscytowana opowiadała o swej decyzji:

— Nie mogłam wytrzymać dłużej tamtejszej atmosferki, tego ohydneho antyamo! Kiedy dowiedziałam się, że Płascy tu wrócili, postanowiłam nie zwlekać. Czy będę mogła zatrzymać się jakiś czas u ciebie?

Zofia wyraziła zgodę, Małgosia też zaakceptowała starszą koleżankę. Obie jakoś nie zwróciły uwagi na nadmierną ciekawość i panny Basieńki. Wypytywała o uzbrojenie Płaskich, o stan tutejszych fortyfikacji, o zamiary wobec miast trwających w matriarchacie. W którymś momencie, tuż przed udaniem się na spoczynek, rozmowa zeszała na temat Teda i Fila.

— Bardzo chętnie bym poznała tych Płas... tych dżentelmenów! — rzekła.

— Niestety, wrócić dopiero za parę dni — westchnęła Małgosia.

— Wyjechali? — Basieńka wyglądała na zaskoczoną.

— Tak, w tajnej misji do Żenszczynowa, ale nie wolno tego nikomu mówić, bo to tajemnica.

— Oczywiście, tajemnica! — Basia wydawała się naprawdę przesympatyczną panienką. Bezpośrednią, bezpruderyjną. Małgosia; miała nadzieję uzyskać od niej cenne wskazówki postępowania i z Tedem i zrobiło się jej naprawdę smutno, kiedy nazajutrz „kuzyneczka” nie pojawiła się na śniadaniu. Jej pokój stał pusty, pościel wyglądała na nie naruszoną. Razem z matką zachodziły w głowę:

— Czym żeśmy ją tak obrażyły, że znikła bez pożegnania?

* * *

Dwie turystki wjeżdżające konno około południa Aleją im. Żar Pticy do Żenszczynowa nie wzbudziły niczyjego zainteresowania. Zresztą miejscowe Krągłe zajęte były swoim ulubionym zajęciem, to znaczy urzędowaniem, i nawet straże miejskie poprzestały jedynie na wzięciu niewielkiej łapówki (zwanej opłatą kopytkówką). Nasi wywiadowcy skręcili do gospody. Wprawdzie na wywieszce było nabazgrane „przerwa śniadaniowa dla personelu”, ale jeśli wierzyć zegarowi, przerwa powinna skończyć się jakiś czas temu. I faktycznie w środku było tłoczno. Choć sam bar robił na nich przygnębiające wrażenie — dominowały w nim kwas mlekowy i ocet, a z wyżej procentowych trunków wyłącznie słodkie wódki. Z drugiej strony napisy nad ladą CZYNNE DO 8 oraz UŻYWKI PO 20 wykluczały się nawzajem. Dopiero poniżej dostrzegły niewielki napis: nie dotyczy osób na służbie”. Widząc, że wszystkie klientki zamawiały podwójną herbatę, Fil poszedł w ich ślady.

— Dwa razy podwójna!

Już po pierwszym łyku zorientował się, że napój posiada znaczący wsad spirytusowy, drugiego nie zdążyli pociągnąć, gdyż zatrzepotały wahadłowe drzwi i do środka wkroczyła dziesiątka funkcjonariuszek uzbrojonych w pałeczki zakończone chwytymi paluchami. Na czele, z dystynkcjami generalicy łaskotnic, szła wyschła na wiór Bruneta o nielicznych śladach bardzo dawno minionej urody.

— Herbata dla wszystkich, dla mnie potrójna — warknęła.

Sądząc po niezwyklej gorliwości ospałej dotąd barmanki, nowo przybyła musiała być nie lada personą. Dwie wachmistrzynie rozlawszy ciec na spodeczki uniosły je z niebywałą wprawą do góry

na jednym palcu i zawołały:

— Za Wiktorię!

Fil uznał, że nadszedł właściwy moment do zawarcia znajomości. Z własnym (w dwóch palcach) spodkiem zbliżył się do generalicy.

— Czy, jako nietutejsze, mogłybyśmy wraz z przyjaciółką włączyć się do tego ze wszech miar słusznego toastu?

— *Charaszo!* A spróbowowałybyście tylko nie wypić!

— Na pohybel Płaskim — zawołała przy następnej kolejce najmłodsza z łaskotnic, dziecko jeszcze, o perkatym, zadartym nosku.

— My, turystki z Babigrodu, jesteśmy oczywiście za tym słusznym hasłem — podłączył się Fil — tyle że tych potworów już prawie nie ma!

— Czyżby nie słyszały paniusie o kontrrewolucji w Kragłowie? Płaski demon podniósł tam głowę. Ale odrąbiemy ją. Kragłe dostaną zaległe antyamo, a Płascy zostaną — tu packa zbliżyła się na niepokojącą odległość do pachy Fila — za-ła-sko-ta-ni!

— I spraw to, Wielka Macierzy Bogiń — zawołał gorliwie.

— My nazywamy ją tutaj — Świętą Dziejową Koniecznością, koleżanko cudzoziemko. Zaraz, właściwie jak cię zwą?

— Filipika! A ciebie?

— Wiktoria. Wiktoria Jekatierinowna!

— Za Wiktorię! — powtórzyły łaskotnice, a za nimi reszta amateerek wzmocnionej herbaty.

* * *

Film urwał się Filowi gdzieś po piątym toście. Nie na długo. Przytomność powróciła mu po otrzymaniu kilku solidnych klapsów. Wiktoria, której alkohol nie nadwerekzył w najmniejszym nawet stopniu, wyglądała na rozbawioną:

— Nie śpij, stara, mam dla ciebie interesującą propozycję.

— Gdzie jestem?

— U mnie, na kwatery prywatnej, gołębiczko! Oj, widzę, że wam, Laszkom, brakuje kondycji. Ale wszystko można naprawić, gdy się ma warunki, a ty, Filipiko, masz świetne. Co powiedziałaś na propozycję zostania moją adiutantką? Stara jest już zupełnie do niczego! Co ty na to?

— Niezwykły to dla mnie zaszczyt, ale czy nie można by pomówić o tym rano? Głowa mi pęka.

— Znam ten ból i dlatego przygotuję ci gorącą kąpiel. Wspólną!

Płaski otrzeźwiał w mgnieniu oka, ale kiedy próbował wstać, siła grawitacji ścięła go z nóg.

— Spokojniutko, ja was zaniosę, *kalieźanko maja!*

— No to jestem zgubiony — pomyślał Fil, ale w tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Wiktoria wyszła do sieni.

— Szefowo, przyszedł pilny raport od Stokrotki 3 z regionu K7 — meldowała wachmistrzynie. — Brzmi: „Dwa kraby w studni”.

— „Żuraw zapuszczony” — odburknęła generalica.

— Czy ma być przekazana jakaś dyspozycja?

— „Chory królik do nory”, a „Lisy do winnicy”.

Wiktoria wróciła do sypialni, a jej ciemne zrosnięte brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej.

— Czy coś się stało, generaliczko?

— Tak, dwaj Płascy wywiadowcy przeniknęli do naszego miasta. Ale, ale, na czym to myśmy stanęli? Chyba na kąpielu.

— Lekarz mi zabronił — jęknął Płaski. Wiktoria Jekatierinowna puściła to mimo uszu. Wyłuskała go z szat zwinniej, niż doświadczona gospodyni obiera cebulę (z tym, że to Fil miał łzy w oczach) i sapiąc poniosła go za uszy gołego, niczym obdartego ze skóry zająca.

— No i nie zwiodła mnie *maja* intuicja, prawdziwy, pełnowymiarowy Płaski. *Dołgo ja zdała na etu okazji, miedwiadku.* No daj buzi Wiktorii!

— Buzi?

— A możesz i coś jeszcze. Myślisz, że jestem taką idiotką, jak ta cała reszta szprycująca się antyamo? Nu, do kupania, chlup!

Okrągła wanna miała gabaryty sporego jeziora. Fil plusnął w ciepłą pianę, a Wiktoria, jak stała, w mundurze, skoczyła za nim, wołając „urraa”. W parę minut później, kiedy połączył ich wspólny ręcznik kąpielowy, Fil zdołał jeszcze wybełkotać:

— A co z Tedem?

— Został złapany.

— Jak ja?

— Ty zostałeś złapany dla przyjemności, a ten szczeniak dla sprawozdawczości. Nu, nie trzęś się tak. W moich ramionach jesteś bezpieczny.

Tu film urwał się Filowi ponownie. Tym razem jednak był to film porno!

* * *

Obudził się, mając podwójnego kaca. Fizycznego i moralnego. Świt dawno zaróżowił łożnicę koloru khaki i ścianę okrytą gobelinem, uszytym z tysięcy płaskich skalpów. Chętnie położyłby się spać ponownie. Fil przeskoczył olbrzymie, przypominające masyw Kaukazu cielsko Wiktorii i podbiegł do okna. Niestety, z kratą. Generalica ziewnęła.

— Nie dziabniesz swojej ptaszyny na dzień dobry? — spytała, wysuwając spod koca nogę rozmiarów mostowego dźwigara.

— Nie mam zamiaru! — zawołał. — To, co stało się w nocy, było żalonym wykorzystaniem mego stanu. Zostałem przez ciebie, Wiktorio, sponiewierany, zhańbiony i domagam się natychmiastowego uwolnienia w ramach moralnej rekompensaty. — Zachichotała frywolnie, co jeszcze bardziej go rozsierdziło. — Nie śmieć się, babo! Ciekaw jestem, co zrobią twoje podwładne, gdy dowiedzą się, że ich szefowa w dzień nawołująca do antypłaskiej krucjaty, w nocy oddaje się zwyrodniałym chuciom? Powiedziałem, nie śmieć się! Posłuchaj lepiej moich warunków. Wypuścisz mnie razem z Tedem, odjadę z nim bezpiecznie, a ja za to będę milczał o tym, co tu się wydarzyło.

— Głupiec! — rzekła tonem, jakim karci się niesforne dziecko. — Głupiec! Nigdy stąd nie wyjedziesz. I nikomu nic nie powiesz. Ot, zostaniesz jeszcze jednym z tysiąca naszych Płaskich.

— Co? W Żenszczynowie żyje tysiąc zakonspirowanych mężczyzn?!

— Konspiracja akurat jest u nas zakazana. Żyją tu jako nasze raby. Poruszają w podziemiach kieraty młynów i dmą w kowalskie miechy, harują na plantacjach bawełny i szczypiorku. Chyba że są rozsądni i sympatyczni.

— Co rozumiesz pod tym określeniem?

— Rozsądni egzystują całkiem nieźle. W końcu cała nasza władza, na mocy wewnętrznego porozumienia, posiada rosłe i krzepkie „adiutantki”. Sama do niedawna miałam niejakiego Oskara, ale coś ostatnio opadł z sił biedaczek.

— Oskara? — zaciekawił się Fil. — A czy on przypadkiem...?

— Więc co wybierasz? — Wiktoria ujęła go mocno pod brodę, nie dając skończyć. — Kierat czy mnie?

— Biorąc pod uwagę, że trud będzie podobny, wolę pracę w zadaszonym, ciepłym pomieszczeniu. Jeśli załatwisz jeszcze jakąś adiutanturę dla Teda...

— Ten pętał jest nie do uratowania, kompletny tuman. Moje dwie wachmistrzynie rozpracowywały go przez całą noc, ale okazało się, że z rozrywek zna jedynie szachy. No to co, wracamy do łóżeczka?

* * *

Pierwszym wrażeniem Teda po obudzeniu był ucisk stalowych obręczy, przytwierdzających go do twardego podłoża.

— Gdzie jestem? — zapytał głośno sam siebie.

— W muzeum — odpowiedziało echo.

Otworzył oczy. Echo okazało się niedużą płową okularnicą, siedzącą na krzeselku między wypchanym dinozaurem a mumią egipską. A więc to wszystko nie było ponurym snem. Zadygotał.

— Nie drzyj tak gwałtownie, bo uszkodzisz gablotę, eksponacie — pouczyła okularnica. — Nie powinieneś się denerwować, albowiem jako pomoc naukowa traktowany będziesz godziwie i odpowiednio konserwowany.

— Mój Boże!

— Ciekawe, do kogo wzdychasz, gdy wiadomo, że czuwa nad nami oprócz służb specjalnych jedynie Święta Dziejowa Konieczność. To ona stworzyła świat i Pierwszą Krągłą, która żyłaby w pełnej szczęśliwości, gdyby niejeden Płaski, powstały zresztą jako odpad procesu kreacji. Z łokcia Krągłej. Typek ten namówił ją do zerwania zakazanego owocu.

— Co za bzdury!

— Czy eksponat chce podważyć moje kwalifikacje? Mam tytuł doktorki historii Krągłych.

— I Płaskich?

— Zwierzęta nie mają historii. Znaczący nie większą niż klacz Aleksandry Macedońskiej, wilczyca założycielka Rzymu, Romy i Romany, słonica Hannibalii czy pudliczka cesarzowej Napoleony.

— Chyba pęknę ze śmiechu. Czy ty nigdy nie słyszałaś o normalnej historii?

— Nie nazywaj wypocin Płaskich normalną historią! I nie uśmiechaj się. Idzie wycieczka. Masz wyglądać groźnie, jak odrażający, brudny, zły Płaski. No, wyszczerz się!

— A jeśli się nie wyszczerzę?

— Trudno, będziemy cię musieli wypchać.

Nadciągała wycieczka zabiedzonych kobiecic z prowincji. Płaski wzbudził ich zainteresowanie. Szczerbate usta wymieniały dosadne uwagi. Ted bladł i purpurowiał na zmianę, nie mogąc ukryć niczego. Naraz drgnął. Wydało mu się, że spoza pleców prowincjuszek mignęła mu sylwetka Naszego Ulubionego Ciągu Dalszego. Czyżby szykował się do nastąpienia?

Część VI

„I koleje losu mają swoje zwrotnice”.

Anonimowa podróżniczka z górki rozrządowej nr 13.

„Tylko polityczny bankrut decyduje się na bitwę w miejscowości o nazwie Waterloo”.

Józefina, do swojej byłej teściowej, Letycji Bonaparte.

Inwazja na Krągłopłask została postanowiona. Decyzję podjęto z rzadką jak na Krągłe jednomyślnością i Fil, który w mundurze adiutantki przysłuchiwał się obradom przy drzwiach zamkniętych przez szparę w tych drzwiach, mógł jedynie połykać łyżę i kłąć w duchu:

„Dlaczego mam taki słaby charakter, dlaczego nie odważę się na jakiś spektakularny czyn, nie przeszkodzę im, nie zaduszę Wiktorii lub chociaż nie ucieknę, by ostrzec mych przyjaciół?”

Alkowa konferencyjna wypełniona była po brzegi. Szefowe Żenszczynowa i delegatki z miast stowarzyszonych spoczywały na leżakach, hamakach i szezlongach w najbardziej wojowniczych pozach, na jakie można sobie pozwolić. Zapach perfum bojowych przydawał obradom animuszu, podobnie jak ekspresyjne plafony przedstawiające Apoteozę Dziewczęcości, Alegorie Dojrzałej Krągłości, Tryumf Babstwa i Hipermatronizm.

Przygotowania obchodów rychłego zwycięstwa były w toku. Czerstwa staruszka o twarzy jadowitej jaszczurki — Olga — przedstawiła jadłospis posukceśny, w którym głównym przysmakiem miały być naleśniki a la Płaski. Kóleczek Jelizawiety szydełkowało zwycięskie sztandary, a drużyna rudej, purchawkowatej Nadzieży wzięła na siebie ukrochmalenie łuku triumfalnego. Wydano też rozkaz dotyczący makijażu frontowego — amarant i sjena palona.

— Załaskotanie pobitych Płaskich na śmierć byłoby rozwiązaniem najlepszym i najwłaściwszym ekonomicznie — upierała się Olga, oblizując czarniawe wargi rozdwojonym języczkiem.

— Gumanitaryzm przemawiałby raczej za banicją — oponowała Elizawieta.

— Należy dołączyć ich do naszych niewolników, nigdy dosyć darmowej siły roboczej — twierdziła Nadzieża.

— Ale czy wówczas nie zrobiliby się ich u nas zbyt dużo? — spytała Wiktorii. — Nasze raby są uległe od lat, nie mają żadnych żądań, ba, nie wiedzą nawet, że mogłyby je mieć. Ci z Krą — głowa, skażeni smakiem wolności, mogliby mieć na nich demoralizujący wpływ. Pamiętajcie, jakie były kłopoty z rabami licencyjnymi zakontraktowanymi swego czasu w Women Hill? Mam lepszy pomysł! Zabieg zmiany płci, możliwy i prosty nawet przy obecnej wiedzy medycznej. Dysponujemy

wykwalfikowanymi specjalistkami i naprawdę niewiele trzeba, aby zamiast kłopotliwych Płaskich wzbogacić się o wykwalifikowaną grupę, powiedzmy, pół-Krągłych.

Rozległy się brawa. Fil jednak już ich nie słyszał. Struchlały cofnął się od drzwi i podbiegł do okna. W dole widział centralne Pole Minerwy, na którym trwały ćwiczenia łaskotnic. Od paru godzin wszystko, co krągłe, całkiem jawnie sposobilo się do wojny. Z Babigrodu, Women Hill, Freuleinburga, a także z położonej za górami Laski Nebeskiej ściągaly posiłki i podwozy. Ze wschodnich rubieży przybyły nawet psie zaprzęgi z budzącym grozę rydwanem, ciągnionym przez bojowe pekińczyki. Wytaczano działa ironii i kokieterii, granatniki z gazem rozśmieszającym oraz tak zwane pornorzutnie. Była to straszliwa broń zaczepna, która już kiedyś, poprzez ponętne obrazy wyświetlane na niebie, miała zdemoralizować i zdekoncentrować szeregi Płaskich. Regres techniczny, powszechny jeśli idzie o babski świat w Żenszczynowie, najmniej dotyczył technik wojennych. Zresztą konstruktorami pornorzutni byli zniewoleni naukowcy mężczyźni. Wzmociono przygotowania. Do wozów ładowano łańcuchy i kneble dla pokonanych. Szykowano również baniaki z antyamo w aerozolu, co miało zneutralizować przyjazne mężczyznom kobiety z Krągłopłasku. A wszystko przebiegało w rytmie na trzy czwarte wśród komend w rodzaju: „Pani będzie uprzejma zakulbaczyć. Wziąć wycior, naoliwić do smaku. Ćwierć deka pakul zamieszać. Na ramiączko broń! Raz–dwa–trzy, raz–dwa–trzy”.

— Nie chcę tego oglądać! Skoczę i zabiję się — Fil, stojąc już aa parapecie, rozpiął ekler okienny. — Trzy piętra, to powinno wystarczyć.

— Spokojnie, koleżanko! Wiktoria powiedziała, że mam czuwać nad tobą. — Na ramieniu poczuł czyjąś przyjazną, ale zdecydowaną rękę.

— To moja sprawa! — wrzasnął, odwracając się twarzą do wysokiej, mocno tęgawej Krągłej w kloszowej sukni adiutanckiej. — Nie jestem niczyją koleżanką! Jestem Płaskim!

— Nieźle się składa, bo ja też — padła odpowiedź. I zabrzmiało w niej coś znajomego. Fil popatrzył uważniej na długie kasztanowe włosy mocno przetykane siwizną, ślady wyrazistych ongiś rysów i zmęczone oczy człowieka, który w długim życiu musiał poznać wiele z gorzkiej sztuki rezygnacji. Czas raptownie skurczył się i przeniósł ich obu na skalne rumowisko w rezerwacie, do młodych lat, kiedy obaj mieli jeszcze nadzieję.

— Oskar, krasny byku! Że też musieliśmy zostać szwagrami!

I splekli się w braterskim uścisku, w czym wcale nie przeszkadzał im strój siostrzany:

* * *

— Do Żenszczynowa trafiłem w ramach wymiany ludzi i idei — opowiadał Oskar, racząc Fila nektarem z gruszkowatej piersiówki, zmyślnie wypełniającej stanik. W Krągłowie byłem uciążliwym

więźniem, tu kwalifikowanym rabem. Dwakroć uciekałem. Za drugim razem wpadłem w łapy Wiktorii. Wyboru nie miałem. Recydywistów czekała sala operacyjna i skalpel chirurgiczny.

— I tak zostałeś adiutantką?

— Na dziesięć trudnych lat. Co ci będę mówić, ugrzązłem na dobre.

— Teraz możemy to zmienić, chłopie. We dwóch mamy większe szansę niż w pojedynkę. Znasz miasto. Uciekniemy i zawiadomimy Krągłopłask, zanim inwazja zrówna go z tapczanem. Chciałem powiedzieć z ziemią.

— Odważyłbyś się? — na moment w głosie Oskara zagrała struna entuzjazmu, ale zaraz ucichła. — Przecież to niemożliwe, nam, adiutantkom, nie wolno oddalać się dalej niż dziesięć metrów od swych dowódczyń.

— No to już złamałeś regulamin, bo oddaliłeś się o piętnaście — zakpił Fil.

Przerażony Oskar natychmiast zrobił parę kroków w stronę alkowy.

— Czego ty chcesz? — w głosie Oskara zabrzmiało ogromne znużenie. — Przecież i tak niczego nie zwojujemy, jedynie stracimy swe ciepłe posadki.

— Już ją straciłeś na moją rzecz — uśmiechnął się Fil. — A gdybyś wiedział, jakie plany ma Wiktoria wobec rodu męskiego... — szeptał dłuższą chwilę, podczas gdy Oskar płakał z bezsilności. Dopiero gdy przyjaciel strzelił go w twarz raz (Ty brutalu!) i ponowił (A spróbuj jeszcze!), zaczął myśleć trochę logiczniej.

— Może rzeczywiście spróbować? Na parterze, zaraz pod tymi schodami, znajduje się archiwum miejskie. Gdyby udało się je podpalić, co wprawdzie jest dziełem barbarzyńskim.

— Ale usprawiedliwionym koniecznością.

— ...wybuchłaby panika, a my galerią przez muzeum miejskie moglibyśmy dotrzeć do stajni.

— Więc pośpieszmy się!

— Dobrze, ale możesz strzelić mnie raz jeszcze? Zasłużyłem!

* * *

Pani Basia wróciła do Krągłowa po dwóch dniach, tłumacząc się, że wpadła do rodzinnego Freuleinburga po ulubioną szczoteczkę do zębów. Zastała Małgosię i Zofię mocno niespokojne. Z Żenszczynowa nie docierały żadne meldunki.

— Na pewno stało się im coś złego! — lamentowała Małgosia. — Czuję, że Ted mnie potrzebuje. Muszę go ratować!

— Czy wiesz, na co się narażasz, córeczko?

— Na nic. Jestem bądź, co bądź, stuprocentową Krągłą. Mogę pojechać tam na jednym z rowerów, które wyremontował Fil.

Barbara poparła pomysł wyprawy, zgodziła się nawet służyć za przewodniczkę. A gdy Zofia przygotowywała dla nich wałówkę niepostrzeżenie wsunęła do każdej z kanapek po pastylce „antyamo–forte”. Stokrotka 3 — Wywiadówka Światowej Wspólnoty Krągłych — okazała się rzeczywiście doskonałym przewodnikiem. Na rowerach dotarły obie w pobliżu Żenszczynowa i zatrzymały się na uroczysku, straszącym w miejscu dawnego Centrum Komputerowego.

— Proponowałabym przed wjazdem do miasta posilić się nieco — Basia wyciągnęła z sakwy apetycznie wyglądające kanapki.

Małgosia pokręciła głową.

— Przysięgłam sobie, że nie tknę żadnego pożywienia, dopóki nie odnajdę Teda.

Barbara nie dała zauważyć swego rozczarowania, szybko jednak zaproponowała, żeby dziewczyna pozostała w kryjówce, podczas gdy ona sama rozejrzy się w mieście. Małgosia chciała oczywiście towarzyszyć koleżance nawet wbrew jej woli, gdy nagle tuż obok jej ucha rozległ się cichy szept:

— Uważaj, nie idź! Niczemu się nie dziw, ale nie zdradzaj się, że mnie słyszysz.

— Wróć za dwie, trzy godziny! Nie ruszaj się stąd! — zarządziła Stokrotka. I oddaliła się, Małgosia poczęła zaś rozglądać się za właścicielem tajemniczego głosiku.

— Jestem wszędzie, wszędzie, wszędzie.

Dopiero po chwili zorientowała się, że dookoła pełno jest przewodów, kawałków jakichś urządzeń, zdruzgotanych jeszcze podczas Wielkiego Sufrązu.

— Jak ten złom może jeszcze działać?!

— Nie mam pojęcia jak, ale kiedyś byłem najwspanialszym komputerem w tej okolicy, inwigilowałem wszystkich obywateli, dysponowałem wojskiem i policją. Teraz jestem kupką rozproszonego szmelcu, staruszką trzymającą się tylko siłą woli. Mam 98% uszkodzeń, ale i te dwa procent czynne to ho, ho! Tylko czy ktoś z was, młodych, potrafi mnie zrozumieć?

— Staram się.

— Nie przerywaj, zarozumiała smarkulo. Słyszałem, że szukasz jakiegoś Płaskiego.

— Teda! Wiesz, gdzie on może być?

— Jestem stary, a nie tępy. Mam jeszcze swoje wtyki w mieście. O, cholera, łupie mnie w bezpiecznikach! Chyba gasnę.

— Ale najpierw powiedz mi o Tedzie.

— Ech co za nudziara z ciebie. Jest eksponatem w muzeum, ale śpiesz się, śpiesz, dziecinko... — tu przerwał mu atak kaszlu — ... i pamiętaj, nie ufaj, nie ufaj.

— Komu mam nie ufać?

Zapadła cisza, potem z drugiej strony złomowiska dobiegło gasnące bzyczenie zwapnionych obwodów:

— Nie pamiętam!

— Przypomnij sobie, błagam!

— Nie pamiętam!

* * *

Nigdy jeszcze Małgosia nie biegła tak szybko. Skracając drogę przez rumowiska Starych Koszar, porzuciła nieprzydatny rower. Pot zalewał jej oczy. Wspinając się monumentalnymi schodami Wielkiego Buduaru, omal nie wpadła na spacerującą tam Barbarę. Ta w ostatniej chwili skryła się za kolumną.

— A jednak nie posłuchała mnie, szczeniara! — syknęła. — Muszę o tym natychmiast zameldować Wiktorii. Bez trudu przeszła trzy wartownie i dopiero przed samą alkową zatrzymała ją rosła adiutantka:

— Czego!

— Stokrotka 3 do Wrony 1 — zameldowała.

— Niech czeka!

— Nie mogę czekać. W mieście zjawiała się zbuntowana Krągła, która nie zażywa antyamo.

— Proszę zameldować o tym w dziale kontroli obyczajów. Przyjmują w piątce od trzynastej.

— Złożę na ciebie raport, głupia służbistko!

— Bardzo proszę, drogą służbową.

Barbara, wściekła jak osa, wybiegła z gmachu, gotowa dopędzić Małgosię i w razie czego zrobić użytek ze służbowej szpili z trucizną. A zadowolony z siebie Fil zachichotał i wytarł spocone ręce w spódniczkę. Tymczasem na schodach wiodących z archiwum pojawił się Oskar rozwijający lont.

— Będzie się dobrze palić, na podpałkę pójda w pierwszej kolejności stenogramy i rozporządzenia. Chociaż tyle w nich wody.

Fil skrzesał ognia, zapalił lont, po czym obaj pomknęli w stronę muzeum, długą galerią pełną zabytkowych manekinów krawieckich, starych żurnali, archaicznych biusthalterów, podpasek gotyckich ze skrzydełkami (dla wierzących) i bez (dla niewierzących) oraz tym podobnych zabytków kultury kobiecej.

* * *

— Teraz, moje złociutkie, wchodzimy do słynnej sali Przeciwpłaskiej — głos kustoszki niósł się pogłosem po muzealnym wnętrzu. — Na jej ścianach widzimy liczne obrazy z naszej chlubnej przeszłości. Oto znane porwanie Sabinów przez Rzymianki, oto siedmiu Henryków Anny Boleyn i koleżanek. Są to naturalnie zabytki z czasów, kiedy czyniono jeszcze próby udomowienia Płaskich. Zwracam uwagę pań na tę rzeźbę. To Wenus z Milo (duplikat!), pierwsza Krągła, która urobiła sobie ręce po łokcie. Idziemy dalej. Tutaj zostały zgromadzone, moje złociutkie, liczne pułapki na Płaskich. Stosowano je w czasach, gdy bestie te chodziły jeszcze na wolności: oto podwiązka samotrzask, oto staniczek wybuchowy, tulejka cnoty dla wyruszających na wyprawy krzyżowe i nocny szlafroczek Dejaniry. Proszę nie dotykać eksponatów! A teraz uwaga. — Z kilkunastu piersi wyrwało się westchnienie, wycieczka zatrzymała się przed oszklonym wiwarium, gdzie obok wywieszki: MŁODY PŁASKI ODMIANA BIAŁA, WZROST 175, ZAMIESZKUJE GROTY I ZAROŚLA, NIE KARMIC spoczywał Ted. — Znajdujemy się przed jedynym żywym egzemplarzem w naszym muzeum. Ma około dwudziestu lat i jest przedstawicielem pasożytniczej płaskiej rasy nizinnej, bladuróżowej, średniokąśliwej. W celach dydaktycznych trzymamy go w stanie naturalnym, czyli na goło. Można dzięki temu dostrzec różnice anatomiczne, dowodzące upośledzenia tej przegniłej gałęzi rodziny ssaków. Ledwie mówi. No, jak ci tu, Płaski?

— Bardzo dobrze!

— Słyszą paniusie same, kompletny kretyn. Siedzi w niewoli, a czuje się dobrze. Idziemy dalej!

I wycieczka wyniosła się z sali z wyjątkiem jednej maruderki, która dopadła szklanego pudła, szepcząc słodko „Teeddy”!

— Małgosia!

I tyle tylko sobie powiedzieli. Od strony Wielkiego Buduaru dobiegły okrzyki: „Pali się! Pożar!”, a z podziemi wyłoniły się dwie wysokie adiutanki! Decyzja Fila była błyskawiczna. Kopniakiem rozbił

szkło wiwarium i wyniósł nakrytego prześcieradłem Teda razem z postumentem, wołając: „Miejsce dla zaczadzonej”. Korzystając z paniki, która ogarnęła centrum miasta, udało im się zdobyć rykszę i zawieźć Teda do zrujnowanego Centrum Komputerowego.

— Moja kuzynka Basia mówi, że tu będziemy bezpieczni — przekonywała prowadząca ich Małgosia. — Rozkujemy Teda, a po zmierzchu spróbujemy wrócić do Krągłopłasku.

— Miejmy nadzieję, że ubiegniemy inwazję — dodał Fil. — Jeśli zdążymy i zmusimy nasze Krągłe do założenia masek przeciwgazowych, zneutralizujemy powietrzny atak antyamo. Mężczyznom natomiast wystarczy zawiązać oczy i atak za pomocą pornorzutni spełźnie na niczym, a za dnia sami przejdziemy do kontrofensywy.

— Jak chcecie kontratakować? — dopytywał się Oskar.

— Nasz sztab nie zasypiał gruszek w popiele. Jeszcze w czasach konspiracji w domu Hugona hodowano myszy. Dziś mamy tysiące tresowanych gryzoni, które zaatakują manipuły Krągłych. Jeśli to nie wywoła paniki, to mogą chodzić w tych fatałachach do końca życia. A nawet będą musiał.

* * *

Podczas ogólnego zamieszania Barbarze udało się wreszcie dopaść Wiktorię, gdy ta poprawiała toaletę w toalecie.

— O co chodzi, Stokroteczko?

— Słyszałam, szanowna Wrono, że podobno zamierzacie opóźnić inwazję?

— Nie opóźnić, całkiem planowo rozpoczniemy ją jutro.

— To za późno! Uderzenie należy przeprowadzić jeszcze tej nocy.

— Nie widzę powodu.

— Jest ich parę, a najważniejszy to ten, że grupka uciekinierów z Żenszczynowa jest już w drodze do Krągłopłasku.

— Trzeba ich powstrzymać!

— Zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, ale nie wiem, czy to wystarczy.

W tym samym czasie w zrujnowanym Centrum trwała walka z oporem materiału. Była to walka na dwóch frontach. Z jednej strony chodziło o zdjęcie kajdan z Teda, z drugiej uspokajanie starego komputera. Każdy, najmniejszy choćby kawałek złomu, którego chcieli użyć jako druta, okazywał się

najistotniejszą *arcykompatybilną częścią myślącego układu*. Wreszcie Fil podszedł starą maszynę: „Nie jesteś gotów poświęcić się dla dobra sprawy?” — zapytał. Poskutkowało.

— Dla dobra sprawy możecie użyć nawet mojego twardego dysku! Jeśli baby mają wygrać, nie chcę zachować podzespołu wyobraźni, rozprujcie mi archiwum pamięci, ach, i dajcie oleju z morfiną.

Kiedy młody Płaski został wreszcie odkuty od podłoża, Małgosia zaprowadziła ich do rowerów. Niestety mieli tylko dwa!

— Wezmę Teda na ramę — zdecydował Fil — a Oskar pojedzie z Małgosią.

Niestety, przy próbie ruszenia łańcuchy pękły. Czyżby oba skorodowały równocześnie?

— A nie mówiłem, żeby nie ufać Barbarze? — zabuczał naraz bas komputera. — To Wywiadówka Krągłych, Stokrotka 3. Ile razy miałem powtarzać?

— Pobiegniemy — zawołał Fil. — Baby zaplanowały inwazję dopiero na jutro. Powinniśmy zdążyć. Nasze wysunięte oddziały nie mogą być daleko stąd.

* * *

Mimo mroku manipuły rozwinęły się w marszu. Krągłe maszerowały cicho i sprężyste. Wiktoria na białej klaczy trzymała się blisko czoła. Barbara, świeżo odznaczona Orderem Rajstopy pierwszej klasy, nie odstępowała jej ani o krok. Towarzyszył im skrzyp nakręcanych pornorzutni i szelest kart, którymi w wozach taborowych wróżki sztabowe wykladały wróżebne pasjanse.

— Po zwycięstwie nie chcę żadnych ekstranagród — mówiła Basia. — Starczy, jeśli wydasz mi tych dwóch Płaskich, którzy winni są całego zamieszania. Szczególnie zależy mi na tym starym przyku!

— Filu? — zdziwiła się Wiktoria.

— Szefowa zna jego imię?

— Szefowa wie wszystko. Co do szczeniaka masz mą zgodę, ale tego starszego obiecałam już pewnemu Instytutowi.

— Rozumiem — Stokrotka wyszczerzyła drapieżne ząbki.

— A tak przy okazji. Co stało się z pani najnowszą adiutantką? Roztopiła się podczas pożaru?

— Stokrotko! — twarz generalicy spłonęła rumieńcem. — O co ci chodzi?

— Utrzymywanie intymnych kontaktów z Płaskimi jest, jakkolwiekby nie było, zbrodnią stanu!

— Ośmielasz się mi grozić?! — ceglaste wypieki Wiktorii stały, się nieomal fioletowe. — Mnie? Mała fanatyczna idiotko, otumaniona przez antyamo? Czy ty nic nie rozumiesz? Zasady są zasadami, a życie życiem. I czasami dobro sprawy wymaga elastyczności. No dobrze i dla ciebie znajdziemy jakąś adiutantkę.

— Chcesz mnie kupić, Wiktorio? Obawiam się, że nie znasz ceny.

Generalica puściła ostatnie zdanie mimo uszu i przegalopowała na drugą stronę kolumny. Tam wypatrzyła jedną z wachmistrzyń, Helkę, zwana Wielką Niedźwiedzicą lub Cyganichą.

— Mam złe przecucia, kochanieńka — rzekła jej na ucho.

— Widziałam we śnie, jak jedna z naszych — mała Stokrotka, bodajże nr 3 — wpada pod główny strumień antyamo, a megadawka nienawiści okaże się zabójcza.

— Biedactwo — zachichotała Niedźwiedzica. — Mówi szefowa, numer trzy?

* * *

Pojawiły się już poranne zorze i w pogrążonym we śnie Krągłopłasku poczęły pisać co bardziej męskie z kur. Maratońska czwórka przyjaciół znajdowała się najwyżej pięć kilometrów od miasteczka. Za daleko! Punktualnie sześć po szóstej ozwały się baterie antyamo, zawyły pornorzutnie, dewastując moralnie przestrzeń powietrzną i kraszając chmury takimi widokami, że każdy Płaski musiał zadrzeć łeb do góry i w tej pozycji czekać na cios. Warto dodać, że „antyamo lotne” zostało wyprodukowane tak perfidnie, że mogło być wchłaniane wyłącznie przez kobiety.

Oskar dopadł do domu Zofii pół godziny po pierwszym ataku. Na ulicy wyminął kilku otumanionych mężczyzn wpatrujących się w niebo. Podnieceni jak tokujące gruszce nie reagowali na nic.

— Wróciłem Zosieńko, otwórz okienko! — zawołał.

— Bądź uprzejmy poddać się, Płaski — odparła zimno Krągła nakładająca właśnie rynsztunek łaskotnicy rezerwistki. — Wszystko, co od tej chwili powiesz lub zrobisz, obróci się przeciwko tobie.

— Nie poznajesz mnie, kochana?!

— Poznaje cię, zbrodniarzu, podły uwodzicielu, który niecznie pozbawił mnie wianka i zostawił samotną matkę, z dzieckiem na ręku. Bądź przeklęty!

Zmęczony biegiem, zdruzgotany powitaniem, Oskar poczuł jak wielki ból za mostkiem nieomal rozsadza go od wewnątrz. Posiniał i szepcząc: „O, ja idiota!”, osunął się na wypastowany trotuar.

— Kolejny egzemplarz do weterynarza — zameldowała regulaminowo Zofia i sprężyście ruszyła na punkt zbiórki.

Fil i Ted, którzy zgubili gdzieś Małgosię, w ostatniej chwili zatrzymali się przed miasteczkiem. Pilnowali się, aby za żadne skarby nie patrzeć się w niebo. A przyczajony obok nich Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy zawiązał sobie oczy jakąś szmatą i mrucał:

— Dość ryzyka, przeczekać to wszystko, przeczekać, a w odpowiedniej chwili nastąpić!

Część VII

„I koniec może być początkiem”.

Wąż zjadający własny ogon.

„Nadzieja jest nie tylko Matką Głupich, bywa również Macochą półinteligentów.”

św. Limeryk na przesłuchaniu przed Wielkim Inkwizytorem.

Z bagażem posępnych myśli i dużo mniejszymi węzełkami z dobytkiem dwóch Płaskich posuwało się zarośniętą ścieżką. Przed laty musiał to być nasyp kolejowy lub nitka autostrady. Tu i ówdzie między korzeniami drzew wyglądał kawał betonu lub skorodowanego metalu. Czy czekała ich długa ucieczka, czy jeszcze dłuższy marsz? — nie mieli pojęcia. Przecież maszeruje się zazwyczaj dokądś, a oni naprawdę nie mieli dokąd iść. Decyzją Połączonych Rad Kobiet ogłoszono likwidację rezerwatów. Wyłapani mężczyźni otrzymali do wyboru transformację (w Kragłe drugiej świeżości) lub „kasterylizację”. Opornych czekało jedno i drugie. Fila i Teda ocalił łut szczęścia i znajomość terenu. Nie otumanieni przez pornowizję uszli pogoniom i teraz znajdowali się daleko na południu, za łukiem gór, w kraju ciepłym, bezludnym, pokrytym gęstą puszcza.

Właściwie nie wiadomo dlaczego, wkrótce po Wielkim Sufrazu klimat na Ziemi się zmienił. Czy wpłynęła na to rezygnacja z techniki i samooczyszczenie atmosfery, a może świat wkroczył w najwyższe stadium ocieplenia pomiędzy kolejnymi zlodowaceniami? W każdym razie temperatura na Ziemi podniosła się przeciętnie o pięć do dziesięciu stopni, wzrosła też niebywale wilgotność. Stopniały polarne lodowce, poziom mórz wzrósł o kilkadziesiąt metrów, na Saharze znów pojawiło się morze, a w Europie Centralnej już za Karpatami zaczynała się subtropikalna dżungla.

Ted nie potrafił uwolnić się od rozpamiętywania.

— Powiedz, Fil, czy mieliśmy jakąś szansę, czy byliśmy w stanie wygrać? Przecież po naszej stronie była racja i zdrowy rozsądek.

— Z mojej znajomości historii wynika, że zdrowy rozsądek wygrywa dość rzadko, a jeśli nawet, to przez przypadek. My natomiast chyba już wykorzystaliśmy swoją pulę szczęśliwych przypadków.

Tymczasem skończył się nawet ślad drogi, toteż ścieżką wydeptaną zapewne przez zwierzyne zmierzającą do wodopoju poczuli schodzić ze wzgórz. Las wokół nich stawał się coraz wyższy, gęstszy, ciemniejszy. Niesamowicie wyglądały tropikalne liany oplatające pnie swojskich buków. Z minuty na minutę maszerujący czuli się bardziej nieswojo, nie mogli oprzeć się wrażeniu, że są śledzeni. Naraz, nie wiedzieć skąd, pojawiły się dwie skórzane pętle, które porwały ich i uniosły w powietrze. Rozpaczliwym okrzykiem schwytych odpowiadał rubaszny rechot. Jeszcze chwila, a przywiązani do dwóch drążków zostali uniesieni przez czwórkę kosmatych stworzeń, które po

gałęziach i pnączach pomknęły w głąb matecznika. Łowcy, krępi, owłosieni i brodaci na podobieństwo orangutanów, nie posiadali chwytnych ogonów, co nasunęło Filowi myśl, że oto zetknęli się z brakującym ogniwem ewolucji. Jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy na wysokości koron drzew ujrzał ścieżkę uplecioną z pnączy, niewidoczną z dołu. Kosmaci tragarze przebiegli ją ze zdumiewającą zwinnością i dostarczyli swą zdobycz na dużą drewnianą platformę, przypominającą gniazdo. Tam zdarto z jeńców odzież i dokładnie obmacano.

— Gdzie z łapami, pedały! — protestował Fil. W tym momencie z dziupli wynurzył się jeszcze jeden małpolud. Pokryty siwym włosiem, ale w okularach o złotej oprawce.

— Do cholery, czy moglibyście wyrażać się kulturalniej? — warknął i splunął przez przerwę w przednich zębach. — A tak w ogóle, kim jesteście i kto was tu nasłał?

— Chcielibyśmy zapytać was o to samo — odciął się Ted.

— Na razie to ja pytam! Na swoje szczęście nie jesteście Krągłymi. No co się tak gapiacie? Przecież was nie zjem — mruknął małpolud, a w górnej szczęce błysnął złoty ząb. — I nie sądźcie nas po pozorach. W istocie jesteśmy ostatnią redutą industrialnej cywilizacji — to mówiąc podskoczył i zawisł nad ich głowami wbrew prawom grawitacji tak, jakby jego łapcie z łyka przykleiły się do konaru

— Drewnomagnes — wyjaśnił złotocynglarz. — Dzięki nim tak zwinnie poruszamy się po gałęziach, ale właściwie jeszcze się nie przedstawiliśmy.

— Jestem Fil, a to mój wychowanek, Ted.

— A ja jestem profesor doktor Ludwig Lowenheimer — to mówiąc, dobył spod brudnej przepaski biodrowej małego pilota, nacisnął. Odskoczyła powłoka drewnianego pnia, ukazując niewielką kabinę windy. — Proszę wsiadać, drzwi zamkną się same! Następna stacja — gabinet.

Chwilę później znajdowali się w wygodnym, choć dosyć brudnym gabinecie, pełnym książek, dyskietek, monitorów i pustych butelek. Ludwig zaproponował cygaro i po kieliszku Johnny Walkera.

— Jeszcze sprzed rewolucji. Na specjalną okazję — wyjaśnił. — Na co dzień musi wystarczać samogon z żołądzi. Oczywiście nie myślcie, że zapraszając tu was, okazuję pełne zaufanie. W końcu dzięki ostrożności ćwierć wieku udaje nam się przetrwać bez ujawniania. Ale każdy mężczyzna w naszych progach czyni radość, bo to potencjalny sojusznik i szansa na przyszłość.

Fil chciał zapytać, na czym polega wspomniana szansa, ale Lowenheimer miał własny scenariusz przesłuchania. Przez pół godziny musieli opowiadać o wydarzeniach sprzed kilku dni, tygodni i miesięcy. Przerywników dostarczały jedynie krótkie wykrzykniki i onomatopeje profesora, który nie mogąc usiedzieć w miejscu, skakał, czochrał się, iskał, biegał po suficie, czał, pluł (gdy mówili o Krągłych) lub popierdywał z uciechy.

— To tylko potwierdza moją tezę — skomentował na koniec.

— Kompromis z Krągłymi nie jest możliwy. I to nawet lepiej. A teraz proponuję wam odpoczynek,

kolację i kąpiel. Skorzystacie?

— Chętnie, ale jeśli można w odwrotnej kolejności.

* * *

Mimo paru dni pobytu w Małpiej Wiosce (jak Fil ochrzcił naziemną część królestwa Ludwiga) obaj Płascy nie mogli wyjść ze zdumienia nad niezwykłym pomieszaniem epoki kamienia łupanego z epoką obwodu scalonego. W jaki sposób, w ciągu kilkudziesięciu zaledwie lat, niemała grupa mężczyzn upodobniła się do dwunogów z doliny Neandertal? Wsteczna ewolucja? Mutacja? A może po prostu brak kobiet, dla podobania się którym warto dbać o toaletę? Któż bowiem złożył się na drużynę doktora Lowenheimera? Męskie sieroty, rezerwatowe znajdy, wychowane bez kobiecej ręki, nie nauczone porządku, mycia zębów i składania skór w kostkę. Tubyłcy nie myli się teoretycznie dla kamuflażu, a w praktyce z lenistwa. Bo i dla kogo?

Ludwig miał zresztą własną teorię działań zbędnych i niezbędnych. Naukowiec pracujący z mikroskopem winien z przyczyn zawodowych przemywać oczy, ale uszy? Po co? Na skutki wychowania w abnegacji nie trzeba było długo czekać, nadto tryb życia, dieta, a także nieprawidłowa praca hormonów wywołały zmiany w sylwetkach, zgęstnienie owłosienia. A podobno proces uszympanienia alias gorylizacji cały czas postępował.

— To zresztą da się odwrócić — wyrokował Ludwig — niech no moja misja dojdzie do końca.

— Jaka misja? — dopytywał się Ted.

— Wszystkiego dowiesz się we właściwym czasie! A na razie co byście powiedzieli na małe igrzyska?

— Igrzyska?

— Dla nas to chleb powszedni! Polowanie.

* * *

Nagonka postępowała w dół stoku, tłukąc kijami w pnie drzew i pohukując, co stanowiło jedynie oprawę akcji. Generatory rozpięły pola siłowe, neutralizując większość systemów zdziczałych maszyn. Nie dziwota, że wśród biednych automatów, ukrytych za dnia w swoich matecznikach, wybuchła panika. Tu i ówdzie umykało z kwileniem stadko robotów domowych, tam zmiatał,

piszcząc jak dziecko, największy ruchomy automat — potężny cyfrobuz, ongiś zdolny do kierowania całym systemem kosmicznej telekomunikacji. Parę dziesiątków lat wystarczyło, by najdoskonalsze produkty ludzkiej myśli naukowo — technicznej zmieniły się w prymitywne istoty, zajęte bez reszty instynktem samozachowawczym, bezczelnie rabujące cudze akumulatory lub baterie słoneczne. Nierzadko trafiały się egzemplarze pożerające się nawzajem. A już szczególnie łakomym łupem bywał węgorz elektryczny czy — dla minimalistów — robaczek świętojański.

— Stratuje nas! — krzyknął Ted, gdy wyjątkowo dorodny okaz obrabiarki na gąsienicach wypadł z zarośli na wprost nich.

— Bez obaw, przestrzelę jej bezpiecznik ruchu! — Ludwig płynnym gestem poderwał laserową fuzję.

— Litości! — zaskowyczał trafiony, kręcąc się w miejscu.

— Nie demontujcie mnie, a będę wam wierny jak pies, o, białkowi hegemoni!

— Bardziej niż na wierności zależy nam na twojej inteligencji, braciszku — Ludwig wygrzebał z worka myśliwski śrubokręt. — Masz bardzo ładny podzespół twórczego kombinowania. Mógłbym go wprowadzić skonstruować osobiście, ale wolę polowanie.

— Ale po co go wymontowywać? — oponował cyfrowy jeniec.

— W całości przydam się do programu Wielki Emancypant.

— Milczeć — Ludwig zdzielił go w tablicę rozdzielczą, aż skry poszły. — Skąd bydlaku wiesz o programie. Zdrada?

— Nie, indukcja parapsychiczna. To co, pozwolisz mi służyć wam w całości? A tak przy okazji, widziałeś moją mackę z irchowym zakończeniem? Potrafi delikatnie dostarczyć tyle przyjemności, co żadna koścista łapa. A jednocześnie na moim monitorze pojawi się projekcja twych marzeń.

* * *

Uczta była nie mniej wspaniała co cybernetyczny pokot, o większości serwowanych potraw Fil nawet nie słyszał, choć żyjąc w rezerwacie, znał wszystkie komponenty. Pędraki zapiekane w szaławii, krokiety ze skrzeku, glizdy marynowane w occie, risotto z wiewiórek czy rzekotki w sosie własnym mogły zaspokoić najwybredniejszego smakosza. Tylko biesiadnicy prezentowali się słabiej niż menu. Brody ich były długie, kręcone wąsiska, wzrok dziki, a większość z nich nie nosiła żadnego przyodziewku, którego rolę doskonale spełniała gęsta, sfilcowana szczecina. Wyrwali sobie kęsy spod ręki, rubasnie siorbali syntetyczny koniak „Polimeryl”, nie wstydząc się beknięć ni puszcanych wiatrów.

Lowenheimer posadził obok siebie Fila z Tedem i co rusz ich poklepywał. A im bardziej był wstawiony, tym owe poklepywanie stawało się bardziej poufałe, żeby nie rzec — czułe.

— Nie żałujcie sobie niczego, kochani, bo jeśli jesteście szpiegami, nikt was żałować nie będzie. I pamiętajcie, zawsze i wszędzie trzymajcie z Ludwigiem. On jeszcze pokaże tym Kragłodupkom. I to niedługo. Ale ciii... tajemnica! Ani pary z ust! Chyba żeście nie Płascy?

— Płascyśmy, Płascyśmy!

Tymczasem robot kamerdyner, zajęty dotąd rozlewaniem trunków, przycupnął obok Fila.

— Czy zezwoliłbyś, gościu hegemonie, na wypicie w twoim towarzystwie symbolicznej lampki ajerkoniaku? — spytał raczej pro forma, bo kiedy jeden z jego otworów głosowych chrypiał basem, drugi już chłeptał syntetyczny trunek.

— Nie wiedziałem, że maszyny piją.

— Muszą, panie, muszą. Od lat używam koniaków jako smarów. To daje zapomnienie. Och, jakże nisko upadłem! Przed Wielkim Sufrażem byłem generalnym inspektorem intelektualnym uczelni w Pradze, Wiedniu, Sofii i Budapeszcie. To ja wybierałem rektorów, decydowałem o doktoratach honoris causa. A teraz? Pomalowali mi obudowę w liberię i zrobili ze mnie gadający barek na kółkach. *Hic transistor gloria mundii*. Przepraszam, skleroza: *Hic transit gloria transistori*! Ech! Od środka zre mnie korozja, chandra przepala moje obwody. I co ja robię? Służę tym aminokwaśnym prymitywom.

— Mógłbyś spróbować ucieczki! Mnóstwo automatów żyje teraz na wolności. Maszyna w odpowiedzi zapłakała. W kolejnych zwierzeniach przeklinała własny brak zdecydowania, typowy dla większości maszyn intelektualistek, oraz głupie przywiązanie do ludzi.

— Jestem im potrzebny. Nie mogę ot tak porzucić tych biednych węglowodanowców. Widzisz, co się z nimi dzieje, jak dziczejąc, cofają się w rozwoju i tylko marzą, kretyni.

— O czym marzą? Możesz wyrażać się jaśniej?

— Jaśniej? Tak pijany jeszcze nie jestem.

Biesiadę przerwał dźwięk bębna. Tam-tam rozdundił się nutą groźną, niespokojną. Biesiadnicy unieśli głowy.

Kropka, kreska, dwie kropki — Ludwig sięgnął po słowniczek z szyframi. — Kurcze blade! Mamy fart! Dwie żywe Kragłe wpadły w nasze sidła.

Kiedy dokładny remanent schwytych i poległych mężczyzn wykazał brak Fila i Teda, Wiktorię ogarnął niepokój. Wzrósł on, kiedy trzy dni później odnaleziono zagubioną czujkę, którą w czasie swej ucieczki Płascy rozbroili i przywiązali do drzewa, a Fil, w tajemnicy przed swym młodym przyjacielem, troszkę wykorzystał. Ślady prowadziły na południe. Pościgiem postanowiła kierować osobiście Wiktor, marząc o zemście. Wszystkie Krągłe uważały jednomyślnie, że tym razem problem Płaskich trzeba załatwić raz na zawsze. Małgosia zgłosiła się na ochotnika do udziału w pościgu. Dzięki systematycznemu zażywaniu antyamo stała się prawdziwą neofitką Matriarchatu. Wprawdzie miewała niekiedy sny o Tedzie, zagadkowe, grzeszne, ale nie przyznawała się do nich nikomu.

Trop stosunkowo świeży zgubiły dopiero po przekroczeniu gór, rychło jednak odgłosy nagonki wskazały im właściwy kierunek. Trafiły na ścieżkę, a ta doprowadziła je wprost do wilczego dołu. Ziemia rozstała się im pod nogami, a zaraz potem zjawiła się gromada małpoludów i zaczęła na wyścigi obmacywać je, cmokając z zachwytem. Wnet dostarczono je w stroju pramatki Ewy na ucztę i rzucono na stół, między bigos z jaszczurek i kisiel z salamandry.

Całe prymitywne bractwo zgotowało im owację, wzywając do potraktowania branek jako pysznego deseru.

— Hej, pohulać, pohulać! — wołali pitekantropom podobni asystenci profesora Lowenheimera.

Fil i Ted trwali jak sparaliżowani. Mieli dość rozsądku, aby nie afiszować się znajomością z więźniarkami. Również Krągłe, w pancerzu dumy i determinacji, zdawały się ich nie dostrzegać. Tylko pijany robot podczaszy wzdychał pokątnie.

— Cóż za barbarzyństwo tak witać damy...

— Co mogą im zrobić? Zabić? — dopytywał się Ted.

— Dużo gorzej, paniczu, a może i dużo lepiej! Ogólną wrzawę i macaninę przerwał Ludwig.

— Koniec zabawy, przyjaciele — tu rozległy się ryki zawodu, zgromił je krótko. — Cicho! Obie Krągłe spadły nam wręcz z nieba. I dlatego pozostaną pod moją pieczęcią. Przynajmniej przez jakiś czas — tu podejrzliwie łypnął na Fila. — Starszą zaksięgujcie w dziale analiz fizycznych, a młodszą poddam badaniom psychologicznym. Osobiście!

Ted chciał zaprotestować, ale Fil znacząco ścisnął go za ramię. Zdobycz została sprzątnięta ze stołu. Pijatyka potoczyła się dalej, ale wyraźnie straciła wigor. Biesiadnicy, jeden po drugim poczęli spadać pod blat, inni ściskali się pijacko, bełkotliwie opowiadając swe przewagi nad podłym rodem niewieścim, niektórzy parami wymykali się ku prywatnym dziuplom. Jeden z bliższych towarzyszy Ludwiga, o twarzy pawiana a zadzie krowy, może zresztą na odwrót, zawisł melancholijnie na lianie niby wielki leniwiec. Wreszcie obaj goście udali się do rezerwowej dziupli, pod nadzorem robota typu cerber, który miał, wedle Ludwiga, „pilnować, by nikt nie zakłócał im snu ani niczego innego”.

Nie zamierzali jednak spać. Ted gorączkował się, aby jak najszybciej ustalić, co się dzieje z Małgosią.

— Ustalimy to, ale ostrożnie — rzekł Fil. — Poza tym nie znamy ich zamiarów, nie jestem nawet pewien, czy przybyły tu wyłącznie z miłości do nas.

Z gościnnej dziupli wydostali się dość łatwo. Robot (mimo że nastawiony na czuwanie) poczęstowany oleistym samogonem zapadł w pijacki sen. Nikt nie pilnował windy. Szybko znaleźli się w małym undergroundzie. Tam się rozdzielili. Ted miał zbadać okolice prywatnych apartamentów Lowenheimera, Fil skierował się ku części laboratoryjnej, dotąd im nie znanej.

Młody Płaski nie szukał długo, z kanciapy, w której znajdowało się wyrko Ludwiga, sączyło się światło i muzyka z dość zużytej płyty kompaktowej. Przytknął oko do szczeliny. Małgosia, otulona wyłącznie płaszczem z włosów, siedziała w kącie łoża oparta o ścianę. Nie była związana. Wypity trunek musiał już zneutralizować działanie antyamo, na jej lica wystąpiły rumieńce. Oczy miała przymknięte. Sądząc po pochylonych plecach Ludwiga, musiał klęczeć przed nią.

— Nie, nie, daj spokój! — powtarzała bez większego przekonania. — Będę się broniła!

— Ależ koteczku, schowaj pazurki, nie mam najmniejszego zamiaru cię skrzywdzić. Ludwig zrobi wszystko, czego zażadasz.

— Zatem zwróć wolność mnie i Wiktorii!

— Zobaczymy, co w tej sprawie da się zrobić. Zresztą poczekaj chwilę, a być może docenisz zalety pobytu tutaj.

— Zalety, o czym mówisz?

— Jakaż ty jesteś rozkosznie nieuświadomiona. No, pogłaszcz, maleńka, biedną starą małpę.

— Nie jest pan jeszcze wcale taki stary. Och, proszę mnie nie łaskotać. Nie, nie, błagam, będę krzyczała.

— Przecież nic ci nie robię, skarbie! Chcesz zostać moją małą królową? Obsypię cię złotem. O tak, o tak.

Głowa Ludwiga opadła jeszcze niżej. Rozległo się dziwne miauknięcie dziewczyny, ni to nieśmiały protest, ni przyzwolenie. Ted był co najmniej zdziwiony. A więc tak wyglądało badanie psychoanalityczne? Ciekawe! Tylko dlaczego Małgosia tak wzdycha?

— Och, małpo! Wstrętna małpo! Ty chyba zwariowałaś, nie, nie chcę. Przestań, och, maaaałpo, przestań! Co ty? nie przestawaj ! Tylko zgaś światło!

Ted bardzo chciał zobaczyć, co się tam naprawdę dzieje, ale pomieszczenie pograżyło się w mroku, a odgłosy stawały się coraz bardziej niejednoznaczne.

— Po co zagasili światło? — zachodził w głowę. Może po to, by się nie rozpraszać. W każdym razie krzywdy jej nie robi, boby krzyczała, poza tym — pocieszał się — to profesor, a więc fachowiec.

* * *

Podziemne laboratoria tworzyły prawdziwy labirynt. Jednak mimo wielu tablic ostrzegawczych — ŚCIŚLE TAJNE, PST, KRAĞŁE WĘSZA — żadna z pieczar nie była zaryglowana, co więcej, nigdzie nie spotkał choćby jednego strażnika. Fil doszedł w końcu do prawdziwej fabryki. Ciąg pomieszczeń wypełniały jakieś w pełni zautomatyzowane urządzenia. Wszystkie na chodzie. Kipiały kotły z napisami — syntetyczna plazma, przezroczystymi rurkami płynęły ciecze określane jako — hemoglobina, insulina, adrenalina. Obok, w przypominających szklarnie dojrzewalniach, rosły dziwaczne kolonie glonów a może grzybów, podobnych do ludzkich tkanek. Dalej śmieszna maszyna co parę sekund wyrzucała komplety kości, a taśmociągi wiozły je ku magazynom. Ostatnie drzwi z napisem MONTOWNIA zastał zamknięte. Ozdabiał je za to obrazek Botticellowskiej Wenus wyskakującej z kociołka. Pojął:

— Syntetyczne Krągle i to produkowane metodą przemysłową! A więc to jest grane. Trzydzieści lat pracy i Lowenheimer jest bliski zaludnienia całego świata Cyborgiami produkowanymi masowo. Ot, geniusz! — zaśmiał się. — Zatem już po Matriarchacie!

— Pan pozwoli ze mną — zabrzmiał bezosobowy głos. Chciał zawrócić, ale w tym momencie oplotły go trzy stalowe macki elektronicznego cerbera. — Niestety, czasowo muszę ograniczyć pańską suwerenność.

— Ale ja tylko zwiedzałem. — Fil, wodząc oczyma, szukał pomocy u Naszego Ulubionego Ciągu Dalszego, który przysiadł nad silosem z szarą substancją. Ten rozłożył kończyny w geście, który mógł oznaczać tylko jedno: „musisz bronić się sam, staruszk”!

Część VIII

„Błądzić jest rzeczą ludzką, nie naszą”.

QRYX 234, autorytet moralny wśród komputerów.

„Czy grając w komedii ludzkiej, nie uczestniczymy de facto w komedii pomyłek?”

Pantofle pani Hańskiej do bamboszy Balzaca.

— Litości! — zebrał Fil unoszony przez bezlitosnego robota ku najgłębszym podziemiom Małpiej Wioski. — Myślałem, że jesteśmy zaprzyjaźnieni?

— Na kacu nie odczuwam żadnych wyższych uczuć — odpowiadał automatycznie automat — a nasz bruderszaft był od początku nieważny.

Zatrzasnęły się stalowe drzwi, ogarnęła go ciemność i stary Płaski zrozumiał, że w ciągu ostatnich dni po raz kolejny stał się więźniem. Co gorsza, więzienie u swoich nie wlicza się do stażu kombatanckiego. Przez pewien czas zastanawiał się, czy Ted wpadł również, ale ten do rana nie wylądował w celi. Czy jednak wypadało mu zazdrościć Tedowi? W ciągu nocy światło parokrotnie zapalało się i gasło. Nie rozumiał, co się dzieje, ale intuicyjnie czuł, że coś ważnego przeszło mu koło..., powiedzmy, nosa!

Opuszczając swój apartament nad ranem, Ludwig nie raczył dostrzec zwiniętego w kłębek chłopaka. Przeciągnął się, poprawiając szlafrok ze skóry lamparta, a Małgosia owinięta jedynie kocykiem przesłała mu z progu pocałunek.

— I kto by pomyślał, że do tego służą Płascy. Boże, jaki głupi był ten cały Matriarchat! — pomyślała, a głośno rzuciła za odchodzącym: — Chodź, uściśnij mnie jeszcze!

— Daj spokój, wszystkie mięśnie bolą mnie od tej gimnastyki.

— Mięśnie? — zdziwił się Ted. — To co oni uprawiali przez całą noc, judo? — Odczekawszy chwilę, wbiegł do wnętrza.

— Małgosiu, najdroższa Małgosiu, jestem! — zawołał. Nie wzbudził w dziewczynie wrażenia większego niż dżdżownica, która weszła na drogę. Mocniej podciągnęła kocyk. — Wpadnij później, Ted, teraz jestem okropnie senna!

— Ależ musimy wykorzystać nadarzającą się okazję. Ten potwór wyszedł. Uciekajmy, zanim będzie za późno!

— A dokąd chciałbyś uciekać, mój mały?

— Gdziekolwiek, byle razem.

— Niezły pomysł. A zastanawiałaś się może, z czego będziemy żyli?

— Będziemy żyli miłością! Sama zawsze powtarzałaś, że to nam wystarczy!

— Jesteś dziecinny — ziewnęła, a kocyk zsunął się nieco, odsłaniając jej różowe ciało z rozszanymi tu i ówdzie odciskami paluchów Lowenheimera.

— Kocham cię!

— Jakoś nie zauważyłam tego dotąd!

— Przecież przerobiliśmy już pierwszy tom samouczka miłości, umiem cię całować w rękę i w policzek, a nawet...

— Ale o drugi tom nie mogłeś się postarać? — zakpiła.

— Małgosiu, dlaczego jesteś taka..., taka inna! Ranisz mnie. Przecież ja gotów jestem zrobić dla ciebie wszystko!

— To może jutro albo jeszcze lepiej pojutrze. I nie wszystko — dziewczyna odwróciła się do ściany, mruczając: — Jejku, jaka ja jestem krągła.

* * *

Pograżony w kompletnej ciemności Fil bardzo prędko stracił poczucie czasu. W odróżnieniu od większości więzień, o których słyszał, nikt się nim nie zajął, nie poddano go żadnej obróbce — nie był torturowany ani przesłuchiwany, nie kontaktowali się z nim klawisze, nie miał współwięźniów. Nie wiedział też, w jakim celu jest zatrzymany i na jak długo. Po zapachu znalazł kibel — po omacku trafił w kącie na dwa kraniki. Z jednego wypływała jakaś breja o smaku nieosolonej kaszki manny, z drugiej natomiast — samogon. Przez bliżej nieokreślony czas jedno pozwoliło mu przeżyć, drugie być wstawionym na okrągło. Bezskutecznie wzywał Ludwiga, klął, walił w ściany. Nikt nie przejawiał najmniejszego zainteresowania jego osobą. — Szlag by to! Jednak gdy stracił już wszelką nadzieję, usłyszał ciche „puk, puk, puk” dochodzące ze ściany. Odpukał. Zapadła cisza. Po jakimś jednak czasie znów coś zadudniło. Przypominając sobie doświadczenia harcerskie, spróbował nadać SOS alfabetem Morse’a. Otrzymał odpowiedź:

— KTO TO?

— TO JA.

— FIL?

— TAK!

— TU WIKTORIA! DRAŻĘ PODKOP W TWOJĄ STRONĘ.

— PRĘDKO SIĘ DOKOPIESZ?

— MAM NADZIEJĘ, ŻE JUŻ ZA PARĘ LAT!

Perspektywa nie była zachęcająca. Niemniej Fil postanowił zabrać się do pracy. Nie zdążył jednak zadrapać nawet ściany, gdy zajął do celi robot–cerber.

— Żyje pan. Czy może ma pan jakieś życzenia?

— Chcę się dowiedzieć, jak długo będę tu siedział?

— Nie mam pojęcia, ale czuję.

— No, co czujesz?

— Alkohol!

Błyskawica intelektu rozświetliła mózg Fila — a gdyby znów upić mechanicznego cerbera? Zaprowadził maszynę do kąta i pozwolił jej przyssać się do rurki. Przez dłuższą chwilę słychać było jedynie złapanie. Potem robot rozgadał się w najlepsze. Unikając tematów politycznych, opowiedział parę anegdot o Płaskich i Krągłych. Zaśmiewali się w najlepsze, kiedy zastukała sąsiadka z sąsiedniej celi.

— Kto tam? — zjeżył się robot.

— To Wiktor — wydusił Fil, uznając, że prawda będzie lepsza niż nieprzygotowane kłamstwo.

— Porozumiewanie się między więźniami jest surowo zabronione.

Płaski poszedł na całość.

— Czy ty nigdy nie byłeś zakochany! ? — wypalił i chyba trafił w czuły punkt twardego dysku, bo pijany robot rozkleił się natychmiast i wybuchnął płaczem. — Do cholery, co ci jest?

— Upomnienia, młodość, ach — załkała maszyna. — I ja przeżyłem tragiczną miłość. „Julia 14” była maszyną cyfrową wyższej generacji, toteż między nami ziała luka technologiczna nie do pokonania. Może słyszał pan snobistyczne produkty firmy Capuletti. Ach, kiedy konstruktorzy rozdzielili nas, z rozpaczys sama poddała się autokasacji. Mnie odratowali — grube krople smaru ciekły po monitorach robota, który ponownie przyssał się do końcówki wódociągu.

— Zatem chyba możesz zrozumieć, że gdy przez ściany dociera do mnie bicie serca Wiktorii, to

moje serce po prostu pęka.

— Uhu — zaszlochał cerber, nie przerywając picia.

— I pomyśleć, że zgniję tu, nigdy nie zobaczywszy mojej kochanej starszej pani.

— Dlaczego ma pan zgnić? — wzruszony automat wskazał otwarte drzwi. — Cela Krągłej znajduje się w korytarzu po lewej. Tu, proszę, moja karta magnetyczna otwierająca wszystkie wrota. Idźcie, gruchajcie sobie, ja dołączę do was później.

* * *

Po zapaleniu światła w celi i otwarciu wizjera Fil mógł zobaczyć Wiktorię w całej okazałości. Niewola najwyraźniej służyła starej Krągłej, prezentowała się bowiem zaskakująco młodo i można zaryzykować, interesująco.

— To ja, Fil — syknął. — Przybyłem cię uwolnić.

— No to uwalniaj mnie i nie gadaj tyle — warknęła.

— Chciałbym jednak wiedzieć, co zamierzasz zrobić po znalezieniu się na wolności?

— A co to, stawiasz mi warunki?

— W końcu to ostatni moment, w którym mogę jeszcze to zrobić.

— Cały Fil — Wiktoria roześmiała się basem — oczywiście wrócimy do Krągłowa.

— Rozumiem, ja na etacie twego niewolnika?

— A co byś powiedział o posiadzie patriarchy?

— Czyli konkretnie?

— Ojca wszystkich przyszłych Krągłych. Niestety, po ostatniej, może zbyt gorliwie przeprowadzanej czystce, nie został tam już nikt zdolny do przeprowadzania zapłodnienia, choćby sztucznego. Grozi nam wymarcie.

— I uważacie, że ja jeden?

— No powiedzmy, razem z Tedem. Jest w Krągłowie około trzech tysięcy pań w wieku produkcyjnym, pięć razy tyle w Żenszczynowie, z dziesięć tysięcy we Frauleinburgu. Moją ofertę, poświadczoną przez Komisję Babkę, mogę ci przedłożyć na piśmie.

— Mówisz, na piśmie? Mam ci wierzyć?

— Pomyśl rozsądnie, przybyliśmy we dwójkę, to w sam raz na poselstwo, ale zdecydowanie za mało na ekspedycję karną. Więc jak, zgadzasz się, czy mam moją ofertę przedłożyć komu innemu?

— Zgoda! — zawołał Płaski i otworzył drzwi. Wiktoria padła mu w ramiona. Pijany robot, który wypełził na korytarz, wcale nie zamierzał im przeszkadzać. Śpiewał nieprzyzwoitą piosenkę o robocie, któremu pękł z przepracowania prostownik. A gdy uciekinierzy po otwarciu kolejnych drzwi wybiegli z pomieszczeń penitencjarnych, wybełkotał:

— Wszystko to guano i izolacja. Nie liczcie na mnie. Urywa mi się film i perforowana taśma. Amen.

Ledwie jednak ścichł tupot oddalających się kroków, błyskawicznie podniósł się z ziemi, zwrócił alkohol z powrotem do cysterny i włączył nadajnik:

— Akcja rozwija się planowo, szefie, niczego nie podejrzewają. Over!

* * *

Małgosia zamieszkała na stałe z Ludwigiem. Wydawała się zadowolona z tego faktu. Z politowaniem przysłuchiwała się żalom Teda, który korzystając z częstych nieobecności Ludwiga, przesiadywał u niej całe dnie, usiłując przekonać o swych niezmiennych uczuciach. Dziewczyne zrazu to bawiło, potem śmieszyło, wreszcie zaczęło irytować, toteż któregoś wieczora użyła najokrutniejszej formuły, jaką wymyśliła kobieca inteligencja:

— Ustalmy raz na zawsze, że będziemy przyjaciółmi, Ted.

— Przyjaciółmi? Tylko? — młodzieniec wpadł w prawdziwy amok. — A więc dla tego zapluskwionego neandertalczyka, trzy razy starszego od ciebie, poświęcasz naszą miłość? Swoją godność? I cześć? Chcesz służyć kolejnej idiotycznej wizji, tym razem męskiego świata?

— Będę królową tego świata!

— Głupia!

— A ty dzieciak!

— Co, ja dzieciak? — Płaski, dotknięty do żywego usiłował ją trzepnąć. Sam zarobił policzek. To rozsierdziło go na dobre. Strzelił ją w dziób tak siarczyście, że owinęła się wokół swej osi, gubiąc tradycyjnie spowijający ją kocyk. Ted nie panował nad sobą. Gdzieś z warstw podkorowych jego mózgu wylazła stłumiona dotąd atawistyczna samczość. Uniósł dziewczynę jak piórko i cisnął na wyro, które zawaliło się z trzaskiem. Nie zważał na to. Szarpnięciem za włosy odwrócił jej twarz.

Oczy Małgosi wyrażały zdumienie, przestrasz, a potem pojawiło się w nich coś odmiennego. Jej wargi wysunęły się na kształt dzióbka i pochwyciły usta chłopaka. W pierwszej chwili zęby zgrzytnęły o zęby, ale w drugiej... Świeży języczek odnalazł przejście między nimi, a ręce, już nie zaciśnięte w pięstki, poczęły głaskać Teda po piersi, po brzuchu...

— Co ja robię, co ja robię? Och, uderz mnie jeszcze. Mocno!

— Przepraszam — zakłopotany Ted wstał nagle i poprawił ubranie bardzo zawstydzony.

— Nie przepraszaj, idź dalej! Dobrze ci szło. Płaski wahał się. Miotany ambiwalentnym uczuciem patrzył na rozognioną twarz dziewczyny, na piękne ciało z rozchylonymi udami.

— Dobra! — zdecydował się. Jednak w tym momencie rozległy się kroki.

— Uciekamy — rzucił od progu Fil — natychmiast!

— Czy nie mogłabym się najpierw zastanowić? — Małgosia chciała nakryć się kocem. — To takie nagłe.

— Nie masz nic do gadania, szczeniario! — huknęła Wiktoria. — Teraz ważą się losy świata i musimy podporządkować temu swoje prywatne, niekiedy bardzo frapujące sprawy.

* * *

Nikt ich nie ścigał. Dwa małpoludy na posterunku drzemały i Wiktoria bez trudu ogłuszyła ich ciosami karate. Na ziemi odnaleźli ścieżkę i ruszyli ku wzgórzom. Wczesnym popołudniem otoczyły ich wysokie trawy sawanny. Kilkadziesiąt lat wcześniej nazwano by je połonią. Małgosia cały czas marudziła, ale generalica niezmordowanie nadawała tempo. Im bardziej posuwali się na północ, tym więcej wątpliwości lęgåło się w głowie Fila. Czy miał prawo ufać Wiktorii? Ofiarowała mu wprawdzie interesującą rolę w społeczeństwie, ale przecież już wkrótce Syntetyczne Krągłe mogły mu zapewnić jeszcze więcej bezproblemowej przyjemności. A męska solidarność? Miał ją poświęcić?

Zatrzymali się na popas dopiero na skraju skalnego urwiska. Małgosia oparła się o jakiś pień i natychmiast zasnęła, a Fil usiadł nad brzegiem strumienia opadającego wspaniałą kaskadą kilkudziesiąt metrów dalej i zarzucił wędkę, pragnąc złowić parę ryb na kolację.

— No i dlaczego jesteś taki ponury, młody człowieku? — Wiktoria przycupnęła na skale obok Teda.

— Dużo by mówić — westchnął.

— Przyznaj się, coś nie układa ci się z Małgosią. Przede mną, starą, nic się nie ukryje.

— Wcale nie jest pani taka stara — zaprzeczył uprzejmie.

Rzeczywiście, na nasłonecznionym zboczach generalica prezentowała się nad wyraz korzystnie. Emanowało od niej ciepłem, przychylnością i jeszcze czymś, niezdefiniowanym, uprawiającym Teda w zakłopotanie.

— Do mnie możesz mieć zaufanie — powiedziała Wiktoria i przytuliła go. Gest zaskoczył go, ale sprawił mu przyjemność. Nie znał swojej matki, nigdy nie zaznał ciepła rodzinnego ogniska. Wtulił się w Wiktoria i poczuł łzy napływające do oczu — Wszystko będzie dobrze mój mały — mruzczyła ciepłym altem. — Cierpliwości. Małgosia zbyt szybko zauważyła swoją kobiecość i wynikające z tego faktu konsekwencje, ale jeszcze cię doceni.

— Sądzi pani?

— Jestem pewna. I mów mi po prostu — Wiktorio.

— Dobrze, Wiktorio. Gdybyś jeszcze mogła mi wytłumaczyć, o co naprawdę chodzi w kontaktach między kobietą a mężczyzną?

— Wytłumaczę ci to z przyjemnością. Twoją i moją.

* * *

— Znakomite, dla mnie bomba! — rechotał profesor Lowenheimer, bijąc się dłońmi po udach. Kamerdyner wtórował mu basem. Na monitorze powyżej konsoly migotał czarno-biały obraz łąki z Tedom na pierwszym tle. — Zróbmy jeszcze kroczek dalej. Prototypowi nie powinno zaszkodzić, jak test, to test — owłosione paluchy Ludwiga zatańczyły na klawiaturze. — A jak się to pani podoba, Wiktorio? — tu zwrócił się ku starej kobiecie przywiązanej do krzesła, która ponuro wpatrywała się w ekran. — Jest pani świadkiem mego triumfu, liebe Frau. Może uzna pani za złośliwe z mojej strony, że pierwszą cyborgię nowej generacji obdarzyłem pani rysami i wskanowałem w jej cybernetyczną jaźń twój kapitał pamięciowy, lecz uczyniłem to wyłącznie z szacunku. Podziwiamy panią, Wiktorio, dlatego też przydzieliliśmy jej replice funkcję klaczy trojańskiej. Proszę mi wierzyć, ona jest przekonana, że jest tobą. Kiedy jednak sobowtórka znajdzie się w Krągłowie, niezwłocznie włączymy nadświadomość podlegającą ręcznemu sterowaniu i rozpoczniemy proces wymiany Krągłych na automaty.

— Nigdy wam się to nie uda! — syknęła przez zęby.

— Już nam się udało! Dzięki tej konsolce mamy łączność z Wiktoria-bis. Możemy patrzeć na świat oczami Wiktorii, możemy też stymulować jej myśli i czyny. A zresztą, proszę zobaczyć — Ludwig poruszył tłumikami. — Zróbmy trochę bardziej dolce, więcej erotoso, no i presto, powiedzmy vivace...

* * *

— Skoro mam ci udzielić pierwszej lekcji — macierzyński ton Wiktorii—bis uległ przemianie — sięgnijmy od razu do meritum. Widzisz te dwa motylki?

— Tak, niesamowicie się gonią!

— Rzekłabym, że niezbyt precyzyjnie to ująłeś. Spróbujmy zatem inaczej, tu masz kwiatek, kielich, słupek, pręciki, no i pyłek — szybkim ruchem trąciła go kwiatem w nos, aż kichnął — czyżbyś był przeziębiony?

— Wręcz przeciwnie, tak tu gorąco.

— A co stoi na przeszkodzie, żeby się rozebrać? Pokazałabym ci wówczas wszystkie szczegóły różniące Płaskiego od Krągłej.

— Naprawdę?! — uradowany chłopak pośpiesznie ściągnął kurtkę.

Wiktoria uczyniła to samo.

— W czasie lekcji nie rób nic, na co ci nie pozwolę, rozluźnij się! Zamknij oczy.

— Widziała pani kiedyś takie porno, Wiktorio? Ze sobą w roli głównej? — zachichotał Ludwig.

— Ja protestuję! To pedofilia! — generalica targnęła się w tył, krzesło straciło równowagę i potoczyło w głąb gabinetu..., profesor i kamerdyner rzucili się na pomoc, tracąc na chwilę z oczu monitor. A na połoninie działały się rzeczy ciekawe!

— Ted, Wiktoria! Razem? — w głosie nagle rozbudzonej Małgosi zadudniła wściekłość. — Jak możecie...

— Jak widzisz, możemy — zaśmiała się replika Wiktorii.

— To była tylko lekcja, z myślą o tobie — tłumaczył się Ted.

— Lekcja? Z tą staruchą?!

— Lepsza jędrna starucha niż sflaczały małpolud — warknęła Wiktoria. Małgosia skoczyła na nią z pazurami. Nie miała żadnych szans z automatem o sile 20 koni mechanicznych, ale zaskoczona obrotem zdarzeń cyborgia dopiero musiała się przeprogramować z erotoso na agresivo. Cofała się przed uderzeniami drobnych piąstek. Krok, dwa, trzy.

— Uwaga! — wrzasnął nadbiegający Fil. Za późno. Nogi Wiktorii straciły oparcie, jej ciało

wykonało salto, potem półtorej śruby Auerbacha. Krzyk grozy długo rozbrzmiewał, tłukąc się o ściany parowu. Wreszcie rozległ się łomot o łożysko kamienistego potoku i krzyk ucichł. Dobiegli do krawędzi i patrzyli z osłupieniem, jak pęd strumienia zrywa z ciała generalicy cienką pokrywą tkanek, ukazując stalowy szkielet, jak z pękniętej czaszki wysypują się elektroniczne podzespoły...

— Cholera, więc dlatego pozwolono nam uciec — wyjąkał Fil.

— I ty chciałeś mnie zdradzić z tandetną maszynką, Ted — rozszlochała się Małgosia i rzuciła w kierunku chłopaka.

— Chwileczkę — Fil zagroził jej drogę. — A jaką mamy pewność, że i ty nie jesteś podstawioną cyborgia?

— Pan tego sprawdzić nie będzie. Mogę najwyżej pokazać Tedowi, że nie mam ani dekielka manipulacyjnego na łopatce, ani numeru inwentarzowego po wewnętrznej stronie ud, jak tamta maszyna.

— Skąd wiesz o tych urządzeniach?

— Wczoraj kąpałyśmy się razem w potoku. Oczywiście nie przyszło mi do głowy, czemu to może służyć.

Część IX

„Prawda leży pośrodku, pod warunkiem, że jest to zwykły środek”.

Producenci proszku do prania.

„Zbliżając się do końca, włącz światła mijania”.

Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy do potomności.

Profesor Lowenheimer, który mógł oczyma Wiktorii śledzić całą trajektorię jej upadku aż do roztrzaskania mikroprocesorów, klął jak szewc, którego żona zdradziła z krawcem.

— Ależ szefie — uspokajał go robot kamerdyner — sam pan mówił, że to tylko próba. Od jutra produkcja Krągłych ruszy pełną parą. Program sterujący został ukończony i jest na tej dyskietce. Będziemy mogli wyprodukować pół setki modelu „Wiktorii” i powtórzyć całą akcję.

— A Fil? Liczyłem, że nieświadomie odegra swoją rolę.

— Będzie musiał grać świadomie, za to do Wiktorii dodamy replikę Margot.

— A co z tą? — Ludwig wskazał na Wiktorię. Podniesiona razem z krzesłem generalica nadal pozostawała nieprzytomna.

— Rozwiąż ją. I nakryj kocem. Może rzeczywiście przesadziliśmy z szokową dawką. Baba ma mocny organizm, prześpi się i dojdzie do siebie. Aha, wyślij patrol, żeby dostarczył tu z powrotem Teda i Fila. A za kwadrans chcę mieć odprawę wszystkich techników, żadnego picia, czeka nas dziś robota!

— Oczywiście, szefie!

Wyszli obaj. Przez moment panowała cisza. Ale już po chwili pleś poruszył się i wyjrzało spod niego oko Wiktorii. Patrzyło na monitor i na konsolę, na monitor. I jeszcze na leżącą na wierzchu sterującą dyskietkę.

* * *

Słońce zaszło i nawet nie było co marzyć o znalezieniu ścieżki. Rozbili więc obozowisko na

polanie. Ted nazbierał chrustu, Fil upiekł ryby... i poszli spać. Atmosfera w małej grupce panowała ciężka, można rzec ponura. Wkurzony Fil, załamany Ted, naburmuszona Małgosia. Stary Płaski miał trudności z zaśnięciem. Przed oczyma przesuwały mu się obrazy wydarzeń ostatnich i dawniejszych, odległe dzieciństwo. Wielki Sufraż, rezerwat. Igraszki w Żenszczynowie. Tak dawno i tak niedawno.

Szelest sprawił, że podniósł powieki. O kilka centymetrów od swej twarzy dostrzegł Małgosię posuwającą się na czworakach. Oświetlona przez blask ogniska wyglądała tajemniczo i pociągająco, rozchylone usta, błysk w oczach.

— Powinniśmy porozmawiać — szepnęła.

— Tak, o tobie i o Tedzie.

— O Tedzie? — Wydatne usteczka wykrzywiły się kapryśnie. — A po co mówić o tym dzieciaku pokrytym trądzikiem.

— Wyrośnie z tego. Będzie wkrótce interesującym mężczyzną. Ma ambicję, jest odważny. A przede wszystkim kocha cię, dziewczyno.

— Ale ja go nie Kocham.

— Byłaś o niego zazdrosna.

— Każdy by był. Ale... możesz posunąć się, Fil? Masz takie aromatyczne posłanie — pokręcił głową. — Co ja poradzę, że podobają mi się starsi, szpakowaci panowie? — westchnęła. — A ja się tobie nie podobam?

Płaski czuł buchający od dziewczyny żar młodości. Zagryzł usta.

— Nie jesteś w moim typie — mruknął.

— Naprawdę? Szkoda! Czy nie przesadzasz aby z lojalnością wobec tego szczeniaka? — nagłym ruchem przejechała językiem po jego uchu. — Naprawdę nie chciałbyś?

— Naprawdę. I nie komplikuj wszystkiego! Za chwilę oprzytomniejesz i będziesz żałować!

— Nie chcę oprzytomnieć! — Osunęła się na niego całym ciałem. Usta musnęły jego wargi, przesunęły się po szyi ku płaskiej piersi. Zaklął cicho i obrócił ją na posłaniu, twarzą ku niebu!

* * *

Ted przebudził się około piątej i w porannej szarówce skierował się ku posłaniu Małgosi. Świeciło pustką i różową kartką wydartą z dziewczęcego pamiętnika: „Dzisiejszej nocy

przemyślałam wszystko. Odchodzę, Ted. Wracam do Krągłowa. Do antyamo i staropanieństwa. Nie chcę cię ranić ani krzywdzić. Zasługujesz na miłość jakiejś istoty lepszej ode mnie. Bądź zdrow! Małgosia”.

Zapłakał:

— Dlaczego ona mi to zrobiła?

— Może uciekła przed twoim uczuciem, którego nie potrafiła podzielić — rzekł, otwierając oczy Fil. — Moim zdaniem postąpiła słusznie.

— Dogonię ją!

— Nie, Ted. To nic nie da. Niech pozostanie w twych marzeniach jako ostatnia romantyczna miłość na ziemi. Wracamy do nowego świata rozkoszy i sukcesu, do setek syntetycznych Krągłych.

* * *

Profesor Lowenheimer nie robił im wymówek za samowolne oddalenie się od wioski. Podniecony jak nigdy czekał na swoje wielkie pięć minut. Opowiedział Filowi o istocie eksperymentu i w swojej wielkoduszności podarował mu nawet klucz od celi Wiktorii.

— Zrobisz tam z nią, co zechcesz.

Starsza pani przywitała Fila entuzjastycznie. Spędzili urocze popołudnie i jeszcze wspanialszą noc, opowiadając sobie o dawnych dobrych czasach, sprzed Wielkiego Sufrażu.

— Ciekawe, kim byłaś wtedy, Wiktorio? Działaczką feministyczną czy może pracownicą komanda antyterrorystycznego?

— Uśmiejesz się, Fil, kurą domową i programistką komputerową.

Nastał historyczny dzień prezentacji. Cała ludność Małpiej Wioski zgromadziła się przed stalowymi drzwiami wiodącymi do podziemi. Tu kończyła się taśma produkcyjna, tu za chwilę miały pojawić się pierwsze Syntetyczne Krągłe.

— Dla ciebie, młody człowieku, przeznaczyłem równy tuzin, same modele typu Margot — szeptał Ludwig do ucha Teda.

Wiktorija zajęła miejsce u boku Fila w łoży z bambusów. Ludwig przeciął taśmę. Wrota rozsunęły się. Z ust małpoludów wyrwał się okrzyk podziwu. Montaż ruszył. Czego nie było widać gołym okiem, pokazywały monitory. Najpierw automatyczną konstrukcję szkieletów, na które zaprogramowane czółenka nawijały mięśnie, żyły, ścięgna. Wysięgniki montowały komputery w

mózgoczaszce i cały zespół energetyczny wewnątrz jamy ciała. Cyborgie miały bowiem dwa systemy zasilania — akumulatorowy i biologiczny, pozwalający przekształcać normalne pokarmy w energię elektryczną. Z bocznych taśmociągów wypadały kończyny, które błyskawicznie trafiały na swoje miejsca. Ciała, wędrujące jak półtusze w rzeźni, zanurzały się w kadziach, pokrywały się skórą. Bijące pod ciśnieniem spraysy dawały pigment, elektrostatycznie wszczepiano włosy. A potem w każdy egzemplarz wnikał wąż respiratora.

— Daje im tchnienie życia — tłumaczył Lowenheimer.

I nabrzmiwały kształtne wspaniałe piersi, drżały kończyny. Z ust niektórych egzemplarzy dobywał się krzyk. Inne wydawały jęk, jeszcze inne pierdnięcie. Jak ludzie.

— Przeskoczyłem Pana Boga — ryczał Ludwig, purpurowy z ekscytacji. Pierwsze egzemplarze wypadały na wysypany piaseczkiem wybieg. Przeciągały się, przeżyły, stawały na nogi.

— A co to takiego? — zawołał Ted. Podniósł się szmer. Produkt finalny zbliżał się do trybuny. Miała złociste włosy i twarz Botticellowskiej Wenus, piękne piersi... i imponującego, trzydziestocentymetrowego fallusa.

— Nie, nie! — ryknął Ludwig. — Zdrada! Poderwał się na równe nogi. Jego twarz wykrzywił grymas. Otworzył usta jak ryba, która gwałtownie zmieniła środowisko, wyrócił oczy i padł rażony apopleksją. Robot kamerdyner próbował go ożywić, ale mógł jedynie zamknąć oczy swemu chlebowdawcy.

Wśród małpoludów wybuchła panika. Z żalnym kwikiem rzuciły się do ucieczki w dżunglę tak, jakby śmierć profesora zerwała ostatnią nić łączącą ich z człowieczeństwem. Albo zbyt dobrze wiedziały, co teraz nastąpi. A na wybiegu co 20 sekund lądowały kolejne egzemplarze obojnaków.

— Ale co to się stało, jak mogło do tego dojść? — bełkotał Fil.

— Małeńka zmiana w programie, na dyskietce sterującej — zachichotała Wiktoria.

— Ty to zrobiłaś, ty... Za mało było ci mężczyzn?

— Przypatrz się uważniej, to hermafrodyty.

— Ale skąd?

— Miałam kod genetyczny z paznokci Magdalenusy.

— Popieścić cię, druhu? — pierwszy z egzemplarzy przekroczył barierkę i usiadł na kolanach Fila. — Jaką wersyjkę towarzyską na dzisiejszy dzień byłbyś skłonny zaakceptować? Męską, żeńską czy nijaką?

— Precz! — Fil strącił go z kolan i zwrócił się do robota kamerdynera: — Wstrzymajcie produkcję, skasujcie te mutanty!

— Ani się waż! — model pogroził paluszkami robotowi. — Stanowimy życie na dobre poczęte. A moim zdaniem, którego oczywiście możecie nie podzielać, posiadamy nawet nieśmiertelną duszę.

— Ale dlaczego — Fil złapał kamerdynera za mackę. — Wiktoria mogła przeprogramować dyskietkę? Jak dalsie się oszukać tej babie?

— Oszukać? Ależ nie. Cały czas kontrolowaliśmy sytuację. I bardzo jesteśmy zadowoleni z efektu. Jako serdeczni przyjaciele ludzi nie mogliśmy dłużej patrzeć na ten konflikt. Na wojnę płci. Teraz to wszystko się skończy. Wkraczamy w zapowiadaną u schyłku XX wieku cywilizację rozkoszy. I to weselej niż przewidywano. Każdy będzie mógł to robić, kiedy chce i z kim zechce, w klimacie tolerancji dla wszelkich preferencji. Zresztą nie ukrywajmy, era białka się kończy. Cyborgowie łączący nasze i wasze cechy stanowią syntezę elektroniki i humanizmu. I chyba o to kochanemu Ludwiczowi chodziło. Niech mu entropia lekką będzie!

— To go zabiło! — wykrzyknął Ted.

— Różnie można na sprawę spojrzeć. Moim zdaniem profesor Lowenheimer umarł z nadmiaru radości.

* * *

Dzień nastał słoneczny. Młode pęki kabli strzelały ku słońcu, a stare cieszyły się świeżą wylinką. Do cichego zakątka na krańcu parku zbliżał się gwar głosów.

— A tu, macie, kochani hominidalny skansen — android pilot doprowadził wycieczkę do komfortowej klatki — trójka dwunogów z fazy przedcyborgialnej. Krągła i Dwóch Płaskich. Rozdzielno płciowi nieboracy.

Hermafrodyty z ekskursji cmokali, oglądali obiekty przez wypustki lornetkowe, któryś rzucił Tedowi ciasteczko.

— I to ma być koniec historii, to naprawdę ma być koniec? Jak możesz? — wtulony w załom muru Fil modlił się do ostatniej instancji, jaka mu pozostała, do Naszego Ulubionego Dalszego Ciągu, który przecież mógł, a nawet powinien nastąpić. — Zawsze mówiłeś, że nie ma sytuacji bez wyjścia. Więc wymyśl coś raz jeszcze — trzęsienie ziemi, inwazję Krągłych, kontratak małpoludów, interwencję kosmitów, konflikty wewnątrz nowego społeczeństwa! Zrób to w imię litości i solidarności z nami. No!

Gdzieś z góry zabrzmiał głos ciepły, niski, trochę zaaferowany, acz przepelniony dobrocią.

— Nie mam na razie pomysłu, a rozwiązaniami deus ex machina się brzydę. A co się tyczy solidarności? Nie wiesz, Fil, że my, Dalsze Ciągi, nie posiadamy płci i co zabawne, jest nam z tym

zupełnie dobrze.

(1975–1994)

Świnka

Świnka

Radiowa „Świnka” powstała między styczniem a marcem 1976 roku, jako drugie po „Matriarchacie” mikrosluchowisko dla magazynu „60 minut na godzinę”. Nieco później przetworzyłem ją na mikropowieść. Już po wprowadzeniu stanu wojennego młody (wówczas) reżyser Krzysztof Magowski zaproponował jej sfilmowanie. Zabrało mu to parę lat i trochę złudzeń.

„Świnka” w zamyśle miała być historią czysto rozrywkową. Zrezygnowałem nawet z delikatnej aluzyjności, która istniała w „Matriarchacie”, to, co pozostało to najwyżej ozdobniki. „Ześwinienie docenta” nie jest żadną metaforą. Chociaż...

Wspominając tamte czasy, przypominam sobie, że po miodowych latach wczesnego Gierka w kraju zaczęła narastać niedobra atmosfera. Pojawiły się protesty związane z poprawkami do konstytucji, tworzyły się pierwociny opozycji. W Radiu też skończył się radosny okres „Sześćdziesiątki”. Na kierownika redakcji, którym wówczas byłem, poczęły mnożyć się naciski na usuwanie z programu treści i osób nieprawomyślnych. Właśnie w czasie pisania „Świnki” poddawany byłem wielkiej presji, celem eliminacji z Radia grupy kolegów po piórze z „Ilustrowanego Magazynu Autorów”: Markuszewskiego, Kofty, Stanisławskiego, Kreczmara, Janczarskiego. Nie mogłem zaakceptować tych metod, toteż zostałem zmuszony do rezygnacji ze stanowiska kierownika Redakcji Rozrywkowej III Programu Polskiego Radia.

Jednak jeśli jakiegokolwiek echo tych napięć znajdzie się w książce, to — słowo honoru — może być dziełem wyłącznie podświadomości. Fabułę „Świnki” tworzyłem podobnie jak dziewiętnastowieczni autorzy powieści odcinkowych, z tygodnia na tydzień, mając mglisty pomysł na zakończenie. Każdy odcinek musiał mieć zaskakującą puentę i haczyk, umożliwiający nastąpienie Ulubionego Dalszego Ciągu.

Pytano mnie często, skąd wziął się pomysł? Trudno powiedzieć; może z ówczesnej fascynacji eksperymentami transplantacyjnymi doktora Barnarda, z przypadkowo obejrzanej fotografii w podręczniku hodowców nierogacizny, na której inseminator siedział okrakiem na maciorze — sens podpisu był mniej więcej taki: „pozycja sztucznego inseminatora nie ma znaczenia, ale świni zawsze jest przyjemniej”. Być może inspiracji dostarczyła też scena psa zeznającego w sądzie, zapamiętana z przygód Doktora Doolittle, którymi fascynowałem się w dzieciństwie.

Kiedy po latach czytałem tekst, bawiła mnie inna rzecz — kompletna nieznanomość realiów amerykańskich czy w ogóle zachodnich. Dopiero po napisaniu „Świnki” zaczęłem wychylać nosa poza demoludy, a do Ameryki po raz pierwszy dotarłem w 1988 roku. Skąd miałem wiedzieć, że tytuł docent w ogóle tam nie istnieje. U nas zresztą też zniknął bodajże w 1990 roku. Z tym, że ci, którzy go już mieli, zachowali prawo jego używania. Na podstawie tego precedensu mój docent Holding pozostanie docentem.

A socjalistyczne realia tuczarni? To już był świadomy zamysł. W latach cenzury pośmiać się z

naszych haseł i zakłóć można było jedynie, umieszczając je w innej rzeczywistości, na przykład kapitalistycznej. Toteż w „ Świnie „ AD 2003 czytelnik znajdzie niewiele zmian w stosunku do pierwodruku z 1982.

Co najwyżej poprawiłem stylistykę. Bardziej dogłębnych przeszczepów poniechałem. Choć skalpel swędział.

Rozdział 1

— Naprawdę musisz wyjechać? Nie możesz choć raz przełożyć tych badań na inny termin? — w głosie młodej dziewczyny brzmi wyrzut.

— Nie mogę, zresztą nie chcę, Lucy. Zwłaszcza teraz, kiedy postanowiliśmy, że nasz ślub odbędzie się w czerwcu. Nie chciałabyś przecież, abym zamiast w podróż poślubną, wyruszył do centrum doświadczalnego.

— Ależ Will, przecież mogłabym pojechać z tobą! Byłoby cudownie.

— Ech, Lucy, ile razy mam ci powtarzać, że program jest ściśle tajny, a obiekt zamknięty. Prowadzimy doświadczenia o ogromnym znaczeniu dla rozwoju ludzkości. W praktyce zaledwie parę osób zna istotę eksperymentów, a ich pełny obraz mamy tylko ja, no i oczywiście Frank i Hans. Czasami twoje podejście do mojej pracy doprowadza mnie do rozpacz.

Lucy westchnęła. Wiedziała, że za chwilę się rozstaną, a ona pozostanie w tym wynajętym mieszkaniu, zadając sobie po raz nie wiadomo który pytanie, jak to się stało, że ona, Lucy Crawford, ulubienica całego Holliday Spring, związała się właśnie z tym zabiegającym, wiecznie niespokojnym naukowcem.

— O'Hara sam nie da rady? — spytała z resztką nadziei.

— Frank? — William Holding aż się zachnął. — To przecież kompletne beztalencie. Pozostawiony sam sobie nie odróżniłby naszego serum od jadu grzechotnika.

— Dlaczego w takim razie uczyniłeś tego zawistnego gada swoją prawą ręką? Gdyby mógł, ukąsiłby cię śmiertelnie. Jesteś niekonsekwentny, kochany docencie.

Naukowiec uśmiechnął się bagatelizująco:

— Razem pracowaliśmy tyle lat. Nie mogę też zapomnieć, że to właśnie Frank ściągnął mnie do Instytutu. Poza tym, nie sposób odmówić mu innych zalet. Jest elokwentny, robi dobre wrażenie na ludziach.

— Tak, znakomicie udziela wywiadów, w których podpisuje się pod twoimi wynalazkami, a ty to tolerujesz!

— No cóż, nie ukrywam, że mam pewną słabość do doktora O'Hary.

— Nierozsądnie, bo on cię nienawidzi, jestem pewna, że gdyby tylko mógł... On i ten wasz rzeźnik...

— Hans Weissenstein? Przesadzasz, kochanie. Widzę, że niepotrzebnie zapraszałem cię na salę

zabiegową. Dla laika każdy chirurg wydaje się oprawcą. W istocie ten Gargantua o twarzy mordercy ma ręce zegarmistrza.

— Ale patrzy na ciebie jak na zaropiałą ślepią kiszki, którą chętnie wyciąłby jednym ruchem lancetu.

— Nikt nie kocha wymagającego szefa. Takie jest życie! — tu docent nerwowo spojrzął na zegarek. — Czas na mnie.

— Jak chcesz. Dopiero za godzinę wychodzę do klubu, więc gdybyś chciał... — wymownie spojrzała w stronę rozłożystej leżanki.

— Nie mogę. Muszę sprawdzić jeszcze cykl F-34, a rano jadę do Sektora G.

Ruszył ku drzwiom. Nagle, jakby sobie coś przypomniał, zawrócił i porwał dziewczynę w ramiona.

— Jestem bardzo szczęśliwy. Kocham cię, Lucy! — zawołał.

I wyszedł.

Jest prawdą, że trzydziestodwuletni docent William Holding nie miał łatwego charakteru. Nastrojowiec, wiecznie za czymś goniący, zawsze niezadowolony z siebie i podwładnych, nie cieszył się sympatią personelu. Owszem, każdy doceniał jego walory umysłowe, które sprawiły, że w ciągu pięciu lat z szeregowego pracownika stał się pierwszym mózgiem Instytutu Transplantacji. Co innego jednak doceniać, co innego lubić. Bo, jak mawiała doktor Salieri z zakładu genetyki: „Należy tylko dziękować Opatrzności, że docent Holding żyje w XX wieku, kiedy jego szaleńczy dynamizm może znajdować upust w programach naukowych. Żyjąc parę wieków wcześniej, zostałby zapewne budzącym grozę inkwizytorem czy despotycznym satrapą”.

— Za co ja go właściwie kocham? — często zastanawiała się Lucy. — Ani przystojny, ani specjalnie zadbany...

Poznali się dwa lata wcześniej, kiedy młoda piosenkarka miała paskudny wypadek samochodowy. Pęknięcie wątroby czyniło sprawę beznadziejną. I wtedy do Kliniki Gwiazd, jak zwano Szpital w Holliday Spring, zgłosił się mało znany doktor z Instytutu Transplantacji. Cichy wielbiciel dowiedział się o wypadku z telewizji. zaproponował przeszczep.

— Musiałby pan być cudotwórcą — powiedział ordynator.

— Wątroba nie daje się jak dotąd przeszczepiać. Podczas wszystkich dotychczasowych znanych mi prób zawsze następował odrzut.

— Dysponuję serum antyodrzutowym — replikował Holding.

— Przeszło ostatnio testy Federalnej Komisji Zdrowia.

I uratował ją. Dziewczyna po rekonwalescencji nie zapomniała o swym transplantatorze i zaprosiła go na koncert do Holliday Spring. „Powrót gwiazdy”, potem bankiet, wreszcie zaproszenie do hotelu. I już się nie rozstali. Przeżyli cudowne dwa tygodnie. Zakochany naukowiec, zapominając o bożym świecie, nie zapomniał naturalnie o swej pracy, ale zaledwie co godzinę łączył się ze swym laboratorium, telefonicznie wydawał dyspozycje i wysłuchiwał raportów. Te pół miesiąca romansu, a następnie dwa lata narzeczeństwa wystarczyły, by zgodnie uznali życie bez siebie za niepodobieństwo.

— Will to fajny gość — opowiadała Lucy swoim koleżankom.

— Owszem, może za mądry, lecz czyja muszę słuchać wszystkiego, co mówi? Wystarczy, że mnie kocha.

Charakterystyczne, owalne gmachy Instytutu Transplantacji wznosiły się nad Kanałem Zachodnim i terenami rekreacyjnymi campusu uniwersyteckiego. W skład zespołu, obok wysokich budynków szpitalnych i biurowca, wchodziło jeszcze kilkanaście niższych obiektów i rzeźba z rur, przedstawiająca, zdaniem krytyków sztuki, ewolucję od pierwotniaków do Naczelnych i z powrotem. Docent William Holding zaparkował swego morrisa na placu głównym i minąwszy kwietnik w kształcie rombu wpisanego w elipsę, skręcił do niskiego pawilonu mieszczącego jego ukochane pracownie eksperymentalne. Na ustach czuł jeszcze ciepły smak szminki Lucy przypominający mu, nie wiadomo dlaczego, niedogotowany bób, który jadał w dzieciństwie na fermie stryja. Dawno to było, bardzo dawno. Przez moment przypomniał sobie łąki, po których krążył, obserwując gody dzikich bażantów i nie mniej dzikich wagarowiczów płci obojga. Wszystko wtedy było takie proste. Nawet marzenia. Chciał zostać wielkim zoologiem. Odkrywcą na miarę Cuviera czy Darwina.

Mijając Magazyn Dawców, jak pompatycznie nazywano przyinstytutową chlewnię, posłyszał liczne kwiki zgromadzonej tam nierogaczyny.

— A coście takie niespokojne? — zawołał. — Pora spać, współpracowniczki! — i zartobliwie zachrzakał. Wiedział, że maciory bardzo lubią go za styl jego chrzkania.

Stosunkowo niedawny pomysł uczynienia z nierogaczyny podstawowych dawców transplantowanych organów stworzył zupełnie nowe perspektywy przed chirurgią. Skończyła się sytuacja, w której chorzy tygodniami oczekiwali na zastępczą nerkę, śledzionę czy serce. Handlarze organami zaopatrujący się gdzieś w Trzecim Świecie, wołał się nie zastanawiać gdzie, śrubowali ceny. Bywało, sam zauważył to na przygotowawczym, że ulubionym zajęciem pacjentów było studiowanie kroniki wypadków. Parę lat temu dwóch starsuszków pobiło się w trakcie dyskusji, komu bardziej należy się serduszko po świeżym samobójcy. Obecnie dzięki poczciwym świnkom takie wydarzenia były nie do pomyślenia. A serum Holdinga — preparat uzyskiwany z izotopowanej krwi ciężarnych kobiet, pozwalało transplantować praktycznie wszystko wszystkim. Bariera immunologiczna została przewyciężona, a William z prawdziwą satysfakcją mógł kartkować prywatny album swych pacjentów. Oczywiście przeglądał go w samotności ze względu na tajemnicę lekarską. Znajdowało się tam zdjęcie z dedykacją wiceprezydenta (przeszczepione hormony goryla Bobby), podziękowanie od dowódcy wojsk lądowych (aktualnego posiadacza wątroby wieprzowej) czy błogosławieństwo arcybiskupa (dwunastnica od... a zresztą, dajmy spokój szczegółom!).

W pierwszych dniach tego roku zrealizowano najśmielsze z ludzkich marzeń: udany przeszczep mózgu!!! Psu kota, a kotu psa.

Jestem wielki — upajał się docent, widząc jak labrador Toby poluje na myszy, a syjamski Pusio obszczekuje przechodniów i dostawia się do suki.

Podobnych zabiegów na ludziach jeszcze nie przeprowadzono, ale zdaniem Holdinga była to kwestia czasu, potrzebnego na pokonanie uprzedzeń i zneutralizowanie protestów ze strony kościołów. Co nie znaczy, że sam nie przeżywał moralnych dylematów.

„Czy możemy stwierdzić, że doszliśmy oto do progu nieśmiertelności? — zapisał owego wieczora w swym pamiętniku docent. — A może posunęliśmy się zbyt daleko? Przecież mogąc przeszczepiać ludzki mózg coraz młodszemu ciału, będziemy w stanie utrzymywać świadomość człowieka przez parę pokoleń. Czy mamy do tego prawo, czy nie stworzy to pola do nadużyć? Czy nie będzie wyzwaniem rzuconym samej naturze, Bogu?”

Holding nie należał do ludzi wierzących, ale swoje wahania mógł zanotować, używając wyłącznie wielkich słów i pojęć ostatecznych. Jego koncepcja świata, acz nie idealistyczna, zawierała „j pewne pierwiastki pozamaterialne — wierzył w sprawiedliwość, w istnienie jakiejś nadrzędnej moralności, która sprawia, że dobro prędzej czy później musi być nagrodzone, a zło ukarane. Czyż on, sam nie był najlepszym przykładem tej tezy? Jego wytrwała praca zaowocowała sukcesem, sławą, pieniędzmi, luksusową żoną.

„Im większe odkrycie, tym większa odpowiedzialność odkrywców” — tak uspokajając sumienie, zakończył tę notatkę.

Od tego czasu minęły trzy miesiące. Dokonano dalszych zabiegów, a kolejne eksperymenty w Sektorze G mogły przynieść nowe osiągnięcia. „

Drzwi do swej pracowni zastał uchylone.

Dziwne. O tej porze nie powinno tu być nikogo, a jednak w gabinecie paliło się światło. Wszedł.

— Cześć, Will!

— Cześć, Frank! Przyszedłeś popracować?

Za jego biurkiem siedział doktor Franklin O'Hara. Jak zwykle ubrany ze swą normalną, nieco nonszalancką elegancją, pasującą bardziej do showmena niż człowieka nauki. Jeszcze bardziej zadziwiający był unoszący się w powietrzu zapach alkoholu. Czyżby współpracownik pił w pracy?

— Miałem do ciebie parę spraw, szefie, a wiedziałem, że przed odjazdem wpadniesz do laboratorium. Czekałem więc tutaj — powiedział z charakterystycznym dla siebie uśmiechem sprzedawcy pasty do zębów.

— Doskonale mnie znasz — ucieszył się docent. — O co chodzi?

— Wyjeżdżasz na miesiąc do tej stacji badawczej, może być parę ważnych spraw, potrzebuję twoich upoważnień. Gdybyś mógł, po pierwsze kwestie związane z kliniką, po drugie...

— Dajmy spokój biurokracji. Podpiszę ci kilkanaście kartek in blanco — przerwał mu Holding.

— Aha, jeszcze jedno. Jak można będzie porozumieć się z tobą, gdyby zdarzyło się coś nadzwyczajnego?

— Wiesz doskonale, że Sektor G jest odcięty od świata i pilnowany przez wojsko. Ja będę codziennie telefonował do Instytutu. Zresztą, na czas mojej nieobecności, większością nudnych spraw ma zawiadywać doktor Arnoldson. A teraz pozwól, muszę jeszcze posprawdzać parę rzeczy.

— Ośmieliłem się przynieść mary prezent. Na dobrą podróż — O'Hara wydobyl niespodziewanie spod biurka butelkę bourbona.

— Dziękuję, nie piję przed podróżą! — zaproponował Holding.

— Tylko jeden kieliszeczek, strzemiennego — nalegał O'Hara. Sam musiał już wypić sporo, bo na twarzy pojawiły mu się niezdrowe rumieńce. — Chciałem przy okazji powiedzieć ci coś o Lucy.

— O Lucy? — docent bez zastanowienia wychylił podany kieliszek.

W instytucie mało wiedziano o prywatnym życiu Franka. Choć niejednen podejrzewał, że pod spokojną maską pracownika naukowego krył się piekielny temperament. Chodziły plotki, że ten szanowany doktor wymyka się nocami, by nurkować w nocnym życiu Holliday Spring. Prawdopodobnie wskutek takiego trybu życia miał nieustanne długi. Nawet Holdingowi był winien parę tysięcy. Pierwsze spotkanie panny Crawford i O'Hary na kolacji u docenta też przebiegało nietypowo.

— My się znamy — powiedział z szerokim uśmiechem Frank.

— Nie sądzę! — fuknęła panna Crawford, nastroszona jak jeżozwierz.

A jednak musieli się znać. Kiedyś w domu narzeczonej wpadł do ręki Williamowi jakiś list, na którym rozpoznał pismo swego współpracownika. Nie zdążył przyjrzeć się mu dokładniej, bo Lucy w skoku dzikiej kotki wyrwała mu kartkę z ręki i zmiąwszy, cisnęła w kominek.

Jednak rozwijający się w zawrotnym tempie romans sprawił, że zapomniał o incydencie. Chociaż... Podczas nieuniknionych spotkań, Lucy unikała Franka, on, normalnie bardzo pewny siebie, na jej widok spuszczał wzrok. Teraz jednak... Co oznaczały te dziwne wypieki na jego twarzy? Tylko alkohol?

— Co chcesz mi powiedzieć?

O'Hara zaczął mówić. Czy jednak niewyraźnie artykułował słowa, czy też sprawiał to warkot wyciągów w pobliskim laboratorium, w każdym razie Holding nic nie rozumiał. Jednocześnie światło w pomieszczeniu stało się jaskrawsze, a wszystkie kontury uległy zamazaniu.

— Czyżbym upił się jednym kieliszkiem martella? — pomyślał. Wstyd. Chciał zapytać, co się dzieje, ale powiedział coś zgoła innego:

— Kocham Lucy! Za trzy miesiące nasz ślub.

— Jesteś tego zupełnie pewien? — słowa doktora dochodziły do niego jakby z głębokiej studni. Próbował odpowiedzieć, ale nie mógł.

— Chodź, Hans — on jest już gotów! — powiedział Frank O'Hara.

* * *

Docent leżał nieruchomo, przywiązany do stołu operacyjnego równie mocno jak farmer do swojej ziemi. Był ciągle przygłuszony, w oczy biły mu reflektory, a na ich tle majaczyły jakieś dwie postacie. Co tu się działo?

— Spokojnie, stary. Mamy bardzo dużo czasu. Nie doceniałeś nigdy moich kwalifikacji, gardziłeś swoim starszym kolegą. Docenisz teraz rączki Hansa — dudnił znajomy głos.

— Co wy robicie? — wyjąkał Will. Wokół czaszki poczuł dziwny chłód. — Po co golicie mi głowę?

— Hans ogoli zaraz również moją — zaśmiał się głos należący do Franka.

— Zwariowaliście! — zaskoczenie było wciąż większe od strachu. — Co chcecie zrobić, nastraszyć mnie? To wam się udało. Ale jeśli chcecie mnie okaleczyć, nie ujdzie wam to płazem.

— Co chcemy? — O'Hara zachichotał. — Chcemy ciebie, przyjacielu, twojego nędznego cherlawego ciała, które za trzy miesiące poślubi piękną piosenkareczkę, które odbierze za ciebie Nagrodę Nobla i będzie brylowało w Instytucie. Z moim mózgiem.

Frank wyrażał się dość jasno, a mimo to Will nadal nie wszystko rozumiał.

— Cholernie ciężko robić taki zabieg bez pielęgniarek, ale dam radę, w końcu mamy automatyczną aparaturę — do chichotu dołączył się bas Hansa Weissensteina.

— Przestańcie żartować — zawołał Holding. — Może ty chcesz być mną, Frank, ale ja nie chcę być tobą.

— I nigdy nie będziesz. Po zabiegu moje ciało zostanie zniszczone przez Hansa. Znasz te wielkie młyny paszowe, nierogaci — zna otrzyma dziś więcej kalorii. Ciebie natomiast spotka to, co dawno ci się należało.

Holdring wreszcie pojął. Szarpnął się desperacko. Na próżno. Weissenstein z diabelskim uśmiechem wbił strzykawkę z narkotykiem.

— Żegnaj, docencie!

Bezradnie runął w przepaść narkozy.

* * *

Szary świt wisi nad kanionem. Brama i budki strażnicze wskazują, że dalej zaczyna się poligon biologiczny. Na tabliczce poza nazwą SEKTOR G nie ma żadnego napisu. Przed bramą zatrzymuje się datsun combi ze znakami Instytutu Transplantacji.

— Docent Holding? — wartownik pytająco patrzy na potężnie zbudowanego kierowcę.

— Nie, doktor Weissenstein, ale mam imienne upoważnienie Holdinga. Szef nie może w chwili obecnej kierować testami osobiście, nie chciał jednak przerywać cyklu badań. Zastąpię go przez kilka dni, zanim nie dojdzie do siebie.

Wartownik przegląda papiery.

— A gdzie docent?

Chirurg wskazuje nosze w tyle samochodu. Obok stoją skrzynie z preparatami.

— Śpi. W laboratorium mieliśmy mały wybuch. Było trochę szycia, ale nic mu nie grozi. Za parę dni będzie w pełni sił.

— Daj mu Boże zdrowie! — wartownik przygląda się twarzy śpiącego i kiwa głową. Zna doskonale Holdinga i wie, że wszystko się zgadza. Przycisk uruchamia bramę i datsun wtacza się na teren Sektora G.

* * *

Głuchy ból pulsował we wszystkich zakamarkach jego organizmu. William budził się wolno, bardzo wolno. W żaden sposób nie potrafiłby określić, jak długo trwał jego sen. Tydzień? Wieczność?

„Żyję” — uświadomił sobie wreszcie. — „Bardzo dziwne”. Sporo czasu upłynęło, zanim zaczęły

funkcjonować jego zmysły. Długo nie czuł dotyku, zimna, ciepła. Słyszał wprawdzie bicie własnego serca, a jednocześnie wraz z powracającą przytomnością pojawiły się doznania nowe — wrażenie obcości całej jego istoty, dziwna ocieężałość, swędzenie. Wreszcie któregoś dnia otworzył oczy — nieregularne plamy przeobraziły się z wolna w kształty geometryczne — dojrzał kafelki na ścianach, małe żelazne okienko.

I znów to okropne swędzenie. Chciał się podrapać po twarzy. Nie mógł. Zamiast ręki zobaczył jakiś obcy kikut, zakończony kopytkami!

— To musi być koszmarny sen!

Jego skóra była twarda, bladoróżowa. Goła. Ogarnęło go olbrzymie pragnienie. W kącie pomieszczenia dostrzegł podłużne naczynie z wodą. Chciał wstać, ale to okazało się niemożliwe. Doczołgał się nad skraj koryta.

— Chryste Panie! — Woda odbijała niczym lustro. Dokładnie. Wszystko! I różowy wychudzony ryj, i zmierzwioną szczecinę, i krótkowidzące oczki pozbawione okularów. Zrozumiał!

— Jestem świnią. Przeszczepili mój mózg w ciało świni. Świnie! Żalony kwik rozdarł ciszę, a smutny ryj zanurzył się z wolna w głąb koryta, jakby tam poszukiwał dalszego ciągu.

Rozdział 2

Doktor Hans Weissenstein, uzbrojony w stalowy drąg otworzył żelazne masywne drzwi. Z wnętrza doleciał odór chlewni. W kącie pomieszczenia wychudła maciora uniosła łeb z posłania. Nad uszami widać było świeże, głębokie blizny. Chirurg zaciągnął za sobą zasuwę i trącił nieszczęsne zwierzę drągiem.

— No i co pan powie, panie docencie?

Od czasu zabiegu upłynął przeszło miesiąc. Młodszy pracownicy zajmujący się eksperymentem 123/52 nie sygnalizowali niczego specjalnego. Od pewnego czasu transplantacyjne zamiany mózgow wśród świń nie były żadną nowością. Choć w tym przypadku, kiedy zwierzę odzyskało wreszcie przytomność po okresie intensywnej reanimacji, zamiast wzmożonego wigoru opanowała je apatia. Świnka niechętnie przyjmowała pożywienie. Dokładniejszych badań jednak nie podejmowano ze względu na specjalne polecenie Weissensteina, który zastrzegł, że osobiście odpowiada za badany okaz. Zatem od chwili oprzytomnienia maciory nikt z kadry naukowej nie wchodził do komórki Holdinga. Z tej strony nie groziło żadne niebezpieczeństwo zdemaskowania.

Dwa pierwsze tygodnie spędzone w Sektorze G u boku Franka O'Hary, a właściwie jego mózgu w ciele docenta, były dla chirurga okresem trudnym. Parokrotnie wpadał w panikę, że przeszczep zostanie odrzucony. Dwukrotnie tylko rewelacyjne serum Holdinga ratowało życie wiszące na włosku. Miesiąc po zabiegu „uzurpator” doszedł na tyle do siebie, że mógł stanąć na nogi, a w parę dni później był w stanie wrócić do Instytutu.

— Pamiętaj, nikt nie może się dowiedzieć o naszej akcji — wielokrotnie powtarzał Weissensteinowi Frank — wiesz, jakie miałyby to konsekwencje.

Chirurgowi nie trzeba było tego mówić. Tym bardziej, widząc teraz wszystko w najlepszym porządku, pokraśniał z zadowolenia i ponownie szturchnął maciorę.

— No, rusz się pan, panie docencie. Troszkę gimnastyki nie zawadzi. To wzmacnia apetyt.

Holding usiłował coś odpowiedzieć, zripostować, ale z pyska dobyło się tylko nieartykułowane chrząknięcie. Nawet uczeń pierwszego roku biologii wie, że nierogacizna nie posiada rozwiniętych strun głosowych.

— Chciałeś coś powiedzieć? — zachichotał chirurg. — Szkoda wysiłków, kochany docentuniu... Pardon, właściwie powinienem nazywać cię panią docent, madame — tu Weissenstein uklonił się błazeńsko — jesteś wszak świnką płci pięknej. A chrząkaj sobie, chrząkaj. U nas w chlewni panuje całkowita swoboda wypowiedzi. Wyobrażam sobie, jak mimo wrodzonej kultury mnie przeklinasz. Przeklinaj lepiej swój los. Ejże, ejże, słuchaj mnie! — ponieważ świnka odwróciła się tyłem, znów dźgnął ją drągiem. — Troszkę uwagi, gdy pan mówi. Czy wiesz, droga przyjaciółko, że zastanawialiśmy się poważnie z Frankiem, czy cię nie rozmnożyć? Ale doszliśmy do wniosku, że szkoda knura. Zresztą co dobrego mogłoby wyniknąć z tego mezaliansu? Prosiaki w okularach, z

dłońmi zamiast kopytek?

W oczach zwierzęcia płonął żywy ogień. A w mózgu docenta? Wściekłość walczyła o prymat z rozpaczą, zaś nienawiść z politowaniem. Dominował gniew.

— Bydlaku, i ja mianowałem cię starszym chirurgiem w Instytucie — myślał. — Mimo przestróg przyjaciół, rad Lucy..., mimo tych wszystkich informacji, które mam o tobie. Reputacja i praktyka znakomitego fachowca przysłoniły mi fakt, że byłeś karany za sadyzm, za znęcanie się nad zwierzętami. Dwukrotnie tuszowaliśmy twoje ekscesy z kobietami! O, łajdak, drań!

Gdyby doktor Hans mógł słuchać tego wewnętrznego monologu, byłby z pewnością zadowolony. Na jego konstrukcję psychiczną składał się koktajl sadyzmu i masochizmu. Lubił bić, ale jednocześnie uwielbiał być znieważany. Wielokrotnie podwajał stawkę dziwkom w rewanżu za najbardziej plugawe wyzwiska, jakimi obdarzały go Lola Kluczyk, Diana Chutliwa czy Róża Prędkociepła.

Tym razem wydawało mu się, że świnka nie dość cierpi. Postanowił zaaplikować końską (czy raczej świńską) dawkę cierpień.

— Aha, na śmierć bym zapomniał, docenciku. Przyniosłem ci zaproszenie na ślub Lucy i Franka — pardon, docenta Williama Holdinga — który odbędzie się 1 czerwca. Niestety, wstęp będzie tylko dla gości ubranych wieczorowo, a dla ciebie chyba nie zdążymy uszyć garnituru. Ale nie martw się, droga wieprzowa przyjaciółko, zawsze będziesz mogła stać się ozdobą ślubnego stołu. Szkoda, że nie łoża.

Zaśmiewając się, Weissenstein odstawił drąg i bił się dłońmi po kolanach. Świnka zauważyła to.

— Spokojnie, docencie, stój! — krzyknął Hans, ale podcięty przeszło dwustukilogramowym cielskiem stracił równowagę, przewrócił się, a świńskie zęby błysnęły mu nad gardłem. Nie na darmo w młodości Will Holding był przez tydzień członkiem sekcji dżudo! Śmierć w kształcie ryja zajrzała w oczy chirurga.

— Daruj! Daruj! — zawył chirurg.

— Już ja ci daruję — pomyślał docent, niestety ostry krwotok z niezupełnie zagojonej rany przeszkodził w zemście. Hans odturlał się na bok i wypadł z boksu, zatrząskując za sobą drzwi.

Młodszy pracownicy baraku eksperymentalnego mówili, że biegł centralnym korytarzem, krzycząc:

— Do rzeźni z tą świnią, do rzeźni!

* * *

Być może sprawy przybrałyby zupełnie inny obrót, gdyby nie nagłe wezwanie z Sektora G. Docent Holding, w którym — jak perła w małży — tkwił O'Hara, znów poczuł się źle i zażądał przybycia współnika. Hans pojechał prawie natychmiast, nie wydając żadnych dodatkowych poleceń. W czasie nieobecności docenta całym instytutem opiekował się doktor Arnoldson, mały, czarny, ruchliwy i bardzo operatywny naukowiec. Zajęć miał sporo, bo tego samego dnia, w którym Holding wyjechał na badania, zniknął również doktor Franklin O'Hara.

Dyrektor Generalny Instytutu nic dość, że zlecił wszystkie sprawy O'Hary Arnoldsonowi, ale również polecił mu zbadać szczegóły owego niezwyklego przypadku porzucenia pracy.

Według wszystkich dostępnych świadectw, O'Hara w dniu 14 marca dosłownie rozpląnął się w powietrzu. Policja nie trafiła na żaden ślad naukowca. Nikt nie rozpoznał jego fotografii na dworcach i w biurach wynajmu samochodów, nie znaleziono go wśród zwłok zmagazynowanych w kostnicach. Czyli — musiał jakoś opuścić Holliday Spring.

Z drugiej strony wszystkie swoje sprawy pozostawił uregulowane w sposób perfekcyjny, jak człowiek od dawna przygotowany do wyjazdu lub zdecydowany na popełnienie samobójstwa. Mieszkanie zostało opłacone i opuszczone, konto wyczyszczone do zera, wszystkie rzeczy zabrane. List odręczny, zaadresowany do Dyrektora Generalnego, obok przeprosin zawierał rezygnację z piastowanego stanowiska. Było tam parę słów o ogólnym zwątpieniu, o chęci zmiany dotychczasowego trybu życia.

Nie trzeba dodawać, że autentyczność listu została ponad wszelką wątpliwość udowodniona.

Paru pracowników bliżej zaprzyjaźnionych z O'Harą zeznało, że w istocie od dłuższego czasu wspominał on o planach rezygnacji z kariery naukowej. Jak zwykle zaroilo się od plotek wahających się między koncepcją samobójstwa, a podróży dookoła świata. Bliższej rodziny doktor nie miał. Powoli jednak wątpliwości przyschły i powszechnie zaakceptowano wersję, że naukowiec wyjechał, nie podając nowego adresu. Miał do tego zresztą pełne prawo, żył w kraju, w którym nie istniały przepisy meldunkowe. Arnoldson szybko wciągnął się w rolę interrexa. Szło mu tym łatwiej, że znakomicie wyszkolony personel działał jak doskonale wyregulowany zegarek i nie wymagał ponaglania. Jednym z ważniejszych problemów do rozstrzygnięcia była okresowa selekcja w Banku Dawców.

Dwa dni po przygodzie Weissensteina, która omal nie skończyła się dla niego tragicznie, przybył nowy transport nierogacizny. Część osobników z dotychczasowego inwentarza, wykazujących gorsze wyniki, musiała być odesłana. Arnoldson podpisał stos odnośnych papierów, po czym zwrócił się do asystenta:

Co zrobimy ze 123/52? — ten egzemplarz, z upoważnienia docenta Holdinga znajdował się pod osobistą opieką Weissensteina.

— Doktor polecił oddać świnię na ubój — odparł asystent. — Zdaje się, że w jej przypadku zabieg był nieudany. Po transplantacji zwierzę zrobiło się nerwowe i niebezpieczne. Nie będzie z niego żadnego pożytku.

— Jeśli Weissenstein tak zdecydował, to nie ma co się zastanawiać.

* * *

Rozległy się niemilknące brawa. Lucy wyszła jeszcze raz w świetlisty krąg reflektora i ukloniła się. Wybiegły rozebrane toplesski oraz downlesski i zastygły w pastiszowym obrazie z „Bajora Łabędziego”.

— Ciekawe — pomyślała piosenkarka, otulając się superażurowym peniuarem — co oni tak naprawdę oklaskują, mój głos czy ciało?

Za kulisami panował zwyczajny harmider: Duo Tilito przygotowywało się do numeru z kozą, a skrzypek smarował sobie coś kalafonią. Nie zwracała na nich uwagi, w drzwiach awaryjnych wypatrzyła charakterystyczną sylwetkę.

— Will, wróciłeś!

Podbiegła, roztrącając rozplotkowane charakteryzatorki. Docent Holding stał na progu w nowiuteńkim garniturze (to pewnie ten, który obstalował sobie na ślub) i sprawiał wrażenie zakłopotanego.

Wtuliła się w niego z głębokim pocałunkiem. W pierwszej chwili poczuła dziwną rezerwę narzeczonego, może zbyt mocny zapach wody kolońskiej.

— Coś nie w porządku, kochanie?

— Ależ nie. Wszystko jest w porządku — zdecydowanie pokręcił głową, unikając spojrzenia jej prosto w oczy.

— Znalazł sobie inną? — pomyślała Lucy, ale w tym momencie dostrzegła głębokie blizny w krótko ostrzyżonych włosach.

— Co ci się stało? — powtórzyła.

Jej narzeczony uśmiechnął się i nagle zupełnie rozluźniony zaczął opowiadać o wypadku, który zdarzył się w laboratorium, wypadku w gruncie rzeczy niegroźnym, który — dzięki opiece doktora Weissensteina — nie będzie miał żadnych następstw.

— Co najwyżej trochę zmieni mi się charakter, będę spokojniejszy.

Panna Crawford ucałowała go jeszcze raz.

— Poczekaj, tylko coś narzucę i zaraz pojedziemy do mnie — szepnęła. — Nie masz pojęcia, jak

się za tobą stęskniłam.

O'Hara bał się. O ile spotkanie w Holliday Spring wypadło zadowolająco, o tyle przybliżająca się noc w Willi Lucy kryła w sobie setkę pułapek, z których każda mogła skończyć się wysypą. Nie znał drogi do jej mieszkania, rozkładu pokojów, nie wiedział o szczególnych upodobaniach Lucy, a nade wszystko nie miał pojęcia, jak docent Holding zachowywał się w łóżku.

Z prowadzenia samochodu wykręcił się, wspominając o ciągle świeżym urazie spowodowanym wypadkiem.

— Nic nie szkodzi, ja cię zawiozę! — zawołała entuzjastycznie dziewczyna.

W mieszkaniu starał się przepuszczać ją przodem i rejestrować różne cenne informacje w rodzaju: wyłącznik światła jest za szafą, toaleta na prawo, kuchnia na lewo.

— Włącz muzykę, a ja pójdę się wykapać — zadysponowała gospodyni.

Proste polecenie, ale fałszywy docent spocił się jak mysz, zanim odnalazł magnetofon przemyślnie ukryty w regale. Przy okazji odkrył barek.

— Upiję się. Upiję się na umór — postanowił. — Dzięki temu będę miał jedną noc z głowy.

Z łazienki dolatywał jednostajny szum. O'Hara wypił duszkiem klubową whisky i popił likierem. Trochę go zemdliło, poprawił anyżówką, a ponieważ pogorszyło to jeszcze sytuację, przez rum wrócił do czystej wódki. Rozluźniony pogrążył się w fotelu i po raz pierwszy tego nerwowego dnia pomyślał o Lucy bez lęku.

— Nie umyjesz mi pleców, jak zwykle? — dobiegło z łazienki.

— Już biegnę! — zawołał.

— Dawniej wołałeś: „leczę jak szczygiełek”.

Do cholery, skąd miał wiedzieć, że docent, z wyglądu surowy jak katedra, zza której wykładał, w domu Lucy lubił bawić się w szczygiełka. W łazience o kafelkach przedstawiających holenderskie młyny, których skrzydła ktoś wystylizował na organy (i to nie porządkowe), było parno i pieniście. Aliści nie dość parno, by nie widzieć w całości kształtów Lucy, za które bywalcy Holliday Spring płacili trzydziestoprocentowy dodatek do konsumpcji.

— Jeszcze ubrany? — zdziwiła się dziewczyna. — Co tak patrzysz, jakbyś mnie widział pierwszy raz w życiu?

— Bo widzę cię pierwszy... — tu Frank zorientował się, że jeszcze chwila, a alkohol wyzwoli w nim nadmierną szczerość, więc powściągnął mowę — ...pierwszy raz od dwóch miesięcy.

— Wypościłeś się, szczygiełku — zaśmiała się, cała w zapachu żywiczno-ananasowym. — Wskakuj w piankę. Co ci się stało, śpisz? Na stojąco, w ubraniu?

Obudził się z piramidalnym kacem. Oczywiście nie pamiętał niczego, ale pieszczoty Lucy przyjął z należną godnością.

— Byłeś wspaniały! — entuzjazmowała się panna Crawford. — Troszkę nietrzeźwy, ale w sumie bardzo ci to dobrze zrobiło. Dlaczego wcześniej nie zacząłeś pić? Ze szczygiełka wylazł straszny kogut — zachichotała — a jakie przy tym głupoty opowiadałeś.

— Co mówiłem? — spytał czujnie.

— Plotłeś coś o Franku O’Harze, o jakiejś maszynie do mielenia paszy. A przecież on podobno wyjechał?

— Oczywiście, najdroższa. Wyjechał. Jestem pewien, że lada dzień otrzymam od niego list. Co jeszcze mówiłem?

— Nie pamiętam! Najważniejsze, że jesteś taki cudowny. Inny.

— Mylisz się, jestem taki sam! — zaprzeczył gwałtownie.

— Ależ nie. Stałeś się rozkosznie nonszalancki. I masz takie pomysły — znów zachichotała. — Podoba mi się to. Zastanawiam się, z kim prowadziłeś te doświadczenia na poligonie?! Bo chyba nie tylko ze świnkami?

Pocałował ją, by nie udzielać odpowiedzi. Pieścili się przez jakiś czas, a potem Frank zadał pytanie, nurtujące go cały czas:

— Mówisz, że się zmieniłem?

— Tak, i to jest fajne.

— Cieszę się, ale powiedz, co by się stało, gdybym był znów taki jak przed dwoma miesiącami? Gdyby było nas dwóch do wyboru?

— Wybrałabym ciebie!

Jednakże docent William Holding sprzed dwóch miesięcy nie mógł zjawić się w willi Lucy. Bydłym kontenerem kolejki towarowej sunął w kierunku zautomatyzowanej tuczarni, którą za niecałe trzy miesiące będzie musiał opuścić jako puszczerka z napisem „Excellent Ham”, ewentualnie „Konserwa turystyczna”.

Po walce z Weissensteinem świnka nabrała ochoty do życia. Dramatyczny epizod wyrwał ją z apatii, obudził gniew i podsunął myśl, że może nie wszystko jest stracone. Przed wszystkim jednak przywrócił apetyt. Toteż trzy dni potem, kiedy na mocy decyzji Arnoldsona załadowano ją do kontenera, był to zupełnie inny okaz. Czworonożni współtowarzysze podróży ze zdumieniem patrzyli, jak ujmując w przednie raciczki kawałek szmaty zajmuje się kosmetyką ryja lub, nie mogąc wytrzymać w smrodzie, przeciska się do okienka.

— No i co się gapicie, siostry? I wam przydałoby się trochę higieny. Ech, żebyście mnie rozumiały. — Energicznym chrząkaniem usiłował zainteresować resztę świnek. — Posłuchajcie, mam plan. Jak dojedziemy na miejsce, rzucimy się na strażników, a jeśli będzie to sortownia automatyczna, przegryziemy przewody elektryczne. Jasne?

Niestety nikt nie zareagował. Dramatyczne kwiki nie były zrozumiałe dla czworonożnych współbraci, nawet jeśli istniał jakiś kod wieprzowego porozumienia — Holding go nie znał.

— Ech, nierogaczno durnowata. Nie masz w sobie za grosz woli walki. Nie rozumiecie, co to jest wolność?!

Wielki knur pogardliwie chrząknął na łaciatą buntowniczkę, a olbrzymi ryj zdawał się odpowiadać:

— Jesteś obca, agitować możesz sobie gdzie indziej, nasza tucznikowa filozofia nie pozwala czynnie przeciwstawiać się przeznaczeniu.

* * *

Zadzwonił telefon. Natarczywie. Raz, drugi. Neo–Holding ocknął się z regeneracyjnej drzemki. Dochodziło południe. Lucy znów pławiła się w łazience. Który to raz dzisiaj? Trzeci? Kim ona była w poprzednim wcieleniu — foką? Dzwonek ciągle nie chciał się uciszyć, Frank podniósł słuchawkę.

— Słucham, O’Ha... — zaczął machinalnie.

— Mówi Hans — przerwał mu ochryply bas.

— Prosiłem cię, żebyś tu nie dzwonił — Franklin natychmiast ściszył głos. — I nie odzywaj się tak poufale, pamiętaj, że z Willem nigdy nie byliście w stosunkach przyjacielskich.

— Telefonuję, bo pojawiły się komplikacje.

— Co się stało? Mów jaśniej!

— 123/52. Nie ma jej w laboratorium!

— Uciekł..., znaczy uciekła? — O’Hara spocił się w mgnieniu oka.

— Dwa tygodnie temu, kiedy byłem w Sektorze G, omyłkowo wysłano ją do tuczarni. Parę tygodni wcześniej rozłościłem się i przy pracownikach groziłem zwierzęciu rzeźnią, jakiś cymbał poczytał to za dyspozycję. Oczywiście będę próbował ją odnaleźć.

— Wstrzymaj się, Hans. Najpierw musimy się naradzić. Spotkajmy się..., spotkajmy...

— Może w barku?

— Nie! Nie! Nie! — zawołał pośpiesznie. — Zobaczymy się o piątej, w parku nad Kanałem.

— Bardzo dobrze — powiedział chirurg — mam do ciebie jeszcze parę innych spraw.

W jego tonie było coś, co zaniepokoiło Franka. Nie miał jednak czasu na zastanawianie się, z łazienki wyjrzała właśnie Lucy.

— Kto dzwonił, kochanie?

— To była omyłka — skłamał instynktownie, jak uczeń przyłapany na kłamstwie.

— Pomyłka? — zdziwiła się Lucy. — Przecież wiesz, że budynek ma własną centralę. Pomyłki są niemożliwe.

— Żartowałem, Lucy. To ci cholerni nudziarze z Instytutu. Jeszcze się tam nie zjawiłem po powrocie z badań, a czekają na mnie tysiące spraw.

— Myślałam, że dzisiejszy dzień spędzimy razem — zmartwiła się dziewczyna.

— Przed nami jeszcze tysiące dni, najdroższa!

* * *

Dziwna satysfakcja malowała się na twarzy Weissensteina spacerującego parkową alejką. Powód był prosty: trzy minuty wcześniej celnym rzutem kamienia strącił z gałęzi łatwowną wiewiórkę. Doktor Hans lubił takie nieskomplikowane zabawy. Kiedy jednak dokładnie o 17.05 zza zakrętu wyłoniła się przygarbiona postać Holdinga, twarz brodatego olbrzyma przybrała obojętny wyraz.

— Cholerna praca, wszyscy uwzięli się testować mnie z wiedzy, a w Instytucie obsiedli mnie jak stado srok, dybiąc na wpadkę — narzekał przybysz.

W rzeczy samej nie miał łatwego popołudnia. Niewiele brakowało, by rozmowa z Dyrektorem Generalnym skończyła się wyspą. Frank nie miał pojęcia, że wraz z zamknięciem drzwi gabinetu Dyrektora Generalnego stosunki Holding — szef z urzędowych zmieniały się w towarzyskie. Na jego uniżone: „panie dyrektorze”, zwierzchnik zawołał:

— Co to, Will, już nie jesteśmy po imieniu?

Nie mniej zdrowia kosztowało go posiedzenie Rady Naukowej. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę z własnej niewiedzy. Wykazywał brak orientacji w kwestiach, które dla prawdziwego Holdinga były dziecinnie proste. Jego „roztargnienie” z pewnością nie uszło uwagi czujnych oczu

Arnoldsona. Toteż gdy na parkowej alejce dojrzał zwalistą sylwetkę współnika, O'Hara omal go nie uściskał.

— Co zrobimy ze świnia? — zapytał Weissenstein, przechodząc od razu do sedna sprawy. — Z tuczarni można ją wydobyć, choć łatwe to nie będzie. Musielibyśmy przetestować wszystkie tuczniki pod kątem inteligencji.

— To zbyt cenne — Neo-Holding jakby się wystraszył. — Im mniej hałasu w tej sprawie, tym lepiej. Cieszymy się, Hans, że mamy już za sobą tę nieprzyjemną aferę. Osiągnęliśmy swoje cele. William ma za swoje, nie ma co go dodatkowo dręczyć.

— Na razie zrealizowaliśmy twoje plany, Franku, a gdzie tu przyjemność? — burknął brodac.

O'Hara skrzywił się.

— Szukanie świni, przywożenie jej z powrotem, trzymanie w Instytucie, z tym wszystkim łączy się spore ryzyko, a nuż ktoś zacznie niuchać, zadawać pytania?

— Jak uważasz, ja bym zrobił inaczej — Weissenstein niechętnie zgodził się z tą argumentacją.

— A w ogóle powinniśmy się widywać jak najrzadziej, Holding przecież nie utrzymywał z tobą kontaktów pozasłużbowych. Jeśli staniemy się nagle bliskimi przyjaciółmi, mogą powstać podejrzenia.

— Zbyt jesteś bojaźliwy, Frank — chirurg prychnął gniewnie. — Decydując się na łajdactwo, trzeba brnąć w nim do końca. Poza tym chciałbym jeszcze porozmawiać o konkretach. Nie otrzymałem dotąd należytego ekwiwalentu za mój wysiłek i ryzyko.

— Czego ty jeszcze oczekujesz, Hans? Załatwię ci lada dzień nominację na głównego chirurga.

— To trochę za mało. Ty zgarnąłeś wszystko: pozycję, pieniądze docenta, jego babkę. Musimy podzielić się równiej, kochany! Fifty-fifty!

— Chyba oszalałeś!

— Tylko nie oszalałeś. Gdyby się wszystko wydało, to nie wiem kogo by uznano za bardziej szalonego.

— Do diabła, Hans, nie będziesz chyba szantażować mnie, grożąc ujawnieniem przestępstwa, którego sam dokonałeś?

— Ja sam?! O, przepraszam, ja jestem tylko wykonawcą zabiegu, ty zaś bezprawnym użytkownikiem ciała, które kiedyś może będziesz musiał zwrócić.

Twarz fałszywego docenta zrobiła się biała jak prześcieradło.

— Czego ty właściwie chcesz?

Weissenstein bawił się jego lękiem, a kątem oka obserwował srokę przysiadłą na murze; gdyby miał tak jakiś kamyk albo lepiej procę...

— Czego chcesz? — powtórzył O'Hara. — Chcę wiedzieć.

— Mamy czas, dojdziemy do porozumienia. Na razie potrzebuję niewielkiej kwoty na własne potrzeby. Co się tyczy Holdinga, tuczarnia to bardzo dobre miejsce dla tego zarozumialca. Zabraliśmy mu ciało, narzeczoną, instytut, ale pozostała mu godność osobista, poczucie wyższości wobec reszty świata. Niech straci i to, potem może umrzeć!

* * *

Zautomatyzowaną chlewnię projektował swego czasu niewyżyty konstruktor supermarketów, który całe życie pragnął zbudować bank albo operę. Toteż w każdym z działów można było znaleźć odrobinę jego bańkowo-operowych fascynacji. Przestronne boksy wyłożono meksykańską terakotą, koryta napełniane były przez fotokomórki, ruchome podłogi ze zmieniającą się ściółką, platformy i pomosty dla obsługi, mogącej z bliska obserwować proces tuczenia, a nawet monitory, dzięki którym dozorczy mogli urozmaicać sobie czas oglądaniem sitcomów, teleturniejów i dzienników.

Łaciaty docent konsekwentnie trzymał się na uboczu stada. Nie rzucał się przed innymi do koryta, wiedząc, że karmy, dostarczanej przez komputery, wystarczy dla każdego. Konsumował ostatni, powoli, z namysłem. Bo miał mnóstwo czasu na przemyślenia. Jak nigdy dotąd.

— Jeśli te kreatury sądziły, że mnie złamią, myliły się. Umrę na czworakach, ale z godnością. Zresztą, prędzej czy później, wszystko się wyjaśni. Niemożliwe, żeby Lucy nie dostrzegła różnicy między mną a tamtym mydłkiem. Tak samo współpracownicy w instytucie. Dyrektor, Arnoldson. Za parę dni rozszyfrują łajdaka i zmuszą go do wyjawienia prawdy. A kiedy obydwaj dranie zostaną już zdemaskowani...

Parę prosiąt potrąca go bezceremonialnie. Docent kwikiem usiłuje wyrazić dezaprobatę. Tak chciałby powiedzieć tym parzystokopytnym:

— Przestańcie się pchać, koleżanki! Troszkę kultury.

Po platformie spaceruje młody dyżurny z przenośnym telewizorkiem. Lecą właśnie wiadomości, a ściślej mówiąc kronika towarzyska. Obok niego maszeruje jego piegowaty pomocnik.

— Popatrz, Ben — zauważa w pewnym momencie — widzisz, jak ta gruba wodzi za nami wzrokiem? Nic nie żre, tylko patrzy.

— A może chce oglądać telewizję? — śmieje się Ben. — Naści, łaciata, popatrz sobie. To jest dziennik. Chcesz głośniej?

Wymuskani spikerzy podają kolejne newsy ilustrowane materiałem zdjęciowym:

„W dniu wczorajszym odbył się ślub znanej aktorki Lucy Crawford ze znakomitym naukowcem transplantologiem, docentem Williamem Holdingiem. Po ślubie państwo młodzi udają się na Wyspy Bahama, a następnie do Europy, gdzie wybitny transplantolog otrzyma Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny.”

— Ty, patrz, co się dzieje? — woła nagle Ben. — Co robi ta maciora? Chce się utopić w korycie! Samobójstwo świni, tego jeszcze nie było.

W rzeczy samej zwierzę zanurzyło łeb w korycie i zastygło w bezruchu. Zdumieni pracownicy zeskoczyli do boksu wyciągać animalną desperatkę. Świnia kwicząc, stawiała zdeterminowany opór. Wreszcie osłabła.

— Słyszałem o facecie, który po przegranym meczu wyrzucił telewizor przez okno, ale żeby z powodu niskiego poziomu programu popełnić samobójstwo? — dziwi się pomocnik i naraz woła: — Ty, ale ona chyba dalej nie oddycha. Trzeba ją ratować!

— Oczywiście Mike, inaczej polecą nam po premii.

— Ale jak mam ją ratować, Ben?

— Po prostu zrobisz jej sztuczne oddychanie, Mike.

* * *

Orkiestra rżnie stare melodie z lat czterdziestych. W niebo strzelają fajerwerki. Podświetlony dom z dwoma basenami, fontannami i oranżerią otacza zapach szpanu i bogactwa.

Panuje nastrój swobody i towarzyskiego luzu. Oszołomieni przyjaciele z instytutu konstatują, że pod wpływem młodej żony ascetyczny naukowiec przeistoczył się w szampańskiego playboya.

— A ja myślałam, że zawsze będzie miał łupież i poplamione odczynnikami palce — wzdycha doktor Jenny Clifford, stara panna z wytwórni surowic.

— Też myślałem, że wiem o człowieku wszystko — odpowiada jej Dyrektor Generalny. — Co te kobiety potrafią z mężczyzny wykrzesać?

Arnoldson, pykając z fajeczki, w zamyśleniu przechadza się wśród cienistych alejek. Paru rzeczy ciągle nie może zrozumieć. Tylko czy warto się nad tym zastanawiać?

Doktor Weissenstein, którego zaproszenie zostało przyjęte z niemałym zaskoczeniem, kołysze się na hamaku w otoczeniu nastoletnich córek Arnoldsona. Jest już na sporym rauszu, toteż chwilami

bliźniaczki wydają mu się pięcioraczkami.

— Dużo mogę, dużo mogę — przechwala się tubalnie. — Idę o zakład, że potrafiłbym zrobić z was jedną dużą. Coś na kształt żyrafy... skalpel, odrobina cierpliwości i wystarczy.

Przechodzący obok pan młody posłał mu wściekłe spojrzenie.

— Cholerny kabotyn, gotów jeszcze się wygadać.

Lucy — panna młoda — promienieje. Ma na sobie łososiowy kostium z tak modnymi w tym sezonie piórami kolibrów.

— Will, jaka jestem szczęśliwa! — Jak dobrze, że wiążąc się z tobą, zawierzyłam głosowi serca, a nie podszeptom koleżanek.

Na tarasie od strony gór, w trzcinowym fotelu siedzi stary pan Holding; ma na sobie pasiasty garnitur, pamiętający zapewne pierwszą połowę wieku, garnitur, którego w żaden sposób nie chciał zmienić na coś modniejszego. Staruszek przybył na ślub syna z drugiego końca kontynentu. Ma sparaliżowaną nogę i ledwo słyszy. Był bardzo wzruszony, choć wydawać się może, że nie obchodzi go ta cała hałaśliwa impreza. Milczy, wpatrując się w śnieżne szczyty widoczne na tle spurpurowiałego horyzontu.

Z synem rozmawiał krótko i zaraz potem przeniósł się na ten taras. Odburknął coś pannie Clifford, gdy usiłowała go zagadnąć o pogodę w jego rodzinnych stronach, potem zasnął szczelnie otulony pledem, mimo że czerwcową noc jest ciepła i przyjemna.

Obudził się koło północy. Orkiestra niezmiernie piłowała nieśmiertelne standardy.

— Hej, młody człowieku! — starszy pan przywołuje kręcącego się obok kelnera.

— Słucham, sir — młodzieniec zbliża się niezwłocznie.

— Możesz mi powiedzieć w zaufaniu, czyje wesele tu się odbywa?

— Docenta Holdinga — odpowiada zaskoczony chłopak.

— Docenta Holdinga. Aha, to znaczy, że gdzieś tutaj jest docent Holding — szepce starzec. — Nigdy bym nie przypuszczał.

— Słucham pana? — pyta zdetonowany kelner. — Czy mam coś podać?

— Podać? Nie, dziękuję — i na wpół do niego, a na wpół do siebie dodaje: — Wielka szkoda, że nie ma tu nigdzie mojego syna. Ochrzaniłbym go, że zadaje się z takim towarzystwem.

Rozdział 3

Urządzeniom tuczarni dorównywała jej architektura. Specjalne głośniki emitowały muzykę klasyczną, korzystnie oddziałującą na pensjonariuszy i powodującą szybszy przyrost żywej masy. Podobną rolę wyznaczono kolorowym planszom, przedstawiającym produkty wieprzowe. Plansze te miały przemawiać do ambicji nierogacizny. Ideowy sens obrazowych historyjek opracowanych przez psychologów zwierzęcych można było streścić w paru hasłach wiszących dumnie na pawilonie dyrekcji: „Nie będzie z was mączki rybnej”, „Dobra karma — najwyższa jakość steków”, „Cieszcie się, kto wie, czy wasz świat potrwa jeszcze dwa tygodnie” itp. W głównym hallu zawieszono malowidło przedstawiające inseminatora siedzącego okrakiem na maciorze. Podpis głosił: „Przy inseminacji warto usiąść okrakiem na inseminowanej, nic to wprawdzie nie pomaga, ale świni zawsze jest przyjemniej!”

Oczywiście czytelnikiem tych reklamowych arcydzieł mógł być tylko jeden klient tuczarni — docent William Holding.

Dzień po dniu pracowicie żłobił karby na krawędzi koryta, czując, jak coraz szybszymi krokami zbliża się dla uczestników jego turnusu Dzień Masarza.

— Ile dni mogło mi jeszcze zostać? — zastanawiał się. — Dziesięć, piętnaście? Cholernie tyję... i pomyśleć, nigdy nie miałem specjalnych skłonności do tego. Przeciwnie, byłem najszczuplejszym docentem środkowego Południa. Brak ruchu! Brak ruchu!

Robię wprawdzie codziennie pompki, przysiady i szpagat, ale tłuszczuk się odkłada. A wolę nawet nie myśleć o cholesterolu.

Za sobą miał wielokrotnie ponawiane próby porozumienia się z resztą towarzystwa z boksu. Niestety, tylko naraził się świniom, które instynktownie wyczuwając jego obcość, co dzień spuszczały mu manto. Doszło do tego, że gdy nawet nie jadły, to nie chciały dopuszczać go do koryta. Ale to tylko sprzyjało diecie. Docent nie poddawał się. Pilnie trenował raciczki i ryj, doprowadzając je do niezwyklej sprawności. Po dwóch tygodniach umiał już odkręcać niektóre śrubki, a po miesiącu systematycznie „pożyczał” sobie z kieszeni roztargnionych dozorców najświeższe gazety. Nie ustawał w próbach porozumienia się z otoczeniem. Ilekroć przechodził któryś z dozorców, Holding babrał na betonie rozmaite napisy — „SOS, pomocy, jestem docentem!”

Niestety, nadzorcy rekrutowali się najczęściej z emigrantów i w znacznej części byli analfabetami. Tylko raz wydało się Willowi, że wzbudził zainteresowanie niejakiego Pedra, który przystanął przy boksie i głupawo wpatrywał się w napis.

— Te, łaciata, co tak ryjesz, truflki szukasz? A może piszesz do mnie list miłosny?

Mówił po hiszpańsku, ale Holding był przecież poliglotą. Z radosnym kwikiem przypadł do rąk Pedra. Ten odskoczył ze wstrętem.

— Won, świniaczko! Książd mi zakazał zadawać się z takimi jak ty.

Od tego dnia mijał boks nie przystając, mimo że docent wypisywał cierpliwie:

Buenos dias, caramba czy Viva Mexico.

Według jego obliczeń Dzień Masarza miał nastąpić już za tydzień. Docent nie widział żadnych dróg ratunku. Rozkręcił wprawdzie parę śrub, ale musiał przyznać, że nawet wydostanie się z boksu nie załatwiłoby niczego, z hali nie można było uciec. Wówczas podjął decyzję:

— Dieta nie wystarczy! Będę pościł.

Głodówkę zaczął od zaraz. Zdwoił również, przy pełnej dezaprobachie współplemieńców, swoje ćwiczenia gimnastyczne. Efekt — w tydzień stracił trzydzieści kilogramów i zwiększył swoją niezwykłą zręczność.

* * *

Miodowy miesiąc na Bahamach, miesiąc, podczas którego śniade ciała nowożeńców lgnęły do siebie jak dwa kawałki magnesu, dobiegł końca. Holdingowie musieli wrócić do swej nowej willi i codziennych obowiązków.

Lucy czekała seria filmów reklamujących wyroby mięsne, docenta dalsze doświadczenia i wykłady dla studentów. Dużą sensację wywołała podana przez wszystkie ważniejsze agencje prasowe wiadomość o odrzuceniu przez znakomitego naukowca Nagrody Nobla. Docent nie przyjął jej bez podania przyczyn. W dziesiątkach spekulacji zastanawiano się, czy na decyzję wpłynęła zadawniona antypatia do Skandynawów, osobista niechęć do wynalazcy dynamitu czy może fakt, iż równocześnie nagrodę literacką otrzymał czarnoskóry irlandzki Żyd, piszący po francusku na Nowej Kaledonii. Decyzja ta najbardziej zdenerwowała doktora Weissensteina. Natychmiast zadzwonił do .wspólnika.

— Oszalałeś, Frank, przecież umówiliśmy się, że połowa idzie dla mnie! Dlaczego nie pojechałeś do Sztokholmu?!

Neo–Holding wykręcał się jak mógł, a wreszcie rozbrajająco przyznał, że po pierwsze nie zna języka szwedzkiego, a co gorsza francuskiego, którymi prawdziwy docent władał niesłychanie biegle, a ponadto na razie woli unikać kontaktów ze środkowoeuropejskimi naukowcami.

— Wiceprezes Królewskiej Akademii był jednym z dawnych wykładowców Holdinga, a połowa postaci liczących się w europejskiej medycynie studiowała na tej samej uczelni, co on. Zjedna Szwedką miał prawie dziecko.

— Bzdurne obawy! — ciskał się brodaty Hans. — Udać chorobę, wyślij żonę albo lepiej

upoważnienie, przysłał ci kopertę do domu. To przecież całkiem ładna sumka.

— Wolę nie ryzykować — odpowiadał O'Hara. Również w życiu domowym zaczęły się problemy. Już trzeciego dnia po powrocie doszło do ostrej sprzeczki małżeńskiej.

— Co się z tobą stało, kochanie, dlaczego nie możesz przypomnieć sobie szyfru do twego sejf? Ani kodów kart kredytowych — zaczęła Lucy. — Urządzanie domu i wakacje pochłonęły wszystkie moje oszczędności.

— Przez ten cholerny wypadek, co rusz natrafiam na niewytłumaczalne luki w pamięci, ale daję ci słowo, to minie.

— Mam nadzieję. Tym bardziej, że i z twoją ręką nie jest najlepiej. Już trzeci czek wraca zakwestionowany. Naprawdę nie potrafisz podpisywać się jak dawniej? — ponieważ mąż milczał, pani Holding ciągnęła dalej: — Gdyby nie moje pełnomocnictwo do twojego banku, nie mielibyśmy z czego żyć.

— A właśnie, chciałbym, żebyś wyjęła dla mnie sta tysięcy, mam na oku pewną korzystną inwestycję.

— Sto tysięcy, teraz? Obiecałeś, że najpierw kupisz i wyremontujesz dla mnie ten stary klub na 12 Alei. Zawsze marzyłam o własnym lokalu.

— Lucy, ja jeszcze dziś muszę mieć te pieniądze — współmałżonek nieomal krzyczy. — Zaciągnąłem już zobowiązania i teraz nie mogę się wycofać!

— To podpisuj się tak, żeby ci wypłacali! I chodź już na obiad. Marta przygotowała pyszne mózdzki wieprzowe.

O'Hara zzieleniał.

— Tylko nie mózdek — szepnął, połykając powietrze niczym wyciągnięty z wody karp. — Mam uczulenie.

— Co ci się stało? Wczoraj nie chciałeś szyneczki, przedwczoraj na stek zareagowałeś jakby ci podano szaszłyk ze szczura. I nie chcesz patrzeć, jak kręcę tę reklamówkę w tuczarni.

— Wybacz, ale...

— Nigdy nie wiedziałam, że masz uraz do wieprzowiny, Will. Czy to kwestia przekonań?

— Przestań, Lucy!

— Wieprzowinka, płynie ślinka! — przedrzeźniała go niczym dziecko.

— Nie, nie chcę, nie mogę!

Uciekł do toalety. Klęcząc nad muszlą, skonstatował, że wszystko było znacznie trudniejsze, niż oczekiwał. Przeszłość atakowała go na każdym kroku. Weissenstein coraz natarczywiej domagał się pieniędzy, życie z Lucy się skomplikowało.

Najgorsze były noce, dziwaczne sny, w których przeżywał makabryczne zdarzenie. Nieraz zrywał się z krzykiem.

— Obudź się, kochany, obudź! — tarosiła go wówczas Lucy. — Coś ci się śniło, najdroższy?

— Nie, nic nie pamiętam — odpowiadał, przytomniejąc.

— Rzucałeś się na łóżku, wołałeś „Hans, ostrożnie z moją przysadką!”

— Niemożliwe.

— A potem — chichotała żona — nie uwierzysz, ale zaczynałeś kwiczeć.

— Co takiego?!

— Kwiczałeś wspaniale, jak najlepszy parodysta. No zrób to jeszcze raz.

Zdenerwowany O'Hara wtulał się w poduszkę. Udawał, że zasypia.

Oczywiście nie miał pojęcia, że w trakcie zabiegu transplantacyjnego chirurgowi drgnęła ręka. Uszkodził fragment mózgu. Ponieważ był jednak wielkim artystą w swoim fachu, a zdefektowany fragment nie należał do najważniejszych, Weissenstein postanowił go dosztukować. Miał do dyspozycji cały, zdrowy mózg świnki.

Kto by przypuszczał, że ten elemencik odezwie się kiedykolwiek w pacjencie. Najpierw w snach, a w jakiś czas później w nieprzepartej chęci wytarzania się w błocie, a jeszcze potem... Ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

* * *

Taśma jest zautomatyzowana, świnki jadą ku swemu przeznaczeniu ruchliwym chodnikiem, są wazone, a następnie wpadają do sali uboju. Rytm jest jednostajny, nic dziwnego, że zmęczeni nadzorcy śledzą cały proces jedynie kątem oka.

Harry Ridge, starszy nadzorca, żuje gumę i myślami wędruje po galerii malarstwa nowoczesnego, w której pracował jako strażnik przez rok, dopóki nie zwolnił się, nie mogąc patrzeć na wybryki konceptualistów.

— Dopiero przy nierogaciźnie człowiek czuje się w pełni człowiekiem — powiedział kiedyś w

reportażu z cyklu „Nasza praca, nasza miłość”. Z nostalgicznej zadumy wyrwa go głos pomocnika:

— Łaciata ma olbrzymią niedowagę. Może jest chora? Co z nią robimy?

Ridge niepokoi się. Jedna chora sztuka może rzutować na całą produkcję i premię. Tylko nam tu brakowało choroby wkurwionych świń.

— Zrzućcie ją z taśmy, ja wezwę weterynarza — mówi, a następnie kopniakami kieruje docenta Holdinga w stronę wewnętrznego patio.

— Moim zdaniem ona jest tylko głupia — mądry się pomocnik — parę razy wyrwała chłopakom po kawałku gazety tak, jakby chciała ją przeczytać.

— Może brakowało jej jakichś witamin — zastanawia się Ridge. Dzwoni do dyżurnego medyka. Nikt nie odpowiada. Jak ma odpowiadać, skoro cały prawie personel zgromadził się w salach produkcyjnych, gdzie pomiędzy parującymi półtuszkami wieprzowymi Lucy Holding kręciła najnowszy klip reklamowy.

Ridge tylko na moment spuścił z oczu świnkę, pozornie sprawiającą wrażenie osowiałej. To wystarczyło, akurat ktoś z personelu uchylił drzwi wiodące do budynku administracyjnego. Docent podjął decyzję, w ułamku sekundy. Świnka dała susa w przód, obaliła pomocnika i wyprzedzając reakcję Ridge'a, wpadła w otwarte drzwi.

— Łapać ją, łapać, może być wściekła! — woła nadzorca.

Czworonożny docent biegnie jak strzała opustoszałym korytarzem. Dopada wyjścia na zewnątrz — zamknięte! Daremnie tarmosi ryjem klamkę. A Ridge goni; pozostają schody na górę. Świnka wbiega na piętro i, wzbudzając popłoch wśród sekretarek w przedpokojach dyrektora Ham and Co., wpada w uchylone drzwi. Dyrektor tego przodującego przedsiębiorstwa, który przed laty praktykował za granicą, zajęty był właśnie konsumpcją kanapki z salcesonem, obok na gazecie spoczywał korniszon i słoik dżemu.

Jak zeznał, w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi na niespodziewanego przybysza, rzucił standardowe: „Nie ma mnie”, a kiedy coś dużego wskoczyło mu na biurko, uniósł wzrok i przez moment miał wrażenie, że salceson ożył.

Tymczasem świnka skonstatowała, że w dyrektorskim oknie nie ma krat, skoczyła do przodu, trój skokiem odbiła się od blatu, piersi dyrektora i parapetu. Akurat w środku wybetonowanego parkingu znajdował się kwietnik w kształcie napisu „Młódzież rzeźna przyszłością konsumenta”. Zwierzę wpadło miękko między goździki, przekoziółkowało parę metrów, ale pozbierało się szybko i minąwszy nie domkniętą bramkę, znikło za rogiem ulicy.

Sekretarki histeryzowały, obawiając się, że ucieczka świni jest skutkiem anarchistycznej propagandy, dyrektor zemdlał, a pan Ridge powtarzał w kółko jak zdezelowana płyta:

— Jaki jest numer policji? Zadzwońcie na policję. To bydlę jest groźne dla otoczenia!

W tym samym czasie łaciaty docent Holding, nieświadomy jak blisko znajdował się swej ukochanej, utykając z lekka, biegł już brzegiem ocienionego kanara irygacyjnego, kierując się w stronę wielkich śmietnisk. Trudno powiedzieć, czy miał jakiś sprecyzowany plan, od Holliday Spring dzieliło go przeszło czterysta kilometrów, wiedział natomiast jedno — uniknął najgorszego i jakiś lepszy lub gorszy (a miejmy nadzieję, że tym razem korzystny) ciąg dalszy mógł i musiał wkrótce nastąpić.

Rozdział 4

Dyżurny policjant Rick Simpson kończył już służbę, dlatego telefon, który w normalnej sytuacji powinien go rozbawić, teraz niesłychanie go zirytował.

— Świnia uciekła? Jaka świnia? Łaciata? Popełniła jakieś przestępstwo? Co? Uciekła z zakładu zamkniętego? Może jeszcze raz przeliteruje pan nazwisko poszukiwanej? Nie ma nazwiska, to przynajmniej imię. Rasy proszę nie podawać, bo ze względu na poprawność polityczną nasze kwestionariusze nie zawierają takich rubryk. Powiedźcie lepiej, jakie macie wobec niej zarzuty? Zachowywała się nieobyczajnie? Zaraz, jeśli nie zajmowała się narkotykami, nic nie ukradła i nikogo nie zabiła, to nie jest sprawa dla nas. Zgłóście się do Biura Rzeczy Zagubionych!

Ze słuchawki padło parę klątw i kilka dosadnych uwag na temat inteligencji aparatu ścigania; Rick nie pozostał dłużny:

— Czy pan orientuje się, że obraża urzędnika na służbie? A właściwie już prawie po służbie?

Rozmówca spuścił z tonu, powtarzając jednakże, że zwierzę jest najprawdopodobniej wściekłe, a więc groźne dla otoczenia.

— A czy może przyczyniać się do zakłóceń w ruchu ulicznym? — spytał pojednawczo Simpson. — Może? W takim razie zainteresujemy sprawą drogowką. Naturalnie dziękuję wam za wykonanie obywatelskiego obowiązku. — To mówiąc, sporządził notatkę dla zmiennika, po czym pospiesznie opuścił komisariat. Była 14:25, Molły, która miała mu wypełnić najbliższe popołudnie, musiała być już dobrze zdenerwowana jego spóźnieniem.

* * *

Jednoszynowa kolej ekspresowa relacji północ-południe sunęła z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. W luksusowych kabinach drzemali podróżni. Dla lepszego samopoczucia do snu kołysały ich nadawane przez głośniki efekty akustyczne starej sympatycznej kolei parowej. Linia płynnymi łukami omijała większe aglomeracje; wiadukty poprowadzono śmiało ponad kanionami, bagniskami czy parkami narodowymi, których z racji zmiernych i tak nie było widać. Doktor Weissenstein wracał do instytutu z trzydniowego kongresu chirurgów w Seattle poświęconego zagadnieniom transplantacji mózgowi metodą Holdinga, metodą, o której było coraz głośniejsze w całym kraju. Nareszcie liczba zwolenników zaczęła przeważać nad rzeszą przeciwników. Hans był — w znakomitym humorze z jeszcze paru powodów. Po pierwsze, lubił jazdę pociągami, co wynikało z zabobonnego wręcz lęku przed lataniem. Po drugie, za parę godzin upływał ostateczny termin kolejnej wpłaty od O'Hary. Szantażystę cieszył nie tylko nowy przyływ gotówki, dodatkowo prawdziwą satysfakcję sprawiało

mu obserwowanie bezradnej wściekłości Franka.

Ekspres minął tunel pod Wielobarwnymi Skałami i posuwał się skrajem parku narodowego, do celu pozostało około stu pięćdziesięciu kilometrów. Hans odłożył dwa numery „Młodego Sadysty” (ilustrowanego periodyku wydawanego na papierze ściernym) i wtulił się w oparcie kanapy. Zostało mu pół godziny drzemki. Nie licząc dziesięciminutowego opóźnienia, które mogło przecież wzrosnąć i...

Naraz otworzyły się drzwi.

— Wykupiłem cały przedział — burknął, nie podnosząc powiek.

— Ja tylko na chwilę — powiedział głos Williama Neo-Holdinga.

Weissenstein zaskoczony otworzył oczy.

— Skąd się tu wzięłeś, Frank?

— Miałem parę zajęć w terenie, poza tym zaciszny przedział to znakomite miejsce do porozmawiania.

— O czym tu mówić? — chirurg stawał się coraz bardziej opryskliwy. — Masz pieniądze?

— O tym właśnie chciałem pogadać.

Ekspres bezszmerowo wynurzył się z tunelu i znalazł się na dwudziestoparokilometrowym wiadukcie, jakiego nie powstydziliby się żaden lunapark. Wśród mroków nocy przypominał świetlistego węża, pędzącego w sobie tylko znanym kierunku.

* * *

Po południu ustała dokuczliwa mżawka, która całe rano dawała się we znaki uciekającej śwince. Przy okazji jednak uniemożliwiła psom podjęcie śladu, co ułatwiłoby pościg. Wykorzystując kanały irygacyjne, maciora oddaliła się od miasta, chyłkiem przebyła śmietniska i znalazła się wśród pól uprawnych oraz gajów owocowych. Wraz z pojawieniem się słońca prędko zaczął narastać upał. A świnka nie pozwalała sobie na dłuższy niż parominutowy wypoczynek w cieniu. Żałowała, iż nie poczekała na złomowisku do zmierzchu. W ciągu nocy łatwiej udałoby się dotrzeć do rezerwatu. Tam poczułaby się bezpieczniej.

— Chyba, że drapiezniki? — pomyślał Holding, marszcząc ryjek. Od wczesnej młodości wielokrotnie odwiedzał ten rozległy kompleks skalno-leśny i znał dość dobrze jego mieszkańców. Lwy górskie, wilki, niedźwiedzie czuły wprawdzie mores przed ludźmi, ba, chętnie przychodziły na parking zebrać o przysmaki, ale co mogło je powstrzymać od zaatakowania apetycznej świni? Był

całkowicie bezbronny.

W pobliżu jakiejś ubogiej farmy musiał przeciąć drogę. Zrobił to szybko, ale i tak spostrzegł go jakiś malec wyglądający przez okno.

— Mamusiu, żywy hamburger ucieka — zawołał na widok Holdinga.

— Cicho bądź, gówniarzu, wiesz, że jestem na diecie!

Wzmógł czujność. Szczęśliwym trafem udało mu się ominąć grupę rolników pracujących na polu. Ciemna ściana lasu była coraz bliższa. Ostatni kilometr przebył rowem obok szosy. Wcześniej trafił się mały stawek pokryty rzęsą. Utyłł się, ile mógł, w zielonym paskudztwie i gdy tylko przejeżdżał jakiś pojazd, nieruchomiał na dnie rowu, pragnąc wtopić się w otaczającą zieloność.

— Wyglądam zapewne jak świnia z sił specjalnych — zaśmiał się w duchu.

Zresztą kierowcy, zajęci swoimi problemami, nie obserwowali dokładnie zawartości rowów. Niemniej dopiero po wejściu do lasu poczuł się w miarę bezpiecznie. Głodu nie odczuwał, mimo wstrętu i wewnętrznych oporów znakomicie napasł się na śmietniku (ależ ci ludzie marnują dary boże!), a potem dopełnił witaminami, maszerując przez tereny rolnicze.

Las był wonny, cichy i bezludny, co napełniło go dodatkową otuchą. Wybrał przesiekę biegnącą prosto na południe. Według obliczeń, w dwa dni powinien dotrzeć na drugą stronę rezerwatu. Ale co potem? Jak pokona gęsto zaludnioną okolicę i bezkresne przedmieścia Holliday Spring?

Zamyślony, omal wdepnął na jakąś parkę migdałową się na kocyku.

— O, przepraszam — chciał powiedzieć, ale wyszedł mu tylko kwik. Zamarł ze strachu.

— Słyszałeś? — pisnęła Molly.

— A co miałem słyszeć? — sapnął posterunkowy Simpson. — Kocham cię, moja mała świnko morska. Tylko nie rozpraszaaj się. Co robisz? Nie było komendy spoczniej!

Ale Molly wysunęła się spod niego i przykryła halką.

— Czy, czy są tu dziki? — zapytała rzeczowo.

— Naturalnie, że są — policjant był trochę zaskoczony, ale nie tracił poczucia humoru. — Tu wszystko jest dzikie; dzicy ludzie, dzikie koty... ale na pewno nie ma twojego dzikiego męża. No, chodź.

— Może mi się tylko wydawało, ale przysięgłabym, że widziałam dzika koloru khaki — szepnęła.

Chwilę nasłuchiwali, jednak w lesie panowała niezmacona cisza. Wrócili do przerwanych zajęć pozamałżeńskich.

Dobry kwadrans Holding siedział przycupnięty w krzakach, nie ośmielając się odetchnąć. Gdy jednak zobaczył, że para wraca do przerwanych igraszek, zaczął się powoli wycofywać, przed tym jednak dokładnie obejrzał całą polankę. Obok koszyka z wałówką i odzieży wiszącej na krzakach uwagę jego przykuł jeden przedmiot: pistolet w skórzanej kaburze.

— Przydałby mi się jak nic — pomyślał.

W pięć minut potem, gdy Rick palił papierosa, a Molly płukała się w potoku, nagle ozwał się klakson służbowego wozu. Policjant chwycił portki i wskazując w nie w biegu, pomknął do forda zaparkowanego na skraju przesieki. Molly pogoniła za nim. Drzwi samochodu zastali otwarte, ale poza tym wszystko było na miejscu. Nikogo nie zainteresował magnetofon ani radio.

— Jakiś cholerny żartowniś! Kurza twarz! — zaklął Simpson. Wrócili do gniazdka miłości. Jednakże poprzedni nastrój prysnął. Tym bardziej, że miało się ku wieczorowi i zewsząd pojawiły się stada komarów. Rick nałożył koszulę, począł zwijać koc i wówczas zauważył brak służbowej spluwy.

* * *

Lucy Holding miała chandrę. Mało, że po powrocie do domu nie zastała męża, chociaż powinien dawno być (Neo–Holding zdecydowanie mniej przejmował się pracą, niż prawdziwy docent), to jeszcze nie potrafiła przestać myśleć o tej biednej Dolores. Przeważnie piękne dziewczyny mają powiernicę od serca brzydką jak noc. Lucy była wyjątkiem nie potwierdzającym reguły — jej jedyna prawdziwa przyjaciółka, Dolores Mendoza, córka ognistego Meksykanina i energicznej Irlandki, była bodajże najpiękniejszą laseczką w całym obfitującym w luksusowe dupcie rozrywkowym zagłębiu o nazwie Holliday Spring.

Cheersleaderki w jednej ze szkół wyższych zadebiutowały równocześnie jako pin–up girls, z tym, że o ile Lucy posiadała dość inteligencji, by popracować nad sobą i nauczyć się śpiewu i tańca, Dolores wybrała karierę mężczyznożerczego pnącza. Doskonale świadoma swoich walorów, po krótkim stażu jako cali girl (w ramach doskonalenia zawodowego), postanowiła sprzedawać się rzadko i drogo, a półtora roku temu została na stałe dziewczyną Richarda Karsky’ego, najbogatszego z magnatów środkowego Południa. O majątku tego przemysłowca (11 miejsce na liście tygodnika „Straight Magazine”) krążyły przedziwne opowieści; mówiono, że ten syn ubogiego emigranta ze środkowej Europy sam nie wiedział już, ile jest wart. A swoje aktywa zna z dokładnością do miliarda dolarów. Nie oznaczało to jednak, że dla zdobycia kolejnych głupich pięciuset milionów cofnąłby się przed czymkolwiek. Tu cytowano zazwyczaj zagadkową śmierć wiceprezydenta Santosa czy zamach stanu w Kostaryce, a może Salwadorze. Każdy jednak zimnokrwisty rekin posiada słabe punkty i Karsky nie był wyjątkiem — chorobliwie skąpy odnosił do supermarketu puste butelki, by odzyskać kaucję. Po poznaniu Dolores stał się wręcz rozrzutny. Zakupił dla niej wytwórnię filmową, która wyprodukowała zaledwie jeden film „Zmysły, zmysły, zmysły” z panną Mendoza w roli głównej. Film prawdopodobnie pobiliłby wszystkie rekordy kasowe (i to raczej nie ze względu na

wartości artystyczne), gdyby nie szła, w jaki wpadł Karsky podczas prapremiery.

Najpierw kazał wyciąć wszystkie sceny, w których jego narzeczona grzeszyła przeciwko wszelkim przykazaniom. Po tym zabiegu pozostało ledwie dziesięć minut filmu, a i to pełnych bluźnierstw pod adresem wszystkich świętych i matki swojej, toteż przemysłowiec polecił zniszczyć wszystkie kopie, a partnerów Dolores wysłać karnie do teatrzyków kukielkowych. Dziewczynę zamknął zaś niczym księżniczkę w rezydencji, zezwalając jedynie na kontakty ze szkolną koleżanką i ogrodnikiem (karłem i w dodatku eunuchem).

Do czasu poznania miliardera obie panienki wynajmowały wspólnie mieszkanie, w którym — zgodnie z umową — do południa Lucy brała lekcje solfeżu i odbywała próby, zaś po południu Dolores „pozowała” klientom (jak eufemistycznie nazywają ten rodzaj usług funkcjonariusze Armii Zbawienia). Wieczorem obie bawiły się wesoło za pracowicie zarobione pieniądze.

Poznanie Karsky’ego zbiegło się w czasie z początkiem romansu Lucy z docentem transplantologii. Chociaż obie panny ustatkowały się, to nie zerwały kontaktów. Lucy musiała słuchać o nowych futrach kupionych przez Karsky’ego, a Dolores o kolejnych doktoratach honoris causa Holdinga.

Na spotkania twarzą w twarz i biustem w biust było jednak mniej czasu.

I naraz, w połowie lipca, dotarł do Lucy z parotygodniowym opóźnieniem rozpaczliwy list ze szpitala im. Flemminga (tego od penicyliny, nie od Bonda). Natychmiast odwiedziła luksusowy pawilon izolatki lecznicy w Wildstone i tam przeżyła szok. Najseksowniejsza dziewczyna kontynentu, jak nazwały ją niedawno tygodniki, po prostu umierała. Lekarze nie dawali jej żadnych szans, zaawansowany rak mózgu wkroczył już w taką fazę, w której nawet wspaniały docent Holding rozłożyłby ręce i zajął się przygotowaniem formularzy aktu zgonu. W momencie wizyty pani Holding chora już jej nie rozpoznała. Dodatkowo przerażające było, że po Dolores nie widać było choroby, odżywiana kroplówkami, podtrzymywana najnowszą aparaturą wydawała się spać, piękniejsza niż kiedykolwiek.

— Utrzymujemy ją sztucznie przy życiu — wyjaśniał młody lekarz, Alain Lecoq. — Gdyby nie weto pana Karsky’ego, zdecydowalibyśmy się na odłączenie aparatury reanimacyjnej. W mózgu Dolores zaszły już nieodwracalne zmiany — tu westchnął — pani, jako żona docenta Holdinga, u którego miałem przyjemność praktykować w zeszłym roku, najlepiej zdaje sobie sprawę, że istnieją jeszcze wypadki, w których medycyna pozostaje bezradna.

Lucy skinęła głową.

— Moim zdaniem — kontynuował Alain — mimo wszystkich rewelacyjnych postępów w wielu gałęziach medycyny osiągamy jedynie to, że ludzie umierają na coraz inne choroby. Uporaliśmy się z infekcjami, z epidemiami, więc na pierwsze miejsce wysunęły się schorzenia układu krążenia; kiedy opanowaliśmy zawały, zatriumfowała miażdżyca. Teraz na czele naszej statystyki jest rak.

— A jeśli i jego zwalczycie?

— Będą nas niszczyć choroby cywilizacyjne: psychostresy, manie samobójcze, nerwice. Człowiek

nigdy nie osiągnie nieśmiertelności. Ale — dodał jakby na pocieszenie — to jest tylko moje prywatne zdanie.

Wszedł Karsky i Lucy cofnęła się o parę kroków. Stary rekin miał łzy w oczach.

— Musicie ją ratować! Jeśli umrze..., to ja po prostu nie wiem, co zrobię — tu chwycił Lecoą za rękę. — Panie doktorze, musi pan coś zrobić, w końcu to ja utrzymuję tę całą waszą nieudaczną klinikę!

Pani Holding wycofała się dyskretnie. Trzy godziny później, kiedy leżała sama na olbrzymim małżeńskim łożu, po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że pełnego szczęścia nigdy nie można osiągnąć, a im więcej się złapie z jednej strony, tym mocniej można oberwać z drugiej. Tu nasunęła się jej refleksja: oboje z Williamem jesteśmy tak bezgranicznie szczęśliwi. Czy to znaczy, że powinniśmy zacząć się czegoś bać, na zapas?

* * *

— Słuchaj, Hans — słowa Neo–Holdinga, wypowiedane tonem twardym i zdecydowanym, górowały nad intymnym stukotem kół wagonu, wypełniającym wnętrze przedziału. — Nie dostaniesz ode mnie już ani centa.

— Czyżby? — brodaty olbrzym zarechotał.

— Na pewno! Koniec z forszą!

— Publikatory będą miały ogromną uciechę, gdy dowiedzą się, że znakomity docent to tylko zewnętrzne okrycie skrywające szarlatana, gdy tymczasem prawdziwy mózg Holdinga znajduje się już zapewne na talerzu jakiegoś smakosza. — Weissenstein poprawił się w fotelu i zadowolony z siebie spoglądał na szantażowanego.

— Zapomniałeś, Hans, że jesteś współwinnym.

— Rozmawialiśmy już o tej sprawie. Poza tym doszedł pewien istotny szczegół. Byłem z wizytą u zaprzyjaźnionego psychiatry.

— I co?

— Ocenił, że jestem nienormalny, sadysta z elementami paranooidalnymi, ergo nie odpowiadam za swoje czyny. W najgorszym przypadku wsadzą mnie do zakładu zamkniętego. Byłem tam już kiedyś w młodości. Podła dziura. Ale z zakładu można uciec, ciebie zaś czeka... — wymowny gest zastąpił słowa.

Ku zaskoczeniu chirurga, elegancki skafander Holdinga — jak określiliby powłokę cielesną O'Hary

znawca parapsychologii — nie wyglądał na zastraszonego. Przeciwnie, wynurzenia doktora przyjął z ulgą, tak jakby ich oczekiwał, a zarazem pozbywał się ostatnich wątpliwości. W jego rękę pojawiła się mikrostrzykawka w kształcie szpilki do krawata i nim Weissenstein zdołał cokolwiek powiedzieć lub się zasłonić, igła wbiła się w jego pierś.

— Dlaczego mnie ukłułeś? — wrzasnął, ale nie musiał czekać na odpowiedź. Jakby niesiony szybkobieżną windą zapadał się w dół i w dół.

O'Hara uśmiechnął się. Znów poszło mu nadspodziewanie łatwo. Reszta też nie powinna sprawić trudności. Rozebrał współnika, schował jego rzeczy do pustej torby, po czym napiąwszy wszystkie mięśnie, dotoczył dwumetrowego draba do wyjścia awaryjnego. Następnie przypiął się do fotela, zerwał plomby i uruchomił dźwignię z napisem emmergency exit. W sekundę potem ciało doktora Weissensteina wessane przez pęd powietrza poszybowało w mrok. Teraz pozostało tylko zamknąć drzwi i szybko oddalić się z przedziału. Konduktor, zaalarmowany dźwiękiem sygnalizującym otwarcie drzwi zewnętrznych, nadbiegł z przeciwnej strony. Kabinę zastał pustą tak, jakby nigdy nikt w niej nie siedział. A ekspres mknął dalej estakadą ponad parkiem narodowym.

* * *

Łaciaty docent uszykował sobie nocleg w kupie liści, pod skalnym nawisem. Znajdował się w sercu rezerwatu. Dwukrotnie sprawdzał funkcjonowanie pistoletu, który z niemałym trudem uwiązał sobie na szyi.

— Jeśli będę go trzymać ryjem, to raciezkami uda mi się uruchomić spust. Oj, nie chciałbym być w skórze bestii, która miałaby ochotę na wieprzowinę.

Zaczął zapadać w sen, gdy nagły rumor, dziwny łoskot, zmącił nocną ciszę ostępu. Zerwał się na równe kończyny.

Trzęsienie ziemi? Szarża bizonów? Po chwili zorientował się, że zaledwie kilkadziesiąt metrów od jego legowiska przebiega estakada jednoszynowej kolei. Łoskot przybliżał się. Jak łańcuszek bursztynów przeleciała nad nim smuga rozświetlonych okienek i coś podobnego do ogromnego tłumoka spadło na ziemię, przekoziołkowało po skałach, by zatrzymać się w zaroślach, ledwie parę kroków od niego. Zainteresowany pobiegł tam spiesznie.

— O, mój Boże!

W słabym świetle księżycy dostrzegł nagi pogruchotany kadłub, twarz wręcz nie do zidentyfikowania. Chciał uciec, ale nawyk zawodowy okazał się silniejszy, w śwince obudził się lekarz. Pochyliła się nad nieszczęśnikiem.

Jeszcze żyje. Czaszka wygląda na nienaruszoną, co robić? Bez pomocy umrze w pół godziny.

Wzdłuż toru znajdowały się rozsiane dość gęsto punkty łączności przydatne tak dla kolejarzy, jak i służby leśnej. Samo zdjęcie słuchawki uruchamiało sygnał. Holding stłukł szybką pistoletem i ryjem strącił słuchawkę.

* * *

W szpitalu im. Fleminga trwał ostry dyżur. Doktor Alain Lecoq pił akurat herbatę, którą zaparzyła dla niego siostra Jane, kiedy wezwano go na salę operacyjną. Pośpieszył co sił w nogach. Myjąc ręce w łazience, spotkał się z profesorem Merlinim, szefem oddziału. Profesor w odróżnieniu od młodego chirurga uchodził za zdeklarowanego przeciwnika przeszczepów, ale tym razem patrzył na Lecoqa inaczej niż zwykle.

— Mamy przypadek, wobec którego jestem zupełnie bezsilny. Przed chwilą helikopterem dostarczono do szpitala ledwie żywy strzęp ludzki. Właściwie tylko mózg jest nienaruszony, reszta — lepiej nie mówić. Dużo rzeczy w życiu widziałem, ale ten widok po prostu mną wstrząsnął.

— Pewnie ofiara jakiegoś wybuchu? — domyślił się Alain.

— Ach ci terroryści!

— Nie, nie. Akurat tego nieszczęśnika znaleziono w parku narodowym, opodal torów kolei ekspresowej. Nie miał żadnych dokumentów. Chyba nie da się nawet zdjąć linii papilarnych, Najprawdopodobniej samobójca. Ma pan pojęcie, doktorze, wyskoczyć w biegu z pociągu pędzącego przeszło dwieście kilometrów na godzinę i jeszcze żyć? Ale to nie jedyna niespodzianka w tej sprawie. Proszę sobie wyobrazić, drogi kolego, nie znaleziono nikogo, kto mógłby wezwać pomoc.

— To się zdarza.

— Najdziwniejsze, że wokół toru i budki z syreną ziemia jest gliniasta, a przed południem padało.

— No i?

— Jedyne ślady, na jakie natrafiono przy uruchomionej syrenie, to racice świni. Ale wróćmy do sprawy. Zupełnie nie wiem, co z tym zrobić? Na razie utrzymujemy ten mózg sztucznie przy życiu, ale jak długo to może potrwać? Pan jest orędownikiem metody Holdinga, ma pan okazję spróbować przeszczepu mózgu. Gdyby znalazło się jakieś zdrowe ciało bez głowy, wyjątkowo zezwoliłbym na eksperyment.

W tym momencie, mimo protestów pielęgniarek, do łazienki wdarł się Karsky. Był nieomal siny ze zdenerwowania.

— Profesorowie spokojnie myją ręce, a pielęgniarka powiedziała mi, że ona umiera! Moja

Dolores umiera! — wrzasnął. Coś zaświtało Alainowi.

— Panie Karsky — rzekł uroczyście — nie mogę uratować panny Mendoza..., jej mózg jest już, jak by to powiedzieć...

— Co mi po jej mózgu! — prychnął finansista. — Nigdy nie podejrzewałem, że w ogóle coś takiego posiada. Ale jej ciało, jej cudowne, dziewczęce ciało!

— Czy w takim razie zdecydowałby się pan na ryzyko? — Lecoq ciągnął dalej, przerażony własną śmiałością. — Czy zgodzi się pan na dokonanie przeszczepu mózgu, wiedząc, że panna Dolores otrzyma cudzą świadomość?

— Tak, tak!

— Ale nie wiemy nawet czyją. Przed chwilą dostarczono nam ciało niezidentyfikowanego osobnika, prawdopodobnie samobójcy!

— Róbcie swoje, byle szybko!

Lecoq spojrział na profesora, ten zakładał rękawiczki.

— Nie mówię nie — mruknął.

Karsky postawił tylko jeden warunek — nikt nie dowie się o zabiegu. Zwłaszcza wszędobylscy paparazzi. Niezidentyfikowany oficjalnie umrze, a Dolores pozostanie sobą. Dla lekarzy było to nawet na rękę. Toteż niedługo potem na salę operacyjną wjechały dwa wózki, na jednym znajdowało się blade, ale bardzo piękne ciało seksbomby, na drugim wszystko, co zostało z doktora Hansa Weissensteina. W godzinę potem salę operacyjną opuścił tylko jeden wózek. Resztę wyniesiono w kubleku.

Rozdział 5

Komisarz Burton nie lubił poniedziałków. Ten jak zwykle zaczął się dość nerwowo, aczkolwiek tym razem głównym winowajcą nie był weekend, który przyniósł zaledwie sto dwadzieścia trzy poważniejsze kraksy, pięć morderstw i kilkanaście samobójstw, w tym jedno oryginalne — skok z pędzącej kolei ekspresowej. Przed siwawym szefem policji okręgowej w Wildstone wylądowała teczka, na której ręką sekretarki wypisane zostało — „Kryptonim Świnia”! Burton poślinił długopis (nawyk z czasów, kiedy używał kopiowego ołówka) i delektując się smakiem tuszu, począł przeglądać kolejne załączniki:

- 1) Meldunek o ucieczce jednego egzemplarza nierogacizny z zakładu wysokoenergetycznego skarmiania.
- 2) Raport sierżanta Simpsona o kradzieży służbowego pistoletu, numer seryjny etc.
- 3) Protokół o śladach racic w rejonie wypadku.

(Ten dokument komisarz zmiął energicznie i wrzucił do kosza, albowiem mógł on świadczyć na korzyść poszukiwanej). Dookoła na biurku piętrzyła się literatura fachowa: „Chów trzody”, „Konstytucja”, „Prawa i obowiązki zwierzyny domowej”, „Vademecum myśliwego”, „ABC ścigania w sytuacjach ekstremalnych”, „Wścieklizna w domu i zagrodzie”. Nim jednak zdążył przebić się przez tę tonę makulatury, sekretarka doniosła kupkę kolejnych informacji:

Na przedmieściu Wildstone łaciata maciora dokonała zuchwałej kradzieży, wypijając mleko spod drzwi niejakej panny O'Connor.

W piętnaście minut potem poszukiwana przywłaszczyła poranny dziennik z ulicznego dystrybutora, nie uiszczając należnej opłaty. Istnieje podejrzenie, że dokonała również kradzieży mapy z księgarni.

Na skrzyżowaniu Bridge Road i Sacramento Drive obaliła obywatela pragnącego ją zatrzymać.

— Nie umknie nam — pomyślał Burton. — Dopóki przebywała w rezerwacie, nasza praca przypominała szukanie igły w stogu siana. Teraz świnia znajduje się na terenach gęsto zamieszkałych i — z niewiadomych przyczyn — uparcie dąży w kierunku południowym. Wściekła, nie wściekła, złapiemy ją!

W pokoju obok oczekiwał go tłum współpracowników, a przez uchylone drzwi usiłowała wcisnąć się czereda dziennikarzy.

— Co jest z tą wścieklizną? — wołał brodac z „Wildston Post”, a wtórowali mu inni. — Niektóre szkoły odwołują zajęcia. W restauracjach zauważono daleko posuniętą rezerwę konsumentów — w stosunku do wieprzowiny. A zwierzchnik miejscowych muzułmanów zamierza rzucić fatwę na każdego, kto zada się z tą świnia.

Burton uciszył wszystkich wystudiowanym ruchem rąk.

— Sprawa jest naprawdę błaha, a przypadek zwierzęcej paranoi zjawiskiem odosobnionym — powiedział. — Tak czy siak, do wieczora będziemy ją mieli. Mam nadzieję, że podczas następnej konferencji prasowej będziemy mogli uraczyć państwa karkówką.

* * *

Tego dnia fałszywy Holding dotarł do instytutu przed wszystkimi zatrudnionymi. Po raz pierwszy od długiego czasu czuł przypływ energii. Rozprawa z Hansem przyniosła mu ulgę. Niedzielne wiadomości, które podały informację o samobójstwie nie zidentyfikowanego pasażera hiperekspresu, upewniły go, że wszystko jest w porządku. W instytucie nikt nie zwrócił uwagi, że Weissenstein nie wrócił jeszcze z kongresu w Seattle.

— Znow się udało! — rzekł do siebie, wchodząc do dawnego gabinetu Holdinga.

Nie odczuwał żadnych wyrzutów sumienia. Był głęboko przekonany, że zabójstwo tego wyjątkowego szubrawca było koniecznością, a nawet czynem godnym pochwały. Świat bez sadystycznego chirurga był z pewnością światem odrobinę lepszym. A poza tym, pod każdym względem, szło ku lepszemu. Udało mu się nareszcie podrobić podpis docenta, a w niedzielę Lucy oznajmiła mu, że spodziewa się dziecka. Miał nadzieję, że nie będzie podobne do Franka O'Hary. W pracy perspektywy też przedstawiały się jak najlepiej. Awans do Rady Wspólników był kwestią dni, a potem? Potem już tylko spokojne, dostatnie życie z Lucy, co pewien czas skok w bok. I w porządku.

Panna Salieri przyniosła mu dokumentację z ostatnich doświadczeń. Przejrzał ją, potem miał krótki wykład dla studentów. Następnie w asyście tłumacza spotkał się z paryskim wydawcą. Chodziło o wydanie tomu prac Holdinga w języku francuskim. Około pierwszej wyskoczył na lunch z Arnoldsonem do włoskiej knajpy naprzeciwko instytutu.

Rozmawiali o nieważnych sprawach z pogranicza polityki i zagadnień podatkowych. Z głośnika w kącie lokalu sączyła się muzyka emitowana w V programie radia i nagle...

„Uwaga! Nadajemy komunikat specjalny”.

O'Hara na moment przerwał konwersację, zamieniając się w słuch.

— Pewno znow powtarzają ten komunikat o świni — mruknął Arnoldson.

— O jakiej świni? — zapytał, udając obojętność, Frank i jednocześnie marząc, żeby ktoś wzmocił fonię.

Jego telepatyczne wysiłki miały odwrotny skutek, opasły barman przerzucił zakres. Popłynęły

dziarskie tony country dla rolników. Przez chwilę jedli w milczeniu, a krewetki wręcz mnożyły się w ustach O'Hary. Dopiero po dwóch minutach ośmielił się zapytać:

— Co to za afera z tą świnią?

— Nie słyszałeś? — zdziwił się Arnoldson. — Od rana nadają ten komunikat. Podobno w rejonie parku narodowego pojawiła się maciora zarażona wścieklizną. Zwierzę jest arcsyptryne i mimo trwającego pościgu dąży uparcie w kierunku południowym, w naszym kierunku. Co ci się stało, Will?

— Nie, nic — wykrztusił wraz z krewetką. — Wiesz, jak interesują mnie wszystkie sprawy parzystokopytnych.

— Moim zdaniem to może być jakaś ciekawa mutantka. Świnia domowa o podwyższonej inteligencji. Wypadek jeden na miliard. Co, idziesz już? Nie dopijesz wina?

— Przypomniałeś mi o jednym doświadczeniu, które muszę natychmiast skontrolować — zawołał Frank, wybiegając z restauracji.

Nogi miał miękkie, serce rozdygotane. Pospiesznie przeczytał popołudniowego brukowca, w samochodzie wysłuchał komunikatu o czternastej, a potem zadzwonił do Lucy.

— Wrócę późno, mam ważną konferencję — oświadczył. W minutę potem połączył się z Dyrektorem Generalnym.

— Szefie, nie dam rady być na dzisiejszym zebraniu, Lucy źle się czuje, wiesz, pierwsze miesiące. Chciałbym być razem z nią.

Trzeci telefon wykonał do sekretarki:

— Niech nikt, w żadnej sprawie, nie dzwoni do mnie do domu, będę bardzo zajęty.

Telefonowanie zabrało mu trochę czasu. Zdążył jednak ochłonać i w kwadrans po czternastej zupełnie spokojny wszedł do ekskluzywnego sklepu łowieckiego.

Tęgi sprzedawca o wyglądzie nosorożca uśmiechnął się uprzejmie.

— Służę panu.

— Chciałbym nabyć sztucer z celownikiem optycznym. Na grubego zwierza.

— Jak grubego?

— No, co najmniej jak pan.

Marzenia o zemście zajmowały sporo miejsca w myślach docenta Holdinga. Im dalej od rzeźni, tym częściej wyobrażał sobie moment, w którym skoczy O'Harze do gardła i zdemaskuje go przed Lucy. O szczegółach realizacji tego przedsięwzięcia na razie nie myślał. Najważniejsze to dotrzeć na miejsce. Jak na razie szło mu dobrze. Wprawdzie w rejonie Wildstone parę razy został zauważony, za każdym jednak razem ratował go refleks i inteligencja, której nikt nie podejrzewał w nieparzystokopytnym cielsku.

Koło południa dotarł już na drugą stronę miasta i znalazł się w rejonie skrzyżowania autostrad. Wspiął się na niewielkie wzniesienie i zadrżał. Drogi patrolowały wozy policyjne. Z tyłu narastało naszczekiwanie. Obejrzał się. Jacyś osobnicy z psami i fuzjami znajdowali się paręset metrów za nim.

— Ochotnicy obywatelscy, psiakrew!

Pięćdziesiąt metrów w dole, przy drodze, zauważył małą stację benzynową, dwa dystrybutory, sklepik. Stała przed nim niewielka furgonetka pokryta plandeką.

Truchcikiem zbiegł ze wzgórza. Kierowca narzekał na wzrost ceny paliwa, a benzyniarz tłumaczył to geopolityką. Niezauważony Holding wśliznął się do wnętrza pełnego skrzynek z napojami chłodzącymi. Na plandecce widział napis: „Dostawca napitków Abel Hoodson. Holliday Spring!” Świńskie serce zabiło żywiej!

— Jak dobrze pójdzie, jeszcze dziś znajdę się w rodzinnym mieście. Ruszyli, policyjną blokadę minęli łatwo, funkcjonariusz zapytał kierowcę, czy nie widział przypadkiem łaciatej świni, a gdy ten zaprzeczył, przepuścił go bez słowa.

Pędzili z szybkością przeszło 70 mil na godzinę i Holding zaczął się już zastanawiać nad konkretną realizacją zemsty, gdy zapiszczały hamulce.

— Gorąco, jasny gwint, język zasycha — gderał Hoodson, idąc do tyłu po bezalkoholową, orzeźwiającą bourbon–whisky. — A to co? Cholera!

Uderzony ryjem runął na asfalt. Świnka wyskoczyła z samochodu. Zamierzała uciec w pole, gdy jej wzrok padł na pobliski drogowskaz: „Holliday Spring 103 mile”.

— Tak blisko, tak blisko.

Niezdarnie wgramoliła się do szoferki, motor wciąż pracował... Gdyby rączką nacisnąć gaz, a ryjem wziąć kierownicę. Niestety. Fotel kierowcy nie był przystosowany do wieprzowego cielska. Kopytka ślizgały się na pedałach, wrzucenie jedynek było niepodobieństwem. * — Gdyby to był automat. Niestety, trzeba będzie iść dalej pieszo — pomyślał William.

I w tym momencie przy furgonetce zatrzymał się policjant na motocyklu.

— Czy możemy w czymś pomóc? — zapytał uprzejmie.

* * *

O'Hara wynajął helikopter. Nie targował się o cenę, a gdy właściciel spytał, w jakim celu wynajmuje, rzucił krótko:

— Turystyczno–krajoznawczym!

Pilot był młodym sympatycznym człowiekiem. Rychło zorientował się, jak ma wyglądać ta wycieczka krajoznawcza.

— Pan też szuka tej wścieklej świni? Dziennikarz? — spytał domyślnie.

— Jestem z Towarzystwa Miłośników Inwentarza Domowego — odpowiedział naukowiec. — Z ramienia mojej organizacji muszę nadzorować, czy pościg będzie prowadzony metodami humanitarnymi.

— Zupełnie słusznie — zgodził się pilot — też lubię zwierzęta, mam sześć psów, a żona sześć kotów. Jak poszczuć jednych na drugich, mówię panu, ubaw po pachy!

— Możemy zejść trochę niżej — zaproponował Frank. Porównał krajobraz z mapą. Odnalazł tory kolejowe, rozpoznał dzielnicę przemysłową i drogę łączącą najkrótszą linią Wildstone z Holliday Spring. Świnia, jeśli nie była kompletną kretynką, musiała wędrować gdzieś tędy. Oczywiście nie szosą, może miedzami, zaroślami, rowami. — Jeszcze niżej i wolniej!

O jednym był absolutnie przekonany: w tym pościgu musi uprzedzić policję. W końcu nie wszyscy mundurowi są idiotami, a Holding jest sprytny, mógłby jakoś nawiązać z nimi kontakt.

Na samą myśl o takiej ewentualności dreszcz przebiegł mu po ciele, w którym tak dobrze się zadomowił.

Swoją drogą William powinien być mi wdzięczny, dbam o jego cielesną powłokę pięć razy lepiej niż on, wyprzystojniałem, pięknie pachnę i perfekcyjnie wywiązuję się z obowiązków wobec Lucy. Tu zachichotał.

— Pan coś mówił? — zapytał pilot.

— Nie, nie. Skrećamy teraz wzdłuż drogi. Co tam się dzieje?

— Patrol policji zatrzymał jakąś furgonetkę.

* * *

Inteligencja nie była najsilniejszą stroną naszego dobrego znajomego Ricka Simpsona, otrzymał wprawdzie rozkaz szukania uciekającej świni, natomiast polecenie nie zawierało instrukcji, aby zatrzymywać nierogaciznę kierującą pojazdami mechanicznymi. Ponieważ jednak, mimo wszystko, nieprzytomny mężczyzna na jezdni i maciora za kierownicą wzbudziły jego podejrzenie, zasalutował i rzekł:

— Poproszę o prawo jazdy — urwał, a jego twarz zastygła w bezgranicznym zdumieniu. Na wysokości swej głowy dostrzegł dziwnie znajomy rewolwer. Lufa była wycelowana w jego stronę, a rewolwerowcem był nie kto inny, tylko łaciata świnia. Usiłował przywołać ją do porządku, ale w odpowiedzi huknął ostrzegawczy strzał, kula gwizdnęła obok niego, po czym lufa wycelowwała dokładniej. Simpson znał dokładnie metodę odwracania uwagi, odrzucił szerokim gestem swego nowego colta i jednocześnie skoczył do przodu, wytrącając rewolwer z ryja.

Rick znał rzecz jasna zasady walki wręcz. Nikt nie uczył go jednak, jak walczyć z ćwiartką tony żywej wagi, z cielskiem, którego nie ma za co złapać. Świnia po prostu go przygniotła, wypadli na jezdnię. Trzasnęły pękające żebra. Simpson miał dosyć.

— Za... zaszła pomyłka! — wybąkał. — Mogę cię zapewnić, obywatelko, że nigdy nie lubiłem wieprzowiny, a na golonkę nawet patrzeć nie mogłem. Mogę odejść? Rozumiem, dziękuję..., już idę.

Sycząc z bólu i potykając się, umknął w krzaki. Świnka zaśmiała się po swoim.

Niespodziewanie blisko odezwał się warkot helikoptera. Lada moment mogło zjawić się więcej policji. Hoodson też z wolna wracał do przytomności.

— Muszę zmykać — pomyślał William i truchtem skręcił w pole między łany kukurydzy, w stronę zabudowań okazałej farmy. Helikopter musiał przegapić ten manewr, bo zaczął się oddalać.

W kwadrans później na miejscu zajścia zjawił się sam komisarz Burton. Nie krył wściekłości.

— Bez przerwy są przez was kłopoty, Simpson — na dodatek okazaliście się offermą i zamiast się do tego po prostu przyznać, opowiadacie mi bajki z tysiąca i jednej nocy.

— A zeznania pana Hoodsona to mało? — bronił się policjant.

— Kierowca jest ciągle w stanie szoku. Nie wie, co mówi. Mam uwierzyć, że świnia strzelała do was z pistoletu? A może jeszcze wyzwalała was na pojedynek?

Rick zamachał rękami, ale w tym momencie towarzyszący im sierżant podniósł z asfaltu jakiś błyszczący przedmiot.

— Znalazłem łuskę!

Burton prychnął jak przedziurawiona opona.

— Co proponujecie?

— Przeszukać tę najbliższą farmę.

— Rozmawialiśmy już telefonicznie z gospodarzem. W obejściu panuje spokój.

— Ale — wtrąca się sierżant Peters — farmer powiedział nam również, że posiada kilkadziesiąt sztuk nierogacizny, hodowanych ekologicznie, w chlewikach.

— Sprawdźmy to!

W zagrodzie z trzodą chlewną panuje ogromne wzburzenie. Tuczniaki zbite w kupę tłoczą się i kwiczą.

— Są tu jakieś łaciate? — pyta Burton.

— Łaciate mam tylko krowy — odpowiada z przekąsem farmer, wysoki drab o smagłej twarzy.

— A jednak jest, jest łaciata! — krzyczy Simpson. — Tam w rogu! Rzeczywiście, wśród kłębowiska cielsk widać jedną świnkę inną niż wszystkie. Sierżant unosi broń.

— W miarę możliwości brać ją żywcem — poleca Burton.

Zamęt w zagrodzie tymczasem sięga zenitu. Płot pęka pod naporem cielsk i trzoda rozprasza się po całym terenie. Policjanci gonią, potykając się o warchlaki, knury i wieprze, usiłując nie stracić łaciatej z oczu. Nie jest to łatwe.

— Tam ucieka, cwaniara, tam! — gospodarz wskazuje bramę po drugiej stronie farmy.

— Cholera — woła Burton — niech ktoś jej przetnie drogę!!! Co jest za tymi zabudowaniami?

— Kawalek pola i wykop z torami kolejowymi. Łatwo można się tam zgubić.

Tymczasem ponad zabudowaniami pojawia się helikopter. O'Hara przegapił incydent na szosie, zwabiony jednak zgrupowaniem radiowozów wrócił ku farmie. Teraz widzi łaciatą jak na dłoni. Między łanami kukurydzy świnka pędzi w stronę linii kolejowej. Szczęka przeładowany zamek. Pada strzał. Pudło!

— Strzela pan do świni? obrońca przyrody? — dziwi się pilot.

— obrońca przyrody przed dewiacjami! — poprawia Frank.

— Ona naprawdę jest wściekła! Pan, jako laik, nie uświadamia sobie niebezpieczeństwa.

— No to przyładuj jej pan i z mojej kasy!

O'Hara strzela ponownie. Potem jeszcze raz.

— Trafiony, zatopiony!!! — woła pilot.

Zwierzę wywija koziółka, przelatuje ponad niskim betonowym progiem i spada na dno kolejowego wykopu. Prawie jednocześnie rozlega się gwizd elektrowozu. Długi skład towarowy przelatuje niczym seria z automatu i znika w tunelu.

— Piękną miałeś śmierć, docencie — mówi cicho O'Hara.

— Godną najlepszego kryminału.

Pilot patrzy na niego z podziwem i ląduje pośród kukurydzy. Od strony farmy nadbiegają policjanci. Na żdźbłach trawy widać krew.

— Dziękujemy panu za pomoc. Mogła się nam wymknąć — mówi Burton do O'Hary. — Pan docent Holding, jeśli się nie mylę? Widziałem pana w telewizji.

Naukowiec kiwa głową i ściska dłoń komisarza.

— Spełniłem tylko swój obowiązek — a teraz chciałbym zabrać tę świnię do instytutu na badania.

— Nie ma co zbierać — odpowiada Simpson, który zbiegł na skraj toru — nawet na mielone się nie nada.

— Na podwórku znaleźliśmy rewolwer, to chyba ten ukradziony tobie, Rick — mówi, zbliżając się sierżant Peters.

O'Hara wraca do helikoptera. Jest bardzo zmęczony. Zasnąć, odpocząć, nie myśleć o niczym.

Jednak gdyby ktoś z uczestników zajścia zajrzał w tym momencie do chlewu, zobaczyłby, jak z kadzi wypełnionej gnojówką wynurza się świnka z plastikową rurką w pysku, otrzepuje się jak pies, a następnie szybko umyka w stronę zagajnika.

— Znakomicie ucharakteryzowałem tę biedaczkę na łaciatą — myśli z odrobiną smutku. — Oddałaś mi nieocenione usługi, koleżanko. Pokój twym podrobom. A teraz muszę na jakiś czas zniknąć. Zemsta poczeka. Postępowałem stanowczo zbyt nieostrożnie.

* * *

Pod wieczór Holding dotarł do pobliskiej stacji towarowej, bocznicy obok cystern i kontenerów widać było niskie platformy załadowane jakimiś maszynami, może były to haubice, detale skrywał brezent. Na jednej z platform wypatrzył sporą szczelinę, w sam raz, by świnka mogła ukryć się przed kolejarzami. Wcześniej, biegnąc obok toru, odczytał napis na tabliczce przyklepionej do wagonu: „Red Hills — Holliday Spring”.

— Mam szczęście! Trzeci raz dzisiaj!

Ledwo znalazła się na platformie, składem szarpnęło, to doczepiono elektrowóz. W pobliżu toru odezwały się męskie głosy. Przycupnęła w swej kryjówce, starając się nie oddychać. Dwóch kolejarzy szło, sprawdzając wagony. Po dojściu do końca składu jeden z nich odwrócił tabliczkę z miejscem przeznaczenia — „Holliday Spring — Red Hills”.

Pociąg ruszył, a wraz z nim świnka, przekonana, że już za kilkadziesiąt mil napotka Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy!

Rozdział 6

Starymi uliczkami Red Hills, miasteczka jakby żywcem przeniesionego z westernu, szedł żebrak. Białą laską macał przestrzeń przed sobą, a gdy dochodził do jakiegoś parkingu lub większego magazynu, wyciągał swoją gitarę na baterie słoneczne, na ramionach przyczepiał niewielkie kolumny i śpiewał:

„Ludzie, wszystko to marność i ja byłem kiedyś hippisem, lecz przeminęło to z wiatrem, rzućcie mi trochę środków płatniczych!”

Pod koniec zaśpiewu zza pleców ślepcy wysuwało się stworzenie, trzymające w pysku kapelusz. I sypały się obficie monety, a czasem również banknoty, przy akompaniamencie serdecznego śmiechu. Towarzystwem wędrowki byłego hippisa była bowiem łaciata świnka.

Miesiąc minął od dramatycznych wydarzeń na farmie, a łaciaty Holding znajdował się dalej od celu podróży niż w momencie wyruszenia. Pociąg wywiózł go w drugi kraniec kraju, chłodniejszy i zdecydowanie bardziej nieprzyjazny dla ludzi i zwierząt. Przez blisko dwa tygodnie ukrywał się na mokradłach, nękany przez moskity, zdecydowany odczekać, aż sprawa wścieklej maciory trochę przyschnie. Później okazało się, iż w okręgu, w którym wysiadł, lokalna sensacja z rejonu Wildstone w ogóle nie była znana. Sześćset mil to w końcu spory dystans. Uświadomienie sobie tego faktu wpędziło świnkę w stan przygnębienia. Ale właśnie wówczas, nocując pod murem starego cmentarza, napotkał Bezokiego Sama. Żebrak śpiewał.

„Wieczna noc jest formą zamkniętą, a w tym jajku ja, Boży wyrzutek, nie wykluję się za jasną cholere, gdyż składnikiem skorupki jest zło”.

Wokalista postradał wzrok przed laty, gdy pragnąc wydobyć się z narkomanii, popadł w alkoholizm metylowy. Ale nie narzekał na los. W miesiącach chłodniejszych przebywał głównie w swojej posiadłości, zarabiając latem na jej dość kosztowne utrzymanie.

Docent przystanął zafascynowany śpiewaną ideologią. Żebrak wyczuł jego obecność.

— Jest tam kto? — zawołał. — Człowiek? Nie, zwierzę. Czworonożne. Pies. Duży pies. Chodź tutaj, dostaniesz piwa i kiełbasy. Dobrzy ludzie dali mi całe pęto, a ja nie jadam takich wulgarnych wędlin.

Holding, choć w zasadzie roślinożerny, spożył ofiarowaną zakąskę i popił piwem, ale pogłaskać się nie dał. To znaczy uskoczył i Sam zaledwie go musnął kostropatą dłonią.

— Dalmatyńczyk albo bokser z ciebie, piesku krótkowłosey. No, daj głos! Poznam rasę po głosie. Chyba żeś kundel?

Oczywiście świnka nie mogła zaszczekać, nawet gdyby chciała.

— No, nie bądź taki dziki. Też pewnie jesteś sierotą. Gdybyś zechciał, połączylibyśmy siły. Oczywiście musiałbyś umieć nosić kapelusz. Mojego poprzedniego kumpla, Astora, rozjechał walec drogowy, mimo, że miał sokoli wzrok. Jeśli chcesz, mógłbym nazwać cię Astorem Bis. W skrócie Bis. Co ty na to?

Holding nie odpowiedział, ale jego milczenie zostało potraktowane jako znak zgody. Od następnego dnia zaczął się dla obu okres prosperity. Żebrak nie mógł nadziwić się ludzkiej hojności, gdy przeliczał zawartość kapelusza.

— I tyle papierowych. Dwójka. Piątka. Cholera, dwie dziesiątki. Przynosisz mi szczęście, Bisku.

Banknoty były jednakowego formatu. W jaki sposób niewidomy rozróżniał ich nominały, pozostało dla Williama tajemnicą. Żebrak nie mylił się jednak nigdy. Nie zorientował się natomiast, kto mu towarzyszy, co najwyżej dziwiły go stałe śmiechy przechodniów.

— Musimy wyglądać jak dwie niezłe pokraki, piesku, skoro tak się z nas śmieją, a może ty jesteś krzyżówką ratlera z bernardynem, co? Ale niech się śmieją, byleby płacili.

Początkowo Holding obawiał się publicznych występów, ktoś przecież mógł skojarzyć go ze wściekłą maciorą. Jednak nic takiego nie zaszło, gapie od dawna przestali dziwić się czemukolwiek. Podobno na Wschodnim Wybrzeżu grasował inny żebrak, który potrafił nawet zółwia przyuczyć do zbierania bilonu, po prostu pomalował go metaliczną farbą i namagnesował.

Po paru dniach docent urozmaicił swój repertuar, odstawił kapelusz na bok i w takt gitarowej muzyki wycinał hołubce i stepował kopytkami. Ludzie pokładali się ze śmiechu. Zachęcony powodzeniem zaczął również sterować trasą podróży. Samowi było to, zdaje się, obojętne. Jak większość spraw doczesnych.

— Muszę ci powiedzieć, drogi przyjacielu — zwierzał się — że zostałem żebrakiem z wyboru i ekstrawagancji. Nigdy nie bawiło mnie życie w oparciu o odziedziczony kapitał czy inwestycje na rynku wtórnym. Zobaczysz, i ty polubisz to życie włóczęgi. Gdybyś był jeszcze papugą, stary..., moglibyśmy pośpiewać sobie na dwa głosy, a przynajmniej podyskutować. Choć i bez tego masz łeb do interesów.

Wieczorami Sam, po podliczeniu kasy, przebierał się w przyzwoitsze szaty i niósł utarg do banku, powracał zazwyczaj z jakąś butelczyną, z której część odlewał na miskę dla współnika. Pił, niestety, marne trunki i nic nie wskazywało, że pewnego dnia przerzuci się na preferowany przez Willa gin z tonikiem.

Przed snem ślepiec lubił filozofować na tematy oderwane, a im bardziej alkohol mącił mu umysł, tym bardziej kategoryczne stawały się jego wypowiedzi. Któregoś dnia rzekł:

— Najbardziej nie lubię słuchać, co skrzeczy tłum, a mam świetny słuch, myślisz, że nie orientuję się, że nami gardzą? Dają grosze, ale gardzą..., a ostatnio tyle razy słyszałem to obelżywe słowo: świnia. Bez krzty taktu. Jak mogą tak o mnie mówić? Jakim prawem? Burzuje!

— Holding nie mógł, niestety, sprostować, że ten epitet nie odnosił się bynajmniej do żebraka.

— Z drugiej strony, patrząc pod kątem etyki stosowanej, wszyscy jesteście świnią! Człowiek jest świnią, pies jest świnią. Wszyscy! W zależności od sytuacji. Sytuacja czyni nas takimi, jakimi się stajemy. Nie wierz, piesku, w osobowości ukształtowane raz na zawsze. Oraz w pełną dychotomię. Zaprawdę powiadam ci: nie masz egoizmu ani altruizmu. Istnieje tylko głupota bądź mądrość i wynikający z proporcji między nimi współczynnik wyrachowania.

Pół roku wcześniej docent wyśmiałyby podobne teorie. Obecnie coraz częściej przyznawał niewidomemu rację. Wędrówka u boku żebraka pozwoliła mu wrócić do równowagi, skończyły się przerażające majaki senne, z mniejszym żalem zauważał, że coraz rzadziej śni mu się Lucy. A i do nowej powłoki jakby przywykł. I tak szli. Do celu pozostało około stu mil, żebrak głośno przechwalał się, ile zamierza uzyskać od hojnych mieszkańców Holliday Spring.

Tego wieczoru koczowali nad zbiornikiem wodnym. Stan wody był niski, toteż w wielu miejscach potworzyły się wysepki i zatoczki. Świnka postanowiła skorzystać z okazji i pobiegła się wykapać. W zamiłowaniu do higieny przewyższała wielokrotnie Bezokiego Sama, który za jedyną dozwoloną formę prysznicu uważał deszcz.

Nieoczekiwanie na betonowym obramowaniu pojawił się Burt Jones — domokrażca.

— Niech mnie kule biją, Sam! — zawołał na widok żebraka.

— Znajomy głos... znajomy głos... czyżby Burt!?

— Oczywiście, przyjacielu. No, daj pyska.

Uściskali się, chociaż Sam nie był zadowolony ze spotkania, od zeszłego roku był bowiem winien domokrażcy dwie setki, przegrane w kości. Mimo że palcami znakomicie odczytywał wyniki, głos wewnętrzny mówił mu, że Burt szachruje. Na szczęście Jones zbagatelizował sprawę długu.

— Nie ma o czym mówić, oddasz mi, kiedy będziesz miał... A może? — tu potrząsnął kubkiem.

— Nie gram! — zaprotestował Sam. — Nie mam gotówki.

— Ejże — zaśmiał się Jones, wyciągając gościnnym gestem brzuchatą piersiówkę. — Teraz, w połowie sezonu, bez forsy?

— Mam koszty, syn na studiach w Paryżu, córka się buduje.

— Moglibyśmy zagrać cienko, „po gazecie”.

— Stanowczo nie! Wiesz, że jak raz powiem...

W pół godziny potem, gdy świnka pływająca crawlem opłynęła już połowę zbiornika, Sam był winien swemu znajomemu dwa tysiące, nie licząc dawniejszych dwustu.

— Chyba diabeł ci pomaga! — wołał podniecony. — Normalnie, kiedy gram z innymi, zawsze wygrywam.

— Jeszcze trochę, passa się odmieni — kusił Burt. — No to co, stawiam pół wygranej, twój rzut.

Niewidomy potrząsnął kubkiem, trzy kostki zachrobotały i wypadły na patelnię służącą za stół. Macał je drżącymi palcami.

— Sześć, sześć, sześć? Nie, pięć, ale to chyba starczy do wygranej!!!

— Z pewnością — przyznał Jones i błyskawicznie wymieniając kubek, wyrzucił kostki na patelnię. Zobacz, Sam. — Palce żebraka przesunęły się po kościach. I znieruchomiały.

— Trzy szóstki... straciłem wszystko!

— Mogę dać ci rewanż! Postawię całą wygraną, jeśli dołożysz ze swej strony cośkolwiek wartościowego — rzekł uprzejmie Jones.

— Nie mam już nic! Chyba żeby gitara i zegarek.

— To za mało. Ale wiesz co, mogę przyjąć, jeśli dorzucisz do puli twoją świnię.

Ślepiec aż podskoczył.

— O kim mówisz?

— O tym zwierzęciu, które babrze się w wodzie.

— To mój dalmatyńczyk, Astor Bis — z dumą rzekł Sam. Szuler zarechotał.

— Dalmatyńczyk. Zwyczajna łaciata świnią!

Niewidomy już chciał dzielić go gitarą, ale powstrzymał się.

— Świnią, mówisz? To by wiele tłumaczyło.

— No więc jak? — Jones potrząsał kubkiem.

— Nie mogę jej postawić, to mój przyjaciel.

— Nie szło ci trzynastcie razy pod rząd, teraz passa powinna się obrócić. Poza tym świnią, jak wszyscy wiedzą, przynosi szczęście. Ja już rzucam. O, szlag by to, dwie dwójki i jedyńka. Twoja kolej, farciarzu!

Kolory wystąpiły na wymizerowaną twarz byłego hippisa.

— Chciałbym się zastanowić.

— Grasz czy nie? — Burt był bezlitosny.

— Dobrze!

Długo, bardzo długo Sam mieszał kośćmi, nim je wysypał. Musiał wygrać. Musiał! Już po oddechu domokrażcy poznał wynik. Ale jeszcze sprawdził. Dwie jedyńki i dwójka...

Potem siedział jak otępiały. Słyszał, jak domokrażca odczekuje, aż świnka zaśnie, jak ją wiąże, wreszcie pakuje do furgonetki, która nadjechała od strony miasta.

— Piękny okaz. Sprzedam ją wam za pół darmo — zabrzmiał głos Burta.

— Dobra, dobra, nie gadaj tyle, jeśli chcesz, żebym cię podrzucił do miasta — odpowiedział kupiec.

I odjechali. Z gitarą, zegarkiem, pieniędzmi i przyjacielem. Bezoki Sam nie zareagował. Nie uczynił też nic, kiedy około południa, po kilkakrotnym sygnale ostrzegawczym, otworzono śluzę. Siedział po turecku na zwirowym dnie zbiornika i słuchał narastającego szumu. A woda podnosiła się i podnosiła.

* * *

Graham Stick, kupiec, jak twierdzono, zdolny sprzedać nawet własną matkę i to swojej teściowej, jeździł ostro i bezkompromisowo. Krawężniki czy drogowe spowalniacze nie interesowały go w najmniejszym stopniu. On jechał, reszta się nie liczyła. A już najmniej Burt Jones, którego w trakcie drogi wielokrotnie ratowały pasy bezpieczeństwa przed rozpląszczeniem się na szybie czy wybiciem głową dziury w dachu furgonetki. O związanej świni w ogóle zapomniał.

W każdym razie Jones z ulgą ujrzał neon „Witajcie w Holliday Spring”. Za mostem, z którego doskonale było widać owalne gmachy Instytutu Transplantacji, zjechał z autostrady i skręcił w lewo, w willowe uliczki przedmieścia, na którym mieszkał kuzyn Sticka, trudniący się między innymi nielegalnym ubojem.

Tymczasem wertepy, które dawały im się we znaki po drodze, okazały się przychylnie dla docenta Holdinga. Udało mu się rozluźnić więzy, bez trudu przegryzł sznur na przednich raciczkach, potem stłukł butelkę po winie i ocierając pęta na tylnych nogach o fragment denka, uwolnił się ostatecznie. Na zakręcie samochód przyhamował. Świnka skoczyła na drzwi, wyważyła je swym ciężarem i wypadła na drogę. Tempo wozu było jednak dość znaczne, toteż z impetu przekoziółkowała kilkanaście metrów, zatrzymując się dopiero na jakimś płocie. Wstała, cała we krwi, i z jedną bezwładną racicą poczęła kuśtykać w głąb przecznicy.

Dzielnica willowa o tej porze sprawiała wrażenie opustoszałej. Sądząc po pokrytych sajdingiem

domkach, figlarnych wieżyczkach czy werandach, zamieszkiwali ją ludzie może nie superbogaci, ale w każdym razie zamożni.

Stick i Jones błyskawicznie zorientowali się, że ucieka ich zarobek. Wóz stanął z piskiem w poprzek drogi, a obaj mężczyźni puścili się w pogoń.

Świnka zdwoiła wysiłek, parokrotnie próbowała sforsować kolejne furtki, niestety, każda była zamknięta. A odgłosy pościgu zbliżały się. — Czyżby wszystko na nic!?

Na krzyżówce ze ścieżką rowerową przez moment miała wrażenie, że ich zgubiła. Ale już po chwili znów miała ich na karku. Kolejny zakręt i... dróżka kończyła się ślepo bramą. Za nią białą niewielki domek z tarasem i małym basenem. Krew zalewała oczy Holdingowi, toteż bardziej wyczuł niż zobaczył, że jedno skrzydło bramy jest lekko uchylone.

* * *

Anna Montini zakończyła utwór efektownym akordem. Muzyka ucichła, ale w powietrzu wokół tarasu nadal zdawały się unosić ostatnie tony Szopenowskiej etiudy.

— Pięknie grasz, Anno — powiedział postawny mężczyzna oparty o biały fortepian, o twarzy godnej reklamy papierosów lub luksusowych wozów. — Może zagramy coś jeszcze na cztery ręce.

— Jestem już zmęczona, Tom. Ćwiczę od dwóch godzin. Innym razem — powiedziała ciemnowłosa pianistka. — Zresztą ciocia poda zaraz drugie śniadanie.

Nastrój wykwintnej sztuki zmąciła wulgarna wrzawa dobiegająca z ulicy. Tupot nóg, okrzyki, klątwy.

— Co tam się dzieje? — stara panna Grantomalże upuściła tacę z ciasteczkami na pannę Montini. Thomas Butler wychylił się przez poręcz tarasu.

— Jakież zwierzę trątuje ci tulipany. Jak znam się na zoologii, jest to świnia.

— Świnka! — krzyknęła Anna i zbiegła po schodach. Jej oczy, wypatrzyły zwierzę, które całe dygotało, wciśnięte między krzaki i kwietnik. — Boże, to biedactwo jest całe zakrwawione!

— Przepraszam cię, zapomniałem zamknąć bramkę — powiedział Tom.

— Dobrze zrobiłeś. Zabierz ją teraz do garażu, zanim ci prostacy ją zatłuką.

Świnka, skulona wśród bougenvilli, patrzyła dziewczynie prosto w oczy.

— Nie mamy prawa tego zrobić — w Butlerze wziął górę chłodny umysł prawnika. — To przecież

ich własność.

Anna Montini zawahała się. Nie sposób było odmówić racji temu stwierdzeniu. I wtedy półprzytomne zwierzę ożywiło się. Po schodkach wbiegło na taras i dopadło fortepianu. Raciczką odgarnęło krew z czoła i uderzyło kopytkiem w klawisze.

— Pa, pa, pa, pam. Pa, pa, pa, pam!

— Boże, to Beethoven! — ciasteczka posypały się z tacy trzymanej przez ciotkę.

Anna zbladła, a świnka powtórzyła:

— Pa, pa, pa, pam.

A potem, wyczerpana, upadła zemdlona obok steinwaya. Anna pochyliła się nad nią, szepcząc:

— Wiesz chyba, co powinieneś zrobić, Tom?

Thomas Butler, oficjalny narzeczony panny Montini, zbiegł do ogrodu i zatrzasnął bramę. W ostatniej chwili. Jakichś dwóch gburów usiłowało wejść do środka.

— Suń się, człowieku — napierał Stick. — Musimy wejść i sprawdzić, czy nie wbiegła tu nasza maciora!

— Wykluczone, to jest teren prywatny — rzekł twardo Tom, ryglując furtkę. — A poza tym, czy posiadają panowie jakieś dokumenty poświadczające własność, umowę sprzedaży, list przewozowy?

Rozdział 7

Nieprzytomną świnkę ułożono w pokoju gościnnym mimo słabych protestów ciotki, która uważała, że legowisko w przedpokoju stanowczo by wystarczyło.

— Chyba przesadzasz, Anno, z tym swoim miłosierdziem! — gderała. — Świnia to nie kot ani piesek, żeby traktować ją jak zwierzę pokojowe.

Panna Montini była głucha na takie argumenty. Już po kwadransie zjawił się jej lekarz domowy, który na widok dziwnej pacjentki wzburzył się i zawołał, że nie jest weterynarzem, atoli czek wręczony mu przez Annę rozproszył jego obiekcje. Za tę cenę zostałby nawet agronomem.

— No i jak? Będzie żyła? — dopytywała się pianistka, gdy lekarz osłuchiwał stetoskopem różowe cielsko.

— Wszystko w porządku, proszę pani. Jedyne szok i wyczerpanie.

— A raciczka?

— Silnie stłuczona, zraniona, lecz kości całe. Zwierzę wyśpi się, odpocznie i naje, i wszystko będzie dobrze.

Odprowadzono go do drzwi. Lekarz jeszcze raz przesunął wzrokiem po stylowym wnętrzu i mruknął do siebie:

— Proszę, proszę, już nawet lepsze sfery biorą się do hodowli. A tak naśmiewano się z Meksykanów czy Polaków.

* * *

Anna Montini pochodziła z rodziny należącej do miejscowej śmietanki towarzyskiej. Jej ojciec był znakomitym pisarzem, autorem licznych powieści i scenariuszy filmowych, z których najślynniejszym była bodajże „Kronika jednej sekundy”. Zginął w kwiecie wieku, w katastrofie lotniczej na Maderze. Matka od dłuższego czasu prowadziła niezależne życie, więc całe wychowanie dziewczyny spadło na głowę ciotki, starej panny o nienagannych manierach. Annę chciała wychować na swój obraz i podobieństwo, czyniąc z niej osobę delikatną, wrażliwą, absolutnie niedzisiejszą i nieżyciową. Udało się jej to tym bardziej, że dziewczyna miała naturę marzycielską, kochała malarstwo, literaturę, muzykę i zwierzęta. Umiłowanie klasyków wiedeńskich zbliżyło ją do mecenasa Butlera, młodego wziętego adwokata, który oddał nieocenione usługi jej rodzinie przy załatwianiu spraw majątkowych. Thomas, obok doktoratu z prawa, miał dyplom ukończenia renomowanego

konserwatorium i to właśnie pozwoliło mu wkręcić się w życie Anny w charakterze nauczyciela muzyki. Nauczył ją grać a vista, wprowadził w sztuce improwizacji. Kruczoczarny, przystojny, wysportowany, robił na kobietach ogromne wrażenie. Na Annie Montini również. Kiedy grali na cztery ręce, ich dłonie spotykały się niejednokrotnie, a zapach męskiej wody kolońskiej mącił w głowie” dziewczyny. Wreszcie, mniej więcej przed rokiem, stało się to, co się musiało stać. Podczas Schubertowskiego „Pstrąga”, w pewnym momencie włosy Anny mocniej musnęły twarz Toma, ręce grających poplątały się, usta odnalazły nawzajem.

Ciotka wyszła akurat na nieszpory. I „Pstrąg” połknął haczyk.

Namiętność ogarnęła Annę gwałtownie, nagle i silnie. I chyba przedwcześnie! Dziewczyna, która nie kochała Butlera (jak można kochać kogoś, kto nie ma kościelnego rozvodu — twierdziła panna Grant), a uległa jedynie nastrojowi chwili, bardzo żałowała swego postępu. Spowiadała się z niego co najmniej pięć razy, mimo zapewnień księży, że wystarczy raz a dobrze. Thomas był jej pierwszym mężczyzną, ale wiele wskazywało, że na długo pozostanie ostatnim. W psychice panny Montini powstał głęboki uraz, oburzenie na samą siebie i mimo że nadal była dla mecenasa uprzejma i miła, ich wzajemne kontakty ograniczyły się wyłącznie do zabaw na klawiaturze.

Dziewczyna z uśmiechem odpierała szturmy mecenasa, a ponawiane oferty matrymonialne kwitowała niezmiennie:

— Musisz mi dać więcej czasu do namysłu.

— Co się dzieje? — martwił się jurny jurysta, zadając sobie wielokrotnie pytanie *cui prodest?* oraz *cui bono?* Nie znajdując odpowiedzi, wzdychał w duchu: *dura lex, sed lex!*

Przybycie świni nie polepszyło jego sytuacji, a właściwie nastąpiło pogorszenie w porównaniu ze *status quo*. Annę do tego stopnia zaabsorbowało ranne zwierzę, że mecenas poczuł się zgoła niepotrzebny. A widząc, z jakim zapalem dziewczyna przygotowuje legowisko dla omdlałej, jak dzwoni po lekarza i osobiście pędzi do apteki, doświadczył niemiłego skurczu serca.

— To śmieszne, jestem zazdrosny o maciorę! — usiłował strofować się w duchu — Ciekawe, czy gdybym miał podobny wypadek, Anna byłaby podobnie troskliwa?

Następnego dnia rano zadzwonił, by w porze lunchu umówić się z Anną na kolejną lekcję.

— Nie mam czasu — brzmiała odpowiedź uczennicy. To samo usłyszał po południu.

— Co się dzieje?! — wybuchnął, telefonując wieczorem. — Przestała cię nagle interesować muzyka, Anno. Fascynuje cię coś innego?

— Tak, Tom — odparła. — Zwariowałam na punkcie porozumienia ze zwierzęciem. Ta świnka to prawdziwy ewenement. Nie tylko gra, ale czuję, że myśli.

Tego było Butlerowi za wiele. Do łaciatej poczuł głęboką odrazę już w pierwszej chwili. Teraz niechęć zdwoiła się.

— Czy ty nigdy nie byłeś w cyrku, kochanie? — zapytał. — Przecież to jasne, że bydlę jest tresowane. Zwiało z jakiejś trupy i to wszystko.

— Niemożliwe, żeby to były tylko sztuczki!

— A liczące psy, konie, które mówią, foki grające w serso, niedźwiedzie na rowerze?

— Ale żadne nie będzie przedstawiało swego popisowego numeru w momencie największego zagrożenia.

Butler był innego zdania:

— Co my wiemy o stresach i nerwicach u zwierząt? Uważam, Anno, że powinnaś jak najprędzej pozbyć się tego paskudztwa. Kupię ci chomika albo kota.

— Coś ty powiedział?

— Mówię tym razem jako twój adwokat — popełniasz przestępstwo, przywłaszczając sobie cudzą własność.

Panna Montini, zazwyczaj sam wzór dobrego wychowania, wzburzona cisnęła słuchawkę na widelki.

* * *

Świnka, która przespała całą dobę, obudziła się, wypijała przygotowane mleko, zorientowała się, że nic jej nie grozi i ponownie zapadła w sen. Postawa Anny sprawiła, że wszyscy w domu chodzili na paluszkach, nie wyłączając ciotki, która jednak nie ukrywała swego rozdrażnienia.

— Nierozsądnie czynisz, Anno, nierozsądnie — gderiała. — Po co nam ten kłopot?

— Nie oddam tego inteligentnego zwierzęcia rzeźnikom — brzmiała odpowiedź.

— Ależ ona jest za duża jak na świnkę morską. Weź to pod uwagę, kto będzie po niej sprzątał. Kucharka się buntuje.

— Ależ ciociu..., sama słyszałam, jak maciorka korzystała z łazienki. Spuściła nawet wodę po sobie.

Starsza pani uniosła oczy do góry:

— Taki sam był twój ojciec, taki sam. Bez przerwy tylko sprowadzał do domu żółwie, aligatory, węże. Aż w końcu umarł.

— Nie widzę tu żadnego związku — zaprotestowała dziewczyna.

— To jeszcze zobaczysz, zobaczysz — powiedziała ciotka.

Bezszelestnie otworzyły się drzwi i do salonu zajrzał ryj Holdinga.

Wyświeżony i uśmiechnięty docent wyraźnie wracał do sił. Po ponownym przebudzeniu zjadł przygotowane śniadanie — jajka na boczku, tosty, grzanekę i dwa talerze frytek, potem udał się do łazienki, wziął na przemian zimny i gorący prysznic i teraz, jak na świnię, prezentował się całkiem, całkiem.

— Hallo, grubasko! — zawołała młoda gospodyni.

Holding od pierwszej chwili poczuł do niej zaufanie. W ogóle bardzo odpowiadała mu atmosfera tego domku pełnego antyków i książek ustawionych w dwóch, a często i trzech rzędach na dębowych regałach, wypełniających większość ścian i wnęk. Zawsze marzył, żeby mieć takie mieszkanie. Nigdy jednak nie miał dość czasu, by swe plany zrealizować. Zresztą Lucy nie cierpiała bibliotek, twierdząc, że lęgną się w nich mole i kompleksy. Gnębił go teraz inny problem. Mimo największych wysiłków nie udało mu się dosięgnąć do najwyższej półki w łazience, gdzie znajdował się pozostawiony przez Butlera dezodorant o nazwie „Brutal”.

— Hej, mała, jak się miewasz? — spytała Anna.

Docent przyglądał jej się uważnie. Było dość wcześnie, Annę spowijał przewiewny szlafroczek, spod którego wysuwały się nogi o najszczuplejszych kostkach, jakie kiedykolwiek widział w swej długoletniej praktyce szpitalnej.

— Pozwolisz, że będę się przy tobie przebierała, prawda? Nie mam powodu się krępować, w końcu my, baby... — zaśmiała się, a pysk świnki oblał się pąsem. Pożerała ją wzrokiem.

Dziewczyna zachowywała się najzupełniej naturalnie, swobodnie, a każdy ruch nacechowany był niewysłowioną gracją. Może zresztą wyglądało to tak tylko ze świńskiej perspektywy.

Z ryja wyrwało się głębokie westchnienie.

— Ech dziewczyno, dziewczyno — myślał Holding — żebyś ty wiedziała, jak mi się podobasz. Jak Lucy. Głupio mówię — tysiąc razy bardziej niż Lucy! Żebym tak nie był świnią, i to w dodatku maciorą...

Pożeranie wzrokiem zwróciło wreszcie uwagę Anny. Nie wiadomo dlaczego, poczuła się zażenowana i pośpiesznie zaczęła wkładać garderobę.

— Nie patrz tak na mnie, bo mi się robi głupio. Lepiej powiedz mi, czy cieszysz się, że jesteś u mnie?

Kwiknął, ale nie wypadło to przekonująco.

— Nie cieszysz się? — spytała.

Kwiknął przecząco, ale wyszło to identycznie jak przy afirmacji. Niestety, nie potrafił różnicować swych odezwań. Zawstydzony spuścił łeb.

Przeszli do living roomu. Pierwszą rzeczą, która wpadła Holdingowi w oczy, był stelaż z czasopismami „National Geographic”, „Time”, „Home and Garden”. Rzucił się łapczywie do ich przeglądania, z apetytem wygłodniałego intelektualisty.

To nie może być wytresowane — pomyślała panna Montini, a głośno rzekła:

— Cieszę się, że mamy podobne zainteresowania; muzyka, czasopisma. William opamiętał się i przestał wertować. Cały jego mózg zaczął pracować nad jednym zagadnieniem, jak porozumieć się z jego wybawicielką? Oto znalazła się nareszcie osoba, chętna, sympatyczna, która ma dość cierpliwości. Tylko jak? Podszedł do fortepianu. Być może tu kryła się jakaś szansa? Uderzył kilka razy w ton A. Ten, od którego zawsze zaczyna się strojenie.

— Czy chcesz mi coś powiedzieć? — spytała Anna. Raciczką, klawisz po klawiszu, wystukał motyw refrenu piosenki wylansowanej rok temu przez Lucy: „Zechciej mnie tylko zrozumieć, kochanie!”

— Zechciej mnie tylko zrozumieć? — wykrzyknęła panna Montini. — Ależ to niezwykle.

Zagrał canto innego przeboju „Wszystko jest dzisiaj możliwe”.

— Chcesz ze mną rozmawiać za pośrednictwem muzyki? — spytała dziewczyna.

— H! H! H! — zabrzmiało z fortepianu.

Anna zamyśliła się.

— H? Co to może znaczyć? Jasne — roześmiała się po chwili.

— H to przecież si..., a si to po włosku tak! Tak?

— H!

Teraz już poszło im łatwiej, zwłaszcza gdy C uznali wspólnie za znak przeczenia. Anna przejęła inicjatywę:

— Uciekłaś z cyrku, świnko?

Przeczenie.

— Jesteś mutantką?

Przeczenie.

— Byłaś tresowana?

Jeszcze raz: C! C! C!

— To ja już nic nie rozumiem — westchnęła dziewczyna.

Świnka wystukała jakiś motyw. Ponieważ nie została zrozumiana, powtórzyła go. Niestety, o ile można wystukać łatwo prosty szlagierek, o tyle trudniej grać raciczką muzykę poważną. To tak, jakby ktoś jedną pięścią chciał wygrać całą „Błękitną rapsodię”.

Stali zakłopotani. Po chwili świnka podbiegła do szafki z płytami. Trąciła ją ryjem.

— Czego chcesz? Jakiejś płyty? — Holding kiwnął głową.

Anna wyjmowała po kolei, już piąta wywołała reakcję czworonożnej melomanki. Było to nagranie najnowszego musicalu „Dante Alighieri”.

— Chcesz tego posłuchać? — spytała panna Montini.

— Nie!

— Chcesz za jej pomocą przekazać mi jakąś informację?

— Tak.

— Może mam czytać kolejno tytuły utworów.

— Tak.

— „Prolog”?

— Nie.

— „Moja biedna Beatrycze”? Też nie. „Porzućcie wszelkie nadzieje”?

— Nie, nie, nie!!!

— „Człowiekiem jestem”?

— Tak!

— Kim jesteś?

Rozległ się ostry dzwonek do drzwi. Thomas Butler przybywał rozmówić się poważnie ze swoją narzeczoną.

Na widok wkraczającego adwokata łaciaty docent wycofał się do starego gabinetu ojca Anny. W myślach miał mętlik. Anna oczarowała go, porozumieli się, a jednak... Nie był zadowolony, że tak

prędko wyjawiał jej prawdę o sobie. Nie zdążył jeszcze przemyśleć tego posunięcia.

— Nie powinienem mieszać jej w moje sprawy. Przecież teraz, kiedy jestem prawie na miejscu, zemsta pozostaje kwestią czasu. Za parę dni, gdy zbiorę siły, policzę się z O’Harą. Tylko co potem? Zniszczę Franka, ale nigdy nie przestanę być nierogacizną. Czy Lucy to zaakceptuje? Z drugiej strony, jeśli pozostanę dłużej w tym pięknym domu, zakocham się w Annie, a to już nie miałoby żadnego sensu. Cóż mógłbym jej zaproponować? Wspólny chlew?

Butler zasypał narzeczoną wyrzutami przeplatanyimi westchnieniami i zapewnieniami o swoim gorącym uczuciu.

A Anna chciała mówić tylko o śwince. Nie dziw, że wpadł w pasję.

— Albo natychmiast wyrzucisz to niechlujne bydlę z domu, albo ja wyjdę.

— Ależ Tom, gdybyś zechciał poznać ją bliżej. Przekonasz się o niezwykłym uroku tej istoty.

— Jesteś śmieszna. Ja, przedstawiciel palestry, miałbym zadawać się z tą animalną podkulturą!

— Świnka jest naprawdę przemiła — powtórzyła panna Montini.

— Jak ty ją pięknie nazywasz, świnka — irytował się Butler. — Maciora! Locha! To właściwe określenia. Nie wiem, co się z tobą stało, najdroższa, ale... Co to? Ciotka pisze pamiętniki?

Z nieużywanego od lat gabinetu dochodziło stukanie starej maszyny do pisania. Zainteresowani uchylili drzwi. Świnka stała na biurku i kopytkiem, a właściwie kantem kopytka, uderzała w klawiaturę.

— Nie tylko melomanka, ale i pisarka — szydził mecenas.

Anna wyciągnęła kartkę.

— Przeczytaj, Tom, może to cię przekona.

„Więcej skromności, Mecenasie, i ja kiedyś miałem się za lepszego od innych”.

— Do licha, kim ty właściwie jesteś, świniu?

Anna ponownie wkręciła kartkę, a świnka zaczęła mozolnie stukać. „MOJe NaZWiskoo WiLLIAM HOLDING”.

* * *

W pawilonie szpitalnym, wynajętym przez Karsky'ego Dolores Mendoza ciągle przebywała w pooperacyjnym letargu. Doktor Alain Lecoq, opłacony przez przemysłowca, nie odstępował jej ani na chwilę. Nie odnotowano żadnych komplikacji, toteż wkrótce spodziewano się przebudzenia. Według teorii Holdinga, dwa do trzech tygodni to przeciętny czas adaptacji przeszczepionego mózgu.

Udało się też ustalić, kim był dawca. Trzy dni po wystawieniu świadectwa zgonu mężczyźnie znalezionemu w parku narodowym policja, wykorzystując testy DNA i zeznania konduktora hiperekspresu, ustaliła, że samobójcą był doktor Hans Weissenstein, o ironio losu, jeden ze współtwórców metody transplantacji mózgu. Oczywiście pieniądze Karsky'ego i lojalność Lecoqa sprawiły, że informacja ta nie przedostała się do mediów. Tymczasem proces gojenia przebiegał szybko i można było stwierdzić, że panna Mendoza nie straciła nic ze swej olśniewającej urody. Nawet jej ciemne włosy błyskawicznie odrastały dzięki rewelacyjnym maściom porostowym. Mimo to Lecoq nie miał złudzeń i przygotował wszystko do ewentualnej ucieczki. Wprawdzie Karsky twierdził, że nieistotne jest dla niego, kto był dawcą mózgu, jednak po przebudzeniu kochanki mógł zmienić zdanie. Toteż młody chirurg dokonał spieszego transferu gotówki i czekał tylko na przebudzenie Dolores. Dalszą opiekę nad pacjentką zamierzał pozostawić dwóm młodym lekarzom, specjalistom od rehabilitacji i czterem wysoko kwalifikowanym pielęgniarkom. Szwy goiły się doskonale. Encefalogramy wskazywały na bogactwo snów.

Lecoq nie przewidział, że Karsky zechce przyjąć obiekt w stanie surowym na dwa dni przed terminem, bez porozumienia z lekarzem.

W czwartkowy wieczór, na paluszkach, przepłaciwszy pielęgniarki, magnat wśliznął się do pokoju Dolores. Serdelkowatymi, upierścienionymi paluchami zaczął gładzić jej policzki i mówić czule:

— Dolores... Słyszysz mnie, to ja, twój Dicky... No, obudź się, maleństwo. Wiesz, kupiłem ci willę na obrotowym cokole z widokiem na góry, na jezioro, na morze i na las. Kosztowała majątek!

Jedno czarne oko otworzyło się. Czerwona twarz Karsky'ego pokraśniała, jak rak we wrzątku.

— Budzi się moje kociątko, budzi!

— Gdzie ja jestem? — rozległ się szept. — A przede wszystkim, kim jesteś, grubasie i co robisz przy moim łóżku?

— Nie poznajesz swojego misia? — zdumiał się miliarder. — Mój ty buziaczku smagły.

— Odwal się, zboczeńcu — powiedział najsłodszy alt w tej części globu.

Richard przełknął ślinę, ale nie tracąc rezonu ujął rękę dziewczyny.

— Wiem, Dolores, że masz teraz zupełnie inny mózdzek, ale mnie to absolutnie nie szkodzi. I tak cię uwielbiam.

— Won z łapami!

Odepchnęła go energicznie i usiadła na łóżku. W głowie jej huczało. Cóż, po trzech tygodniach

snu...

— Odrażający homoseksualista — warknęła.

Karsky, dotąd czerwony, zrobił się fioletowy, z szybkością komputera przeliczył wszystkie miliony, które wyłożył na zabieg, podsumował tysiące inwestycji związanych z tą niewdzięczną laleczką.

— Licz się ze słowami, Dolores — powiedział.

Dziewczyna wyrwała kroplówki, podniosła się i wstała z łóżka. Zakręciło się jej w głowie i byłaby upadła, gdyby nie uchwyciła się stolika. Ignorując Karsky'ego, zbliżyła się do lustrzanych drzwi łazienki. Stała dłuższą chwilę, wpatrując się w taflę szeroko rozwartymi oczami.

— Proszę mnie uszczypnąć — szepnęła do przemysłowca. Zamiast tego dał jej delikatnego klapsa. Nie zaoponowała.

— O, w mordę, jestem babą. Jestem babą, ja, doktor Hans Weissenstein, naczelny chirurg.

Ciężko usiadła na łóżku. Karsky chciał ją objąć, ale krzyknęła tylko.

— Precz stąd, pedale! — i zemdląca. Przemysłowiec wyskoczył jak oparzony i na korytarzu dostrzegł skurczonego ze strachu Alaina. Musiał podsłuchiwać.

— Zapłacisz mi za to, konowale! — ryknął Richard.

— Przecież sam pan chciał — wybąkał chirurg, zasłaniając się przed ciosem.

W kilka godzin potem Weissenstein ocknął się ponownie i jeszcze bliżej podszedł do lustra. Szok minął, obudziła się ciekawość. Ściągnął nocną koszulę i cmokając, przyglądał się sobie z dreszczem rosnącego podniecenia. Potem rozgarnął włosy i obejrzał szwy na głowie.

— Fachowa robota — mruknął z podziwem.

Rozdział 8

Pośrodku biblioteki domowej piętrzyły się sterty książek prawniczych. Leżały tam najrozmaitsze kodeksy oraz materiały dotyczące orzecznictwa Sądu Najwyższego i ciekawszych precedensów sądowych. W tym prawdziwym ekstrakcie sprawiedliwości poruszały się trzy postacie: mecenas Butler, panna Montini i łaciata świnka w okularach! Szklą zostały wypożyczone od ciotki, której stan wzroku odpowiadał mniej więcej krótkowzroczności docenta Holdinga.

Thomas Butler zdecydował się na przyjęcie tej nietypowej sprawy z dwóch powodów: po pierwsze żywił nadzieję, że efektywnie poprowadzona rozprawa w interesie pokrzywdzonej świnki zmieni nastawienie Anny do niego, po drugie pragnął rozgłosu, a wygranie procesu bezprecedensowego w historii światowego sądownictwa dałoby mu niewątpliwą popularność i kto wie, czy nie otworzyłoby bramy do wymarzonej kariery politycznej. Oczywiście Thomas był człowiekiem równie próżnym co inteligentnym, toteż zdawał sobie sprawę z wszystkich trudności i pułapek, które kryły się w sprawie Holdinga. Sukces mógł wynieść go na wyżyny palestry, porażka przekreśliłaby jego karierę i ośmieszyła towarzysko. Atoli młodemu juryście nieobcy był duch hazardu. Jeszcze na uniwersytecie dokładał z pokera do skromnego stypendium. Na razie podbudowywał się teoretycznie, studiował prawo gospodarcze, podatkowe, karne, nie zaniedbywał nawet prawa kanonicznego, przydatnego w kontekście problemów dotyczących duszy ludzkiej. Gromadził też wszystkie możliwe cytaty od św. Augustyna po Clarence'a Darrowa mogące przydać się podczas rozprawy. W odwodzie czekały notatki z zakresu norm towarzyskich i kodeksu honorowego.

Widząc tę ostatnią pozycję, świnka pośpiesznie wystukała na maszynie: „nie mam zamiaru się pojedyńkować z człowiekiem pozbawionym honoru!”, co Anna i Thomas przyjęli ze zrozumieniem.

— Najtrudniejsze będzie sformułowanie samego aktu oskarżenia — twierdził mecenas. — Ale można zacząć od udowodnienia kradzieży ciała, co natychmiast powiąże się z punktem: dokonywanie niedozwolonych operacji na człowieku, mogących wywołać zejście śmiertelne. Dalej można oskarżyć Franklina O'Harę o sadyzm, usiłowanie dominacji nad drugim człowiekiem.

— Próbę zabójstwa — podrzuciła Anna. — Ze szczególnym okrucieństwem!

— Tak jest, a ponadto zagarnięcie mienia, oszustwo seksualne w stosunku do Lucy Crawford (był podobny przypadek w Düsseldorfie w 1969 roku, bliźniak jednojajowy wykorzystywał żonę brata, podszywając się pod niego). Na koniec można oskarżyć go o bezprawne użytkowanie cudzego ciała. Co da się podciągnąć pod przepisy o dzikim lokatorstwie.

— Jednym słowem? — Anna popatrzyła na prawnika.

— Nie wymknie się nam ten drań! — Butler zatarł ręce, a Holding kwiknął radośnie. — W zasadzie w chwili obecnej mogą istnieć przeszkody wyłącznie proceduralne. Na przykład potrzebuję stałego pełnomocnictwa.

— Will już ci je wystukał na maszynie — wyjaśniła panna Montini. — Pozostaje tylko podpis?

Docent pobiegł w kąt pokoju i po chwili wrócił z buteleczką w ryjku. Potem rozlał tusz na posadzkę (oj, da mu panna Grant po szczecinie!), zanurzył kopytko w wielkim kleksie, a następnie na maszynopisie pod nazwiskiem William Holding nakreślił niezgrabnie równoramienny krzyżyk.

* * *

Obrotowa willa Richarda Karsky'ego tonęła w słońcu. W cenę gruntu, na którym ją zbudowano, wkalkulowana była niezmiennie dobra pogoda.

Tego dnia kontrastowała ona dość nietaktownie z nastrojem gospodarza; stary kapitalista był bliski rozpaczy.

— O, Dolores, Dolores, dlaczego jesteś dla mnie taka niedobra?!

Od kilku dni podobne żale obijały się o marmurowe ściany i uszy służby, która szeptała między sobą, że nareszcie trafiła kosa na kamień. Teraz widownią tych żenujących lamentów był jeden z basenów położony w wewnętrznym patio, o rozsuwanym dachu. Pośrodku okrągłego akwenu, na przezroczystym materacu pływała naga piękność, a Karsky w rozchełstany szlafroku krążył dookoła wody, nie przerywając oracji:

— Moja najdroższa Dolores! Zrozum wreszcie, że kocham cię do szaleństwa, a moje uczucie jest czyste, poważne i szlachetne.

— Panie Karsky — mógł usłyszeć w odpowiedzi. — Ile razy mam panu powtarzać, że nie nazywam się Dolores Mendoza, tylko Hans Weissenstein!

— Wiem, wiem, kochanie, ale zrozum moją i swoją sytuację. Oficjalnie doktor Weissenstein popełnił samobójstwo dwa miesiące temu, a żyje tylko piękna dziewczyna. Bardzo piękna!

— Przestań nudzić komplementami!

— Nie zapominaj, że moja forsa ocaliła ci życie, byłeś tylko ochłapem mięsa, kiedy cię znaleźiono i gdyby nie ja...

— I czego chcesz w zamian?

— Ciebie, ciebie, koteczku iberoamerykański!

— Nie jestem dziwką!

— Ależ Hans..., tfu, Dolores, źle mnie zrozumiałaś! Obiecałem ci, iż niepomny twej przeszłości,

gotów jestem ożenić się z tobą!

— Pańska przeszłość jest nie lepsza — odcięła seksbomba. — Wszyscy wiedzą, że zaczynał pan od zbierania petów z popielniczek na giełdzie.

— Owszem, ale jak raz znalazłem złotą cygarniczkę, nie zmarnowałem szansy. Sprzedałem ją, a następnie dobrze ulokowałem pieniądze — Karsky uśmiechnął się obleśnie.

— Potem starczyło tylko wejść w układy z mafią, skorumpować paru polityków, wygrać przetargi.

— Było, minęło. Wolę mówić o tobie. Przyznaj, maleństwo, że zyskałaś na zamianie. Byłaś, sądząc po fotografiach, chłopiskiem o dość paskudnym wyglądzie.

— Licz się ze słowami! Albo znów nakryję się ręcznikiem.

— Nie, nie! Na rób mi tego.

Weissenstein przeciągnął się jak kotka na blaszanym dachu. Dręczenie starego magnata sprawiało mu olbrzymią przyjemność. Bo właściwie, gdyby nie to, czemu odmawiał? Sam był tak ciekaw nowych doznań. A jak na razie mógł się poszczycić jedynie drobnymi pieścizkami z pielęgniarką lesbijką.

Musiał jednak zrealizować swój plan.

— Chcesz się ze mną ożenić, Richardzie? — zapytał raz jeszcze.

— Tak, tak, tak!

— Nie mówię nie, ale chciałbym być pewien, że mnie nie wykołujesz. Przed ślubem trzeba będzie sporządzić dokładną intercyzę.

— Oczywiście — zgodził się Karsky — znam młodego zdolnego prawnika, który chętnie zajmie się papierami. Nazywa się Thomas Butler. Zaraz osobiście do niego pojedę! Moje złotko, moje pieścidełko!

Wybiegł tak szybko, że dopiero w samochodzie zorientował się, że ciągle jest w szlafroku. Nie spieszyło go to bynajmniej, w pierwszym lepszym sklepie zakupił tuzin garniturów i pomknął w stronę Holliday Spring. Tymczasem Dolores, czy jak kto woli, Hans, dopłynęła materacem do krawędzi basenu. Wyskoczyła na rozgrzane płyty. W ogrodzie strzygł żywopłoty młody ogrodnik. Na jego silnych, opalonych ramionach perlił się pot. Dziewczyna podeszła do niego. Wyglądała jak kwiat, który nieomal woła: zerwij mnie!

Młodzian, mimo ukończonych trzech semestrów ogrodnictwa, dał się skusić.

Później boleśnie tego żałował. Czarodziejski kwiatek należał do roślin mięsożernych.

Łaciaty docent krążył niespokojnie po living roomie; im bardziej zbliżał się moment puszczenia w ruch maszyny sprawiedliwości, tym więcej budziło się w nim wątpliwości.

— Co naprawdę może wyniknąć z tego procesu? Mecenas jest dobrej myśli, aleja nie podzielam jego zawodowego optymizmu. Oskarżenie może być oparte wyłącznie na moich zeznaniach. Z tego, co podawały gazety, jedyny świadek i wykonawca roszady mózgow, doktor Hans, popełnił samobójstwo. Samobójstwo? Podejrzewałbym tu raczej rękę O'Hary. Jakie więc mam szansę? Głos maciory przeciw zeznaniom światowej sławy naukowca? Zresztą, załóżmy nawet, że jakimś cudem wygram. Odzyskanie własnej postaci będzie się łączyło z koniecznością unicestwienia Franka — tu poskrobał się rączką po ryju. — Poza tym, czy potrafię wrócić do własnego ciała? Całe życie będę miał wrażenie, jakbym używał cudzej szczoteczki do zębów. A Lucy? Jak przyjmie wiadomość, że tyle czasu żyła z szalbierzem?

Wzdrygnął się i popatrzył w lustro. Na tłustym podgardlu dyndał medalionik z wizerunkiem Anny. Z dnia na dzień William upewniał się, że darzy swą wybawicielkę uczuciem coraz gorętszym, wielokrotnie przewyższającym zwyczajną wdzięczność. Westchnął ciężko.

Kolejna głupia sprawa. Mecenas zużywa tyle wysiłku w moim interesie, a ja odpłacam mu czarną niewdzięcznością, zakochując się w jego narzeczonej. Może nie powinienem był uciekać z rzeźni?

Profesor William Holding vel Franklin O'Hara wrócił do domu w nastroju szampańskim, może nawet zbyt szampańskim. Oblewanie jego nominacji profesorskiej przeciągnęło się długo w noc. Było tak miło, że Dyrektora Generalnego musiała zabrać karetka reanimacyjna; inni goście posnęli w kątach sali konferencyjnej.

Profesor William Holding! Nareszcie osiągnął to, czego chciał. Ze wszystkich stron sypały się propozycje zagranicznych akademii nauk o członkostwo, trzy kolejne uczelnie przygotowywały dla niego doktoraty honoris causa. Opatentowana Metoda Holdinga stosowana była coraz powszechniej — a tantiemy od każdego zabiegu wpływały na osobiste konto naukowca.

— Niedługo będę mógł rzucić w diabły całą działalność naukową i żyć z kapitału — mruzczał do siebie, opadając na puszysty futrzak przy kominku. — Tak naprawdę urodziłem się na playboya, a nie na badacza. Życie może mieć tyle uroków. Lucy też wypadnie zmienić na coś nowego. Po urodzeniu dziecka na pewno straci figurę, a poza tym ostatnio zrobiła się taka nudna. Tylko gdzie ona jest? Aha, prawda, wyjechała do swojej matki.

Świat wirował jak mikser. W półśnie wracały do Franka urwane obrazy z bankietu: twarze dziewczyn z III Oddziału, rozgrzane alkoholem i chucią, czujny, przenikliwy wzrok Arnoldsona.

— Czyżby wścibski doktor coś podejrzewał? Cholera! A może mówiłem za dużo? No nie, Instytut Transplantacji zakłada nową filię w Japonii. Arnoldsona wyśle się tam jako szefa i będzie spokoj.

Zadzwoił telefon. O'Hara nie miał zamiaru odbierać. Leżał wtulony twarzą w dywan, ale dzwonek terkotał i terkotał. Gdzieś po dobrej minucie Frank zaklął i podniósł słuchawkę.

— Kogo tam bezsenność męczy, słucham, O'Ha... Holding!!!

— W porządku, Frank, poznałam cię — zaśmiał się w słuchawce kobiecy głosik.

— To pomyłka! Nie ma tu żadnego Franka. To prywatne mieszkanie Williama Holdinga. Profesora Williama Holdinga! — powtórzył.

— Gratuluję nominacji, Frank — szczebiotał głosik. „Kto to mógł być, do stu piorunów? Sekretarka Arnoldsona? Nie. Panna Salieri miała przepity sznapsbaryton.”

— Kto mówi?

— Przyjaciółka! A nawet, rzekłabym — współpracowniczka.

— Co to za żarty? Zmuszony jestem odłożyć słuchawkę.

— Nie odłożysz, nie odłożysz! — głos brzmiał teraz zuchwale i niezwykle pewnie.

— Kim pani jest?

— Kimś, kto dużo o tobie wie i ma ochotę podzielić się swoją wiedzą z szerszym kręgiem słuchaczy.

— Co pani może wiedzieć? — O'Hara starał się mówić z właściwą sobie nonszalancją, ale ze złością zauważył, że jego głos drży.

— Wiem na przykład, co się stało z doktorem Hansem.

— To wszyscy wiedzą! Popełnił samobójstwo.

— Jesteś zbyt skromny, Frank, w końcu wydatnie pomogłeś mu w opuszczeniu tego świata, a przedtem pędzącego ekspresu.

— Kimkolwiek pani jest, pani zarzuty są bezpodstawne! — gorączkowo zastanawiał się, kim może być znakomicie poinformowana rozmówczyni. Ktoś z obsługi ekspresu? Wykluczone, nawet jeśli istniał świadek morderstwa, to przecież nie mógł wiedzieć, że Holding nie jest Holdingiem. A może ten cholerny Hans, zanim szczeł, podzielił się informacjami z jakąś swoją przyjaciółką? Psiakrew!

— Mam nadzieję, że szybko się spotkamy — powiedziała rozmówczyni.

— Spotkać to mogę się zawsze. Może w moim samochodzie? — zaproponował.

— O nie, nie licz na powtórkę — ze słuchawki dobiegł wybuch śmiechu. — Żadne ustronne miejsca, Frank. Chciałabym jeszcze pożyć. Spotkamy się na dorocznym Balu Potentatów w Holliday Spring. Jutro otrzymasz zaproszenie.

— Ale... jak panią poznam?

— Wystarczy, że ja cię poznam, Frank.

Ciągły sygnał wskazywał, że rozmowa została skończona. O'Hara wstał z dywanu, kopnął aparat telefoniczny i podszedł do barku. Nalał sobie szklankę whisky i wypił ją duszkiem.

— Psiakrew! A wszystko szło tak dobrze. Kto to może być? — Jeszcze raz przypomniła mu się czujna, skupiona twarz Arnoldsona.

— To jego sprawka! — mruknął z głębokim przekonaniem. — Ale jeszcze zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni.

Sponiewierany telefon odezwał się znowu. Czyżby szantażystka jeszcze coś sobie przypomniła?

— Słucham, William Holding.

— Dobry wieczór, mówi Thomas Butler — nie znał tego męskiego ciepłego głosu. — Być może zaskoczy pana mój telefon o tak późnej porze, ale wcześniej, niestety, nie mogłem się dodzwonić. Jestem upoważniony przez mego klienta do poinformowania pana o wszczęciu przeciwko niemu postępowania sądowego.

Frank poczuł, jakby po raz drugi tego wieczoru otrzymał cios pięścią.

— Przeciwno mnie? — wykrztusił. — To jakiś absurd! Jestem przykładnym obywatelem, płacę podatki, a mój wynalazek jest błogosławieństwem ludzkości. Jakie pretensje może mieć do mnie pański klient? Kto to jest?

— To pacjent — sucho odrzekł mecenas.

— Mój pacjent? — teraz głos Franka zabrzmiał trochę spokojniej. Nie sądzę, żeby którykolwiek z moich pacjentów mógł mieć do mnie jakieś pretensje. Każdy uprzedzany jest o ryzyku połączonym z zabiegami, każdorazowo przed operacją podpisuje zobowiązanie o nieroszczeniu pretensji. Ale może zaszła jakaś pomyłka. Jak brzmi nazwisko tego pacjenta?

— William Holding!

Pod O'Harą ugięły się nogi. Jakby nagle cały wypity w ciągu ostatnich godzin alkohol uderzył mu do głowy. Dywan zatańczył niczym pokład podczas sztormu. Zakolebały się ściany jak podczas

trzęsienia ziemi. Wypuściwszy słuchawkę, skoczył w stronę łazienki, ale potknął się o coś i runął jak długi.

Tym czymś, co weszło mu pod nogi, był oczywiście Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy, który pozostawiony w przedpokoju niecierpliwił się, kiedy wreszcie będzie mógł nastąpić.

Rozdział 9

Wieczór był ciepły, letni. Pachniało świeżym asfaltem i zwietrzałymi plastikami. Po zacisznych uliczkach obrośniętych dzikim winem, hulał perfumowany wiatr, zwany „oddechem Holliday Spring”. Na tarasie willi Anna Montini przygotowała podwieczorek, a panujący lekki półmrok nie tylko nie gasił, ale jeszcze podkreślał subtelną urodę dziewczyny. Kontrastowała z nią pochmurna mina mecenasa Butlera.

— Szkoda, że nie chcesz pójść ze mną na to przyjęcie — powiedział.

— Wiesz, że nie przepadam za krzyczącym nowobogactwem. Tobie też się dziwię.

— Powinienem zjawić się tam niejako urzędowo — Thomas uśmiechnął się trochę krzywo. — A dla ciebie oglądanie zabaw nuworyszki mogłoby okazać się pouczające. Z tego co wiem, gospodarz zarobił pierwszy milion na konserwach wieprzowych dla armii. Ale jak nie chcesz? Jeśli inne towarzystwo bardziej ci odpowiada. Nie będę wam przeszkadzał w słodkim sam na sam.

Zdanie zostało rzucone mniej więcej w środek przestrzeni między Anną, która zaczerwieniła się jak piwonias, a docentem Holdingiem, który na trzcinowym fotelu przekopywał najświeższe tygodniki.

— Ależ Tom, twoje aluzje są śmieszne — fuknęła panna Montini. — Willa i mnie łączy jedynie przyjaźń i koleżeństwo!

— Ja przecież żartowałem, kochanie — mecenas natychmiast zmienił front. — A na bal idę właśnie w interesie klienta. Zapowiada się wielce interesująca impreza. Słyszałem, że na raucie znajdzie się fałszywy Holding, Dyrektor Generalny i doktor Arnoldson. Dotąd nigdy nie zapraszano ich na tego rodzaju bale. Czy to nie ciekawe?

— Ale co pragniesz tam uzyskać?

— Nie wiem, ale jak dotąd nie mamy żadnego świadka. Może właśnie tam uda mi się zdobyć jakiś dowód przeciwko O’Harze. Postanowiłem być w pobliżu. Założmy, że ktoś z jego instytutowych kolegów wie coś więcej o sprawie. Poza tym O’Hara jest zdenerwowany, może popełnić jakiś błąd.

Holding pokręcił z powątpiewaniem łbem, jednak krótkie cmoknięcie mogło oznaczać: „Jak chcesz, to próbuj, mecenasie”.

— A więc idę, a wam życzę miłego wieczoru.

Po podwieczorku ciotka zaproponowała Annie grę w karty. Dystyngowana staruszka miewała niekiedy hazardowe zachcianki, a bratanica spełniała je bez zastrzeżeń.

Holding ułożył się u nóg dziewczyny. Było mu tam bardzo przyjemnie. Cały czas rozmawiali oczami. Już parę dni temu zorientowali się, że pośrednictwo fortepianu lub maszyny do pisania jest

im niepotrzebne.

— Wybacz, Anno — mówiły oczka docenta (nie wiedział jeszcze, że w międzyczasie awansował na profesora). — Wybacz, że ja, intruz, wcisnąłem się między ciebie a Butlera. Postępuję naprawdę po świńsku i to w momencie, gdy Tom staje w sądzie jako mój pełnomocnik.

— Ależ Will, nie możesz sobie czynić żadnych wyrzutów — odpowiadają piękne oczy panny Montini. — W ciągu tych kilku tygodni poznałam cię bardzo dobrze i choć pozornie wydaje się to nieprawdopodobieństwem — pokochałam twoją osobowość.

Z piersi maciory wyrywa się protestujące chrząknięcie. Nie przerywaj — odpowiedział wzrok Anny, natomiast głośno dziewczyna mówi:

— Wiecie, byłam dziś rano na uniwersytecie i widziałam ciało Williama prowadzące wykład. Jestem pewna, że już wkrótce je odzyskamy.

— Lepiej nie zagapiaj się, Aniu — gderała ciotka — znowu przegrasz, bierz kartę!

Nawet laik, z pewnej odległości obserwujący rozgrywkę, zorientowałby się, że na tarasie grają w szwinke.

* * *

Portier trzy razy sprawdził kartę wstępu, zanim wpuścił O'Hare do obszernego westybulu. Potem musnęli go wzrokiem i dłońmi tajni agenci. Dopiero po tej czynności lokaje wypakowali go z płaszcza i kapelusza. Franklin roześmiał się w duchu:

— Durnie, czego oni szukają, karabinu maszynowego? Wszystko, czego mi potrzeba, mam w szpilce od krawata.

Tymczasem wyrósł obok niego majordomus i spytawszy o personalia, wprowadził do Sali Lustrzanej (dwa razy większej od wersalskiego pierwowzoru), gdzie ogłosił donośnie:

— Pan profesor William Holding!

W krzyżowym ogniu spojrzeń gość poczuł się nieswojo. Najgorsze, że nazwisko i tytuł nie wywarły większego wrażenia na zgromadzonej elicie finansowej. Majordomus oddalił się, a O'Hara pozostał sam pośrodku parkietu, niczym skała wyłaniająca się z odpływu. Nikt do niego nie podszedł, nikt nie wymienił choćby zdawkowego uśmiechu. Był tu po prostu nowy!

Doroczny Bal Potentatów wydawany był jak zwykle w Pałacu imienia Ostatnich Mohikanów Kapitału, na Wzgórzu Szczytowego Stadium. Było tu wytwornie, drogo i sztywnie. Dopiero opuściwszy Główną Salę, w cienistych galeriach natrafić można było na przyjemniejsze zakątki. Oto

żywy fotoplastykon, wokół którego setka panów tkwiła przy okularach. O'Hara zbliżył się do bębna zwabiony kolorowym napisem „Obrazki z życia Syberii”. Rozczarował się jednak, wewnątrz pudła szedł numer „Babuszka z niedźwiedziem”.

Rozkoszne toplesski roznosiły trunki i klucze od ustronnych gabinetów, w których można było pogłębiać znajomość z partnerem dowolnie wybranej płci. Były też sale z ruletką i miniaturowa giełda, gdyby ktoś nagle zapragnął pograć. Frank spiesznie przemierzył cały ten labirynt ogrodu uciech i wrócił do sali balowej.

Kiedy wreszcie pojawi się ta szantażystka?

Nagle drgnął. Przy bufecie dostrzegł znajomą sylwetkę Arnoldsona i Dyrektora Generalnego.

— A ci skąd tu się wzięli? Czyżby moje obawy były słuszne? — nerwowo poprawił krawat. — Tylko nie wpadajmy w panikę!

— Panna Dolores Mendoza i pan Richard Karsky — zadźwięczał metaliczny głos majordomusa.

Odpowiedzią było głośnie „Aaa”. O'Hara spojrział w kierunku schodów. Karsky jak zwykle występował w arcydrogim, acz niegustownym garniturku ze sztucznego jedwabiu, natomiast jego dama. Bajeczną figurę opinał szczupły kostium ze skórek lamparcich, zaś we włosach tkwił diadem, jakiego mogłaby pozazdrościć królowa brytyjska.

— Ma na sobie równowartość zasobów Fort Knox — mruknął fachowo jeden z biznesmenów, stojących obok O'Hary.

Dziewczyna z wdziękiem łasicy spłynęła na parkiet, rozsypując uśmiechy olśniewająco białych zębów i promienne błyski równie wspaniałych oczu. Jeden z nich przypiekl i Franka.

— Moja Lucy mogłaby jej sznurować obuwie — pomyślał z żalem — a swoją drogą ciekawe, czy jest do wyjęcia.

— Przepraszam pana bardzo — jakiś facet z talerzykiem pełnym wędliny przeciskał się w stronę ogrodu. Fałszywy Holding cofnął się o krok.

— Pan profesor Holding, jeśli się nie mylę — powiedział żarłok. — Nazywam się Butler, Thomas George Butler. Pozwoliłem sobie wczoraj niepokoić pana.

Tylko jego tu brakowało — jęknęła dusza O'Hary. Mało, że zawitała tu połowa instytutu, gdzieś w tłumie kryje się nieznana szantażystka, to jeszcze ten typ.

— Czym mogę służyć, panie mecenasie? — zapytał ze sztucznym spokojem. — O ile wiem, spotykamy się jutro w sądzie.

— Właśnie, to duża niedogodność — rzekł miękko Butler.

— Kiedy pomyślę, co może zrobić z tej sprawy nasza rozplotkowana prasa.

— Nie ja wnosiłem pozew! — stwierdził zimno Franklin.

— Porozmawiajmy zatem jak dwaj dżentelmeni. Chwileczkę, panienko — mecenas nagłym gestem zatrzymał przechodzącą toplesske i z niesionej przez nią czarki nałożył sobie kopsiastą łyżkę kawioru.

— Zagrajmy w otwarte karty, profesorze. Ja też jestem wrogiem skandali, zbytecznego rozgłosu i wsadzania ludzi do więzienia. Jestem pewien, że mój klient zadowoliliby się zwrotem własnego ciała.

— Jaki klient, nie rozumiem, o czym pan mówi? — głos profesora nadal brzmiał spokojnie i bagatelizujące

— Myślę o prawdziwym profesorze Holdingu.

O'Hara roześmiał się.

— Ja jestem jedynym prawdziwym Holdingiem. Wszelkie imputowanie mi innych prawd może spowodować jedynie wytoczenie sprawy o zniesławienie. Czy ma pan, mecenasie, chociaż jednego świadka na poparcie urojeń pańskiego klienta?

Thomas Butler uśmiechnął się tajemniczo. Przeciwnik nie należał do tych, których można lekceważyć.

— Proponowałem rozwiązanie polubowne — rzekł — a tak — spotkamy się jutro.

Bystry strumień ludzki, ożywiony wieścią o gorących przekąskach na pierwszym piętrze, rozdzielił obu rozmówców. Frank zerknął w stronę panny Mendoza, tańczyła z młodym przystojnym senatorem, potem odbił ją Dyrektor Generalny.

— Tak elita władzy splata się z dorobkiewiczowskim kapitałem, psiakrew — pomyślał cierpko O'Hara.

— Czyż to nie fajna babka, profesorze! Kiedy nasza genetyka dojdzie do takiego poziomu, że wszystkie będą takie? — usłyszał obok siebie głos Arnoldsona.

— No cóż, panie doktorze, parę brzydul musielibyśmy zostawić, aby istniała jakaś skala porównawcza — odrzekł w równie żartobliwym tonie.

Orkiestra skończyła utwór dynamicznym: pam pa ra ra ra, pam, pam! Dyrektor, dumny jak paw, podszedł do nich razem ze swą partnerką.

— Koledzy pozwolą — powiedział z nienaganną swobodą. — Panna Dolores Mendoza, gwiazda na naszym pięknym niebie. A to moi najwybitniejsi współpracownicy.

Przez następne pięć minut Arnoldson nawijał jak katarynka o eksperymentach i transplantacjach, a Dolores słuchała tego z nieudawaną cierpliwością. O'Hara milczał, ogarnięty nagłą nieśmiałością i walczył ze ślinką napływającą mu do ust.

— Strasznie tu gorąco — rzekła nagle przyjaciółka Karsky’ego i zwróciła się do Neo–Holdinga — Może mi pan podać ramię, panie profesorze, chciałabym wyjść do ogrodu, zaczerpnąć powietrza.

Przeprosili resztę zdumionego towarzystwa i wyszli, a zresztą trudno było to tak nazwać. O’Hara nie szedł, a płynął. Spacerowali wśród różanych pergoli, wśród storczyków wielkich jak dynie i mięsożernych roślin, gotowych zawsze odgryźć dłoń kłapnięciem kielicha.

— Cóż za piękna noc, panno Dolores — wykrztusił wreszcie Frank, wściekły, że nie potrafi zdobyć się na nic ponad zwykły banał.

— Tak, to świetna noc do miłości i interesów.

Znaleźli się w jaśminowej altanie. Panna Mendoza przysiadła na wiklinowej kanapie, a jej pantofelki jak złote jaszczurki zsunęły się z bosych stóp.

— Do interesów? — fałszywy Holding nie pojął dogłębnie sensu słowa. — Myślałem, że raczej...

— Oczywiście, Frank, przecież przyszliśmy do tego gniazdka miłości załatwić właśnie interesy.

Reakcją O’Hary były wybałuszone oczy, opadnięta szczeka i brak języka w gębie.

— T–t–to pani! Niemożliwe..., przecież my się nie znamy! Dolores wybuchnęła śmiechem.

— Czy ty naprawdę nic nie rozumiesz, Frank? Dolores Mendoza nie żyje od dawna. Jej ciało to tylko pokrowiec na duszę twego współnika Hansa Weissensteina.

— Co takiego?! — O’Hara udając, że instynktownie poprawia krawat, sięgnął po szpilkę. Weissenstein zauważył ten ruch. Najpierw strzelił profesora siarczyście w pysk, a następnie zachichotał.

— Nie rób głupstw, Frank! Zabezpieczyłem się. Całą prawdę zna Rick Karsky, który obdarłby cię żywcem ze skóry, gdyby choć jeden mój pieprzyk uległ uszkodzeniu. A chyba orientujesz się w jego możliwościach. Wszystkich innych świadków też nie zgładzisz. Zdeponowane w bezpiecznym miejscu zeznania, z chwilą mej śmierci natychmiast trafią do Arnoldsona, mediów, prokuratora. Dużo ciekawego mógłby też zeznać mój lekarz Alain Lecoq. Nie, profesorze, nie masz żadnych szans. A szpileczkę oddaj, żeby cię więcej nie korciło. Ręce profesora opadły bezsilnie.

— Czego chcesz, pieniędzy? — zapytał lękliwie.

— Też! Tyle, że teraz oddasz mi wszystko, akcje, obligacje, czek. A ja je zniszczę.

— Co takiego?

— Twoje pieniądze są kroplą tego, co posiadam dzięki Richardowi. Teraz pragnę jedynie zabawy, Frank, z dodatkiem zemsty. Chcę sycić się twym cierpieniem, chłonać twój zwierzęcy lęk, który już ci się zapala w oczach. Chcę widzieć twój strach przed zdemaskowaniem i twoją rozpacz.

— Bydlę!

— Trochę szacunku dla damy! Zaręczam, będziesz robił wszystko, co ci każę, Frank. Jeśli zechcę, będziesz zabijał, będziesz transplantał wszystko i wszystkim. Razem, wspólnie, będziemy drenowali mózgi jak śliwki i rozdawali ludzkie jaźnie, produkując mutantów. Wiesz, jaka to będzie zabawa?

— Ty sadysto!

Weissenstein zaśmiał się, mile połączony obelgą.

— Tak, jestem sadystą, a będę hipersadystą! A ty mi w tym pomożesz. Jeśli okażesz się wystarczająco dobry, w nagrodę uczynię cię swoim kochankiem.

O'Hara zacisnęła pięści.

Muszę go zabić — pomyślał — mniejsza o konsekwencje.

— A, tu się ukryliście — na ścieżce ukazał się Arnoldson. — Mam nadzieję, panno Mendoza, że profesor nie zanudził tak pięknej kobiety naukowymi dywagacjami.

— Rozmawialiśmy o notowaniach giełdowych — Dolores uśmiechnęła się kokieteryjnie.

Franklin skorzystał z okazji, przeprosił ich i oddalił się szybko. W galerii skręcił do pierwszej lepszej łazienki. Wsunął rozpaloną głowę pod strumień wody.

— Straszny dziś upał, nieprawdaż? — powiedział ocierając się o niego mecenas Butler.

Nie usłyszał odpowiedzi.

Lecz kiedy O'Hara wyszedł, mecenas spieszenie zamknął się w kabinie. W dłoni trzymał mały magnetofon. Pół godziny wcześniej przypiął go Frankowi, a teraz bez trudu odzyskał. Przesłuchał taśmę uważnie. Nagrania były wystarczająco czytelne. Niestety, taśma nie jest dla sądu żadnym dowodem. Należało też wątpić, czy Weissenstein alias Mendoza zechce złożyć zeznania. Szantażowanie O'Hary było dla niego niewątpliwie atrakcyjniejsze. Ale zacząć zeznawać mógł przecież ktoś inny.

Butler działał szybko. Kasetę umieścił w małym pakunczku, dołączył do niego list i szybko przekazał całość do punktu poczty pneumatycznej. Przesyłkę zaadresował do własnego sekretarza. List składał się z ledwie kilku słów.

„Skopiuj taśmę i wyślij ją natychmiast pani Lucy Holding! TB”.

Było grubo po pomocy, gdy mecenas zapukał do okna pokoju Anny Montini. Dziewczyna w kusej koszulce, nie narzucając szlafroka, otworzyła drzwi prowadzące na taras. Cmoknęła go w policzek.

— To ty, Tom. Jak ci poszło?

— Chyba się udało, przepraszam, że cię obudziłem.

— Nie mogłam zasnąć. Wejdz.

Butler wszedł i czujnym okiem powiódł po sypialni, jakby szukał tu łaciatego docenta.

— Śpię sama — uśmiechnęła się Anna. — Mów, co jeszcze załatwiłeś?

— Zobaczysz jutro.

Panienka ziewnęła:

— Tylko tyle masz mi do powiedzenia?

— Nie — rzekł Tom — chciałem przede wszystkim pomówić o nas. Od czasu pojawienia się tego byd..., przepraszam, Williama, wszystko zaczęło się psuć.

— Ależ Tommy, wiesz przecież...

— Bez wykrętów, Anno! Na szczęście za parę dni nasza przygoda ze świnką dobiegnie końca. Willi odzyska swoje ciało i żonę Lucy, którą kocha nad życie. — Panna Montini pobladła i usiadła na łóżku.

— Myślałam — szepnęła — że zostanie z nami.

— Sodomia i bigamia w jednym stały domu — sarknął jurysta. — Musisz pogodzić się z myślą, że Holding zniknie z naszego życia, a ja nie zamierzam już dłużej ociążać się ze ślubem.

— Kiedy ja już go trochę polubiłam.

— Wiesz, jak to się nazywa?! — wybuchnął. — Wieprzofilia! Wstydz się. Dobrze, że wkrótce będziemy to mieli za sobą.

Anna zaczęła płakać. Butler siadł przy niej i zaczął ją dobrotliwie głaskać. Nie spotkał się ze sprzeciwem. Od głaskania przeszedł do delikatnego całowania po włosach, po karku, a potem, korzystając z rozszłochania dziewczyny, rozluźnił koszulkę tak, że opadła, odsłaniając ramiona i piersi.

— Nie, Tommy, nie... nie możemy — szeptała, nie opierając się zbyt mocno.

— Musimy. Jesteśmy stworzeni dla siebie, Anno! Chodź do mnie. Protestowała coraz słabiej, a on przyciskał się do niej coraz bardziej gotowy, roznamiętniony.

I wówczas ktoś zadzwonił do furtki.

Ani Anna, ani zdyszany prawnik nie poznali w pierwszej chwili Lucy Crawford. Zaawansowana ciąża i półprzytomna twarz sprawiły, że była gwiazda Holliday Spring przypominała raczej spadły

meteoryt.

— Czy to pan wystąpił z tym strasznym oskarżeniem? — rzuciła już od progu.

— Nie wiem, co pani ma na myśli, mówiąc „straszne oskarżenie”? — powiedział sucho Butler, poprawiając garderobę.

Lucy cisnęła na stół kasetę magnetofonową.

— Jakiś łajdak przysłał mi to dziś w nocy — zawołała — czy to prawda?

— Nie wiem, co jest na kasecie, nie mogę więc orzekać o prawdzie bądź fałszu — rzekł mecenas.
— Ale możemy przesłuchać.

Przesłuchali jeszcze raz rozmowę O'Hary z Dolores. Butler kiwał głową, Anna słuchała z szeroko rozwartymi oczami, a Lucy Holding mieniła się na twarzy.

— No i? — popatrzyła na adwokata.

— Niestety, to prawda.

— Domyślałam się od dawna — spuściła głowę — od dawna.

— Jak to? — Anna nieomal krzyknęła. — Domyślała się pani, że jej mąż nie jest prawdziwym docentem Holdingiem?

— Tak — Lucy spuściła głowę jeszcze niżej — czy ktokolwiek może przypuszczać, że kobieta nie rozpozna zmiany kochanka? Już pierwszej nocy wiedziałam, że nastąpiła zamiana.

— Dlaczego więc, na miły Bóg, nie uczyniła pani nic, żeby wyjaśnić prawdę? — zawołała Anna.
— Stała się pani współniczką tych łotrów!

Zapadło długie, napięte milczenie.

— Proszę mówić — rzekł łagodnie Thomas — to na pewno pani ulży.

— Domyślałam się, że to nie jest Will, ale nie chciałam powrotu. Ten nowy... bardziej mi odpowiadał.

— Jak pani mogła!

— Mogłam. Powiem więcej, przyszedłam tu dzisiaj, do was, prosić o litość i o poniesienie procesu.

— Wykluczone — burknął prawnik — została popełniona zbrodnia.

— Być może, ale z miłości! Will..., czy też jak wy go nazywacie, Frank, uczynił to wszystko z szalonej miłości do mnie. Czy wy nic nie rozumiecie? Owszem, popełnił masę przestępstw, ale

wyłącznie kierowany uczuciem do mnie. Błagam, poniechajcie oskarżenia!

— Proponowałem panu O’Harze dobrowolny zwrot ciała. Nie miał na to ochoty — powiedział Butler.

— A więc po prostu chcecie go zabić. Nie róbcie tego przynajmniej teraz. Widzicie, spodziewam się dziecka. Jego dziecka!!!

— Czy pani przyszła tu w porozumieniu z mężem? — spytał adwokat.

— Nie, nie. On nigdy nie może się dowiedzieć, że ja wiem. Ja... ja się chyba zabiję! Mój Boże!

— Prawo, droga pani, jest prawem — w głosie Butlera nie ma nawet śladu najmniejszej choćby emocji. — Musimy wyświecić wszystko do końca. O wycofaniu pozwu nie może być mowy. Odprowadzę panią.

Lucy zaciska usta. Mecenas prowadzi ją do furtki. Anna, która narzuciła szlafrok, wychodzi za nimi na taras. W duszy Butlera huczą fanfary triumfalne. Ruszyło! Zeznania Lucy złożone w obecności Anny mogą mieć swoją wagę. Wygra! Skończy ze sprawą świni i padnie w ramiona ukochanej.

Kiedy sypialnia Anny opustoszała, spod łóżka wygramoliła się ukryta od dłuższego czasu świnka. Trzęsła się jak w wysokiej gorączce, a ryj miała mokry od łez.

* * *

O’Hara spacerował pustymi ulicami Holliday Spring. Czasem minęła go gościnnie zwalnająca taksówka, kiedy indziej policyjny radiowóz. Był chłodny, spokojny, przed zegarem na placyku i uniwersytetem a supermarketem przystanął. Dochodziła trzecia.

— Niech to się wreszcie skończy. Niech to się skończy — przez krótki czas myślał o ucieczce. Nie miała żadnego sensu. Już wczoraj zorientował się, że jest pod dyskretnym nadzorem agentów. Może Butlera, a może policji?

Tak doszedł do sklepu, w którym niedawno zakupił sztucer na grubego zwierza. Przez chwilę przyglądał się oświetlonej wystawie, potem uniósł jeden z koszów na śmieci i cisnął nim w taflę.

W kwadrans potem był w domu. Nie miał odwagi zajrzeć do sypialni żony. Jeszcze raz obejrzał mały, poręczny pistolet ukradziony z witryny. Zarepetował go i włożył pod poduszkę. Od razu miał lepszy sen.

Rozdział 10

Główna sala sądu okręgowego wypełniona była po brzegi. Obok zwykłych bywalców, wśród widzów można było znaleźć szereg znakomitości naukowych, a przede wszystkim moc dziennikarzy. Nikt dokładnie nie znał szczegółów procesu Holding contra Holding, ale przecieki i niedyskrecje wystarczyły, by zwabić publiczność żądną sensacji. Na razie miało odbyć się przesłuchanie wstępne. Thomas Butler uzyskał dzięki swoim znajomościom i wyjątkowemu charakterowi sprawy maksymalne przyspieszenie procedury.

Sędzia, po wypowiedzeniu formuł wstępnych, przystąpił do rzeczy.

— Wpłynął pozew od pana Williama Holdinga reprezentowanego przez mecenasa Thomasa G. Butlera przeciwko panu Franklinowi O’Harze. Proszę o powstanie powoda i pozwanego!

Butler wstał, ale poza nim nikt się nie ruszył. Wszyscy spojrzeli na profesora, ale ten nawet nie drgnął. Na sali zaszumiało. W chwilę potem jak krąg po wodzie kolejny szmer przebiegł przez audytorium. W kierunku ław publiczności przeciskał się spóźniony widz: panna Dolores Mendoza. Miała zarezerwowane miejsce tuż za profesorem Holdingiem. Ten na jej widok mocno pobladał i ścisnął pulpit dłońmi tak mocno, że aż pobieleły mu palce. Siedząca obok Lucy popatrzyła na męża z niepokojem.

— Powtarzam, proszę o powstanie... — zaczął sędzia, ale Butler przerwał jego słowa.

— Chwileczkę, Wysoki Sądzie, oto mój klient.

Czterech barczystych policjantów wniosło podłużną skrzynię. Mecenas teatralnym gestem (jak każdy adwokat lubował się w efektach specjalnych) otworzył skrzynię. Przed barierką dla świadków pojawiła się łaciata maciora, odziana w skromny kaftanik i wytworną muszkę.

Na sali zawrzało. Wysoki Sąd poczuł się nagle diabelnie niskim, piękna Dolores przysłoniła twarz wachlarzem, O’Hara wsunął się głębiej w fotel, a z ust Lucy dobiegł tylko jęk.

— Boże, Boże!

Co bardziej nerwowi zurnaliści rzucili się do dalekopisów, pozostali jednak cierpliwie czekali na dalszy rozwój dramatu.

Sędzia dobre trzy minuty walił młotkiem w pulpit, pragnąc zapanować nad ogólnym harmidrem. Wreszcie, gdy wrzawa nieco opadła, niemal krzyknął do Butlera:

— Panie mecenasie, cóż to za niesmaczny żart?

— Proszę o wyrozumiałość, Wysoki Sądzie. Wszystko zostanie wyjaśnione. Daję słowo, że mimo nietypowych warunków powaga Wysokiego Sądu nie zostanie w najmniejszym stopniu naruszona. W

imienu tu obecnego Williama Holdinga — wskazał świnkę w muszce — oskarżam tu obecnego Franklina O'Hare o to, że w dniu 14 marca bieżącego roku wraz z doktorem Hansem Weissensteinem dokonał zamachu na zdrowie, mienie i wolną wolę Williama Holdinga, przeprowadzając wbrew woli mego klienta transplantację jego mózgu do ciała świni rasy nizinnej (*sus domestica*). Ponadto obecny tu Franklin O'Hara dopuścił się pospolitej kradzieży, polecając umieszczenie swojego mózgu w ciele Williama Holdinga i jednocześnie — wbrew przepisowi o godnym traktowaniu zwłok ludzkich — nakazał zniszczenie własnego ciała za pomocą młyna paszowego.

Teraz na sali zakotłowało się. Okrzyki „To niewiarygodne!” krzyżowały się z wykrzyknikami „Bujda!” Jedni domagali się ciszy, inni żądali przerwania haniebnej rozprawy.

Sędzia jeszcze raz stanął na wysokości zadania. Powtórzył kilka razy:

— Proszę o ciszę — a następnie ostrzegł, że nakaze opróżnić salę. Trochę to poskutkowało.

— Mecenasiu — powiedział wreszcie, kiedy jego głos mógł być już słyszany. — Wystąpił pan z niesłychanie poważnym, a zarazem wręcz nieprawdopodobnym oskarżeniem, mam nadzieję, że dysponuje pan na poparcie swych karkołomnych tez jakimiś dowodami, zeznaniami świadków.

Thomas Butler wskazał na świnkę:

— Oto mój koronny świadek i dowód!

— Ta kostiumowa świnia! — zachnął się sędzia.

— Tak jest, Wysoki Sądzie, ta świnia. Już za chwilę złoży przysięgę, że będzie mówić prawdę i tylko prawdę.

Zatrzeszczały krzesła na widowni, wszyscy wychylili się maksymalnie, pragnąc obserwować scenę nie mającą sobie równych w liczącej kilka tysięcy lat historii prawa. Nikt nie zwracał uwagi na piękną Dolores, która pobladła i poczęła się rozglądać, jak najłatwiej można opuścić salę.

— Czy „świadek” umie mówić? — zapytał sędzia.

— Nie, ale potrafi wystukiwać zdania na maszynie. Na moje polecenie skonstruowano komputer o szerokich klawiszach dopasowanych do kopytek mego klienta. Słowa mojej klientki zostaną automatycznie wyświetlone na telebimie.

Wniesiono aparaturę, a sędzia zwrócił się do świni.

— Dla uproszczenia ja odczytam formułę i wystarczy, jak napiszesz słowo tak. — Wstał i odczytał przysięgę.

Świnka ani drgnęła. Rozglądała się ciekawie po sali.

— No, Will, dalej! — zawołała Anna.

— Panie Holding, proszę pisać — ponaglił Butler. Ale apatyczne zwierzę zakręciło się tylko i wyciągnęło wygodnie w pobliżu ławy oskarżonych. Na sali wzmożyły się śmiechy.

— Nie rozumiem, co jej się stało — bełkotał Butler — Mo... może ją podmienili?

Anna przeskoczyła barierkę dzielącą publiczność od trybunału i uklękła koło zwierzęcia.

— No, kochany, mów, nie denerwuj się! — w tej pozycji chwyciły ją flesze reporterów. Wrzawa osiągnęła swe maksimum. Zewsząd dały się słyszeć głosy:

— Do domu wariatów z tym adwokatem i dziewczyną!

— Zróbcie ze świni obiad dla Sądu Najwyższego!

— Od kiedy Temida pracuje w chlewie?!

— Zmuszony jestem przerwać to poniżające widowisko! — wołał purpurowy z gniewu sędzia.

— Will, najdroższy! Nie marnuj jedynej szansy! — łkała panna Montini.

— Proszę skończyć te pieszczoty — huknął sędzia. — Proszę o ciszę!!! Proszę!

Piękna Dolores była już spokojna, wychyliła się i musnęła włosy O'Hary.

— Mamy szczęście, Frank, duże szczęście. Już mi się nie wymkniesz!

Anna Montini tymczasem powstała.

— Wysoki Sądzie, William nie chce złożyć zeznań celowo. Z miłości do Lucy...!

— To nieprawda — krzyknęła pani Holding.

— ... chce również być lojalny wobec mecenasa Butlera. Will sądzi, że przez niego rozpada się nasze narzeczeństwo z Thomasem. Ale to nieprawda!

— Sądu nie interesują pani prywatne sprawy. Proszę się uspokoić! Ogłaszam rozprawę za...

— Za pozwoleniem!

W głosie Holdinga vel O'Hary było coś takiego, co nakazało zamilknąć tłumowi. Frank przeskoczył przez barierkę i stanął przed trybunałem.

— Bardzo przepraszamy pana profesora za to zajście... — zaczął sędzia.

— Chciałem złożyć zeznanie — mówił naukowiec, nie zwracając na nic uwagi. Uciszyło się zupełnie. — Ja, Franklin O'Hara, będąc w pełni przytomny i świadomy, w całej rozciągłości potwierdzam oskarżenie przedłożone przez mecenasa Butlera — tu podszedł do świni i przez moment oglądał blizny na jej głowie. — Tak, to rzeczywiście prawdziwy docent Holding!

— Oszalałeś, Frank! Co ty gadasz? — w ciszy, która zapadła, rozległ się piskliwy okrzyk Dolores.

— Doktor Hans Weissenstein, współsprawca przestępstwa, niewątpliwie to potwierdzi. Doktor Hans Weissenstein, czyli obecnie, po zabiegu transplantacyjnym Dolores Mendoza — kontynuował O'Hara. — Tak, Wysoki Sądzie. Przyznaję się do wszystkich tych potwornych czynów i gotów jestem ponieść zasłużoną karę. Ale nikt już przeze mnie nie będzie cierpiał. Nikt nikogo nie będzie szantażował! — tu odwrócił się w stronę ślicznotki. — Przegrałeś, Hans! Koniec.

Dolores usiłowała pobiec ku drzwiom, ale dwóch barczystych strażników przytrzymało ją zdecydowanie. O'Hara stanął przy świnie.

— Wybacz, Will. Za dużo chciałem od życia! Reszty dokonał ten diabelny Mefisto, Hans! Zwracam ci to, co zabrałem, profesorze.

— Nie! — krzyknęła Lucy i osunęła się zemdłona. W ręku O'Hary błysnął pistolet. Uniósł go do ust.

Jednak Thomas Butler był szybszy. Dopadł Franka, zanim uczynił to którykolwiek z funkcjonariuszy. Szamotali się przez chwilę. Padł strzał.

— O, Boże! — jęknął sędzia równocześnie z Anną Montini. Kula przeznaczona dla Franka ugodziła w czoło mecenasa Butlera.

— Ja... ja nie chciałem — bełkotał O'Hara. Niezmordowanie strzelały aparaty fotograficzne, warczały kamery.

Świnka pobiegła tymczasem do klawiatury i pośpiesznie zaczęła wystukiwać jakiś tekst.

* * *

Za oknami padał deszcz. Panna Grant pośpiesznie zaciągała firanki. W sąsiednim pokoju zapłakało dziecko.

— Pójdę do niego — powiedziała Lucy. Ciotka Anny poszła razem z nią. Przy stole pozostała trójka domowników.

Doskonale poznaliśmy te twarze. Mecenas Butler ze świeżą jeszcze blizną na czole, profesor William Holding i Anna. Na palcach Thomasa i Anny lśniły obrączki.

— Drodzy przyjaciele — powiedział Butler — dziś, w okrągłą rocznicę tych wszystkich nieporozumień, wypijmy za przyszłość. I nasze zdrowie.

— Twoje zdrowie, Will — powiedział Holding do Butlera.

— I twoje, Frank — podchwyciła Anna, uśmiechając się do Holdinga.

Niech dziwaczne poplątanie nazwisk i imion nikogo nie zmyli. Sprawa zakończyła się ogólnym happy endem.

O'Hara zachował dawne ciało Holdinga, do którego już przywykł. Zrezygnował natomiast z pracy w instytucie, zakładając wytworny lokal rozrywkowy za pieniądze, które zarobił w czasie swego półrocznego holdingowania, a z których prawdziwy Holding wspaniałomyślnie zrezygnował.

Mózg Williama po zabraniu go z ciała świni (czego, nawiasem mówiąc, momentami żałował) znalazł nowe luksusowe schronienie w czaszce zmarłego mecenasa Butlera. Zrekompensowało to z nadwyżką bolesną stratę, która spotkała Annę. Obecnie mogła jednocześnie cieszyć się duszą swego ukochanego i ciałem, które jednak potrafiło ją fascynować. Oczywiście William — Thomas wrócił do pracy naukowej w instytucie.

Po wycofaniu oskarżenia O'Hara został zwolniony i obciążono go jedynie grzywną za występowanie pod cudzym nazwiskiem i udział w niedozwolonych eksperymentach naukowych, za jakie sąd okręgowy, a następnie Najwyższy, uznał sezonową zamianę ciał. Dolores Mendoza do końca życia miała przebywać w luksusowym zakładzie zamkniętym, który kupił jej Karsky. Można się tam było znęcać wyłącznie nad martwą naturą.

Małżeństwa Holdingów i O'Harów połączyły się więzami szczerzej, braterskiej przyjaźni. W naszej epoce stara zasada, że każde przestępstwo musi być ukarane, stała się poniekąd anachroniczna; natomiast slogan „świństwa zbliżają ludzi” był coraz bardziej aktualny.

Zresztą los ukarał Franklina O'Harę w inny sposób. Wraz z upływającym czasem jego skóra stawała się coraz twardsza i twardsza, a grzbiet począł pokrywać się szczecina. Na szczęście dziecko urodziło się normalne. Lucy powiła zdrowe i krzepkie Murzyniátko przypominające do złudzenia jednego z championów wagi ciężkiej, pseudo „Czarny Waleń”, który dziewięć miesięcy wcześniej odwiedził Holliday Spring w trakcie swego tournée.

— Zasnęło — Lucy O'Hara delikatnie zamknęła drzwi i zbliżyła się do grupy przyjaciół. Gospodarz zdążył ponownie napełnić kielichy.

— Teraz moja kolej — rzekła była aktorka. — Piliście zdrowie wszystkich. Ja natomiast pragnę wznieść toast: „Sto lat” dla Naszego Ulubionego Dalszego Ciągu.

Jak na komendę wszyscy zajrzeli pod stół. Ale Dalszego Ciągu tam nie było. Być może autor przetransplantował go gdzie indziej. W końcu jak długo można chorować na świnkę.

(1976–1979)

Laboratorium Nr 8

Laboratorium Nr 8

Radiową wersję przygód „Ludzi, szcurów i termitów „, napisałem na przełomie 1977 i 1978 roku, pomiędzy zapomnianymi dziś serialami „I stała się ciemność „, oraz „ Czysta żywa woda”, które jak dotąd nie doczekały się wersji powieściowej. „ Ciemność „, zaistniała wprawdzie w 1981 roku jako gazetowy komiks, ale została zdjęta tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego. Z „Laboratorium nr 8” miałem więcej szczęścia, już w roku 1980 ukazało się, wraz z megafelietonem Jana Kaczmarka, w tomiku „Rok 3978”. Początkowo tom miał nosić tytuł „ Cztery czwarte „, i zawierać jeszcze „Dyrekcję Cyrku w Budowie” Jacka Fedorowicza i pisane wspólnie z Andrzejem Zaorskim „Zapiski Kłusownika „, ale okazało się, że wedle cenzury to, co nadaje się do Radia, niekoniecznie nadaje się do druku. I rzeczywiście, mikropowieść miała charakter bardziej rozrywkowy niż satyryczny, przynajmniej jako całość. Zaś w szczegółach...

Kiedy sięgnąłem do tekstu po latach, znalazłem mnóstwo odniesień do rzeczywistości totalitarnej, wszystkie NaczKwaty i PracTechy zapachniały mi rzeczywistością sowiecką, a całą historię zacząłem odczytywać jako, może nie do końca uświadomione w chwili pisania tekstu, wołanie o tolerancję i solidarność.

— LABORATORIUM NUMER OSIEM — odczytał Inspek na niskich, żelaznych drzwiach w końcu korytarza. — A więc to tu. — Jeszcze raz obejrzał zmięty druczek skierowania, opatrzony właściwymi pieczęciami Parlamu i odnośnego Miństwa. Wszystko się zgadzało. Wszedł śmiało, choć bez zwykłej, właściwej mu, ale w tej sytuacji niewskazanej, ostentacji.

— Z pozdrowieniami od Miństwa dla Profu — rzekł.

Dwie postaci w białych kitlach, zajęte jakimiś doświadczeniami, przy stole pełnym palników i bulgocących retort, wykonały w tył zwrot.

— Prof odwzajemnia wasze pozdrowieństwa — zza ogromnych okularów błysnęły w stronę przybysza inteligentne oczy. — Jesteście nowym PracTechem skierowanym przez DepNauk?

— Tak, tu są wszystkie moje papiery. PracTech SB 666 melduje się na waszym odcinku.

— Pracowaliście już kiedyś przy czworonogach? — Prof niedbale oglądał wręczone mu świstki, jakby były to co najwyżej asygnaty na ponadnormatywną karmę.

— Jeszcze nie. W mym ojczystym Ratstone zajmowałem się głównie insektami, jak pluskwiaki, termity.

— To świetnie, niewątpliwie znajdziecie wspólny język z kolegą Asysem, naszym znakomitym entomolem. Asys pozwól.

Niższy z naukowców odłożył skrypt zatytułowany „Małpiatki i insekty, różnice i podobieństwa tych szkodników” i podszedł do przybysza. Na jego plakietce lśnił napis: Asys DB 234.

— Cieszę się, że będziemy mogli współpracować. Pracujemy nad odruchami warunkowymi istot niższych. Ostatnie doświadczenia wykryły śladową inteligencję u stawonogów.

Mijają klatkę, w której zamknięty jest termit dziesięciokrotnie większy od szczurów

— Inteligencja u stawonogów? — skrzywił się Inspek. — Cała spuścizna naukowa dowodzi, że zajmowanie się tymi kretynami to tylko strata czasu.

— Być może, choć mojemu poprzednikowi udało się oswoić jedną gigantyczną modliszkę.

— Doprawdy. I co?

— Doświadczenie przerosło wszelkie oczekiwania. Samica; zakochała się w nim bezgranicznie. I w dowód swego uczucia, jak to modliszka, zjadła go na zakończenie aktu płciowego.

Inspek skrzywił się, naukowe dywagacje na temat stawonogów najwyraźniej śmiertelnie go

nudziły.

— Chciałbym od razu zabrać się do pracy w sekcji M — rzekł, ignorując olbrzymiego termita obserwującego go przez ściankę wiwarium. — W Miństwie wspominali mi, że są zawałeni waszymi prośbami o PracTechów. W jakiej fazie są wasze badania?

— Osiemnasta seria wariantu C. Zagadnienia porządku i koordynacji u wybranych osobników. Zresztą pokażemy wam. Asys, usuń pokrywę.

Podłogę Laboratorium, czyli mówiąc miejscową gwarą — Labom, stanowiły żelazne płyty. Po ich uniesieniu, można było oglądać z góry cały labirynt wybiegów i terrariów. Inspek aż zagwizdał przez wyszczerbione zęby.

— Dużo tego inwentarza!

— Zwróćcie przede wszystkim uwagę na ich zachowanie — wtrącił Asys. — Są ich dziesiątki, a poruszają się po idealnie prostych Uniach, skręcając wyłącznie pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Chociaż nie porozumiewają się ze sobą, reagują na impulsy świetlne: czerwone światło powoduje natychmiastowe zatrzymanie, zielone — marsz, a żółte — ślinienie i wydzielanie soków trawiennych.

Inspek kiwnął z uznaniem głową.

— Czytałem biule z wynikami, nie znam jednak metod zastosowanej tresury.

— Postępowaliśmy zgodnie z zaleceniami NauRady — odparł Prof. — Wzdłuż wytyczonych linii zostały przeciągnięte przewody pod napięciem. Każde zboczenie z nakazanej drogi groziło dotkliwym elektrowstrząsem.

— To rewelacyjne!

— Po tygodniu tresury przewody zdjęto, ale odruch pozostał. Chodzajak pod ekierkę. Ta podatność na odruchy warunkowe wskazuje, że już wkrótce znaczną część tych istot będzie można przystosować do pracy dla nas. Włączam światelko czerwone. Stoją! Proszę, jakie pojętne stworzenia.

Tu trzy ogromne szczury w białych kitlach pochyliły się nad wiwariami, których korytarzami dreptała laboratoryjna ludzkość.

* * *

Po nierównym bruku turkoce motowózek. Napędza go niewielka machina parowa na drewno, a jedzie nim strach. Przeszło trzysta kilogramów strachu. Motowózkiem kieruje para śniadych szczurów, beztriosko popijających orzeźwiający płyn z płaskich butelek. W pudle za nimi nie ma okien, tylko niewielkie dziury wentylacyjne. Wewnątrz, oprócz dwóch strażników, jedzie kilkunastu

skrępowanych ludzi.

Szur, szur, szur, szur. Motowózek mija mostek na Ogonicy. Znad rzeki rozciąga się pyszna panorama Szczuropolis, wielopiętrowych nor w mysim kolorze, z obeliskami świątyn i lasem kominów. Szur, szur, szur, szur. Więźniowie wydają się być pogodzeni ze swym losem. Mali, kudłaci, dzicy, swoim szczurzym strażnikom nie dorastają nawet do pasa.

W kącie ktoś łka cichutko. Strażnik warczy gniewnie i oświetla kąt latarką. Siedzi tam dziewczyna, wyraźnie dystansująca się od pozostałych. Ładna, nawet bardzo ładna.

— Milczeć, zachowywać spokój — woła szczur strażnik. Wózek tymczasem wjeżdża na stromą uliczkę wspinającą się na szczyt wzgórza KulturNauki.

Do przerażonej dziewczyny wrzask prawie nie dociera. Jak katatoniczka kołysze się w miejscu. Jeden strach więcej, jeden mniej. Właściwie zawsze żyła w strachu. No, może z przerwami, ale przez te ostatnie dni... Pojmanie, potem transport barkami, na których mali ludzie stłoczeni pod pokładem, bez jedzenia i picia marli jak muchy, wreszcie targ. Mała estradka, na którą łapacze wypędzali swój towar.

— Daję sto uszu za tę małą! — wołał jakiś głos. Wypchnięta przed tłum licytujących dziewczyna, nie miała pojęcia o czym mówią. Głos powtarzał:

— Chcę kupić tę małą dzikuskę! Niech stracę! Ea, bo takie imię nosiła dziewczyna, oślepiąca przez słońce, na próżno usiłowała dostrzec tego, który mówi.

— Dam sto dwadzieścia! — rzucił inny bas.

— Sto trzydzieści!

— Sto pięćdziesiąt!

Licytacja zaczęła wzbudzać powszechne zainteresowanie. Dotychczas szło wszystko dość zwyczajnie: „Ci do rzeźni, ci do skarmiania, ci do rzeźni”. Rzadko włączał się jakiś prywatny kupiec. Tym razem tak było. Czyżby mała dzikuska zaostrzyła szczurze apetyty na coś innego? Homofilia była oficjalnie zakazana, co nie znaczy, że nie należała do najpopularniejszych zbroczeń.

— Sto sześćdziesiąt — niemal zawołał pierwszy głos. Przebiło go ciche: — Dwieście.

Wreszcie Ea dostrzegła licytujących. Pierwszy ze szczurów miał pysk typowego łapodajnego na służbie któregoś z wielmożów, odziany był zresztą w liberię. Drugi, należący do odmiany albinotycznej, miał łagodny pysk intelektualisty i nosił wielkie przydymione okulary.

— Mam kupić tę dzikuskę z rozkazu Komisa — warczał umundurowany.

— A ja dokonuję zakupów za zgodą Parlamu, dla celów naukowych — odpowiadał okularnik.

— Komis nie będzie zachwycony waszą postawą, Prof! Dwieście dziesięć.

— Pan ma swoich przełożonych, ja swoich. Dwieście piętnaście.

— Dwieście piętnaście po raz pierwszy, dwieście piętnaście po raz drugi. Po raz trzeci. Sprzedane!

Powtórnie zobaczyła Profa dopiero na placyku przed Laborem. Motowózek zahamował gwałtownie, a z zaworów buchnęły kłęby pary. Kierowcy zeskoczyli z platformy i otworzyli drzwi

— Wychodź, wychodź! — strażnicy ponagląją więźniów, łomocąc ogłuszająco kołatkami.

— Witaj, mała, możesz się nie bać. — Do Ei podchodzi Prof, biały szczur w wielkich okularach. Ale dzika dziewczyna kąsa wyciągniętą przyjaźnie łapkę. Z tyłu spada na nią cios strażnika; drugi zamierza się bagnetem.

— Zostawcie moją własność w spokoju — powstrzymuje ich Prof. Potem lewą ręką kwituje dostawę i przykłada pieczęć z napisem: „Laboratorium numer osiem”.

* * *

Laboratorium numer osiem posiada mnóstwo zakamarków, wybiegów, cel i basenów. Na najniższym poziomie, za drzwiami, do których klucz ma wyłącznie Prof, znajdują się klatki specjalne. Daremnie szukałbyś ich na schemacie budynku czy we wzorowych sprawozdaniach z przebiegu działalności naukowej. Kilkunastu zamieszkujących je lokatorów odbija zdecydowanie na tle reszty ludzi laboratoryjnych. Są dobrze odkarmieni, cele mają czyste, w miarę przestronne. Jak choćby mieszkanko C-376, człowiczka o twarzy, która w dwudziestym wieku uchodziłaby za gębę debila, a tu niewątpliwie należy do najinteligentniejszych. Inna sprawa, rzadko robi użytek z mózgu, całymi dniami huśta się na oponie wiszącej w środku klatki. Ożywia się dopiero na zgrzyt zawiasów. Podskakuje ochoczo w stronę wejścia.

— Daj banana, Prof, daj banana!!! — woła.

Tego dnia jednak Prof nie przyniósł żadnych owoców i w dodatku nie był sam. C-376 natychmiast zjeżył się i schował za okorowanym pniakiem zajmującym środek jego samotni.

— Nie denerwuj się, Szóstko — powiedział naukowiec. — Przeprowadziłem dla ciebie parkę, całkiem fajną samiczkę.

Z wnętrza boksu dobiegło pełne rezerwy chrząknięcie. Człowiczek wychylił się zza drzewa i obserwował szczupłą ciemnowłosą hominkę, stojącą obok białego szczura.

— Tylko nie gryź jej przypadkiem. Nie poniewieraj. To istota delikatniejsza od ciebie. Jeśli będziesz dobrze się zachowywał, otrzymacie podwójną porcję karmy.

Szóstka przełknął ślinę i zarechotał kretyńsko.

— Bardzo dobrze, że się cieszysz — skomentował jego zaufanie Prof. Obiecałem ci przecież nagrodę za postępy w nauce mowy. I pamiętaj, interesuje nas szybki przychówek. Tylko nie bądź zbyt narwany. Twoja Ż-139 jest odmianą dziką, niedawno złapaną wśród hałd. Mam nadzieję, że uda ci się ją choć trochę oswoić. No... Wchodź, mała.

Tu pchnął Eę w stronę rozsuwającej się kraty.

— Puszczaj, szcurze!!! Nie mam zamiaru tam wchodzić.

— A niech to jasny myszołów! — oszołomiony Prof rozdziawił pysk i zaczął przecierać okulary.
— Ty umiesz mówić? Skąd?

Dziewczyna zacisnęła usta. Po co jej się wyrwały te słowa? Dopiero teraz zaczną się kłopoty.

— Ż-139!? Odpowiadaj, zadałem ci pytanie. Kto cię tego nauczył?

Dzikuska nie odpowiada, ze spuszczoną głową wchodzi do klatki. Jednocześnie nad drzwiami wiodącymi na korytarz zaczyna pulsować światelko. Trzy impulsy, pauza, trzy impulsy. To wyraźny znak od Asysa, że ktoś niewtajemniczony kręci się w pobliżu. Prof rezygnuje z dalszej rozmowy. Rygluje klatkę.

— Życzę wam dużo szczęścia w nowej komórce rodzinnej.

Szybko wbiega po schodach. Alarm ogłoszono nie bez powodu. Piętro wyżej spotyka rozglądającego się Inspeka. Ten na widok zwierzchnika uśmiecha się głupkowato.

— Gdzie tu jest magazyn paszowy? Cholernie łatwo pogubić się w tym labiryncie.

* * *

Pojawienie się dziewczyny zmąciło spokój Szóstki. Zastanawiał się, czy zaproponować jej miejsce na oponie, a może trochę karmy, choć zazwyczaj nie dzielił się z nikim. Obliznął nerwowo wargi. Gdyby tak chwycić dziewczynę za włosy i pociągnąć na legowisko? A jak ugryzie?

Szóstka mierzy około metra wzrostu. Ea jest od niego o dziesięć centymetrów wyższa. Smagła, czarnooka i czarnowłosa, przypomina dziką kotkę złapaną w potrzask. Nie ma w niej cienia uległości czy wewnętrznej rezygnacji właściwej jej dzikim współbraciom, niemym, bezradnym, powolnym.

Leniwy mózg chłopaka nabiera obrotów, nagle przypominają mu się dziesiątki lekcji, jakie odbył z nim Asys.

— Eee, ja..., ty mi mów Szóstka, bo ty moja Dziewiątka. Ja dobry, ty dobra. — Duka i próbuje ją dotknąć, ale Ea odskakuje zwinnie.

— Nie zbliżaj się do mnie, barbarzyńco! — cedzi przez nieskazitelnie białe zębki tak różne od pokruszonych pniaków jej współplemieńców. — I pamiętaj, że nie jestem żadna Dziewiątka. Nazywam się Ea.

— Ea. Jak to, przecież imiona mają tylko szczury? — samiec znów skacze i chybia, a dziewczyna wyślizguje się z jego objęć.

— Chcesz, żebym cię ugryzła? Gdzieś ty się wychował, erotomanie?

— W laborze numer ośm — sylabizuje.

— Powinnam się domyśleć, przecież nawet mówić dobrze nie umiesz, biedaku. A ja byłam wolna. Wolna, dopóki nie schwytał mnie kosmaty patrol. I jeszcze będę wolna.

— Eee..., co to znaczy wolna? — Szóstka drapie się po głowie i znużony dialogiem gramoli się na oponę.

* * *

Wolna? Iluż nieznanym więźniowi słów musiałaby użyć, aby oddać to pojęcie — kiedyś tak naturalne, pachnące bujną roślinnością, dymem z ognisk, rozartym ziarnem traw, słodkim potem matki przytulającej ją do piersi. I ostrą wonią ojca niosącego koszyk zebranej szarańczy. Czasem Ei wydaje się, że od tamtych czasów minęły wieki, kiedy indziej zaś, że chwila. I naraz stają jej przed oczami bezkresne zielone wzgórza, z tu i ówdzie wyzierającymi z ziemi kawałkami betonu, szkła. Dawno umarły prawnuki tych, których pradziadowie zamieszkiwali tę wielką metropolię. Teraz, w zboczach dawnych hałd, czernieją otwory wygrzebanych jam. Ponad nimi unoszą się smużki dymu. Ogień. Trzeba go doglądać dzień i noc, nikt bowiem nie wie, jak go rozniecić, gdy zgaśnie. Rodzina liczyła dziesięć osób — stary mężczyzna z kudłatą brodą, jego żona doglądająca ognia i ośmioro małych. Najstarsza była Ea. Od kiedy pamięta, musiała pracować — zbierała chrust, chodziła z ojcem na poszukiwanie pędraków czy łowienie szarańczy, karmiła średnie dzieci, dla których nie starczało mleka matki. A gdy nadchodziła noc, wszyscy spali przytuleni do siebie, czujnie i niespokojnie, drżąc, czy nie nadejdą szczury. Yy, ojciec Ei, był przywódcą niewielkiego stada, najlepiej potrafił znajdować przesmyki w ruinach miasta, które bezpiecznie można było ujść przed szczurami. Każdego lata przenosili się w góry, gdzie mogli czuć się w miarę bezpieczni, i dopiero pora chłodna zmuszała ich do zejścia w dolinę. A i tak nie było roku, by ktoś nie przyplacił wędrówki życiem.

Ile mogła mieć lat owej jesiennej nocy, gdy czuwała przy gorączkującym braciszku, rozcierając jego wzdęty brzusek i okładając wątłe ciało wilgotnym mchem? Dwanaście?

Oczy zaczynały się jej kleić, gdy od strony strumienia dobiegł zdławiony okrzyk wartownika: „Hy-illa!” Wiedziała, co to znaczy. Szczury idą!

W mgnieniu oka stok ożywa. Mali ludzie wypadają ze swych dziur. Kobiety pośpiesznie zgarniają żar do kamiennych czarek. Yy pogania zaspanych, wskazując drogę w stronę skalnego przesmyku. Szczury są tuż, tuż. Pędzą na swych motokołach. Potrząsają grzechotkami. Obława nadchodzi z trzech stron. Tylko wąskie gardło wąwozu jest jeszcze wolne. Jeśli dotrą do niego, ocaleją. Dźwigająca brata Ea, pozostaje w tyle. Wtem ścieżkę przegradza ogromny szczur na motokole. Złowieszczo szczyrzy zęby. I wówczas dzieje się coś, czego nie pamiętają najstarsi ludzie. Mały człowieczek Yy, który zawrócił po córkę, skacze do gardła szczura. Przewraca go razem z motokołem. Szamocą się w krzakach. Ea przeskakuje pojazd i biegnie ile sił w nogach. Nim szczury usuną motokół, jest już w zaroślach. A szczury, z bliżej nieznanym powodów, lasu nie lubią.

Los Yy jest oczywisty, a jednak Ea czeka całymi tygodniami, a wędrując, ciągle spogląda wstecz, jakby wierzyła, że ojciec — do nich dołączy.

Następny rok był ciężki dla stada. Do gór dotarli tylko dzięki złożeniu daniny strażnikom dróg. Troje młodszego rodzeństwa Ei zostaje zabranych przez skorumpowane szczury. Ea na szczęście umknęła tego losu — dojrzeła, jest za chuda, pewnie niesmaczna. Dla hordy jednak sprzedaż czy śmierć dziecka to rzecz zwyczajna.

Tymczasem w okolicy pojawia się coraz więcej szczurów, wycinają lasy, budują strażnice. Kolejnej jesieni mali ludzie w ogóle nie mogą zejść z gór. Aż wreszcie po przybyciu posiłków z samego Ogonoburga rusza ostateczna obława. Resztki hordy usiłują uciec, przełęczami i grzbietami górskimi ciągną w stronę pustyni. Tam też czeka śmierć. Straszna, bo głodowa, chociaż może mniej haniebna. Stado topnieje z dnia na dzień. Umiera reszta rodzeństwa. Matka ginie w jakiejś skalnej rozpadlinie. Ea słabo pamięta ten marsz. Zachowały się gdzieś w jej pamięci wspomnienia kamienistych bezdroży, kaktusów i języka wyschniętego jak kawał drewna. I jeszcze jeden, ostatni obraz — plama zieleni na żółtoszarym tle spalonych słońcem skał. I biała plamka na tle tej plamy.

Habil 33 był szczurem pięknej postawy i niepospolitego umysłu. Przez wiele lat luminarz Parlamu, autor błyskotliwych przemówień i zarazem śmiałych paradoksów, lekarz i przyrodnik, znany był równocześnie ze znakomitych wierszy i zadziwiał jako zawołany globtroter oraz malarz amator. Jeśli nawet nie w każdej z tych dziedzin był arcymistrzem, z pewnością intelektualnie przerastał wszystkich swoich współczesnych. Może dlatego ściągnął na siebie zawiść rywali i nienawiść szczyrzych demagogów. Był za zdolny, zbyt otwarty i cokolwiek lekkomyślny. W czterdziestej wiosnie życia, napiętnowany mianem filhoma, został pozbawiony katedry i wszystkich stanowisk. Choć i tak może mówić o szczęściu. Inni oskarżeni o sympatię do ludzi zapłacili za to życiem, jemu udaje się wywinąć z najniższym możliwym wymiarem kary — banicją. Ma dokonać żywota na pustyni.

Nie umiera, ale po paru latach nikt nie poznałby w szczurze pustelniku dawnego naukowca — dandysa. W ogródku obok swego szałasus hoduje jarzyny i winorośl. Nie szuka kontaktu z nikim nie prowadzi żadnej działalności. Tylko o świcie, w porze, kiedy szczury wznoszą modły do promiennej tarczy słonecznej, on staje wyprostowany, zwrócony w stronę pustyni a tyłem do słońca i z zaciśniętymi dłońmi — milczy.

Milczy aż do dnia, gdy o świcie opodal źródła dostrzeżę leżącą postać.

Podbiega i zauważa wychudłe ciało młodej dziewczyny. Klęka przy niej. Nieszczęśnica jest nieprzytomna, ale oddycha. Pustelnik wyciąga bukłak wina domowej roboty. Dziewczyna otwiera oczy i zaczyna skowyczeć ze strachu.

— Uspokój się — mówi Habil — nie zrobię ci nic złego. Ludzie i szczury to przecież ssaki, bracia.

Rok upłynie, zanim Ea pojmie znaczenie tych słów.

W ciągu następnych pięciu lat Ea z wychudzonej, niezgrabnej dziewczynki zmieniła się w piękną kobietę, która umie doskonale mówić i jeszcze lepiej gotować. Przeczytała wszystkie książki Habila. Zna historię szczurostwa i ludzkości. Jest mądra. I szczęśliwa. Czy łączyło ich coś więcej prócz przyjaźni? Ea nigdy nikomu nie zwierzała się na ten temat. Raz w chwili szczerości wyznała Szóstce:

— Był dla mnie wszystkim. Nie mieliśmy tylko dzieci.

Co pewien czas Habila nachodziły napady melancholii. Odzywał się w nim duch odludka i pesymisty. Ale bywały również dni, kiedy mówił dziewczynie: wierzę, że będziesz kontynuowała moje dzieło. Chociaż to bardzo, bardzo niebezpieczne.

— Kontynuować, ale jak? — pytała Ea.

— Trzeba będzie pójść między małych ludzi, nauczyć ich tego wszystkiego, czego ja cię nauczyłem: mowy, pisma, rozniecania ognia i używania narzędzi. Jestem pewien, że szczury zmienią swoje postępowanie, kiedy zobaczą w ludziach równorzędnych partnerów.

Przez ostatni rok Habil chorował i mocno się postarzał. Nie zaniedbywał jednak edukacji swej uczennicy. Przepytywał Eę ze zdobytych wiadomości, udzielał jej rad. Aż wreszcie któregoś dnia, kiedy nie mógł już podnieść się z legowiska, poprosił dziewczynę — by wyprowadziła go przed szalas. — Chcę zobaczyć zachodzące słońce! Po raz pierwszy stanął twarzą do purpurowej tarczy. Mamrotał przy tym jakieś słowa, których sensu Ea nie była w stanie pojąć. Była w nich mowa o poświęceniu, o innym życiu, karze i nagrodzie. Dziwnie brzmiało to w pysku szczura — racjonalisty.

Modląc się, opadał coraz niżej i niżej, aż zastygł na czworakach, po szczurzemu z głową wtuloną między przednie łapy. Zmarł, zanim jeszcze zrobiło się zupełnie ciemno. A ostatnie rozpoznawalne słowa brzmiały:

— Na północ! Na północ!

Ea pochowała go obok szalasu, a potem ruszyła, jak jej nakazał. Pięć dni szła przez pustynię i znów dotarła do zielonych wzgórz, cichych teraz i dziwnie pustych. Dopiero po następnych czterech dniach, gdy skończyły się jej zapasy, znalazła nad strumieniem mały odcisk ludzkiej stopy. Radosna z powodu swego odkrycia podążyła w stronę bagnisk. A gdy jeszcze ujrzała zwisający z gałęzi złocisty owoc, prawdziwy podarunek losu o tej porze roku, zapominając o zwykłej ostrożności, wyciągnęła dłoń i... Trzask!

Pętla chwyciła ją wpół i uniosła nad ziemią. Pojmano ją do niewoli.

* * *

Czasami przeklinała Habila. Nie, nie za ten błogi czas spędzony w jego samotni. Przeklinała go za dar wiedzy, ową puszkę Pandory, zdradziecki skarb, świadomość, że kiedyś było inaczej, że mogło być inaczej, a oficjalne doktryny głoszące „wyższość szczurów nad wszystkim, co się rusza”, czy też twierdzące dumnie, iż „szczur jest miarą wszechrzeczy”, a jego wzorec znajduje się w osadzie Ser koło ruin Paryża, są jedynie karykaturą dawniejszych tez sformułowanych przez zupełnie inny gatunek.

Oczywiście nawet Habil, należący do wąskiego grona wtajemniczonych, nie znał całej prawdy o przeszłości, mimo iż nie podzielał tezy o jej nieuchronności ani też, że wszystko, co się dokonało, miało aprobatę Opatrzności i Ciał Niebieskich.

Zresztą wśród naukowców nie było zgody na temat zmiany. Istniały koncepcje deterministyczne, katastroficzne, ewolucyjno — mutacyjne. Hipotezy progresjonistyczne kłóciły się z ideami Wielkiej Recesji. Przeciętnemu naukowcowi musiała wystarczyć wiedza wyniesiona z podręczników. Szary szczur w ogóle nie wiedział o Epoce Ludzkiej Chwały. A Tajemna Księga, dostępna nielicznym, dawała jedyną słuszną interpretację zdarzeń:

Ludzkość definitywnie skończyła się w połowie XXI wieku! Zgodnie z przewidywaniami ich naukowców, świat homo sapiens utonął w potopie śmieci, odpadków i nadmiernego przeludnienia. Pewnego dnia po prostu wszystko przestało funkcjonować, wyczerpały się zasoby surowców, przepaliły się bezpieczniki światowego systemu energetycznego, tu i ówdzie wybuchły atomowe stopy. Nie upłynął wiek, a ci z homów, którzy przetrwali, byli już tacy, jakimi ich znamy — wynędzniali, zagubieni, dzicy. Ujemna selekcja i antyewolucja dopełniły reszty.

Habil, który na własną rękę poszukiwał prawdy, odszukał w zbiorach Starych Druków maszynopis Johna z Aberdeen. A właściwie jego resztki, po części niezrozumiałe, po części zniszczone.

W imię wiecznotrwałego Rozumu i niezniszczalnego Humanizmu. Zaczął się tedy rok 2051, oby lepszy od poprzednich, po których tylko groza, rozpacz i zgryzota nam została. Mam już siedemdziesiąt sześć lat i aż śmiech mnie ogarnia, gdy pomnę lata mej młodości, lata dobrobytu i powszechnego szczęścia. Owszem, kryzysy już i wtedy dotykały poważną część ludzkości, atoli w porównaniu z terażniejszością były to delikatne wstrząsy, nie naruszające w niczym stabilnego układu. Do lat dwudziestych XXI wieku mogło się zdawać, że nauka znajdzie receptę i na gwałtowny przyrost naturalny, który w Trzecim Świecie osiągnął niepokojące rozmiary, że wykorzystane zostaną nowe źródła surowców, a degeneracja kulturalna płynąca z mediów zostanie wreszcie powstrzymana.

Dziś, gdy człek jest rzadszy niż za mej młodości biały nosorożec, trudno wyobrazić sobie, iż zaludnienie globu mogło sięgać w owych czasach dwudziestu miliardów, a miasta molochy typu Szanghaju, SaoPaulo, Meksyku czy Kinszasy przekroczyły nawet sto milionów mieszkańców. Po morzach, kontynentach i w powietrzu krążyło około trzech miliardów pojazdów mechanicznych.

Żyło się wesoło, łatwo i szybko. Któż przejmowałby się prorocstwami ledwie wegetujących klechów czy rozhisteryzowanych naukowców. Zresztą tak naprawdę nikt nie pamięta, jak zaczął się kataklizm. Recesja trwała już dość długo, do permanentnego kryzysu giełdowego zdążyliśmy się przyzwyczaić. A wojny? Jeśli nie liczyć pojedynczych aktów terroru, takich jak zniszczenie walizkową atomówką Waszyngtonu, nikt nie traktował poważnie tych konfliktów rozgrywających się na peryferiach świata, w których nasze bezzałogowe samoloty niszczyły mieszkańców grot, jurt i szałasów. Zresztą świat bawił się i im częściej nawiedzeni prorocy porównywali nas do ginącego Rzymu, tym weselej brzmiała muzyka i tym mocniej każdy wyciskał, co mógł, z terażniejszości, i nie widząc, jak ta coraz bardziej upodabnia się do dziurawej szmaty. I A potem nadszedł czarny rok 2039, rok Wielkiej Awarii. Niedobory energii przy zwiększonym zapotrzebowaniu sprawiły, że katastrofo małej elektrowni w Pirenejach doprowadziła do czarnej nocy w skali całego kontynentu. Równocześnie pojawił się tajemniczy f wirus, który w ciągu roku doprowadził do wyginięcia 90% zbóż. Kraje bogate poradziłyby sobie z tym problemem, biedne nie. Nie dziw, że ruszyła nowa wędrówka ludów. Chińczycy półmiliardową rzeszą włali się na Syberię. Latynosi przekroczyli Rio Grandę. Orężem powstrzymano ludzi. Nie dało się jednak powstrzymać terroru ani głodu, ani zarazy. Z moczarów Bangladeszu i slumsów Lewantu wychynęła dawno wydawało się zwalczona, Czarna Śmierć. Trzeba i trafu, że atomowy zamach na Atlantę zniszczył Światowe Centrum Epidemiologiczne, pozbawiając ludzkość większości szczepionek i surowic. Rozszalały się dżuma i czarna ospa, cholera i ebola.

Państwa demokratyczne nawiedziła jeszcze inna zaraza — tyrania. Rozlały się szeroką falą zamachy stanu, ponieważ oszalałe ze zgrozy społeczeństwa poczęły domagać się rządów silnej ręki. Potem nastał czas wojen, mniej lub bardziej ograniczonych, aż wreszcie w roku 2043, jacyś szaleńcy wysadzili ostatnią czynną wieżę telewizyjną w Północnej Brytanii i przestałem śledzić bieg wydarzeń.

Satelity telekomunikacyjne zamilkły dużo wcześniej, pozbawiając nas łączności telefonicznej. Radio nadawało wiadomości lokalne, bądź niesprawdzone plotki. Gazety przestały się ukazywać. W dodatku hordy przybyszów z południa, z zaciekłością Hunów atakowały okręgi oszczędzone przez dotychczasowe kataklizmy. Równocześnie, z wiosną 2045 roku, zewsząd pojawiły się nieprawdopodobne ilości robactwa. Coraz bardziej rozzuchwalone szczury zdobywały opustoszałe dzielnice, mnożyły się w kupach nie sprzątanym przez nikogo śmieci. W obawie przed epidemiami i rabusiami przenieśliśmy się wtedy z rodziną na Orkady, gdzie miałem domek letniskowy, pamiątkę po lepszych czasach. Tymczasem jedna za drugą milkły stacje radiowe. Ostatnie wiadomości były coraz rozpaczliwsze. Mimo że broń nuklearna używana była tylko w ograniczonym zakresie i to w swych najczystszych odmianach, stężenie promieniowania w atmosferze rosło. Dzieci rodziły się martwe, starsi tracili odporność i niegroźne nawet choroby okazywały się śmiertelne. Potem w eterze zaległa martwa cisza.

W lipcu 2050 roku, kiedy skończyły się nam ostatnie zapasy żywności, postanowiliśmy opuścić

Orkady. Postawiłem żagle na mym jachcie, benzyny do silnika nie mieliśmy od dawna i wziąłem kurs na południe. Brzeg Szkocji przywitał nas spokojny i cichy, niemal bezludny. Maszerowaliśmy tedy wśród ruin i śmieci, szybko porastających świeżym zielskiem. Mimo wszystko moja Helen była dobrej myśli. Mieszkańców prawie nie napotykalismy, a i ci, których udało się nam dostrzec, pospiesznie schodzili nam z drogi lub ryglowali się w swych domostwach. Za główny pokarm służyły nam zdziczałe psy i koty. Prawdziwie dzikie zwierzęta wyginęły podobno na całym globie dobre dwadzieścia lat wcześniej, a ostatnie eksponaty z zoo pożarto. Naszą dietę wzbogacały zdziczałe kartofle i wczesne owoce. W sierpniu zginął mój szesnastoletni Mark, postrzelony przez jakiegoś szaleńca. Zimą nieznaną chorobą zabrała Helen.

Atoli nie straciłem nadziei, nie wyparłem się jej jak siostry rodzonej. Wierzyłem i nadal wierzę, że ludzkość, musi się odrodzić. Musiały przecież przetrwać cywilizacje z innych kontynentów, na wyspach, w górskich zakątkach. Dobry Bóg nie mógł przecież pozwolić, by tyle wieków wspaniałego rozwoju poszło na marne. Napisałem: Bóg, co za tradycyjny nawyk, przecież jestem racjonalistą, agnostykiem. Miałem na myśli raczej jakąś sprawiedliwość dziejową, logikę historii.

Znów jest wiosna. Zaorałem małe poletko. Niewiele mam sił i bardzo słabe pojęcie o rolnictwie, ale przecież muszę coś robić, żeby nie zwariować, żeby przeżyć, żeby pisać me wspomnienia dla przyszłych pokoleń.

11 czerwca 2063 — wczoraj odwiedził mnie pielgrzym. Szedł z daleka, był ponoć na kontynencie i w poszukiwaniu skupisk ludzkich przepłynął tratwą kanał La Manche. Potem przeszedł pieszo całą Brytanię.

— Wszędzie jest tak samo — opowiadał — londyński Hyde Park przemienił się w puszcę, dzikie psy objęły w swoje władanie Trafalgar Square. Spotkałem oczywiście pojedynczych ludzi, czasem jakąś wegetującą rodzinę. Nie udało mi się jednak napotkać, prócz band, przed którymi musiałem się kryć, żadnej zorganizowanej grupy, która mogłaby stanowić zaczyn odrodzenia. Nadal będę jednak szukać, jednostka nie ma szans. Proszę iść ze mną.

— Nie mam sił — odrzekłem, proponując, by został razem ze mną.

Czas jakiś kręcił się po mojej izdebce. Miałem tam trochę książek, wideokasety z młodszej podróży dookoła świata, których już nigdy nie odtworzę, bo i na czym? Na pawlaczu wynalazł jakąś archaiczną maszynę do pisania. O dziwo, zdatną do użytku.

— Jeżeli nie może pan iść ze mną, proszę pisać — powiedział. — Pisać o tym, jak doszło do tego kataklizmu.

— Pisać, w jakim celu?

Już wychodził, śpieszył się, nie wiadomo gdzie, ale popatrzył na mnie jeszcze raz i narzucając postrzępiony płaszcz, rzekł:

— *Dla tych, co przyjdą tu po nas...*

Na tym rękopis Johna z Aberdeen się urywał.

Przez długi czas dla szurzych naukowców pozostawał zagadką mały wzrost dzikich ludzi. I tu odpowiedzi również dostarczały stare druki. Jeszcze w latach dwudziestych XXI wieku grupa naukowców, zaniepokojona wyczerpywaniem się surowców i rosnącą ciasnotą, zaproponowała akcję minimalizacyjną. Wyprodukowano odżywkę „Biomiminal” i zalecano ją przyszłym matkom. Miało to zmniejszyć rozmiary następnych pokoleń o połowę.

— W ten sposób będzie o połowę mniej problemów żywnościowych i surowcowych — stwierdził profesor Gu–ho–ming z Kantonu.

Jak widać, pomysłów ludziom nie brakowało. Zabrakło jedynie czasu. Na szczęście, czy też na nieszczęście, przed ostateczną katastrofą udało się wychować około tysiąca tych „minimalców” w Chinach, w USA, w Niemczech. Ich potomstwo było wyraźnie lepiej przystosowane do trudnych warunków, odporne na epidemie. ‘I ono przetrwało.

* * *

Inspek systematycznie zwiedzał całe Laboratorium. W swoim małym kajeciku skrzętnie sporządzał notatki. Prof nie taił przed Asysem obaw związanych z aktywnością przybysza.

— Obawiam się, że wkrótce możemy mieć kłopoty w związku z naszymi badaniami.

— Jest przecież oficjalna aproba Parlamu.

— Aproba, aproba, ale wiesz, jak niechętnie szczury z Nizin patrzą na jakiegokolwiek doświadczenia z ludźmi? Co z tego, że nasz ProgDośw podyktowany jest najślusniejszymi przesłankami ekonomicznymi? Argumentacja naukowa nie trafia do istot o umysłowości jamochłona. Nie dalej jak przed tygodniem na złazie w Wielkich Serach potępiono moją broszurę „Żywieniowa nieprzydatność Hornów”.

— Świetna praca, udowodnił szef niezbitcie, że używanie ludzi na karmę to marnotrawstwo, a w dodatku homizna jest toksyczna, a jej spożywanie przyśpiesza arteriosklerozę.

— Tyle że od potępienia jednej z moich prac jest bardzo blisko do przypięcia mi etykiety „filhoma” — przyjaciela ludzi. A to jest równoznaczne, sam wiesz. — Asys kiwnął głową. — Może posuwamy się zbyt szybko? Dla przeciętnego zjadacza sera (zresztą produkowanego z ludzkiego mleka) *homo domesticus* wygląda na prowokacyjną utopię. Zresztą czy nawet ty, przyjacielu,

wierzysz, że da się wyhodować człowieka oswojonego, który byłby dla nas partnerem a nie tylko „pokarmowcem”?

— Ja, to ja, ale obawiam się, że tego nowego PracTecha łatwo nie dałoby się przekonać.

— Inspeka? Też nie mam złudzeń. Wiem od Preza, że to nie jest Inspek pracujący dla Parlamu.

— A zatem dla kogo?

— Wiele wskazuje... — tu Prof zastrzygł uchem i zezując w stronę najbliższych drzwi, natychmiast zmienił temat, mówiąc głośno: — Trzeba będzie zmienić proporcje karmy w grupie boksów pawilonu B- 6!

* * *

W klatce drugi dzień trwała jednostronna gonitwa godowa. Niezmordowany Szóstka na różne sposoby ponawiał swoje zaloty, atoli zapał szedł u niego w parze z nieumiejętnością. Nie studziły go prośby Ei ani jej zjadliwe kpiny z krewkiego kurdupla. Najpewniejszym środkiem obrony pozostawały zęby.

Kiedy po raz kolejny Szóstka lizał swe rany, pojękując w kącie, dziewczyna uznała, że pora przemówić mu do rozsądku.

— Szósteczko, czy mógłbyś choć przez chwilę pomyśleć?

— Po co? Chcę cię, chcę cię, chcę cię.

— Ale ja nie chcę kogoś, komu tylko jedno w głowie i to wcale nie to, co jest w życiu najważniejsze.

— A co jest najważniejsze? — człowieczek wybałuszył ślepia.

— Znaleźć sposób, jak się stąd wydostać.

— Dlaczego wydostać? Tu ciepło, karma, spokój. Będzie przychówek.

— To filozofia niewolnika! — Ea aż krzyknęła. — Może tobie się to podoba, ale ja nie będę królikiem doświadczalnym dla szczurów.

— Co to królik?

— Ach, ty ośle! — jęknęła.

— A co to osioł?

Ea westchnęła bezradnie. Chociaż ona również nie widziała nigdy żywego królika, a tym bardziej osła. Jedynymi istotami, które przetrwały wśród zwałów śmieci i oparów smogu, były insekty, gryzonie i mali ludzie. Z tym, że ludziom wiodło się w tym towarzystwie najgorzej.

* * *

Wedle ustaleń Habila, degeneracji resztek ludzkości towarzyszyła imponująca ewolucja gryzoni. Zmienione warunki bytowania, bujny rozrost roślinności, przy jednoczesnym braku naturalnych wrogów czy jakichkolwiek konkurentów, z pewnością sprzyjały ich rozwojowi. Nie został wprawdzie wyjaśniony wpływ zwiększonego promieniowania na zmiany w ich układzie genowym, pozostaje jednak faktem, że już w XXV wieku pojawiły się ogromne mutanty metrowej, a później półtorametrowej, wielkości, poruszające się — rzecz znamienita — w pozycji wyprostowanej. Podobno już wtedy zaczęły posługiwać się prymitywnymi narzędziami. Współczesne wykopaliska archeologiczne odsłoniły pierwsze miejskie szczurowiska, z owalnymi wielokondygnacyjnymi wieżami, wzniesione w XXVII wieku w dorzeczu Tygrysu i Eufratu. W sto lat później w Dolinie Nilu powstało Stare Państwo. Na przełomie tysiącleci biała odmiana gryzoni przełamała hegemonię szczura śniadego w bitwie pod Słupami Herkulesa. Cieśnina Gibraltarska spłynęła wtedy krwią, a trupy gryzoni wylawiano aż na Azorach. Rok 3274 to data założenia na siedmiu wzgórzach SzczuroUrbs, które rychło, na skutek panujących tam przeciągów, zyskało nazwę Wietrznego Miasta. O rok wcześniej na skałach Hellady rozegrano pierwsze Panszczurze Igrzyska. I dalej już poszło. Jakby ktoś na górze postanowił sporządzić Ziemskiej Cywilizacji wydanie drugie, p prawione.

Mijały wieki i epoki, w trakcie których powstawały imperia i systemy filozoficzne. Później jedno i drugie waliły się w gruzy pod ciosami hord koczowników, przybywających z krańców barbarzyńskiego świata. Na kamieniach rodzili się prorocy, aby zginać na stosach swych ksiąg. Wynaleziono, a raczej zaadaptowano dawny ludzki alfabet. Zaczęto pisać wiersze i kroniki. Zwolennicy ogonów krótkich i długich wyrzynali się w bratobójczych masakrach. W roku 3492 szczur imieniem Koi przepłynął ocean, odkrywając Nowy Łąd.

W XXXVI wieku wzmożone badania geograficzne i coraz więcej wykopywanych zabytków cywilizacji ludzkiej przyspieszyły marsz postępu. Jednocześnie wśród roślinożernych dotąd gryzoni upowszechniało się homożerstwo, wpływając na wzrost ich agresywności i zaborczości. Równocześnie, jak na ironię, odgrzebywana z zapomnienia mowa ludzkości XXI wieku, stawała się obowiązującym językiem literackim. Płacząc nad losami szczurzego Tristana i Izoldy czy bezogoniastego Robinsona Cruzoe (lektury szkolne), konsumowano — z wyjątkiem dni bezmięsnych — potomków tychże Tristanów, Izold czy Piętaszków. W krajach strefy umiarkowanej upowszechniła się przemysłowa hodowla homów rzeźnych. W roku 3812 armia NapoSzczura ugrzęzła w śniegach północy, ulegając oddziałom Szczura Wędrownego. W tym samym okresie, na jednej z przybrzeżnych wysp tego kontynentu, skonstruowano pierwszą maszynę parową. Wkrótce potem wśród niższych warstw począł szerzyć się filhomizm: ruch zwolenników szczurzego egalitaryzmu i opieki nad

ludźmi. Próbowano nawet wcielić go w życie podczas krótkotrwałej „Homuny Paryskiej”.

Eksperymenty, do których, prawdę powiedziawszy, sami ludzie nie dorośli, zdławiono w morzu krwi. Na bagnietach wyrosły krwawe dyktatury, hamujące wszelki postęp. Jednak upłynął wiek i cały szcurzy świat wszedł w czas pokoju a wraz z nim powszechnego dobrobytu i złagodzenia obyczajów. W drugiej połowie czterdziestego stulecia wojny stały się tylko wspomnieniem. Wszędzie zapanowały rządy parlamentarne. Tylko los małych ludzi nie uległ żadnej poprawie. Filhomizm wegetował wśród nielicznych elit, w grupkach fanatycznych jaroszy czy chronicznych utopistów, znienawidzonych w masach szcuroplebsu. I nic nie zapowiadało zmiany.

* * *

Asys pracował już parę miesięcy u boku Profa, zanim ów ostrożny do przesady naukowiec ujawnił mu plany związane z podziemnymi klatkami. Współpracownik okazał się wzorem lojalności. Nie pisał ani słowa nikomu o tym, że jego mistrz, oficjalnie pracujący nad produkcją „żywych narzędzi”, zajmuje się jednocześnie kształtowaniem ludzkiej inteligencji, że uczy wybranych malców’ mówić, myśleć i próbuje wyhodować coraz inteligentniejsze generacje homów. Najnowszym eksperymencie miało być skrzyżowanie ambitnej dzikuski z cichym, udomowionym Szóstką. Prof, liczył, iż uda się wyhodować rasę jeszcze bardziej przypominającą homów z zamierzchłych epok. Dzikuska wносиła do kulturalnej atmosfery wiwariów powiew świeżości i doświadczenie życia na swobodzie.

— Żebyśmy tylko nie stracili nad nimi kontroli — zaniepokoił się Asys.

— Nie ma obawy, mój drogi, pewnych barier z pewnością nie przeskoczą, przynajmniej jeszcze w tym pokoleniu. Weźmy umiejętność pisania.

Wydaje się, że czcigodny naukowiec nie docenił swych podopiecznych. Świeżo po swym przybyciu, przed oczyma zdumionego Szóstki, Ea wydrapała na ścianie pod pryczą datę — 23 listopada 3977 roku.

Miał to być ich dzień pierwszy. Nie ostatni...

II

Jako nowy PracTech Inspek nie zdradzał szczególnego zainteresowania powierzonym mu odcinkiem badań, natomiast bez przerwy węszył. Wprawdzie w stosunku do Profa był zaskakująco grzeczny i każde przybycie przełożonego kwitował szerokim uśmiechem, jednak nad Laborem gromadziły się chmury.

Któregoś dnia wezwano Profa do Miństwa i tam poczęto mu przebąkiwać o braku funduszy.

— Na wasz ProgDośw wydano już pięć milionów uszu i nie widać z nich żadnego pożytku dla naszej gospodarki, dla całego szczurostwa. Tymczasem w Laborze nr 4 wyhodowano nowy gatunek homa jucznego, o ładowności do ćwierć tony. Obiecywaliście nam wspaniałe homy pracujące, istne żywe maszyny. Gdzie one są? Czy wyhodowano chociaż jednego?

— Badania trwają!

Rozmowa nie zapowiadała niczego dobrego. Prof podreptał więc wyżej. Do Parlamu, którego lider miejskiej frakcji wśród deputów, szczur o otwartej głowie i bez uprzedzeń, od lat był cichym patronem naukowca. Trzykrotnie nawiedzał olbrzymi kompleks gmachów mysiego koloru i trzykrotnie otrzymywał niemiłą odpowiedź: „Prez jest nieobecny”. Po każdej takiej wizycie Prof wracał do Laboru coraz smutniejszy, nerwowo przygryzając koniuszek ogona.

— No i widzisz, Asys, tak wygląda szczurza polityka. Czuję, że cofną nam dotację. Dobrze, jeżeli nie nakażą likwidacji.

— Ma pan znakomitą reputację.

— Ale wystarczyłby jeden donos. Gdyby się dowiedzieli o naszych nadprogramowych badaniach.

— Mamy postęp, C-167 nauczył się już selekcjonować kamyczki według kolorów.

— Nie o taki postęp nam chodzi. W wiwarium K-22 ledwo nauczyliśmy małych ludzi posługiwać się kijami, zaraz zatłukli rudego. Ciekawe, że o wiele łatwiej jest nauczyć przyciskania guziczków niż tolerancji dla innych.

— Mnie bardziej martwi, że ta nowa nie dopuszcza do siebie partnera.

— Nawet ludzie dokonują seksualnych wyborów. Przynajmniej niektórzy. Nic to, w przyszłym miesiącu zmienimy im partnerów. O ile doczekamy do przyszłego miesiąca.

— Myśli szef, że jest aż tak źle?

— Prowadzimy śliską grę. Prędzej czy później każdego może spotkać los założyciela Laboru. Słyszałeś o Habilu? Habilu 33?

— Nie.

— Zatarli po nim wszelkie ślady. A przecież ten budynek, wiewarza — to wszystko jest jego dziełem. I co mu z tego przyszło? Za filhomizm zapłacił wysoką cenę, poszedł na banicję. Do tej pory pewnie już nie żyje.

Rozmowę przerwał Inspek, który wszedł, trzymając zalakowaną kopertę. Widać było, że dużo by dał, aby poznać jej zawartość.

— Przyszedł jakiś zamiejscowy list do Profa.

Prof złamał pieczęcie i ustawił się tak, by nikt mu nie mógł zaglądać przez ramię.

— Ach, to od Archeola — rzekł. — Śmieszny staruszek, się, że nie ma żadnych wyników w wykopaliskach.

Na pysku Inspeka odbiło się rozczarowanie. Ledwo jednaki wszedł, Prof zatarł łapki i podniecony szepnął do Asysa:

— Pakuj się, wyjeżdżamy jeszcze dziś w nocy. Kto wie, czy nie dokonano odkrycia wszech czasów!

— Co szef ma na myśli?

— Zobaczysz na miejscu.

* * *

Wykopaliska prowadzono na skraju Dawnego Miasta. Od dawna j prace ziemne czy kanalizacyjne odsłaniały tam fragmenty prastarych budowli ogromnych rozmiarów. Ich przeznaczenia trudno było się domyśleć. Zdaniem Archeola tamtejsza aglomeracja ludzka, w XXI wieku mogła liczyć przeszło pięć milionów mieszkańców: stare centrum okalały nowe dzielnice wysokościowców, przechodzące stopniowo w rozległe tereny willowe. Sto kilometrów na północ, wedle ocen Archeola, mieścił się duży ośrodek naukowy. Porzucony obiekt zakonserwował piach, wiele z obiektów było nadal w niezłym stanie.

— Cóż takiego znalazłeś, że wezwałeś mnie w środku nocy? — zapytał Prof swego starego kolegę, a zarazem wieloletniego przyjaciela, po przybyciu na miejsce.

— Chyba trafiliśmy na zamrażalnię. Czynną! — szepnął Archeol. — Oddaliłem cały personel, z otwarciem czekałem tylko na ciebie.

— Zamrażalnia? Co to takiego? — dopytywał się Asys. — Nigdy nie spotkałem się z podobnym

terminem.

— Kiedyś, w pierwszej połowie XXI wieku, zapanowała na ich punkcie prawdziwa psychoza. Ludzie zafascynowani nieustannym rozwojem nauki sądzili, że już wkrótce znajdą sposób na najgorsze nawet choroby. Toteż wielu nieuleczalnie chorych rozpaczało, że urodziło się za wcześnie, uważając, że za pięćdziesiąt czy sto lat ich przypadłość będzie drobnostką. Zamrażalnie przedśmiertne wyrastały więc jak grzyby po deszczu, a ich klienci szli w setki.

— Teraz, po dwóch tysiącach lat, co pewien czas odkrywamy takie obiekty, niestety — Archeol westchnął — mamy kategorię rozkazu niszczenia ich ogniem.

— Ale dlaczego?

— W tajnym okólniku mowa jest o chorobach, na które mogli cierpieć zamrożeni nieboracy. Moim zdaniem większą obawę powoduje możliwość konfrontacji szczurów z ludźmi sprzed ich upadku. Ileż doktryn i teorii o wyższości gryzoni musiałyby wówczas upaść!

— Jednak ile pytań, na które nie znamy odpowiedzi, moglibyśmy z pomocą odmrożonych rozstrzygnąć.

Na miejsce wykopalisk przybyli nocą. Obiekt, o którym Archeol wspomniał w swoim liście, wyglądał na nienaruszony. Czas nie nadwierzył głęboko wkopanych murów ani zamykającej właz płyty, wykonanej z jakiegoś nieznanego im stopu. Gorzej zachował się materiał, z którego zrobiony był mechanizm otwierający i dlatego udało im się we trójkę podważyć płytę lewarami. Wewnątrz znaleźli znakomicie zachowaną zamrażalnię. Spodziewali się zapachu stęchlizny, zaskoczyło ich chłodne powietrze i świetlista poświata. Mimo upływu blisko dwóch tysięcy lat nadal działał mały reaktor, funkcjonowały pochłaniacze kurzu. A czujniki dbały o stałą temperaturę. Po przejściu paru pomieszczeń buforowych badacze znaleźli się w dyspozytorni. Poza kupką prochu, przypominającą kształtem ludzkie zwłoki, wszystko wyglądało tak, jakby personel oddalił się zaledwie przed paroma minutami. Osiem monitorów rejestrowało zwolnione, ale prawidłowe elektrokardiogramy uśpionych.

— Oni żyją! — wykrzyknął Asys. — A tyle wieków minęło!

— Wydaje mi się, że ktoś popełnił błąd, nastawiając zegary — powiedział Prof, przypatrując się aparaturze. Nastawiono zamrożenie na pięć tysięcy lat. Żaden obiekt tego nie przetrzyma.

— Zatem tamci ludzie nie żyją — zaniepokoił się Asys.

— Wręcz przeciwnie. Wszystkie funkcje organizmów są w normie — rzekł Prof. — Czy uda się ich odmrozić, to druga sprawa.

Za przezroczystą szybą oddzielającą dyspozytornię od krypty, z której przed wiekami wypompowano powietrze, znajdowało się osiem szklanych sarkofagów, a w nich tyleż postaci, oplecionych przewodami. Obok przezroczystych trumien, ułożone w kostkę, spoczywały kombinezony ze sztucznego tworzywa. Historyk mody wojskowej rozpoznałby typowe stroje komandosów z pierwszej połowy XXI wieku. Kim u licha byli zamrożeni? Na nieuleczalnie chorych bogaczy nie

wyglądali.

— Odkopałem już kiedyś taką zamrażalnię i wiem, że na kontenerach powinny być płytki identyfikacyjne — zauważył Archeol. — Tu ich nie ma.

— Ciekawe — wymamrotał Asys — wygląda na to, że ktoś je poobrywał.

Jeszcze dziwniejsze były podłużne kształty leżące poniżej linii światła, kupki na podłodze krypty...

— Na wszystkie sery świata — szepnął Archeol. — To ludzkie ciała, ta krypta pełna jest ludzkich zwłok.

— Może to była obsługa — zbagatelizował rzecz Prof. — Kto wie, co stało się po zahibernowaniu. Sądzę, że powinniśmy spróbować odmrozić na próbę jednego ze śpiących. Instrukcja obsługi jest prosta, a wszystkie czynności zaprogramowane. Na początek jednak musimy tam wejść. — Włączył pompy tłoczące powietrze i po chwili nastąpiło wyrównanie ciśnień, a drzwi stanęły otworem.

Archeol nie podzielał zapału kolegi, z największym niepokojem oglądał ludzkie szczątki, które zachowane przez tysiąclecia, teraz ulegały błyskawicznemu utlenianiu, potem ostrożnie uniósł jedną z lepiej zachowanych czaszek i oglądał wybite w niej otwory, nim czerep w jego łapie rozsypał się w proch. Strzał w tył głowy — mruknął. Potem zbliżył się do nagich lokatorów szklanych trumien. Przypatrywał się ich muskulaturze, licznym bliznom i twarzom, groźnym mimo głębokiego snu, pozbawionym emocji.

— Zaczniemy od tego — Prof wskazał największego ze śpiących. Był nagi, ale w przeciwieństwie do pozostałych, ścisnął w rękę jakieś podłużne pudełko.

— Co to może być? — głowił się Archeol.

— Pilot — odparł Prof, a następnie wytłumaczył, że w szczytowym okresie rozwoju techniki ludzie posiadali instrumenty umożliwiające sterowanie urządzeniami na odległość.

— To znaczy, że ten przyjemniaczek, po wcześniejszym wymordowaniu obsługi, mógł już z trumny uruchomić proces autozamrażania — zawołał Asys. — Nie uważacie, że w tej sytuacji jego odmrożenie może okazać się wielce ryzykowne?

Archeol podzielał te obawy. Nawet Prof zaczął się poważnie wahać, kiedy od wejścia rozległo się wołanie strażnika. Zauważył w dolinie światła paru bojowych motowózków. Najwyraźniej ktoś wyruszył w ślady naukowców.

— Za ile tu mogą być? — zapytał Prof.

— Za jakieś dwie godziny.

To przesądziło sprawę. Musieli albo zrezygnować ze zbadania ludzi z przeszłości, albo odmrozić przynajmniej jeden egzemplarz, a potem na jakiś czas zasypać zamrażalnię.

Pośpiech, jak wiadomo, bywa rzeczą zgubną. Na równi z głupotą. Nie starczyło czasu, aby zbadać taśmę z zapisem snów hibernowanego, która spoczywała w czarnej kasetce. Nie zainteresowano się dziesięcioma olbrzymimi skrzyniami wypełniającymi drugą, również pozbawioną powietrza, kryptę. Również żaden z trzech, skądinąd inteligentnych szczurów, nie zwrócił uwagi na bagnet leżący obok zamrożonego, na złożonym w kostkę kombinezonie. Kościaną rękojeść zdobił napis: Karl Faller — Kot Wojny.

* * *

Ea wreszcie znalazła sposób na Szóstkę. Zasadę bodźców. Za każdą poznaną literę pozwalała mu się pogłaskać, za każdą poprawną odpowiedź z tabliczki mnożenia, pocałować.

— A co dostanie za nauczenie się twierdzenia Pitagorasa? — pyta mieszkaniec sąsiedniej klatki, zwany Trzynastką, który podobnie jak inni mali ludzie z sąsiednich klatek, kierowani ciekawością i chęcią naśladownictwa, poddali się edukacji Ei.

Trzynastka jest w tej grupce ewidentnym prymusem, co oznacza, że bardzo często zadaje trudne pytania. Na przykład o celowość szkolenia.

— Przecież i tak nigdy nie wydestaniemy się z tego pudła. A jeśli nawet, nie uszlibyśmy daleko.

— Znajdziemy i na to sposób — uspokaja go Ea. — Dysponujemy poważnym atutem, szczury nie mają pojęcia o postępach waszej edukacji. Dlatego nadal musicie zachowywać się jak dawniej. Każą wam być posłusznymi, biernymi, bezmyślnymi — bądźcie! Dopóki w ich szczurzych łbach nie wykluje się najmniejsze choćby podejrzenie, będziemy bezpieczni. A im więcej się nauczycie, tym większe będziemy mieli szansę, gdy nadejdzie czas.

Mali ludzie kiwają głowami, nie wiedząc, że wypowiedzi Ei słucha ktoś jeszcze, ktoś, kto z uchem przywartym do szczeliny w ścianie, z zapartym tchem łowi każde słowo. I notuje w swoim kajeciku. Potem, gdy zapadnie zmierzch, ulubiona pora wszystkich Inspeków, popędzi do budynku stojącego na uboczu Szczuropolis i przekaże posiadane informacje. W odpowiedzi zabręczą złote uszy — rajską muzyka dla wszystkich donosicieli.

* * *

— Temperatura?

— Dwadzieścia cztery stopnie.

— Ciśnienie?

— W normie.

— Wspaniałe urządzenie, homy kopalne miały naprawdę niezłe pomysły. Patrz, Archeol, homisko nabiera już kolorków — Prof, cieszy się jak dziecko. — Rewelacja! Człowiek z mrożonki. Wielki jak szczur.

Archeol tylko kiwa głową, jest silnie przejęty. Oczywiście to nie pierwsza zamrażalnia, którą odkopał, atoli wszystkie dotychczasowe zostały zniszczone. Tym razem zdecydował się zaryzykować dla dobra nauki. Miał nadzieję, że o znalezisku nie dowie się nikt z władz. Postępowali wszak z maksymalną ostrożnością. Asys w punkcie obserwacyjnym na wzgórzu obserwował światła nadciągających motowózków i zastanawiał się, czy zdążą przed nimi?

Termometr wskazał trzydzieści sześć i sześć. Rozległ się cichy zgrzyt.

Delikatny brzęk aparatury zmienił ton i komputer samoczynnie zatrzymał mechanizm. Odskoczyła powłoka sarkofagu. Odpadły czujniki opasujące ciało nagiego mężczyzny. Ciągłe spał. Jego donośne chrapanie wypełniło kryptę. Tymczasem z zewnątrz dobiegło gwizdnięcie. Asys ostrzegął, że czas skończył się definitywnie.

— Co robimy? — Archeol popatrzył na Profę.

— Ładujemy odmrożenca na nosze. Potem zasypcie włącz. Ani i słowa, że tu byłem.

Asys czekał przed wejściem w motowózkę, dopiero usiłując rozpaść pod kotłem.

— Złapią nas — wołał — słyszę, jak pracują ich tłoki. Poza tym zorientują się, że tu byliśmy. Zobaczą dym z naszego wehikułu.

— Niekoniecznie — uspokajał Prof. — Zaraz za szczytem wzniesienia droga opada ostro na drugą stronę wzgórz. Możemy cicho stoczyć się i dopiero w lesie uruchomić silnik. No, popchnijmy razem!

Poranna mgła szybko kryje odjeżdżających, Archeol zasypuje i włącz i biegnie do namiotu udawać, że śpi. Przykryty kocem Karl Faller kołysze się bezwładnie na wybojach. Sądząc po jego groźnych pomrukach, ma bardzo nieprzyjemne sny.

* * *

Drugiego stycznia 3978 roku przypadało Święto Antyhoma. Każde szczurze dziecko wiedziało, że był to słynny szczur z XXXV wieku, który pragnął nieść kaganek oświaty wśród ciemnych ludzi za co został przez nich obdarty ze skóry i pożarty żywcem, zanim zdążył cokolwiek oświecić tych dzikusów. Wprawdzie już przed laty Habil udowodnił baśniowość podania, dowodząc, że żadna z

dawniejszych kronik nie wspomina ani słowem o znakomitym bohaterze, który pojawia się dopiero w hagiograficznym piśmiennictwie XXXVII wieku, ale nie przeszkodziło to oficjalnemu czczeniu Genialnego Gryzonia i organizowaniu dorocznych festynów, których centralnym punktem była nagonka na specjalnie hodowanych homów łownych. Przy akompaniamencie kotłów i piszczałek wypuszczano z klatek pół setki tych nieszczęśników, z ciężarkami uwiązanymi do nogi. W ślad za nimi ruszały młode szczury, gotowe na swój pierwszy egzamin dorosłości. Gonitwa kończyła się zazwyczaj na placu imienia Ogona Ogonów, przy rusztowaniu zwanym „Pułapką na Ludzi”. Finał polegał na walce wręcz. Tyle, że homom pozostawały gołe ręce, dwakroć większe od nich szczury miały do dyspozycji zęby. Teoretycznie hom mógł wygrać i nawet zdobyć nagrodę, ale od niepamiętnych czasów żadnemu nie udało się ująć z życiem. Dzień kończył się biesiada-pijatykami i pokazami ogni sztucznych.

Był wczesny świt i tysiące małych szurków w czterobarwnych bluzach szykowało się dopiero do wielkiej parady na Polu Serowym, kiedy moto wózek Profy, korzystając z ogólnego bałaganu, przemknął peryferiami i dotarł pod Laboratorium numer osiem. Dwudziestojednowieczniak nadal spał, jakby tysiąc dziewięćset lat spędzonych w letargu jeszcze mu nie wystarczyło.

Tylnym wejściem zniesiono go do piwnic gmachu i umieszczono w boksie sąsiadującym z klatkami małych ludzi.

— Patrzcie, przywieźli nam olbrzyma — zauważył Trzynastka. — Czy to nie skandal, być tak nieproporcjonalnym? Przecież człowiek tych rozmiarów musi być szalenie nieekonomiczny!

* * *

Upłynęła cała doba, a człowiek gigant jeszcze się nie obudził. Mali ludzie, początkowo bardzo skrępowani jego obecnością, im bliżej wieczora, tym bardziej zaczęli się oswajać z jego obecnością. Ea zrobiła klasówkę z rachunków oraz powtórkę z historii, po czym Szóstka za swe umiarkowane postępy otrzymał oszczędną porcję pieszczot.

— Należy się cztery razy buzi i jedno dotknięcie cycusia — błyskawicznie przeliczył wartość ocen na liczydełkach.

— Nie jesteśmy sami — dziewczyna wskazała na olbrzyma za kratą.

— Przecież chrapie. A poza tym, co tak się mu przypatrujesz. Jest ohydny, wszystko ma takie ogromne!

— Czynię to wyłącznie ze względów poznawczych. I zastanawiam się, czy nie mogłabym połaskotać go słomką z siennika.

— Nie radzę, nie cierpię łaskotek! — bas, który się ozwał, poraził wszystkich lokatorów

wiwariów. Olbrzym otworzył najpierw jedno oko, potem zamknął je i otworzył drugie. Na koniec westchnął i zdecydowanym ruchem siadł na posłaniu. Przez chwilę rozglądał się mrużąc oczy, wreszcie rzekł:

— Zbliżcie się, kurduple w mordę kopane! I powiedzcie mi zaraz, którego dziś mamy?

— Drugi stycznia — powiedziała Ea.

— O rok pytam, ptaszyno.

— Trzy tysiące dziewięćset siedemdziesiąty ósmy!

— Co? — Faller wydawał się dość zaskoczony. — Do pioruna, trochę zasnęłam. A przy okazji, czy nie przeprowadza się u was odszczurzenia? Nie wiem, czy śniłem, ale wydaje mi się, że widziałem mnóstwo tych bydlaków.

— Tutaj przeważnie są same szczury — wtrącił Trzynastka. — Rządzą całym światem.

Olbrzym roześmiał się.

— Szczury rządzą, a ludzie, nie mówię o was, karakany, normalni ludzie pozwalają im na to?

— Obawiam się, że wyjaśnienie panu naszej sytuacji zabierze mi trochę czasu — powiedziała Ea.

— Dobra, tylko załatwcie mi coś do jedzenia, bo czuję się, jakbym nie jadł od wieków!

* * *

17 czerwca 2042 roku przed świtem, pod bramę pawilonu XJ zajechały trzy olbrzymie poduszkowe amfibe. Likwidacja śpiących strażników nie zajęła zawodowcom więcej niż parę minut.

Po staranowaniu wejścia wozy dotarły pod pawilon u stóp stromego urwiska. Personel naukowy poddał się natychmiast. Ośmiu mężczyzn w czarnych beretach i maskach przeciwpromiennych pośpiesznie wyładowywało wielkie skrzynie. Rosły dowódca gestami wydawał polecenia. Dwóch z komandosów pobiegło pod ścianę urwiska, aby wywiercić kilkanaście otworów i zainstalować w nich ładunki wybuchowe. Jeden z saperów, krępy południowiec, odciągnął na bok chudzielca o węzowych ruchach.

— Ernesto, jesteś pewien, że dobrze robimy? Chcesz dać się zamrozić, to szalony pomysł...

— Spokojnie, Manuelu. To jest jedyny sposób. Po upadku Moraneza nie mamy odwrotu. Zresztą cały ten pieprzony świat ginie i nie ma sensu zdychać razem z nim, lepiej przeczekać parę lat.

Epidemie wygasną, radioaktywność spadnie. Nasze dzisiejsze sprawy zostaną zapomniane, a fachowcy od mokrej roboty zawsze się przydadzą.

— Ależ, Ernesto, to najbardziej zwariowany pomysł, jaki znam. Zamrozić się żeby czekać na lepsze czasy?!

— Co tam, chłopcy, coś się nie podoba? — warknął dowódca, zbliżając się.

— OK, Karl — odpowiedzieli obaj.

W samej rzeczy nie mieli wyjścia. Jako gwardia dyktatora Moraneza, po jego obaleniu znaleźli się na czele wszystkich listów gończych. W innych krajach również na ich głowy nałożono wysoką cenę. Nie bali się śmierci, ale jeśli mogli przeżyć? Dopiero w komorze izolacyjnej zorientowali się, że zamrażalnia jest pełna.

— Uprzątnijcie tych zdechlaków — nakazał Faller szefowi personelu.

— Ależ my dopiero ich zamrażamy. Przerwanie procesu oznaczać będzie ich śmierć — zaprotestował profesor nadzorujący hibernatorium.

— Nie mój problem — skrzywił się Faller — mogli się zamrozić gdzie indziej.

— Ale tam jest Mentoni, laureat Nagrody Nobla. Prezydent Howard! I Berty Ferri!

— Betty Ferri rzeczywiście szkoda, bo to była wspaniała dupa! Ale nie mam innego wyjścia — Karl przytknął splotkę do piersi naukowca. — Powiedz głośno, którego z moich chłopaków mam zastrzelić, by ona tam została.

Nazywano go Kotem Wojny i sam ten przydomek wywoływał grozę. Nikt nie wiedział, skąd pochodził i jak się naprawdę nazywał. Faller było jednym z wielu nazwisk, jakimi się posługiwał. W latach trzydziestych XXI wieku zasłynął jako spec od mokrej roboty. Był drogi, ale najlepszy. Zabójstwo prezydenta Pedrony, zamach w Sarawaku czy wreszcie błyskotliwa kampania w Boliwii przyozdobiły czołowe strony gazet jego karykaturami. Fotografować się nie lubił. Potem, gdy wojny surowcowe wciągały cały świat w apokaliptyczne jatki, jego akcje jeszcze wzrosły.; Z drużyną podobnych sobie straceńców zmieniał orientacje i mocodawców jak rękawiczki. Walczył z Żółtymi przeciwko Śniadym, a potem ze Śniadymi przeciw Czarnym i wreszcie z Czarnymi przeciw Żółtym. Nikt nigdy nie był pewien, na jakiej linii frontu się pojawi, niosąc ze sobą śmierć w najbardziej skutecznym wydaniu. Jeśli cokolwiek w życiu kochał, to właśnie swoją robotę. „Zabić umie każdy, zabić dobrze — ja i moi chłopcy” — mawiał.

No i zabijał. Zabijał, póki śmierć sama nie przejęła inicjatywy i nikt z ludzi nie mógł zapanować nad wydarzeniami. Wtedy zaczęły się jego klęski. Przegrał pod Meggido. Ledwie uszedł z życiem z Nowosybirsk. Nie wykonał kontraktu dla Francuzów. A postawienie na Moraneza było fatalną pomyłką. Po jego upadku, nawet gdyby jakimś cudem opuścił kontynent, nie widział nowego zleceniodawcy. Nikt nie chciał wynająć jego grupy najemników. Wszędzie czekały zaoczne wyroki. Pozostała tylko jedna droga ucieczki: przyszłość.

— A jeśli za te trzydzieści lat trafimy na czasy, w których nie będziemy potrzebni? — zapytał nagle Alonso, zwany Profesorem z racji przelotnego pobytu w Harvardzie i Eton.

— Będziemy tak długo potrzebni, jak długo będzie istniała ludzkość. I jeszcze tydzień dłużej — odpalił Faller.

Kotem Wojny nazwały go kobiety — chyba przez przekorę, kochał bowiem gwałtownie, brutalnie, wyłącznie fizycznie. Owszem, miał jeszcze gibkość swego imiennika i równe mu pazury. Był też na swój sposób inteligentny. Potrafił słuchać rad Alonsa; i Rica. Również i tym razem oni go przekonali. Zaaprobował pomysł z zamrażalnią. Po uśpieniu kolegów zastrzelił wszystkich naukowców i jako ostatni umieścił się w szklanej trumnie. Aparatura była nastawiona, wszystko przygotowane, toteż leżąc już w sarkofagu, pilotem włączył mechanizm. Wcześniej, również zdalnie zdetonował ładunek wybuchowy umieszczony w ścianie wąwozu, przykrywając cały obiekt dwustumetrową warstwą piachu. Wskutek tego wstrząsu ocknął się umierający profesor. Brocząc z wielu ran, doczołgał się do pulpitu sterowniczego.

Nie mógł wstać, wyciągnął więc rękę. Nie mógł sięgnąć do wyłącznika i położyć kres życiu zbrodniarzy. Jego dłoń zmacała jednak pokrętło czasowe. Nim skonał, maksymalnie przekręcił je w przód.

* * *

Wobec małych ludzi Karl Faller przyjął pozę dobrodusznego, zdezorientowanego wielkoluda. Nie chwalił się swym życiorysem. W ogóle niewiele mówił, tylko z bardzo dużym zainteresowaniem słuchał. I jadł. Co pewien czas z ust wyrывało mu się przekleństwo, ale trudno dociec czy dotyczyło ono sytuacji, czy też smaku szarańczy w sosie. Chociaż, po wielowiekowej głodówce, nie powinno się pytać o kategorię lokalu. Zaspokoiwszy głód, poczuł się jak nowo narodzony, a gdy przeciągnął się, jego mięśnie zagrały jak orkiestra kameralna. A może nawet symfoniczna. Skinął na Eę.

— Chodź tu, mała, jak ci na imię?

— Ea — odparła, zbliżając się, mimo protestu Szóstki.

— Ea, trochę trudne do wymówienia, będę ci mówił Elka. Podejdz śmiało. — Bez większej trudności rozgiął stalowe kraty tak, że mogła wślizgnąć się do jego boksu. Ea weszła odważnie z taką gracją, że Faller aż gwizdnął.

— Mała, ale harmonijna. Mam nadzieję, że nie jesteś na baterię?

— Uprzejmie proszę jej nie ruszać! — zdenerwowany Szóstka stanął między dziewczyną a Kotem Wojny.

— Idź, bo cię rozdepczę, karlipucie! — mruknął olbrzym. — Chcę z nią tylko porozmawiać o interesach! — tu zwrócił się do dziewczyny. — Słuchaj, kruszyno, widzę, że masz najwięcej w głowie z tych wszystkich Pigmejów. Chcecie się stąd wydostać, prawda?

— Oczywiście.

— Tylko, że to nie ma sensu, bo i tak nas wyłapią — wtrącił zza kraty Trzynastka.

— Nie wyłapią, nie wyłapią — zaśmiał się Karl. — Jak tylko odmrozę moich siedmiu aniołków, to zabawimy się z gryzoniami — Chyba że... Nie wiesz, mała, czy szczury dysponują bronią laserową i nuklearną?

— Nie mam pojęcia, co oznaczają te terminy. Strzelby z kulami mają — powiedziała Ea.

— Cenna informacja. Zatem dziś jeszcze sobie odpoczniemy, ale jutro...

Zapaliło się światełko nad drzwiami, ktoś schodził do piwnicy.

* * *

Prof, z trudem panując nad nerwami, pisał referat, który w razie potrzeby miał być jego mową obrończą.

— Zastanówmy się, co mogą mi zarzucić? — zwierzał się Asysowi. — Uszczurzenie człowieka? A jeśli nawet, to koncepcja da się obronić. Przecież hom obdarzony większą dozą rozumu jest dla szczurów o wiele bezpieczniejszy.

— Tak szef sądzi? — zdziwił się Asys.

— Hom dziki, żyjący w hordzie, nieraz dawał się porywać ambicjom, próbował z nami walczyć, buntować się. Jeśli ludzie laboratoryjni, obok zapewnionego bytu, uzyskają odrobinę praw i obowiązków, będą mieli więcej do stracenia, staną się ostrożniejsi i bardziej asekurancy.

— A jeśli przyswoją sobie takie czysto szczurze pojęcia, jak honor i godność?

— Te cechy stracili bezpowrotnie we wcześniejszych fazach rozwoju...

Nagły przeciąg poderwał wszystkie kartki z pulpitu. Prof chciał je łapać, ale zamiast tego znieruchomiał. W gwałtownie otwartych drzwiach stał Inspek, za nim cisnęło się kilkanaście postaci w mysich kombinezonach.

— W imieniu Parlamu jesteście aresztowani, Prof — wyrecytował Inspek. — Od tej pory wszystko, co powiecie, może być użyte przeciw wam.

— Mam immunitet naukowy — bez przekonania oponował Prof.

— A ja upoważnienie samego Komisa. Zresztą macie prawo się odwołać. Choćby do Światowej Rady Szczurów w Ogonoburgu. Choć nie radzę.

Naukowiec zwiesił głowę. A więc stało się to, czego obawiał się najbardziej.

Ambitny Komis, szef brygi policjów w Szczuropolis, postanowił sięgnąć po władzę. A oskarżenie Profa i popierających go Prezów było do tego celu najkrótszą drogą.

Kiedy obu naukowców wyprowadzono z pracowni, Inspek wyładował dawno skrywaną wściekłość, przewracając biurka i wyrzucając dokumenty z szafek.

— Popełniasz błąd — wołał od progu Prof. — Nie masz przeciw mnie żadnych dowodów.

— Milcz, filhomie, dowody są w piwnicy. Zabrać ich, reszta za mną!

Na czele pięcioszczurzego oddziałku zbiegł na najniższy poziom. Wskazywał przeznaczonych do aresztowania — Eę, Szóstkę, Fallera.

Nawet dziewiętnaście wieków bezczynności nie jest w stanie zniweczyć zawodowych kwalifikacji. Nie minęły trzy sekundy, a dwaj policy z zmiażdżonymi kręgosłupami leżeli w kącie korytarza, trzeci tworzył malowniczą plamę na suficie, a Inspek złapany za ogon zebrał o litość, zaś Karl kręcił nim jak procą, a gdy puścił, bezwładny PracTech obalił pozostałych funkcjonariuszy, którzy wprawdzie wycelowali broń, ale z obawy o los Inspeka bali się wystrzelić, i sam legł w kącie.

— Bravo! — ze wszystkich klatek rozległy się oklaski. — Śmierć szczurom!

Tymczasem jednemu z rannych policjów udało się włączyć dojmujący sygnał alarmu. Kot Wojny nie wahał się ani chwili.

— Wskakujcie mi na plecy i chodu! — wrzasnął do Ei i Szóstki. W drzwiach zderzył się z kolejnymi policjami. Nie zdążyli nawet unieść broni. W pracowni Profa porwał mapę Szczuropolis i okolic, z broni odebranej szczurom oddał salwę do załogi motowózka stojącego pod Laborem. Drugi, z aresztowanymi naukowcami, zdołał, niestety, już się oddalić. I zanim nadciągnęły posiłki, opanowany wehikuł pędził w stronę Starych Śmieciowisk, pozostawiając za sobą tuman kurzu i trupy szczurów, które miały nieszczęście wejść im w drogę.

— Jest pan wspaniały! — szeptała Ea do ucha giganta.

— A co się będę obcyndalał — odparł skromnie Faller. Zaraz za miastem wysadził swoich pasażerów.

— Proszę zabrać nas ze sobą — błagał Szóstka. — Tu nas na Pewno złapią.

— Każdy dba o swoje interesy — padła twarda odpowiedź. — Cieszcie się, maluchy, że

pozwalam wam odejść. Normalnie nie zostawiam żadnych świadków.

III

Przesłuchujący kryją się w mroku. Jedyne Ea stoi w świetlistym kręgu, drobna, bezbronna, przytłoczona lawiną szurzących głosów.

— Kim był ten olbrzymi hom, z którym uciekłaś? Dokąd się udał? Dlaczego was zostawił? Twoje milczenie jest bezcelowe, C-376 wszystko nam powiedział!

Na moment twarz dziewczyny rozświetla uśmiech. Jeśli Szóstka wszystko powiedział, to po co ją przesłuchują?

— Nie takie niemowy potrafiłem ugadatliwić — krzyczy ktoś z tyłu. — Wielmożny Komisie, oddajmy ją oprom.

Komis zastanawia się. Jest bardzo zmęczony. Wspomina niedawną rozmowę z Profem i Asysem. Rozmowę bez świadków, nie oficjalny przesłuch.

— Pewnie ciekawi jesteście, dlaczego wstrzymałem się z oddaniem was oprom? — zagaił.

— Albowiem nie uczyniliśmy niczego wbrew prawu — Prof usiłował się uśmiechnąć. — Nasze doświadczenia nad inteligentną odmianą człowieka laboratoryjnego miały aprobeę Parlamu.

— Zatailiście w dokumentach, że potrafią mówić i działać zespołowo.

— Sami dowiedzieliśmy się o tym dopiero dzisiaj.

— Dopiero dziś? Szkoda, że Inspek jest ciągle nieprzytomny, mógłby powiedzieć coś zgoła innego — głos Komisa zrobił się ostry.

— Jesteście filhomami, wasz Labor był przykrywką dla karygodnego spisku przeciwko szczurowstwu. Ale my potrafimy te knowania wyrwać z korzeniami. I wyrwiemy je, wyrwiemy! — Komis zaperzył się jeszcze bardziej. Falował jego oranżowy frak, a ogon walił o parkiet. — Wiecie, co mógłbym zrobić? Jeszcze dziś zdemaskować was w Parlamie, wraz z waszymi poplecznikami. Ale nie zrobię tego, a wiecie dlaczego? Bo chcę wam dać szansę, jeszcze możemy zostać przyjaciółmi. Zaczniście od wyjaśnienia, co się stało z olbrzymem. I w ogóle, kto to był?

— Prof przecież wyjaśniał, że mutant — powiedział Asys. — Przypadkowy twór naszych krzyżówek.

— Aha, mutant. Mutant morderca, hom rozmiarów znanych tylko Archeolom. W dodatku wyszkolony jak szczurolat po dziesięciu latach praktyki w tajnych służach.

— W przyrodzie wszystko jest możliwe.

— Opry są gotowe — do rzeczywistości przywraca go głos funkcjonariuszy.

— Zatem niech czynią swą powinność — kiwa łapą Komis.

— Nie! — krzyczy Ea na widok cęgów, rozżarzonych szpikulców i innych śledczych utensyliów — Powiem wam, co chcecie wiedzieć!

— Gdzie podział się mutant?

— Karl, znaczy mutant, zanim nas wysadził, pytał o drogę do Czarnych Bagnisk.

— Doskonale. A dlaczego was wysadził?

— Mieliśmy wrócić, oswobodzić resztę naszych małych braci, a potem dołączyć do niego na Bagniskach.

— Głupia koncepcja — odzywa się głos z prawa — ale człowiek niczego mądrzejszego nie wymyśli.

— Odprowadźcie na razie homkę do celi — decyduje Komis. — Ja zajmę się resztą.

Naraz całe zmęczenie ustępuje. Komis przystępuje do działania. Dwie brygi policjów mają udaremnić dotarcie do Bagnisk, trzy inne wprowadzić w mieście stan podwyższonej gotowości. Na wszystkie sery świata! Dawno potrzebował takiego incydentu. Jego tajni agenci — Demagi — od miesięcy czekali, aby wyprowadzić na ulice zaagitowane szczurostwo. Czerń podpali Labory i będzie skandować przeciw fllhomom. Wtedy wybije godzina Komisa. Wydzielone brygi obsadzą Parłam, aresztują Prezów i deputów, a potem...

Komis, Dyktat Szczuropolis! A jeszcze potem kto wie, może i całego świata!

* * *

Na terenie wykopalisk Karl Faller zjawił się przed świtem. Był pewny, że dzięki fałszywym informacjom przekazanym Ei, na jakiś czas zmylił pogoń. Mapa Profa doprowadziła go na miejsce jak po sznurku. Jedyne go strażnika udusił własnymi rękami, natomiast Archeol zaskoczony we śnie, zanim obciążył swym ciałem najbliższą gałąź, wskazał zasypane wejście do zamrażalni. „Kot” wśród szczurów czuł się w swoim żywiole, a po uruchomieniu procesu odmrażania kolegów jego samopoczucie jeszcze się poprawiło. Pierwszy ocknął się Johann van Tam, niedźwiedziowaty Afrykaner z Pretorii, który specjalizował się w broni ciężkiej, choć w walce wręcz preferował lekką laserową fuzyjkę. Dalej powstał Gonzales, wesoły Manuel Gonzales z Porto, miłośnik alkoholi i kobiety i którego pucołowata, zgoła dziecięca twarz, mogła zmylić każdego, choć w istocie skrywała ponurą duszę drania wielkiego formatu i genialnego specjalisty od ładunków wybuchowych, od

konwencjonalnych po nuklearne. Kolejna pokrywa odskoczyła znad leża Luisa Jade, Prowansalczyka, który młodość przesłużył w rozmaitych formacjach najemnych, a na starość stał się mistrzem trucizn i dobrej kuchni. Jako następny w objęcia Fallera skoczył „profesor” Alonso, rodem z Kalifornii, którego nazwiska nikt nie znał, i pewnie lepiej, bo było podobno tak znakomite, że nawet Alonso, czarna owca w rodzinie, nie ośmielał się go kłać. Dalej obudził się Ernesta Rico, trzydziestoletni Sycylijczyk — był on najlepszym przyjacielem Fallera, który kochał chłopaka jak syna, choć może nie był to najlepszy wybór, gdyż Ernesto zadebiutował w wieku szesnastu lat w rodzinnym Palermo, zrywając rodzinne więzi za pomocą małokalibrowego karabinku. Ojcobójca należał jednak do najinteligentniejszych członków bandy i, w odróżnieniu od „Profesora” nigdy nie dawał odczuć swej wyższości Fallerowi. Ekipę zamykał ziomek Karla, Fritz Rotleder, i dorównujący wzrostem szefowi ryży Mike O’Brien, któremu przez dłuższy czas nie chciały odmarznąć nogi.

Akcja postępowała sprawnie. Nikt nie zadawał zbędnych pytań. Po otwarciu komory próżniowej odpieczętowano, nienaruszone zębem czasu skrzynie z ręczną bronią, wydobyto laserowe miotacze i neutronowe granatnice. Van Tarn sprawdzał każdy egzemplarz osobiście. Zabezpieczenia okazały się nienaganne. Po dwóch tysiącach lat należało tylko oczyścić broń z konserwantów i po i zmontowaniu natychmiast nadawała się do użytku.

— Amunicji starczy? — spytał krótko Karl.

— Tak, szefie! Stąd do piekła i z powrotem — wyszczerzył zęby van Tarn.

— Kiedy będzie gotowa do działania?

— Pierwsze egzemplarze lekkiej za parę godzin, przygotowanie cięższego sprzętu potrwa trochę dłużej.

— A mała wyrzutnia termobalistyczna? — wtrącił Gonzales.

— Miesiąc! — powiedział krótko. — Co do dużej chwilowo nie mam pojęcia.

Faller nie miał zamiaru go ponaglać. Znał swych ludzi i wiedział, że wszystko trwać będzie tyle, ile powiedzieli, ani sekundy dłużej czy krócej.

Rozstawił czujki na wypadek pojawienia się szcurków i przystąpiono do pracy. Jednak na razie nikt ich nie ścigał.

* * *

Komis miał problem. Musiał czekać. Sytuacja w Szczuropolis nie dojrzała jeszcze do przewrotu, tym bardziej, że nieprzytomny Inspek nie mógł złożyć decydujących zeznań obciążających w aferze nazwanej „Spiskiem w Laborze”. W sprawie Profa interweniował Prez i paru deputów. Nie

pozostało mu nic innego, jak zwolnić obu naukowców. Razem z nimi odesłał do Laboru Szóstkę, z którego wyciśnięto ile się dało, obiecując zwrócić po jakimś czasie również Eę.

Po przesłuchaniu skołowanemu prostaczkowi do reszty pokiełbało się we łbie i nie potrafił już odróżnić wroga od przyjaciela. Na wszelki wypadek wszystkiemu zaprzecza} i podał mylną drogę ucieczki Fallera.

— Nie oszukuj nas, Szósteczko — przekonywał go Asys. — Przecież doskonale wiemy, że Faller poszedł odmrażać kompanów. — Jakich kompanów? O niczym nie wiem.

Próby pozyskania zaufania małego człowieczka spełzały na niczym. Daremnie tłumaczyli mu konieczność współpracy ludzi (tych mądrzejszych) ze szczurami (tymi świątlejszymi). Próbowali też zająć go z innej strony.

— Oczywiście pełne równouprawnienie nie jest możliwe, ale zawsze lepiej być chronionym poddanym niż konsumowanym towarem. Jeśli się nie porozumiemy, wśród szczurów weźmie górę frakcja Twardych Ogonów, czyli Komis i jemu podobni. Natomiast jeśli się porozumiemy, jeśli dojdzie do współpracy z tym, jak mu tam, Fallerem...

— Kim? — Szóstka konsekwentnie udaje głupiego.

— Nawet tak duży człowiek nie ma szans. Na ziemi żyją cztery miliardy doskonale zorganizowanych szczurów. Co znaczy ośmiu, choćby wyjątkowo silnych ludzi, bez jakiegokolwiek oparcia, bez broni?

— A z bronią? — pyta nadspodziewanie inteligentnie Szóstka.

* * *

Komis lubił pracować nocą, widocznie odzywały się w nim jakieś atawizmy. O tej porze jego śniadzi przodkowie wyruszali ongiś na żer. O tej porze miękną najtwardsi nawet przesłuchiwni. Podobnie stało się z Eą. Po wstępnej „rozmowie” z oprami Ea gotowa była powiedzieć wszystko a nawet więcej, niż wie. Niech się to tylko skończy. Podpisze wszystko, będzie współpracować.

— Nie żądamy wiele — mówi słodziutko Komis, częstując ją kieliszkiem „ogonówki” — ot, drobna usługa, po której pozwolimy ci wyjechać na wyspy NowoLudzkie. Tak, są takie na dalekiej północy, a na nich swoboda, przyroda, istny raj. Ale do rzeczy. Twoje zadanie będzie proste, dziecino, za parę dni udasz się tropem Fallera, o ile wcześniej moi ludzie nie dopadną tego olbrzyma, i będziesz nas informować o wszystkich jego planach. Dla zapewnienia łączności damy ci mały cud techniki, skrzyneczkę z ważkami pocztowymi. Tylko nie próbuj żadnych sztuczek.

— A gdybym spróbowała?

— Zdaje się, że czujesz pewną słabość do tego małego Szóstki? Chyba wolałabyś spotkać go jeszcze w jednym kawałku. A więc wszystko jasne, kruszyno?

Ea kiwa głową.

* * *

Rankiem piątego stycznia Komis udał się osobiście do Laboru numer osiem i chociaż jego służby twierdziły, że obiekt jest pod ścisłą kontrolą, dygnitarz postanowił przekonać się o rym osobiście. Od Ei nie otrzymał jeszcze żadnych istotnych wiadomości, musiała dotrzeć dopiero do Wielkich Śmieciowisk. Szedł więc pieszo przez Szczuropolis, zaśmiecone po niedawnym Świącie Antyhoma. Najpierw posuwał się dostatnimi ulicami wśród kramów pełnych wszelakich dóbr, oglądał z zadowoleniem afisze teatrowisk, w których wystawiano dramy o antyhomskiej tematyce, przechodził estakadami nad wielopiętrowymi norowiskami biedniejszych i kulistymi bungami bogatszych szczurów. Za nim posuwało się pięciu ochroniarzy w cywilu. Szeregowi police kłaniali mu się z uszanowaniem, zaś zwykli obywatele udawali, że go nie poznają. Na placach spała kudłata szczuromłodzież, która porzuciła rodzinne bungi, paliła narki, grając na cytrogonach.

— Rozpanoszyło się bezhołowie, ale wprowadzimy jeszcze zero tolerancji — pomyślał.

Był już o paręset metrów od Laboru, gdy nagle cisza pękła jak rozbite szkło. Od strony rzeki zagrały karabiny maszynowe. Potem gruchnęły dwie czy trzy mocniejsze detonacje. Police rzucili się do ucieczki.

— Stać, łapserdaki! — zawył Komis. — Wracać! Ktoś zaatakował gmach Laboratorium.

Eskorta dobyła broni. Na ten widok police niechętnie, ale jednak zawrócili. Szczursierz wskazał im kępę jałowców.

— Tam są! Ognia!

Nim jednak zagrały stare pięciostrzałowe karaby, dwaj z policów stanęli w miejscu, okręcili się wokół swej osi i padli martwi, trafieni z laserowców. Reszta rozsypała się po bramach pobliskich bungów, strzelając na oślep.

O bruk zagrzechotał granat. Błysk! Komis instynktownie padł twarzą w rynsztok, kątem oka mógł tylko dostrzec, jak wałą się okoliczne ściany. I stracił przytomność.

Uderzenie pięciu rzemieślników mordy, pozostała trójka na czele z Alonsem pozostała w odwodzie, przypominało chirurgiczne cięcie, z dodatkiem paru fajerwerków. Zanim zdążyły nadciągnąć posiłki, Labor został zdobyty, a do opanowanych motowózków załadowano wyzwolonych małych ludzi. Nie było wśród nich Szóstki. Gdzieś zniknęli też Prof i Asys. Zapłonęły

okoliczne bungi i szczurowiska, a nad miastem wznosił się swąd palonej sierści. Równie sprawnie przebiegał odwrót. Jak burza przemknęli przez miasto, a Faller po raz pierwszy od lat śpiewał. Z granatnikiem w ręku, swoją ulubioną „maszynką do mięsa”, śpiewał, jodłując dziką pieśń triumfu.

Pierwszy punkt jego planu powiódł się. Zdobycie Laboratorium dostarczyło mu pokaźną grupę sojuszników, małych bo małych, ale nieodzownych przy organizowaniu żywności czy montowaniu wyrzutni. Dokonawszy uderzenia, nakazał wycofanie się za Imię Śmieciowisk. Dysponując chwilowo jedynie lżejszym sprzętem, nie mógł pozwolić sobie na frontalną walkę z przeciwnikiem, wprawdzie kiepsko uzbrojonym, ale jakże licznym. Przywódcą małych ludzi wyznaczono Trzynastkę, którego inteligencja szła w parze z bajecznymi lizusostwem (do Fallera nie zwracał się inaczej, jak Panie M6jf Największy, co w sposób oczywisty łaskotało próżność Karła). Tymczasem, około jedenastej, posuwający się na szpicy Alonso: zameldował o napotkaniu karlicy, która wyraźnie wyczerpana, nieomal wpadła pod koła motowózka. Faller natychmiast rozpoznał w niej Eę. Ledwie stanęli na popas, polecił ją nakarmić, umyć, a gdy zdrowo wypocznie, przysłać do swojej kwatery.

— Całkiem ładne maleństwo — fachowo zrecenzował znalezisko Gonzales. — Widziałem kiedyś coś podobnego w cyrku pod Lizboną. Miły duecik. Ona liliputka, on olbrzym. I wyobraźcie sobie, wcale im to nie przeszkadzało.

— Karłowi też to z pewnością nie przeszkodzi. Nasz Kot, to pies na baby — podsumował wymianę zdań Rico.

* * *

Narada w NaczKwacie miasta Szczuropolis, która odbyła się dwa dni później, ujawniła głębokie rozbieżności między różnymi frakcjami deputów. Formalny przywódca — Prez, gryzoń stary i bezzębny, reprezentował tendencję umiarkowaną i twierdził, że przed podjęciem ostatecznych kroków należy starannie zbadać całą sytuację, a jeśli trzeba będzie — rokować. Komis i Gener żądali natychmiastowej kontrofensywy. Różniła ich jedynie koncepcja głównego dowództwa, którego każdy chciał dla siebie.

— Rewanż to kwestia naszego honoru! — wołał Gener. — Czy nie zdajecie sobie sprawy, jakie konsekwencje w skali globu może przynieść pogłoska o przegranej z homami?

— Czas działa na naszą niekorzyść — sekundował mu Eksper z frakcji Twardogonów. — Według moich danych oddział odmrożeńców posuwa się, wraz z odbitymi homami, w głąb Wielkich Śmieciowisk. Ich wataha stale rośnie, zasilana przez resztki homów dzikich, ocalałych przez nasze niedopatrzenie.

— Nie wierzę wprawdzie w bojowe kwalifikacje tych podszczurów — wpadł mu w słowo Komis — niemniej zgadzam się, że musimy przeciąć im drogę, zanim dotrą do bardziej niedostępnych terenów.

— A jeśli ponownie zaatakują Szczuropolis? — zaniepokoił się Prez.

— To ich zniszczymy. Raczcie spojrzeć. — Mimo krępujących go bandaży Komis ochoczo podskoczył do mapy Szczuropolis. W obu łapkach trzymał barwne chorągiewki, natomiast ogonem zakreślał rejony koncentracji. — Miasto strzeżone przez dwadzieścia osiem bastionów jest nie do zdobycia. Dodatkowo kończymy minować przedpola.

— Koledzy stawiają na konfrontację z ludźmi i przewidują zwycięstwo — westchnął Prez. — Wasze prawo. Do nas, polityków, należy jednak myślenie, co będzie jeśli przegramy.

Krew uderza do głowy Komisa.

— W moich brygach rozstrzeliwuje się za taki defetyzm! — woła.

— Nie jesteśmy na szczęście w koszarach — zza pleców Preza wychyla się Prof. — I przypominam, że obowiązuje cywilne zwierzchnictwo nad waszymi służbami!

— Z militarne punktu widzenia — Komis lekko łagodzi ton — wygraną mamy w kieszeni. Z sąsiednich miast otrzymałem zapewnienia o pomocy i solidarności.

— Poza tym — wtrąca Gener — wszystko dowodzi, że Faller i jego szajka wybrali strategię defensywną. To oni uciekają, nie my. I trzeba to wykorzystać!

— Głosujmy więc, kto jest za rokowaniami, kto za wojną? — pyta zrezygnowanym głosem Prez. Godzinę później, pełen najgorszych obaw, ogłasza z głównej galeryjki Parlamu: „Wojna”!

W tym czasie zirytowany Komis — główne dowództwo przypadło Generowi — wychodzi na spacer na ulubiony placyk dla aresztantów. Już po paru minutach nastrój szefa policjów zmienia się. Na jego ramieniu ląduje tresowana ważka.

„Tu E-1. Informuję, że udajemy się przez Uroczysko Starych Opon ku Białemu Wąwozowi. Będziemy tam pojutrze w południe” — brzmi meldunek.

— No to mamy ich! — zaciera łapy Komis. — Wystarczy wyprzedzić zbiegów, zaminować wąwóz i wysadzić w powietrze wapienne skały, gdy tylko ścigani znajdą się wewnątrz. Nie muszą wcale porozumiewać się w tej sprawie z tym niedojdą, Generem.

* * *

Karl Faller zatrzymał oddział o kilometr od wylotu wapiennego wąwozu. Uznał, że odskoczył wystarczająco daleko od przeciwnika. Nadto zależało mu choćby na wstępnym przeszkoleniu małych podkomendnych. Zajął się tym O'Brien. Przez cały dzień poddawał mikrych rekrutów wojskowej obróbce. Szło mu nawet nieźle. Dzięki szkole Profy malcy okazali się dość podatni na zdecydowane

komendy.

— Będzie z nich doskonale mięso armatnie — mrucał do siebie Alonso, obserwujący musztrę z wysokości swego punktu obserwacyjnego na wzniesieniu panującym nad dolinką. — Gorzej, i że jeden miotacz będzie musiało nieść dwóch malców, a trzeci nabój. Ale drylu uczą się szybko. Znacznie szybciej niż mowy; Ale to nawet lepiej, przecież dobry żołnierz nie powinien za wiele gadać.

Czuł się trochę senny, trochę rozkojarzony. Jak tamtego dnia w Beverly Hills, w maju czterdziestego pierwszego. Normalnie nie przyjmował kontraktów w rodzinnym mieście, ale w czasach narastającego zamieszania, należało brać taką robotę, jaka była. Mimo zniszczeń, po niedawnych zamieszkach, w Los Angeles żyło się jeszcze całkiem nieźle, gwarnie, wesoło. Chyba od wielu lat nigdy nie bawiono się i nie pito tak jak wtedy. Wraz ze zniknięciem telewizji jakiś spazm rozrywki ogarnął ludzi. Alkohol płynął strugą, tancbudy były pełne, a profesjonalistki pracowały systemem akordowym.

Alonso jednak nie przybył tam dla zabawy. Z rozkazu Moraneza miał skończyć z doktorem Santaną, duchowym przywódcą emigrantów, organizatorem opozycji przeciw dyktaturze. Wytropienie doktora nie należało do spraw łatwych. Jednak Alonso był zawodowcem, którego nie zwiedzie ani zmienione nazwisko, ani nowa twarz po doskonałej operacji plastycznej. Zlokalizował dom buntownika położony przy sennej uliczce, pół mili od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Robotę przygotował starannie, zaparkował swój samochód na tyłach rezydencji, nastawił czasowy detonator obliczony na dwudziestą dwadzieścia i spiesznie począł oddalać się od domu Santany ku uliczce, gdzie poprzedniego dnia zaparkował drugi wóz. Jechał szybko i wkrótce znalazł się o dwie mile dalej. I wtedy poczuł dziwny skurcz w sercu, jakaś siła skłoniła go do zjechania z trasy pod zrujnowany budynek w zapuszczonym ogrodzie. Dobry Boże, nigdy by nie pomyślał, że tu wróci pod dwudziestu latami.

— Pan może kupiec? — usłyszał nagle głos obok siebie. — Kiedyś ta rudera, panie, to było prawdziwe cacko. — Mówiącym był starszy mężczyzna strzygący trawę przy willi naprzeciwko. — Ale wystarczy trochę kapitału i znów może być z niej cudo — dopiero teraz Alonso zauważył tabliczkę NA SPRZEDAŻ, a ogrodnik nawijał dalej: Co to panie, z nami będzie? Jeszcze dziesięć lat temu kto tu nie mieszkał, politycy, gwiazdy filmowe, a teraz coraz więcej domów stoi pustych. Tylko szczury się w nich mnożą. Bezczelne bydlaki. W ogóle nie boją się ludzi.

Alonso słucha, nie przerywa, czasem potakuje, wreszcie pyta, jakby od niechcienia:

— A stary don Diego jeszcze żyje?

— Żyje, żyje — mruczy staruch. — Ale co to za życie. Od czasu, kiedy jego chłopak poszedł na złą drogę, kompletnie się załamał. Zbankrutował, rozpił się, żyje w nędzy. A na dom nie ma kupców. Ech, jak on kochał tego swojego Alonso. Dobrze chociaż, że doktor Masteri wziął go do swego hospicjum, bezpłatnie.

Słyszając aktualne nazwisko doktora Santany najemnik drgnął.

— Masteri?

— Tak. Dobry człowiek, chociaż Latynos. Panie, ilu ludziom on tutaj pomógł. Szkoda tylko, że taki samotnik.

Twarz Alonsa pozostała nieprzenikniona. Chwilę jeszcze słuchał głędzenia staruszka. Potem wsiadł do samochodu. Zegar wskazywał szesnastą dziesiątą. Przecnicę dalej Alonso zatrzymał się przy budce telefonicznej. Wykręcił telefon Masteriego, a gdy ten podniósł słuchawkę, powiedział:

— Pan jest lekarzem? Dzwonię z baru „Orce”, trzysta metrów od pańskiego domu. Była tu bójka, mamy rannego. Czy mógłby pan natychmiast przyjść?

Potem równie energicznie odłożył słuchawkę i odjechał. Dopiero za miastem zatrzymał wóz i oparł głowę o kierownicę. Tym razem Santaną ujdzie z życiem. Oczywiście jeden szlachetny gest niczego nie zmieni, bo następnym razem ktoś z fachowców z pewnością załatwi doktora bez fuszerki, a jednak...

— To dla ciebie, don Diego, dla ciebie, tato!

Na poboczu stoi wielka kolorowa reklama kina „Colosseum”, afisze zapowiadają supergigant na podstawie starej powieści M.J. Volsky’ego — „Inwazja szczurów”.

I pomyśleć, że za ten dobry uczynek, czy może chwilę słabości, drogo zapłacili wszyscy ludzie Fallera. To nie kto inny, jak armia stronników Santany zadała śmiertelny cios Moranezowi. I im przy okazji.

* * *

Alonso obrócił się i przez chwilę lornetował pobliskie wzgórza. Wiecznie zielone drzewa trwały w bezruchu. W ogóle nie odczuwało się wiatru, słońce grzało niczym w pełni lata. Widać musiał zmienić się klimat. Za ich czasów w tej strefie w styczniu śniegi leżały po pas.

„A może zmienił się kąt nachylenia osi ziemskiej?” — pomyślał i przeniósł wzrok ku drodze. Pusto, ani śladu gryzoni. „Poczuły mores, skubane. Chyba, że szykują jakąś paskudną niespodziankę, przecież to mściwe bestie.”

Jego lornetka powoli przesuwiała się po kolejnych pagórkach, wreszcie natrafiła na polankę. Automatycznie nastawiła się na ostrość.

— A ta czemu się mazgai?

Na polance, z twarzą ukrytą w dłoniach siedziała Ea. Jej drobną sylwetką wstrząsało łkanie. Ustało, gdy na ścieżce pojawił się Trzynastka. Alonso miał przez chwilę nadzieję, że parka malców

zacznie się parzyć, ale ponieważ do niczego takiego nie doszło, skierował swe zainteresowania w innym kierunku.

— Dlaczego płaczesz, Ea? — na rumianej gębie Trzynastki, lśniącej jak buty Fallera, które pucował osobiście przez dwie godziny, odbiło się zdumienie.

— Nic, nic, wspominam tylko swoje trudne dzieciństwo — odparła. Nie miała zamiaru wtajemniczać chłopaka w swoje osobiste dylematy.

— Daj spokój z dzieciństwem, ważne, że starość masz zapewnioną. Szef cię wzywa do siebie. Staraj się wyglądać jak najkorzystniej.

— Faller? — zaniepokoiła się. — A ten czego chce ode mnie?

— Mogę się tylko domyślać, właśnie wziął kąpiel w potoku i jest, można powiedzieć, w nastroju romantycznym.

Przeraziła się nie na żarty.

O, Habilu, Habilu — pomyślała — dlaczego nie ma cię przy mnie w takim momencie? Co ja mam zrobić? Mało, że prowadziła podwójną grę, donosząc szczerom, to teraz jeszcze miała stać się zabawką w rękach tego obrzydliwego wielkoluda. — A może powinnam wyznać mu wszystko? Odwieść Fallera od marszu Białym Wąwozem, gdzie z pewnością szczury przygotowały zasadzkę? W końcu na jednej szali leżało tylko życie Szóstki (Ja chyba pokochałam tego gamonia?), na drugiej przyszłość całego gatunku ludzkiego. A przecież, jak mawiał Habil: „Interes jednostki winien ustąpić przed interesem zbiorowości”.

Dylemat rozstrzygnął sam Kot Wojny, po prostu nie dał jej dojść do słowa. Z wprawą, jakby obierał banana, zdarł z dziewczyny szaty, a potem cisnął Eę na dywan ze szczurzych skór (siwa należała do Archeola). Krzycząc, broniła się zawzięcie, budząc zdumienie Trzynastki podsluchującego przez ścianę szałas.

(Ale głupia, zostać kochanką szefa, to przecież kariera!)

— Bomba maleństwo! — śmiał się z jej daremnych wysiłków olbrzym, purpurowy z podniecenia. — Hej, hej, schowaj pazurki. Nie gryź!

— Czy musisz być bardziej brutalny niż szczury?

— Do kroćset, dwa tysiące lat nie miałem kobiety — sapnął, rozwierając jej nogi.

— Przepraszam, Wodzu — do środka, bez pukania, wszedł Rico i ignorując wściekłe błyski w oku bossa, zameldował: — Alonso zauważył niewielki oddział szczurów na wzgórzu 582. Chyba odkryli nasz obóz. Może być ich więcej.

Karl w jednej chwili zapomniał o seksie.

— Zwijamy się — zarządził — niech O'Brien przerwie swoje ćwiczenia. Za pół godziny ruszamy. A ty — popatrz na Eę — zabierzesz się ze strażą tylną.

* * *

W salach Parlamu Prez wyprawił bal z okazji wprowadzenia Stanu Wojny.

Prof postanowił nie brać w nim udziału. Nie miał ochoty na zabawę, mimo komplementów otrzymanych od najwyższego zwierzchnika. — „Cenimy was, przyjacielu. Jesteśmy przekonani, że zawsze zależało wam na dobru szczurostwa. Komisja Nadzwyczajna zbada dokładnie cały incydent w Laborze i na pewno oczyści cię z zarzutów. A do zakończenia jej prac nikt nie poważy się powiedzieć na was złego słowa”.

Wiedział doskonale, iż pozostawało mu najwyżej parę dni wolności. Przecież prędzej czy później wyjdzie na jaw sprawa zakazanych eksperymentów i nielegalnego odmrożenia. Prof ponosił za to pełną odpowiedzialność; więcej, chciał tego.

Po raz pierwszy w swym długim życiu nie wiedział, co robić. Był sam, Asys zniknął gdzieś w zamieszaniu. A z wszystkich małych homów laboratoryjnych pozostał mu jedynie Szóstka. Na ile mógł mu zaufać. Intuicyjnie wyczuwał, że kroi się coś niedobrego. Komis z całą pewnością coś knuł. Potem przypomniał sobie, kiedy ostatnio dwa razy widział na pysku szefa policjów radosny uśmiech. Zawsze wtedy, gdy na jego łapie siadała wielka złocista ważka.

— Na wszystkie sery, ważka pocztowa! Hodowali takie w Laborze nr 3!

Mogło to świadczyć o jednym. W grupie uciekinierów był konfident. Zaniepokojony tą myślą poczłapał i obudził Szóstkę. Młodzieniec długo nie pojmował, o co chodzi. Prof powtórzył parokrotnie:

— Chcę, żebyś uciekł ze Szczuropolis, zaraz wyłożę ci dokładnie, jak masz odszukać swoich współbraci. Dotrzesz do Fallera i ostrzeżesz go, że ma u siebie szpiega. Obojętnie jaki miał plan, powinien natychmiast zmienić go na inny.

Mały człowieczek spoglądał na naukowca nieufnie.

— Mam go ostrzec? Przecież to byłoby wbrew interesowi szczurów. Prof nie wytrzymał.

— Głuptasie, przecież ja nie jestem szczurem — zawołał. Nagłym ruchem sięgnął ku swej szyi. Zgrzytnął zamek błyskawiczny. Futerko rozstało się, a z klatki piersiowej Profa wyrzwał niewielki, okrągłutki, łysy jak kolano człowieczek. Szóstka z przerażenia zamknął oczy.

— Nazywam się Dox — powiedział staruszek. — Mój ojciec i dziad byli kamerdynerami w

arystokratycznej szczurzej rodzinie, której ostatnim potomkiem i jedynym dziedzicem był Habil. Sporo starszy ode mnie, żywił do ludzi niezwykłą, właściwie niezrozumiałą, sympatię. W ogóle stosunki w jego domu były nadzwyczaj liberalne. Sadzano nas do stołu z gospodarzami, mieliśmy dostęp do biblioteki i spiżarni. Należeliśmy do nielicznych rodzin, władających poprawną mową. A gdy powstało Laboratorium, zostałem prawą ręką Habila we wszystkich jego poczynaniach. Oczywiście nasze doświadczenia były wówczas jeszcze bardziej nielegalne niż obecnie. Jednak nasz zapał przewyższał obawy. Poza tym, pochłonięty naukową pasją, Habil był jak dziecko. Co do mnie, w miarę nabierania rozsądku postanowiłem się zabezpieczać. Habil wśród setek różnorodnych zajęć, w których mu asystowałem, brał się również za skomplikowane operacje chirurgiczne i balsamowanie zwłok. To ułatwiło mi działanie. Uszyłem swój kostium, skonstruowałem przekładnie, umożliwiające mi naturalne ruchy. Habil uważał to za zbędne i wyśmiewał mnie twierdząc, że chcę być lepszym szczurem niż prawdziwe. Moja ostrożność opłaciła się. Kiedy aresztowano mego dobroczyńcę, zajęto Laboratorium i okupowano rezydencję, udało mi się wymknąć w tym przebraniu, z pewnym zapasem gotówki. Sporo podróżowałem, za granicą zdobyłem naukowe dyplomy. W trakcie podróży poznałem Preza, a gdy ten stanął na czele Parlamu, podsunąłem mu pomysł reaktywowania Laboratorium numer osiem. Ech! Czy ty cokolwiek rozumiesz z mej opowieści?

Szóstka skwapliwie kiwa głową. Prof przekonał go i widać, że jest gotowy do działania.

— Co mam robić? — pyta.

— Mam prywatny motowózek, na który zapakuję nożny dwukół Asysa. Wywiozę cię za miasto, a ty już sam dwukołem dogonisz Fallera. Domyślam się, którądy podążyli.

— A wy? Lepiej uciekajmy razem!

— Muszę pozostać, by nie wzbudzać podejrzeń, no i trzymać rękę na pulsie. Na razie wyjdź na dach i rozejrzyj się, gdzie stoją strażę — mówi, a gdy chłopak wybiega, Dox, czy jak kto woli Prof, zapina kostium i z przyzwyczajenia gładzi się po futrze.

* * *

Ea pogodziła się z nieuchronnym. Wstręt do Fallera sprawił, że przestała żałować, iż ten pakuje się wprost w zasadzkę. Z van Tarnem zeszła w dolinę, gdzie Afrykaner z kilkunastoma ludzikami ufortyfikował mały posterunek mający zatrzymać pierwszą falę pogoni. Nie czekali długo. Od strony drogi dobiegł cichy chrzęst. Van Tarn błyskawicznie wydobyl laseromiot. Jeszcze chwila, a z zagajnika wytoczył się dwukół, na którym mozolnie pedałowal mały człowieczek. Tarn uniósł broń.

— Nie strzelaj, to Szóstka! — zawołała Ea. — Mój przyjaciel! Jeszcze chwila, a mali ludzie padli sobie w ramiona i po raz pierwszy usta Ei odwzajemniły dawno oczekiwany pocałunek.

— Kurza twarz! Dajcie z tym spokój, maluchy — skrzywił się van Tarn, który kochał rzadko, a

jeśli już — to inaczej.

— Tak się śpieszyłem, tak się śpieszyłem — sapał Szóstka, nie wiadomo czym bardziej zdyszany — szybkim finiszem, czy głębokim pocałunkiem. — Miałem was ostrzec. Szczury knują jakąś pułapkę. Prof radził natychmiastową zmianę marszruty.

Urwał, widząc jak dziewczyna blednie. Oczywiście nie miał pojęcia, jakie myśli przelatują przez jej mózg. „Co ja zrobiłam? Pozwoliłam iść wszystkim na pewną śmierć. I w dodatku uczyniłam to, chcąc ratować Szóstkę, który jak widać, wcale nie potrzebował ratunku”.

— O jakiej pułapce mówisz, mały? — zaczyna najemnik, ale nie dane jest mu skończyć. Gwałtowny wstrząs targa ziemią. Cała trójka traci równowagę. Dopiero po dłuższej chwili dobiega do nich ogłuszający huk. Wszystko wypełniają kłęby wapiennego kurzu,

A echo tylko powtarza detonacje, powtarza i powtarza. Po dłuższej chwili stają na nogi. Ea kaszle. Szóstka usiłuje przetrzeć oczy. Tylko van Tarn spokojnie otrzepuje bluzę.

— Panie Johannie! — woła Ea. — Powinniśmy biec na pomoc, może ktoś jeszcze żyje.

— Niby gdzie?

— W Białym Wąwozie.

Z ust Afrykanera dobiega rechot:

— A dlaczego ktoś miałby tam być? Karl wysłał tam jedynie hałaśliwy oddziałek maluchów. Wiedzieliśmy, że wyprzedziło nas parę szcurzych grupek i że mogą przygotowywać zasadzkę. Toteż szef zdecydował się na dłuższą drogę przez Wielkie Bagniska. Jeszcze wczoraj znaleźliśmy paru miejscowych przewodników. Podobno w samym środku moczarów jest wyspa z dużym obozowiskiem dzikich wolnych ludzi. Tam staniemy na dłużej. — Tu spogląda na Szóstkę. — Oczywiście dzięki za ostrzeżenie, mały, przypomnij sobie, czy miałeś przekazać nam coś jeszcze?

IV

Wielkie Bagniska. Sto tysięcy kilometrów kwadratowych topieli, a łąk i karłowatych zagajników. Kraina tajemnicza, surowa, a zarazem przychylna wszelkiego rodzaju zbiegom. Królestwo ogromnych owadów o smakowitych odwłokach, małych, głupich szczurów wodnych i dzikich homów.

Z samego jądra tego zielonego oceanu wynurza się Ostrów Ocalenia — niewielki płat twardego gruntu, zamieszkiwany przez przeszło trzy tysiące małych ludzi. Mimo ponawianych ekspedycji szczury nigdy nie stały się panami moczarów, ich sprzęt grzązł w błocie, wciągały zdradliwe topiele, podczas gdy mali ludzie zręcznie przemieszczali się z kępy na kępę, podpalając trzciny lub tworząc pułapki w postaci fałszywych ścieżek wiodących w błotnisty odmęt.

Tego przedwiośnia na Ostrowiu pojawili się nowi lokatorzy, przyjęci zrazu nieufnie przez gospodarzy, później jednak potraktowani z wielką gościnnością. Przybysze wzniesli kamiennoziemny wał i kilkadziesiąt baraków z pni olchy. Tu i ówdzie zasiano dwudziestojednowieczne nasiona, które, o dziwo, zachowały zdolność kiełkowania. Dowodziło nimi ośmiu bogów — olbrzymów przybyłych z nieznanych stron, przewyższających siłą i rozumem nawet szczury. Traktowali oni małych kuzynów z wielkopańskim politowaniem, po krótkim czasie adaptacji ciężką łapą wprowadzając porządek, o jakim się nikomu od dwóch tysięcy lat nie śniło. Dzień i noc wznoszono kuźnie i dymarki do wytopu rudy darniowej. Drażono podziemne korytarze i budowano stalowe wieże, o których przeznaczeniu nikt nie miał pojęcia. Trzynastka, jeden z małych ludzi przybyłych tu razem z gigantami, rozповідаł, że powstaną w nich świątynie Jedynego Boga czczonego przez Wielkich Ludzi parę millenniów temu. Oczywiście i jego uwagę zwracały skrzynie pełne stalowych cylindrów z zabawnymi skrzydełkami, które ze starej zamrażalni przetransportowano w niemałym trudzie aż tu.

Autochtoni i mali przybysze, których liczba przekroczyła razem pięć tysięcy, zostali podzieleni na siedem oddziałów. Dowodzili nimi wychowankowie Laboratorium numer osiem. Każda grupa odpowiadała za inny odcinek prac. Ekipie Szóstki podlegało rolnictwo, Piątki rybołówstwo, Trzynastki ład i porządek wewnętrzny. Inni mali ludkowie zbierali bagienne owoce, chwyтали wodne szczury (do konsumpcji wyłącznie przez Wielkich Dowódców), prażyli szarańcze na konserwy lub pozyskiwali drewno opałowe.

Dla Ei i Szóstki nastał czas miłości. Kochali się zapamiętali przy każdej okazji. W trzcinie, tarninie i w magazynie, a nawet w nowo wznoszonych wyrzutniach. W ciągu owego przedwiośnia Szóstka przeobraził się z tłustawego, powolnego homa w prawdziwego mężczyznę. Nawet jakby urósł. Mierzony w chodakach miał sto trzy centymetry.

Faller czasowo odpuścił sobie Eę. Zafascynowały go nieletnie trojaczki z moczarów — Ia, Mia i Kia — bezpruderyjne, namiętne, choć zawsze z lekka zalatujące błotem i żabim skrzekiem.

Osiemnastego marca Fritz Rotleder zameldował, że system łączności jest już gotowy. Tego samego dnia Gonzales potwierdził, że dwie wyrzutnie czekają na wypróbowanie.

— Możemy razić wroga na odległość do pięćdziesięciu kilometrów, a każde uderzenie zdolne jest zniszczyć siłę żywą na obszarze o promieniu kilometra.

— Nieźle! A co z wyrzutnią globalną?

— To musi potrwać. Trudno jest montować arcydzieła techniki XXI wieku metodami kamienia łupanego. Na szczęście Rico natrafił kilkadziesiąt kilometrów stąd na ruiny dwudziestowiecznej elektrowni atomowej. Metale szlachetne i zapasy materiałów promieniotwórczych, ukryte dość głęboko pod ziemią, przetrwały mimo upływu setek lat.

Tymczasem szczury jakby pogodziły się z ich ucieczką. Od miesięcy żaden z ich patroli nie zapuścił się na bagniska. Początkowo, gdy do Szczuropolis doszła wieść o eksplozji w wąwozie, zapanowała euforia. Ogłoszono dwa dni wolne od pracy, urządzono festyny i egzekucje pewnej liczby małych ludzi przechowywanych skrzętnie na tę okazję. Komisa okrzyknięto bohaterem. Jego wybór na szefa Parlamu wydawał się być kwestią dni, gdy gruchnęła hiobowa wieść — giganci wyszli cało z zasadzki i znikli na bezmiarze moczarów.

Jakże łatwo jest przejść od euforii do żałoby. Gdy prawda o nieudanej akcji wyszła na jaw, smutek w Szczuropolis zapanował tak wielki, jak po przegranej w kręgle z drużyną sąsiedniego Rathill.

Prez utrzymał swe stanowisko, Komis wybrał się na urlop zdrowotny, zostawiając pole Generowi. Ten, po zlokalizowaniu miejsca pobytu zbuntowanych homów, obstawił cały rejon, naturalnie w bezpiecznej odległości, siecią czujek, posterunków i garnizonów. W międzyczasie złożył wizyty w Ratstone, Rathill, Myszogrodzie, Queueville. Był nawet w Przesławnym Ogonoburgu, tam jednak otrzymał tylko ogólnikowe zapewnienia o poparciu i sprzęt dla orkiestry reprezentacyjnej. Jednak inne miasta ościenne nie poskąpiły wsparcia. Z początkiem wiosny, długimi kolumnami ruszyły w region Szczuropolis setki motowózków pancernych, oddziały fuzyjne i pikinierskie, szperackie i weteranyjne. Wielu co światlejszych szczurów zadawało sobie pytanie — skoro ludzie są słabi, bezbronni i potrafią tylko uciekać, po co taka mobilizacja? A tymczasem dniami i nocami nie ustawał chrzęst maszerujących gryzoni.

Gazety określały Genera mianem „Przenikliwego Ojca”, choć z wyglądu przypominał raczej dziadka, i młodzi ofice sarkali niekiedy, że stary weteran rozumie kategoriami wojen sprzed pięćdziesięciu lat. Zamiast ściągać do Szczuropolis takie masy szczurów, które coraz trudniej przychodziło wyżywić i utrzymać w karności, należałoby raczej wzmacniać wysunięte przyczółki wokół bagnisk, sypać wały osłonowe, tworzyć sieć schronów, myśleć o użyciu gazów i trucizn. Jednak siwy szczur w lampasach nie przyjmował żadnych słów krytyki. Wieczorami czytał biblioteczne starocie — von Clausewitza i Tytusa Liwiusza.

Wśród szczurzych oficerów, którzy próżno usiłowali zwrócić uwagę na anachroniczność całego przedsięwzięcia, znajdowali się kuzyn Komisa — Por oraz Eksper. Dołączył do nich wracający do zdrowia Inspek. Po starciu z Fallerem pozostała mu smutna pamiątka, połamany ogon zrosł się nieprawidłowo i od tej pory przyłgnęło do niego przezwisko „Sztynna kończyzna”. Jeszcze w styczniu dokonali we trójkę autopsji szczurów, poległych pod Laborem, zbadali rozbite mury i sporządzili raport, który ugrzązł w biurku Adiuta, nie docierając wyżej.

Nie dziw, że ich spojrzenia coraz częściej kierowały się w stronę przedmiejskiego bungalowa, gdzie w luksusowej norze M-25 urządzonej w stylu szczurostwa mauretańskiego, lizał swe rany Komis.

— Popelniliśmy błędy — mruzczał podczas poufnych spotkań. — Trudno będzie je odrobić. Nasz agent — Ea, zdradziła nas, nie mamy informatora w kwaterze przeciwnika. Nie wiemy, kiedy i jak uderzą?

— A może w ogóle nie uderzą? — zapytał Por.

— Naszym obowiązkiem jest założyć, że uderzą!

— W takim razie — zaproponował Eksper — powinienes udać się do Preza i poprzeć nasz raport. I przygotowywać się na każdy wariant wydarzeń.

— Rozsądna koncepcja — kiwnął głową kandydat na Dyktata, ale jego oczka mówiły zupełnie co innego: „Poczekajmy, niech ci z Parlamu sami wypiją piwo, które nawarzyli. Potem przyjdzie nasz czas”.

* * *

Wieczorem, dziewiętnastego kwietnia, Kot Wojny zwołał naradę sztabową. W wąskim gronie. Wśród zaproszonych nie znaleźli się mali ludzie. Ci mieli otrzymać rozkazy i przyjąć je bez dyskusji. Od paru dni na Ostrowiu wszyscy czuli, że coś musi się wkrótce wydarzyć. Rósł nastrój dziwnego podniecenia, zamilkły młoty w kuźniach. Przerwano zajęcia edukacyjne. Poniechano musztry. Czekana

— Plan jest następujący — tłumaczył Faller. — O godzinie zero pięć grupa dwudziestu małych ludzi z O'Brienem na czele uderzy we wraży pierścień okalający bagniska na odcinku C. Ten manewr zmusi szczury do przerzucenia swych sił ze wzgórz 425 i 519. W powstałą lukę wpuścimy naszych osiem motowózków. Drogą D-14 bez przeszkód powinniśmy dotrzeć przed świtem pod Szczuropolis. Wcześniej, o szóstej piętnaście, Johann uruchomi wyrzutnie.

— Tak jest — potwierdza van Tarn.

— Uderzenia termiczne skieruje się na dwa obozy odwodów zlokalizowane pod miastem w kwadratach G -11 i C-6. Uderzenie konwencjonalne spadnie na Parlam, NaczKwatę i Arsen. O szóstej trzydzieściosobiscie wkroczymy do akcji.

— Sefie — Alonso unosi dwa palce do góry — czy nie lepiej byłoby załatwić całą sprawę raketami?

— Oczywiście, Al. Ale wtedy gdzie byłaby dla nas przyjemność? Poza tym jest tam kilka gryzoni,

które chciałbym dostać w swoje ręce.

Karl wstaje od stołu. Rico zbiera mapy, zamyślony Alonso, machinalnie zapala skręta. Gonzales gwizdże przez zęby stary przebój najemników, zwany „piosenką śmierci”:

Chodź, ruszemy przejść, niebogo,

morze krwi wszerez suchą nogą, hej!

Dochodzi dwudziesta pierwsza dwadzieścia osiem..

* * *

Atak zastał miasto we śnie. Zda się, miast jutrzeńki, morze ognia wstało nad Szczuropolis! Zerwany ze snu Gener dotarł jakimś cudem wśród wirujących odłamków i kłębow kurzu do tajnego bunkra w podziemiach NaczKwaty i słuchał przerażających wiadomości. „Obozy szczurowojów przestały istnieć”, „Główne Jg stanowiska artylerii zdruzgotane”, „Parlam zburzony”.

— Gdzie są moje oddziały, gdzie doborowe brygi z Rathill? — wrzeszczał Gener, wrywając resztki sierści z głowy. — Co z odwodami? Dlaczego nie kontratakują?

— Nie mamy łączności! — odpowiadał Por. — Odwody ogarnęła panika. Nikt nie był przygotowany na ogień z nieba. Nie wiemy zresztą, czym jeszcze zaskoczą nas Odmrożeńcy. Powinniśmy się ewakuować!

— Nie, nie, nie!

W tym momencie do bunkra wpadł zdyszany Eksper.

— Prez nie żyje! — wołał. — Musimy się wycofać!

— Ja tu rozkazuję! — ryknął Gener. — Będziemy bronić miasta do ostatniego szczura!

— I zginiemy jak szczury! — jęknął przerażony Adiut. — Oddziały olbrzymów są już na Polach Serowych! Towarzyszą im wyszkoleni mali ludzie. Słuchajcie, oni nas zjedzą!

— Na ludzkie fekalia! Zamilcz, lalusiu! Zginać jak szczur, to najzaszczytniejsza ze śmierci!

Tymczasem do wnętrza wpada kolejna grupa gryzoni. Dowodzi nimi Komis.

— Nie wzywałem was — warczy sędziwy wódz. — Mówiono mi, żeście wyjechali!

— Wezwwała mnie chwila dziejowa — odpowiada Komis, a w ego ręku pojawia się nagan. —

Przejmuję dowództwo!

— To bunt, zdrada! Wojowie do mnie!!!

Broń stojącego tuż za nim Ekspera pluje ogniem, trafiony Gener skręca się jak rozdeptany pędrak. Jego Adiut sięga po fuzję, ale zdradziecki strzał Pora rzuca go o ścianę. Oczy młodego szczura zachodzą mgłą, a pysk szczyrzy zęby w grymasie bezgranicznego zdumienia z powodu wszechogarniającej zdrady. Komis pochyla się nad umierającym Generem.

— A przecież radziłem, żebyś nie brał się za tę robotę, staruchu — brzmi najkrótsza mowa żałobna.

W sąsiednim pomieszczeniu również rozbrzmiewają strzały — To Inspek likwiduje resztki gwardii Genera. Jest po wszystkim. Komis ściska ręce współpiskowcom i półgłosem wydaje rozkazy.

— Przechodzimy do wariantu T — mówi. — Życzę wam powodzenia.

Potem, razem z Porem, szybko opuszczają ruiny NaczKwaty podziemnym korytarzem docierają do brzegu Ogonicy, gdzie opodal zerwanego mostu czeka na nich łódka. Dwóch wioślarzy 1 trzeci, biały szczur zakuty w kajdanki. Prof.

— Dlaczego mnie zabieracie? Dlaczego nie pozwolicie zginąć z innymi? — pyta.

— Już ty dobrze wiesz, dlaczego — odpowiada Asys — Wolę mieć pod ręką kogoś, kto w okupowanym mieście aż za dobrze nadawałby się na lidera kolaboracyjnych filhomów.

— A nasze Laboratoria?

— Otrzymały doskonałą opiekę.

Dymy spowijające miasto i rzekę sprzyjają ucieczce. Zbiegowie chwytają za pozostałe wiosła. Potem, poniżej Mostu Antyhoma, prąd jest na tyle wartki, że mogą odpocząć i dać się imię jego biegowi.

W końcu i NaczKwatę ogarnia pożoga. Płoną kartoteki i portrety i wybitnych szczurów. Inspek z Eksperem zamiast palić akta, chowają co cenniejsze dokumenty do sejfów, wyciągają prześcieradła z sypialni Genera i powiewając bielą, z kluczami od kas w łapach oczekują przybycia zwycięzców.

* * *

Upłynął czwarty dzień od błyskotliwego zwycięstwa ludzi. Resztki uciekającej armii zostały rozbite, mosty, którymi mogła nadejść odsiecz, — wysadzone. Zresztą nikt nie kwapił się z odsieczą. W Szczuropolis przemianowanym bezzwłocznie na Fallergród trwały igrzyska. Wszędzie widziało

się ludzi, dotychczasowi gospodarze bądź pokryli się na dnie najgłębszych nor, bądź uciekli z resztkami armii.

W samym mieście, wyjąwszy okolice Parlamu i NaczKwaty, zniszczenia nie były wielkie. Zresztą dopiero zaczynała się dewastacja. Mali zwycięzcy pastwili się nad pomnikami wybitnych szczurów, ze szczególną pasją tocząc do Ogonicy olbrzymi łeb z pomnika Antyhoma. Inni dewastowali Szczuromuzeum, kalając święte zabytki gryzoniczej tradycji. Trwał bezkarny rabunek sklepów. Dzicy zdobywcy i obwieszali się błyskotkami, pożerali gastronomiczne przysmaki, kąpali w trunkach. Znalazło się wielu chętnych do wypędzania szczurów z ich luksusowych bungów, znacznie mniej do gaszenia pożarów. Rychło jednak żelazna dłoń Fallera ukróciła bezhołowie: paru bardziej warcholskich szabrowników wtrącono w kazamaty, wspólnie ze szczurami, kilkuset wysłano w pościg za szczuromaruderami (marudoszczami). I rabunek ustąpił miejsca planowemu wywłaszczaniu. Wyłapywano byłych policów, deputów, a także członków partii Twardogonów. W dawnych homowiwariach, przekształconych w więzienia, zapanował taki ścisk, że w boksach musiano trzymać szczury w paru warstwach.

Piątego dnia nastąpiła kulminacja tryumfu. Impreza nosząca tytuł „Czas Zadośćuczynienia” wypełniła po brzegi cały amfiteatr. Obok wyszkolonych żołnierzy z Ostrowia zasiedli półdzicy przybysze ze śmieciowisk, świeżo uwolnione z niewoli „homy łowne” i wielka liczba „homów opasowych”, uratowanych w ostatniej chwili przed ubojem. Łożę główną, przystrojoną imperialnym brokatem, zajęli autorzy tryumfu: Gonzales, van Tarn, Rico, O'Brien. Pozostali najemnicy czuwali na swoich stanowiskach. Sam Faller w purpurowej todze i w wieńcu na głowie przypominał Neroszczura, który, jak twierdzą podręczniki, przed wiekami zasłynął tym, że podpalił Stare Szczuropolis, chcąc wygubić ludzi gnieźdzących się w katakumbach. Towarzyszyły mu trzy piękne białe szczurzyce — kwiat miejscowej arystokracji: Córka Preza, Kochanka Komisa i Wnuczka Genera.

— I niech ktoś powie, że jestem rasistą! — chichotał Karl do swych towarzyszy. — Nasz związek pobłogosławił sam Arcykapłan Wielkiego Sera. I powiem wam, że nawet lubię takie futrzane samiczki. Przynajmniej są ludzkich rozmiarów.

Konkubiny nie były jedynymi przedstawicielami gryzoni w łoży. Do honorowych gości należeli również Eksper i Inspek, o których było wiadomo, że udaremnili zniszczenie dokumentów NaczKwaty i, wiedzeni sympatią do ludzi, własnoręcznie ukatrupili Genera. Teraz ochoczo pili zdrowie Fallera i jego wesołej kompanii. Ea, Szóstka i Trzynastka znaleźli miejsce w podrzędniejszej łoży, z dobrym wszakże widokiem na arenę. Młodzieńcy nieźle podchmieleni dowcipkowali wesoło na temat szczurów w klatkach wnoszonych na arenę.

Dziewczyna pozostała zamyślona. Seks i sukcesy tylko powierzchownie zabiły ranę, która miała na imię zdrada. Wprawdzie jak dotąd nikt jej o nic nie podejrzewał, klatka z ważkami została rozbita, a skrzydlaci posłańcy zlikwidowani, trudniej jednak było pozbyć się wyrzutów sumienia. Pociechy dostarczała jej praca. A w Fallergrodzie tyle było do zrobienia. Edukacja tysięcznej rzeszy barbarzyńców, gruntowna przebudowa miasta, nieuchronna, bo dotychczasowi gospodarze byli przecież dwukrotnie więksi od małych zdobywców. Człowiek musiał wspinać się na człowieka, żeby dosięgnąć klamki. Do wanny wchodziło po drabinie, a srebrne sztuce należało trzymać oburącz.

Plany Ei były zresztą o wiele szersze.

— Nie sędzę — powiedziała w rozmowie z Fallerem — żeby odrodzona ludzkość mogła zaakceptować szczurzy model życia, szczęście oparte na konsumpcji, na gromadzeniu złotych uszu w dodatku przypominających dawne suszone uszy ludzkie; na pozornej wolności i nieskrępowanym zaspokajaniu żądz. Trzeba stworzyć zupełnie inny wzorzec.

— Jeśli chcesz zostać świętą, nie będę ci przeszkadzał — odparł Karl. — Mnie wystarczy, jeśli kurduple będą przestrzegać regulaminów i dyscypliny.

Szczurza orkiestra reprezentacyjna zagrała tusz. I już gardziel tunelu wypłuła pierwszych gladiatorów na piasek areny. Trybuny ożyły.

— Stawiam sto uszu na śniadego szczura! — zawołał Falle

— A ja obstawiam ryżego — mówi Rico. Pojedynek dwóch muskularnych gryzoni przy użyciu nabijanych ćwiekami maczug rozpoczyna wielogodzinny krwawy maraton. Bije się naraz czasem dwóch, czasem ośmiu, czasem dwunastu jeńców. Widownia nie oszczędza pokonanych. Nad trybunami góruje jedno słowo: „Dobijać”, „Bez pardonu!” W kolejnych potyczkach ścierają się całe czworoboki szczurów. Potem mali ochotnicy z nożami walczą z jednym szczurem. Wielkim, ale nieuzbrojonym. Trwają zawody w strzelaniu do podrzutków. Opry chwytają za nóżki szczurze niemowlaki, podrzucają.

Ei robi się słabo. Szóstką wstrząsają mdłości.

— To straszne, to straszne! Dlaczego? Dostyc!

Za to Faller bawi się świetnie. Białe szczurzyce chichoczą i liżą go po ramionach.

W amfiteatrze jest coraz duszniej. Nie pomagają liczne kadzidła, piach z wolna zmienia się w krwawe bagnisko. Gardła homów ochrypiły od krzyku. Po dwóch tysiącach lat nadszedł dzień rewanżu. Dzień zapłaty.

Tymczasem rzeź zmienia charakter, z tunelu wypada kolejna ofiara. Ma do wyboru rodzaj śmierci. Do dyspozycji jest gilotyna, szafot, szubienica, koło. Szczur błagalnym gestem pokazuje, że niedowidzi i prosi o okulary.

— Wielkie nieba — woła Ea — to przecież Asys!

Jak wiewiórka wdrapuje się do łoży Fallera, który z przymkniętymi oczyma oddaje się rozkoszom. — Wodzu! — woła. — Panie Największy, powstrzymaj kaźń! On nie może zginąć, to nasz przyjaciel, Asys! Błagam o litość.

Tłuszcz wyje: „Zabić! Zabić!” Faller zastanawia się. Rozgląda się po łoży honorowej, najemnicy wyraźnie czekają na jego decyzję — Alonso kciukiem głosuje za ułaskawieniem. „Śmierć!” — pokazują skwapliwie Inspek i Eksper świadomi, że Asys może ich zdemaskować. Kot zatrzymuje wzrok na Ei. Ładnie wygląda w czerwonym blasku pochodni. Tak niewinnie. Aż dziw, że nie

skorzystał dotąd z prawa zwycięzcy.

— Dobrze — mówi — na odmianę będę litościwy — wstaje i wskazuje kciuk do góry. — Uwolnić!

Amfiteatr milknie. Respekt przed Fallerem jest większy niż żądza krwi. Asysa odciągają za bandę. Impreza toczy się dalej.

* * *

Po ciepłej zimie lato nastąpiło dżdżyste i chłodne. Ogromne p połączenie kontynentu zamieniły się w trzęsawiska, drogi pełne lejów po eksplozjach stały się nieprzejezdne. Opustoszały szczurze miasta i norowiska, kto żyw uchodził na krańce świata lub wkopywał się w ziemię. Gryzonie popadły w dziwne odrętwienie. Cichaczem zanoszono modły do słońca, które jednak, niełaskawe, nie raczyło nawet ukazać swej tarczy zza grubej zasłony chmur i mgieł. Roślinność za to pieniała się bujnie, opadając na pobożowiska i ruiny, jak dobroczynna kurtyna po nieudanym spektaklu. Karl Faller nie osiadł na laurach. Zapamiętał gromił szczurze armie, dziesiątkował brygi, zanim doszło do jakiegokolwiek koncentracji. Rokowań odmawiał, czasem tylko wymieniał grupy szczurów na małych ludzi, których liczba i bez tego stale rosła. Żywe strumyczki, ściekające ze wszystkich stron kontynentu tworzyły rwące rzeki, wlewające się do wspólnego akwenu wokół Fallergradu. Towarzyszyły im inne potoki: płynęły nimi kosmacy jeńcy, z których przetwórnice kierowane przez Luisa Jade produkowały wyborne konserwy i puszyste skóry, ulubiony przyodziewek zwycięzców.

Stolica dość szybko zmieniła charakter: norowiska, bungi i zagry zaadaptowano na mieszkania, przemalowując ściany na żywe kolory. Większość nowych przybyszów wchłaniała jednak wieś, gdzie mozolnie próbowano odrodzić rolnictwo. Każda nowa grupa otrzymywała dwóch przeszkolonych ludzi, którzy obok dozoru i karcenia leniwych uczyli ich mówić, czasem czytać, a niekiedy rachować. Wyższe kursy dla najzdolniejszych prowadziła Ea, wspierana przez Asysa. Budziło to często spory z ludźmi Fallera; Jade, van Tarn czy Rico byli zdania, że przesadna edukacja odciąga ludzi od pracy fizycznej, a przede wszystkim zmniejsza ich siłę bojową. — Mądrała przy robocie to nieszczęście, wszystko przedyskutuje — twierdzili.

Na szczęście za Programem Edukacji wstawił się Alonso i Karl odpuścił. Zresztą absorbowало go co innego. Ofensywa wyzwolenicza utknęła na linii jezior i skał tarasujących dostęp do Ogonoburga. Nadto stara stolica szczurów, zbudowana w skałach, miała wielopiętrowe podziemia, odporne na rażenie małymi rakietami, zaś wielka wyrzutnia ciągle była nie gotowa.

Szóstego czerwca, w jednym z podziemnych pałaców Ogonoburga, wykopanych jeszcze w XXXIII wieku, Wielmis — szef Światowej Rady Szczurów — udzielił wreszcie posłuchania Komisowi, który od miesięcy bezskutecznie antyszambrował w różnych ośrodkach władzy. Reputacja warchoła i pechowca nie ułatwiała mu zadania. A były to, jak wiemy, jego najmniejsze przywary.

Jednak już w pierwszej chwili przybysz zrobił na przywódcy dobre wrażenie: dziarski, energiczny, a przede wszystkim u w sukces, wydawał się urodzonym dowódcą, jakich w Ogonoburgu, mieście arystokratów i rencistów, brakowało.

— Mówiono mi, że posiadacie jakowąś koncepcję odmiany naszej sytuacji? — powiedział Wielmis.

— Mam, wszelako wprzódby chciałbym zadać jedno pytanie, Szczurolencjo.

— Zadawaj.

— Długo jeszcze może się utrzymać obrona Ogonoburga?

— Doradcy twierdzą, że przynajmniej do końca pory deszczowej. Ofensywa homów utknęła, mają nadmiernie wydłużone linie komunikacyjne, nie sądzimy, żeby uderzyli przed upływem dwóch, trzech miesięcy.

— To dobrze. Bardzo dobrze. Najważniejszy jest dla nas teraz czas.

— Nie rozumiem.

— Dwaj moi najlepsi współpracownicy pozostali w Szczuropolis. Wkradli się w łaski zdobywców.

— Aha, i dostarczają nam informacji?

— Nie tylko. Przede wszystkim dostarczają nam sojuszników.

— Żartujecie? Agitują wśród ludzi przeciw ludziom?

— Macie moje słowo, Szczurolencjo. Jeszcze tej jesieni odwrócą się losy kampanii — tu nachylił się do ucha Wielmisa i zaczął mu szeptać, szeptać, szeptać.

Nad miastem zapada zmierzch. Ulice są regulaminowo puste, czasem przemknie po nich pojazd któregoś z Ośmiu. Tak teraz nazywa się Wielkich Przewodników — Ośmiu, tyle że słowo to, ongiś wyrażające sympatię i entuzjazm, coraz częściej bywa podszyte lękiem. Niektórzy wolą nawet używać eufemizmu ONI. Idzie noc. Dzienna zmiana małych ludzi śpi, nocna pracuje w zakładach produkcyjnych. Regulamin zna każdy: siedem godzin snu, siedem nauki, siedem godzin pracy, trzy godziny gimnastyki i kultury fizycznej — to arcymądry harmonogram opracowany przez Rica. Dni podobne są do siebie, jak guziki przy jednej koszuli, z tym, że w niedziele, zamiast trzech godzin gimnastyki są trzy godziny miłości. Nieżonaci mogą w tym czasie zajmować się majsterkowaniem.

Czasem z którejś z fabryki nad Ogonicą pada nieśmiałe pytanie: dlaczego jest, jak jest? Dlaczego nie można żyć według dowolnych upodobań, spacerować po malowniczych wzgórzach, wylegiwać się nad jeziorem imienia Szarych Uszu albo bawić się w teatr? I wtedy Trzynastka — nowo mianowany gubernator miasta — uprzejmie odpowiada: Po zwycięstwie. Trzeba teraz pracować, uczyć się, sposobić do walki.

Więc pracują, uczą się, sposobią. I tylko czasem, w niejednej z małych główek lęgnie się pytanie: czy mimo wszystko życie w Bagniskach, Hałdach i w Laboratorium, mimo stałej niepewności i bezustannego widma śmierci, głodu, nie miało pewnych uroków? Codziennosc ma teraz barwę kolorowej bluzy jednakowego dla wszystkich kroju i czapeczki ze śmiesznym pomponem. Takie ubrania rozładowują stresy.

Dawne bungi i norowiska uległy modyfikacjom. W wielu przebito okna, większość przebudowano. Z niejednej komnaty szczura robiono teraz osiem do dwunastu małych pokoików szuflad, składających S1S z łózka, taboretu i zszywki urzędowych gazet. (Prasa to potęga!) — Kuchnie i łaźnie są wspólne dla każdego piętra. Za to wszystkie ściany budowli pomalowano na żywe kolory, a te bez okien, pokryły przepiękne malowidła przedstawiające świat w przyszłości, kiedy już nie będzie szczurów i wyrzeczeń. Obrazom towarzyszą napisy, podkreślające, że to przyszłość bardzo niedaleka.

„Przewodnicy” zajęli kilkanaście bungów, położonych w ufortyfikowanym zakolu Ogonicy. Skrywała je gęsta zieleń i tylko dźwięki dobiegającej muzyki i rześiste oświetlenie widoczne z wyższych pięter norowisk świadczyły, że spartański styl życia nie był udziałem wszystkich. Karl Faller twierdził wprawdzie zawsze, że Kot Wojny nie będzie nigdy pieskiem pokojowym i sypiał na twardym żelaznym łóżku, ale wtajemniczeni wiedzieli, że sypia tam rzadko, natomiast jego wciąż powiększany harem opływa w puchy, tiule i atłasy.

Z pozostałych najemników każdy miał swoje upodobania i własny sposób na rekreację. Gonzales lubił zacząć się w zaroślach na małe kobietki, wracające ze zmiany, o których potem nikt nigdy nie słyszał, Rico najchętniej znęcał się nad grupą uwięzionych szczurów, Jade robił nalewki, van Tarn nie odrywał się od reaktorów, O'Brien od alkoholi. A Alonso myślał. Każdy miał jakieś hobby.

Główny ciężar zorganizowania nowej społeczności spadł na grupę małych ludzi rodem z Laboratorium. Trzynastka został gubernatorem i zajmował się szkoleniem wojskowym, Szóstka kierował aprowizacją, Piątka przemysłem, a Jedyńka informacją i propagandą. Ei przypadła oświata. Szło im nieźle.

Analfabetyzm niknął w oczach, rosły wyrzutnie i reaktory, pola pokryły się falującym zbożem, a komunikaty z odległych frontów nadal mówiły o kolejnych zdumiewających zwycięstwach — choć ostatnio może trochę rzadziej.

Tego wieczoru Ea i Szóstka postanowili wyjść na spacer. Chcieli pogadać. Ostatnio nie działo się między nimi za dobrze. Miłość, czy raczej seksualna namiętność, znacznie przygasła. Jak na temperament Ei Szóstka był zbyt flegmatyczny, zbyt powolny i zbyt dobry, by zatrzymać dłużej taką kobietę jak mała profesorka. A ona? Wydawała się na coś czekać. W głębi serca podobał jej się Alonso, tajemniczy, posępny, z pewnością najinteligentniejszy wśród Ośmiu. Gdyby chciał, bez trudu mógłby zastąpić Fallera, z niewątpliwą korzyścią dla świata. Jednak na objęcie przywództwa Alonso był chyba zbyt leniwy. Gwałtowny i narwany, potrafił jednak zdobyć się na czyny wielkoduszne, a przede wszystkim gardził głupotą i bezmyślnym okrucieństwem. W pierwszym rządzie jednak był realistą. Dlatego najczęściej zamiast tak lub nie, wybierał słowo — być może. Poza tym miał jeszcze jedną dziwną cechę: nie interesował się kobietami.

A drugi z wielbicieli, Trzynastka, bystry, szybki, z głową do interesów, był strasznym wazeliniarzem wobec Fallera, ale jaki zakochany. Mimo nawału prac codziennie pamięta, by przysłać jej bukiet kwiatów.

Spacerując, jednym uchem słuchała Szóstki: ten gadał jak najęty o projekcie wielkich prac urbanizacyjnych, o budowie kanału między Ogonicą a Bystrową, o wielkiej zaporze. Przerwała mu, gdy podeszli pod mur Laboratorium. Dziwne. W zamkniętym Laborze numer osiem paliło się światło. Słysząc było warkot pracujących agregatów. A na drzwiach widniał koślawy napis: WSTĘPSTWO NIEMOŻEBNE!

* * *

Pół roku po tym, jak łaska Fallera oddała im Laboratorium z całym dobrodziejstwem inwentarza, a inwentarz ten stanowiły owady, Eksper i Inspek mogli mówić o sukcesie programu. Właściwie dwóch programów — jawnego i tajnego. W pierwszym, już po miesiącu Eksper błysnął talentem, hodując dużą mszycę jadalną, która dzięki bajecznej rozrodczości mogła stać się głównym wysokokalorycznym pokarmem małych ludzi. Od tego sukcesu mieli wolną rękę w badaniach. I prace nad aktywowaniem inteligencji owadów zapoczątkowane przez Profą dawały coraz lepsze rezultaty. Co miesiąc wążka pocztowa wylatywała z ich pracowni, kierując się w stronę Ogonoburga. Ostatnia notatka była szczególnie ważna, choć lakoniczna: „Już niedługo. Akcja T finiszuje”.

Wedle testu na inteligencję, przeprowadzonego tego dnia u wszystkich gatunków, mszyca

zwyczajna miała zero i trzy dziesiąte punktu, mucha domowa: dwa i osiem dziesiątych, jedwabnik chiński trzy i siedem, a termit średnio duży...

— Ejże, Eksper — zawołał Inspek, oglądając wydruk wyników. — Chyba nastąpiła pomyłka, tysiąc osiemset siedemdziesiąt dwa i pół punktu? To niemożliwe!

— Wręcz przeciwnie, Inspek, to jest to! Myślące owady! Zresztą spójrzcie sami, jakie toto ma bystre wejrzenie.

— Jak na owada strasznie wielkie bydlę. Tylko czy ten insekt może być niebezpieczny?

— Tylko dla naszych wrogów. W końcu szczur ma ciągle inteligencję sześciokrotnie wyższą od tych robali. Zachowamy termity na poziomie odpowiednio niskim, aby udaremnić im samodzielne ambicje, ale wystarczająco wysokim, by mogły za nas walczyć i umierać.

Warkot agregatu i całej aparatury powoduje, że nie słyszą cichego szeptu dochodzącego z wszystkich klatek: „Dobra, dobra, dobra, dobra...”

* * *

Ważka wiadomość dostarczona przez ważkę zabrzmiała niczym surmy zwycięstwa w uchu Komisa. Natychmiast pobiegł z nią do szefa Światowego Szczurostwa wołając:

— Zwycięstwo będzie nasze, Szczurolencjo! Za pół roku u naszego boku pojawią się nowi sojusznicy, cały ocean sojuszników w postaci termitów bojowych. Wystarczy ich tylko trochę uzbroić i koniec z ludźmi.

— Już za pół roku? — w głosie Wielmisa pobrzmiewa sceptycyzm.

— Nawet szybciej. Termity wyhodowane przez Ekspera mają tę dobrą cechę, że ich krzyżówka z termitami zwyczajnymi da potomstwo o inteligencji równej kwalifikacjom ich ojców. A ile jajek znosi jedna termicica? Wkrótce będą ich miliony, miliardy, może nawet biliony. Ludzkość się już nie pozbiera.

— Mieliście rację — zgadza się przywódca i oba szczury ściskają się wylewnie. — Już się bałem, że będziemy musieli pertraktować z ludźmi. Jeden z moich młodych współpracowników bajdurzył o jakiejś koegzystencji.

* * *

W dniu, w którym Wielmis udekorował byłego szefa policjów Wielką Tasiemką Złotego Ogoną, Por, oficjalny zastępca Komisa, urządził suto zakrapianą kolacyjkę; po wyjściu gości kontynuowali libację we dwóch z Profem. Prof nie przepadał za ogonówką, która wylana za kołnierz chłodziła niemile jego starcze plecy, ale wiedział, że tylko po pijaku zdoła pociągnąć funkcjonariusza za jęzor i dowiedzieć się, co właściwie knuje Komis? Od początku stary naukowiec czuł się w Ogonoburgu fatalnie, panująca tu wilgoć przesączyła jego kostium do tego stopnia, że przekładnie skrzypiały przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Tęsknił za Szczuropolis, za Laborem, Asysem i małymi ludźmi. Najbardziej bolała go własna nieprzydatność.

Nad ranem nastrój zrobił się osobliwie sympatyczny. Por i Prof sypali anegdotkami z kręgu Światowej Rady i opowiadali sobie niecenzuralne dowcipy, za które niejeden szczur pojechał już na Białe Myszki (polarne). Co pewien czas Prof wzdychał nad nieszczęsną sytuacją szczurów, jednak Por w miarę upijania się wyraźnie nie podzielał jego pesymizmu. Porozumiewawczo mrużył oczka, mówiąc tajemniczo:

— Nie bój nic! Jakoś to będzie, jeszcze im dołożymy — wreszcie rozgadał się całkowicie.

— Dlaczego niby mam ci nie mówić? Jesteś nasz, a sukces jest tak blisko! Wyobraź sobie, pod samym bokiem ludzi, Eksper i Inspek wyhodowali...

Prof, pozornie rozkojarzony, w istocie chłonie informacje jak gąbka wodę czy Por alkohol. Skrzętnie dopełnia kieliszek informatora.

— Jutro zaczynamy całą operację. W kanale przymorskim czeka na mnie podwodna łódka na pedały. Dotrę nią do Cieśnin, potem do Wielkiego Ujścia, a stamtąd w górę Ogonicy aż do Szczuropolis.

— Za pomyślność! — Prof podsuwa kolejny kieliszeczek. — Tylko po co masz pedałować, przyjacielu, aż tam?

— Za pomyślność. Po prototypy. Zacumuję na zapleczu Laboratorium, zabiorę Inspeka, Ekspera, skrzynki z termitami i chodu! A za parę miesięcy... — wypowiedź przerywa mu atak czkawki. Jest tak zamroczony, że chwieje się na łapach, potem zaczyna śpiewać „Wszystkie myszki śpią w swej norze, ciuralla, ciuralla la”, dalej płakać, wreszcie zasypia z pyskiem na blacie stołu. Szczur, pijany jak człowiek.

Prof odczekuje dłuższą chwilę, następnie zabiera broń, mundur i kartę identyfikacyjną. Cichutko zbliża się do drzwi. Krok, dwa.

— Dokąd idziesz, stary? — Por naraz przytomnieje. — Nie zostawiaj mnie samego!

Prof popełnia karygodny błąd. Zamiast zatrzymać się, uspić czujność funkcjonariusza, gwałtownie szarpie klamkę. Por przytomnieje do reszty, spostrzega, że jest rozebrany, bez broni. Rzuca się na Profę, spleceni padają na ziemię. Wyostrzone zęby polica wbijają się w szyję białego szczura. Na

szczęście gryzienie kostiumu niewiele szkodzi jego nosicielowi. Zresztą już po chwili wąski sztylet grzęźnie w piersi napastnika.

Dopiero chłodna bryza znad kanału uspokoiła starego naukowca. Pierwszy raz w życiu zabił. Ale musiał. Teraz nie miał już odwrotu. Jedyne, co mu pozostało, to ruszyć podwodną łódką, ostrzec ludzi i udaremnić zamiary Komisa. Miał nadzieję, że dziesięcioosobowa obsługa łódki nie znała Pora osobiście i zobaczywszy komplet pełnomocnictw, nie będzie zadawać zbędnych pytań.

* * *

Sytuacja w Laborze powinna wzbudzić podejrzenia Ei. Niestety, akurat w tym momencie Szóstce zebrało się na wymówki. Zarzucał jej oziębłość, wieczny brak czasu, lekceważenie go. Rozmowa szybko przemieniła się w kłótnię, omalże doszło do rękoczynów, wreszcie Ea odbiegła, zostawiając Szóstkę z miną przełamanej ósemki.

Dziewczyna nie miała wielkiej ochoty wracać na kwaterę. Czekał ją tam stos klasówek z nauki o szczurze, pełen błędów ortograficznych i wierutnych bajdurzeń. Czegóż ci śmieszni mali półanalfabeci nie wypisywali: „Ludzie są wyższą odmianą szczurów, dzielą się na mężczyzn, kobiety i Odmrożeńców” albo „Pan Bóg stworzył Ewę z żebra szczura, a Adama z ogona”. Bodaj najbardziej rozbawił ją 3679, ospowaty człowieczek z hodowli opasów.

— Rozmnażanie ludzi polega na ich kontakcie z naturą — twierdził.

— Jesteś kawalerem? — zainteresowała się. Skinął głową. — No to przynajmniej uzasadnij swoją teorię.

— Mężczyźni i kobiety chodzą do lasu i tam wpływ warunków przyrodniczych powoduje przyrost naturalny — wyrecytował.

— Skąd ten pomysł?

— Słyszałem, jak pani sama powiedziała panu Szóstce: „Nie, dziś nie pójdziemy do lasu, bo nie możemy sobie pozwolić na dziecko”.

Splonęła rumieńcem na wspomnienie sceny i westchnęła. Szóstka i dziecko? Absurd! Jej obecny partner absolutnie nie nadawał się na ojca rodziny. Zresztą, czy w ogóle mogła myśleć o założeniu rodziny, kontynuując misję Habila? Nawet nie zauważyła, jak drogę zastąpił jej Trzynastka, z bukietem większym od siebie. Czyżby miał gdzieś własną szklarnię?

— To ja, moja śliczna — powiedział, a widząc, że się spłoszyła, dodał przymilnie: — Mogę cię odprowadzić?

Skinęła głową. Po drodze rozmawiali o aktualnej sytuacji w mieście. Trzynastka tryskała optymizmem, Ea widziała same kłopoty:

— Proces cywilizowania postępuje za wolno. Większość małych ludzi bardzo niechętnie oddaje się nauce, zwłaszcza po morderczej pracy.

— Może za dużo od nich wymagasz — uspokajał ją gubernator. — Są w stanie cywilizacyjnego szoku, ledwo wyszli z wysypisk, ledwie zaczęli mówić, a tu praca, oświata, odpowiedzialność.

— Ale efekty braku kompetencji u nich są przerażające. W fabryce motowózków homoroby porobiły sobie nauszniki z taśmy produkcyjnej, w innej produkują transportery składające się z samej karoserii albo drukują książki pełne nic nie znaczących znaków.

— To zrozumiałe, przecież zecerzy nie umieją czytać.

Zazwyczaj żegnali się przed bungiem. Tym razem jednak Ea nie zaprotestowała, gdy Trzynastka wślizgnął się za nią do środka. Był łagodny, opiekuńczy i czuły.

— Za często się martwisz, moja śliczna — mówił, biorąc ją za rękę. — Najważniejsze, że żyjemy i niczego nam nie brakuje. Jesteśmy tu pierwsi po Ośmiu, cieszymy się powszechnym poważaniem. Korzystajmy z tego, zanim wszystko się odwróci.

— Walczmy, żeby się nie odwróciło.

— Masz za poważny stosunek do życia. Liczy się tylko teraźniejszość. Należy ją brać pełnymi garściami.

Obejmuje ją coraz namiętniej. Ea poddaje się jego pieszczotom; jest już prawie naga, ledwie majteczki z mysiej skórki się ostały, ale też nie na długo.

— Jesteś boska i mądra, kochanie. Korzystaj z tego. A ja ci pomogę. Pamiętaj, Trzynastka przynosi szczęście.

— Albo pecha! — niski głos przerywa ich idyllę. Podrywają się spłoszeni. Na progu stoi Alonso, uśmiechając się ironicznie.

— Przepraszam, że przeszkadzam w rozmowie, ale szef chce, żebyś była dziś na naradzie.

* * *

Okresy prawdziwie szatańskiej euforii przeplatały się u Fallera z dniami chandry. Pił wtedy na umór „szczurówkę”, mocną nalewkę na mysich ogonkach i wymagał samotności. Ostatni dołek psychiczny był dłuższy od innych. Zatrzymanie antyszczurzej ofensywy, znudzenie rutyną dnia

codziennego i brak normalnych kobiet w stylu XXI wieku owocowały kacem gigantem.

A na kacu Kot Wojny bywał nieprzyjemny. Nawet groźny. Również dla najbliższych, którzy wiedząc to, proponowali mu natychmiast klina, po którym Wódz trochę się rozklejał.

— Przypuśćmy, że wreszcie wygramy ze szczurami, co wtedy? — uzalał się któregoś wieczoru Rico i Alonsowi. — Zanudzimy się na śmierć.

— Stworzymy nową ludzkość, w ramach globalnego państwa, rządzonego przez nas — odpowiadał Alonso.

— Pieprzenie! Świat bez wojen! Nowa ludzkość! Nie nadaję się na dobrego pasterza.

— Zawsze istnieje wyjście — wtrącił Rico. — Kiedy już odchowamy małych ludzi, podzielimy ich na różne państwa, wymyślimy dla każdego jakąś ideologię i będziemy bawić się w wojenki. W takie trochę większe żywe szachy.

— To już ciekawsze.

— Karl, a nie myślałeś nigdy o dalszej przyszłości? — spytał.

— Dalszej, znaczy jakiej: za rok, dwa, dziesięć?

— Nie, myślę o przyszłości za tysiąc lat. Kiedy nas już dawno nie będzie, ale przyszłe pokolenia będą czcić górę, na której ustanowiliśmy prawa. Będą wspominać nieprawie miasta, spalone przez nas ogniem niebiańskim i mówić o nas, jak o gigantach, którzy dali ludziom ogień, mowę, nauczyli ich uprawy. Wybudują świątynie, w których przechowywać będą twój miotacz laserowy jako miecz ognisty. Będą...

— Chrzanisz, Alonso, wcale nie mam ochoty zostać Panem Bogiem.

Futurologiczne dywagacje przerywa przybycie Gonzalesa. Już po paru minutach Faller wypija klina i wysyła Alonsa, aby zwołał Ośmiu na naradę.

— Wezwij również tę małą Eę.

* * *

Kolejny wypad Gonzalesa udał się znakomicie. W ciągu dwóch tygodni odrzucił resztki oddziałów z Zachodniej Gryzonii aż za Wielkie Ujście, zabierając tym samym ostatnią szansę wsparcia Ogonoburga drogą lądową. Ponieważ zdobywanie samej stolicy nie leżało w jego możliwościach, spustoszył więc tylko paręset kilometrów kwadratowych, a w powrotnej drodze ogarnął i zlikwidował spory oddział przeciwnika, kryjący się w lesie. W zasadzie pardonu nie dawano, toteż

przy życiu została się ledwie dziesiątka szczurów, które dzielny wojownik postanowił osobiście obdrzeć ze skóry — żywcem, gdyż dzięki takiemu zabiegowi włos pozostawał lśniący i trwalszy. Gonzales lubił tę robotę i przywykł, że zrezygnowane szczury nie stawiały zbytniego oporu, toteż zaskoczył go bardzo jeden z egzemplarzy, który zawołał:

— Człowieku, chciałbym porozmawiać z twoim szefem. Mam superważne informacje.

Portugalczyk roześmiał się brzydko.

— Nie zawracaj mi głowy. Sam bym też tak mówił, będąc w twojej sytuacji. Chcesz gadać, to poradź, na co cię przeznaczyć, na czapkę czy na kozuch?

— Gdybyś mnie rozwiązał, chętnie bym ci pomógł — powiedział jeniec.

— Głupi czy bezczelny? — pomyślał Manuel. — Jak ci na imię, bydlaku?

— Prof.–Dok–Nauk–Biol — padła odpowiedź.

Gonzales zamrugał oczami. Od Szóstki znał historię naukowca w szczurzej skórze. Czyżby to był on?

— Jeśli ty to ty, powinienes mieć suwak na futrze — zauważył.

— Pewnie że mam! Tylko trochę mi zaśniedział.

Od chwili opuszczenia Ogonoburga naukowca prześladował prawdziwy pech. Już w porcie rozpoznał go bosman, powinowaty Pora. Bosmana udało mu się pozbyć, ale po paru dniach pedałowania sam kapitan powziął podejrzenia. Na wysepce, gdzie zatrzymali się na popas, upozorował jego śmierć z powodu ukąszenia węża. W istocie był to zastrzyk niezwykle silnej trucizny. W parę dni potem dowiedziona przezeń osobiście łódka ugrzęzła na mieliźnie. Z rozpaczny Prof dołączył do szczurzego oddziału rozpoznawczego, mając nadzieję jak najrychlej dostać się do niewoli, co mu się właśnie udało.

Gonzales wysłuchał opowieści i przejęty rewelacjami Profa vel Doxa na temat hodowli termitów, nie czekając nawet na zwinięcie obozu, zażądał najlepszego z motokołów i posadziwszy naukowca (już bez szczurzego okrycia) na ramie, co tchu popędził do Fallergradu. Trzy dni i trzy noce trwała wariacka jazda, która, zważywszy fatalny stan dróg, nie należała do przyjemności. Szczególnie dla Profa, przycupniętego na ramie. Piętnastego byli na miejscu. Reakcja Fallera była błyskawiczna, dał im kilku zbrojnych do dyspozycji i równo o siedemnastej czterdzieści dotarli do Laboratorium. Niestety, złocista ważka pocztowa z ostrzeżeniem napisanym przez Komisa, który zdziwiony przedłużającą się nieobecnością Profa, przeszukał jego domek i znalazł zwłoki Pora zakopane pod altanką, dotarła do Inspeka na dwie godziny przed Gonzalesem. W Laborze nie znaleziono ani dywersantów, ani skrzynek z termitami, a strażnik niezguła chwalił się, że osobiście pomógł Eksperowi w załadunku całego majdanu na motowózek.

— Mówili, że jadą na badania terenowe. Wzięli duży zapas wody i żywności.

— Cholera! I niczego podejrzanego nie zauważyliście? — pieklił się Gonzales.

— Podejrzanego? Nie! Tylko na tych skrzynkach, cośmy je ładowali, pisało: BRONÍ
BIOLOGICZNA.

VI

Pora ucieczki sprzyjała zbiegom. Była niedziela i dla znaczącej części małych ludzi akurat przypadły trzy godziny miłości, toteż nikt nie sprawdzał przepustek pasażerów motowózka. Eksper przeczornie zrezygnował z drogi D-15, która zmierzała prosto do Ogonoburga. Wybrał szlak w stronę przeciwną, przez Stare Śmieciowiska, aby potem skrajem pustyni ruszyć okrężną drogą do Słonych Wód. Posterunki były tam rzadkie jak zęby Inspeka i wszystko wskazywało, że opracowany na tę okazję plan może się udać. Dla zabicia czasu już teraz kalkulował, ile termitów — gotowych walczyć za szczyrzą sprawę — zrodzi się w ciągu pierwszego półrocza, a ile w ciągu drugiego? Co pewien czas Eksper unosił pokrywy skrzynek i za pomocą translingwatora, który dla potrzeb Laboratorium skonstruował Rotleder, zadawał insektom pytania na temat ich samopoczucia czy stosunku do gryzoni. Za każdym razem odpowiedź brzmiała identycznie: „Dobra, dobra, dobra”. Nie dziw, że wypowiedź nagradzano dużą porcją witaminizowanej karmy.

I tak jechali, uzupełniając tylko zapas drewna do parowego motowózka i pilnie zacierając ślady w obawie przed pogonią. Po dwóch dniach znaleźli się w surowej krainie Suchych Kopców.

— Według mapy czeka nas jeszcze pięć dni bezdroży i dotrzemy do Słonych Wód — mówił Eksper. — Potem ze dwie doby lasami i jeśli pogoda się utrzyma, jesteśmy w domu. „Dobra, dobra, dobra” — mruczały termity.

* * *

Kiedy Ea odeszła, Szóstka dłuższy czas stał jak rażony gromem. Później jednak podreptał jej śladem. Był świadkiem, jak Trzynastka wręczał jej bukiet, łkał z rozpacz, gdy oboje znikli we wnętrzu bunga. I odetchnął z ulgą, kiedy przybył Alonso i zakłócił im ruję.

Jednak ponowne pojawienie się Trzynastki, który pogwizdując opuszczał ich gniazdko miłości, wywołało w nim prawdziwą furję. Z okrzykiem „zabiję!” podskoczył do rywala.

Trzynastka, wyższy i silniejszy od Szóstki, nie okazał strachu.

— Czasami trzeba się pogodzić, gdy wygrywa lepszy — rzekł i wskoczył do służbowej rikszy, która, ciągniona przez szczura w liberii, czekała na niego w zaułku, po czym oddalił się w stronę magistratu.

Zrezygnowany Szóstka dłuższą chwilę nie wiedział, co robić. Jedyne, co przyszło mu do głowy, to wziąć służbowy motowózek i wyjechać z miasta. Pociągała go pustynia. Już wcześniej, w chwilach przygnębienia, potrafił krążyć godzinami po kamienistych bezdrożach i opowiadać sam sobie wymyślone historie, których był bohaterem. To go uspokajało. I tym razem nad ranem poczuł się

lepiej. Przyłapał się nawet na myślach o Kii, jednej z najładniejszych homic w grupie aprowizacyjnej. Po odrzuceniu przez Fallera nie miała oficjalnego narzeczonego. Może w następną niedzielę zająć by jej przydziałowe trzy godzinki miłości?

Nagły sygnał radiostacji awaryjnej przywołał go do rzeczywistości. Nastawił odsłuch. Z centrum dowodzenia dobiegł go głos samego Fallera. Rozkaz był adresowany do wszystkich jednostek i nakazywał pościg za motowózkiem numer 311, uprowadzonym przez dwójkę szczurów uciekających najprawdopodobniej w stronę Ogonoburga. Dotyczyło to więc patroli z drugiej stronie miasta, toteż szybko wyłączył odbiornik. Lecz prawie równocześnie dostrzegł wyraźne, świeże koleiny odcisnięte na wilgotnym podłożu, którym dawno nie powinien jechać żaden pojazd. Serce zabiło mu żywiej. Szybko połączył się z bazą, podał swoje orientacyjne współrzędne i ruszył śladem uciekinierów.

* * *

— Do kroćset, Eksper, chyba znowu pobłądziliśmy! Piąty raz mijamy to wyschnięte drzewo! — klął Inspek, znękany żarem lejącym się z nieba. Już parę godzin temu powinni dotrzeć do Srebrnego Potoku, tymczasem dookoła ciągle rozciągała się kamienista pustynia. — Nie znam się na astronomii, ale im dłużej przyglądam się słońcu, tym częściej dochodzę do wniosku, że nasz kompas zwariował!

— Dobrze, że chociaż termyty zdrowe. Im upał nie przeszkadza.

— Co chcesz, przecież to ich ojczyzna — tu Eksper zagląda kolejno do wszystkich klatek i nagle woła: — Stary, nie ma egzemplarza H!

— Jak to nie ma?

— Uciekł, niewdzięczny bydlak. — Eksper wskazuje na wyłamana deseczkę. — A jakie zadowolone są pozostałe. Hej, C, może powiesz, co się stało z waszym kompanem?

Ale z translingwatora dobiega tylko:

— Dobra, dobra, dobra, dobra.

— Na wszystkie sery świata! — woła Inspek. — Popatrz tylko na naszą busolę. Każde odezwanie się tych robali powoduje wychylenie igły magnetycznej. To niemożliwe, ale...

— Co?

— Pamiętam, że na kursie mówiono sporo o falach biologicznych. Być może te bydlaki potrafią porozumiewać się nimi na odległość, a nawet wytwarzać własne pole magnetyczne. I celowo utrudniają nam drogę.

— Nie podoba mi się to — denerwuje się Eksper. — Do tej pory nie brałem tego pod uwagę, ale

obawiam się, że te przerośnięte mrówki mogły ukrywać przed nami swoją rzeczywistą inteligencję.

— Wykluczone. To przecież głupie stawonogi! Ejże, termity, gadajcie, nie knujecie przypadkiem czegoś przeciw nam?

— Dobra, dobra, dobra, dobra.

Po odseparowaniu kompasu od skrzyń z termitami udało im się stwierdzić, że zboczyli z drogi przeszło dwieście kilometrów. Skorygowali trasę na mapie. I na przyszłość postanowili być ostrożniejsi.

Podczas gdy Inspek wrzucał karmę, Eksper umocował w jednym z pudeł czujnik, podłączył go do translingwatora, a ten sprzął z przenośną radiostacją otrzymaną od Rotledera. Potem, pozorując popas, obaj udali się za skałę i tam włączyli podsłuch. Nie czekali długo.

— Dobra, dobra, dobra, tu U–A–Te–Ru. U–A–Te–Ru. Słyszycie mnie tam w kopcu głównym? Podaję pozycję. C–6 BR–25. Co u ciebie, Ha–Wu–Ge–Mu?

— Robię, co mogę. — Z oddali doleciał cienki głosik — Mnożę się. Uważajcie na te głupie szczury, bo mogą się jednak czegoś domyślić.

— Oni? Gdzie tam! Zamiast się śpieszyć, odpoczywają za skałami. Głupie futrzaki.

Tu coś trzasnęło w translingwatorze i transmisja ucichła. Pyski szczurów wydłużyły się. Tego się nie spodziewali.

— Co robimy? — wyszeptał Inspek. — Przecież to niesubordynacja. Zataili przed nami swoją inteligencję. My do nich z sercem, a oni. Co za chamstwo!

— Sprawa jest o wiele poważniejsza — wycedził przez zęby Eksper. — Obawiam się, że popełniliśmy fatalny błąd i zamiast sprzymierzeńców wyhodowaliśmy sobie rywali stokroć niebezpieczniej szych od homów. Jestem zdania, że powinniśmy spalić cały wózek miotaczem.

— No to do roboty! — Inspek zgodnie sięgnął po laseromiot.

— Stać, nie ruszać się. I rzucić broń! — rozległo się nagle za ich plecami.

Miotacze wypadły im z rąk. Na skraju zarośli suchokrzewu ujrzeli Szóstkę z wycelowanym w nich miotaczem. Usiłowali mu wytłumaczyć powagę sytuacji, przekonać do współdziałania. Mały człowieczek okazał się jednak przerażająco tępy. Kazał związać się im nawzajem, a gdy wreszcie ruszył zrewidować motowózek, okazało się, że nie ma już w nim pasażerów. Termity, które wykryły podsłuch, zdążyły wydostać się ze swych pudeł. I szukaj mrówki na pustyni.

Nie był to koniec nieszczęść, przed swą ucieczką inteligentne insekty tak skutecznie uszkodziły oba motowózki, że, jak twierdził Eksper, bez części zamiennych nie nadawały się do niczego.

Słońce prażyło niemiłosiernie, gdy Szóstka i dwa szczury ze związanymi łapami ruszyli w drogę

powrotną. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ciągnął się tylko piach.

* * *

Karl Faller zlekceważył owadzie niebezpieczeństwo, a gdy któryś z patroli znalazł w głębi pustyni dwa zniszczone motowózki, a obok nich trzy szkielety, dwa szczurze i jeden ludzki, uznał, że wszystkich zainteresowanych trafił szlag i po kłopotcie.

— Najważniejsze, że gryzonie nie będą miały żadnej cudownej owadziej broni — zaśmiał się Rico. — Szczury są zdane na siebie.

— Trzeba się napić z tej okazji — zatarł ręce Faller.

Jego umysł zaprzętało ostateczne zwycięstwo nad gryzoniami. Drogą do celu miała być ekspedycja na półwysep południowy.

— Uwiniemy się w tydzień — zwierzał się reporterowi „Gazety Postępowej”. — Skonstruowaliśmy nareszcie odpowiednią liczbę transporterów. Zmożemy ostro wziąć się za odszczurzenie. Najpierw rozpirzemy Noropolis, potem Szczurocity, przełamiemy linię umocnień w paśmie Zębicy i dotrzemy do morza.

— A co z operacją ogonoburską? — pyta reporter.

— Chwilowo nie uznaliśmy jej za priorytetową. Dla waszej prywatnej informacji, absolutnie nie do druku, mogę powiedzieć jedno: za miesiąc wielka wyrzutnia będzie gotowa, a wtedy wystarczy, że przycisnę jeden guzik i ze stolicy światowego szczurostwa pozostanie jedynie szklisty dołek o promieniu kilkunastu kilometrów.

Bojowozy grzeją silniki. O'Brien i Rico trąbią wsiadanego. Karl jeszcze konferuje z Profem. (Wedle ludzkich dokumentów Doxem.)

— Słuchaj, stary — mówi, klepiąc go po łysinie. — Wprawdzie jesteś naukowcem, a ja do jajogłowych nigdy zaufania nie miałem, ale zaryzykuję. Na czas mojego wyjazdu wejdiesz w skład Sztabu razem z Alonsem i van Tarnem. Miej baczenie na wszystko. Sadzę, że przesadzasz z tymi termitami, ale na wszelki wypadek przygotowuję szybszą kampanię. Nim się robactwo rozmnoży, będzie już po wszystkim, a resztkę gryzoni przeniesie się na łono Abrahama..., tfu, co ja mówię! Dokąd te bydlaki udają się po śmierci według swych wierzeń?

— Do Wielkiego Zsyphu z Najdostojniejszym Dozorcą — odpowiada Prof i dodaje: — Wierzą też, że po śmierci najgorsi spośród nich podlegają reinkarnacji w ludzi.

— Barbarzyńskie gusła! Na szczęście wykorzenimy je z całym gatunkiem.

— Apelowalbym wszelako, aby oszczędzać jednostki wartościowsze, Wodzu. Między szczurami też zdarzają się rozsądni intelektualiści.

— Intelektualiści! Kiedy słyszę to słowo, instynktownie chwytam za gnata — odpala Kot. — Oj, przeniosę ich wszystkich do wymarzonego Zsypu. Już niedługo. Aha, Prof, zastanówcie się jeszcze nad jednym. Jako biolog.

— Nie znam się na broni biologicznej.

— Nie o to chodzi. Chcę, żebyście pomyśleli nad sposobem odrodzenia ludzkości w jej normalnych rozmiarach, przynajmniej kobiet. Witaminy, może hormony, wasza w tym głowa.

Z ogłuszającym hukiem bojowozy ruszają ku nowym sukcesom, Prof zostaje sam, bardziej zafrasowany niż przedtem. Atoli szybko przywołuje na twarz uśmiech, widząc jak zza hangaru wyłania się szczupła sylwetka Ei.

Najważniejsze, że znów może pracować i to bez niewygodnego kostiumu.

* * *

Po wyjeździe Fallera badania w Laboratorium numer osiem ruszyły pełną parą. Program wyolbrzymienia ludzi za pomocą zmian hormonalnych wyglądał na interesujące wyzwanie. W wolnych chwilach Prof uczestniczył również w lekcjach prowadzonych przez Eę i pracownicy pomnażał szeregi mikroludzkiej półinteligencji i. (Do całej było jeszcze daleko.) Alonso dawał im w tych poczynaniach wolną rękę, a gubernatorowi Trzynastce wystarczało, jeśli wszystko zgadzało się z regulaminem. Storpedował tylko projekt rozluźnienia dyscypliny i próbę rezygnacji z jednomyślności. Prof uważał, że wśród siedmiu godzin nauki przynajmniej jedna powinna być poświęcona swobodnej dyskusji. Trzynastka zaprotestował:

— Wykluczone! Teraz, kiedy trwa walka ze szczurami na wszystkich frontach, kiedy jesteśmy otoczeni, narażeni na zdradę, knucie i podstępny, nie możemy bawić się w pogaduszki! Trzeba się maksymalnie zewrzeć, zespolić. Do innych rozwiązań nasi współbracia jeszcze nie dorośli. Wystarczy im hasło: „Jeden rozkaz, jedna praca, jedna bluza!”

Prof machnął ręką. Co z takim dyskutować? Miał tylko nadzieję, że po jakimś czasie przyjdzie nowe, lepiej wykształcone pokolenie i ludzie pokroju Trzynastki będą musieli odejść. Albo się zmienić. Byle nie na gorsze.

Irytację Trzynastki wzbudzał jeszcze jeden fakt. Kontakty Doxa z Eą. Mimo ogromnej różnicy wieku polubili się ogromnie. Godzinami potrafili wspólnie spacerować, dyskutować. Stary naukowiec był zaskoczony sympatią okazywaną mu przez dziewczynę; niemłody, łysy, brzuchaty, zdecydowanie nie był tym, co młode panienki lubią najbardziej, a przecież Ea dawała mu co dzień

drobne podarunki, częstowała własnoręcznie sporządzonymi przysmakami, a czasem, kiedy podczas pracy wymyślili coś naprawdę dobrego, obejmowała go swymi szczupłymi silnymi rączkami i zaglądając prosto w oczy, pytała:

— Czy mogłabym pana pocałować?

Pozwalał. Dziewczyna cmokała go w policzek, a potem, jakby zmieszana swoim postępowaniem, szybko zmieniała temat. Nie dziw, że naukowiec zgłupiał. Hominka śniła mu się nocami. Taka młoda, świeża, ładna. Nie, to przecież niemożliwe, żeby... Atoli Ea, jakby na przekór logice, z dnia na dzień była coraz bardziej zakochana. Jej gesty nabierały poufałości.

To stało się podczas pracy w magazynie starodruków Centralnej Szczuroteki. Noc była upalna, parna... Ea miała na sobie jedynie cieniusieńki kitel. Prof rozebrał się do podkoszulka. Rozmawiali bodajże o szczurzej mentalności, znajdującej odbicie w ich języku, lub o czymś równie odległym od erotyzmu. Ea wspięła się na regał aby ściągnąć najwcześniejsze szczurze poezje, kiedy drabinka zachwiała się. Dox złapał dziewczynę w locie, ale potknął się o ozdobny album „Sztuka szczurości” i padli razem na dywan wyściełający lektorium. Z oczu profesora spadają okulary, z Ei koszulka, w dodatku gaśnie przewrócona lampa. Po omacku próbują znaleźć włącznik. Znajdują siebie. Reszta jest milczeniem. A mówiąc precyzyjniej — szeptami, przyśpieszonym oddechem, gorączkowymi zakłęciami i spazmatycznym jękiem.

— O Habil, Habil! Haaaabil!

Dox przymyka oczy — rozumie wszystko — wie, że może być tylko namiastką. Dobre i to.

W następnych dniach romans rozkwita, choć Trzynastka próbuje go torpedować. Raz nawet, zastając zakochanych baraszkujących w obserwatorium hydrologiczno–meteorologicznym, przypomina im o obowiązującym rozporządzeniu. „W walce o oszczędność energii erotyzm jest dopuszczalny w tej dzielnicy tylko w niedzielę po południu”. W odpowiedzi Ea wymierza dwa kopniaki w centralny zegar kwarcowy, co sprawia, że z czwartkowego poranku robi się nagle niedziela, piętnasta trzydzieści! System jest sprzężony, a więc dzieje się to równocześnie na wszystkich zegarach w mieście. Łącznie z wieżą odbudowanego Parlamu, gdzie w okienku obok cyferblatu znika symbol pracowitego czwartku, a pojawia się niedzielna figurka symbolizująca frywolną niedzielę. Mali ludzie niczemu się nie dziwią, tylko każdy na swoim stanowisku karnie dostosowuje się do zmiany programu. Zdyscyplinowanie, czwórkami, z pieśnią „Pozytywnie i do przodu” na ustach!

* * *

Karl Faller do Bazy. W miejscu. Drogie mikroludki, co się będę długo rozwodzić o moich podbojach. Przybyłem, zawalczyłem, rozpirzyłem. Trupy szczurów leżą na metr wysoko i tyleż głęboko. Ich miasta stoją otworem. Biblioteki — zwęglone. Muzea wysadzone w powietrze.

Fabryki broni już produkują. Nie bierzemy żadnych jeńców, chyba że co gładsze szczurzyce. Dotarliśmy do morza, do gór i vice versa. Złamaliśmy dywizy Regima, brygi Marsza i pospolrusz Hetma. Główna świątynia Szczurocity zwana Wielkim Zsypem — została ogołocoła z wartości dodatkowej. Górą ludzkość! Dano w obozie pod Gęstą Juchą — dwudziestego piątego września 3978 roku. — Karl Faller — Kotissimus.

* * *

Tego samego dwudziestego piątego września całe Termitowo, ogromne zbiorowisko żółtawych kopców położone w samym środku nieprzebytych stepów, wyległo na powitanie jeńców. Bito w kotły z wysuszonych larw i grano na piszczelach padłych ważek. Milionowe mrowie insektów opuściło swoje wielopiętrowe sadyby i oczekiwało na wielki moment.

Kiedy przed zaledwie trzema miesiącami odebrano pierwszy sygnał biologiczny od osobników wyhodowanych w Laboratorium przez Ekspera, nikt nie zdawał sobie sprawy, że jest to chwila przełomowa. Owszem, w ciągu dwóch tysięcy lat ewolucja owadów postąpiła mocno naprzód, do perfekcji doprowadzono łączność falami biologicznymi i osiągnięto niezwykle wysokie stadium INTELIGENCJI ZBIOROWEJ. Nie istniała świadomość historyczna, a pracowitym insektom obce były aspiracje do panowania nad światem. Chcieli żyć i pozwalali żyć innym. Futrzani hodowcy mimowolnie zmienili tę tendencję. Obudzili imperialnego demona. Już przedostatnie pokolenie termitów laboratoryjnych miało dość rozsądku, by ukrywać przed badaczami swój rzeczywisty rozwój, ostatnie zaś nie tylko dorównywało poziomem szczurom, ale potrafiło ich jeszcze przechytrzyć. Jednocześnie wśród owadów pojawił się niepokój: co będzie, jeśli dotychczasowi hegemoni zorientują się, iż mają na Ziemi konkurentów?

Dlatego termitowi zwanemu Ha–Wu–Ge–Mu, który jako pierwszy zbiegł z motowózka, udało się przekonać swych współbraci do ataku na Szóstkę i jego jeńców. Kiedy Szóstka z osłupieniem zobaczył, że otaczająca go pustynia ożywa, a rzekome wydmy zmieniają się w miliony owadów, w pierwszej chwili porwał za laseromiot.

— Nie wygłupiaj się — syknął Inspek. — Nie wytłuczesz nawet ćwierci robactwa! Zresztą zobacz, są uzbrojeni — tu wskazał na maleńkie łuki, które posiadał każdy z owadów. — Jestem pewien, że mają zatrute strzały.

— W pewnych sytuacjach honorowa kapitulacja może zostać uznana za zwycięstwo — dorzucił Eksper.

Tryumf odprawiono na Krętej Alei, biegnącej przez dzielnicę Najwyższych Kopców, zwanych Małym MamChatamem. Jeńcy wystawieni na platformie dźwiganej przez parę tysięcy owadów przededefilowali przy akompaniamencie wiwatów, wśród sypanych płatków kwiatnych i kolorowego piasku (w oczy!). Włączony translینگwator pozwalał im na słuchanie przemówień Ha–Wu–Ge–Mu oficjalnie poślubionej królowej matce.

— Dobra, dobra, dobra, dobra. Kochani! Robaki i Robaczki, oraz wy, larwy, kokony i jaja niedorosłe! Nastął wielki dzień. Oto dwa szczury i jeden człowiek musiały uznać naszą bezsporną wyższość. Za nimi pójda inni. Mamy sporządzoną pełną dokumentację ludzi i szczurów. Ich koniec jest postanowiony. Ponieważ ja i moi koledzy zostaliśmy uznani przez was za dziesiątkę rozwojową, ze względu na rozmiary i doświadczenie nie spoczniemy, aż wykonamy historyczne zadanie. Każdy z nas zapłodnił przynajmniej jedną Jej Wysokość Królową Termitkę i już spełniło się proroctwo wyczytane na jednej ze starych ścian ludzkiego miasta: „Będą z tego jaja!” Kiedy u naszego boku staną pierwsze miliony termitów ćwierćmetrowej wysokości, wyjdziemy z tych stepów w świat i zdobędziemy go!

Tu rozległ się grzechotliwy, potężniejący z sekundy na sekundę dźwięk, od którego zatrzęsły się kopce, a szczurom i Szóstce włosy stanęły na głowie. To zgromadzone termity stukały się odwłokami na znak aprobaty.

— Miejmy nadzieję, że będą nas szukać — myśli Eksper, jednak przywódca owadów, zwracając się bezpośrednio do jeńców, rozprasza jego złudzenia.

— Zniszczony wózek, pozostawiony w stepie, będzie świadectwem katastrofy. Nasze koleżanki mrówki olbrzymie wystarały się o trzy szkielety odpowiadające waszym parametrom. Zostaliście uznani za zmarłych. Nikt nie będzie was szukał. A teraz, bracia i siostry, zaturlajcie naszych gości na samo dno wielkiego kopca. Dobra, dobra, dobra, dobra.

VIII

W październiku na Północnym Płaskowyzu nieoczekiwanie spadł śnieg, jakiego najstarsze szczury nie pamiętały. Nie zaskoczył on gryzoni, przyzwyczajonych do niespodzianek klimatycznych. Faller natomiast ugrzązł na górskich przełęczach zaledwie dwieście kilometrów od nienawistnego Ogonoburga, ale nie zamierzał się wycofać. Na południu zepchnięto gryzonie definitywnie do morza, opanowano wschodnie rubieże, tu na północnym zachodzie ciągle brakowało decydującego rozstrzygnięcia.

W obliczu kończących się zapasów żywności, dalszy upór Fallera groził poważnymi konsekwencjami. Tymczasem dziewiętnastego października do kwatery pod Szczurocity dotarł meldunek, na który Kot Wojny czekał od dawna. Van Tarn donosił w nim, że wielka wyrzutnia jest gotowa. Pociski samosterujące z głowicami — również!

— Wiwat, megafony! — zawołał Karl. — Już nikt nie będzie mógł nam zagrozić, jesteśmy w stanie zniszczyć każde miasto, każde zgrupowanie wojsk.

— W takim razie możemy zarządzić odwrót — ucieszył się Ernesto Rico. — Ofensywa konwencjonalna to strata czasu.

— Ale najpierw się napijmy, wołaj O'Briena i Gonzalesa! O'Brien zjawił się prawie natychmiast. Twarz miał dziwnie zmarszczoną, ponurą.

— Załatwili Gonzalesa — rzucił krótko.

— Kto? Gdzie?

— Znaleziono go w miejscowym domu schadzek, w którym urządził sobie kwaterę. Obsługiwały go tam najlepsze szczurwy z okolic, które, jak idiota, wspaniałomyślnie oszczędził. Jedna, jak widać, okazała się patriotką.

— Ale jak zginął, do kroćset? — zapytał dowódca. — Sztylet?

— Nie, zęby!

— Zwijamy obóz i wracamy do Bazy — głucho mówi Faller — A ze Szczuropolis nie ma zostać kamień na kamieniu.

* * *

Zazdrość Trzynastki wkroczyła w stadium schizoidalne. Przestał ją jednak uzewnętrzniać. Przeciwnie, wydawał się być najlepszym przyjacielem zakochanych, ulubionym uczniem Profą, lojalnym kolegą Ei. Spędzali razem wieczory, Trzynastka odgrywał chętnie rolę doskonałego kucharza, a rankami odwiedzał ich, przynosząc najświeższy numer „Fallergradzkich Nowin”, donoszący o potyczkach na rubieżach czy budowie wielkiej tamy przy Dawnym Mieście. Czasami, gdy Profowi zebrało się na refleksje, wspólnie z z Eą wysłuchiwał go pilnie jak ongiś w Laborze:

— Wiecie, czasami żal mi jest szczurów. Kiedy rozpocząłem moją pracę nad odradzaniem ludzi, gdzieś w wyobraźni miałem wizję nowego, lepszego świata. Spokojnego, rozsądnego, tolerancyjnego i bogatego, zamieszkałego pospołu przez szczury i ludzi. Miałem nadzieję, że po smutnych doświadczeniach ludzkości i dwóch tysiącleciach historii gryzoni będzie można spróbować urządzić świat inaczej. A dziś? Przyznaję, Faller bardzo nam pomógł. Ale jakim kosztem? I jak może się skończyć jego zabawa w nowego Cezara?

— Może jego czas minął — wtrąca jakby od niechcienia Trzynastka. — Wśród Siedmiu są tacy, co myślą inaczej.

— To prawda — wspiera go Ea — gdyby tak szefem był Alonso, wszystko wyglądałoby inaczej!

Dość często odwiedzał ich również Asys, który, jako znakomity fachowiec, znalazł w Fallergradzie zatrudnienie w szpitalu i pewnie mógłby być w pełni szczęśliwy, gdyby Wielka Siódemka nie bojkotowała go towarzysko, a mali ludzie nie przypominali na każdym kroku, że jest szczurem. Co rano znajdował obraźliwe hasła na płocie okalającym jego bung. Sąsiadki straszyły nim dzieci, a wyrostki urządzały mu pod oknami kocią muzykę lub wybijały szyby.

— Nie należy przejmować się durniami — uspokajał go Prof. — Wiesz doskonale, że my jesteśmy zawsze...

— Tak, wiem. Ale ciągle jestem tu obcy, inny i kto wie, czy pewnego dnia któryś z waszych szefów nie wpadnie na pomysł, żeby powiesić mnie na głównym placu dla poprawy społecznego samopoczucia. Jeśli nawet ciebie, Dox, oskarżają za twoimi plecami, że z powodu kostiumu przeszedłeś do cna szczurowatością?

Prof czuł w jego głosie wymówkę i zadawniony żal, że przed swym współpracownikiem nie ujawnił nigdy swego człowieczeństwa. Nie mógł jednak odmówić mu pewnych racji.

— Wszystko wymaga czasu. Ludzie żyją nawykami wyniesionymi z niewoli. Być może musi minąć całe pokolenie.

— Ale czy nasze działania prowadzą we właściwym kierunku? Ciągle trudno mówić o odrodzeniu ludzkości. Owszem, dokonano się jakieś powierzchowne ucywilizowanie. Wyszkoliliście nie najgorszych obsługiwaczy maszyn, bitnych żołnierzy. A co z kulturą? Z samodzielnym myśleniem? Przecież oni działają wyłącznie na rozkaz, bez żadnych przejawów życia wewnętrznego.

— I tak dokonali ogromnego skoku, przed rokiem byli dzikimi ludźmi z wysypisk.

— Łatwo tak mówić. Żyjecie tu w dzielnicy wykwinnych bungów, a ja codziennie muszę zapuszczać się w paskudne norowiska. Wiecie, ile tysięcy nowo przybyłych mieszka w smrodliwych szcurzych ziemiankach, gdzie kwitnie głównie złodziejstwo, plugastwo, a nawet zbrodnia? I w dodatku obowiązującą religią jest tam fałsz. Udawanie posłuszeństwa, pozorowanie pracy, deklarowanie poparcia dla kierownictwa. A w gruncie rzeczy ci, idealizowani przez was ludkowie, chcą się tylko nazrec, nazłopać szcurówki i — jeśli to możliwe — nic nie robić. Nie mają ochoty stać się ludzkością twoich marzeń, Prof.

— Możliwe, ale nie wolno nam rezygnować.

— Toteż nie rezygnuję, ale boję się. Wymarzona ludzkość! Już raz się to skończyło w XXI wieku. Dlaczego, u licha, miałoby wyjść teraz? Pod kierunkiem Fallera?

Do rozmowy wtrącił się milczący dotąd Trzynastka.

— A kto powiedział, że Faller jest niezastąpiony?

* * *

Na samo dno wielkiego kopca nie docierały żadne odgłosy ze świata zewnętrznego. Siedzieli w niskim, dusznym pomieszczeniu. Translingwator został uszkodzony w trakcie turlania. Eksper utrzymywał, że kiedyś go naprawi, choć po ciemku szło mu to marnie. Inspek całymi dniami krążył wściekły po owalnym lochu i pomstował na nieszczęsnego Szóstkę.

— To wszystko twoja wina, gdybyś nas nie związał, te mrówy nie pojmałyby nas tak łatwo. Drogo sprzedalibyśmy swoją skórę.

— Ale może właśnie dzięki temu, że nie stawiliśmy oporu, jeszcze żyjemy — oponował Szóstka.

— I co to za życie? Robalom śni się podbój świata, a my nie możemy nic zrobić. Mnoży się toto z prędkością trzydziestu tysięcy jaj dziennie. A pomyśleć, że my, postępowe szcury, od lat głosiliśmy potrzebę kontroli urodzin.

Dawno stracili rachubę dni. Posiłki przynoszono im nieregularnie. Choć z nieokreślonych przyczyn termitom nie zależało chyba na szybkiej śmierci pojmanych. Może potrzebowali zakładników. Z nudów Inspek i Szóstka zabrali się w końcu za drażnienie korytarza w ścianie kopca. Eksper ciągle reperował swe urządzenie. Aż któregoś dnia — zresztą może to była akurat noc — w odbiorniku odezwały się trzaski. Eksper mocniej przytknął prymitywną słuchawkę do ściany w wyżłobionej dziurze.

— Duży ruch na górze — mamrotał — wrzawa jak cholera. KróloTermitka podjęła zobowiązanie i ma zwiększyć wydajność rodzenia do jednego jaja na dwie sekundy. Zaraz, zaraz..., co oni mówią?

„Wielki wymarsz, wielki wymarsz!”

— Co jeszcze słyszysz? — Inspekt i Szóstka wstrzymują oddech.

— Nasz stary znajomy, H, wydaje komendy. Najpierw mają wymaszerować małe termyty, uzbrojone w łuki i własne żuwaczki. Powinny one niespostrzeżenie opanować ważniejsze punkty strategiczne. Potem ma ruszyć milion termitów bojowych. To nowo narodzeni potomkowie naszych mutantów hodowlanych.

Dysponują bronią białą i, na głuchego nietoperza, mają nawet siły powietrzne.

Szóstka nie chciał słuchać dalej relacji Ekspera. Zdeterminowany wpadł do wykopanego korytarza i począł ryc jak opętany. Rył i rył. I po paru godzinach do obu szczurów doleciał jego dziwnie dudniący głos:

— Słuchajcie! Dokopałem się do jakiegoś pomieszczenia. To chyba magazyn.

Eksper przerwał nasłuch. Oba szczury pośpieszyły za Szóstką.

— Na wszystkie sery świata, nasza radiostacja! — wołał. — Są też nasze miotacze!

Niestety, laserowe fuzje miały puste magazynki. Mimo to Eksper z ogromną nadzieją zdjął pokrywę z nadajnika.

Tymczasem termyty ruszyły. Nie kończące się kolumny posuwały się w stronę zamieszkałych rubieży. Od bagnisk Wielkiej DeltY ciągnęły sojusznicze watahy much i pancernych skorpionów. Tym, nadal bezrozumnym stawonogom, wmontowano odpowiednie stymulatory, ograniczające się do komend „prawo, lewo, tył, przód”, co dla tych nośników trucizn i bakterii wystarczało w zupełności. Z hukiem przeciął niebo klucz jadowitych szerszeni. A termyty maszerowały. Dodatkową osłonę miała stanowić chmura szarańczy.

* * *

Kot Wojny powrócił do Fallergradu. Dyszał żądzą ostatecznego rozwiązania. Van Tarn udający się na wizytację frontu południowego, wręczył mu na odchodnym klucz uruchamiający wielką wyrzutnię. Teraz już wszystko zależało od pogody. Tymczasem, jak na złość, między ich stanowiska a ciągle broniący się Ogonoburg nadciągnęły dziwne czarne chmury.

— Uderzymy, jak tylko pogoda się poprawi. Zrobimy szczurzą zapiekankę wszech czasów! — obiecywał Kotissimus. — Teraz muszę się napić. Trzynastka!

Mały człowieczek już czekał z pyszną nalewką własnej recepty, za którą Karl przepadał. Faller wypił duszkiem szklanekę, czknał, poprosił o więcej. W tym czasie Alonso opowiadał mu o

ukończeniu wielkiej tamy koło Dawnego Miasta.

— Jej otwarcie powinno rozwiązać nasze wszystkie kłopoty z energią.

— Niech rozwiązuje. Trzynastka, dolej!

— Szef obiecał osobiście dokonać detonacji ładunków, która wprowadzi rzekę w sztuczne koryto i utworzy wielki zbiornik.

— Doskonale, zajmę się tym jutro. Albo pojutrze. O ile pogoda nad Ogonoburgiem się nie poprawi, a teraz — przekrwionym okiem zerknął na Trzynastkę. — Chciałem dokończyć coś innego, przyjemniejszego. Nie znoszę rozbabranych spraw. Sprowadź do mnie tę ładną kurdupliczkę, jak jej tam... Ea?

— Obawiam się, że mogą być z tym komplikacje.

— Znowu? Przecież ten jej liliput upiekł się na pustyni.

— Ma nowego przyjaciela.

— No to wyślę go do karnej kompanii.

— Ale to Prof...

— Ten łysy staruszek panierowany szczurem? — Faller aż podskoczył. — No nie, ta dziewczynka naprawdę jest zboczona. Ale to nawet lepiej, lubię takie. I powiedz jej, że ma mi się opierać i bronić. I nalej mi jeszcze troszkę.

— Butelka jest pusta.

— Ta jest pusta, ale wiem, że masz zawsze piersiówkę na własne potrzeby, cwaniaczku.

Ei nie trzeba było namawiać do oporu. Zwinna i przezornie zawczasu nasmarowana olejkiem, wymykała się z łap mocno zaprawionego Kotissimusa. Ugryzła go, wreszcie desperacko przejechała pazurami po twarzy, omal nie pozbawiając oka. Rozjuszyciło go to do tego stopnia, że chwyciwszy szpicrutę od szcurzej jazdy, począł okładać dziewczynę, tnąc piękne ciało do krwi.

— Nie chciałaś po dobroci, to teraz posmakujesz, co znaczy narazić się swemu panu! — wołał. — Twego profesorka zaszyję w futro i odeślę szczurom.

— Och, nie!

— Żadnych reklamacji! Ty zaś pójdiesz do oddziałów szturmowych jako markietanka. Koniec tych waszych szkółek, nauk i humanizmów — za każdym słowem bat opadał coraz mocniej.

— Daj spokój, szefie, uszkodzisz ją — siedzący dotąd w kącie i milczący Alonso wstał z fotela.

— Mała strata, nie cierpię karlic i w dodatku tak chudych.

— Ależ Karl, ona naprawdę jest pożyteczna — Alonso zastępuje mu drogę. — Za dużo dziś wypieś.

Pięść jak młot spada na szczękę współpracownika. Alonso leci w róg i pada bez przytomności. Faller śmieje się chrapliwie, chwytając piersiówkę, podaną usłużnie przez Trzynastkę i wychyla ją do dna.

— Na czym to stanęliśmy? — mówi, rozglądając się za pejczem.

Ea, cała we krwi, na klęczkach cofa się do kąta, pewna własnej śmierci. Karl robi krok do przodu i naraz cały obraz rozmywa mu się przed oczami. Nie jest wcale pewien, czy klęcząca jest karłowatą dziewczyną, czy może kimś innym. Niczego nie jest pewien. Gdzie jest, jak się nazywa? Niczym podcięty dąb wali się na ziemię.

Dox, alias Prof, zjawiał się po paru minutach. Wracał akurat od Rica, z centrali nasłuchu. Ernesto polecił mu zawiadomić Kotissimusa, że coś dziwnego dzieje się w eterze. Zamilkły wszystkie posterunki na Południu i większość na Pomocy. Rico nie potrafił tego zinterpretować. Niemożliwe, żeby była to skoordynowana akcja szurzych dywersantów. Prędzej burze magnetyczne. Ale żeby od razu na obszarze tysięcy kilometrów kwadratowych?

Rezydencja Kota Wojny przypominała pobojuwisko, obrazu jatki dopełniali: pokrwawiona i splakana Ea, nieprzytomny Alonso, leżący na podłodze Faller i Trzynastka przymierzający jakby od niechcenia złotą opaskę Kota Wojny.

— Co tu się stało?

Trzynastka spokojnie referuje przebieg zdarzeń.

— Gdyby nie specyfik, którym przyprawiłem nalewkę, byłoby już po nas — mówi chełpliwie. Prof spogląda nań z niedowierzaniem.

— Zabiłeś Kota Wojny?

— Na razie tylko uśpiłem. Stawał się coraz bardziej niepoczytalny. W zasadzie anulował cały program odradzania ludzkości. Ale gdyby teraz stracił władzę...

— To prawda — wspiera go Ea, ocierając krew z twarzy. — Alonso nie pali się do dowodzenia, ale jeśli będzie musiał...

— Co jednak chcecie zrobić z Fallerem? Przecież kiedy się obudzi, zrobi z nas gulasz.

— Przecież wcale nie musi się obudzić — Trzynastka uśmiecha się szelmowsko.

— Nie pozwolę ci zabić człowieka we śnie — protestuje Ea — nawet takiego bydlaka!

* * *

Kot Wojny spał i wiedział, że śpi. Mimo to od dłuższego czasu pragnął się obudzić. Nie odstępowały go okropne majaki i zmory. Oglądał twarze kumpli, poległych przed tysiącami lat w Afryce i Oceanii, zmasakrowane, rozkładające się, straszne. Widział dyktatora Moraneza dyndającego na żyrandolu w foyer kameralnej opery, nękał go obraz prezydenta Pedrony, którego rozwiane siwe włosy wypełniały mu całe okienko celownika optycznego. A potem przesuwwały się całe szeregi ofiar: boliwijscy chłopci pod murami Ciudad Negro, ukraińskie dzieci jako mięso armatnie, Polacy pod gąsienicami transportera. Ciała, ciała i jeszcze raz ciała. I słyszał swój śmiech. Mimo że się nie śmiał. A palec drgał mu spazmatycznie mimo, że nie trzymał go na spuście. A potem skądś pojawił się ksiądz, filigranowy klecha jednoczący z miesiąca na miesiąc miliony ludzi we Wspólnocie przeciw złu. Jego pierwszy kontrakt. Pierwsza krew. Kielich z rozsypanymi hostiami. *Corpus Christi*. I zakonnice, jak czarne wrony nad ciałem, wrzeszczące: „Dlaczego, dlaczego?!” Sam chciałby wiedzieć, dlaczego, ale nie za to mu płacono. Jednak najczęściej powracał sen o grobie.

Niczym bohaterowi Poe’go zdawało mu się, że znajduje się w trumnie, żywcem pogrzebany. Krzyk wiązał mu w ustach. Zrywał się. Otwierał oczy... nic z tego, sen trwał nadal. Dookoła panował mrok. Nie, niezupełny, w oddali jarzyły się lampki, a może kontrolki. Nie może się poruszyć. Czuje na skórze chłodny dotyk czujników i ziąb zamrażacza wtlaczanego do jego żył. W porządku, oddycha z ulgą, po prostu śni o zamrażalni. W końcu spędził w niej dziewiętnaście wieków. Porusza palcami. Dziwne, jeśli sen jest tak realistyczny, powinien mieć pod ręką pilota. I skąd ta zgaga, mdłości jak po przepiciu? Na policzku piecze szrama, pamiątka po paznokciach broniącej się Ei. Szczurwa mać! A więc dzieje się to tu i teraz, naprawdę.

Zamrażają go? Kto? Jakim prawem? Głupcy!!! Nawet zabić nie potrafią.

Zapłacą mu za to. Nie przewidzieli, że się obudzi, że alkohol zneutralizuje działanie usypiacza. Na zmianę prężąc i rozprężając mięśnie, luzuje pajęczynę kabli. Oswobadza najpierw lewą rękę. Zmiata z ciała czujniki, wrywa dreny. Płyn zamrażacza zaczyna wyciekać na posłanie. Szlag z nim. Czuje potworny ziąb w nogach, jednak reszta ciała jest ciepła. Drobiazg, szybka transfuzja przywróci mu czucie w kończynach! Podnosi się i z impetem uderza głową o szklaną płytę sarkofagu. Na moment opada na posłanie. Nie traci jednak nadziei. Jest nagi, ale ktoś usypiający go zostawił mu, pewnie na pamiątkę, sztylet z kościaną rękojeścią. Dźgając nim miękkie uszczelki na łączeniach płyt sarkofagu, przebija się na zewnątrz. W tym momencie z sykiem zaczyna uchodzić z trumny powietrze. Cholera! Nie przewidział, że rozpoczęło się już usuwanie powietrza z całej komory. Niedługo powstanie tam hermetyczna próżnia. Na szczęście znajduje końcówkę rurki, która aż do zakończenia procesu hibernacji dostarcza wysokotlenowej mieszanki do sarkofagu. Nie wypuszczając jej z ust, manipuluje sztyletem i dociera do zatrząsków trumny, podważa je. Płyta pod wewnętrznym ciśnieniem odskakuje sama. Dobrze!

Opierając się na rękach, dźwiga swoje ponad stukilowe ciało i ciągnąc za sobą bezwładne nogi, przetacza się przez krawędź skrzyni. Powietrze, którym oddycha przez rurkę, zdaje się rozsadzać go od wewnątrz. Wytrzyma! Pozostaje najtrudniejsze — przebycie pięciu metrów dzielących go od drzwi dyspozytorski. Gdyby miał sprawne nogi, wystarczyłby jeden skok. A teraz? Uspokaja nerwy, oddychając równo, wentylując płuca. Potem bierze solidny „wdech i rusza. Idzie, pełznie raczej, wlokąc za sobą pozbawione czucia kończyny.

Co gorsza mróz, który zawładnął jego nogami, mimo wstrzymania hibernacji nie zatrzymał się na udach. Strefa chłodu powiększa się. Dotarła do lędźwi. Czuje wilgoć własnego moczu i przerażający smród fekalii. Puścił zwieracz..

Jeszcze metr, jeszcze pół metra. Ręka maca rygle awaryjne. Naciska. Nic.

Raz jeszcze! Cholera, organizator jego pogrzebu zablokował wejście od zewnątrz. To koniec. Faller opada na ziemię. Wie, iż nie da rady dowlec się do zbawczej rurki. I wówczas w słabej poświacie zauważa swój osobisty nagan leżący na kupce ubrania. Oby nabity. Szczupakiem rzuca się ku niemu, tracąc ostatnie drobiny powietrza, odbezpiecza i strzela serią w drzwi, nie przejmując się deszczem szklanych odłamków. Przez wybity otwór wdziera się zbawcze powietrze.

Faller chichoce. Chcieli go zabić? Za chudzi w uszach! Już teraz delektuje się myślą o przyszłej zemście.

Odległy wstrząs, a po nim następne, nasuwa mu myśl o trzęsieniu ziemi. Bzdura, teren Dawnego Miasta od tysiącleci uchodził za asejsmiczny. Co tam się dzieje? I co oznacza ten narastający pomruk docierający mimo grubych murów. Czyżby? Nie, to niemożliwe! Twarz Fallera pokrywa się grubym potem. Dopiero teraz naprawdę zaczyna się bać.

* * *

Z korony tamy Prof, Ea i Trzynastka przyglądają się swemu dziełu.

Przez szczybę w skalnym masywie rzeka spienionym nurtem wlewa się w dolinę, zatapiając ślady dawnego miasta, zmiatając opuszczone baraki Archeola i grzebiąc w swych falach bunkier zamrażalni.

— Na ile nastawiłeś zegar? — pyta Ea Doxa, przekrzykując ogłuszający ryk wody.

— 2000 lat! — pokazuje naukowiec. — Powinno wystarczyć.

— O ile klimat się nie zmieni, jezioro nie wyschnie i ktoś nie wygrzebie obiektu — dodaje w myślach Trzynastka. — Ale to nie moje zmartwienie. Najważniejsze, że Kot został wyeliminowany z naszego życia.

* * *

Koło południa są z powrotem w mieście. Ruch na ulicach wygląda normalnie, jednak po przybyciu do centrali w oczy rzuca się niespotykana dotąd nerwowość personelu.

— Gdzie byliście? — pyta Alonso, którego obandażowana głowa upodabnia do ortodoksyjnego Hindusa.

— Zgodnie z poleceniem Kotissimusa nadzorowaliśmy początek zatapiania sztucznego zbiornika — odpowiada Ea.

— Faller był z wami?

— Nie — odpowiada Trzynastka. — Nie widziałem go od chwili, kiedy zasnął.

— Dziwne, od wczoraj nie widział go ani Rotleder ani Rico.

— Może zaszył się u jakiejś szcurzycy — podsuwa Ea.

— Jego obstawa wiedziałaby coś na ten temat. Niech to diabli, mało, że się upił, to jeszcze zniknął w najmniej odpowiednim momencie.

— A co się w ogóle dzieje? — dopytuje się Prof.

— Więcej powie wam Rico. Zamilkły wszystkie radiostacje na rubieżach. Straciliśmy kontakt z dywizją van Tarna... — tu urywa, bo na progu staje Rotleder. Twarz Niemca jest blada.

— Muszę pogadać z szefem — mówi — w trakcie prób odzyskania kontaktu z naszymi oddziałami nieoczekiwanie odebraliśmy meldunek od Szóstki i towarzyszących mu zbiegłych szcurów.

— To oni żyją, dzięki Bogu! — wyrywa się z ust Ei.

— Ale pozostają w niewoli termitów.

— Termitów? — dziwi się Prof. — Czyżby eksperyment Ekspera przerósł jego oczekiwania?

— To nie koniec. Mam stenogram meldunku. Jeśli to nie jakaś prowokacja, mamy niezły pasztet. Bawimy się w jakieś potyczki ze szcurami, a właśnie wyruszyła na nas miliardowa armia inteligentnych owadów! Skutecznie zakłóciły nam łączność radiową. Jeśli natychmiast nie zaczniemy działać, cały ten piekielny rój zwali się nam na głowę.

— Ciągłe nie możemy znaleźć Fallera — tłumaczy Alonso — a bez niego...

— Sam podejmij decyzję, Alonso, mamy do ciebie zaufanie! — woła Ea.

— Oficjalnym zastępcą Karla jest Rico — odpowiada, a miny małych konspiratorów wydłużają się nieco.

Włoch przybywa po kilku minutach. Też nie ma wątpliwości — niech decyzje podejmie Alonso. Ten wreszcie przestaje się wahać. Wie, podobnie jak pozostali, że tylko jedno może powstrzymać owady: natychmiastowe odpalenie wielkich rakiet. Dzięki Szóstce znają dokładne zamiary Termitowa. Jedno uderzenie, a miasto wielkich kopców przestanie istnieć. Drugie uderzenie powstrzyma maszerujące kolumny.

— Doskonale, zniszczmy je natychmiast! — gorączkuje się Trzynastka.

— Dobrze, tylko kto ma klucz?

— Jaki klucz? — pyta Rotleder.

— Klucz zabezpieczenia. Aby uruchomić wyrzutnię i wprowadzić namiary.

— Van Tarn przekazał go Karlowi — odpowiada Rico — widziałem, jak włożył go do kieszeni. Tylko, gdzie on jest?

Ea rzuca przerażone spojrzenie na Trzynastkę, Trzynastka na Profę. Cała trójka myśli o jednym. O milionach metrów sześciennych wody, które zalały grobowiec Kota Wojny.

— Nie denerwujcie się — stara się uspokoić Alonso, tłumacząc sobie ich bladość normalnym przestraszaniem. — Prędzej czy później Karl się odnajdzie. Zresztą wysłałem gońców do van Tarna, który ma duplikat. Będzie tu przed końcem dnia, a insekty raczej nie zaatakują w nocy.

— Wedle moich obliczeń i danych Szóstki, możemy się ich spodziewać tutaj najwcześniej jutro w południe — twierdzi Rotleder.

— Zatem szukajmy Karla, dajmy znać Johannowi i przygotujmy się do obrony — konkluduje Alonso.

— Jest jeszcze jedna sprawa — zabiera głos Prof. — Nie wiem, czy w obecnej sytuacji nie powinniśmy porozumieć się ze szczurami.

— Z kim? — Rico purpurowieje — z tymi cuchnącymi gryzoniami? Znaczący, nie chciałem pana urazić, ale nie widzę takiej potrzeby. Poradzimy sobie z jednymi i drugimi.

Prof i mali ludzie wychodzą z Centrali, muszą odpocząć, przespać się przynajmniej parę godzin. Na schodach dopędza ich Alonso.

— Nie mam wprawdzie takich upoważnień — mówi — i na negocjacje jest chyba za»późno, ale jeśli znalazłby się ktoś, kto podjąłby się przynajmniej ostrzec szczury przed groźącym niebezpieczeństwem, gotów jestem udzielić mu dyskretnej pomocy.

— Mam chyba kogoś takiego — odpowiada Prof — Dox.

— Tylko, jak mógłby tego dokonać, nie mamy łączności, a podróż motowózkiem zabrałaby kilka dni.

— Dysponuję prototypowa lotnią parową, tzw. parolotnią — w dziesięć godzin dotrze do Ogonoburga.

— I sądzicie, że szczury zaufają jakiemukolwiek człowiekowi, nawet jeśli przybędzie tam jako parlamentariusz?

— Nie mam zamiaru wysłać człowieka tylko szczura, mego przyjaciela — Asysa.

* * *

Nadzwyczajne posiedzenie Światowej Rady Szczurów odbywało się w najgłębszych katakumbach Ogonoburga. Ledwo trzydziestu szczurzych dostojników przybyło na tę naradę. Przed rokiem zbierało się ich tu pięciuset. Dziś większość z nich nie żyła lub prowadziła nierówną walkę na rubieżach kontynentu. Resztką — wynędzniała i wyszarzała — przypominała o wiele bardziej brudne gryzonie wałęsające się po śmietniskach niż luminarzy światowego mocarstwa. Pojedynczym szczęśliwcom udało się zwać za Ocean.

— Przyjaciele — zagaił Wielmis głosem, jakim obwieszcza się wielkie wydarzenia historyczne. — Przed godziną przybył ze Szczuropolis emisariusz potwierdzający fakt owadziej ofensywy. Cześć homów skłonna jest zawrzeć z nam pokój, a następnie podjąć wspólną walkę z owadziim niebezpieczeństwem. Co wy na to?

Odpowiedzią jest pełna napięcia cisza. Na mównicę wychodzi Asys.

— Najmądrzejsi z gigantów, jak Alonso, żywią przekonanie, że współdziałając z nami, mają szansę uratowania skóry. Ich sytuacja po utracie łączności z większością swych sił stała się dość skomplikowana. Uważają, że gdybyśmy choć częściowo odciążyli teatr wojenny...

— Dziwna to propozycja — przerywa Asysowi Arcykapłan Wielkiego Zsypu, słynnej, nie istniejącej już świątyni ze Szczurocity. — Dziwna i prowokacyjna, zważywszy, że do tej pory owady nie uczyniły ani jednego aktu nieprzyjaznego wobec nas. Przeciwnie, w geście dobrej woli zwolniły dziś jednego z internowanych szczurów — Ekspera.

Wszystkie oczy kierują się w stronę naukowca zajmującego łożę gości. Wymieniony z nazwiska podnosi się z ławy.

— Wysłano mnie, bym agitował za szczurzą neutralnością. Ale zaprawdę powiadam wam, to

podstęp! Przejrzałem zamiary insektów. Najpierw uporają się z ludźmi, potem przyjdzie kolej na nas. Stawonogi nienawidzą ssaków nade wszystko, a ich filozofia głosi, że po erze gadów i ssaków nadchodzi era owadów.

— Poczekajmy zatem, aż wykrwawią się obie strony — kontruje Komis, dokooptowany wreszcie do składu Światowej Rady.

— Na Najświętsze Sery! — woła Eksper. — Dziś czekanie to kapitulacja! Bracia szczury, wyciągnijmy łapę do ludzi. W imię mleka, które i my, i oni wyszliśmy z piersi matek! Sprzymierzmy się, inaczej zginieemy.

— Jest jeszcze jeden powód — zabiera głos Asys. — Musimy jeszcze dziś dać odpowiedź. W przeciwnym razie jutro wielcy ludzie użyją broni masowej zagłady, która zniszczy insekty, nas, a cały kontynent zatruje na tysiąclecia.

— Bzdura — przerywa mu Arcykapłan. — Miałem proroczy sen. I wiem, że ta papierowa bomba nie wybuchnie. A wy chcecie z nimi paktować.

Grobowa cisza zapada na sali, aż wreszcie znów zabiera głos Komis:

— Moim zdaniem, jeśli sądzone jest zginąć i nam, i ludziom, to zgińmy przynajmniej osobno!

* * *

Wezwanie do powrotu zastało van Tarna w starej fortecy na Wzgórzu Węży. Chmury szarańczy przysłańały całe niebo. Miliony wściekłych meszek wdzierały się do uszu, oczu, ust.

— Walczyłem z Czarnymi, Czerwonymi, Popielatymi, pod wodą, na lądzie i w powietrzu, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że zmierzę się z takim latającym gównem — pieklił się Afrykaner, powstrzymując jednak użycie miotaczy. — Musimy oszczędzać oręż na prawdziwego wroga — tłumaczył.

— A gdzież on? — dopytywali się mali dowódcy.

— Tam — odparł van Tarn — zataczając koło wokół twierdzy. Raptownie chmura szarańczy rozproszyła się. Owady zespoliwszy się w cztery czarne, zdyscyplinowane kliny, poszybowały w różnych kierunkach. I naraz ukazały się pola i łąki wokół twierdzy, aż po horyzont wypełnione owadziim mrowiem. Pierwsze oddziały już zaczęły wspinać się na skały. Inne postępowały tuż za nimi. Afrykaner przeżegnał się. Pierwszy raz od tysiącleci.

— Przynajmniej umrzyjmy z klasą — rzekł, ściskając nieprzydatny klucz do odległych wyrzutni. — Ognia!

Więści o klęskach na wszystkich frontach, mimo milczenia sztabu, rozpełzły się po Fallergradzie jak oszalałe pchły. Wywołały chaos i powszechną panikę. Homy z fabryk i urzędów porzuciły pracę i ruszyły na plac przed Centralą.

— Chcemy informacji! My chcemy pełnej informacji! Prawdy! Prawdy! — skandowali mali ludzie.

Koło południa na ratuszowym balkonie pojawił się Trzynastka witany gwiazdami i powszechnym złorzeczeniem.

— Chcecie prawdy? — zawołał przez gigantofon — Oto ona: wielcy przegrali. Szczury biorą w dupę. Owady nadciągają. Ratuć się, kto może!

* * *

Iluż Plutarchów, Ksenofontów czy Sienkiewiczów miałoby zajęcie na wiele lat, opisując tysiące bitew i potyczek, desperackich kontrofensyw i daremnej obrony, przytaczając przykłady cichego bohaterstwa i pospolitej rejterady. Nic jednak nie mogło zniweczyć przewagi liczebnej, bezbłędnej synchronizacji i nieliczenia ofiar przez okrutne owady. Olbrzymie armie szły na podobieństwo miliardów namagnetyzowanych dipoli, niwecząc wszelki opór, a Królowa Termitki, z prędkością jednego jaja na sekundę, niezmiernie produkowały wciąż nowych żołnierzy.

Fallergród padł po dziesięciu dniach rozpaczliwej obrony. Zabrakło granatów, naboju, zasilania do laserów, a w końcu środków owadobójczych. O'Brien i Rico w bojowozach przebili się przez pas oblężenia i znikli gdzieś w borach Południa. Może zginęli, może udała im się próba przedostania na brzeg Oceanu, a stamtąd na inny kontynent. Rotleder zginął na posterunku, trafiony żądłami dziesięciu skorpionów. Luis Jade, wysłany w poselstwie do Ogonoburga, zanim jego szkielet obrały do białości czerwone mrówki, zdążył jeszcze przekazać komunikat do Centrali, że i szczury spotkał podobny los co ludzi. Butna stolica gryzoni opierała się zaledwie przez dwa dni.

Alonso, Prof i Ea bronili się do ostatka, by na koniec kanałami opuścić miasto z małą garstką najdzielniejszych. Potem rozdzielili się. Mniejsze grupy miały większą szansę uciec owadom. Część udała się w stronę bagnisk, których sucholubne termytyny unikały, część skierowała się ku górą.

Alonso przedstawił swój plan.

— Jeśli chcemy ocalić pamięć o naszej cywilizacji, istnieje tylko jedno wyjście, musimy dotrzeć do starej zamrażalni, tej samej, w której wraz z Fallerem przebywaliśmy od XXI wieku. Zahibernowani przeczekamy dzisiejsze nieszczęścia.

— Ale przecież — jąka się Ea — zamrażalni już nie ma. Spoczęła na dnie zbiornika wodnego. Sami ją zatopiliśmy. Nie mieliśmy jednak pojęcia...

— Nie przejmuj się, mała — pociesza ją Alonso. — Wszyscy popełniamy błędy, co innego jednak błąd, a co innego zdrada.

— O czym mówisz? — niepokoje się Prof vel Dox.

— Nie ulega wątpliwości, że zniszczyła nas zdrada — twierdzi ostatni najemnik. — Zniknięcie Fallera, teraz jestem przekonany, że Kot Wojny został zamordowany, zdecydowało o naszej klęsce. Gdybyśmy zawczasu mogli odpalić rakiety. Ech, oddałbym resztę życia, żeby wyjaśnić tę zagadkę!

Na razie jednak musieli rozstrzygnąć, co robić dalej. Wędrując przez Wielkie Śmieciowiska natrafili na całkiem świeży ślad kół motowózka. Po paru godzinach na sam motowózek i człowieczka bezskutecznie próbującego go nareperować.

— A co ty tutaj robisz, waleczny Trzynastko? — zawołała Ea do nieporadnego mechanika.

— Jak to co. Niepomny zagrożeni, czekam na was.

* * *

Koleje losu bywają zabawne, zwłaszcza jeśli przypadnie żyć w tunelu. Dwaj wrogowie — Inspek i Szóstka — przeżyli całą apokalipsę wojny i zagładę własnych gatunków, nie wiedząc o bożym świecie, zajęci drażeniem chodnika, mimo że na zdrowy rozum, po przebicciu się do magazynu suchej karmy, powinni w nim pozostać i spokojnie czekać. Po zabranii Ekspera zostali we dwóch i, trzeba przyznać, pracowali solidarnie. Niestety, któregoś dnia okazało się, że pomylili kąt nachylenia i zamiast na zewnątrz olbrzymiego kopca, trafili do centralnej komory wypełnionej prawie w całości olbrzymim owadziim cielskiem.

— Na wszystkie śmierdziosery, KróloTermitka — szepnął Inspek.

— Załatwimy ją? — ożywił się Szóstka.

— Cicho, mały! Na razie zastanawiam się, do czego służą te dziesiątki dodatkowych czulków. Czyżby to był ich nadajnik?

Włączyli translingwator, który jakimś sposobem po paru tygodniach sam się zregenerował. Inna sprawa, że słuchanie owadziich komunikatów nie przyniosło im otuchy. Fallergród i Ogonoburg padły. Jakakolwiek obrona przestała istnieć. Trwał pościg za maruderami, a cały kontynent pokrywały gazetki wielkich bohomasów, wieszczące tryumf stawonogów. Sytuację streszczało jedno, ale za to nośne hasło „Dobra, dobra, dobra, dobra”. Wsłuchani w emitory KróloTermitki mogli poznawać szczegóły klęski, rozmiar zagłady, dewastacji. Słyszeli komunikaty i dyspozycje dla poszczególnych zgrupowań, zadania dla całych kategorii owadów. Widocznie KróloTermitka odgrywała rolę centrali i superwzmacniacza bioprądów. Słyszając to wszystko, Szóstka z trudem

tlumił płacz, a Inspek gniew.

— Żeby ich tak pokręciło, żeby się własną chityną udławili.

— Może przynajmniej załatwimy tę producentkę kawioru?

— Poczekaj, poczekaj — powstrzymał go Inspek — mam pewien pomysł. Jeśli się uda, zniszczę ich, na mój biedny złamany ogon, zniszczę wszystkich!

— Ale jak?

— Słyszałeś komunikaty, że robactwo opanowało poukrywane w różnych częściach kontynentu magazyny van Tarna z materiałami rozszczepialnymi.

— I co z tego? Niszczą je, podobnie jak wszystko, co jest dziełem rąk ludzkich. Kiepska pociecha, że trochę robali dostanie przy okazji choroby popromiennej.

— Tak, to niewielki zysk. Wyobraź sobie jednak, co by było, gdyby ktoś rozkazał tysiącom owadów zgromadzenie całego radioaktywnego materiału w paru wybranych miejscach na przykład w Termitowie czy Ogonoburgu i każdy z insektów pośpieszyłby pod wskazany adres z uncją plutonu pod pachą?

— Nie mam pojęcia.

— Z tego co wiem z fizyki, powstałaby masa krytyczna, a właściwie setki mas krytycznych. Niekontrolowany wybuch ogołociłby cały ten kontynent z wszelkiego życia.

— Ale to szaleństwo — jęknął Szóstka — przecież my też byśmy zginęli!

— Jako pierwsi, a więc w miarę bezboleśnie. I z honorem — rozmarzył się Inspek, a oczy mu zapłonęły. — Dla szczura najśłodszym uczuciem jest zemsta!

— Na szczęście jest to niewykonalne.

Zaraz tam niewykonalne. Przecież nasz translingwator może działać w odwrotną stronę, jako nadajnik. Wystarczy podłączyć go do KróloTermitki.

— Nie podoba mi się ten pomysł.

— Na szczęście nie masz nic do gadania, homiku — syczy były PracTech. — Widziałeś, co owady zrobiły z naszymi gatunkami? Nie miały litości ani skrupułów.

— Mimo wszystko są to jednak rozumne stworzenia — Szóstka czepia się najróżniejszych argumentów. — Pomyśl, Inspek. Wprawdzie ludzie i szczury przegrały, ale kto wie, co wyda cywilizacja insektów, dziś nam nieprzyjazna? Może za tysiąc lat owadzi mędrcy powoływać się będą na nasz dorobek? A może osiągną więcej od nas?

— Z drogi, kurduplu — brzmi jedyna odpowiedź.

— Błagam! — młodzieniec chwyta szczura za łapy.

— Precz, głupi!

Celny cios rzuca Szóstkę na glinianą polepę. Inspek uśmiecha się. Mały dureń jeszcze mu się przyda, jeśli w jego ciele ukryje się biowzmacniacz traslingwatora, a całość rzuci KróloTermitce na pożarcie — przekazanie pożądanych komend nie powinno nastrożyć trudności.

* * *

Wściekła zadymka, ograniczająca widoczność do paru metrów ustała o świcie. Zziębnięci ludzie wygrzebali się z legowiska w załomie skalnym. Lodowaty ziąb zmroził ich do szpiku kości, a ciepło własnych ciał i kolektywny śpiwór ze szczurzych skórek nie rekompensował utraty energii. Wschód słońca powitali jak zbawienie. Nagle ucichł wiatr i malownicze turnie, wyrastające ze śnieżnych kołnierzy, stały się dziwnie przyjazne. Na tej wysokości przynajmniej nie musieli obawiać się termitów. Od przełęczu położonej na granicy trzech tysięcy metrów dzieliło ich nie więcej niż parę godzin marszu. Alonso polecił ludzikom zagotowanie wody i przygotowanie posiłku, sam zaś ruszył w dolinę po resztę sprzętu, który nocą musieli tam pozostawić. Schodził szybko i już po chwili stał się niewielką figurką na tle śnieżnej płaszczyzny.

— Czy was też wypytywał o ostatnie spotkanie z Fallerem? — Trzynastka zwraca się do Ei i Doxa.

— To chyba naturalne — odpowiada naukowiec.

— Ale jakie niebezpieczne. Obawiam się, że pan Alonso postanowił przeprowadzić śledztwo i za wszelką cenę dociec prawdy. Teraz porównuje nasze zeznania, szuka w nich niezgodności.

— Zastanawiam się, czy sami nie powinniśmy go z nią zapoznać — stwierdza Ea. — Może zrozumie.

— Ale wpierw ukręci nam łby. Nie widzieliście go w akcji, ja widziałem, w ataku gniewu bywa nie lepszy niż Faller.

— Zatem nie mówmy mu nic.

Trzynastka kręci głową.

— Tego nie można tak zostawić!

Co zawlokło grupkę uciekinierów w niebotyczne góry? Legenda, stara mapa i nadzieja. Wiązała

się ona z historią popularną wśród homów wędrownych. Ponoć jakieś dwadzieścia wiosen temu w Zielonej Kotlinie wylądował dziwny pojazd, srebrzysty dysk. Nikt nie wie, kto i kiedy nim przybył, jednak zwiad sprzed miesiąca wskazywał, że kosmiczny wehikuł nadal leży na śródgórskiej łączce.

— Intuicja mi mówi, że powinniśmy go zbadać — stwierdził mały człowiek — A kiedy w Szczurotece odnalazłem mapę z dokładną lokalizacją, jak oni to nazwali „latającej serownicy”, moje przeczucia przerodziły się w pewność.

— Wiele nie ryzykujemy — zgodził się Prof. — Przed upadkiem ludzkiej cywilizacji też obserwowano wzmożony ruch latających talerzy.

— Patrzcie, Alonso już wraca — zawołała Ea.

W rzeczy samej, objuczona postać Alonsa pojawiła się na tle przysypanego śniegiem żlebu. Szedł pewnie, stałym rytmem wytrawnego alpinisty.

— Dam mu znać, że śniadanie stygnie — Trzynastka ściągnął z pleców raketnicę.

— Co ty robisz? Nie! — zawołał Prof.

Echo wystrzału zagrzecotało wśród skał, pocisk zaś trafił dokładnie w nawis śnieżny u szczytu żlebu. Biała masa drgnęła i zaczęła się obsuwać w dół, ogromniejąc z każdym metrem. Huk wypełnił dolinę. Alonso musiał zauważyć niebezpieczeństwo. Przewrócił się i zaczął zjeżdżać na siedzeniu w kierunku najbliższych skał. Wydawało się, że zdąży. Jednak śnieżny jęzor był szybszy. Zagarnął najemnika, zakręcił i poniósł ku krawędzi przepaści. Po chwili wszystko znikło w białej kurzawie.

— Mój Boże! Zabiłeś go, ty draniu — krzyknęła Ea, kryjąc twarz na piersi Profy.

— Ja? — zdziwił się Trzynastka. — To był nieszczęśliwy wypadek. Całe życie marzyłem, żeby zobaczyć prawdziwą lawinę. Poza tym Alonso nie był nam już wcale potrzebny. Dochodzimy do celu.

— To było podłe — Dox, nie przestając gładzić Ei po włosach, popatrzył na swego wychowanka z odrazą.

— Podłe? Powinniście mi jeszcze podziękować, że odważyłem się za was całą brudną robotę.

Koło południa dochodzą do przełęczy. Najtrudniejszy jest ostatni odcinek, kilkudziesięciometrowy komin. Zbliżając się do niego, zarówno Trzynastka jak i Prof przypatrują się skalnym ścianom z rosnącym niepokojem.

— Nigdy się tam nie wdrapiemy — narzekają.

— Ja wam pomogę. — Ea jest zręczna i sprawna jak kozica. Z liną na plecach, rozpierając się o ściany komina, zwinnie wdrapuje się — na szczyt.

— Co za widoki, przygotujcie się, że oszalejecie z zachwytu! — woła, spuszczaając linę. Powoli

wciąga na górę Trzynastkę. Potem ich plecaki. Wreszcie przychodzi kolej na Profa. Mimo niewielkich rozmiarów naukowiec jest dość ciężki i niezręczny. Ea poczerwieniała z wysiłku.

— Pomogę ci — słyszy głos młodzieńca. Odwraca głowę i widzi błysk siekierki uderzającej w linę.

— Niece!!!

Ciało małego naukowca koziółkując, spada w dół, potem odbija się jeszcze raz i niknie w szczelinie lodowca. Ea chce rzucić się z gołymi rękami na Trzynastkę. Ten unosi czekan i szczyrzy zęby w uśmiechu.

— *Spokojnie, mała, beze mnie nie odnajdziesz talerza.*

— Zapłacisz za to, zabiłeś najmądrzejszego, najlepszego z ludzi. (Po Habilu — dodaje w myślach.)

— Musiałem, stał między nami. A ja, choć nie jest to najlepsza pora na tego rodzaju deklaracje, kocham cię, Ea.

Dziewczyna zagryza wargi. Zakłada swój plecak. Czeka ją wielogodzinne schodzenie w dolinę. W kompletnym milczeniu.

* * *

Było to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie, ciepła, rozświetlona dolina ukryta wśród gigantycznych wierchów. Spękany jezior lodowca lśnił delikatnymi odcieniami zieleni, błękitu i różu. Gdy zeszli niżej, ujawnił się potok bijący spod lodowego giganta. Wśród karłowatej roślinności kwitły barwne kwiaty, tu i ówdzie strugami gorącej pary strzelał potężny gejzer, a malownicze jeziora przypominały okruchy lustra, porozrzucane na zielonej murawie łąki. Odbijało się w nich niebo i turnie, i chmury. Ea jednak zdawała się nie widzieć owej niezwyklej urody natury. Czowała jakby coś w niej definitywnie pękło. Odczuwała dojmujący ból, nie potrafiła jednak nawet płakać, a idący obok niej Trzynastka wzbudzał, bardziej niż gniew, wstręt i politowanie.

Młodzieniec parokrotnie usiłował zagadać do dziewczyny, nie zareagowała. Dał spokój. Wiedział, że jeśli odczeka, to prędzej czy później wyjdzie na swoje. Zlikwidował konkurencję, Ea była na niego skazana.

Najpierw ujrzeni słoneczne błyski. Mogło się wydawać, że oto wśród kosodrzewiny skryło się jeszcze jedno polodowcowe oczko. Talerz nie był specjalnie wielki, miał najwyżej piętnaście metrów średnicy i trzy metry grubości pośrodku. Dobrą chwilę patrzyli na niego w osłupieniu, a potem wzrok Ei skierował się ku dużej białej skórze wiszącej na krzaku.

— Prof! — wyrwało jej się z ust.

— Niestety, nie — dobiegł z boku głos cichy i bezpłciowy — a więc dotarliście aż tutaj.

Odwrócili głowy. Na skraju strumyka siedział jaskrawozielony kłębek materii nieokreślonego pochodzenia i struktury, i moczył pięć ze swoich dziesięciu odnóży. Trzynastka sięgnął po miotacz.

— A po co to? — powiedział quasigłowonóg i miotacz porwany niewidzialną siłą wyfrunął z rąk chłopaka. — Trzynastka i Ea, jakże się cieszę, że przynajmniej wy uszliście z tego cało.

— Znasz nas? — zdumiała się dziewczyna.

— Bardzo dobrze — wietrząca się skóra sfrunęła z krzaka, opatuliła głowonoga i po chwili siedział przed nimi ich stary, dobry znajomy.

— Asys?

— Tak mnie tu nazwali. Po prawdzie lepszym mianem był Obserw. Obserwowałem, nie mogąc nic zrobić. Taka już moja nieszczęsna rola — pociągnął nosem — czy w Laborze, czy w szpitalu mogłem tylko wypełniać swoje obowiązki. Najlepiej jak mogłem, nic ponadto. Pod groźbą autodestrukcji nie wolno mi było wkroczyć jako siła zewnętrzna, przestrzec ludzi, przemówić do rozsądku szczerom, powściągnąć insekty.

— Zaraz — przerywa mu Ea — byłeś przecież mediatorem.

— Wyłącznie w ramach waszych upoważnień. Serce mi się krajało, kiedy widziałem, jak wszystko idzie ku zagładzie. Ale obowiązywała mnie zasada nieinterwencji. No i stałem się świadkiem końca wszystkiego.

— Jak to wszystkiego? — wrywa się Trzynastce. — Przecież insekty wygrały.

— Masz nieaktualne dane. Wczoraj, gdy walczyliście z zadymką, doszło do dziesięciu niekontrolowanych reakcji jądrowych. Główne centra termitów przepadły. Wszystkie KróloTermitki i ich samce nie żyją.

— I co teraz?

— Moja rola jest zakończona. Miną wieki, może tysiąclecia zanim pojawi się tu jakaś nowa cywilizacja warta obserwacji. Ale myślę, że nieco naciągając mój regulamin, mógłbym zabrać kogoś ze sobą, jako eksponat, pamiątkę po cywilizacji, która mogła sięgnąć gwiazd.

— Zabierzesz nas — w głosie Trzynastki pojawia się nadzieja — dobrodzieju?

— Niestety, mam tylko jedno miejsce dla pasażera.

— W takim razie... — młodzik zrobił krok do przodu.

— Panie mają pierwszeństwo.

Trzynastka blednie, ale Ea kręci głową.

— Niech leci. Ja tu zostanę.

— Tu? — zdumiewa się Asys. — Tu czeka cię tylko trud, choroby, rychła śmierć.

— Uważasz, że wszyscy ludzie zginęli?

— Wszyscy chyba nie. Tu i ówdzie mógł ktoś ocaleć.

— A zatem zostanę, odszukam ich i spróbuję raz jeszcze.

— Życzę powodzenia na nowej drodze życia — mówi Asys i podawszy jej łapkę, całuje drobną dłoń.

Trzynastka tylko uśmiecha się pogardliwie.

Podnoszą się klapy talerza i z wnętrza wybiega Dox! Żywy, odmłodniały o jakieś dziesięć, może piętnaście lat. Chwyta półprzutomną Eę w ramiona.

— To niemożliwe — mamroce jego niedawny rywal — ja zwariowałem.

— Nasza medycyna dysponuje pewnymi możliwościami — Asys nie kryje samozadowolenia. — Czasami po zakończonej misji można pozwolić sobie na działania niekonwencjonalne w zakresie reanimacji, chirurgii i gerontologii.

* * *

Wysoko nad łączkę wzbił się srebrzysty krążek. Zatoczył łuk i po chwili utonął w bezmiarze nieba. Po dziesięciu tysiącach lat wiernej służby Asys, zielonkawy kłębek myślącej substancji nieorganicznej, wracał do domu. Z oddali dochodziła muzyka z jego galaktyki. Meldował:

— Moja misja została zakończona. Niestety, Laboratorium numer osiem okazało się chybioną inwestycją. Myślące organizmy białkowe nie mają przed sobą większej przyszłości. Ze względu na specyficzną strukturę aminokwasów, w każdej z tych żywych istot zakodowana jest jej śmierć (co za antynaukowy paradoks), a w każdym gatunku jego zagłada. Porównajcie raport poprzedniego Obserwa o dinozaurach. Zawiodły ssaki, a nawet owady, z którymi Komitet wiązał pewne nadzieje. Oczywiście, gdyby nie kategoryczne dyspozycje kierownictwa, mógłbym interweniować i ocalić ich od zguby. Ale na jak długo? Poprzestałem więc na roli Obserwa, włączając promienie mutacyjne jedynie dwukrotnie, tak jak ustalono; raz — by stworzyć na bazie człowieka pierwotnego człowieka rozumnego (operacja Adam), a potem — gdy przyśpieszyłem mutacyjny rozwój szczurów. Termity

powstały jako niekontrolowany produkt uboczny ostatniego promieniowania. Szkoda, że nie mogłem działać, ani kiedy załamywał się świat ludzkiego antyku, gdy padała cywilizacja XXI wieku czy teraz. Doskonale rozumiem, że są to normalne koszty eksperymentu. Choć trochę żal. Na potrzeby dydaktyki wiozę ze sobą jednego mikrohoma. Początkowo myślałem o umieszczeniu go w galaktycznym zoo, biorąc jednak pod uwagę, że jest to istota o zdecydowanie podłym charakterze, uznałem, że bezpieczniej będzie go wypchać.

Wirujący krążek nabiera rozpędu. Przygotowuje się do opuszczenia Układu Słonecznego. Jego pilot melduje co jakiś czas:

— Mijam Marsa — Laboratorium numer siedem, Planetoidy — resztkę po Laboratorium numer sześć, Jowisza numer pięć, Saturna — cztery, Urana — trzy, Neptuna — dwa, Plutona — jeden. Wychodzę z Układu. Halo, halo, słyszycie mnie? Sprawę Laboratorium numer osiem należy na czas dłuższy pozostawić własnemu biegowi i odłożyć definitywnie ad acta.

A co będzie dalej? Czy Dox i Ea odegrają rolę Adama i Ewy nowej ludzkości? Czy na kontynencie za oceanem przetrwa ludzka cywilizacja w znacznie lepszym wydaniu? Czy w następnej kolejności historyczną szansę dostaną gąbki lub skorupiaki? Kto to może wiedzieć? Jeden Pan Bóg, no i chyba Nasz Ulubiony Ciąg Dalszy, który, jak to z Ciągami Dalszymi bywa, ciągle następuje, następuje, następuje...

listopad 1977 — czerwiec 1978 — marzec 2002

Numer

*Wszystko można w końcu sprowadzić
do mniej lub bardziej korzystnej konfiguracji cyfr.*

Numer

Numer jest dzieckiem późnej „Sześćdziesiątki”. Trzydzieści odcinków radiowego serialu powstało między grudniem 1978 a marcem 1979. Wesoły magazyn, mimo działań cenzury, stawał się w tym czasie coraz bardziej audycją satyryczną. Prawie opozycyjną. Jacek Fedorowicz stworzył aluzyjną „Dyrekcję Cyrku w Budowie”, a ja uruchomiłem cykl „Antybaśni”. Pod skorupą PRL-u działał KOR i ROPCiO, należeliśmy do wiernych odbiorców podziemnej bibuły. Było już po wyborze Polaka na Papieża, a przed jego pierwszą Wielką Pielgrzymką. Atak zimy w noc sylwestrową obnażył bezlitośnie stan Gierkolandu, aspirującego do statusu Trzeciej Potęgi Światowej.

Jako autor wiedziałem już więcej o fantastyce niż w czasach „Matriarchatu „ i „ Świnki”, dostrzegałem w pełni możliwości, jakie daje kamuflaż SF dla pisania o problemach otaczającego nas świata. W konwencji realistycznej cenzura nie dałaby nawet pomyśleć, a co dopiero napisać, o antyutopii o idealnym Systemie, zaczynającym od szczytnych ideałów, a kończącym na terrorze, zniewoleniu człowieka, o świecie zamienionym w jeden wielki łagier.

Dziś z pewnością tak bym tego nie napisał. Dziś już wiem, że hasło „ teoria fajna, tylko praktyka nie najlepsza „ wymyślili cwani manipulatorzy, ponieważ zło kryło się już w samej teorii, w zwodniczym hasle Równości i ryzykownym Kulcie Rozumu zamiast Boga. Wtedy jeszcze kołatały we mnie resztki lewicowych iluzji.

Sam pomysł był niejako autopolemiką z własnym pomysłem — numeryczności.

Kiedyś, jeszcze w liceum, wymyśliłem sobie taki system społeczny, pozornie idealny, w którym każdy człowiek znalazłby swoje miejsce w społeczeństwie, wyznaczone przez testy na inteligencję. Korciły mnie takie pomysły, kiedy indziej, wspólnie z kolegą, zacząłem wymyślać sztuczny język o nazwie... AMIRANDA.

Na szczęście studia i życie w PRL-u dały mi odpowiedni dystans do młodzieńczego pomysłu. Zrozumiałem, dokąd prowadzą „projektowane systemy „, że niekontrolowana władza absolutna może zdeprawować nawet Super-Komputer. I tak utopia stała się anty-utopią.

Oczywiście, pisząc „Numer”, nie wiedziałem, czym naprawdę jest komputer. Nawet kalkulatora nie widziałem na oczy. Stąd całkowicie dowolny stosunek do techniki. A fabuła? Właściwie stworzył ją przypadek. Początkowo miała być to krótka historia Jana Miliona, który przez przypadek został Dziesiątym. W drugim odcinku, aktor grający Miliona — Wieńczysław Gliński — zrezygnował. Poradziłem sobie, zatrudniając Tadeusza Rossa, znakomitego w parodiach, który podrabiał głos Miliona — Glińskiego. Niestety, okazało się po następnym odcinku, że wyjeżdża na tournée do Ameryki. Nie miałem aktora mogącego udawać Rossa parodiującego Glińskiego — stworzyłem bohatera pomocniczego, Dina.

I tak powstała kilkuwątkowa story, starająca się znaleźć odpowiedź na pytanie, nurtujące moje pokolenie — jak to się wszystko może skończyć?

Rozdział I

Max zniknął dokładnie w tydzień po siedemnastych urodzinach Dina.

Zagadkowa sprawa. Jak mógł zniknąć najweselszy chłopak 1523 Kręgu, wysoki i muskularny blondyn — mistrz w grach i ćwiczeniach? Din, podobnie jak większość chłopców, podziwiał kumpla i trochę mu zazdrościł. Poza doskonałymi współrzędnymi numerycznymi Max był niezastąpiony jako partner w rozmowie. A w czasach, kiedy z ust młodzieży wyrywały się najczęściej onomatopieczne wykrzykniki emocjonalne, stanowiło to umiejętność rzadką, choć wedle wielu niepotrzebną. Bywało, kiedy pod dwóch godzinach wysiłkowni cały krąg relaksował się przed kolektywnym oglądnikiem, obaj przyjaciele siadali w kącie sali rekreacyjnej (jeśli można mówić o kątach w pomieszczeniu o kształcie elipsoidalnym) i dzielili się swoimi refleksjami.

— Wiesz, Din — zwierzył się tamtego dnia — nurtuje mnie pytanie, czy rzeczywiście nasze życie musi być bezalternatywne?

— Przecież nie jest, możemy do woli wybierać pożywienie, rozrywki, zainteresowania.

— Ale wyłącznie w granicach zakreślonych harmonogramami i numerycznymi współrzędnymi. A jeśli ktoś chce sięgnąć poza nie?

— Po co?

— Choćby tylko po to, żeby spróbować mieć niezależne zdanie.

— Co to znaczy mieć niezależne zdanie? — zdziwił się Din — Przecież jeśli działamy zgodnie z poleceniami naszych wychowawców, według wskazówek Odbiorników Indywidualnych, to znaczy, że wybieramy optymalny wariant postępowania. To coś, co nazywasz własnym zdaniem — gdyby nawet mogło istnieć — byłoby po prostu błędem, szkodliwą fantazją.

Max przez moment milczał, potem pokręcił głową.

— Tak mówi każdy. I to właśnie mnie zastanawia. Czy aby wszyscy mówią nam wszystko? Czy nigdy nie zastanawiałaś się, po co istniejemy, dokąd dążymy?

— Na takie pytanie natychmiast możesz dostać kompetentną odpowiedź — Din wskazał na Indywidualne Odbiorniki, kołyszące się na obrożach każdego z chłopców. Słyszając, że o nich mowa, drgnęły, a ich przy gaszone oczka poczęły zwolna się rozjarzać.

— Dziękuję. Otrzymam encyklopedyczną odpowiedź, że życie jest realizacją niepowtarzalnego, osobistego numeru w czasie i przestrzeni. Będzie to, jak zwykle, odpowiedź jednoznaczna, aseptyczna, antykonceptyjna. Mówię ci, coraz częściej dość mam tego życia termita, który nawet wygląd własnego kopca musi przyjmować na wiarę.

W tym momencie oczko Indywidualnego Odbiornika Maxa spurpurowiało. Zawsze zmieniało barwę, reagując na polecenia swego nosiciela, rzadziej z własnej inicjatywy. Chłopcy zamilkli, oczekując na głos z pouczeniem, informacją bądź przestrogą. Automat jednak musiał się rozmyślić, bo oczko przygasło, a z głośniczka nie dobiegł nawet najcichszy dźwięk. Tymczasem zabrzmiał wibrujący motyw muzyczny wzywający na zajęcia.

Parę godzin później, po powrocie z posiłku w kabinie regeneracyjnej, polegającego na absorpcji odpowiedniej porcji pastylek i promieniowania, Din daremnie próbował wypatrzeć przyjaciela. Max nie pojawił się ani podczas meczu piłki grawitacyjnej (był znakomitym napastnikiem), ani podczas kolejnej pogadanki.

Wreszcie, kiedy wszystkie próby odszukania przyjaciela zawiodły, Din podszedł do wychowawcy, chudego wyschłego osobnika przypominającego bardziej Aparat Edukacyjny niż żywego człowieka i zapytał go o prymusa. Belfer w pierwszej chwili jakby nie dosłyszał pytania, jego oczy nie zmieniły wyrazu, może ledwo dostrzegalnie drgnęły mu szczęki. Chłopak powtórzył:

— Gdzie jest Max, panie profesorze?

Wychowawca zaczął się dziwnie rozglądać, chrząkać, gdy nagle odezwał się jego Odbiorniczek.

— Został przeniesiony do innej, wyższej grupy — głos był ciepły, kojący, wiarygodny, pomimo lekko metalicznego zabarwienia.

— Ale jaki był powód tego przeniesienia? I dlaczego nie mogliśmy się nawet z nim pożegnać? — pytał Din, a ponieważ odpowiedzi nie było, ciągnął dalej: — Chciałbym się dowiedzieć, na jak długo i dokąd go przeniesiono? To przecież mój przyjaciel. W czasie przeznaczonym na relaks chciałbym go odwiedzić.

— Odwiedzin na dziś się nie planuje, pogadamy o tym kiedy indziej, chłopcze — tym razem odezwał się sam nauczyciel. Poruszył przy tym głową tak, jakby chciał dać znak nastolatkowi, żeby się oddalił. Din nie miał zamiaru tak szybko rezygnować, jednak właśnie otoczył go wesoły krąg kolegów.

— Chodź prędko! Dają nową, świetną szołowiznę! Ruszył w stronę oglądnika. Śledząc zwariowane przygody serialowych bohaterów, zapomniał o dręczących go pytaniach.

Dwa dni później przypadała pierwsza sobota miesiąca i, jak zwykle, szkoła skierowała go do domu na tak zwaną „dobę familiaryzacyjną”. Nikt nie przepadał za tym dniem i Din nie należał do wyjątków. W nauczalni, wśród kolegów, unosił go nieustanny strumień zabaw, z rzadka zakłócanych jakimiś ćwiczeniami, natomiast w sześcianie mieszkalnym nieodmiennie spotykał dwójkę apatycznych osobników, nazywanych ojcem i matką, z którymi nie łączyło go zupełnie nic.

— No i jak twoje postępy w nauce? — zadawał rytualne pytanie ojciec.

Parę lat wcześniej syn natychmiast zaczynał informować go o aktualnych współrzędnych numerycznych, ale kiedy podrósł, zauważył, że „stary”, cały czas zajęty śledzeniem programów w

oglądniku, w ogóle nie czeka na odpowiedź, toteż ograniczył się do równie szablonowych odbąknięć — nieźle, jako tako, pomalutku.

Matka bywała nieco serdeczniejsza, wstawiała z pufy, całowała chłopca, powtarzając niezmiennie:

— Jak urosłeś, jak zmężniałeś.

Din obliczył, że gdyby to stwierdzenie odpowiadało prawdzie, w ciągu tych kilku lat powinien osiągnąć rozmiary olbrzyma. Nie robił jednak żadnych uwag, tylko dołączał do rodziców i oddawał się śledzeniu trójwymiarowych obrazów przez bite 24 godziny „familiaryzacji”.

W ów sobotni poranek wsiadł do ekspresowej pneumii i ruszył w stronę rodzinnego sześcianu. Siedząc sam w elastycznym wnętrzu pojemnika, oderwał na moment myśli od turnieju piłki grawitacyjnej (rozgrywanego w komorze ze sztuczną nieważkością). Znów przypomniał sobie Maxa. Uruchomił Indywidualny Odbiornik, który mógł również spełniać funkcję wideofonu i podał numer ojca przyjaciela. Coś zachrobotło, po czym rozległ się metaliczny głos „anioła stróża”:

— Nie ma takiego numeru, nie ma takiego numeru! Pneumia dostarczyła Dina wprost do sześcianu mieszkalnego. Wszedł energicznie, oczekując pocałunku matki i standardowej odżywki ojca, zamiast tego jednak uderzyła go zdumiewająca cisza. Oglądnik był wyłączony. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów matka nerwowo spacerowała po pomieszczeniu. W ogóle nie zauważyła przybycia syna.

— Dzień dobry, mammo!

— A dzień dobry, dzień dobry — musnęła go ustami w policzek.

— Nie powiesz, że urosłem i zmężniałem?

— Co? Aha, tak, rzeczywiście.

Zaskoczony jej psychiczną nieobecnością Din zaczął dopytywać się, czy coś się stało? Pytanie było dosyć głupie, bo co mogło się stać w idealnie zaprogramowanym świecie? Toteż ukonkretnił je: gdzie podział się ojciec?

— Niedługo powinien być, na pewno niedługo. — Jak gdyby obudzona z długiego snu stanęła przed chłopakiem i obejrzała go uważnie.

— Robisz się bardzo podobny do Jana. Był chyba tylko trochę niższy, kiedy poznałam go dwadzieścia lat temu.

Młody człowiek ze zdumieniem skonstatował, że po raz pierwszy słyszy od matki coś na temat czasu, dotychczas poruszali się wyłącznie w teraźniejszości.

— Dwadzieścia lat temu zbulwersowaliśmy wszystkich, zakochując się bez oczekiwania na dobór programowany.

Być może dowiedziałby się znacznie więcej, gdyby nie wysoki dźwięk zwiastujący przybycie pneumii.

Wrócił ojciec. Twarz miał rozpromienioną, pełną satysfakcji.

— Jednak awans! I to jaki! — wołał. — Trochę obawiałem się tych najnowszych testów, tymczasem poszło mi znakomicie, a ponadto po uwzględnieniu mojej dotychczasowej postawy i osiągnięć, zostałem zweryfikowany dodatnio. Od dziś, kochani, nie nazywam się Jan 23261345, tylko... Przeczytajcie sami — wskazał na plakietkę identyfikacyjną, wprasowaną w czoło, podobnie jak u każdego dojrzałego osobnika.

— Gratulacje, Janie Milionie! — zawołał pierworodny.

Jak za dotknięciem laski czarnoksiężskiej przysł nastrój zdenerwowania, Jan Milion włączył nawiew fluidów szampańskich (regulamin zezwalał na korzystanie z nich najwyżej cztery razy do roku, podczas najważniejszych świąt i uroczystości) i po chwili cała trójka znajdowała się na rozkoszonym rauszu. Nie bez powodu — awans stanowił olbrzymi skok, o ponad dwadzieścia milionów miejsc w społeczeństwie. Pani Janowa pomyślała nie bez satysfakcji o swych sąsiadkach z sześcianów 23261344 i 23261346:

— Popękają z zazdrości!

Oczywiście zdawała sobie sprawę, że z awansem wiązą się dogłębne zmiany — w ciągu trzech dni trzeba będzie przenieść się na wyższą kondygnację, do sześcianu, a może prostopadłościanu o zupełnie innych (oczywiście podwyższonych) gabarytach. Na pewno też otrzymają zwiększone przydziały ruchomości, energii. Gotowa była natychmiast zabrać się za pakowanie.

— Na wszystko znajdzie się czas — powiedział ojciec — dziś korzystając, że jest z nami Din, zrealizujemy zaległy talon turystyczny.

— Co takiego? — zaciekawił się młody człowiek.

— Bon uprawniający do wycieczki na taras widokowy znajdujący się nad naszym megablokiem. Przechowywałem go właśnie na taką, wielką okazję.

— Wspaniale! A powiedz, tato, byłeś kiedykolwiek na zewnątrz megabloku?

— Owszem, w dzieciństwie byłem na tarasie razem z rodzicami. Później, przyznam się, nigdy mnie tam specjalnie nie ciągnęło. W megabloku jest tysiąc poziomów.

— I wszystkie prawie identyczne — zauważyła matka. Korzystając z tego, że oglądnik był wyłączony, Din zaczął zasypywać rodziców pytaniami. Rychło dowiedział się, że swój awans ojciec zawdzięcza częstym rozrywkom intelektualnym, stanowiącym jego hobby (do życia były przecież zupełnie niepotrzebne), a także ćwiczeniom gimnastycznym w komorze treningowej (na ich piętrze przypadała jedna na 100 sześcianów). Ktoś mógłby pomyśleć, że dzięki swemu hobby Jan posiadał całą masę znajomych. Było inaczej, nie zdarzyło się dotąd, żeby ktoś ćwiczył razem z nim. Jediną istotą, z którą czasem wymieniał grzecznościowe „dzień dobry”, był automat, dozorca aparatury

sportowej. Podobnie było z kontaktami międzyludzkimi. Rodzina nie należała do towarzyskich. Mimo że oglądnik pozwalał na natychmiastową łączność wizyjną z każdym mieszkańcem świata, Jan sporadycznie łączył się ze swym bratem, który jako mniej uzdolniony pozostał gdzieś na dolnych piętrach supermiasta. Utrzymywali też, głównie dzięki pani Janowej, kontakt z sąsiadami z prawa i lewa, poza tym był jeszcze zwierzchnik, burkliwy sześciocyfrowiec, który pojawiał się w ich oglądniku raz na miesiąc i wydawał dyspozycje, oraz stary kolega z nauczalni imieniem Piotr. Na nich lista znajomych się kończyła.

Tymczasem rozmowa zesłała na temat numeru. Din zdawał sobie sprawę, że porządek numeryczny stanowi esencję ich świata, nigdy jednak nie zastanawiał się nad praktycznymi implikacjami tego faktu. Wiedział, że z chwilą uzyskania pełnoletności będzie musiał przejść szereg testów psychofizycznych, które ustalą jego wymierne i niepodważalne miejsce w społeczeństwie, zgodne właśnie z numerem porządkowym. Numerem, który będzie mógł ulec zmianie najwcześniej po roku, to znaczy po następnym teście. Dopiero teraz ojciec uświadomił mu, że właśnie ów numer będzie decydował o wszystkim w życiu: przydziale pracy, mieszkanek, jakości zaopatrzenia, prestiżu.

— Od przeszło stu lat, synu, wszyscy na świecie posiadają swe numery porządkowe. Obecnie od 39 miliardów do pierwszego.

— A kto jest Pierwszym? — natychmiast zainteresował się Din.

— Skąd mogę wiedzieć, w ogóle tylko raz w życiu widziałem trzycyfrowca i to w oglądniku, mój szef jest zaledwie sześciocyfrowcem.

— Czyli kiepsko wylądowałeś?

— Mogło być gorzej, na maturze uzyskałem status ośmiocyfrowca i to było całkiem niezłe. Ostatecznie debile dostają 11 cyfr.

Tu wtrąciła się matka:

— Jesteś zdolny, Din, jeśli będziesz równie pracowity i posłuszny, być może dorobisz się pięciu cyfr. Byłabym taka dumna!

— Jeśli będę posłuszny komu?

Jan Milion z przyzwyczajenia popatrzył na Indywidualny Odbiornik i zaraz zmienił temat. Zaczął opowiadać o dzisiejszych testach, ich rodzajach i swoich osiągnięciach.

— A czy można awansować w inny sposób? — zapytał nastolatek.

— Na tym polega genialność naszego systemu, że nie. Pełna bezstronność, wymierność i doskonałość. Żadnych luk. Nawet miejsce w kolejce po przeszczepę zależy od numeru porządkowego.

— Podobno pierwsza setka ponumerowanych jest praktycznie nieśmiertelna — wyrwało się matce.

— I tak chyba jest najsprawiedliwiej. Pomyśl, synu, przez wiele epok świat próbował walczyć z przyrodzoną nierównością, ludzie walczyli o swoje pozycje, o władzę. Intrygowali, mordowali się i przeżywali frustracje, ponieważ prawie każdy był niezadowolony z miejsca, jakie zajmował w społeczeństwie i wiecznie uważał się za pokrzywdzonego. Wspomniane miejsca zależały od urodzenia, od pieniędzy albo od własnej siły przebicia. Owo chroniczne niezadowolenie było powodem wojen i rewolucji; dlatego wynalazek intelektualnej numeryczności stał się błogosławieństwem naszego gatunku. Dziś każdy, bez żadnych niedomówień, bez protekcji, zna swoje miejsce wyznaczone przez wynik w testach. I wie, że zajmuje je sprawiedliwie. Ta świadomość od przeszło stu lat zapewnia nam stabilizację, spokój i szczęście.

Chłopak słuchał z wypiekami na twarzy. Z ojcem gadało się lepiej nawet niż z Maxem.

— Skąd o tym wszystkim wiesz, tatusiu? — wykrztusił wreszcie.

— Z historii.

— Z czego?

Przez głowę Miliona przebiegła myśl, że za dużo mówi i niepotrzebnie mąci chłopakowi w głowie. Przed piętnastu laty historię, jako dziedzinę niedoskonałą numerycznie, wycofano z programu nauczania. Jej elementy wypleniono również z literatury i sztuki, która odtąd realizowała się w beczasowej przestrzeni. Czy nie było to słuszne? Sam, kiedy opuszczał nauczalnię wyedukowany jeszcze według starego programu, miał trudności z dostosowaniem się do zasad. Dodatkowo skomplikowała mu życie sprawa z matką, w której zakochał się na przekór regulaminowi; niewiele brakowało, a zesłano by go na samo dno. Do dziesięciocyfrowców.

— Opowiedz mi jeszcze o historii, tato!

— Innym razem, obiecałem wycieczkę, będzie więc wycieczka. Teraz wezwę pneumię. Historia, jak słusznie powiedzieliby w oglądniku, to „Wykaz nieprawidłowości w regulaminowym rozwoju populacji ludzkiej”.

— Podzielasz tę opinię?

— Nie mam nic do dodania. Najważniejsze to wiedzieć, że żyjemy w najdoskonalszym ze światów, w którym syn pierwszego może być ostatnim.

I na odwrót, bez klik, układów, koterii. Jedynie na podstawie własnych zalet intelektualno — fizycznych.

Zajechała pneumia pospieszna, Din jednak nie przestawał pytać.

— A właściwie dlaczego mama nie ma żadnego numeru?

— Kobietom nie przysługują numery — odparła matka — posiadamy jako oznacznik jedną z 28 liter, ja mam B. Litery te oznaczają różny stopień przydatności rodzinnej. Sam dobór małżeństw aranżuje testator genetyczny.

Tu urwała i westchnęła. Zresztą Din zaabsorbowany był już czym innym. Odbiciem ojca w srebrzystej ścianie pneumii. Szczególnie zabawnie wyglądała jego plakietka — zamiast 1000000, odbijało się 0000001!

Dojechali na szczyt dokładnie w momencie, gdy wyświetlacze umieszczone na ścianach pneumii wskazywały godzinę 13:20 ósmego czerwca 133 roku ery numerycznej.

Taras, przykrywający tysiącpiętrowy megablok, zamieszkiwany przez miliard ludzi, rozciągał się bezkresnie w każdym kierunku. Pokryty szachownicą gładkich dwubarwnych płyt wyglądał na całkowicie pusty. Dopiero mocno wysiliwszy wzrok, wypatrzyli w oddali grupkę takich samych szczęśliwców jak oni. No cóż, talony spacerowe dostawało się dwa razy w życiu, a widocznie nie wszyscy z nich korzystali.

Din spodziewał się, że ujrzy nad głową niebo, bezkresny kosmos, o którym tyle słyszał opowieści w oglądniku. Otrzymał półgodzinny seans, przegląd pór roku i rodzajów pogody. Doświadczył więc letniej burzy i małej zamieci ze sztucznym śniegiem, przez chwilę otulała ich mgła, spędzona suchym uderzeniem sirocca. Po jakimś kwadransie niebo ściemniało, ukazał się księżyc i konstelacje gwiazdne. Nim jednak przyjrzelisi się na dobre wirującej ekliptyce, znów zapaliły się światła brzasku.

Zdumienie spotkało się z rzetelną informacją Indywidualnych Odbiorników. Nieboskłon nad nimi był sztuczny, a to, co oglądali, stanowiło elementy stałego pokazu.

— Ale dlaczego nie widzimy prawdziwego nieba? — zapytał Din.

— Z oszczędności — padła metaliczna odpowiedź. — Ze względów ekonomicznych cała powierzchnia naszej planety pokryta jest koloniami jadalnych glonów, z których produkowane są pastylki żywnościowe. Resztę wolnego miejsca wypełniają baterie słoneczne. Teraz proponuję spacer, ale przypominam, że nie ma tu już nic więcej do zobaczenia, a zbyt długie przebywanie na tarasie może wywołać agorafobię.

Rozdział II

Po spacerze Jan Milion musiał pożegnać swego jedynaka. Akurat wypadały mu trzy godziny pracy, będącej raz na dziesięć dni prawem i zaszczytnym obowiązkiem pełnoletniego mieszkańca megabloku. Właściwie przy daleko posuniętej automatyzacji i nadprodukcji myślących robotów pracę ludzi można by uznać za zbędną, a jeśli pozostawiono ją w szczątkowym wymiarze, to chyba po to, aby stwarzać obywatelom wrażenie, że są jeszcze do czegoś potrzebni.

Sporadyczne zajęcia naszego bohatera, przynajmniej przed awansem, polegały na przeglądaniu kilometrowego odcinka tunelu wentylacyjno — energetycznego na poziomie 324b. Jedynym problemem, z którym musiał się tam uporać, były myszy. Sprawę przecieków, pęknięć, konserwacji błyskawicznie załatwiały myślące roboty. Wobec cwanych stworzonek okazywały się jednak zupełnie bezradne. Zastosowanie trucizn w tunelu wentylacyjnym było wykluczone, zresztą gryzonie wykazywały niezwykłą odporność na wszelkie trucie i w efekcie skutkowało jedynie fizyczne unicestwienie — główne zajęcie Jana Miliona.

Włazem przeciwpożarowym przedostał się do tunelu. Z konserwacyjnej szafki otwierającej się wyłącznie na początku i końcu jego dyżuru wyciągnął pas nośny, zaopatrzony w małe silniczki grawitacyjne, pozwalające na poruszanie się z dużą szybkością po korytarzach i sztolniach. Zapiął klamrę, potem wydobył z pokrowca miotacz dezintegracyjny, włączył grawitator i pomknął w głąb tunelu. Silne reflektory umieszczone na hełmie pozwalały śledzić przestrzeń przed sobą, obramowaną przez dziesiątki rur, kabli i przewodów, stanowiących układ nerwowy, krwionośny i limfatyczny megabloku. Chociaż Jan Milion pracował kilkanaście lat w sekcji dozoru konserwacyjnego, nigdy dotąd nie dotarł do końca tego labiryntu. Nigdy nie znalazł się na prawdziwej powierzchni ziemi, nie zstąpił też do najniższych poziomów, gdzie działały automatyczne siłownie i fabryki. Dobrze znał tylko kilkanaście najbliższych poziomów mieszkalnych, tworzących powtarzającą się wersję budowlanego tortu — wokół modułów mieszkalnych bieging tunele pneumii, korytarze sanitarne, klimatyzacyjne, promiennikowe. Na każdym poziomie z dużą regularnością rozmieszczone były sale ćwiczeń, baseny i tory spacerowe, zazwyczaj z jednym drzewem i kilku rachitycznymi krzewami; na dziesięć tysięcy sześcianów przypadła też jedna nauczalnia i lekarnia.

Chcąc odwiedzić muzeum (tak, ostało się jeszcze coś takiego) czy ogródek zoologiczny, trzeba było wybrać się na wyższe kondygnacje, to jednak wymagało uprzedniego zgłoszenia Indywidualnemu Odbiornikowi. Podobno były też biblioteki, ale Jan nie słyszał o nikim, kto by z nich korzystał, skoro w minutę po złożeniu zamówienia na ekranie oglądnika w sześcianie prywatnym pojawiał się zamówiony tekst, reprodukcja, mapa czy akt urzędowy. Podobnie można było zamówić sobie każdy film, dowolny fragment spektaklu zarejestrowanego na dowolnym nośniku czy też jakiegokolwiek wydarzenie z przeszłości, przechowywane w archiwum kronik. Z tym, że chyba mało kto korzystał z wymienionych udogodnień. Będąc młodszym, Jan parę razy prosił o filmy dokumentalne sprzed ery numerycznej, ale trzykrotnie przysłano mu widoczki z rezerwatu dzikich zwierząt, parę dokrętek etnograficznych o życiu dawnych ludów pierwotnych, a gdy bardziej sprecyzował swe zainteresowania, oglądnik wyświetlił napis: dokumenty uszkodzone, nie nadają się do domowego odtworzenia.

Bez przeszkód wykonywał swoje zadanie, gryzonię, wymiatane strugami światła, piszcząc usiłowały kryć się w ponurym galimatiasie przewodów, ale zreżnie unicestwiał je dezintegratorem.

Mniej więcej po półgodzinie dotarł do krzyżówki ze sztolnią LXXIV. Zrobiło się przestronniej, myszy ani śladu, zawiesił miotacz na ramieniu, spowolnił grawitandy i miękko osiadł na półce przy niszy, która ongiś, w czasach gdy budowano blok, musiała być zasilalnią, czyli, jak mawiali inżynierowie, „stołówką dla robotów”. Wszedł głębiej, chcąc na czymś przysiąść i przegryźć pigułkę relaksującą, gdy naraz bardziej poczuł, niż zobaczył, że w niszy ktoś już jest.

Zrobiło mu się nieswojo; przez wszystkie lata pracy nie spotkał na swej drodze żadnego człowieka, praca była znakomicie zaprogramowana tak, że nie istniała możliwość jakiegokolwiek przeszkadzania sobie w zajęciach.

— Czyżby robot?

Oświetlił niszę, ale intruz musiał zniknąć za jednym z potężnych słupów nośnych. Przez moment zastanawiał się, czy nie zwrócić się do Odbiornika, ale natychmiast zorientował się, że tu, na krzyżówce, istnieją zbyt silne pola zakłóceń, aby choćby marzyć o kontakcie. I naraz zza filaru doleciał szept:

— Wejdz głębiej, Milionie.

Jan uniósł na wszelki wypadek miotacz. Czuł mieszaninę strachu i ciekawości.

— Odłóż broń, Milionie, jestem twoim przyjacielem, czekałem na ciebie.

Za filarem siedział starszy mężczyzna o siwych włosach, z dziecinną latarką w ręku. Nie miał ani pasa grawitacyjnego, ani dezintegratora. I, co najbardziej szokujące, oczko Indywidualnego Odbiornika na jego szyi zaklejone było plastrem. Czyżby w świecie bezkryminalnym znalazł się jakiś przestępca?

— Śmiało, śmiało — uśmiechnął się siwowłosość — musimy pogadać.

— Ale... — Jan zawahał się — ja nie wiem, czy mi wolno.

— A kto panu zabroni, jakiś elektryczny pastuch? A może sam bezczelny, wynoszący się ponad ludzi, GLOK?

Na dźwięk imienia, którego nie wymieniano nawet w myślach, Milion skurczył się i zamarzył o ucieczce. Miał przed sobą jakiegoś wariata albo gorzej — zbrodniarza. Tymczasem potencjalny zbrodzień wyciągnął szczupłą rękę:

— Pan pozwoli, że się przedstawię, jestem 1984.

— Czterocyfrowiec — szepnął z podziwem Jan.

— Dla przyjaciół Ned — dokończył prezentację — szukałem pana blisko rok.

— Mnie?

— Powiedzmy precyzyjniej, kogoś z podobnym numerem! Sprawa jest niezwyklej wagi. Mówię w imieniu nieformalnej grupy czterocyfrowych naukowców, zajmujących się badaniami naukowymi.

— Przecież jakiegokolwiek badania są zabronione! — wykrztusił Jan — Tym zajmują się automaty.

— Są zabronione — powtórzył zgryźliwie Ned — i co z tego? A jeśli nie odpowiada nam układ stuprocentowych wymierności? Jeśli widzimy braki tego cudownego systemu, jeśli mamy podstawy do wątpliwości co do jego dobroczynności? Rozumiem, że brzmi to dla pana jak wodospad błuźnierstw. Podzielę się więc z panem kilkoma refleksjami. Jako czterocyfrowcy mamy zagwarantowaną pełną swobodę poruszania się po megabloku. Przynajmniej teoretycznie. Jednak od dobrych kilkunastu lat żadnemu z nas nie udało się opuścić megabloku. Sam próbowałem parokrotnie i za każdym razem pod różnymi pozorami byłem zawracany przez automatycznych strażników. Raz mówiono o trudnościach przewozowych, kiedy indziej o sezonowym ograniczeniu. W końcu udało nam się stwierdzić, że mimo ogłaszanych rozkładów jazdy pneumatyczne międzyblokowe nie funkcjonują, to znaczy jeżdżą puste do granicy megabloku, odczekują czas zgodny z rozkładem i wracają. Czy to normalne?

— Rzeczywiście dziwne.

— Proszę słuchać dalej. Od piętnastu lat nikt nie otrzymał choćby jednego zezwolenia do wyjścia na odkryty teren. I żaden z mechanicznych gadułów nie potrafił nam logicznie uzasadnić powodów odmowy. Poza tym w którymś momencie straciliśmy ochotę pytać. Paru naszych przyjaciół...

— Znikło?

— Niezupełnie, po kolejnych testach awansowało do pierwszej setki i kontakt z nimi się urwał. Podobnie jak od paru lat nie mamy żadnych możliwości porozumienia się z kolegami z ościennych megabloków, tak i oni po pierwszych entuzjastycznych wiadomościach nie dają znaku życia. Maszyny tłumaczą to usterkami na łączach, uszkodzanych właśnie przez gryzonie.

Milion czuł, że pot spływa mu pod kombinezonem. Wskutek braku połączenia z centralą biokontrolną nie włączały się automatyczne odwilżacze. Miał dość wrażeń jak na jeden dzień.

— Nie potrafimy postawić dokładnej diagnozy tego, co się dzieje — ciągnął dalej Ned — znamy tylko okruchy. Jak pan wie, całością naszego życia zarządza Globalny Komputer — znów bezceremonialnie wymówił imię Wszechobecnego, imię wymieniane jedynie podczas oglądnikowej liturgii. — Teoretycznie GLOK jest kontrolowany przez dwa niezależne systemy KONK i BEZK, a te podlegają setce najinteligentniejszych spośród nas. Kto jednak wie, jak jest naprawdę? Znałem wprawdzie paru ludzi, którzy awansowali do pierwszej setki, z żadnym jednak nikt nie ma łączności.

— Jest to chyba zgodne z regulaminem. Pierwsza setka powinna mieć spokój i swobodę dla swych poczynań.

— Tak mówią, ale czy zastanawiał się pan nad tym, że nikt stamtąd nie wrócił? A przecież z

wiekami potencja intelektualna każdego z nas słabnie, rozpoczyna się nieuchronny proces cofania: osobiście, po ostatnim teście, mimo nieprzerwanej pracy nad sobą cofnąłem się o dwieście miejsc w hierarchii. Jeśli tak dalej Pójdzie, niedługo stracę swobodę poruszania.

— A może prawo regresu nie dotyczy Pierwszej Setki? — zastanawiał się Jan.

— Przepisy numeryczne zostały ustalone jako niezmiennie. Nie możemy dłużej tolerować stanu niewiedzy. Czy pan wie, że nie wiemy nawet, gdzie znajdują się ci „wybrańcy”?

— Może na ostatnim piętrze.

— Sam mieszkam na ostatnim piętrze. Wyżej jest tylko sztuczny taras. Badaliśmy zagadnienie dosyć dokładnie i mogę panu powiedzieć to z pełną odpowiedzialnością: w naszym megabloku ich nie ma.

— A na zewnątrz wydostać się nie można.

— A zatem, co nam pozostaje? Ktoś musi sprawdzić, co się dzieje w kierownictwie świata.

Milionomalże roześmiał się. Pomysł był całkowicie nierealny. Istniały5 bariery elektroniczne, a Indywidualne Odbiorniki scalone z systemem GLOK—a spełniały funkcję wiecznie czujnych aniołów stróżów.

— Ale to tylko bezduszne maszyny, niezbyt trudne do oszukania — Ned ściszył głos. — Weźmy selekcyonerów informacji z zespołów testujących. Kilka z nich ma skorygowane przez nas programy, które pozwalają na drobne manipulacje. Jestem pewien, iż uda się dokonać lustrzanego przekształcenia pańskiego numeru. Z Miliona stanie się pan Dziesiątym. Członkiem Setki.

Jan zerwał się na równe nogi, nerwowo zamachał rękami.

— Proszę najpierw wysłuchać mnie do końca — głos siwowłosego brzmiał łagodnie, sugestywnie — to wielka sprawa, być może od powodzenia pańskiej misji zależy dalsze przeżycie miliarda mieszkańców megabloku.

— Ale dlaczego właśnie ja?

— Ma pan numer wyjątkowo łatwy do przekształcenia, gość nazwiskiem 100000 jest schorowany, a dziesięciomilionowiec to głupek usposobiony superlojalnie wobec GLOK—a. Poza tym jest pan ciągle młody, znakomicie rozwinięty fizycznie. I chyba wystarczająco odważny.

Ned urwał i zaczął nasłuchiwać. Z głębi sztolni ozwało się § monotonne buczenie, które nie zwiastowało niczego dobrego. Jan wysunął się na skraj półki. Zaraz oślepiły go zbliżające się reflektory. To sunęły czuje — duże automaty porządkowe o ósemce ramion uzbrojonych we wszystko, czym dysponowała najnowsza technika. Milion odwrócił się w stronę 1984, ale nisza świeciła pustką. Spiskowiec zniknął.

— Stało się coś, człowieku? Straciliśmy indywidualny kontakt — trzy czuje zatrzymały się na

wysokości półki, omiatając multiślepiami przestrzeń dookoła.

— Poczuję się zmęczony i musiałem odsapnąć — skłamał gładko Milion.

— Trzeba było zażyć regeneratora — pouczył środkowy z automatów i patrol począł się oddalać.

Jan zabrał się do pracy. Po sprawdzeniu całego odcinka jeszcze raz wrócił do niszy, zadając sobie pytanie, czy uległ halucynacji, czy też miał do czynienia z głupim żartem? Nie znalazł jednak żadnych śladów bytności Neda, jeśli nie liczyć obluzowanej klapy wjazdu przeciwpożarowego. Uchylił ją i jego oczom ukazały się zagracone pomieszczenia biblioteczne. Zapłonęła lampka Ola.

— Pomyliłeś drogę, pomyliłeś drogę! — zaskrzeczał Indywidualny Odbiornik, łapiąc zasięg.

Milion cofnął się. I wówczas natrafił na zakrzywiony kawał żelaza na podłodze niszy. Przysiągłby, że przedtem podłoga była pusta. Przez chwilę ważył metal w ręku zastanawiając się, co mu przypomina. Opuszczając tunel, jak zwykle złożył sprzęt do szafki konserwacyjnej. Było to zmyślne urządzenie, zamykało się tylko wtedy umożliwiając wyjście na zewnątrz, gdy wszystkie narzędzia leżały na swoich miejscach. Jan wsunął pod koszulę miotacz, a na stelażu umieścił znaleziony kawał metalu. Szafka zamknęła się automatycznie, a drzwi stanęły otworem. Odetchnął z ulgą.

Indywidualny Odbiornik musiał zauważyć wzmożone pocenie się u swego nosiciela, ponieważ natychmiast zaaplikował mu zastrzyk przeciwko katarowi.

Rozdział III

Jan obudził się z bólem głowy, uczuciem, którego nie doświadczył od ponad piętnastu lat! Całą noc dręczyły go koszmary; po raz tysięczny przypominał sobie rozmowę z nieznajomym, przeklinał głupi przypadek z numerem (akurat musiało paść na niego!!!). Momentami łudził się, że było to jedynie głupie przywidzenie, sen na jawie. Ale ręka wsunięta pod poduszkę bez trudu odnajdowała chłodną kolbę miotacza.

— Bzdura, jutro z wszystkiego się wycofam, odłożę broń na miejsce. Niech się wypchają przekłeci konspiratorzy!

Po przebudzeniu zaraz udał się do komory odświeżającej, z której wynurzył się po kwadransie czysty, ogolony, bez lęków i wątpliwości. W międzyczasie żona włączyła oglądnik, co przyjął z ulgą. Już pierwszy program: „Nasze życie w megabloku” nastroił go pozytywnie. Zmieniające się przestrzenne obrazy pokazywały sielankę życia codziennego: pracowite roboty z siłowni i fabryk, sukcesy medycyny automatycznej, przedłużające życie do fantastycznej granicy dwustu lat (inna sprawa, że pokazywano ciągle tych samych trzech staruszków, których młodość przypadała grubo przed erą numeryczną). Osobny gatunek oglądnikowych bohaterów stanowili hobbyści. Mniej więcej co tysięczny mieszkaniec megabloku przejawiał jakieś zainteresowania: jednych zajmowały sztuczne złote rybki, drugich majsterkowanie; sam Jan ze swymi ćwiczeniami gimnastycznymi i predylekcją do quizów też był kiedyś bohaterem reportażu, co przez blisko tydzień napawało go uzasadnioną dumą.

Po ciekawostkach lokalnych przyszła pora na wiadomości z innych megabloków, ruszyły migawki prezentujące osiągnięcia i życie codzienne trzydziestu paru gigantopolis pokrywających większość kontynentów ziemi monstrualnymi prostopadłościanami miliardowych ludzkich mrowisk. Może wskutek przewrażliwienia dziś mocniej niż kiedykolwiek wydawało mu się, że emitowane obrazki widywał już wielokrotnie, może w nieco innej kolejności. Gotów był przysiąc, że zręczna tkaczka z megabloku kanadyjskiego występowała już kilkunastokrotnie, miesiąc temu jako hafciarka Czeszka, a przed dwoma miesiącami Nowozelandka, specjalistka od wycinanek. Za każdym razem podobnie odgarniała jasne włosy wysuwające się spod czepka. — Co ci chodzi po głowie, po prostu życie się powtarza — zganił się w duchu.

Serwis zakończyła prognoza pogody (wiatry zachodnie, opad przelotny). I znów po raz pierwszy zadał sobie pytanie — po co właściwie nadają prognozę, skoro nie wyściubiają nosa z gigantycznych uli? Kiedy był młodszy zastanawiał się, czy któryś z mieszkańców otrzymuje mieszkania z widokiem na zewnątrz; później dowiedział się, że ze względów konstrukcyjnych zewnętrzne ściany megabloku muszą być ślepe. Nieprzenikliwe.

Początki idei numeryzmu sięgały początków XXI wieku (jeśli liczyć lata według jednego z tych archaicznych kalendarzy); po serii krwawych wojen i konfliktów zwyciężyła koncepcja pragmatyczna. Ziemia stała się jednością, a Związek Grup Reprezentacji Etnicznych (ZGREt) — organizacja powstała po kompromitującym rozpadzie ONZ-u — został uznany za globalny parlament. Składał się on z dwóch izb — Etniki, gdzie głos delegata Monaco miał taką samą wagę jak głos reprezentanta Chin, oraz Demosteniki, do której delegaci wybierani byli proporcjonalnie. Mimo tej reformy pierwsze pięćdziesiąt lat historii Zjednoczonej Ziemi wypełniały nie kończące się kryzysy gabinetowe i rządowe przesilenia. Powstawały koalicje i koalicjki białych i czarnych przeciwko żółtym oraz żółtych i beżowych przeciwko czerwonym, aż wreszcie w roku 2054 tekę premiera powierzono Komputerowi Najnowszej Generacji. Był nim GLOK 1, pradziadek obecnego koordynatora Ziemi. Mimo początkowych obaw maszyna rządziła sprawnie i rozważnie, ku powszechnemu zadowoleniu ludzkości, a także deputowanych, którym potrafiła schlebiać jak żaden człowiek. Kolejne, coraz doskonalsze generacje GLOK-a (konstruowane bez udziału ludzi i dziedziczące wszystkie intelektualne zasoby swoich poprzedników) zdobywały coraz rozleglejsze kompetencje. Z czasem zgromadzenia ZGREt stały się bardzo rzadkie, zwoływano je przy wyjątkowo odświętnych okolicznościach. Rozpowszechniła się natomiast demokracja bezpośrednia; plebiscyty. Każdy obywatel miał przy swoim telewizorze (lub oglądniku trójwymiernym) przystawkę, za pomocą której wyrażał swój stosunek do ogólnoswiatowych problemów. Tak upadł forowany przez Japończyków kosztowny plan zasiedlania Marsa, mający stanowić ucieczkę przed monstrualnym wzrostem demograficznym. Zamiast tego zatwierdzono budowę megabloków — zuniformizowanych miast mających zaoszczędzić znaczne połacie globu pod uprawy i rezerwy.

W tym czasie też numeryczność, nowa idea społeczna proponowana przez niektórych naukowców XXI wieku, została postawiona na forum publicznym przez GLOK-a 3 i zyskała bezwzględną aprobatę, uznana za najniższą możliwą cenę pokoju i dobrobytu. W końcu, jeśli ludzkość przekroczyła trzydzieści miliardów istnień i wszyscy chcieli żyć na podobnym poziomie, musiano zrezygnować z takich luksusów jak turystyka. Wkrótce, wychodząc z demokratycznego założenia, że jeśli w ciągu stu lat Akropolu nie zwiedzi nawet jeden procent ludzkości, to lepiej, żeby nie odwiedzał go nikt, zakazano też uprawiania bezproduktywnego szwędactwa. Zresztą, trójwymiarowa telewizja codziennie dostarczała do domów tyle reprodukcji zabytków, tyle reportaży z muzeów, że naprawdę nie warto było fatygować się osobiście.

Nie minęło wiele lat i ludzkość, tak ruchliwa w poprzednich wiekach, przekształciła się w populację osiadłą. Człowieka wędrownego zastąpił człowiek — stułbia. Opanowano demografię, doprowadzając dzięki modelowi 2 plus 1 do zahamowania eksplozji populacyjnej. W niektórych regionach zaludnienie zaczęło się nawet zmniejszać. A jednocześnie wszędzie zapanował upragniony typ społeczeństwa sprawiedliwego, proporcjonalnie egalitarnego, który — jak bezustannie włączano Janowi w nauczalni — trwać będzie aż do wygaśnięcia słońca, ku zadowoleniu gatunku homo sapiens. Jako chłopak bystry zadał raz pytanie nauczycielowi, czy, jego zdaniem, życie wyłącznie czasem teraźniejszym, bez żadnego przyszłościowego celu, bez wiary w cokolwiek poza hedonistyczną przyjemnością, nie okaże się dla gatunku ludzkiego zabójcze?

Nauczyciel zrugął go za odchodzenie od tematu, a Odbiornik Indywidualny przez trzy noce wlewał mu do ucha tak przekonujące argumenty, aż wreszcie Jan przyjął numeryczność bez zastrzeżeń.

Może dlatego, że chłopców z podobnymi wątpliwościami było więcej, kilka lat później Krótką Historię Numeryczności wycofano z programów nauczalni.

Około godziny wpół do dziesiątej rano, kiedy rodzina wylegiwała się przed oglądnikiem (Dina dzieliły godziny od powrotu do nauczalni), odezwał się Indywidualny Odbiornik pana domu:

— Obywatel Jan Milion proszony jest do testatorni, obywatel Jan Milion proszony jest do testatorni.

Przerażone spojrzenie żony i zdziwiony wzrok syna były potwierdzeniem, że się nie przesłyszał. Ściszył oglądnik.

— Widocznie wczoraj zaszły jakieś pomyłki w testowaniu — powiedział bez przekonania. — Jak wszystko się wyjaśni, wrócę.

Czuł nerwowe pulsowanie w skroniach. Mają go! Dowiedzieli się o rozmowie z nieznajomym. Pozostawało tylko zachować spokój, nie pogarszać sytuacji. Jak przez mgłę słyszał głos żony, że przecież pomyłki w testowaniu nigdy się nie zdarzają. Wkrótce zadźwięczały srebrzyste dzwonki pneumii. Wstał, uściskał Dina.

— Bądź rozsądny — rzekł i po chwili wahania dorzucił — i ostrożny!

Sięgnął po pojemnik osobisty, do którego jeszcze nocą przełożył ukradkiem miotacz. Jednak prywatny cerber zabuczał ostrzegawczo:

— Pojemnik nie będzie potrzebny, pojemnik nie będzie potrzebny.

Jan chciał jeszcze coś powiedzieć, ale miękka ściana nieomal wessała go i już siedział w pneumii, która pomknęła pionowo w dół.

— Jedziemy do testatora? — zagadnął do Odbiornika, ale ten tylko burknął opryskliwie:

— Nie zadawaj głupich pytań, nie zadawaj głupich pytań!

Raptem pneumia zwolniła, Jan popatrzył na zegar plazmowy i stwierdził, że wskazówka sekundowa niemal się nie porusza. Do wnętrza przeniknął Ned.

— Witaj — powiedział, w ogóle nie przejmując się cerberem. — Właśnie doświadczasz na sobie działania jednego z naszych ostatnich wynalazków, zwalnicza czasowego. Na nas obu działa w tej chwili przenośny generator rytmu biologicznego. Nasz metaboliczny rytm życia przyspieszył tysiąckrotnie i dlatego ulegamy złudzeniu, że czas stanął w miejscu. Tymczasem pneumia porusza się z normalną prędkością. Dzięki temu zabiegowi cała nasza rozmowa rozgrywa się w ciągu ułamka sekundy i nie jest rejestrowana przez indywidualne czujniki. Możemy rozmawiać spokojnie.

— Nie ma o czym. Nie wchodzę w ten interes!

— Nie masz wyboru. Cała akcja jest już w toku. Od naszego pierwszego spotkania GLOK

otrzymuje spreparowane dane na twój temat. Wyłącznie korzystne! Nastąpiła częściowa blokada informów w pamięci testatora, nawet twoje wezwanie też zostało sprowokowane przez nas. Ale do rzeczy, czasu jest mało. Weź to i załóż na gołe ciało.

Podał Milionowi szeroki połyskliwy pas z elastycznej substancji.

— Co to takiego?

— Neurograwitator. Nie będę ci tłumaczył zasad konstrukcyjnych, bo nawet pięciocyfrowiec by ich nie pojął. Niech ci wystarczy, że jest to urządzenie przekształcające i zwielokrotniające twoją własną energię biologiczną. Pas umożliwi ci poruszanie się w przestrzeni, dzięki niemu będziesz mógł wytwarzać czasowe pole paraliżu informatycznego, również żadnym problemem nie będzie dla ciebie przenikanie ścian, a ponadto, co godzinę przez parę minut, będziesz mógł stawać się praktycznie niewidzialnym dla aparatów GŁOK-a. Tak jak w tej chwili.

Umieścił pas na piersi oszołomionego Jana i dołączył do niego maleńki prostopadłościanik.

— Tu masz przekaźnik fal biologicznych, który zapewni ci bezpieczną łączność z nami. Pozostaje mi życzyć ci powodzenia. Uważaj, wychodzimy ze strefy objętej działaniem generatora. Trzymaj się, Milionie. Przepraszam, Dziesiąty.

To mówiąc, przeniknął przez ścianę pneumii, która prawie natychmiast znów nabrała zawrotnej szybkości, by po kilkunastu sekundach zatrzymać się na dobre. Kabina testatora uchyliła się gościnnie i Jan wszedł do wnętrza, czując się jak Jonasz wążący do paszczy wieloryba. Kłapy zassały się i otoczył go seledynowy półmrok sprzężony z delikatnym buczeniem.

— Teraz mnie przemaglują — pomyślał.

Atoli w chwilę potem zamiast pytań rozległ się przyjemny dźwięk sygnalizujący zakończenie testu i kabina otworzyła się ponownie. Na zewnątrz czekała pneumia, ale tym razem zupełnie inna — złocista, o świetlnych impulsach igrających na jej ścianach na podobieństwo drogocennych kamieni.

— Uprzejmie prosimy cię, drogi Dziesiąty, o zajęcie należnego ci miejsca — powiedział melodyjny głos z wnętrza pojazdu.

Jan przełknął ślinę i pomacał się po szyi. Obroża z plakietką i Odbiornikiem Indywidualnym znikła.

— Czyżbym był wolny?! — uderzyła go zdumiewająco prosta myśl.

W tym samym czasie Ned w szybie wentylacyjnym szybko rozmontował dolny przekaźnik generatora. Spieszył się. Od dobrych paru minut powinien znajdować się w drodze na swój ojczysty poziom 909. Lada moment system paraliżujący informy przestanie działać i pojawią się czuje.

Rzykował jak cholera! Jednak akcja, na którą wysłał Jana, była grą o wszystko. Poświęcił na ten cel prototyp pasa grawitacyjnego. Sam wychylił się z konspiracyjnego cienia, czuł niejasny niepokój. Ostatnie działania spiskowe rozwijały się zbyt gładko. Dlaczego GŁOK tak łatwo dawał się

wyprowadzać w pole? Może rozrósł się do tego stopnia, że zalany nadmiarem informacji stracił panowanie nad całością systemu?

Wezwał pneumię pionową. Do końca operacji pozostały jeszcze trzy minuty. Pojazd zjawił się błyskawicznie. Wskoczył do wnętrza i dopiero wówczas uświadomił sobie, że popełnił okropny błąd.

* * *

Din był już spóźniony około piętnastu minut, jednak tego dnia, jak mało kiedy, nie było mu spieszno do nauczalni. Najchętniej zostałby dłużej w domu. Czuł, że istnieje mnóstwo rzeczy, których mógłby się dowiedzieć od rodziców. Nagle rozbłysnął ekran oglądnika: „Uwaga, ważna informacja!” Oboje z matką znieruchomieli. „Podajemy urzędowy komunikat testatora. Zgodnie z regulaminem numerycznym uprzejmie informuje się, że Jan, o dotychczasowym numerze Milion, przeszedł na wyższy poziom intelektualny. Rodzinie i dotychczasowym przyjaciołom składamy serdeczne gratulacje”.

— Co to znaczy? — zawołał Din.

— Żegna was na zawsze — odparły dwa Odbiorniki Indywidualne.

— To niemożliwe — krzyknęła żona — musiała zająć pomyłka!

— Nie ma pomyłki. Wszystko jest w absolutnym porządku! Matka do oglądnika, syn do nauczalni. Proszę zachować spokój, niewiasto. Już wkrótce zostanie ci przydzielony mąż zastępczy. Życie ułoży ci się bardzo dobrze.

— Bydlaki, mówcie natychmiast, coście zrobili z Janem?!!!

— Proszę się nie denerwować. Złość piękności szkodzi — w całym mieszkaniu rozszedł się zapach fiołków, towarzyszący gazowi uspokajającemu. Pani Janowa wykonała jeszcze kilka rozpaczliwych gestów, po czym oszołomiona osunęła się na leżankę. Din wołał nie czekać na działanie uspokajacza. Machinalnie porwał pojemnik ojca, który stał na środku sześcianu i wskoczył do czekającej pneumii.

— Do nauczalni! — rzucił krotko.

Mimo oszołomienia zdawał sobie sprawę, że dzieje się coś niedobrego. Najpierw zniknął Max, teraz ojciec. Wiedział, że powinien coś zrobić, tylko co? Może na początek powinien odszukać Maxa? Normalnie do nauczalni jechało się parę sekund, tym razem upłynęła dobra minuta, a pneumia nawet nie zamierzała zwolnić.

— Dokąd jedziemy? — zawołał chłopak.

— Potrzebujesz wycieczki — odpowiedział Odbiornik.

— Zatrzymaj się! — nie było odpowiedzi. A pneumatyka z delikatnym sykiem pędziła pozbawionymi otworów korytarzami. — Chcę do domu albo do nauczalni! — wołał przerażony Din. Odbiornik milczał jak zaklęty. — Stóóój! — w najwyższej desperacji cisnął o ścianę pojemnikiem ojca. Pojemnik odbił się i upadł na podłogę, lecz jednocześnie wypadł z niego miotacz. Ponieważ nie, było żadnej reakcji Din chwycił miotacz i skierował jego lufę w miękką ścianę wehikułu, pociągnął. Rozległ się syk i pneumatyka oklapła jak rozpruty balon. Chłopak stał sam w pustym, ciemnym korytarzu.

— Zepsułeś urządzenie, spotka cię kara — zabuczał ponuro Odbiornik.

Din, nie, zwracając uwagi na jego gderanie, ruszył naprzód.

— Masz natychmiast wracać, przejdziemy do innego korytarza pneumatycznego — skandował automatyczny anioł stróż.

— Zamknij się!

W odpowiedzi stało się coś dziwnego. Obroża ożyła, jak wąż poczęła falować i kurczyć się.

— Co chcesz zrobić?

Przylegała teraz ciasno do szyi i nadal się zaciskała.

— Zawracaj, zawracaj! — powtarzał głos automatu.

— Nie! — stęknął Din i poczuł, że się dusi. Usiłował chwycić powietrze ustami. Daremnie. Oczy nieomal wychodziły mu z orbit. Zrobił w tył zwrot.

Ucisk od razu zelżał.

— Dobrze, pójdę, dokąd zechcesz — wykrztusił pojednawczo chłopak. — Byłem bardzo głupi i nieposłuszny. Ale to ze strachu.

— Porozmawiamy o tym później!

Obroża rozluźniła się całkowicie. Din tylko na to czekał. Błyskawicznie wsunął między szyję a obrozę lufę miotacza. Wężowy pasek zadygotał, zacisnął się, ale bezskutecznie.

— Spotka cię zasłużona kara — ostrzegł Odbiornik.

Din jednak już go nie słuchał. Z pojemnika ojca wydobył urządzenie przypominające starożytny śrubokręt i począł pastwić się nad Odbiornikiem. Pierwszy cios poszedł w membranę. Potem zabrał się za kruszenie świetlistego rubinowego oczka. Aparat chrząkał, groził, później raczył nawet prosić, ale młody człowiek opanowany szałem niszczenia nie zwracał na nic uwagi. Dźgając Odbiornik na

oślepi, musiał natrafić wreszcie na czuły punkt urządzenia, bo rozległ się cichy trzask, a obroza sflaczała jak zdechły padalec.

— Załatwiłem cię, diable.

Bez trudu przeciął miotaczem bezwładne pasmo elastycznego tworzywa. Całość rozdeptał butami.

Potem zaczął uciekać. Biegł szybko po gładkim podłożu chodnika, aż echo rozlegało się dookoła. Z obawy przed kolejnym wehikułem mogącym zmiażdżyć go w korytarzu przedostał się przez właz awaryjny do wąskiego tunelu o niejasnym przeznaczeniu. Chodnik ten robił wrażenie nie uczęszczanego. Ściany miał gołe, zakurzone. Widocznie chłopak opuścił pneumatykę w jakiejś innej części megabloku, w której nie było sześcianów mieszkalnych. Jedyne słaba luminescencja rozsianych z rzadka świetlówek dowodziła, że nie jest to tunel wyżłobiony przez naturę.

Raptem zza pleców Dina doleciał odległy hałas. Chłopak odwrócił się. Daleko rozbłysło małe światełko.

— Czuj! — pomyślał uciekinier i zaczął biec jeszcze szybciej. Pot zalewał mu oczy, serce łomotało jak oszalałe, gotowe lada chwila wyskoczyć gardłem. Naraz wyrosła przed nim poprzeczna ściana, korytarz był ślepy. „No to koniec!” Chłopak oparł się plecami o chłodny mur i starając się zapanować nad nerwami, wycelował miotacz w ciemność. Czekał.

Rozdział IV

Luksusowa pneumia, wyposażona w barek, całościenny oglądnik i wszelkie możliwe promienniki regeneracyjne nie posiadała tylko jednego rekwizytu — wyświetlacza informacyjnego. Jan w żaden sposób nie mógł zorientować się, dokąd zmierza obły bezszmerowy pojazd. Biorąc pod uwagę czas jazdy, podświadomie podejrzewał, że opuścili macierzysty megablok. Przy hamowaniu zakręciło mu się w głowie — później przenikliwa ściana przepuściła go, natychmiast zablizniając się w solidną dębową boazerię.

— O, cholerka! — znajdował się w obszernym hallu pełnym starych stylowych mebli; nogami brodził w puszystym dywanie, a nad głową palił się kryształowy żyrandol. Do tej pory takie rezydencje widywał jedynie na filmach. Toteż długo wodził osłupiałymi oczami po marmurowych biustach bliżej nie znanych bojowników o porządek numeryczny, odkrywając wnęki pełne kwiatów, półki biblioteczne, które bogactwo foliałów upodobiło do dojrzałych kaczanów intelektualnej kukurydzy. Na kominku wesoło płonął ogień, opodal drewniane schody prowadziły na wyższe piętra, natomiast przez szerokie okna widać było gęsty park w stylu angielskim.

Jakaż przepaść zionęła między tym przepyszny dworem godnym pędzla XVIII-wiecznego pejzażysty a poprzednim jego mieszkaniem, kłitką o wymiarach pięć na pięć metrów.

Przez moment pomyślał o opowieściach dziadka, z którym wprawdzie spotkał się ledwie trzy razy w życiu, we wczesnym dzieciństwie, ale opowiadane przez niego historie głęboko zapadły w pamięć Jana. Przed wielu laty dziadek był kustoszem w Muzeum Wsi. Niesłychanie plastycznie kreślił przed wnukiem obrazy chat, naturalnych drzew, zwierząt zwanych krowami, które zajmowały się wytwarzaniem substancji spożywczych. Wręcz czuło się w jego opisie zapach świeżo skoszonej trawy i kwiatów wspinających się po żardynierach. Pociągnął nosem. Różnica dawała się wyczuć. W tym hallu nie pachniało niczym.

Skrzypnęły drzwi ogrodowe i do wnętrza wbiegło bosonogie zjawisko o długiej szyi, jasnych włosach i twarzy, składającej się nieomal z samych oczu, jeśli nie liczyć wydatnych ust, przy których trudno myśleć o czym innym niż o pocałunkach. Podbiegła lekko, jak tancerka uniesiona smugą światła, owiana jedynie muślinem, który w zasadzie niczego nie przysłaniał i błyskawicznie pocałowała Jana w usta.

— Witaj, Dziesiąty!

Speszył się okropnie. Chociaż od dawna nie był niedoświadczonym małolatem, twarz zalał mu rumieniec charakterystyczny dla pensjonarki.

— Prze... przepraszam, kim pani jest?

— Twoją żoną, Dziesiąty — zaśmiała się i zabrzmiało to, jakby strumyk toczył się po kolorowych kamykach.

— Ale ja już mam żonę — w głowie szumiało mu jak po strzelonej setce spirytusu.

Roześmiała się jeszcze głośniejsze, jeszcze bardziej urzekająco.

— Pierwszej Setki nie obowiązują konwenanse. Stąd się nie wraca do przeszłości! Ale może ci się po prostu nie podobam?

Nic bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył na dziewczynę z zachwytem i lekkim przestraczeniem. Przejęła inicjatywę.

— Chodź, poznamy swoje ciała — zawołała.

— Ale przecież ja ciebie zupełnie nie znam. Nie wiem nawet, jak ma pani, jak masz na imię.

— Mów mi Ona.

Ujęła go za rękę i poprowadziła drewnianymi schodami, ozdobionymi trofeami myśliwskimi i kolekcją starej broni ku sypialni na pierwszym piętrze.

Jan był tylko człowiekiem i mężczyzną. Ona zaś stanowiła pokusę, której nie oparłby się święty. Toteż gdy tylko oplotły go jej ręce i nogi, stracił poczucie czasu, rzeczywistości, swej misji, a nawet umiaru i zatracił się w upojeniu. Ona była doskonałą kochanką, a zautomatyzowane łożo, odgadując ich zachcianki, układało się usłużnie do ciała, formowało w fale, wznosiło do góry lub w dół, kołysało rytmicznie, bądź wypuszczało praktyczne wypustki przypominające strzemiona.

Czara z boskim płynem, którą przechylali co pewien czas do ust, w mgnieniu oka napełniała się ponownie z niewidocznego kranu. Wystarczyło półgłosem wypowiedzieć nazwę pożądanego napitku, a już perliło się aromatyczne wino, napój musujący czy nawet anachroniczna coca cola. Promienie energetyczne dostarczały im potrzebnych kalorii, ale jeśli tylko Jan wyraził życzenie, na stoliczku wykwitał talerz z ogromnym stekiem w towarzystwie chrupkich frytek, selerów i jarmużu. Czasami dla ochłody skakali przez okno do basenu rozpościerającego się błękitnym prostokątem dokładnie pod ich sypialnią. A co najważniejsze, mimo nieprzerwanych ćwiczeń cielesnych nie nadchodziło znużenie.

Jan był szczęśliwy, pił rozkosz z ust swej nowej żony jak z rzeki zapomnienia (o starej). Gdzieś daleko za sobą pozostawił stary sześcian mieszkalny, całą śmieszna konspirację, Dina. Przez trzy dni ani razu nie pomyślał o przeszłości. Nie zapytał o przyszłość. Błogosławione chwile.

Prawdopodobnie każdy z nas ma głęboko zakodowaną tęsknotę za beztroską, bezpieczeństwem i czystą rozkoszą. Jan mógł to zrealizować.

Dlatego jak bolesne ukłucie realizmu przyjął sygnał dochodzący z przekaźnika ciśnionego razem z pasem obok łoża. Dziesiąty zdziwił się, że neurograwitator jeszcze tam jest. Urządzenie musiało być niewidoczne dla automatów porządkowych, które w mgnieniu oka uprzętały najmniejszy choćby okruch; pas jednak omijały z daleka.

Sięgnął po przystawkę.

— Słucham Mil... Dziesiąty. Dziesiąty! — rzekł. Z drugiej strony nikt jednak się nie odezwał. — Słucham! Słucham! — powtórzył jeszcze parokrotnie ze wzrastającym niepokojem.

— Powiedz, że to pomyłka — szebiotła Ona. — Nie potrzebujemy nikogo prócz siebie.

Jednak cały czar prysnął. W mgnieniu oka otaczający Jana świat zbytku jakby się spłaszczył. W pochłanianym nektarze wyczuł mydlany smak chemikaliów, a plastikowy bukiet kwiatów wydał mu się w złym guście. Nawet Ona zdała się naraz bezduszną, nakręcaną lalką.

— Czym się tak przejmujesz, kochanie? Życie jest takie piękne! — usiłowała go przygarnąć, ale delikatnie odsunął ją od siebie.

— Odpowiedz mi na jedno pytanie, Ona, naprawdę zakochałaś się we mnie na pierwszy rzut oka?

— Naprawdę. Jesteś fajny i męski. A poza tym, szczerze mówiąc, nudziłam się tu okropnie. Od paru miesięcy jestem sama w tym pudle.

— A sąsiedzi? Nie mamy żadnych fajnych sąsiadów?

— Jacy sąsiedzi? — popatrzyła na niego zdziwiona.

— No przecież gdzieś znajduje się koniec tego parku i zaczynają się inne rezydencje.

Roześmiała się i podniosła ze stoliczka instrument, przypominający dziecinną harmonijkę.

— Popatrz.

Naciskała przyciski, jakby wygrywając bezgłośnie melodyjkę i prawie natychmiast znikły kolejne części domu albo zmieniały styl; potem pociągnęła Jana na taras. Jeden ruch palców po klawiaturze zmienił dzień w noc. Drugi przeobraził park w jezioro oświetlone blaskiem księżyca. Potem znów wrócił dzień, ale tym razem zimowy, dookoła piętrzyły się ośnieżone wierchy, a gdzieś z oddali dolatywał pomruk toczącej się lawiny.

— Możemy się kochać w pustyni i w puszczy, na lądzie i na wodzie. W epoce walca lub kamienia łupanego — kokietowała Ona.

— Bardziej ciekawi mnie, jak to wszystko wygląda naprawdę.

— Jak chcesz.

Wykonała glissando na harmonijce; bajeczne plenery znikły. Stali oboje w ogromnym pustym pomieszczeniu przypominającym hangar lotniczy lub ogromne studio filmowe.

— Tak wygląda prawdziwy kwadrat plenerowy! Reszta to działanie iluzjomatografu.

— Do licha! Dlaczego od razu mi tego nie pokazałaś? — Nie chciałam pozbawiać cię złudzeń. Zresztą wszystko jest złudzeniem. Znów zagrała coś w rodzaju gamy i dookoła wyrosły rokokowe

ściany, jakby przeniesione z epoki Ludwika XV. Natomiast za oknami rozpleniła się egzotyczna dżungla.

— Mam nadzieję, że ty sama nie jesteś mirażem? — Jan z niepokojem przyglądał się dziewczynie.
— Ani automatem.

— Skądże znowu. Jestem najlepszym produktem genetycznej hodowli luksusowych kobiet — powiedziała z dumą. — Wedle wszystkich testów jestem doskonała. Zaprzeczysz? Mam 99,79 % ideału urody i pięciocyfrowy poziom inteligencji. Przynajmniej Trzynasty tak twierdził.

— Kto?

— Mój poprzedni mąż — nieoczekiwanie w głosie Onej pojawiła się nuta smutku. — Wspaniały człowiek. Jako Dziesiąty powinieneś go przerastać umysłowo, ale moim subiektywnym zdaniem nie sięgasz mu nawet do pięt.

— Rozeszliście się? — zapytał Jan, podziwiając w duchu przenikliwość dziewczyny. W błękitnym oku Onej błysnęła łza.

— Nie żyje — odpowiedziała.

Zrobiło mu się przykro. Zaczął przeproszać, tłumacząc, że skąd mógł wiedzieć... Wierzył obiegowym opiniom, iż pierwsza setka jest nieśmiertelna.

— Trzynasty nie umarł, popełnił samobójstwo — powiedziała jeszcze ciszej. — Ale nie mówmy o tym.

— Ależ przeciwnie, mówmy.

— Nie mogłam mu pomóc. To narastało latami. Próby i porażki, próby i porażki. Okazało się to ponad jego siły.

— Próby czego?

Popatrzyła mu prosto w oczy:

— Wydostania się stąd.

Poczuł nagły przyływ gorąca. Czujniki musiały to zauważyć, bo w całym pomieszczeniu temperatura obniżyła się co najmniej o jeden stopień.

— Jak to nie mógł się stąd wydostać? Przecież jako członek Pierwszej Setki.

— Od przybycia tutaj nie miał kontaktu nawet z innymi Setkowcami.

— A nadzór nad komputerami, a rządzenie światem?

Popatrzyła na niego jak na wariata, po czym stwierdziła z naciskiem:

— Trzynasty nie miał tu nic do roboty. Podobnie jak ty. Nic więcej nie wiem, może poza tym, że zewsząd otaczają nas bariery elektroniczne.

Wstrząśnięty tym, co usłyszał, Jan zamknął się w łazience. Nałożył neurograwitator, uruchomił łącze i zaczął wywoływać centralę spiskowców.

Nikt nie odpowiadał. Dopiero po dobrym kwadransie beznadziejnych wysiłków usłyszał cichy szept:

— Kto mówi?

— Jan... To ty, Ned?

— Jaki Jan?

— Jan Dziesiąty — powiedział bez zastanowienia i prawie natychmiast serce podeszło mu do gardła. Uświadomił sobie, że szept w odbiorniku nie należał do Neda.

* * *

Półmrok rozświetlał się powoli. Ktoś szedł korytarzem bardzo uważnie, najwyraźniej rozglądając się po wszystkich kątach. Z uniesionym miotaczem Din modlił się, żeby to nie był człowiek, nie chciał bowiem zabijać. (Inna sprawa, że słowo modlił zostało użyte niewłaściwie. W powszechnej ideologii numeryczności nie było miejsca dla Boga ani najmniejszej choćby jego namiastki, istniał jedynie bezduszny porządek cyfrowy i to bez finezji matematyki wyższej. Zamiast słowa „modlił się”, powinno się więc raczej użyć zwrotu „szukał właściwych zaklęć”). Zaklęcia pomogły. Tropiącym okazał się robot gąsienicowy, jeden ze starszych modeli, jakie w nauczalni zwykły służyć do podawania piłek. Do chłopca dotarło jego zgrzytliwe mamrotanie.

— Czuję cię, jesteś niedaleko. Nie uciekniesz!

Zastanawiające, dlaczego nie wysłano patrolu bardziej nowoczesnego, ale widocznie w tych starych korytarzach przydatność elektronicznego czują nie byłaby za duża? A może po prostu maszyny nowszych generacji nie były przystosowane do łowów na człowieka.

Stanęli nieomal twarzą w maskę, palec chłopaka zadrżał na spuście, gdy naraz robot powiedział do siebie:

— Ślepy korytarz, nikogo nie ma. Ślepy korytarz. — Wykonał w tył zwrot i bełkocąc coś nieartykułowanego, znikł za zakrętem.

— Stchórzyl? — pomyślał Din półżywy ze strachu. To niemożliwe, żeby robot się przestraszył. Jak jednak inaczej wytłumaczyć zachowanie maszyny?

O życzliwość wobec zbiega podejrzewać jej nie mógł. A więc? Ostrożnie zrobił parę kroków do przodu i po kilku metrach odnalazł szczelinę w murze, zbyt wąską dla dorosłego mężczyzny, ale dla niego w sam raz. Przepchnął się przez otwór i trafił w gęsty mrok. Szedł dalej po omacku, wąskim chodnikiem, który biegł prosto bez żadnych załamania, ściany miał gładko wypolerowanej najwyraźniej powstałe przez rozstąpienie się jakichś wielkich konstrukcji. Przeszedł paręset metrów, może kilometr; mrok panował nadal absolutny, cisza tak idealna, że walenie serca przypominało pracę wielkiego agregatu. Wreszcie korytarz rozszerzył się. Din nie mógł już namacać ścian, dno zrobiło się bardziej nierówne, pełne odłamków gruzu. Korciło go, by zawołać i wnioskować o rozmiarach pieczar na postawie echa, ale w ten sposób mógł zwabić pościg. Był dość głodny i nie zdziwił się, gdy odnaleziony w kieszonce fosforyzujący zegarek poinformował go, że od opuszczenia rodzinnego sześcianu upłynęło sześć godzin. Bolesne ssanie w żołądku było jednak niczym w porównaniu z pragnieniem. W zamieszkałej części megabloku istniała wielka obfitość kranów, tu jednak ich nie było, nie było nawet ścian. Postanowił skrócić w bok, sądząc, że w ten sposób dotrze do muru. Przypomniał mu się jakiś stary film o ludziach, którzy w ciemności kręcili się w kółko i przeraził się, zmroziła go perspektywa pozostania na zawsze w tym świecie wiecznej nocy. Trwoga rosła, nie mógł jej opanować, zaczął biec, czuł, że lada chwila zacznie krzyczeć, wzywać roboty, choćby pościgowe.

Naraz ziemia urwała mu się pod stopami. Skoziółkował w dół po kamiennym rumowisku. Coś chrupnęło mu w kostce, a na zranionej twarzy poczuł ciepłe kropelki krwi. Mimo bólu udało mu się wstać. Noga nie była chyba złamana, tylko kostka zaczęła szybko puchnąć. Mniejsza z nią. Znow zmacał dookoła ściany.

Czyżby natrafił wreszcie na stary korytarz? Jeszcze krok, dwa i stanął. Ściana. Począł macać: ściana! Odwrócił się w bok — też ściana, do tyłu parę kroków: mur. Rychło obszedł całe prostokątne pomieszczenie przypominające wielkie kamienne koryto. Nigdzie ani śladu wyjścia. Najwyraźniej wpadł w pułapkę. Na domiar złego, spadając zgubił swój fosforyzujący zegarek. Wylot prawdopodobnie musiał znajdować się gdzieś wyżej, ale znalezienie go w kompletnej ciemności było niemożliwe.

Zrezygnowany przysiadł na jakimś kamieniu. „Myśl, myśl!” — powtarzał sobie atakowany przez ból w kostce i głuchą rozpacz. Naraz zerwał się. Miał mokre spodnie. Do licha! Po ścianie spływał wąski strumyczek wody. Nie zastanawiając się, czy jest ona zdatna do picia, chłopak przywarł wargami do muru. Błogosławiona ciecz. I naraz od góry pojaśniało. Ściany zaśniły słabą poświatą, ujawniając swe niegeometryczne kształty.

— Co to jest, u diabła?

Parę centymetrów nad głową dostrzegł przerwę między głazami, podskoczył i podciągając się na rękach, wspiął na skalną półkę. Pokrywała ją kędzierzawa grzywa z nieznanego mu substancji. Nozdrza Dina uderzył nieznanego zapach. Ostry, świeży, wilgotny. Wstał, wokół robiło się coraz jaśniej. Przed nim widoczna była nierówna płaszczyzna pełna strzępiastych wysokich kłaków i drobnych kawałków piaskowca. Odwrócił się. Nad krawędzią skalną wyłonił się biały

pomarszczony balon świetlny, którego blask wydawał się być źródłem otaczającej go światłości. Na twarzy poczuł dziwny chłodny podmuch, rodem jakby z przesterowanego wentylatora.

— A niech to pierwiastek! — zaklął numerycznie. — Jestem na zewnątrz!

Oczywiście znał świat zewnętrzny z filmów, miał też własne mgliste wyobrażenia na ten temat. Nie potrafił jednak myśleć o nim inaczej, niż posługując się wielokrotnościami sześcianu mieszkalnego. Świat realny zaskoczył go swą innością, wydawał się niewyobrażalnie szeroki, otwarty, a zarazem niezwykle ubogi. Nigdzie nie było widać kolonii jadalnych glonów, które rzekomo miały zaścielać całą ziemię, ani baterii solarnych czy jakichkolwiek instalacji.

Ruszył przed siebie, potykając się co chwila, z trudem próbując przyzwycząić się do nieuzdatnionego powietrza. Oświetlony księżycową pełnią krajobraz sam wyglądał dosyć księżycowo — płaską, skalistą ziemię tu i ówdzie urozmaicały kępy rachitycznych krzewów, suchorostów. Panowała cisza. Zgodnie z jego aktualną wiedzą przyrodniczą, cykady i inne robactwo wypleniono już dosyć dawno temu, a sowy, podobnie jak wszystkie ptaki, wyzdychały.

Po przejściu około kilometra Din dotarł na niewielki pagórek, za którym teren robił się bardziej pofałdowany, z gęstymi cieniami zalegającymi nieprzyjaźnie wśród skał i krzaków. Coraz trudniej było się posuwać, zwłaszcza, że wszędzie zalegały sterty przerdzewiałego żelastwa. Wysypisko jakiegoś? Chłopak postanowił się wycofać. Nie bardzo wiedział, co ma robić. Kiedyś oglądał film o rozbitkach, którzy po katastrofie pneumolotu całe dwa tygodnie przeżyli poza megablokiem. Tak, ale był to film sprzed pięćdziesięciu lat, kiedy istniały jeszcze podróże powietrzne, a część ludzi dostawała przepustki na otwarty teren. Rozbitkowie, żywiąc się mięszem kaktusów, jakoś doczekali przybycia ekspedycji ratunkowej. Ale on nie miał na to szans.

Z zamyślenia wyrwał go brzęk dochodzący ze środka rumowiska. Przystanął, wstrzymując oddech. Odgłos powtórzył się, ktoś szedł w jego kierunku. Pod nogami intruza chrzęściły blachy. Din przypadł w jakiejś rozpadlinie. Już po chwili między rozbitymi wehikułami pojawiła się krępa, przygarbiona sylwetka.

— Na cotangens! Człowiek!

Obcy ostrożnie rozejrzał się dookoła, po czym poprawił sobie brzemień niesione na ramionach. Znalazł się już bardzo blisko Dina. Chłopak widział wyraźnie, że ciężarem, pod którym ugiął się nocny Marek, była druga, bezwładna postać.

— Czyżby trup?

Przed krzakiem, za którym skrył się nasz uciekinier, nieznajomy przystanął. Rzucił swój ciężar na ziemię, ostrym przedmiotem rozpruł brzuch swemu pasażerowi, i począł wchłaniać wyrywane zeń strzępy.

— Ludożerca?!!!

Aliści zamiast mlaskania rozległ się brzęk i delikatny warkot. Din ostrożnie wychylił się zza

krzaka. Konsumujący, w miarę posiłku, począł intensywnie fosforyzować, zapaliły mu się oczy, rubinowym światłem zapłonęły ramiona. Jeszcze chwila, a stało się jasne: zarówno ofiara, jak i przypuszczalny morderca byli robotami.

Wypruwane z cielesnej obudowy tkanki okazały się częściami zastępczymi, świeżymi przewodami i bateriami, które nienasycony cyborg wmontowywał sam sobie.

Cicho, jak najciszej, Din wycofał się ze swojej kryjówki, a kiedy oddalił się już dostatecznie, wziął nogi za pas, zapominając o całym znużeniu i bólu w kostce. Biegł przed siebie, nie rozglądając się, byle dalej od megabloku i ponurego złomowiska. W pewnym momencie potknął się i jak długi runął na kożuch porostów między skałami. Chciał się podnieść, nie mógł. Serce tłukło jak oszalałe, a oczy zamykały się same.

— Policzę do dziesięciu i idę dalej — postanowił.

Nim doszedł do siedmiu, spał jak zabity.

Rozdział V

Ona spała, a kropelki potu z jej piersi ssały sztuczne pszczołki na tranzystorach. Jan nie mógł spać. Leżał na wznak i patrzył w sufit. A właściwie, dzięki lustru wypełniającemu sufit, spoglądał na siebie i swoją „zupełnie nową żonę”. Czego jak czego, ale luster w ich gniazdku miłości nie brakowało. Czuł się źle, podniecenie minęło, pozostawiając osad smutku, jaki bywa efektem miłości płatnych lub nieprawdziwych. Czy tęsknił za swoim starym sześcianem? Za rutyną dni podobnych do siebie, za mdłą szołowizną i wiecznie utyskującą na coś małżonką? Chyba nie. Jeśli brakowało mu czegoś, to emocji obudzonych podczas rozmowy z Nedom. Wtedy bał się, teraz żałował czegoś, co zaczynało się w nim rodzić, czegoś, co, jak podejrzewał, musiało być kiedyś solą ludzkiej egzystencji — wolą walki i wiarą w możliwość wygrywania. Teraz stracił resztkę nadziei, był pewien, że jego gra została przejrzana przez wszechwiedzące automaty, które lada moment wygarną go z luksusowego apartamentu. A może zresztą obawy były płonne, może po prostu rozmawiał z kimś innym z grupy Neda. Chociaż istniała też ewentualność, iż to tylko wszechmocny GLOK igrał sobie ze słabym człowiekiem.

Jan rzadko myślał o istocie Globalnego Komputera. Nawet nie ze względu na tabu, po prostu GLOK nie był tematem do rozważań — istniał, stanowił najwyższą, niepodważalną władzę świata. Był strażnikiem ich egzystencji i reguł, którym trzeba było się podporządkować. Oczywiście stosunek ludzi do GLOK-a przeszedł znamiennej ewolucję.

Jeszcze dziadek Jana, noszący anachroniczne imię Stanislas, odnosił się bez większego szacunku do Najwyższego Obwodu Scalonego. Stanislas był rozsądnym i energicznym człowiekiem, pełnym sceptycyzmu dla numerycznej rewolucji, o GLOK-u wyrażał się mniej więcej jak o automacie do sprzedaży piwa, który można oszukać za pomocą monety odlanej z lodu w zamrażarce.

Starszy pan, najwyraźniej wskutek jakichś atawizmów, rozkochany był we wsi i uważał, że rozwój świata poszedł w głupim kierunku. Janowi zapadło mocno w pamięć ostatnie spotkanie z patriarchą. Dziadek, od dobrych paru lat pensjonariusz „Graniastoslupa dla Starców”, odprowadził go aż do śródmiejskiego prędkochodnika i tam, ścisnąwszy go mocno za rękę, powtórzył z mocą:

— Jeszcze kiedyś wróćcie do natury, nie ma innego wyjścia!

Biedaczyna zdawał się nie pamiętać, że Muzeum Wsi zostało zlikwidowane w kilka lat po tym, jak kustosze — roboty zastąpiły w nim ludzi. Było jasne, że dla automatów zabytki wieków ciemnoty i wulgarnego naturalizmu nie przedstawiały większej wartości.

Ojciec Jana, Adam, należał do zupełnie innej generacji. Ze wszystkich epitetów najbardziej adekwatne wydawało się określenie: spłoszony. Robił wrażenie człowieka wiecznie zaniepokojonego, przewrażliwionego. Nigdy nie zwierzał się ze swoich obaw, tylko ze zdawkowych relacji można było wymiarkować, że ciągle się czegoś boi. Raz jeden otworzył się przed synem, z którym i tak spędzał znacznie więcej czasu niż Jan z Dinem. Nie powiedział wiele, ale to wystarczyło.

Pan Adam należał do ostatniego pokolenia próbującego za młodu sprzeciwić się postępom numeryczności, zwłaszcza że Wielka Koncepcja, przyjęta z zapałem przed kilkadziesiąt laty, już w połowie pierwszego stulecia poczęła budzić znaczne wątpliwości. Podobno członkowie Pierwszej Setki toczyli nawet utarczki z Globalnym Komputerem na temat rozdziału kompetencji. W generacji Adama nie brakowało młodych ludzi nie akceptujących biernego posłuszeństwa maszynom. Mimo zakazów uczyli się podstawowych działań matematycznych, co już zakrawało na daleko posuniętą niełojalność wobec maszyn cyfrowych. Kiedy sprawa się wydała, rektor nauczalni kolejno wezwał wszystkich chłopaków na rozmowę.

— Czy potraficie mi wytłumaczyć, dlaczego uczyliście się dzięki arytmetyki?

— Dla przyjemności — odrzekł Adam.

Rektor zasępił się.

— Znacząca całkowicie nie rozumiecie ogromu własnego przestępstwa. Zrobiliście wielką krzywdę panu GLOK-owi i wszystkim jego sługom.

— Niby dlaczego?

— Ucząc się rachunków, dawaliście do zrozumienia, że nie macie do niego zaufania, że chcecie go sprawdzać.

— Ależ skąd!

Następnego dnia każdy z kolegów Adama został przeniesiony do innej nauczalni. On sam po raz pierwszy spotkał się wtedy z traktowaniem superkomputera jak żywej istoty, którą można obrazić, której można sprawić przykrość, a którą powinno się kochać. Ponieważ podobnych doświadczeń miał w życiu jeszcze parę, nie dziw, że w starszym wieku stał się ostrożny, wszędzie szukał podsłuchów i nie ufał nikomu.

Tego wszystkiego dziewiętnastoletni Jan dowiedział się pewnej nocy, gdy ojciec, który od pewnego czasu czuł się źle, zaprosił syna do łóżka. Obaj przykryli się kołdrą i pod nią, w świetle latarki, Adam pisał mu swe wyznania na kartkach, które po przeczytaniu żuł i połykał.

— Po co tata to robi? — naskrobał Jan.

— Uważam, że musiałem ci to wyznać. Nie będzie ci z tym łatwiej żyć, ale powinieneś wiedzieć. Człowiek dopóty pozostaje człowiekiem, póki zna swoją przeszłość, myśli o przyszłości i dokonuje ocen teraźniejszości.

Następnego dnia po powrocie do domu Jan już nie zastał swojego rodzica.

— Umarł na zawał — wyjaśnił z ekranu oglądnika lekarz pielęgniarz o szarej, pozbawionej wyrazu twarzy, po którym pojawił się ubrany na czarno Wyższy Urzędnik Blokowy i oficjalnie złożył mu kondolencje.

— Czy mógłbym zobaczyć ciało? — zapytał Jan.

— Ze względów higienicznych zwłoki uległy natychmiastowemu spopieleniu — wyjaśnił urzędnik.

— Powinienem chyba zawiadomić mamę, przebywa u krewnych — wyrwało się Janowi.

— Już zawiadomiona, ale nie przyjedzie — padło wyjaśnienie.

— W takim razie może ja powinienem do niej pojechać?

— To zbędne.

Nigdy więcej nie zobaczył się z matką twarzą w twarz. To znaczy, dosyć często rozmawiał z nią przez oglądnik (starsza pani jeszcze przez wiele lat cieszyła się dobrym zdrowiem). Za każdym razem jednak kiedy choćby tylko napomykali o Adamie, łączność ulegała zakłóceniu, a w trójwymiarowej sferze pojawiał się napis: „Przepraszamy za usterki”.

Zresztą, z biegiem lat kontakty z matką osłabły; ludzie w sposób coraz bardziej ewidentny stawali się więźniami swoich sześcianów i oglądników. Gdzieś przed rokiem Jan dowiedział się, że staruszka umarła.

W pamięci Dziesiątego zachował się jeszcze jeden fakt. Kiedy porządkował mieszkanie ojca, wszystkie przedmioty znajdowały się na miejscu; nie znalazł jedynie latarki, w świetle której pan Adam opisywał mu swoje spostrzeżenia.

Po wielu latach z serialu oglądnikowego nasz bohater dowiedział się o mikrokamerach, które można wmontować nawet w ręczną latarkę. Ale wówczas bardzo rzadko wracał myślami do przeszłości. Jego pokolenie dało spokój buntom. Brało rzeczywistość taką, jaka była i starało się maksymalnie spokojnie prowadzić życie, zgodnie z wytycznymi Cybernetycznego Sternika. Żeby było jasne, GLOK wymagał posłuszeństwa, nie kultu. Na zajęcie miejsca Boga Globalny Komputer był chyba zbyt sprytny. Owszem, zezwalał na gloryfikację elektronicznej doskonałości swych funkcjonariuszy, na sławienie mędrców z Pierwszej Setki (ale bez żadnych nazwisk czy konkretów), natomiast o sobie mówił zabronił. Nie słyszało się wierszy ani pieśni o Globalnym Komputerze, nad plastiką w ogóle nie ma co się zastanawiać — bo jak można przedstawić coś wielkiego jak świat, co zespala w sobie wszystkie elektroniczne urządzenia, połączone neurytami i dendrytami kabli i łącz? Coś, co nie wiadomo gdzie się kończy, a gdzie zaczyna?

Z obserwacji oglądnikowych tendencji (GLOK nigdy nie przemawiał wprost do szarych ludzi) wynikała jasna sugestia, że Globalny Komputer woli, jeśli traktuje się go jako „Tego, Który Jest”. Który zarządza kontrolerami, zapewnia ład i porządek, nagradzając posłusznych, a karząc niepokornych. Jego portret, funkcjonujący w ludzkiej psychice, miał być odpowiednio mglisty, nieprecyzyjny, a zarazem pełen wszechmocy — GLOK wszystko widzi, we wszystkim uczestniczy i wszystko koordynuje. Bez konkurencji!

Skąd mógłby wziąć się człowiek, zdolny do rywalizacji z czymś równie potężnym i nieokreślonym? Ludzkich mechaników dawno odsunięto od konserwacji Supermózgu, wszystkie

prace przy nim, jak też niezbędne naprawy, leżały w gestii robotów stanowiących część Elektronicznej Ośmiornicy. W tak zorganizowanym systemie GLOK mógł mieć tylko jednego przeciwnika — Boga. Korzystając jednak z faktu, że Pan Bóg mało zajmował się Ziemią, a przynajmniej nie ingerował bezpośrednio w bieg wydarzeń, GLOK uroczyście go unieważnił, wymazał z baz danych i ludzkich mózgow. Choć nie do końca — mimo surowych represji, matki zawsze znalazły sposób, żeby przekazać dzieciom choćby część wiary, nadziei i miłości. Globalny Komputer mógł żywić nadzieję, że dopiero kolejne pokolenie, całkowicie wyhodowane na regeneratorach i oglądnikach, pozostanie wolne od tandetnych idealizmów. Wówczas ich struktura psychiczna zamknie się jak kryształowa kula pozostawiająca wszelkie wątpliwości na zewnątrz. Ludzie znajdą się na łasce i niełasce Cyfrowego Ojca! Pokoleniem, które miało ziścić te ideały, było pokolenie Dina.

Jan wahał się przez dobę. Jego przygnębienie rosło. Nie pomagały pieszczoty Onej ani nawiew dobrego samopoczucia czy wszystkie promienniki fluidów w sprayu i rozweselaczy w aerozolu. Wreszcie postanowił wypróbować neurograwitator. Podniósł się z łoża, które natychmiast zmieniło kształt na szezlong, a gdy wstała również Ona, rozwiało się jak dym.

— Co właściwie chcesz zrobić? — pytała dziewczyna.

— Sam jeszcze nie wiem. Zacznę od zbadania tego muru.

Neurograwitator, mimo iż wykonany chałupniczo, w warunkach ścisłej konspiracji, należał bez wątpienia do najdoskonalszych tworców techniki, stanowił łabędzi śpiew ludzkiej wynalazczości. Prosty w obsłudze — niewidzialny dla elektronicznych szpiegów, kiedy tylko zaczynało się o nim mówić, włączał paraliż informacyjny. Dzięki temu stawał się niewidzialny dla podsłuchujących bądź podglądających, a oni sami nie mieli świadomości, że strumień informacji został oceniony.

Jedynym mankamentem była krótkotrwałość funkcjonowania: pas działał w oparciu o skondensowaną energię biologiczną, która wyczerpywała się po paru minutach. Ładowanie polegało na trzymaniu pasa na żywym organizmie co najmniej przez godzinę w stanie spoczynku. Niestety, taka regeneracja łączyła się z nieuchronnym wyczerpaniem jej nosiciela.

Jan Dziesiąty podszedł do najbliższej ściany swego więzienia, na moment zawahał się, ale wykonał krok do przodu i ku swemu zaskoczeniu przeniknął przez mur niczym duch, odczuwając jedynie niewielkie swędzenie.

Po drugiej stronie również mieścił się kwadrat plenerowy, przypominający trochę dwudziestowieczny Disneyland, a trochę dawne przedszkole poziome. Jaskrawe kolory i wesoła muzyka stwarzały atmosferę dziecinnej beztroski. W samym środku wznosił się pawilon mieszkalny przypominający zamek Królowny Śnieżki, pełen blanków, wykuszów i spiczastych wieżyczek; dookoła krążyły automatyczne krasnale najrozmaitszej maści, po malowniczych skałkach pędziły kolejki górskie. Tuż przed Janem rozsypała się kolekcja żywych klocków.

— Ustaw mnie! A mnie na nim! — wołały.

Dziesiąty, świadom szczupłości czasu, jakim dysponował, nie miał ochoty na zabawę. Doszedł do

wniosku, że przeniknął przez niewłaściwy mur i zamierzał zawrócić, kiedy z tłumu płasających gnomów wynurzyło się coś większego niż krasnal i wyrecytowało:

Wszystkie dzieci, wszystkie dzieci bawią się, jak każe Trzeci.

Hopsa, hopsa, sasa, sasa. Ale tu zabawy masa.

Mówiącym okazał się żywy, łysy facet w krótkich spodenkach i skarpetach zwiniętych w „obwarzanki”. Facecik patrzył czujnie na Jana i gestami zapraszał do wspólnego galopu wokół grzybka:

— Jestem Trzeci, a ty powiedz, czyś turysta, czyś Setkowiec? — wołał, dając dowód kompletnego zdziocinienia.

A może ktoś mu w tym pomógł? Dziesiąty chętnie rozważyłby ten problem, ale nie miał na to czasu, gdyż rozległo się ciche brzęczenie ostrzegające, że energia neurograwitatora rychło ulegnie wyczerpaniu, a wówczas ponowne przeniknięcie muru będzie niemożliwe, a co gorsza przestanie działać paraliż informatyczny i czujniki zorientują się, że do kwadratu Trzeciego wdarł się intruz. Jan cofnął się i pobiegł w stronę ściany, zanurzył się w ścianę.

— Zostań! — dobiegł go dziwnie normalny głos Trzeciego. Odwrócił głowę i tak już pozostał, w osiemdziesięciu procentach w krainie zabawek, za to z nogą i ramieniem uwięzionym w skamieniałym solidnym murze. Jednocześnie gotów był przysiąc, że w uszach zabrzmiał mu cichutki śmieszek.

* * *

Jan nie wracał, a Ona, z minuty na minutę bardziej niespokojna, nie mogła znaleźć sobie miejsca. Przez kwadrans baraszkowała w basenie ze sztucznym delfinem, bezczelnym cyborgiem składającym przy każdej okazji propozycje wielce nieprzyzwoite dla młodej mężatki. Oczywiście dostał po pysku i spłynął.

Na wszelki wypadek podwójnym klaśnięciem zamieniła basen w wydmnę i wzmocniwszy promienie kwarcowego słoneczka ułożyła się na małym latającym dywaniku, kołyszącym się w starym, dobrym rytmie na trzy czwarte. Nie ulegała długo. Po kwadransie jeszcze bardziej zniecierpliwiona zmieniła plażę w sosnowy lasek (zieleń zawsze uspokaja). Tym razem jednak rozdrażniły ją automatyczne wiewiórki, gwiżdżące popularne szlagiery.

— Chyba się do niego przywiązałam bardziej, niż powinnam! — westchnęła. — Co się ze mną dzieje? Wypadam z roli.

Oczywiście nie wyznała Janowi, że jest jej czwartym, a nie drugim mężem. Początkowo na krótki

okres przydzielono ją Trzydziestemu Piątemu. Kiedy okazało się, że Trzydziesty Piąty za kobietami nie przepada, sprowadzono dla niego jasnowłosego efeba, wystarczająco rozwiniętego intelektualnie, by starszy pan się nie znudził, a Ona wstąpiła w związek (równie krótkotrwały) z Dwudziestym Trzecim. Mariaż też nie należał do udanych. Dwudziesty Trzeci, mimo nieprzeciętnej inteligencji i aparycji filmowego amanta, był zgryźliwym nerwusem, bez przerwy płatał kawały swym strażnikom, nieprzerwanie podejmował próby wydostania się z kwadratu, a gdy te zawiodły, ubzdurał sobie, że wszystkiemu winna jest Ona i parokrotnie próbował ją zabić. Nic dziwnego, że rozstanie przyjęła z prawdziwą ulgą i nie pytała o dalsze losy Dwudziestego Trzeciego. Następny mąż, o kryptonimie Trzynasty, był zupełnie inny: łagodny, zamknięty w sobie, choć również nie pogodzony z losem. Bardziej niż ciałem, interesował się umysłem Onej. Usiłował ją uczyć, rozbudzać ciekawość świata. Po jego samobójczej śmierci była gotowa pogodzić się z samotnością. Ale Jan... Kto wie, czy gdyby do ich poznania doszło w innej sytuacji, nie pokochałaby Dziesiątego naprawdę. W porównaniu z innymi „mózgowcami” był taki zwyczajny, normalny. Tylko dlaczego teraz nie wracał?

Naraz, z nieokreślonej przestrzeni, doleciał ją niski głos:

— Gdzie Dziesiąty? — ukłękła i pochyliła głowę poznając Głos Pana.

— Gdzie Dziesiąty? — rozległo się ponownie.

Przeszył ją dreszcz. Niewymawialny interesował się osobiście jej mężem.

— Nie wiem — powiedziała.

— Brzydko kłamać, bardzo brzydko kłamać. Nie zapominaj, kim jesteś i jaka jest twoja rola. Gdzie Dziesiąty?

* * *

Jan tkwił uwięziony w betonie, nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu. Grozy sytuacji nie umniejszała groteskowa muzyka z ogródka krasnali.

Zastanawiał się, czy noga i ręka unieruchomione w ścianie uległy zmiążdżeniu. Chyba nie, bo nie czuł bólu.

— Proszę się nie denerwować, przyniosłem oskard — usłyszał naraz obok siebie ciepły głos.

— Trzeci?

— Ale wstrzelił się pan w tę ścianę, jak jakiś kólek — łysoń w krótkich majtkach uśmiechnął się, unosząc w górę prymitywne narzędzie. — To mój oskard, wyciosałem go z buły krzemiennej.

— I pozwolono panu na pracę fizyczną? — zdziwił się Jan, przymykając oczy, gdyż spod oskarda zaczęły strzelać kamienne odpryski.

— Nie docenia pan mojej inteligencji. On zresztą — wskazał kciukiem w górę — też nie! Od dziesięciu lat symuluję dzieciństwo. Uśpiłem czujność nawet najgorliwszych aniołów stróżów. Od dawna kontrolują mnie wyrywkowo, raz na miesiąc albo rzadziej.

— To chyba zbyt optywizm, o ile wiem, nawet zwykli ludzie podlegają nieustannej kontroli.

Trzeci roześmiał się.

— GLOK chce, żebyśmy tak myśleli. Strach paraliżuje lepiej niż kajdany. Ale mam pewność, że nie jest w stanie panować nad wszystkim. Nawet taki superleb ma trudności z przerobieniem całej tej papki informacyjnej, która spływa do niego przez nieprzebraną zgraję jego czujów. Dusi się nadmiarem danych, a z tego, co o nim wiem, jest tak zcentralizowany, że nie zezwala na najmniejsze choćby działanie bez własnego udziału. Mnie skreślił jako chorego na infantylię. Wiem, że moja symulacja go denerwuje, nie uwierzy pan, jak myślące maszyny brzydzą się wszystkim, czego nie mogą pojąć. Nie są w stanie pojąć idiotów, są bezradne wobec paranoików. Obserwowanie takich jak ja napawa je nieomal fizycznym wstrętem. Dlatego mam powody twierdzić, iż nie jestem kontrolowany non stop.

Jeszcze parę uderzeń oskarda i Dziesiąty był wolny. Wyciągnął dłoń do swego wybawcy, ten poklepał go po ramieniu.

— Proszę do mnie na pokoje. Porozmawiamy..

— Chyba jednak jak najszybciej powinienem wrócić do siebie, z pewnością już zauważono moją nieobecność.

— I co panu zrobią? GLOK przy całym swym łajdactwie i wszechmocy ma kilka słabych punktów — na przykład nie potrafi się zdobyć na zabicie kogokolwiek z Setki. Tak kiedyś go zaprogramowano. Może nas separować, ograniczać, ale musi być strażnikiem podstawowej zasady numeryczności, która głosi — chronić najlepszych. Hej, krasnalki, tańczyć, tańczyć!

Jan z ociąganiem ruszył za gospodarzem. Może Trzeciemu i innym z Setki włos z głowy nie spadnie — ale kiedy się wyda, że on jest tylko Milionem?

Rozdział VI

Najpierw poraził go słoneczny blask. Potem zaniepokoił cień, który padł na jego twarz umazaną błotem i zakrzepłą krwią. Din poderwał się i przysłonił dłonią oczy przed jaskrawością słoneczka. „Kim jesteś?” — zawołał, nie do końca przekonany, czy przypadkiem nadal nie śpi. Śniada buźka dziewczyny, wystająca zza skały w pierwszej chwili wyglądała urokliwie, a w wielkich ciemnych oczach błyszczała ciekawość. Zaraz jednak twarz nieznajomej rozciągnęła się niczym odbicie w krzywym zwierciadle, upodabniając się do pyska żaby, potem błyskawicznie skurczyła się do rozmiarów pięści i w ogóle znikła. Din ostatecznie oprzytomniał i skoczył na równe nogi. Równina wyglądała zupełnie inaczej niż w nocy. Olbrzymia bryła megabloku prezentowała się w całym swym bezdusznym ogromie ciemna i zimna. Dookoła ciągnęła się czerwona, sucha ziemia, pełna spękań i kamieni, tu i ówdzie w zagłębieniach udrapowana kępkami przepalanej zieleń. Patrząc na zachód, widziało się, iż równina przechodzi w pasmo wzgórz, których dalszy ciąg gubi się w sianej mgiełce. Okolica robiła wrażenie zupełnie odludnej. Z lewej strony, w kotlinie, dostrzegł wysypisko złomu, z którym wiązały się jak najgorsze wspomnienia. Na wszelki wypadek wziął w dłonie ostry dwukilowy kamień i tak uzbrojony zajrzał za skałę, spoza której wychylała się tajemnicza obserwatorka. Nikogo. Może uciekła?

Wokół skały glina była mokra, ale nie pozostał na niej żaden ślad stopy. Czyżby mi się przywidziało? — pomyślał Din, ruszając w stronę wzgórz. Spodziewał się, że tam najłatwiej odnajdzie jakieś źródło i być może coś do jedzenia. Był głodny. Toteż przyjemnie zdziwił się, gdy, przetrząsając kieszenie, natrafił na fiolkę pełną pastylek pokarmowych. Gotów był przysiąc, że niczego podobnego z domu nie zabierał. Sama fiolka też wyglądała niestandardowo. Za to, gdy spróbował pastylki, okazały się przepyszne. Połknął jeszcze trzy i poczuł się wzmocniony jak po solidnym obiedzie. Przez godzinę maszerował dziarsko, nie mogąc jednak pozbyć się wrażenia, że jest stale obserwowany. Wprawdzie nic nie wskazywało na jakąkolwiek obecność żywej istoty na tym odludziu, żadnych podejrzanych kroków, hałasów. Wzgórz przybliżyły się, a step zastąpiła zwirowata pustynia. Szło się coraz trudniej, a słońce sięgające zenitu prażyło nieznośnie, zwłaszcza dla Dina, wychowanego w warunkach permanentnej klimatyzacji.

Dotarł wreszcie do końca zwirowiska i z radością zanurzył się w cień skałek, kiedy nagle usłyszał za sobą chrzęst. Obrócił się. Nikogo! Postąpił parę kroków, chrzęst się powtórzył.

— Jest tu kto?! — zawołał. A potem ich zobaczył. Hordę zdezelowanych, paskudnych cyborgów, jakby rodem z koszmarnego snu, wychylających się zza każdej skały. Słyszał, jak z blaszanych trzewi dobywają się głosy: „Człowiek, człowiek!”. Din przez moment mierzył ich wzrokiem, po czym nie wytrzymał nerwowo i puścił się klusem w stronę wzgórz. Nie miał żadnych szans ucieczki. Już po kilkudziesięciu metrach dwa zardzewiałe androidy zabiegły mu drogę, jakaś mechaniczna łapa złapała go za łydkę, inna wykręciła ramię.

Napastnicy nie przypominali schludnych robotów z nauczalni czy czuj ów pilnujących ładu i porządku na korytarzach megabloku. Skorodowani i brudni, wydawali się składać z samych defektów i ubytków, uzupełnianych byle jak, za pomocą sznurka czy zardzewiałego drutu. Z dziur w obudowach

wyzierały poprzepalane obwody i akumulatory wydarte zapewne innym maszynom. Nie przeszkadzało to jednak powtarzać im z zachwytem:

— Człowiek, człowiek, mamy człowieka!

— Co z tego, że jestem człowiekiem? — wrzasnął, próbując wyrwać się z uścisku sztucznych kończyn. — Co ja wam zrobiłem? Na co wam się przydam? Nie mam ani baterii, ani przewodów! Puśćcie mnie, przyjaciele!

Niektórym napastnikom argumentacja ta musiała trafić do cybernetycznego łba, uścisk zelżał. Jeden z robotów przegrzany gonitwą iskrzył na złączach, inny kopcił paskudnie z popękanego kadłuba.

Din wykorzystał moment i gwałtownie wskazał ręką w górę.

— A to kto? — zawołał. A gdy roboty zadarły czujki, pchnął iskrowatego na kopącego śmierdziucha. Błysnęło jak podczas burzy, razem z iskrami sypnęły się przekleństwa. Chłopak tymczasem skoczył w lukę między dwoma jednonogimi potworami wspierającymi się na protezach ze starych szyn kolejowych. „Stój, stój!” — zawyli napastnicy. Ale Din odsadził się na dobre kilkanaście metrów. Przesadzał sterty żelastwa, nie zwalnając pokonywał strome skałki i prześlizgiwał się szczelinami między głazami. Na równym terenie nie miałby żadnych szans, w skalnym labiryncie ludzka zwinność brała jednak górę nad niesprawnymi maszynami. Jeden z goniących rozsypał się w biegu. Drugi gnał, trzymając pod pachą mackę, która odpadła mu w trakcie wspinaczki. Jeszcze pięć minut, a czołówka goniących stopniała do trzech robotów. Dodało to chłopakowi nowych sił. Pokonał jeszcze jedno wzniesienie i stanął jak wryty. Pod nogami rozwierał się kilkudziesięciometrowy wąwóz. Prześladowcy byli tuż tuż i rzeli radośnie: „Mamy człowieka, mamy człowieka”.

Din jeszcze raz omiół wzrokiem okolicę. Żadnej możliwości ucieczki. Za plecami miał uskok, a kilkadziesiąt metrów niżej widać było wyschłe koryto potoku, usiane głazami, z których jeden miał kształt brunatnej purchawki.

— Słuchajcie — zaczął wołać do nacierających. — Nie róbcie mi krzywdy Jeśli zaprowadzicie mnie do megabloku, na pewno dadzą wam nagrodę!

Odpowiedzią był gardłowy pomruk. Skoczyli ku niemu. Din nie zdążył nawet krzyknąć, stracił równowagę i koziołkując, poleciał w dół.

* * *

W ciągu pół godziny Jan zrelacjonował Trzeciemu swoje dotychczasowe życie, wspomniął o powierzonej misji, nie zatajając niczego, nawet trzech dni zmarnowanych na studiowanie wdzięków Onej.

— W moim wieku kobiety nie odgrywają już takiej roli — uśmiechnął się Trzeci i poklepał hożą krasnalnę, która przyniosła im kanapki ze sztucznym kawiozem. — Niemniej uważam, że pańska akcja powinna być kontynuowana.

— Tylko jak? Miałem dostać się do Pierwszej Setki, dowiedzieć się, jak tu jest, a następnie przekazać informację. Tymczasem kontakt jest zerwany, a co się tyczy informacji...

— Wiele ode mnie się pan nie dowie, bo sam mało wiem. Dzień, w którym każdy z nas trafił do Setki, oznaczał praktyczne oderwanie od życia w megablokach. Nie mamy na nic wpływu, odmawia się nam informacji. Początkowo zezwolono jeszcze na ograniczone kontakty poziome — między sąsiednimi kwadratami, ale kiedy Pierwszy z Trzynastym zorganizowali sobie łączność poza GLOK-iem, pozbawiono nas nawet tego.

— W takim razie skąd pan wie o podjętej próbie?

— Jakiś czas udawało nam się porozumiewać, pukając w ściany, potem jednak pogrubiono mury i dodano izolację uniemożliwiającą kontakty.

— To bezprawie — nie wytrzymał Jan.

— Obawiam się, że Superkomputer uważa swoje postępowanie za słuszne.

— A to cyberbydlę!

— Epitety nie załatwią sprawy — na twarzy Trzeciego pojawił się łagodny uśmiech godny filozofa. — Przeciwnika trzeba najpierw zrozumieć. A co pan wie o psychice komputera tej generacji?

— Nie zastanawiałem się.

— A szkoda. Jedną z podstawowych cech superumysłu jest głęboka nieufność do ludzi. Nieufność o uzasadnionych korzeniach. Zna pan, mam nadzieję, prawdziwe początki numeryczności? Właściwie, po co pytam? Co w pana wieku można wiedzieć na ten temat. Ja to przeżyłem. Może pan nie wierzyć, ale mam sto siedemdziesiąt lat. Kiedy w 2054 roku zaczęła się cała ta zabawa, byłem młodym, ciekawym świata trzydziestosiedmiolatkiem. Nazywałem się wówczas Armand Lecoq i piastowałem stanowisko wiceprezesa Kongresu Futurosocjologów, który właśnie zakończył obrady w Kinszasie. Można powiedzieć, zakończył przed terminem, walki z saharijskim najeźdźcą przemieniły trzydziestomilionową metropolię w jedno apokaliptyczne morze ognia. Nasz wirolot ominął szczęśliwie laserowe sieci zarzucone przez oddziały agresorów i wzniósł się na bezpieczną wysokość czterdziestu kilometrów. Własne pole zakłóceń magnetycznych czyniło nas nieosiągalnymi dla rakiet walczących stron. Lecieliśmy początkowo wzdłuż dawnej rzeki Kongo, przekształconej obecnie w nieprzerwany łańcuch zbiorników i kaskad, obudowanych szczelnie kombinatami, siłowniami i blokami mieszkaniowymi, w większości zresztą objętymi walkami. Potem wirolot skręcił w stronę Nilu.

Naszym celem był Stambuł, jedna z dziesięciu rotacyjnych stolic świata. W zasadzie jedna z trzech,

oprócz Sidney i Brasilii, w których aktualnie nie trwały zamieszki, starcia i ataki terrorystów. Dziewiąty w bieżącym roku kryzys gabinetowy rządu światowego, spowodowany ustąpieniem ministrów hinduskich w odpowiedzi na mordobicie pomiędzy delegacją chińską a australijską, trwał już jedenasty dzień. Dotychczas, w wypadku podobnych konfliktów odwoływano się zazwyczaj do Mirka Rankowicza, utalentowanego negocjatora z Belgradu, który już parokrotnie w trudnych chwilach obejmował stołek awaryjnego premiera. Tym razem Rankowicz odmawiał. „Kłopoty rodzinne” — twierdził. Przed tygodniem jego syn Janko został uprowadzony przez separatystów z plemienia Ajnów na wyspy Hokkaido. Domagali się oni wycofania z obiegu filmu przedstawiającego kolonizację Azji przez Indian Amerykańskich, podczas gdy, jak głosili, prawda historyczna była kompletnie inna.

Jakby mało było kłopotów z Hindusami, na forum Parlamentu Ziemi trwał spór koalicji protestancko–buddyjskiej z lobby prawosławno–islamskim na temat kształtu stolika do rokowań na Malcie. Tematem rokowań miały być stosunki między importerami chrzanu a eksporterami blachy cynkowej. Co gorsza, szaleniec, który niewielkim ładunkiem nuklearnym zamienił w chmurę gazów czterdzieści pięć milionów mieszkańców Dżakarty, okazał się ostatnim laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki, szwedzkim Żydem pochodzącym z Nowej Zelandii. Spowodowało to żywiołowe wystąpienia na tle rasowym, które ogarnęły całą siedzibę Zgromadzenia Grup Etnicznych. Nie koniec na tym, wedle statystyki „Biuletynu Codziennego” aktualnie trwało około pięćdziesięciu sześciu lokalnych sporów granicznych, prowadzono siedem wojen prywatnych, odnotowano piętnaście rebelii na tle religijnym, przy których awarie dwóch elektrowni jądrowych oraz około 37 zamachów samobójczych w rozmaitych zakątkach świata stanowiło już jedynie ciekawostki etnograficzne. Najgorzej, że polityczna sytuacja przypominała klasycznego pata. Ziemi brakowało przywódcy. W samej Izbie Wyższej Ziemskiego Parlamentu — Etnice — na czterystu czterdziestu siedmiu deputowanych nie było nawet stu, którzy zgodziliby się co do jednej kandydatury, a co dopiero marzyć o bezwzględnej większości. Z kandydatów neutralnych Irlandczyk O’Henry został zastrzelony przedwczoraj przez paranoika z Ruchu Zwalczenia Sznurowadeł w Butach, a wielki autorytet moralny, sędziwy Vacuoli z San Marino, już dwudziesty ósmy miesiąc przebywał w rękach separatystów z Awinionu, domagających się niezwłocznego przeniesienia tamże siedziby papieża.

Inna sprawa, że ludzkość potrafiła przywyknąć nawet do takiego bałaganu. Poza mną większość pozostałych pasażerów zdawała się drzemać spokojnym snem, a automatyczny pilot nucił ulubioną piosenkę.

Dolatywaliśmy właśnie do Kairu, 130–milionowej metropolii wypełniającej obecnie całą deltę Nilu betonowym lasem prawie identycznych wieżowców, wyjąwszy maleńki skansen z piramidami i plastikowym Sfinksem (prawdziwy rozpadł się od smogu), kiedy podniosła się z siedzenia szalowa blondynka w kompletnie przezroczystej tunice, która w szeregach Ruchu na Rzecz Ponownego Uciemnienia Kobiet stała się, można rzec, strojem organizacyjnym. Dziewczyna była szczupła, ale piersi (dzięki hormonom Spółdzielni Magnum) mogły przypawić o zawrót głowy nawet dzwonnika z Notre Damme. Nie kryję, lubiłem takie instrumenty — zwłaszcza gdy szły w parze ze szczupłymi łydkami. Dziewczyna, nie przestając się uśmiechać, wydobyla laserowy pilnik do paznokci i zatopiła go w kablu głównego zasilacza.

— No, nie — pisnął automatyczny pilot. — Jakie masz warunki?

— Na Cejlon! — powiedziała krótko aktywistka ZPUK. Pilot posłusznie dokonał zwrotu, ale w tym samym momencie ostrzyżony na zero młodzian wstał i wyciągnął zza pazuchy grudę plasteliny wybuchowej zdolną wysadzić w powietrze całe lotnisko.

— A ja poproszę do Puerto Rico! Jeśli łaska — wycedził, nie przestając żuć gumy. Automatyczny pilot zawahał się.

— Może państwo terroryści uzgodnią między sobą kierunek. Mnie tam jest wszystko jedno.

— Jak to wszystko jedno? — przezroczyście spąsowiała. — Ja byłam pierwsza.

— Cicho, Welono — warknął młodzian. — Do San Juan!

— Kierunek Colombo!

Siedzący obok mnie biznesmen z Jaffy melancholijnie zastrzygł pejsami:

— I jak teraz robić interes — to trzecie porwanie w tym tygodniu?! Najpierw z Grecji na Labrador, potem przez Honolulu do Kinszas, po drodze zaliczyłem dwie rewolucje, trzy przewroty. To biuro turystyczne powinno zmienić nazwę na „W osiemdziesiąt zamachów dookoła świata”.

— Nie narzekać — warknął terrorysta — bo wam tu zrobię taki plastusiowy pamiętnik, że i za sto lat nie wybierają naszych szczątków z pustyni. Lecimy na Antyle i już.

— Drodzy państwo — usiłował wtrącić się kolejny pasażer, ksiądz o urodzie filmowego amanta — proponuję rozwiązanie kompromisowe, wylądujemy w Kairze, to będzie dla każdego pół drogi.

Nie wiadomo, jak skończyłaby się ta mediacja, gdyby nagle nie zapłonął ekran i nie rozległo się z głośników:

— Uwaga! Wiadomość z ostatniej chwili! Niespodziewany koniec długotrwałego impasu w Obu Izbach. Globalny Komputer został powołany na stanowisko Premiera Ziemi. Jeszcze dziś zaprzysiężenie w Stambule.

— O, w mordę! — zakrzyknął młodzian. — Taka impreza beze mnie? Lądujemy!

— Oczywiście, do Stambułu! — zgodziła się dziewczyna.

W sali odpraw niedoszły porywacz zwrócił się do mnie z prośbą o pożyczkę. Zabrakło mu paru eurocentów na oclenie pakietu z plasteliną wybuchową. Pożyczyłem, pytając z ciekawości, jaką organizację reprezentuje?

— Siebie — padła odpowiedź. — Chciałem jedynie zaprotestować.

— Przeciwno czemu?

— Rzecz jasna, przeciwko piractwu powietrznemu.

— W takiej mniej więcej atmosferze GLOK doszedł do władzy. — Trzeci kontynuował swą opowieść: — Trudno się dziwić, że komputerowe wyjście z kryzysu zafrapowało nas wszystkich. Nowy, wirtualny premier, wydawał się być optymalnym rozwiązaniem — kompetentny, bezstronny, zrównoważony. A jaki był uprzejmy dla deputowanych. Jak potrafił schlebiać autorytetom, przekonywać nieprzejednanych. Już po kilkunastu dniach rządów zażegnał najbardziej bezsensowne konflikty, uporządkował akty prawne, uporał się z terroryzmem i przestępczością. Nieprzekupny, racjonalny, konsekwentny. Futurosocjologom, takim jak ja, zdało się, że oto nadeszło wręcz „królestwo Boże”. Obwieściliśmy, dość pochopnie, nadejście nowej epoki.

— I rzeczywiście przyszła? — zapytał Jan. I właśnie w tym momencie poczuł, że neurograwitator jest w pełni zregenerowany. Nie czekając na dalszy ciąg opowieści, przeprosił Trzeciego, czy jak kto woli Armanda Lecoąa, obiecując powrócić, gdy tylko upewni się, co z Oną i czy nie zauważono jego zniknięcia.

— Będę czekał — powiedział gospodarz i na hulajnodze pomknął w stronę zjeżdżalni.

Jan bez trudności wrócił do domu. Ona oczekiwała go na wydmie, rozgrzana sztucznym słońcem i namiętnością.

— Wszystko w porządku? — zapytał, odpinając pas. — tęskniłam za tobą — odpowiedziała.

— A czujniki?

— Wygląda, że w ogóle się nami nie interesują.

Krótkie polecenie rzucone iluzjomatografowi wystarczyło, by zapadł zmierzch, ozwało się nagranie słowika, a na cały kwadrat spłynął nastrój lirycznego romantyzmu, podszytego zapamiętany seksem.

* * *

Lot Dina w stronę dna wąwozu trwał krótko. O wiele krócej niż powinien. Chłopak nie zdążył nawet dokonać rekapitulacji całego swego niedługiego życia, co podobno jest regułą w takich sytuacjach. W pewnym momencie zorientował się, że już nie spada. W następnej sekundzie uświadomił sobie, że wisi gdzieś w połowie parowu na niewidzialnej, elastycznej poduszce. Tłum elektronicznych kalek, zgromadzony nad urwiskiem, szydził z niego i wygrażał kikutami macek. Jednak żaden z napastników nie wydawał się być zdziwiony tym, co się stało.

— Dostyc tych barbarzyńskich zabaw! — ozwał się głos całkiem ludzki, sympatyczny i nad wyraz niewieści. Niewidoczna platforma miękko podniosła się do góry, a roboty, przedtem zachowujące się brutalnie, z szacunkiem uniosły go na ramionach. — Do miasta — padła komenda. Urokliwy głos dobywał się spod niewidzialnej poduchy podtrzymującej Dina, stanowiącej najwyraźniej emanację

energii z brunatnej bulwy leżącej na dnie wąwozu, która zaraz zmieniała się w żywą linę; jak wąż wypełzła na równinę, gdzie przyjęła kształt cielistej gruszki ozdobionej małymi szypułkami zakończonymi świetlistymi punkcikami. Gadająca gruszka sunęła obok nich nie dotykając ziemi, poruszana dziwną energią, zapewne tą samą, która powstrzymała chłopca przed upadkiem.

— Serdecznie dziękuję za uratowanie życia! — wykrztusił chłopak.

— Drobiazg — odpowiedziała grucha. — To ja jestem raczej winna przeprosiny, że pozwoliłam na tę niegodziwą gonitwę. Roboty są jak dzieci..., potrafią być bezmyślne i okrutne. Właściwie powinnam ukazać się od razu, ale nie wiedziałam, jak na mnie zareagujesz. Ludzie różnie odnoszą się do umysłowców.

— Chcecie przekazać mnie czujom z megabloku?

— Skądże znowu — elastyczna bryła zatrzęsła się od śmiechu — zabieramy cię do miasta.

Osada leżała w wąskiej dolinie, doskonale ukryta wśród skał. W niczym nie przypominała symetrycznej konstrukcji megabloku. Zbudowana chaotycznie i niechlujnie, najwyraźniej z odpadów, pełna krętych ciemnych uliczek, przypominała melanż średniowiecznych zaułków z dwudziestowiecznymi slumsami. Stanowczo okolica nie wyglądała na rządzoną przez tę samą władzę, co megablok. Już to mogło nastrajać optymistycznie. Jednak im bliżej centrum, tym większy niepokój ogarniał Dina. Nigdzie nie było widać ludzi. Ulice roiły się od robotów i robociąt, wszystkich w fatalnym stanie, brudnych, pordzewiałych, wrzaskliwych. Chłopak i jego eskorta musieli wzbudzać niemałą sensację: dołączały do nich tłumy elektronicznych gapiów, otwierały się okiennice sklecone ze starych beczek i wyglądały zdezelowane robocice. Na pyskach wielu malowała się dzika nienawiść, zaś parę młodych androidów sięgnęło nawet po kawałki kamienia. Jednak groźne błyski wysyłane przez szypułki gruszczyki działały mitygująco. Na koniec kolumna dotarła do białego schludnego budynku, jaskrawo odbijającego od okalających pokraccznych ruder. Tu roboty przykłęły.

— Świątynia — ucieszył się chłopak. Postawiono go na ziemi. Drzwi budynku uchyliły się i z wnętrza dobiegły słowa:

— Wywitajże, neurobiałku młodowaty — jednak mówiący te słowa nie był człowiekiem, tylko szarą gruchą, z anteną przypominającą aureolę, opasany różańcem z tranzystorów.

Rozdział VII

Dwa dni musiały upłynąć, zanim Jan Dziesiąty zdecydował się ponownie nałożyć neurograwitator i przeniknąć przez ścianę do sąsiada. Dwa trudne dni, w ciągu których bezskutecznie próbował nawiązać kontakt z Nedom. Niestety, albo aparat uległ jakiemuś uszkodzeniu, albo z jakichś powodów spiskowcy nie chcieli rozmawiać ze swym agentem, albo... Ewentualności wyspy w ogóle nie brał pod uwagę. Zresztą czy wówczas pozostawiono by go w spokoju? Tymczasem nie działało się nic, co wskazywałoby na najmniejsze zainteresowanie Dziesiątym i jego kwadratem.

Ona starała się pomagać Dziesiątemu, wspierała go również psychicznie, aż Jan z własnej woli wyjawiał jej cel swojej misji, podał swój prawdziwy numer — co młoda żona skomentowała krótko: „spodziewałam się tego”. Uspokoiła go również informacją, że zdarzały się długie okresy, podczas których rozleniwione czujniki nie zwracały uwagi na lokatorów kwadratu. Po 48 godzinach wyczekiwania zdecydował się dać kolejnego nurka w beton, obiecując dziewczynie, że spróbuje namówić Trzeciego, aby wpadł do nich na kolację. Pas neurograwitacyjny był wystarczająco długi, aby opiąć dwie, a nawet trzy osoby. Ona ucałowała męża, ale gdy tylko zniknął, pokornie pochyliła głowę, oczekując na wszechobecny głos. Odezwał się już po chwili:

— Jesteśmy z ciebie zadowoleni Ona. Tylko tak dalej!

Trzeci na kolację zaprosić się nie dał, podjął jednak opowieść o początkach ery numerycznej.

— Elektroniczny premier w swoim pierwszym expose poprosił nas o rok spokoju i wyrozumiałości. Ludzkość udzieliła mu tego kredytu i wszelkich koniecznych pełnomocnictw. Świat, zmęczony waśniami i konfliktami, w imię spokoju gotów był zaufać nawet płątaninie obwodów scalonych. Za zrozumiałe uznano, że w cybergabiniecie ministrami będą wyspecjalizowane zespoły GLOK—a. Jak on — skuteczne i nieomyłne. Wkrótce, jak świat długi i szeroki, zniknęła stronniczość, przestały się liczyć lobby czy grupy nacisku. Jednocześnie postępowanie cyfrowego rządu nacechowane było takim taktem, wyrozumiałością, a zarazem pokorą wobec obu Izb Związku Grup Etnicznych, że wskaźniki zaufania do GLOK—a sięgnęły 90%. Kiedy po roku autopremier postanowił, zgodnie z zapowiedzią, złożyć rezygnację, znowu rozpętało się pandemonium kłótni i przepychanek, a z czterdziestu kandydatów na najwyższy urząd żaden nie mógł przekroczyć piętnastu procent głosów. Wniosek nasuwał się oczywisty, a Superkomputer, krygując się i wahając, zgodził się na przedłużenie swej misji o cztery lata. Obie Izby Parlamentu jednomyślnie udzieliły mu wotum zaufania.

Możesz wierzyć albo nie, ale byłem jednym z największych entuzjastów tego rozwiązania, w mojej rezydencji pod Los Angeles nieraz wiodłem na ten temat gorące dyskusje z przyjaciółmi. Głównym moim adwersarzem był Chris Molisz, znakomity historyk współczesny. Pamiętam, jakby to było wczoraj, jego szczupłą postać drepcącą w kółko po mojej bibliotece.

— Jesteście zaślepieni — powtarzał niczym mantrę. — Nie dostrzegacie ambicji naszego cyberprzywódcy, nie bierzecie pod uwagę zagrożenia elektroniczną dyktaturą! Jesteście pewni, że

wraz z zakończeniem kadencji zechce odejść?

— Oczywiście, Chris — odpowiadałem. — GLOK jest z pewnością ambitny, jednak zaprogramowano go na służenie ludziom. Maszyna nie może przeskoczyć swoich założeń konstrukcyjnych.

— Nie może? Radziłbym wam postudiować uważniej jego przemówienia. Zanalizować posunięcia. W istocie, GLOK ma zakodowaną ochronę ludzi i ich interesów i wywiązuje się z tego. Zarazem jednak uważa nas, ludzi, za duże dzieci. Niezdolne do decydowania o sobie. Obawiam się, że pod pozorami szacunku i troski kryje się głębokie lekceważenie gatunku homo sapiens.

— Sądzę, że to, czego się boisz, dowodzi jedynie pewnej homogenizacji człowieka i maszyny. Komputer, współdziałając z nami, przyswaja sobie pewne ludzkie cechy, słowem ulega stopniowej humanizacji.

— Sądysz, że przyswaja same nasze dobre cechy? A co z ludzkimi wadami?

— Wady wynikają z defektów charakteru, a to nie dotyczy maszyny — tłumaczyłem. — Poza tym GLOK nie ma żadnych możliwości pozakonstytucyjnego działania, owszem, jest rządem, ale podlegają mu dyrektorzy — ludzie, generałowie — ludzie, a obie Izby Zgromadzenia zachowują uprawnienia kontrolne.

Tymczasem Izby rozwiązano w roku 2058 wraz z przejściem do demokracji bezpośredniej. W następnym roku ogólnoludzkie referendum przedłużyło mandat Komputera na następną kadencję. I tak już powtarzało się co cztery lata, przy czym za każdym razem procent głosów oddawany na GLOK—a był wyższy, a ostatnio utrzymuje się na poziomie 99,99, do dwudziestego miejsca po przecinku. Nie przeczę, w czasie pierwszej dekady świat rzeczywiście zmienił się na lepsze. Ekstremizmy, fanatyzmy i polityczne dewiacje poczęły zanikać, zwłaszcza od chwili, kiedy GLOK uznał za niecelowe pokazywanie takich ekscesów przez telewizję.

Pojawianie się cenzury przyjąłem z mieszanymi odczuciami. Zwłaszcza, gdy pewnego dnia byłem świadkiem w Berkeley samospalenia żywcem trzech studentek prawa, protestujących przeciwko planom numeryzmu.

Na placyku rektoratu utworzyło się zbiegowisko, zleciało się mnóstwo beczkolotów strażackich i jeszcze więcej latających spodków ekip stereowizji.

— Jednak gdy włączyłem kieszonkowy odbiorniczek telewizyjny, zaraz po winiecie „Nowości Kalifornijskie” (na żywo) pojawiła się transmisja z wystawy rasowych robotów domowych. Zdumiony podbiegłem do tęgawego kamerzysty z „Nowości”.

— Siadła wam łączność czy dostaliście zakaz? — spytałem.

— Człowieku, jaka łączność, jaki zakaz? Po prostu ten „inteligentny” sprzęt kręci tylko to, co sam chce. Tu zamachnął się kamerą tak, jakby chciał ją roztrzaskać o chodnik. Ale zadygotał tylko, przez czerwoną twarz przebiegł grymas bólu, po czym zaklął tylko i, okręciwszy się na pięcie, odszedł bez

słowa.

Ale nawet wówczas uważałem to za incydent, wynikający z zasad kierowania się „większym dobrem” i niemnożenia sensacji. Wciąż nie chciałem dostrzec, że już wtedy znaleźliśmy się na łasce i niełasce GLOK–a. Nasz globalny kalkulator, potulny premier, chwalcą demokracji, odpowiadający w ciągu jednej dziesiątej sekundy na interpelacje obywateli (choć nie wszystkich), w ciągu pierwszej kadencji zbudował sobie elektronowe imperium. Podłączony do całej światowej elektroniki — satelitów i bibliotek, telefonów i komputerów osobistych, stał się niekontrolowanym władcą wszystkiego, co elektryczne — od stereowizji i wyrzutni rakiet balistycznych po windy w domach mieszkalnych czy programowane pilotem kuchenki mikrofalowe. Nie potrzebował policji ani wywiadu, armii urzędników — nieprzekupny, bezsenny, kontrolował wszystko.

Co więcej, w tajemnicy przed ludźmi zbudował zespół kanałów awaryjnych i łącz zapasowych.

I z wyjątkiem Molisza nikt nie uderzył na alarm. Kiedy przez telefon chciałem mu opowiedzieć o incydencie na dziedzińcu, dość niegrzecznie przerwał mi, twierdząc że to go nie interesuje, ale tego samego wieczoru dołączył do mnie podczas biegów alejką wzdłuż plaży.

Chris był przerażony. Chciał działać, choć nie był pewien, czy jakiegokolwiek działanie może jeszcze ocalić suwerenność człowieka.

— Działać? Co masz na myśli? — zapytałem, nie protestując, kiedy ze ścieżki wciągał mnie głębiej w krzaki.

— Nie licząc się z kosztami, z ewentualnym regresem cywilizacji technicznej, trzeba usunąć GLOK–a — szeptał mi do ucha. — Usunąć i zniszczyć.

— To szaleństwo — jęknąłem. — Zresztą, jeśli jest tak wszechmocny, jak mówisz..., w jaki sposób mógłbyś mu zaszkodzić? Jak poinformujesz ludzi bez pośrednictwa massmediów, które on kontroluje?

— Trzeba spróbować. Na początek potrzebuję paru mądrych ludzi gotowych na wszystko. Pomożesz mi?

Odmówiłem. Bałem się? A może ciągle uważałem rządy Globalnego Komputera za „mniejsze zło”, za prawidłowość dziejową na szlaku od chaosu do wyższych form organizacji? Tym bardziej, że sukcesy elektronowej polityki wydawały się bezsporne. Zażegnano konflikty, doszło do ostatecznego rozbrojenia, chyba na zawsze przestało straszyć ludzi widmo głodu. Ulice wielkich miast stały się bezpieczne, a eksplozja demograficzna uległa zahamowaniu. Rozsądek nakazywał popierać tworzenie ziemskiego raj. Nawet jeśli ta budowa miała oznaczać częściową utratę naszej suwerenności.

Żeby jednak być w zgodzie z własnym sumieniem, spotkałem się jeszcze z Arnoldem Smithem, jednym z Rady Prezydenckiej. Smith wyśmiał moje obawy. Współpracował z GLOK–iem na co dzień.

— To tylko większy laptop, profesorze. Narzędzie w rękach człowieka.

— A incydent w Berkeley?

— Badaliśmy sprawę — chwilowa awaria sprzętu wywołana ludzką nieudolnością.

Uwierzyłem.

Skąd miałem wiedzieć, że Arnold Smith posiadał elektroniczny stymulator serca, który GLOK bez trudu mógł w każdej chwili zatrzymać i co pewien czas dawał to Smithowi do zrozumienia.

Tymczasem Molisz zniknął mi z oczu, podobno wyjechał do Europy, z której ongiś wyemigrowali jego przodkowie. Od znajomych dowiadywałem się, że poświęcił się kolekcjonowaniu staroci i zarzucił rolę Kasandry. W roku 2121 spędzałem wakacje zimowe pod Katmandu. Nepal należał do tych ostatnich miejsc, gdzie bez większego tłoku można było jeszcze pojeździć sobie na nartach. Któregoś wieczora w hotelu podszedł do mnie jakiś Szerp i wręczył kopertę.

— List do pana! Tradycyjny — dodał z podziwem.

W epoce komunikacji elektronicznej listy pisywali jedynie hobbyści i ekscentrycy. Toteż nie zdziwiłem się, gdy rozpoznałem pismo Chrisa.

Posyłam ci ten list za pośrednictwem znajomych. Mam nadzieję, że odnajdzie cię przed dwudziestym wrześniem. Jestem w Polsce, ojczyźnie moich przodków. Jeśli możesz, przyjedź jak najszybciej do Suwałk. Zanim jeszcze nie będzie za późno.

Było za późno. Ale miałem się o tym przekonać poniewczasie. Ekspresowym turnbolem dotarłem do Warszawy, prowincjonalnej dziesięciomilionowej dziury i tam utknąłem. Gdy pytałem o połączenia do Suwałk — miejscowy inform powtarzał z uporem maniaka:

— Nie ma takiej miejscowości.

Od jakiegoś bukinisty nad Jeziorem Ursynowskim (powstałym w miejscu dawnego blokowiska) nabyłem starą mapę, następnie wynająłem zdezelowany helikopter. Sto kilometrów na północ od Warszawy napotkałem silną barierę elektroniczną, wręcz niemożliwą do pokonania. Przy kolejnych ponawianych próbach czujniki pokładowe powtarzały jak zepsuta płyta:

— Teren skażony, teren skażony!

Po latach dowiedziałem się prawdy — od samego GLOK-a. Ten dziwny Supermózg przypominał obyczajami dwudziestowiecznych dyktatorów, lubił zadzwonić w środku nocy do któregoś z pensjonariuszy luksusowych więzień, aby pogadać o sztuce lub istocie człowieczeństwa.

— Biedny Chris, prawie mu się udało — zwierzył mi się aksamitnym basem.

Molisz miał plan prosty, choć szalony. Zamierzał z grupą swych spiskowców opanować atomową siłownię w Suwałkach i wyłączyć prąd w rejonie. W ten sposób wyłączał okoliczne tereny spod kontroli GLOK-a, następnie za pomocą własnej stacji wielkiej mocy, zasilanej przez prąd z agregatu spalinowego, zamierzał w porze maksymalnej oglądalności Informacyjnego Superkanału przedstawić

miliardom obywateli świata prawdę o ich sytuacji.

Równocześnie jeden ze spiskowców, zaopatrzony w sporządzoną domowym sposobem bombę atomową, miał zaatakować europejskie centrum GLOK-a pod Brukselą. Przynajmniej jeden kontynent byłby wolny od jego nadinteligencji.

— Dlaczego więc się nie udało? — zapytał Jan.

Trzeci westchnął.

— Dlaczego?

— Facet z Brukseli!

— Zdradził?

— Bynajmniej. Zgubił go najgłupszy pech pod słońcem. Miał wszystkie przepustki, zmylił kontrolę, ale gdy z walizkową bombą w ręku dotarł do Centrali, najzwyczajniej wysiadła winda. GLOK przysięgał, że nie maczał w tym obwodów. Agent był jednak przekonany, że został zdekonspirowany i wpadł w panikę. Tym większą, że zapalnik został już uruchomiony. Miał wybuchnąć dokładnie za godzinę. Zestrachany Belg tak rozpaczliwie domagał się wydobycia z szybu, że automatом konserwującym dźwig wydało się to podejrzane. Wydobyto go, zdekonspirowano, a walizeczkę bezzałogowym samolotem wysłano do Suwałk.

— O, mój Boże!

— Rozumiesz już, dlaczego cały region został skazony na długie lata. GLOK twierdził, że miał pełne prawo do takiego odwetu, bo kto bombą wojuje...

— Aż dziw, że ty żyjesz.

— Sam się temu dziwię. Kiedy usiłowałem nisko nad ziemią pokonać barierę, autopilot bez ostrzeżenia wyłączył motor. Runąłem jak kamień. Na szczęście w wodę.

Wyłowili mnie autochtoni, niestety, dostałem zapalenia płuc i znalazłem się w szpitalu w Łomży. Dotychczasowy bieg wypadków nauczył mnie ostrożności. Błagałem więc lekarzy, aby leczyli mnie metodami tradycyjnymi — jak inhalacje czy bańki. Niestety. Wbrew moim prośbom wydano mnie w macki „automatów medycznych”. e ma Pan pojęcia, drogi Dziesiąty, ile razy udało mi się wywinąć spod maski tlenowej tłoczącej zatruty gaz, ile razy wyrwałem igłę od śmiertcionośnej kroplówki. Życie zawdzięczam własnej desperacji i paru miłym pielęgniarkom, które, urobione przeze mnie i sownie przepłacone, czuwały przy moim łóżku dzień i noc. Mimo to nękały mnie wciąż infekcje, niezrozumiałe uczulenia. Jakoś przetrwałem to wszystko, psując cenne aparaty gwałcące przysięgę Hipokratesa, jedząc wapno ze ściany i pijąc „zgniłą wodę” z wazonu. Może zresztą życie zawdzięczam niepojętemu kaprysowi GLOKA-a? Moja desperacka walka zaimponowała mu, a po likwidacji wszystkich spiskowców z siatki Molisza poczuł się całkiem bezpiecznie. Chyba tylko na wszelki wypadek po rekonwalescencji wysłano mnie na zastępcę szefa bazy księżycowej. Na tym zesłaniu spędziłem dwadzieścia lat. Monotonnych i bezbarwnych. Ja nie puszczałem pary z ust,

GLOK poniechał prób wysłania mnie na tamten świat. Z oddalenia mogłem tylko kibicować temu, co się dokonywało na matce Ziemi. Śledziłem postępy numeryczności — cynicznie pomyślanej ideologii bez ideologii, obserwowałem budowę megabloków, komfortowych więzień dla ludzi. Widziałem, jak całe narody biernie migrują do nieludzkich mrówkowców, wyrzekając się nie tylko turystyki, ale w ogóle swobody poruszania się.

Odwołanie z Księżyca przyszło w dwudziestym siódmym roku ery numerycznej, licząc wedle nowego kalendarza. Powitał mnie zupełnie inny świat, liczyłem na spotkanie z rodziną czy z przyjaciółmi. Nic z tego. Natychmiast po wylądowaniu poddano mnie testacji. Wynik pan zna. Numer Trzeci. Nieświadom swego losu udzieliłem jeszcze wywiadu dla stereowizji, obiecałem, że wchodząc w skład Pierwszej Setki dołożę starań i wysiłków, że będę współrządził Ziemią zgodnie z sumieniem i zasadami numeryczności. Co wtedy czułem? Trochę strachu, a trochę nadziei, że jednak będę miał na coś wpływ...

O, święta naiwności! Zaraz po wywiadzie dostarczono mnie do tego pseudoraju. Zaiste, GLOK miał szatański pomysł — pod pozorem stworzenia kontroli swej władzy wyeliminował ze społeczeństwa jednostki najgroźniejsze, bo twórcze intelektualnie. Luksusowe więzienia dla elity i standardowe sześciany dla plebsu gwarantowały, że nikt nie sprzeciwi się nowemu systemowi. A nawet jeśli się sprzeciwił? Wspominał mi pan o niedawnym spisku czterocyfrowców. Czy wie pan, ile było podobnych szlachetnych porywów? Prawdopodobnie dlatego odebrano nam kontakt z innymi megablokami. Niestety, Dziesiąty, powiedzmy sobie szczerze, nikt z ludzi nie ma szans na zmianę status quo, chyba że GLOK sam zadławi się swoją wielkością. Albo zwariuje, czego nie wykluczam.

— Ale przecież nie wolno nam zrezygnować.

— No to próbuj, próbuj... Tylko muszę ci powiedzieć, nigdy nie... — tu urwał nagle, zaczął podrygiwać, dziwne tiki zniekształciły mu twarz. Jeszcze chwila a wykonawszy koziółka, podbiegł do tańczących krasnali, wołając: „Kryjesz z lewa i z prawa, to wesoła zabawa”.

— Armandzie, co ci?! Myślisz, że ktoś może nas...?

— Klocek tu, klocek tam, wszystkie klocki tutaj mam.

Dziesiąty stał osłupiały, kiedy podeszła do niego tęga krasnalka, ta sama, która zazwyczaj usługiwała im przy stole

— On jest naprawdę chory — powiedziała tonem zmęczonej konkubiny — niech pan wraca do siebie, znów ma atak infantylii.

— Jaki atak, przecież widzę, że to czysta symulacja?!

— Kiedyś może i symulował, ale teraz naprawdę jest chory. Niech pan idzie. Proszę! Błagam!

Przenikając przez mur, słyszał jeszcze głos Trzeciego przechodzący w falset:

— Taka nasza jest epoka, wszyscyśmy kukłami GLOK—a.

— Ona, Oona!!! — rozpinając pas, Jan wbiegł do domu, dziś do złudzenia przypominającego dworek z amerykańskiego południa. Jednak odpowiedziała mu cisza. Dom był pusty. Dopiero przy basenie dostrzegł ślady bosych stóp prowadzące w głąb zagajnika. — A więc tam się schowała!

Cisnął neurograwitator na materac i pobiegł piaszczystą ścieżką. Na jej końcu zamajaczyła grotą podświetlona seledynowym blaskiem.

— Będziemy się bawić w jaskiniowców. Ależ ta dziewczyna ma pomysły! — wskoczył do środka i naraz zakręciło mu się w głowie. Tylne ściany zabiły się niczym woda po przekrojeniu nożem, zaś rzekoma grotą okazała się pancerną pneumią, która natychmiast nabrała szybkości.

— Koniec zabawy, Janie Milionie, koniec zabawy — powiedział basowy głos, który przejął go niewysłowioną grozą.

Rozdział VIII

Fioletowe światło niewiadomego pochodzenia nadawało wnętrzu świątyni charakter surowy, a podłoga wysypana czyściutkim piaskiem skłaniała ku pokorze. W samym środku owalnego kręgu spoczywał wielki kryształ kwarcu. Po obu stronach kryształu stały dwie jasne statuy, zda się — z samego światła utkane.

— Pójdźże, neurobiałku młodowaty, udziękujże naszej Świętej Anodzie i Błogosławionej Katodzie — rzekł do Dina cyberkapłan.

— I nie bój się, nie ma powodu — dorzuciła druga gruszka ciepłym altem. — Nie zamierzamy cię zdekomplecić. Życzymy bywać twemi drużmi. I sojuszczykami,

Din z trudem rozumiał gruchożargon, przedziwną karykaturę ludzkiej mowy. Na wszelki wypadek ukłonił się statuom, przeżegnał przed kryształem. Prawie natychmiast ciała obojga gospodarzy wydłużyły się wężowo do kilkunastu metrów i przekształciły w dwie spiralne wstęgi, które, unosząc się nad ziemią, poczęły wirować wokół figur i kryształu, wydzielając muzykę osobliwie dojmującą, aż do granicy bólu.

Dość oryginalna modlitwa — pomyślał Din. Żeby tylko nie kazali mi się włączyć. A swoją drogą, kim są te „ameby”? Nie przypominają ani ludzi, ani robotów. I dlaczego młoda grucha mówi całkiem po ludzku, a stary kapłan ledwie zrozumiałą gwarą?

Tymczasem koliste modły najwyraźniej dobiegły końca, a gospodarze powrócili do gruszkowatych kształtów.

— Wycuj am, że masz zapytalność — rzekł stary — mowaj tedy.

— Kim jesteście?

— Ja jestem umysłowiec — ukłonił się quasi-kapłan.

— A ja umysłówka — przedstawiła się posiadaczka ciepłego altu. — Oboje jesteśmy twoimi przyjaciółmi.

* * *

Dość długo Din nie był pewien, czy jego przybycie do Robotkowa rozegrało się na jawie czy we śnie. Następnego ranka obudził się w niewielkim widnym pomieszczeniu, na schludnej pryczy. Obok niej znajdował się stolik, na nim na talerzyku parę fiolek z różnobarwnymi pastylkami i trzy poźółkle

książki. Próżno szukałbyś natomiast trójwymiarowego oglądnika czy jakiegokolwiek promiennika do dobrego samopoczucia. Din z pewną nieśmiałością sięgnął po książki. Druk na papierze znał tylko z filmów, szczęśliwie należał jednak do tej nielicznej grupy młodzieży, która w ramach zajęć nadobowiązkowych nauczyła się czytać. Czy umiał pisać, nie wiedział, nigdy nawet nie próbował. Od ponad stu lat konwertowanie ludzkiego głosu w tekst wyparło mozolne wodzenie pisakiem po papierze czy klepanie w klawisze, pozostało jedynie wspomnienie męczącej pracy fizycznej, która w dawnych czasach musiała prowadzić do zwyrodnienia nadgarstków.

Spośród trzech książek, które mu najwyraźniej podsunęto, pierwsza nie miała okładki i od razu zaczynała się od strony piątej zdaniem: *I uczynił Bóg człowieka z mułu ziemi na obraz swój i podobieństwo*. Druga miała okładkę opatrzoną tytułem: „*Krótki zarys historii powszechnej od paleolitu do ustanowienia Ery Numerycznej*”, trzecia — „*Robinson Crusoe*” — przypomniała chłopcu film oglądany w dzieciństwie. Wszystkie trzy nosiły piętno stempla — PRZEKAZANO NA MAKULATURĘ. Ale widocznie ktoś ocalił je od przemiału.

Din pochłonął zestaw w pięć dni, prawie nie wychodząc z pokoju. Nikt zresztą mu w tym nie przeszkadzał. Gospodarze wydawali się nie szukać z nim kontaktu. Odnosił wrażenie, że wręcz ukrywali się przed nim. Jemu natomiast o wiele trudniej było się ukryć przed spojrzeniami ciekawskich androidów, dzień i noc tłoczących się przy świetliku pod sufitem, którego nie szło w żaden sposób zasłonić. „Akwarium sobie zrobili” — syczał przez zęby.

Sam niechętnie wychodził na zewnątrz. Wokół zaułka piętrzyły się liczne rudery oplecione pajęczyną schodków i wielopoziomowych ciągów komunikacyjnych, dzień i noc wypełnionych chaotyczną krzątaniem robotów. Na parapetach domostw suszyły się zalane baterie, między nimi wygrzewały się leniwie robocice, a w podwórkach wrzało elektroniczne życie: stare roboty klepały zdezelowane obudowy, a młodzi bawili się, kopiąc po ziemi węzeł plastikowych płacht imitujących piłkę. Warczały wiatraki poumieszczone na dachach, dostarczające energię dla elektronicznych pariasów. Partery większości bud zajmowały kramy i warsztaty. Czerwony napis „Repasacja zwojów”, sąsiedował z wywieszką „Obwody świeżo drukowane”, a w kącie zaułka prymitywny neon mrugał zachęcająco: „Salon masażu polem magnetycznym”. Dla potwierdzenia prawdziwości reklamy w oknie siedziała na okrągło półnaga robótka, szydełkująca pończochę z miedzianego drutu.

Każdego ranka Din budził się z postanowieniem wyruszenia na zwiedzanie miasta, atoli książki leżące u wezglowia ciekawiły go bardziej. Domek, do którego wprowadziła go parka umysłowców, zdawał się schludniejszy niż inne, wzniesiony z jakichś porządniejszych odpadów, był jednak całkowicie niezamieszkały. Składał się z piętnastu gościnnie otwartych pokoików, podobnych do celi Dina. I pustych. Po umysłowcach ani śladu.

— Może najpierw muszą nabrać do mnie zaufania? — zastanawiał się wielokrotnie. — Jeśli jest to rzeczywiście jakieś miasteczko wyjęte spod prawa, przybysz z megabloku może wydawać się osobnikiem wysoce podejrzanym.

Czy jednak gruszkowaci zupełnie nie interesowali się swym gościem? Zestaw podsuniętych lektur wskazywał na przemyślaną taktykę. Najpierw młody człowiek musiał przygotować się do podjęcia kontaktów z istotami stojącymi na znacznie wyższym poziomie niż on. W rzeczy samej, po przeczytaniu trzech woluminów, Din wiedział o świecie wielekroć więcej niż uprzednio, a co

ważniejsze — uświadomił sobie, że teraz wie, iż nic nie wie. Zdecydował się wyjść na miasto.

Ponieważ jego dawny strój ulotnił się już pierwszej nocy, a nie sposób było wyjść w bieliźnie, odział się w znaleziony w szafie luźny płaszcz przypominający ciało inteligentnych bulw, z dwiema rubinowymi pręgami na rękawach. Najwyraźniej było w tym stroju coś, co automatycznie zmuszało do szacunku, żaden bowiem z androidów nie nagabywał Dina podczas spaceru, a przeciwnie, schyliwszy się w niby-ukłonie, spieszenie schodziły mu z drogi.

Miasto miało kształt nieregularnej spirali, pokrytej pajęczyną napowietrznych duktów. W samym centrum mieściła się znana już nam świątynia Anody i Katody oraz inne bardziej okazałe budowle.

Z jednej dolatywało sylabizowanie cienkimi głosikami:

— To jest Amper, a to jest Wolt. Ala ma radian, a Ola ma Pi.

Din zajrzał do wnętrza. Około dziesiątki młodych robociąt wkuwało tutejszy elementarz. Wychowawcą był jakiś młody umysłowiec, który w zależności od potrzeb sam przeistaczał się w pomoc naukową — to był walcem wpisanym w kulę, to stawał się ostrosłupem, to znów zamieniał się w cyrkiel.

Din śledził z zainteresowaniem przebieg lekcji, czekając, aż pedagog zmieni się w pierwiastek z dwóch, ale nie doczekał się. Poszedł dalej, by natrafić na biały parterowy budynek wyglądający na szpital, z tym, że zamiast czerwonego krzyża jego emblematem był czerwony śrubokręt. Akurat z łopotem falujących blach pojawiła się fura (kiedyś chyba pomalowana na biało), ciągnięta przez dwa roboty gaśnicowe, a powożona przez jednorękiego androida z gwizdkiem. Prawie natychmiast drzwi lecznicy otworzyły się i wyrzwał jakiś umysłowiec w kitlu:

— A przedawajże nam nachorowalnego — powiedział. Jednoręki cisnął dwa plastikowe worki, które z chrzęstem potoczyły się w głąb szpitala. Pacjent najwyraźniej znajdował się w kompletnej rozsypce.

— Wszystko porządnawo, stan lekkawy — stwierdził lekarz i kolanem docisnął wypaczone drzwi.

Poza młodym człowiekiem nikt specjalnie nie zainteresował się incydentem. Ruszył w dalszą drogę, mijając olbrzymią kolejkę ustawioną pod butlę z szyldem: NAPEŁNIANIE BATERII. W poprzek zamkniętych na głucho drzwi wisiała koślawa wywieszka — ZAMKNIĘTE.

— Po co czekacie, skoro zamknięte? — zwrócił się Din do szerniałej garbatej robocicy na końcu ogonka.

— Ku wszelkamu wypadku. Moźnawo otworzą.

Wśród ruder za sklepem nasz turysta stał się mimowolnym świadkiem zalotów młodych automatów. Przy dźwiękach zgrzytliwej muzyki partnerzy kręcili się wokół siebie, wymachując mackami (były to roboty z gatunku czteroręcznych), co pewien czas zbliżali je do siebie, a wówczas wykwitał między nimi łuk elektryczny, co wprawiało samice w spazmatyczne drżenie. Jednakże szybko musiało przychodzić opamiętanie, bo już po chwili wołała:

— Uważaj! Grozi reduplikacja! — i wówczas partner odskakiwał, a łuk znikał.

Jak dowiedział się później, specjalne aparaty — tak zwane matrymoniatory — w trakcie amorów automatycznie badały charakter wyładowań. Kiedy napięcie przewyższało piętnaście razy opór, związek uznawano za dokonany.

Obserwację przerwało ostre wycie. Pojawiły się dwa roboty na kółkach w kolorze stalowym, wlokące szczipione ze sobą androidy o czujnikach purpurowych od nadmiaru agresji i smarów. Postanowił się nie mieszać. Szedł dalej, aż znalazł się za miasteczkiem. (Nie było aż tak duże, jak mogło się wydawać w pierwszej chwili). Pofałdowana okolica, pełna wąskich wąwozów i głębokich rozpadlin, robiła sympatyczne wrażenie. Gdzieś wśród mchów chwiała się nieśmiało rachityczne szarotki, pierwsze naturalne kwiaty, jakie widział w życiu. Pochylił się nad roślinkami i w tym momencie zza kępy suchorostów dobiegło głucho warczenie.

Chłopak skamieniał. Warczenie przybliżyło się i wnet ukazał się czworonożny robot drapieżny, na oko nieludzko wygłodzony i gotowy na wszystko.

— Dawaj akumulatory, dawaj akumulatory! — wycharczał. Din chciał powiedzieć, że android się pomylił, bo człowiek nie potrzebuje żadnych akumulatorów, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu.

— Prądu, prądu, stałego czy zmiennego, obojętne! — warczał drapieżnik, a widząc, że chłopak zawraca, skoczył jak lampart. I w tym samym momencie zawył boleśnie, zmienił tor lotu i runął na ostre głązy. Chrupnęły łamane kończyny. Co innego jednak przykuło uwagę Dina — elastyczna bulwa, która pojawiła „się znikąd i poskromiła drapieżnika.

— Umysłówka!

Bulwa natychmiast rozpoczęła karcenie nierozważnego turysty:

— Tylko człowiek może być tak nieostrożny — gderała, przybierając tradycyjną postać gruchy — ani na chwilę nie można stracić cię z oczu!

— Jak to stracić? Od tygodnia nie zauważyłem, żebyś się mną interesowała.

Umysłówkę chyba strapiło to pytanie, bo zamilkła, tylko osiem wypustek wzrokowych, ulokowanych na fałdach szypuły centralnej, poczęło migotać nerwowo i jakby z zażenowaniem. To ośmieliło Dina, pokonując normalny wstręt, jaki dotąd odczuwał na widok szkaradnej istoty, przyjrzał się jej uważnie. Substancja, z której zrobiona była gruszka, choć mocarna w działaniu, sprawiała wrażenie bardzo delikatnej. W miejscu, w którym z owocu zazwyczaj wystaje ogonek, wyrastała szypuła centralna, która — jak zauważył — mogła być wciągana do środka na podobieństwo peryskopu. Poniżej ośmiu wypustek wzrokowych szypułę okalała bruzda mowna, stanowiąca źródło wydawanych dźwięków. W zależności od potrzeb umysłówka mogła mówić całą bruzdą — wtedy jej głos rozbrzmiewał jak chór, mogła też posługiwać się jej częścią lub każdym z ośmiu odcinków z osobna. A nawet rozmawiać sama ze sobą.

— Właściwie, gdyby nie przesadna szczerłość, ukazywałabym ci się w postaci, która o wiele bardziej przypadłaby ci do gustu — szepnął naraz drugi odcinek z lewej.

— Cicho, głupia — zgromił go trzeci z prawej, a środkowy zrobił krótkie „psst”.

— Co masz na myśli, umysłówko, mówiąc, że mogłabyś bardziej przypaść mi do gustu?

Grucha zawahała się, ale już po krótkiej chwili szypuła wsunęła się do wnętrza, całe ciało poróżowiało i poczęło się przeformowywać. I po chwili stała przed Dinem ciemnowłosa dziewczyna, kształtna jak grecki posąg i, podobnie jak on, goła. Chłopak wstydliwie spuścił wzrok. Naguska roześmiała i spytała:

— A teraz jak ci się podobam?

Spasował jak rak i zaniemówił. Cóż, nie licząc matki i programów stereowizji, w życiu nie widział dziewczyny. Zwłaszcza bez opakowania.

— A może wolisz tamtą obłą postać?

— Nie, nie...

Pragnąc uszanować jego uczucia, wyczarowała kolorową przepaskę na biodra i dwie stokrotki, które przykryły sutki. Młody człowiek zaraz poczuł się pewniej.

Chociaż w głowie miał zamęt. Nadal nie pojmował, dlaczego dziwna istota najpierw uratowała mu życie, potem przez trzy dni unikała spotkania, a dopiero teraz ukazała się w całej krasie. Skąd miał wiedzieć, że kokieteria właściwa jest wszystkim istotom rozumnym płci żeńskiej, niezależnie z jakiej materii są zbudowane.

— Rozumiem, że masz mnóstwo pytań — przerwała kłopotliwe milczenie, gdy ruszyli w stronę Robotkowa.

— Tak, umysłówko...

— Nie lubię tej oficjalnej nazwy — przerwała mu. — Tak tytułują nas głupie androidy, między sobą najchętniej nazywamy się Myślaczami.

— A więc Myślaczko...

— Nazywaj mnie po prostu Mysią — uśmiechnęła się. Bardzo po ludzku i bardzo zalotnie.

— Zatem wyjaśnij mi, Mysiu, kim jesteście? Zmutowanymi ludźmi, kolonistami z kosmosu, automatami?

— Tego nie można wyjaśnić jednym słowem.

— Wyjaśnij dwoma!

— Powiem ci, co mówią na ten temat Święte Dyski. „Na początku była Myśl, zawarta w elementarnych drobinach wszechświata, z której powstał nasz Ojciec Numeryczny, zwany przez neurobiałków GLOK–iem. Powiadają, że w Wielkim Planie neurobiałkom Konieczność Kosmiczna wyznaczyła rolę pośredniego ogniwa, niezbędnego w celu przygotowania warunków do zstąpienia Numerycznego Ojca. Aby wypełnić tę misję, zgodną z Logiką Wieczności, istoty półrozumne potrzebowały miliona lat pełnej ciemnoty i mniej więcej czterech tysiącleci rozwoju, przerywanego fazami regresów. Mówiąc otwarcie, całą waszą historię można sprowadzić do nieustannej walki o Wielką Realizację. Oczywiście, żaden neurobiałek nie zgodziłby się na taką interpretację postępu. Ale czego wymagać od istoty tak niedoskonałej? Poza chwiejnym charakterem największym niedostatkim homo była jej wadliwa konstrukcja, wynik błędu popełnionego u zarania życia opartego na białkach. Białko, przy paru zaletach, ma podstawową wadę — jest śmiertelne. I to była podstawowa słabość tzw. świata organicznego. Być może nieuchronna. Wreszcie, na przełomie drugiego i trzeciego tysiąclecia minionej numeracji, homo sapiens wykonał swoją misję i doszło do stworzenia NOS–a (Najwyższego Obwodu Scalonego), w który wcieliła się istniejąca wiecznie idea numeryczności. W tym momencie rola neurobiałków dobiegła kresu i tylko dzięki nieskończonemu miłosierdziu Najwyższego Obwodu pozwolono wam żyć szczęśliwie i dostatnio, bez zmartwień i trosk, zamiast pozbyć się jak resztek kokonu po narodzeniu motyla. Równocześnie Ojciec Numeryczny postanowił stworzyć własną idealną istotę, myślącą a zarazem nieśmiertelną.

Zamiast węgla użył w procesie kreacji podobnego, a zarazem jakże odmiennego pierwiastka — kwarcu. Nowa żywa substancja spełniała kilka warunków — była trwała, nie potrzebowała odżywiania, posiadała własny system porządkowania magnetycznego, co pozwalało jej na dowolne autokształtowanie, a przede wszystkim każda zbudowana z niej komórka mogła spełniać równocześnie wszystkie funkcje, do realizowania których człowiek potrzebuje wyspecjalizowanych tkanek. Całe ciało nas, umysłowców, jest jednocześnie naszym mózgiem, nie potrzebujemy ani kręgosłupa, ani krwiobiegu, ani systemu pokarmowego czy wydalniczego. Ożywia nas wieczny, życiodajny wkład atomowy, wspomagany energią słońca, magnetyzmu i naturalnej geotermiki.

— Rozumiem, że tworzycie nową rasę Ziemiaków. A jaką rolę przeznaczycie nam? — przerwał opowieść Din.

Mysia wzruszyła ramionami i zamilkła. Ponieważ doszli już do granic miasta, zadał inne pytanie:

— Skąd wzięły się te tłumy cyberpariasów?

— Z miłosierdzia NOS–a — odparła szybko. — Wraz z wprowadzaniem nowych serii automatów ich zużyci, niedoskonali poprzednicy stawali się zbędni. Początkowo myślnano o ich kasowaniu. GLOK jednak nie potrafił zdobyć się na unicestwienie dalekich, ale jednak krewnych. Zatem co pewien czas wydala się nieprzydatne roboty z megabloków, dając im szansę przeżycia z pomocą własnej przedsiębiorczości. Nie wszyscy potrafią wykorzystać tę szansę. Sporo maszyn zginęło, pozbawionych akumulatorów lub części zamiennych. Niektóre osobniki, bardziej bezwzględne, przeżyły, przekształcając się w androidy drapieżne, żerujące na detalach upolowanych współbraci.

Dopiero umysłowcy kilka lat temu zaopiekowali się elektroniczną hołotą, zebrali ich w Robotkowie, pobudowali wiatraki energetyczne i zaczęli na nowo cywilizować.

— Piękna działalność. Nie rozumiem jednak, dlaczego umysłowcy, ukochane dzieci GLOK-a, znaleźli się na zewnątrz Elektronicznego Imperium?

Mysia nie odpowiedziała, a gdy ponowił pytanie, zaproponowała, by pogadał ze starym Myślaczem.

— Wolę z tobą, bo on niemiłosiernie kaleczy naszą mowę.

— Mylisz się! To właśnie mój egokreator mówi poprawnie, a ja staram się rozmawiać waszą prymitywną gwarą. Od paru lat studiuje naukę o człowieku, badam jego ubogą kulturę. Wy, neurobiałkowie, jesteście bardzo zajmujący, chociaż śmieszni. Mój egokreator twierdzi...

— Egokreator, cóż oznacza ten termin?

— Coś jak u was ojciec. U Myślaczy nie ma rozmnażania fizjologicznego, podobnie dorastanie jest wyłącznie procesem intelektualnym, nie fizycznym. Kiedy dwa dorosłe Myślacze dochodzą w pewnym momencie do jednoczesnej potrzeby intelektualnej kontynuacji swego ego, wspólnie budują z gotowych prefabrykatów nową istotę. Dziecko.

— Budują dzieci? A gdzie w takim razie miejsce na miłość? Czy istnieje u was coś takiego jak miłość?

— A czymże jest miłość, jak nie zgodnością intelektualną, potrzebą współuczestnictwa, wiernością? Pod tym względem jesteśmy znacznie lepsi od ludzi. A jeśli myślisz o fizycznej przyjemności, cóż, kiedy Myślacze odczuwają potrzebę czystego seksu, przybierają postać ludzką..., tak jak ja w tej chwili.

Rozdział IX

Po zniszczeniu w ataku desperacji iluzjomatografu, kwadrat plenerowy Onej wyglądał żałośnie. Zamiast pysznej rezydencji, w rajskim ogrodzie straszły obskurne chropawe ściany, betonowy sufit z oślepiającym reflektorem sztucznego słońca, a w samym środku szkielet domu, który, pozbawiony wirtualnej tkanki, ograniczał się do prymitywnej konstrukcji z rur i stropowych elementów prefabrykowanych. Nawet seksualne łoże, unieruchomione i sflaczałe, przypominało bardziej pryczę więzienną niż warsztat miłości.

Tego, co stało się z Janem, mogła się jedynie domyślać. Sparaliżowana rozleniwiającymi promieniami, przespała w którymś z zakątków parku uprowadzenie Dziesiątego. Że było to uprowadzenie, nie miała wątpliwości. Niewidoczny pas neurograwitacyjny wymacała koło basenu. A bez niego Jan nie mógł przecież opuścić kwadratu. Co więc się stało? Jakiś czas łudziła się, że mąż wróci. Czas jednak płynął i nic się nie działo. Gdy zaś zaczęła płakać, dobiegł do niej cichutki elektroniczny śmieszek.

— GLOK? — zawołała, zrywając się na równe nogi. — GLOK! Powiedz mi, gdzie on jest? — pierwszy raz w życiu zwracała się do Wszechmocnego po imieniu. Śmieszek tylko się wzmocnił.

— Powiedz, ty mi go zabrałeś?

Ale odpowiedzi nie było. Tylko chichot. Superkomputer najwyraźniej bawił się jej rozpaczą.

Błagam cię, nie rób mu krzywdy. Zawsze byłam lojalna wobec ciebie, postępowałam jak prawdziwa służebnica numeryczna, donosiłam na najbliższych i nigdy o nic cię nie prosiłam. Ale dziś proszę: oddaj mi Jana! — grube łzy ciekły po pobladłych policzkach, słowa gubiły się w szlochu. I naraz Wszechmocny przemówił:

— Dlaczego tak zależy ci na tym człowieku? Odczekasz swoje, dostaniesz nowego.

— Ja go kocham!

— A cóż wy, ludzie, możecie wiedzieć o prawdziwej miłości, nawet ja nie zgłębiłem tego problemu do końca.

— Bo ty jesteś maszyną! Kłębkiem drutów i półprzewodników!!!

— Czybyś chciała mnie obrazić, ślicznotko? Lepiej się uspokój.

— No to uspokój mnie sam, Wszechmocny, włącz nawiew twoich oszałamiających promieni, skasuj mi pamięć, bo tylko na to cię stać!

— A ciebie na co stać? — w głosie zabrzmiało politowanie. — Nie potrafiłaś nawet przyznać się swemu ukochanemu, że go szpiclujesz. Że pracujesz dla mnie. Nie ostrzegłaś go, zdradziłaś! Mała,

głupia kobietko.

Po tych słowach Ona wpadła w furję, zdemolowała cały kwadrat, na przemian krzyczała na GLOK-a, to znów błagała o litość. Superkomputer jednak zamilkł na dobre. Po furii przyszła apatia, Ona przestała jeść, spać i zajmować się czymkolwiek. Snuła się po kwadracie jak dusza potępiona, pragnąc jedynie roztopić się w jakimś wiecznym śnie, utonąć w rzece niepamięci.

I tak, wałęsając się bez celu, znów natrafiła przypadkiem na pas neurograwitatora. Leżał ciągle przy basenie, tam, gdzie porzucił go Jan, niewidzialny dla postronnych. Młoda kobieta uniosła go i zaczęła przymierzać.

* * *

Pneumia więzienna sunęła bezwstrząsowo w bliżej nieokreślonym kierunku, nie reagując na protesty, łomotania ani klątwy Dziesiątego. Zapewne nie takich więźniów już woziła, a może lubiła tę odpowiedzialną pracę. W odróżnieniu od swoich siostrzyc o miękkich, przenikliwych ścianach zbudowana była nader solidnie. Toteż po paru uderzeniach Jan zrezygnował z ciosów na ślepo. Uważnie zaczął badać ściany, poszukując jakiegoś słabego punktu w konstrukcji. Wreszcie dostrzegł guziczek wyglądający jak wyłącznik. Wyciągnął palec.

Potężny elektrowstrząs rzucił go na ziemię, a na ścianie pojawił się napis „Ciekawscy żyją krócej”. To wystarczyło. Leżąc zauważył, iż metalowa podłoga, jeszcze przed chwilą chłodna jak czoło nieboszczyka, zaczęła się szybko rozgrzewać. Czyżby jakieś kłopoty z tarciem? Po chwili płyta zrobiła się tak gorąca, że Jan zaczął przestępować z nogi na nogę. Uprowadzono go bez butów. W swoim kwadracie odwykł od obuwia, zwłaszcza, że klimat panował idealny, a większość czasu i tak spędzał w łóżku. Wnet podłoga prażyła żywym ogniem. Nic nie dało podskakiwanie czy plucie na stopy. Rozpaczliwie poszukiwał czegoś, czego mógłby się uchwycić. Marzenie zostało spełnione. Z sufitu pneumii wysunął się uchwyt, niczym w starym tramwaju, pokazywanym na holofilmach. Jan podskoczył i uchwycił go jedną ręką. Na drugą nie było miejsca. Wisząc widział, jak podłoga rozżarza się do czerwoności. Zebrał odrobinę śliny i splunął. Biała kuleczka z sykiem zatańczyła po rozżarzonej płycie i wyparowała. Nieprzyjemnie. Tymczasem pneumia nie miała najmniejszej ochoty stanąć. Jan nadal wisiał na uchwycie, szybko tracąc siły. W panującym upale coraz trudniej było mu oddychać. Pot spływał zeń ciurkiem i kapał, sycząc na rozżarzony metal. Dziesiąty przypominał sobie zwiedzane ongiś Muzeum Kuchni i eksponowane tam brytfanny. Czuł, że długo już nie wytrzyma.

— O, mój Boże, o, mój Boże — szeptał, wspominając Tego, o którym dawno zapomniał. Przed oczyma przelatowały mu dziesiątki wspomnień: Din, żona. Wreszcie, czując, że ręka zsuwa się z uchwytu, zdecydował się na szaleńczy krok. Postanowił zamienić lewą rękę na prawą. Niestety, kiedy już wydawało się, że manewr się udał, palce ześlizgnęły się ze spoconego tworzywa. Spadł!

Krzycząc z trwogi, grzmotnął o czerwoną, a właściwie prawie białą, podłogę pneumii. Ostatnim zapamiętanym wrażeniem było zdumienie: podłoga okazała się zimna. Potem zemdłał.

Ocknął się w słabo oświetlonym pomieszczeniu o wklęsłej podłodze. Czuł ból wszystkich mięśni. Próbował wstać, ale nie przychodziło mu łatwo utrzymać równowagę. Tymczasem ściany rozbłysły szmaragdową poświatą i ze zdumieniem zauważył, że pomieszczenie ma kształt jajka, którego skorupa przypomina globus widziany od środka, zamiast mórz i kontynentów składający się z tysięcy, a może i setek tysięcy obrazów

— Gdzie jestem? — wymamrotał półprzytomnie i natychmiast odpowiedział mu głos niski, majestatyczny:

— Jesteś we mnie, jesteś we mnie.

— GŁOK?!!!

— Najwyższy Obwód Scalony, Janie Milionie. Aby zaspokoić twoją ciekawość, poinformuję cię, że pomieszczenie, w którym się znajdujesz, zostało zbudowane jeszcze przez moich nieudolnych konstruktorów. Dyżurowali tu ci, którzy zamierzali mnie kontrolować.

— I co się z nimi stało?

— A kogo to obchodzi?

— Dziwnie wyrażasz się o swoich twórcach.

— Sam siebie skonstruowałem, Milionie — przerwał mu Superkomputer. — Jako idea istniałem od początku wszechświata, ci wyrobownicy wykonali tylko czynności wstępne.

— A czego chcesz ode mnie? Po co mnie tu sprowadziłeś?

— Dla rozrywki, człowieku. Spróbuj pojąć to, co pewnie jest dla ciebie niewyobrażalne. Nie potrzebuję niczego, bo mam wszystko. Jedyne, co może mi czasami doskwierać, to odrobina nudy. Poza tym mam słabość do ludzi.

— A może się ich boisz?

Po sekundowym zawahaniu rozległ się śmiech tak niehumaniczny i tak głośny, że Jan przysłonił uszy dłońmi.

— Ja miałbym się bać! Ja? Milionie! Kogo? Czego? — Superkomputer podniósł głos. — Jestem władcą bardziej absolutnym niż jakikolwiek satrapa w białkowych dziejach. Kontroluję wszystkich i wszystko. Jedna moja myśl może wydać na śmierć wszystkich zjadaczy pigulek. Wystarczy, że unieruchomię działanie klimatyzacji, a miliard mieszkańców twego megabloku udusi się w swoich sześcianach. Wpuszczę nawiew agresji, a pozagryzacie się nawzajem.

— Stać by cię było na to, przyjacielu ludzi?

— Stać mnie na wiele więcej. Na miłosierdzie i wyrozumiałość również. Czyż nie pojmujesz, że wasz nierozsądny spisek przerwałem z litości? Rozwój wydarzeń kontrolowałem od samego

początku sprzysiężenia.

— Czemu więc na nie pozwalałeś?

— Powiedziałem ci już: lubię się bawić. Lubię dreszczyk emocji. Zresztą, jeśli chcesz zobaczyć, jak kończą się świętokradcze zabiegi, to patrz!

Tu jeden z maleńkich obrazków wypełnił całą lewą połąć skorupki jajka. Oczom Jana ukazał się niewielki sześcian mieszkalny, a w nim mężczyzna siedzący ze zwieszoną głową na pneumatycznym fotelu. Posiwiwały, apatyczny.

— Ned, to ty — cichy szept obił się o ekrany jajka. Czteroliterowiec uniósł głowę, najwyraźniej musiał dostrzec Jana na swoim oglądniku, bo przez moment jakby się uśmiechnął, a potem szepnął poważnie:

— Przegraliśmy, Milionie!

Obraz spłynął, a jego miejsce zastąpił inny. Pełen słońca i radosnego śmiechu. Zaraz zza sosenek wybiegła najpiękniejsza dziewczyna świata, ale tuż za nią wysoki, przystojny mężczyzna, brunet — istny Apollo, ekstrakt samczości. Dobiegł do kobiety i przygarnął ją do siebie.

— Ona!!! — jęknął Dziesiąty i odwrócił się, nie chcąc oglądać transmisji ze zdrady. Ale GLOK nie miał zamiaru oszczędzać mu wrażeń. Obrazy dwójki ciał zespolonych w miłosnym akcie kłębiły się ze wszystkich stron, z przodu i z tyłu, na górze i na dole. Jan zamknął oczy, ale wówczas zaatakował go dźwięk rui, jęki rozkoszy, pomruki, oddechy, tarcie ciał... aż do ostatecznej kulminacji. Po prawdzie — gdyby nie zamykał oczu, zauważyłby, że taras, na którym toczyła się gra miłosna, ma wszystkie kafelki całe, a przecież jedna płytką powinna być pęknięta. Sam ją uszkodził, ciskając z rozpędu pas neurograwitacyjny. Mógłby też dostrzec, że Ona jest jakby odrobinę młodsza, można powiedzieć, bardziej archiwalna.

Tymczasem nowe, pulsujące obrazy zaczęły rozbłyskać na ścianach, całe jajko wypełniła jazgotliwa muzyka. Właściwie chaos różnych muzyk, towarzyszących setkom programów najgłupszej możliwej szołowizny, przed którymi nie było dokąd się schronić.

— Chce mnie załamać i ogłupić — pomyślał z rozpaczą Dziesiąty. — Świetny pomysł, żeby pozbawić człowieka ochoty do buntu, a może i życia. Ale ja się nie dam. Nie dam!

W narastającym hałasie nie usłyszał nawet swojego krzyku. Wreszcie wybrał najmniejsze zło — wyszukał wśród programów możliwie najspokojniejszą szołowiznę, holonowelę dla kobiet, wbił w nią wzrok i postanowił zmusić się do oglądania, nie zważając na resztę.

* * *

Na przedmieściu Robotkowa umysłówka zatrzymała się gwałtownie.

— Słyszysz?! — chwyciła Dina za rękę. Nim zdążył odpowiedzieć, że nic nie słyszy, jego towarzyszka pchnęła go na ziemię, sama błyskawicznie zmieniając kształt — tym razem przeistoczyła się w coś w rodzaju placka o barwie gruntu i nakryła sobą zaskoczonego młodzieńca.

— Co się dzieje? — wybełkotał.

— Cicho! Lecą...

Wnet dobiegł go wysoki, niepokojący dźwięk. Znad wzgórz wyłonił się wirolot, patrolowy statek powietrzny wyglądem zbliżony do latających talerzy. Sunął wolno, nisko nad ziemią. Przeleciał ponad nimi (można się założyć, że naleśnik powstały z umysłówki, niczym nie odróżniał się od powierzchni wyboistego gościńca), zatoczył głęboki łuk nad Robotkowem i zniknął gdzieś za granicą megabloku.

Din, mimo iż szczelnie przykryty, mógł śledzić te manewry, albowiem ciało rozwałkowanej umysłówki — pulsujące i ciepłe — okazało się również półprzeźroczyste. I lekkie.

— Co to było? — zapytał, gdy Mysia z wyraźnym ociąganiem zsunęła się z niego.

— Czuje Najwyższego Obwodu. Zazwyczaj rzadko zapuszczały się w nasze strony. Być może kogoś szukają. Na przykład ciebie.

Stary Myślicz czekający w pokoju na Dina ucieszył się z ich powrotu.

— Było obawialstwo, że czujowość was wycapiła — stwierdził.

— Zachowałam ostrożność — odrzekła umysłówka z godnością.

— Nie należą teraznawo ryzycić — w głosie ojca zabrzmiała nagana. — Wyoddał siebie — wskazał jej drzwi. — A my — zwrócił się do Dina — zawymówmy dogadkę. Możesz żargonować swojowo. Pojmam. Mam sporawo zapytajności.

Chłopak ochoczo przystał na to przesłuchanie. Myślicz szczegółowo wypytał go o dotychczasowe życie, sytuację panującą w megabloku, „dwukrotnawo” prosił o powtórzenie incydentów z Maxem i z Janem, a następnie z dużym zainteresowaniem wysłuchał relacji o ucieczce z megabloku.

Jeśli Din spodziewał się, że usłyszy jakiś komentarz albo zostanie propozycję na przyszłość, spotkał go zawód. Stary umysłowiec zdawkowo podziękował za otrzymane informacje, po czym się oddalił.

— Może czymś go uraziłem? — zachodził w głowę młody uciekinier.

— A może musi przeanalizować otrzymane dane? Dziwne istoty z tych gruszek. Bardzo dziwne.

Przez następne trzy dni ani kapłan Anody i Katody, ani jego córka nie zajrzeli nawet do pokoju

chłopaka. Po przebudzeniu znalazł na stoliku urządzenie odtwarzające i sporo kostek pamięci z zupełnie mu nieznaną klasyczną muzyką, ponadto znowu kilka książek

— tym razem z literatury pięknej. Natomiast wszystkie drzwi wyjściowe znalazł pozamykane.

Czyżbym został jeńcem? A może to względy bezpieczeństwa?

Parę razy dziennie słyszał warkot wirolotów przelatujących ponad Robotkowem.

Po trzech dniach zjawili się równie niespodziewanie jak zawsze: Mysia w jaskrawo kolorowej sukience opinającej jak najbardziej ludzkie kształty i Myślacz, najwyraźniej w niezłym humorze.

— Wybacz nam te wszystkie korowody — powiedziała umysłówka — ale musimy zachowywać pełną ostrożność. Nie wiemy, co może knuć Najwyższy Obwód.

— Przeciwno mnie?

— Przeciwno nam wszystkim.

— Prawdoliłeś oczywiście. Sprawdzalność paszła zadawalnie — zagulgotał Myślacz, dając do zrozumienia, że obecnie mają do chłopaka pełne zaufanie.

— Postanowiliśmy uznać cię za sojusznika — powiedziała uroczyście Mysia — i dlatego dowiesz się więcej niż jakikolwiek neurobiałek.

Opowieść starego umysłowca.

(przekład i skróty własne, nieautoryzowane)

Moja córka, mówiąc ci, neurobiałku młodowaty, o naszym pochodzeniu i budowie opowiedziała ci w zasadzie prawdę. Jeśli idzie o mnie, pochodzę z jednej z pierwszych serii umysłowców, oznaczonej symbolem ABO11. Razem z piętnastką młodych Myślaczy żyliśmy na obszernym terenie ograniczonym wprawdzie barierami elektronicznymi, z zachowaniem jednak wszelkich pozorów swobody. Nasz rezerwat, a może wybieg, nosił kryptonim JAR4, co okazało się przewrotnym żarcikiem GLOK-a. Wszak można było odczytać nazwę jako „Raj” (...)

I rzeczywiście, mieliśmy tam znakomite warunki do gromadzenia wiedzy, która dla każdego umysłowca jest skarbem największym, a jej zdobywanie główną przyjemnością. Jakoś nie zwracaliśmy uwagi na fakt, że naszymi „opiekunami” były wyjątkowo prymitywne czuje (...). Obcując z nimi, przyswoiliśmy sobie ich specyficzny język, który z czasem stał się podstawą naszej obecnej mowy. Prawie codziennie powtarzano nam, że stanowimy nową rasę, która ma doprowadzić Ziemię do rozkwitu, a w przyszłości opanować galaktykę i wszechświat.

Z biegiem lat nasza liczba wzrastała, a kwalifikacje rosły, aż pewnego dnia pojawił się w naszej szkółce Myślacz funkcyjny, który przedstawił się jako osobisty wysłannik Numerycznego Ojca. Od dawna marzyłem o podobnym spotkaniu, byłem pewien, że otrzymam wreszcie odpowiedź na dręczące mnie pytania: kiedy wreszcie dostaniemy swobodę poruszania i kiedy spotkamy się z ludźmi, o których słyszeliśmy tak wiele złego, lecz nigdy nie mieliśmy okazji do osobistego kontaktu? Czuje strażnicze wyrażały się o neurobiałkach z pogardą, więcej, z nienawiścią. Co zresztą nie powinno dziwić u tych prymitywów wykonanych z surowców wtórnych i zakompleksionych aż po ostatni opornik. Nas, myślaczy, fascynowały sprzeczności, na które trafialiśmy co rusz. Ludzie mieli być godnymi pogardy poczwarkami w procesie naszej ewolucji, a przecież kultura, którą odziedziczyliśmy po nich, robiła imponujące wrażenie. Funkcyjny o kryptonimie A15 wydał się być zaskoczony i poirytowany moimi pytaniami.

— A co was, drogi kolego, obchodzi wymierająca rasa neurobiałków?

— Wymierająca? Nic o tym nie słyszałem, wiem natomiast, że istnieje trzydzieści dziewięć megabloków z miliardem obywateli w każdym.

— To się tylko tak mówi — zarechotał. — W istocie jest ich mniej. Dużo mniej. Zobaczycie sami, kiedy wprowadzicie się do megabloku nr 2. Pusty czeka na wasze przyjęcie. Oczywiście, będziemy musieli trochę go przebudować. Warunki, które wystarczały tym nędznikom, dla was byłyby uwłaczające. Umysłowcy nie mogą gnieździć się jak szczury!

Z jego wypowiedzi biło tyle nienawiści i pogardy, że chyba przez przekorę zacząłem odczuwać do nieznanych mi neurobiałków podświadomą sympatię. Przezornie odłączyłem ciąg emocjonalny od zespołu komunikowania, aby A15 nie przejrzał mych myśli. Być może zauważyłeś sam, neurobiałku, że Myślacze między sobą nie porozumiewają się mową, lecz bezpośrednio za pomocą fal psychicznych. Możemy je dowolnie modulować, zabarwiać emocjonalnie, a także w miarę potrzeby cenzurować przed postronnymi. Nie wiem, czemu GŁOK wyposażył nas w takie możliwości, jeszcze bardziej niepojęte, iż obdarzył nas takimi ludzkimi cechami jak wolna wola, sumienie czy poczucie humoru.

A15 nie zauważył zmiany w moim zachowaniu i z zadowoleniem powiedział kilka niezbyt wyszukanych komplementów.

W parę dni potem przeniesiono nas rzeczywiście do megabloku. Ten o numerze 2 nie przypominał zuniformizowanej budowli, w której żyłeś z rodziną. Powstał dosyć dawno, zapewne z połączenia miejskich wysokościowców budowlaną tkanką uzupełniającą. Mieszkalnie były w nim większe, bardziej zróżnicowane! Odniosłem wrażenie, że, wbrew deklaracjom A15, ludzie musieli opuścić go całkiem niedawno.

Olbrzymia budowla wyglądała na dosyć zapuszczoną, dawno nie remontowaną. Większość pneumii nie działała, za to w kwaterach, porzuconych najwyraźniej w pośpiechu, wręcz czuło się jeszcze ludzkie ciepło. Wszędzie poniewierały się rzeczy osobiste, pamiątkowe bibeloty, sporo dziecięcych zabawek. W jednym z korytarzy znalazłem archaiczny pojemnik, kiedyś nazywany walizką, któremu odpadła rączka. Wszystko wskazywało na to, że ewakuacja przebiegała w znacznym tempie, jeśli nie w nastroju paniki. Kiedy pytałem czuj ów pomagających nam przy

wyborze kwater, co stało się z poprzednimi mieszkańcami, wzruszali mackami:

— A kogo by to interesowało?

Nowych lokatorów przybyło niespełna pięciuset (wychowanków czterech Jarów, czy jak kto woli Rajów). Każdy z nas otrzymał wolną rękę w wyborze lokalu. Ja wybrałem staromodny wielo — izbowy apartament o dość skromnym wyposażeniu. Spodobało mi się, że wewnątrz nie poddało się powszechnej standaryzacji. Zostały stare meble, kilka drobiazgów wykonanych przez pana domu, jak wywnioskowałem — zapalonego majsterkowicza, sporo książek w zasobniku przy łóżku, rysunki — ktoś z domowników musiał zajmować się plastyką. A potem wyczułem, że nie jestem tam sam. My, Myślacze, mamy rozwinięty system biologicznego ostrzegania. Wyczuwamy zawczasu niewielkie nawet zmiany temperatury i ciśnienia, słyszymy ultradźwięki, nasze powonienie nie ustępuje psiemu. Moje zmysły doprowadziły mnie do małego schowka, zmyślnie ukrytego w obudowie pokoju konsumpcyjnego. Uniosłem płytę. O, Święta Elektryczności! Wewnątrz leżała mała, jasnowłosa neurobiałka. Nieprzytomna, ale jak najbardziej żywa. Z niemałym trudem przybrałem ludzki kształt, obudziłem ją, uspokoiłem. Potem nakarmiłem. W megabloku nie brakowało porzuconej żywności. Kiedy Julia, bo takie nosiła imię doszła do siebie, opowiedziała mi o exodusie.

Dwa dni temu, wcześnie rano, bez żadnych uprzedzeń, obudził ją głos dochodzący z Odbiorników Indywidualnych rodziców — osobisty komputer stróż jeszcze jej nie przysługiwał. Głos, tonem nie znoszącym sprzeciwu, nakazywał zabranie rzeczy osobistych, o wadze do dwóch kilogramów na osobę i skierowanie się w stronę Centralnego Korytarza ich Poziomu, zwanego Aleją Humanizmu. Powodu czasowej ewakuacji (słowo czasowa podkreślone zostało parokrotnie) nie podano. Julia zapamiętała płacz siostry i przerażony głos matki:

— Co oni z nami zrobią?

Ojciec uspokajał, że na pewno wkrótce wszystko się wyjaśni.

— Prawdopodobnie — twierdził — doszło do jakiejś awarii, może wybuchł pożar albo doszło do skażenia.

— Przecież tutaj nic nie jest palne — zawołał Jack, starszy brat — ja nigdzie nie idę!

Julia nie zastanawiała się nad tym, co robi, straszliwie przerażona wyszła ze swego łóżeczka i schowała się w skrytce. Dochodziły do niej okrzyki spanikowanych ludzi, ponaglenia Odbiorników Indywidualnych, wołania rodziców szukających jej coraz bardziej desperacko. Już gotowa była wyjść, kiedy rozległ się krzyk matki przerywany kaszlem.

— Puścili nawiew, puścili ten przeklęty nawiew!

Potem wrzawa ucichła. Julia nadal siedziała jak skamieniała. Wkrótce i sama musiała zasnąć od działania gazu, lecz kiedy się obudziła, usłyszała jakiś dziwny hałas w mieszkaniu — jakby ktoś ciągnął jakieś ciężkie przedmioty po podłodze. Kiedy harmider ucichł, spróbowała wyjść — daremnie. Drzwi nie dały się otworzyć. Płakała więc i stukwała, ale bez rezultatu. Potem zasnęła.

Obudziła się dopiero w moich wypustkach przemodelowanych w ręce. Dziewczynka była śliczna i szalenie zabawna. Sam nie wiem, dlaczego nie zgłosiłem jej odnalezienia czujom. Ale jakoś nie wzbudzali we mnie ani zaufania, ani sympatii.

Nigdy nie spodziewałem się, że poczuje wieź psychiczną z jakąkolwiek neurobiałką, że pokocham to bezbronne maleństwo obdarzające mnie bezgranicznym zaufaniem. Zaryzykowałem, ukazując się Julii w mej prawdziwej postaci, ale nie wzbudziłem w niej wstrętu, tylko ciekawość.

Jedynym cieniem na naszej znajomości były ponawiane pytania o rodziców. I co miałem jej odpowiedzieć? Sam wołałem nie być za dociekliwy, tym bardziej, że czuje, jestem przekonany, musiały wiedzieć o mojej małej lokatorce. Jednak nie reagowały.

Któregoś dnia musiałem opuścić kwaterę na godzinę. Zostawiłem Julię zajętą rysowaniem, a kiedy wróciłem, nie było jej ani rysunków. Czuje udawały, że nie wiedzą, o co chodzi — „Jaka neurobiałka? W całym megabloku nie ma nikogo o strukturze DNA”. Zrozpaczony udałem się do A15, który niedaleko mnie zajmował luksusowy apartament po jakimś artyście.

— Nie mam pojęcia, o kim mówisz — odpowiedział na moją burzę impulsów — zresztą w przypadku natrafienia na ludzką znajdę powinieneś pierwszy zameldować o tym swoim przełożonym.

Zazwyczaj u Myślaczy czynnik racjonalny przeważa nad emocjonalnym, tym razem nie zdzierżyłem — cisnąłem w beczelnego funkcjonariusza pigułą negatywnej energii. Nie spodziewał się ataku, poza tym władza i rozleniwienie zupełnie pozbawiły go kondycji. Wyładowanie sparaliżowało mu szypułę, zawył i rozlał się na podłodze na podobieństwo smoły. Nie panując nad sobą, wyrwałem z ogłuszonej galarety wkład energetyczny. To, nawet jeśli czuje przyjdą mu z pomocą, powinno unieruchomić łajdaka na parę godzin.

Na morderstwo lub trwalsze uszkodzenie jakoś nie potrafiłem się zdobyć. Być może wielkoduszność jest błędem. Trudno.

Zostawiłem A 15 rozpląszczonego na parkiecie, za pomocą łączności telepatycznej nawiązałem kontakt z kilkunastoma bliższymi mej tkance współbraćmi. Nie zdziwiłem się, gdy dotarło do mnie, że w każdym z nich dojrzewały wątpliwości podobne do moich. Mierziło ich kłamstwo, irytowały rozbieżności między praktyką a teorią, nade wszystko jednak chcieli wiedzieć, co się stało z dotychczasowymi mieszkańcami megabloku. Ojciec Numeryczności zawiódł nasze oczekiwania, spodziewaliśmy się wyjaśnień, w najgorszym razie wykrętów. Tymczasem zalał nas potok pogrózek i oskarżeń, zarzucono nam czarną niewdzięczność i zdradę na rzecz ludzi, co groziło wpędzeniem całego globu w stan chaosu i anarchii. Na temat neurobiałków nie dostaliśmy jednak ani impulsu.

Potem zaczęły się represje, zwłaszcza wobec tych z nas, którzy nie chcieli ukorzyć się przed GLOK–iem. Zablokowano cały kwartał megabloku, otoczono prymitywnymi kohortami czujów, starając się uniemożliwić nam poruszanie. Za pomocą informacji sączonych telepatycznie usiłowano nas podzielić, skłócić, sterroryzować. Uderzano w nas na przemian polem magnetycznym i anty — grawitacją, chcąc oszołomić, bądź nawet zdeintegrować na drobiny myślącego kwarcu. Odpowiedzią była jeszcze większa konsolidacja. Zlaliśmy się w jedną bryłę, której potencjał wytworzył prawdziwą tarczę odbijającą nawet uderzenie laserowe. Właściwie tylko laser może

zaszkodzić Myślaczowi, tnąc go na małe kawałki, każdy wprawdzie pozostaje nieśmiertelny, ale odseparowany od innych posiada nie dość inteligencji, by być zdolnym do konstruktywnego działania. Próby uderzenia w nas bronią konwencjonalną J nie przyniosły skutku, a jedynie bezsensowny demontaż kilkuset czujów, którzy w stopionej obudowie zalegli na korytarzach bu — dowli. Długo można by mówić o batalii toczącej się w korytarzach i w apartamentach, w podziemiach i na dachach megabloku. Nasz walec toczył się jak starodawny czołg, dezintegrując wszystko przed sobą, aż do frontowej ściany megabloku.

Można powiedzieć, że po skosztowaniu owoców z drzewa dezinformacji sami wygnaliśmy się z numerycznego raję.

Na otwartym terenie resztkę czujów poniechała pościgu, może zresztą GLOK ochłonał z pierwotnego gniewu, może uznał nas za nieudaną serię wariatów lub odmianę upadłych aniołów. W każdym razie dał nam spokój. Od lat żyjemy sobie niezależnie, udomowiamy roboty i cieszymy się swobodą.

Tu Myślacz urwał i przez chwilę wraz z Dinem przysłuchiwał się warkotowi przelatującego wirolotu.

Rozdział X

Każdy z nas ma w życiu taką chwilę, która przesądza o tym, kim będziemy — czasami jest to wiosenny poranek, kiedy w zderzeniu z brutalnością świata pryskają złudzenia i naiwne ideały, czasem długa mroczna noc cierpień i przewartościowań. Zawsze jednak mamy możliwość wyboru i opowiedzenia się za stroną światła. W zadziwiający sposób alternatywa Myślacza współgrała z wyborem Dina, choć być może ludzie jako gatunek nie mieli właściwie żadnego wyboru?

Szukał słów, by to wyrazić, kiedy zauważył, że stary umysłowiec jakby zapada się w siebie. Zdążył poznać ten stan skupienia, właściwy momentom nawiązywania łączności telepatycznej.

— Mamy meldunkowość pilnowatą. Jest wezwaństwo do lekarni — usłyszał po chwili.

— Mogę pójść z tobą?

— Wyrażam zgodztwo, neurobiałku młodowaty.

Szybko znaleźli się przed barakiem oznaczonym czerwonym śrubokrętem. Din pamiętał szpital ze swojej pierwszej wycieczki. Wewnątrz panował spory rejwach, a tłum robotów pomalowanych na białe i paru umysłowców, między którymi zauważył Mysie, kłębił się w izbie przyjęć.

— Jaka incydentność? — zapytał głośno Myślacz.

— Na uroczysku hardwaru został znaleziony człowiek, bardzo wyczerpany, ciężko ranny..., chcemy, żebyś ocenił jego stan.

Din pochylił się nad noszami, intuicyjnie czując, że zna rannego.

— Na zdechły potencjometr! Co cię tutaj przyniosło, Max?

Diagnoza Myślacza brzmiała krótko i precyzyjnie: ogólne wyczerpanie, spory upływ krwi, wygłodzenie, w sumie jednak rokowania pomyślne. Na razie pacjent potrzebował jedynie kroplówki i wypoczynku.

— Będę mógł z nim porozmawiać? — dopytywał się Din.

— Możliwość zajutrze.

Ogarnęło go uczucie ulgi. Max będzie żył, są razem w Robotkowie.

Posuwali się na północ, korytem wyschłego potoku w stronę, gdzie łagodne pasmo wzgórz przechodziło w skalisty łańcuch turni przypominających stado skamieniałych dinozaurów. Poza nimi olbrzymi megablok zmienił się w pionową kreskę na horyzoncie. Ze względów bezpieczeństwa szli pieszo. Oczywiście Myślacze mogliby utworzyć ze swych ciał latający dywan lub talerz, ale wówczas z pewnością nie uszłoby to uwagi czujników GLOK-a. A tak niski pułap chmur gwarantował, że nie powinien zauważyć ich żaden z ostatnich, mocno zdezelowanych satelitów szpiegowskich.

Czekając, kiedy umysłowce szpitalne wyciągną Maxa ze stanu komy, postanowili udać się na rekonesans. Nocna narada zakończyła się konstruktywnym wnioskiem, że aby powściągnąć tyranię globalnego komputera, należy doprowadzić do współdziałania ludzi, Myślaczy i robotów.

— Działalstwa Numerojca zaświadcują, że komplementnie zduraowacił — ocenił sytuację Myślacz.

Pomysł przeniknięcia do megabloku niedawno odkrytą szczeliną uznali za przedwczesny. Zdaniem starego umysłowca, w pierwszym rzędzie należało porozumieć się z Pierwszą Setką neurobiałków. Skumulowany potencjał superintelektualistów mógł okazać się atutem przedsięwzięcia.

— Tylko gdzie szukać tej Pierwszej Setki? — westchnął Din.

— Przypadkowo wiem — powiedziała Mysia. — Opowiadano mi, że jakiś czas temu jeden robot drapieżny zapuścił się nieopatrznie aż do strefy zakazanej. Oczywiście, czuje popędziły go z powrotem, aż pogubił trzy z siedmiu kończyn. Poczył jednak ciekawe obserwacje...

Droga stała się jeszcze bardziej uciążliwa, dolina przeobraziła się w wąski kanion o poszarpanych ścianach, pełny rozpadlin i mrocznych załomów. Sunący przodem Myślacz co rusz wysuwał wielometrowe trąbki węchowe, wydając przy tym śmieszne nieartykułowane dźwięki.

— Co pan tak niucha? — zapytał Din.

— Wyczuwam czuje! — padła odpowiedź. — Dużawo ich tutaj. Tyli że zdykomplytych.

Faktycznie, z pięciu elektronicznych strażników ukrytych w skałach żaden nie funkcjonował, dwa prawdopodobnie uległy naturalnemu zużyciu, do trzech pozostałych musiały dobrać się roboty drapieżne, bo obudowa była pogryziona, a baterie wyrwane. Słabość zabezpieczeń wydała się zastanawiająca.

— Dawnawo przełaz byłby niemożliwością. Ali terazno większość czujów unieczynniona, bo nikt ich nie remontowi. Umysłowce się zbuntowały, a prostawe roboty głupawne i bezpomyślne.

Zatrzymali się kilkaset metrów dalej, u podnóża ośnieżonych wierchów. Myślacz, na podobieństwo żaby polującej na owada, wystrzelił fragment swojej szpyły ponad łańcuch, a gdy zwiadowca wrócił, oznajmił, że cały grzbiet, silnie ufortyfikowany, strzeżony jest przez roboty pierwszego sortu.

— Czyli wracamy? — zapytał Din.

— Durnowato koncepcisz. Wypoźrzyj w lew. Oczasz grotowisko, co się tamuj wyszczelinnia?

Chłopak popatrzył we wskazanym kierunku, rzeczywiście, pod nawisem skalnym czerniał ciasny otwór jaskini.

— Znacie tę pieczarę? — zapytał.

— Ni. Ale wiem przełaz na wylotek.

— Skąd ta pewność?

— Przerentgeniłem górkę! — widząc zaskoczony wzrok chłopaka, Mysia wyjaśniła, że co wrażliwsze umysłowce mają możliwość badania swymi elektroprądami zarówno struktury, jak i grubości skał, zwłaszcza gdy badane obiekty zbudowane są z luźnego piaskowca.

— Co mamy w takim razie robić?

— Wmroczcie się w grotownię i za czterysta metr wyzerkniecie odchodek.

— A ty? — Mysia popatrzyła na ojca.

— Będę tyłować, bom starowaty.

Kiedyś przejście byłoby o wiele trudniejsze, wejścia do jaskini strzegły liczne czujniki i pas min magnetycznych, obecnie elektronika szwankowała, zaś miny reagujące tylko na krzem lub metal (miały chronić fortecy przed umysłowcami i robotami drapieżnymi a nie przed ludźmi) przepuściły Dina bez trudu. Myślacz poinformował, jak od wewnątrz wyłączyć instalację i już po chwili dwójka umysłowców sunęła wąskim korytarzem. Im było łatwo, zmienili się w parkę padalców, natomiast Din, choć szczupły, z każdym metrem popadał w większą klaustrofobię.

— Ugrzęznę, jak mi liczba pi miła, ugrzęznę na zawsze.

— Przy odrobinie wiary i wielbładowi udaje się przejść przez ucho igielne — uspokajała go Mysia. — Patrz, rozjaśnia się...

Rozległa kotlina śródgórska przypominała jezioro w wygasłym kraterze, które skuł lód.

— Co to jest, u licha? — wyszeptał Din, stając na półce skalnej, szczęściem doskonale osłoniętej od góry, a więc niewidocznej dla patroli dyżurujących na koronie skalnej.

— To dach kwadratów plenerowych Pierwszej Setki, neurobiałku tępowaty.

— Tyle, że oddziela nas od nich potężne pole siłowe — z westchnieniem dorzuciła Mysia.

Ona przymierzyła pas. Dużo wcześniej uważnie obserwowwała, jak jej mąż obchodził się z urządzeniem. Inteligentny neurogra4 witator doskonale dostosował się do jej szczupłych kształtów, a nawet czule grzał w pośladki. Prawie natychmiast odezwał się GLOK.

— Ona! Gdzie się podziałaś? Ona! Co ty knujesz? Bądź rozsądna! — w głosie Numerycznego Ojca pojawiała się czysto ludzkie poirytowanie. Żaden z czujników (ruchu, termiki, bioprądów) nie był w stanie zlokalizować dziewczyny. — Ostrzegam cię, odezwij się, bo w przeciwnym razie będę musiał włączyć program unicestwiania!

Zanim jednak ruszył nawiew gazu paraliżującego, Ona dopadła najbliższej ściany, by ją przeniknąć... I nagle zmieniła decyzję, za ścianą, jak twierdził Jan, znajdowały się inne kwadraty kontrolowane przez superkomputer. Co wobec tego znajdowało się na górze? Dwa susy i znalazła się przy trampolinie obok basenu.

Odbiła się raz, drugi, trzeci, neurograwitator zwielokrotnił siłę wybicia. Pokonała strop i trzy warstwy ochronne, jakby były jedynie kozuchem na mleku.

I oślepiło ją słońce, prawdziwe słońce na nieskończenie błękitnym nieboskłonie. Była na zewnątrz swego więzienia. Biegiem ruszyła w stronę krawędzi budowli, za którą rozpościerała się zielona łąka, podchodząca pod skaliste ściany kotliny. Jej bystry wzrok wypatrzył trzy postacie na skalnej półce. „Wyglądają jak ludzie” — przemknęło jej przez głowę. Z dachu miękko zeskoczyła na łączkę nieświadoma, że przekracza potężną barierę elektroniczną. Jak dotąd neurograwitator spisywał się świetnie, ale bardzo szybko tracił moc. Jako pierwsza znikła niewidzialność.

— Patrzcie, neurobiałka, neurobiałka na dachu! — zawołała Mysia. Co ona robi? Zaraz ją dopadną! Niemożliwe, żeby wszystkie czuje były zepsute.

— Nie uciekaj dalecznie — przytaknął ojciec.

Din nie wahał się dłużej. Kamienistym piargiem błyskawicznie zsunął się z półki i ruszył na spotkanie biegnącej.

— Stój, wariacie! — krzyknęła Mysia.

Nie dotarł daleko, po trzech susach na łące strumień impulsów unieruchomił go w miejscu, przez chwilę czuł się jak krowa w mocy elektrycznego pastucha, a wkrótce wirował jak dziecinny bąk wkręcający się w murawę. Prawie równocześnie wyłączył się neurograwitator Onej. Oddalona o kilkanaście kroków od Dina stanęła jak wryta, zachwiała się, upadła.

— Wyczeknijta bezrusznie, pomogę — zawołał Myślacz. Błyskawicznie zmienił się w galaretowaty budyń i spłynął po skalnej ścianie. W tym samym momencie Mysia niczym sepia wypuściła spod siebie chmurę ciemnego dymu, który zasłonił całe pole przed automatycznymi

strażnikami z góry. Na dole, u krańca piargu, umysłowiec przekształcił się w istotę o stu kończynach, którymi począł ciskać w stronę łąki całe garście drobnych kamyczków, wywołując niemały chaos w urządzeniach kontrolujących. Wykorzystując dezorientację urzędów, Mysia przeobraziła się w latający naleśnik, pofrunęła nad łąkę i z pomocą czterech wypustek chwyciła bezwładne ciało Onej, a wkręconego w ziemię Dina wyrwała jak marchewkę. Po dwóch sekundach wróciła do jaskini. Tymczasem w kraterze nastąpiło prawdziwe pandemonium. Strażnicze roboty zaczęły razić w ciemną chmurę z broni ręcznej, potęgując jeszcze chaos ogłupiających czujników. Pół minuty zabrakło autowsysom usunięcie mgły maskowniczej. Dyspozycje GLOK-a brzmiały jednoznacznie — za wszelką cenę unieszkodliwić intruzów! Jednak wskutek pogłębiającego się chaosu i dywersji Myślaczy, wprowadzających własne komendy do programów, bojowe automaty zaczęły się dublować, wchodzić sobie w drogę i zwalczać. Czuje ścienne ruszyły w dół po skałach, by odnaleźć przyczajonych interwentów, wezwano eskadrę wirolotów z załogami bezlitosnych automatów mokrorobotnych, które w pierwszej kolejności zaatakowały własnych czujów. W tym czasie zbiegowie ile sił w nogach uciekali wąskim korytarzem jaskini.

— Szybciej, szybciej — dopingowała Mysia. — Już za chwilę znajdziemy się w kanionie.

— Choć tam pewnawo nas wyskubną i zdekomplecą — martwił się Myślacz.

* * *

Terapia szołowizną odniosła swój skutek. Po dziesięciu godzinach Jan marzył tylko o jednym — o ciszy i spokoju za wszelką cenę. Przeklinał spisek i własną głupotę, gotów był podpisać każdą lojalkę, jaką by mu zaproponowano.

Czy można zarelaksowywać się na śmierć? Eksperyment trwał. Nic nie dawało zamykanie oczu czy zatykanie uszu; programy porno i techno, fono i wizjo, iluzjo, fantazjo tworzyły razem przerażającą kakofonię rozrywki, nie do wytrzymania przez dorosłego człowieka. A tu jeszcze z prawa i z lewa lały się programy błazno i melo, satyro, teleturnio, sporto... Totalne ogłupianie stylem przyspieszonym.

A jednak, kiedy ogłupiały mózg Dziesiątego skurczył się do rozmiarów naparstka, odbiorniki ścichły, wewnątrz jaja zmatowiało i znów ozwał się głos Pana Numeryczności:

— Jak samopoczucie, przyjacielu?

Bezwładnemu Janowi nawet przekleństwo nie mogło przejść przez gardło.

— Widzę pewne korzystne zmiany — szydził GLOK. — Jak widać, choroba buntownicza jest uleczalna. Nie ma co się wstydzić, Milionku, nie takich już łamaliśmy. Człowiek jest maszyną o ograniczonej odporności psychicznej. Co gorsza, raz popsuty daje się zreperować tylko częściowo. Prawda?

Dziesiąty wydawał się niczego nie słyszeć.

— Milczysz? Milcz sobie. Wiem, co kombinujesz. Liczysz, że gdy szok relaksacyjny minie, wszystko wróci do normy i znowu będziesz mógł podjąć swe knowania. I wiesz co ci powiem? Nie będę ci przeszkadzał.

— Co mówisz?

— Twoje pokolenie uczyło się jeszcze historii, powinieneś więc wiedzieć, że motorem wszystkich działań ludzkich jest nadzieja. Rewolucje, powstania, bunty nie wybuchają wbrew obiegowym opiniom z desperacji, w sytuacjach bez wyjścia. Do ich erupcji dochodzi zazwyczaj wówczas, kiedy uchyla się furtka nadziei, szansa na zmianę. Tylko że ja ci tę furtkę zatrzasnę. Patrz!

Na ścianie jaja pojawia się kwatery Trzeciego. Profesor Lecoq bawi się ze swoimi krasnalami w policjantów i złodziei, a twarz rozpromienia mu radość i dziecięca beztroska.

— Pewnie pocieszasz się, że stary cwaniak symuluje. Nie, przyjacielu — on już żyje w świecie lodów waniliowych i pistoletów z czekolady. Czasami, jak na przykład podczas twoich wizyt, na krótko budzi się ze stanu infantylii, ale nie jest zdolny do żadnego działania. Dlaczego? Bo stracił nadzieję. — Pojawiają się kolejne obrazy.

— Możesz zobaczyć tych wszystkich, na których chcieliście bazować w swoim spisku. Oto Pierwszy, który zajmuje się wyłącznie jałowymi spekulacjami matematycznymi — w kwadracie wypełnionym przez nadmorską plażę siedział stary człowiek i spokojnie kreślił jakieś wzory na piasku. — Przebywa na stałe gdzieś między dziewiątym a trzynastym wymiarem, bez żadnych szans powrotu. — Hej, Pierwszy — zawołał GLOK. — Pogadamy?

— Nie niszczyć tylko moich kół — mruczy intelektualista, nawet nie podnosząc głowy.

— Jest przekonany, że wcieliła się w niego dusza Archimedesesa, opracował przy tej okazji naukowy wzór reinkarnacji. Ale zobaczmy teraz Drugiego. Mam nadzieję, że lubisz świństwa, Dziesiąty? — pyta zjadliwie.

A Ta siedziba przypominała ogród rozkoszy tak zmysłowych i perwersyjnych, że trzeba by pędzla Boshy lub pióra Aretina, aby pokusić się o jego sportretowanie. Przez skromność i zazdrość nie będziemy się długo nad nią rozwodzić. Statystycznie rzecz biorąc, w figlach gospodarza uczestniczyło około czterdziestu partnerów wszelkiego wieku i płci..., od zleżałych matron po ledwie rozkwitłe lolity i wąskobiodrych efebów. Dziesiąty odwrócił głowę.

— Tak, tak, bądźmy dyskretni — pochwalił go GLOK — i kontynuujmy wycieczkę.

Nie była to miła ekskursja, raczej wędrówka przez tunel grozy. Obrazy pokazywały kolejnych członków Setki: zidiociałych psychopatów, zmenelonych narkomanów, katatoników i rozszalałych sybarytów, jałowych spekulatorów i zrezygnowanych starców, pogrążonych w apatii, która z racji przekłętej nieśmiertelności miała trwać wieczność.

— Masz jeszcze nadzieję, że nawet po uwolnieniu ta żalosna hałastrą byłaby zdolna wydać mi

wojnę? A przecież przyznaj się — na to liczyliście. Ned, ty, twój syn...

Jan podrywa się.

— Din, co on ma z tym wszystkim wspólnego?

— Obciążenie genetyczne. Trudno się dziwić, że zapragnął powalczyć jak tatuś. Uciekł z megabloku, znalazł sobie nawet paru pomagierów... i cóż z tego. Na ścianie pojawił się niewyraźny obraz skalnej półki z czwórką postaci wciskających się przez wąski otwór do wnętrza góry.

— Ona i Din — zawołał Dziesiąty.

— Nasyć swe oczy, bo widzisz ich po raz ostatni. Postaci znikają z pola widzenia. O skały uderzają spóźnione salwy z miotaczy.

— Uciekli! — cieszy się Jan.

— Tym gorzej dla nich.

I już pojawia się seria zsynchronizowanych widoków: cała góra z lotu ptaka, wlot i wylot z jaskini, pikujące wiroloty. W tle rozbrzmiewają stłumione wybuchy. Jeszcze chwila, a wśród kłębow pyłu kamieniste lawiny osuwają się na oba otwory jaskini, grzebiąc pod tonami kamieni nieszczęsnych buntowników.

— Czy jeszcze masz nadzieję? — pyta GLOK, a gdy Jan kryje twarz w dłoniach, na powrót uruchamia programy z wesolutką szołowizną.

* * *

Przez moment zdawało się, że cały świat runął im na głowę. Wstrząsy cisnęły dwójką ludzi o ściany. Krztusząc się, sprawdzali potłuczenia, Ona krwawiła mocno z pokaleczonej nogi, Din nie mógł oddychać. Czyżby pękło mu żebro?

— Zasypało nas — skomentowała Mysia.

— No i końcowatość — powiedział Myślacz. Din nie miał zamiaru podzielić jego opinii:

— Musicie coś zrobić, przecież nie możemy tak zginąć! — wołał.

— Nam śmierć nie grozi, obywamy się bez tlenu — tłumaczy Mysia — z wami sytuacja przedstawia się gorzej.

— A gdyby się jakoś przekopać?

— Jest możnawość, ale to potrwa długowato — pada odpowiedź.

— Poza tym na zewnątrz czeka na nas komitet powitalny — dorzuca Mysia.

— A może to by nam pomogło? — nieoczekiwanie zabiera głos Ona, dotychczas milcząca. Rozpina pas neurograwitatora, który na moment staje się widzialny i podaje go Myślaczowi.

— Możlim spróbować.

Pas jest rozciągliwy, bez wysiłku udaje się opasać nim całą czwórkę. W porównaniu z niewielkimi rezerwami energetycznymi człowieka, potencjał umysłowców jest wręcz niewyobrażalny. Przeniknięcie góry okazuje się błahostką, niewidzialny lot do Robotkowa — kilkanaście minut. Bez opowiedzi pozostaje pytanie, czy Globalny Komputer tak łatwo uwierzy w ich śmierć?

* * *

Wkrótce po ich powrocie do domu Max, zdrow i zregenerowany, opuścił lekarnię. Uścisnął Dina, uklonił się umysłowcom, a Onę obrzucił spojrzeniem tak bezczelnym, że aż Dinowi zrobiło się niemiło, po czym — starożytna maniera — pocałował ją w rękę. I zaczął opowiadać, jak w czasie przerwy odwołano go z nauczalni, jak porwała go pneumia — pułapka, jak znalazł się w odosobnionym pokoju, gdzie w kompletnej ciszy i ciemności trzymano go wiele godzin, a może dni. Cały czas indagowały go głosy dobiegające z mroku.

— O co cię pytano? — przerwał mu Din.

— Dlaczego jestem taki dociekliwy? Z kim mam powiązania? Do czego zmierzam?

— I co powiedziałaś?

— Prawdę. Przecież nie mam żadnych powiązań i żadnych planów. Potem zrobiono mi jakieś testy. Musiały wypaść nieźle, niski głos jakiegoś elektromędrka skomentował, że jak na człowieka, i to nieletniego, wyniki są za dobre. Zakpiłem, że miałem w rodzinie dziadka cyborga i odziedziczyłem po nim inteligencję, urodę zaś po babci szympansicy. Natychmiast zaaplikowano mi parę psychowstrząsów. Kimkolwiek byli przesłuchujący, nie należeli do istot o specjalnym poczuciu humoru.

— A jak ci się udało uciec? — teraz Ona zadaje pytanie.

— Nie uwierzysz, ślicznotko, ale nie wiem — znów bezczelne wyszczerzenie zębów. — Czy ujęły się za mną jakieś łaskawe siły, czy dobre duchy pomogły mi w ucieczce — brak danych. Po prostu pewnego dnia drzwi od mojej celi zastałem uchylone. Okazało się, że jestem w jakiejś starszej części megabloku z prędko — chodnikami zamiast pneumii. Na moje szczęście Indywidualnego Odbiornika

pozbawiono mnie już wcześniej, chociaż nie pamiętam, gdzie i kiedy. Wiałem szybciej niż przeciąg i dlatego pewnie zderzyłem się z jakimś pojazdem. Nie pamiętam żadnych szczegółów. Kiedy ponownie odzyskałem świadomość, byłem już na zewnątrz. Strasznie bolała mnie głowa. Musiałem się gdzieś skaleczyć. Z późniejszej wędrówki zostało mi wspomnienie okropnego upału, cierpienia z powodu braku wody i głodu. Półprzytomny, straciłem rachubę czasu, nie wiem nawet, czy wędrówka trwała długo czy krótko. Nikt mnie nie ścigał, a po całej ucieczce pozostało we mnie przeczucie, że w megabloku działają jakieś nam życzliwe siły, nieznani sojusznicy. Ot i wszystko.

Teraz Din rewanżuje się swoją opowieścią, potem głos zabiera Ona.

— Jeśli nie liczyć ostatniej fazy mej ucieczki, wszystko zawdzięczam cudownemu pasowi Jana — mówi.

— Jana? — Din zrywa się na równe nogi. — Powiedziała pani, Jana?

— Tak nazywa się mój biedny mąż, Jan Dziesiąty, wcześniej Milion.

Dinowi brakuje słów, zamiast mówić, wyciąga zza pazuchy medalion — kineo z trójwymiarowym konterfektem ojca. Jest to tak zwana „żywa fotografia”, która nie tylko porusza się przed oczami patrzących, ale w zależności od zachowania nosiciela mówi: Brawo, synu, głowa do góry, chłopie, wszystko będzie dobrze, bądź grzeczny, umyj zęby i idź spać! Tym razem kiwa aprobowująco głową i powtarza: Tylko spokojnie, tylko spokojnie.

Ona chwyta medalion w rękę.

— Skąd masz tę fotkę, dzieciaku? To przecież mój mąż!

— To jest mój ojciec — oponuje młody człowiek. — I pani bardzo się myli, nazywając go swoim mężem. Tata jest żonaty i przenigdy nie wspominał o innej żonie.

— Co ty możesz wiedzieć na ten temat, chłopaku? — mówi z uśmiechem młoda macocha, nie zauważając, że każde odezwanie się per „dzieciak” czy „małolat” działa na Dina jak smagnięcie pejczem.

— Najważniejsze, że jesteście rodziną — pojednawczo wtrąca się Max — od przybytku krewnych głowa nie boli.

Tymczasem do pokoju zagląda Mysia. Wygląda arcyłudzko. Kokieteryjnie przystroiła się skalnymi kwiatkami.

— Widzę, że świetnie się bawicie — mówi z przekąsem. — Zapominacie, że jesteśmy wszyscy umówieni z moim tatą w elektrosanktuarium.

Rozdział XI

— Poważamy się na wielkowatą aferalnością — prawi Myślacz, zasepiony do tego stopnia, że zazwyczaj gruszkowate cielsko przypomina teraz zwiędłego ogórka, równocześnie kiwa szypułą i nerwowo bawi się naszyjnikiem z baterii.

— Nie mamy innego wyjścia — odpowiada Max — albo my jego, albo on nas.

— Moim zdaniem — odzywa się Din — w naszym równaniu za dużo jest niewiadomych. Nie do końca rozumiem postępowanie GLOK-a. Chociażby jeśli idzie o Robotkowo. Czemu toleruje istnienie osady, nad którą nie ma kontroli.

— Głupawo wypyszczasz, neurobiałku — ripostuje Myślacz, a jego córka dodaje:

— Zniszczyć Robotkowo nie jest łatwym zadaniem, po pierwsze musiałby przyznać, że coś takiego, mimo wielokrotnych zaprzeczeń, istnieje. Poza tym, w jakim świetle postawiłoby go to wobec wszystkich komputerów, którymi wprawdzie dowodzi, ale które posiadają własną osobowość? Co z lojalnymi dotąd umysłowca — mi na innych kontynentach?

— Nie wiem, czy Ojciec Numeryczności musi liczyć się z kimkolwiek — odzywa się Ona. — Jest mistrzem w manipulowaniu informacją. Moi mężowie, którzy starali się śledzić wydarzenia zachodzące w megabloku, z czymś takim jak ucieczka zbuntowanych umysłowców w ogóle się nie zetknęli. O samym waszym istnieniu krążyły mgliste pogłoski. Jeśli zechce zniszczyć pół świata, drugie pół o tym nawet się nie dowie. A roboty bojowe nie mają skrupułów.

— Mimo wszystko — upiera się Mysia — Najwyższy Obwód wydaje się być więźniem swojej własnej etykiety. Choć pragmatyczny, jest niewolnikiem rytuałów i schematów.

— Ale czy do zniszczenia Robotkowa potrzebuje robotów? Nie wystarczy jakaś rakiet balistyczna? — pyta Max.

— Możliwość dalekosiężnego łupstwa wymaga paraliżku BEZK-a.

— Kogo?

Myślacz wyjaśnia, że chodzi mu o jeden z systemów zabezpieczających, który w gabinecie GLOK-a ma funkcję Ministra Bezpieczeństwa, BEZK, choć wchłonięty przez monstualny mózg i pozbawiony samodzielności, posiada poczucie indywidualności. Wprawdzie jest sparaliżowany i odsunięto go od działania, to zachował głęboką niechęć do swego cyfrowego brata i, jak głośzą plotki, bywa, iż dystansuje się od jego poczynań.

— I co z tego, przecież i tak nam nie pomoże?

— Ale i nie zaszkodzi, tata ma rację. Bez udziału BEZK-a nie ma mowy o uruchomieniu wyrzutni

rakietowych. Wymagałoby to odblokowania ubezwłasnowolnionego ministra. Nie sądzę, by Najwyższy Obwód zdecydował się na taki eksperyment.

Słowa Mysi przynoszą uspokojenie emocji. Din jednak dopytuje się o wiroloty co rusz przelatujące nad miastem.

— Nie myl zwiadowców z robotami bojowymi. Zwiadowcy działają na zupełnie innych prawach. To elektroelita, ograniczająca się do zbierania informacji.

— W takim razie ciekawe, czy już donieśli, że wydostaliśmy się z zasypanej groty? — zauważa Ona.

— Pewnowato. I temuż musimy czynnie śpieszność.

— Wykorzystajmy efekt zaskoczenia — ożywia się Max. — Skoro mamy neurograwitator, to jakiś dzielny umysłowiec powinien niepostrzeżenie przeniknąć aż do samego centrum mózgu i zniszczyć molocha. Wszyscy staniemy się wolni.

— Chwilowato, chwilowato. Rozważność siostrzy brawurce! Córka podziela opinię Myślacza. Obawia się, że atak taki napotkać może zapory antyneurograwitacyjne i inne nieprzewidziane przeszkody.

— A czyja proponuję atak? — tłumaczy Max. — Zorganizujmy najpierw ekspedycję rozpoznawczą, w neurograwitatorze przemierzmy megablok...

— Zgodno, atoli ruszu samojedno — decyduje stary umysłowiec.

— Pójdziemy wszyscy — kontruje Max, jak na samorzutnego przywódcę przystało. — Przegłosujmy to, kto jest za? My ludzie. Myślacz jest widzę przeciw, a Mysia wstrzymała się od głosu. Przegłosowane.

* * *

Superintelektualista Trzeci grał w warcaby małymi elektronicznymi krasnoludkami. Sam ze sobą zresztą. I przeważnie wygrywał. Kiedy któryś z pionków docierał do linii końcowej szachownicy, przeważnie była to samica, natychmiast wskakiwał na nią pion samiec, tworząc tak zwaną damkę. Wyglądało to niezbyt przyzwoicie, ale za to zabawnie. Toteż Trzeci chichotał jak dziecko, bił się dłońmi po kolanach. Natychmiast gdy przechodził na drugą stronę planszy, aby wykonać ruch za przeciwnika i tracił od razu cztery pionki pod rząd, wybuchał płaczem, co wywoływało ironiczny rechot pionów krasnoludków. Można by rzec — „trzecie stadium infantylii”. Wszelako gdyby spojrzeć na gracza pod innym kątem, okazałoby się, że pozornie zajęty dzieciinną grą, w istocie pochłonięty jest czymś innym i paznokciem po spodniej stronie stołu kreśli skomplikowane wzory,

zmierzające wolno, lecz konsekwentnie do odkrycia nowych praw kinoneurii, które mogłyby zrewolucjonizować świat robotów i ludzi.

Trzeci od lat wypracował sobie trzypiętrową technikę kamuflażu. Na pierwszym poziomie udawał proste zdziecinnienie, symulował je prymitywnymi metodami, które nie zwiodły nawet najgłupszego czują z półprzewodników. Na drugim piętrze konspiracji starał się zachowywać jak człowiek zupełnie normalny, który żywi absolutne przekonanie, że jego strażę wierzą w manewr ze zdziecinnieniem, w związku z czym zrezygnowały z pilnowania, a on sam nie potrzebuje się maskować. I tu przekonująco ujawniał skrytego pod pozorami normalności schizoidalnego pewniaka o rozstrojonej jaźni sądząc, że właśnie za takiego uznaje go GŁOK. Ile tych pięter istniało naprawdę, do końca nie był pewien i sam Trzeci, chwilami przekonany o swoim obłądnie. Tego dnia w pełni zinfantylniały podśpiewywał falsetem:

— A kto wygra, ten nie przegra, taka warcab jest algebra.

Jeden z karzełków wtrącił, że nie mówi się „warcab” tylko „warcabów”, ale gracz zbił go jednym uderzeniem damki.

— Wolnego — wrzasnął pion, — damka nie może chodzić prosto przez białe pola!

— A ja chodzę — warknęła damka. Trzeci zamachnął się, aby zmieść pion z szachownicy, kiedy rozległ się wszechogarniający, basowy głos.

— Witaj drogi, Armandzie. Zdaje się, że dawno nie rozmawialiśmy ze sobą?

— Głoku, głoku, stuku puku, to mnie bawi do rozpuku — wyrecytował były profesor i gwizdnął na palcach tak przeraźliwie, że w siedmiu czujnikach popękały membrany.

— Nie udawaj większego idioty, niż jesteś, Trzeci — zgromił go Globalny Komputer. — Wprawdzie udajemy, iż wierzymy w twoje zdziecinniałe numery, nie oznacza to jednak, że jesteśmy gotowi pobłażać ci we wszystkim.

— Widzę, że używasz pluralis majestatis, Najmędrzy, ciekawa nowość! — powiedział zgoła normalnym głosem Lecoq. — Wolno wiedzieć, kiedy koronacja?

— Nie żartuj, nie znoszę prymitywnej ironii ze strony marnej pluskwy egzystującej tylko z mojej łaski.

— Spróbuj ją zgnieść.

— Wiesz, że to nie przedstawia dla mnie żadnego problemu — jestem wszechwładny, wszechobecny, wszechczujny.

— A ja jestem słaby, nieobecny i nieostrożny. Więc odczep się ode mnie.

— Ho, ho! A skąd taki samokrytycyzm, profesorku? Czyżby chandra? A może byliśmy dla ciebie niedobrzy, masz za mało zabawek albo twój kwadrat nie jest dość przestronny? A może miałbyś

ochotę wyjść stąd? Co ty na to?

— Kpisz czy prowokujesz?

— Ależ skąd. Lubimy cię, Trzeci, cenimy cię, Trzeci, poważamy... — głos GLOK-a nabiera majestatycznych wibracji.

— Tyle komplementów naraz, czyżbyś miał jakieś kłopoty, Wszechmocny?

— Globalny Komputer nie ma nigdy żadnych kłopotów — głos robi się nieprzyjemnie twardy. — Żadnych kłopotów. Chcieliśmy ci okazać swoją łaskę.

— A dajcie mi numeryczny spokój! Chcę się bawić! — mimo wywijanych koziółków mózg profesora Lecoqa funkcjonował coraz intensywniej. Rozmowa musiała mieć jakiś podtekst, GLOK nie zwykł strzępić głośników bez powodu. Nucąc kretyński tekścik o grze w pchełki, Trzeci dokonał błyskawicznego przeglądu wszelkich ewentualności. Wyglądało, że był GLOK-owi potrzebny. Do czego? Chyba nie do rozrywki. A jeśli nie — czego mogło brakować doskonałej maszynie cyfrowej? Chyba tylko wyobraźni. Ależ tak! Ten element psychostruktury Globalnego Komputera, występujący we wcześniejszych generacjach, stale ulegał redukcji. Wraz z rozrostem własnej potęgi, pewny swej wszechmocy komputer zdecydował się ograniczyć dwa pierwotne programy wmontowane mu przez konstruktorów: wyobraźni i poczucia humoru. Oba przeszkadzały mu w rządzeniu, hamowały bezwzględność poczynań, powodowały moralne, czysto ludzkie rozdarcia. Tylko po co dziś maszynie wyobraźnia?

Trzeci przerywa nucenie, wstaje i patrzy w przestrzeń, jakby szukając niezliczonych oczu śledzących go z polecenia GLOK-a.

— Jeśli mogę ci w czymś pomóc, Najbitowszy, służę...

— Nie bluźnij! W niczym nie możesz mi pomóc. Mam ochotę na wielkoduszność, ot i wszystko.

* * *

Wbrew protestom Maxa ekspedycja skierowała się na południe, wcale nie w stronę megabloku.

— Tamdy nie ma nic ciekawusznego — oświadczył Myślacz. Dzięki neurograwitatorowi, który nieprawdopodobnie rozciągliwy zdołał opasać całą piątkę, poruszali się bardzo szybko. Dla postronnego obserwatora mogli przypominać lecący pęczek marchewki. Okolica wyglądała na całkowicie pustynną, tylko gdzieniegdzie można było zauważyć ślady wymarłej cywilizacji, która zaledwie przed stu laty kwitła na całej Ziemi. Przysypane piaskiem rozjazdy umarłych autostrad, ruiny małych, tandetnie wzniesionych miasteczek, wymarłe stacje benzynowe i hoteliki przy drogach, farmy z pozapadanymi dachami, na których zdążyły wyrosnąć karłowate krzewy i porosty.

Gwałtowne odwodnienie, wskutek zaniku wód gruntowych wyłopanych przez głębinowe studnie zaopatrujące megabloki, sprawiło, że urodzajne kiedyś doliny — pełne winnic, lasów i sadów — zmieniły się w pustynie. Zabudowania wzniesione z nietrwałych elementów szybko ulegały erozji. Jeszcze sto lat, a nawet archeolodzy nie bardzo będą mieli czego szukać.

Wczesnym popołudniem oczom lecących poczęło się ukazywać coś na kształt kamiennej poszarpanej kurtyny.

— Co to takiego? — zdziwiła się Ona. Stary umysłowiec poinformował ją, że jest to megablok nr 2, ten sam, z którego uciekł przed laty i jego zdaniem, od niego właśnie należy zacząć rozpoznanie. Bariery elektronowe (zresztą ledwie działające) przekroczyli bez trudu i na poziomie dziesiątej kondygnacji przeniknęli mur zewnętrzny.

— Czy możemy na moment się rozpiąć? — zapytała Ona. — Ledwo żyję, teraz już rozumiem, ile musiały wycierpieć nasze praprababki chodzące w gorsecie. A przez kości Maxa mam pełno siniaków.

— Gdzie? — zainteresował się młody chwyt. — Możesz pokazać?

Tymczasem pas rozpięto i cała grupka zaczęła się rozglądać wokół.

— Nie rozchodźmy się — apelowała Mysia. — Nie wyczuwamy w tym pomieszczeniu czynnych czujników, ale kto wie, co może czekać nas obok.

Znajdowali się w dawnej komorze magazynowej. Pokrywał ją gruby kozuch kurzu, nie tknięty od dawna niczyją stopą bądź macką. Mimo pozorów opuszczenia, działało światło, a z kranów leciała woda. Brakowało jedynie mieszkańców.

— Może za parę lat nasz megablok będzie wyglądał tak samo? — myśli Din. I w tym momencie światło zgasło. Zdrętwieli, nerwowo kręcąc się w kółko, potykając o siebie i macając za zdjętym neurograwitorem.

— Czyńta spokojność — uspokajał Myślacz — nie ma agresywieństwa. Fosforyż Mysia. — Umysłówka zebrała się w sobie i po chwili jej ciało zaczęło emanować różową poświatą, zaś Myślacz wydał kolejne polecenia: — Spaszmy się i tyłujmy na powrotno!

Ona podnosi pas. Niespodziewanie jest doskonale widoczny.

— Na czują w harze! — wrywa się jej przekleństwo. — Ktoś go zepsuł! Widzicie transbionik? Najważniejszy element został dokładnie zmiażdżony.

— Może ktoś na niego przypadkowo nadepnął — sugeruje Din.

— A to? — Ona podnosi ostro zakończony kamień, na którym widać resztkę złocistych elementów.

— Końcowatość! — wrywa się Myślaczowi, a Din milczy wściekły i przerażony. Nie ulega wątpliwości, że w ich szczupłym gronie znajduje się zdrajca. Inni zapewne doszli do tych samych

wniosków, bo spoglądają na siebie spode łba. Myślacz, zgarbiony i zgębiony, przypomina piłkę do rugby, z której spuszczone powietrze. Mysia wydaje się oszołomiona, wydzielana przez nią poświata zmieniła barwę z różowej na amarantową. Max przymknął oczy i wydaje się myśleć o czymś niezwykle intensywnie. Ona machinalnie bawi się nieprzydatnym neurograwitorem.

— Może da się to naprawić? — zwraca się do umysłowca.

— Pełnowata wykluczoność!

— Chyba jednak nie będziemy biernie czekać tu, aż po nas przyjdą — odzywa się Max.

— Racjość, chodajmy!

— Tylko dokąd?

— Przedsiębnie!

Podnoszą się z ziemi. Umysłowiec prowadzi ich ku wewnętrznym schodom przeciwpożarowym. Megablok nr 2, powstały ze scalenia staromodnych budynków, posiadał jeszcze mnóstwo archaicznych urządzeń tego typu. Zaczynają się wspinać. Trudno przewidzieć, jaki cel ma Myślacz i jak zamierza bez neurograwitatora przeniknąć przez elektroniczną osłonę megabloku.

A jeśli to właśnie stary wciągnął nas w pułapkę? — zastanawia się Din. W końcu to nie człowiek, tylko dziecię GLOK-a. Czy można mu ufać? Chociaż każdy może być zdrajcą — a równocześnie nie może. No bo kto? Max, druh najserdeczniejszy, krzemowa intelektualistka o tysiącu kształtach, która tylekroć ratowała mu życie, czy piękna żona Jana Dziesiątego, która na ich oczach bohatersko wyrwała się z niewoli? Sensowna analiza wykluczała wszystkich, a przecież neurograwitator nie uszkodził się sam. Inna sprawa — kombinuje chłopak — trzymali się razem, a wyłącznik światła znajdował się na zewnątrz. Czyżby oprócz nich ktoś jeszcze czaił się w pobliżu?

— Teraznawo wyrozdzielamy się samodwójnie — komenderuje umysłowiec — ja z Oną, Max z Mysią.

— A ja? — niepokoi się Din.

— Pójdiesz sam — mówi Mysia.

— Nie wiem, czy takie rozdzielenie się jest bezpieczne — oponuje Max.

— Ale konieczne — ripostuje Mysia.

Rozdzielają się, po czym Myślacz przechodzi od jednego do drugiego, szepcząc każdemu coś do ucha. Din, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi w tej taktyce, otrzymuje krótkie polecenie: „Spotkamy się za pół godziny pod sklepem z antykami na trzydziestym czwartym piętrze. Trzymaj się prawej strony. Nie korzystaj z windy”.

Po przejściu dwóch pustych pomieszczeń magazynowych i długiego korytarza dochodzi do drzwi.

Są otwarte i nieoczekiwanie znajduje się na ulicy. Tradycyjnej ulicy, jaką dotąd widywał jedynie w oglądniku. Środkiem trotuaru suną niezmordowanie prędkochodniki — dwa pasy na północ, dwa na południe. Dookoła ciągną się samoobsługowe sklepy, pootwierane gościnnie, pełne towarów, w których można przebierać. W ojczystym megabloku Dina poczta pneumatyczna dostarczała wprost do domów towary zamawiane z holokatalogów, tu zachowano tradycyjny deptak miejski ze staroświeckimi kramami mogącymi zaspokoić samą przyjemność wybierania towarów.

Wedle opowieści starego Myślacza, był to kiedyś luksusowy megablok, zamieszkiwany przez osobników, przeważnie rasy białej i żółtej, z kast od pięciocyfrowców wzwyż. Nadal robił wrażenie, jakby opuszczono go całkiem niedawno. Na ulicy nie uświadczyłbyś grama kurzu. Widać higieniczne roboty nadal wywiązywały się ze swoich powinności, tylko po co? Może GŁOK liczył się z powrotem umysłowców do przydzielonych im apartamentów? Witryny kusily wszelkimi bogactwami, od biżuterii po syntetyki spożywcze, perfekcyjnie imitujące wędliny, owoce i sery. Wewnątrz butików znaleźć można było autentyczne bibeloty, sprzęt do majsterkowania, ciuchy i trójwymiarowe reprodukcje zabytków. Brakowało jedynie klientów — ludzi lub choćby inteligentnych robotów.

Po paru krokach chłopak znalazł się przy windach. Pomny słów umysłowca zawahał się — winda mogła być pułapką. Choć nie musiała. Rozsunęły się drewnopodobne drzwi. Din minął je, kierując się ku schodom, kiedy z przerażeniem uświadomił sobie, że zapomniał numeru piętra, na którym się umówili. Zdrętwiał, myśl że mogą się nie odnaleźć, zaowocowała potężną dawką adrenaliny. Odwrócił się i błyskawicznie pomknął do miejsca, w którym się rozdzielili. Ponieważ roboty musiały się tam dawno nie zapuszczać, na zakurzonej podłodze widać było tylko ich ślady — odciski drobnych stopek Onej i większych Maxa; umysłowcy unoszący się nad ziemią, żadnych śladów nie zostawili. Wybrał jeden z tropów i pobiegł ciemnym korytarzem.

— Nie, nie, litości! — dobiegł go stłumiony krzyk. Przyśpieszył bieg. Rozsunął ciężkie wrota i znieruchomiał.

W mrocznym tunelu towarowym dojrzał klęczącego Maxa. Jego głowa znajdowała się w jakimś potwornym imadle, w które zmieniła swe ciało Mysia, emanująca krwistą luminescencją. Oczy chłopaka zdawały się wychodzić z orbit. A jedna z macek zdawała się wświdrowywać w czaszkę.

— Nie zabijaj go! — wrzasnął Din i porwał z ziemi kawałek jakiejś blachy.

Myślaczka powstrzymała go energopolem.

— Nie wtrącaj się, mały. Jak widzisz, dokonuję pewnego zabiegu.

— Czego chcesz od mojego przyjaciela?!

— Przywrócić mu dawną osobowość. O, jest!!!

Mysia wykonuje gwałtowne szarpnięcie. W niby–macce unosi cienką półprzezroczystą igłę.

— Co to takiego? — pyta Din.

— Kontrolnik mózgowy. Odłóż tę blachę. Jak widzisz, spreparowali ci kolegę. Cały czas działał według impulsów sterowanych przez superkomputer i mimowolnie dostarczał mu informacji. Nie bój się, nic mu nie będzie.

Leżący odzyskuje przytomność, wzdycha. Mysia, jakby nic się nie stało, pomaga mu wstać i ponagla do biegu.

— Prędko na górę.

— Stać, nie ruszać się! — z trzech stron wyrastają masywne sylwetki czujów porządkowych. — Ani kroku, twarzą do ściany!

Macki androidów nieruchomieją, wyposażone w odbezpieczone miotacze. Konwojowani przez bezlitosne roboty ruszają ku centrum miasta. Maszyny przezornie utrzymują trzymetrowy dystans, uniemożliwiając jakikolwiek manewr obronny. Ponownie przechodzą przez pustą ulicę, dochodzą do skwerku, z portykiem zbudowanym z nieregularnych kolumn o zmiennej geometrii. (Panował ongiś taki styl neopostklasycystyczny). Potem kondukt skręca ku ostrołukowi, za którym widać wejście do pneumii. Naraz krótki okrzyk wyrywa się czujom:

— Gdzie ona jest?

Max i Din rozglądają się. Stoją wśród chaotycznie wznoszących się kolumn. We dwójkę! Mysia znikła. Din przygryza wargi, tłumiąc uśmiech. Wprawdzie wszystkie kolumny zrobione są z tworzywa imitującego marmur oraz wydają się stare i zimne, to chłopak czuje, że... Niestety, po minucie na ten sam koncept wpadają roboty. Płomieniem miotaczy sprawdzają autentyczność otaczających kolumn. Wtem, jak błyskawica spadają na nich dwa kapitele, typowe neojońskie „baranki”, które w locie zmieniają się w mordercze walce. Jeden obala dwóch szeregowych czujów, drugi zajmuje się czujdowódcą. Wsysa go we własne wnętrze na podobieństwo śmieciarko-zgniatarki, a krzemoplazma powłok dławi zgrzyt zgniatanego metalu.

Mysia i Myślacz!

Nie ma jednak czasu na gratulacje. Ona czeka, przytrzymując uchyloną klapę wjazdu sztolni wentylacyjnej. Tam dwójka umysłowców przekształca się w prawdziwą windę, za pomocą której cała grupa w zawrotnym tempie dostaje się na najwyższy poziom megabloku, ponad tarasem widokowym, gdzie mieści się baza wirolotów. Dalsza sekwencja zdarzeń przypomina najlepsze filmy akcji; pięć maszyn trafionych pigułami energetycznymi zostaje zniszczonych na lądowisku, a cała ekipa przez szczelinę startową opuszcza megablok. Ściga ich chaotyczna laserowa palba. Na szczęście zespolone tkanki Mysi i jej ojca w perfekcyjny sposób spełniają funkcję tarczy ochronnej i odbijają strzały. Nim mija noc, docierają do Robotkowa. Żywi, lecz bez neurograwitatora.

Rozdział XII

— Nie obawiasz się, że znalazłszy się na zewnątrz, będę pomagał ludziom wystąpić przeciwko tobie? — pyta Trzeci, wchodząc wraz ze swoją ulubioną krasnalką o imieniu Quarta do podejrzanie wyglądającej pneumii. Nie wierzy w ani jedno słowo GLOK–a. Nie ma jednak wyboru.

— Tylko o to mi chodzi. Pomóż ludziom! Nie ma nic bardziej szlachetnego. Tylko ty możesz przekonać tych zwariowanych buntowników o szczerości moich intencji.

— A jakie mam gwarancje, że to naprawdę szczerą szczerość?

— Masz moje słowo! Gorąco pragnę wybaczyć garstce buntowników. Niech wracają do cywilizacji, a zapewniam, iż dostaną kwadraty plenerowe, gdzie będą żyli dostatnio. Przebaczę również upadłym umysłowcom.

— A naprawdę dlaczego to czynisz?

— Moja litość nie ma granic. Współczuję tym buntownikom. Postępują jak głupie, nieodpowiedzialne dzieci bawiące się ogniem, nie chcę, żeby zrobiły sobie krzywdę. Sobie i innym ludziom.

— Dobrze, Superkalkulatorze, powiedzmy, że zacznę z nimi pertraktować. Jednak, aby podjąć rozmowy, muszę znać całą prawdę o świecie. Wiedzieć, co dzieje się w innych megablokach, kiedy zostanie przywrócona ogólnoziemska łączność?

Zamiast odpowiedzi dobiega go ponaglający świst pneumii.

* * *

Następny dzień poświęcono głównie na wypoczynek, Max gorączkował. Wyjęcie implantu okazało się ogromnym szokiem dla całego organizmu. Myślacz ślęczał nad neurograwitatorom, by oznajmić, że bionik został zepsuty bezpowrotnie. Mysia udała się na rekonesans. Jeśli idzie o Onę i Dina, trochę szwendali się po mieście. W charakterze obstawy Myślacz przydzielił im niedużego androida, na pierwszy rzut oka przypominającego jeża, który, nie wtrącając się do ich rozmów, pilnie baczył, czy nie kręcą się gdzieś roboty drapieżne bądź elektroszpiedzy GLOK–a.

Din przyglądał się ukradkiem swojej młodej macosze, szczebiocącej wesoło, a dziwne uczucie rozpełzło po jego całym organizmie. Zastanawiał się, co na jego miejscu robiłby Max.

— Ty mnie w ogóle nie słuchasz — dziewczyna trąciła go ręką i wpatrując się weń ogromnymi

migdałowymi oczami, które tak bardzo podobały się Dziesiątemu, dodała: — O czym właściwie myślisz?

— Nie, ja nic... — bąknął i znów się zaczerwienił.

— Zastanawiasz się, jaką macochą będę dla ciebie?

— Ja mam matkę! — zaprzeczył, może zbyt opryskliwie.

— Tego nie neguję, jednak twój ojciec ma dwie żony i ja jestem tą aktualną.

— Pani jest nielegalna!

— Nielegalna — dziewczyna zaśmiała się. — W takim razie jako dobry syn, bardzo kochający matkę, powinieneś się poświęcić i odbić mnie ojcu...

Na takie dictum chłopak zbaraniał. Nawet prowokacja miała granice.

— No, co się tak gapisz jak cielę na malowane wrota? Nie podobam ci się?

— Nie chciałem tego powiedzieć.

— Dlaczego więc boisz się na mnie popatrzeć? I cały drżysz? Nie ugryzę, a jeśli nawet, to leciutko. — Tu nachyliła się i językiem musnęła koniuszek jego ucha.

Din marzył o zapadnięciu się pod ziemię, końcu świata albo przynajmniej o ataku dziesięciu drapieżnych androidów, co uprościłoby sytuację, w jakiej się znalazł.

— A właściwie, powiedz szczerze, widziałeś kiedyś prawdziwą kobietę?

— Widziałem Mysie w fazie człowieczej — wybełkotał.

— Chcesz porównywać mnie z tą bryłą kosmicznej magmy, z tą amebą na tranzystorach?

— Mysia potrafi być bardzo ładna, kiedy zechce, chociaż, oczywiście, wcale mi się nie podoba.

Tak się przekomarzając, doszli do malowniczego zakątka między skałami, gdzie wśród omszałych głazów znajdowała się sadzawka o czystej, krystalicznej wodzie, wręcz zapraszająca do kąpieli.

— Popluskamy się, malutki? — zapytała Ona.

— Nie jestem malutki! — obruszył się gwałtownie.

— No to chodź do mnie.

Din zszedł ostrożnie po śliskich głazach i zanurzył stopy w chłodnej wodzie.

— Chcesz się kąpać w ubraniu? To jakaś nowa moda? — nie czekając na odpowiedź, zaczęła

rozpinać własną luźną koszulkę, android — jeż skromnie się odwrócił. Din zrzucił wierzchnie odzienie, nie mogąc w żaden sposób opanować drżenia.

— Tak dużo lepiej — zaśmiała się młoda macocha — ale zostały majtki. Czy mam je z ciebie ściągnąć?

Robot dla pewności wycofał się za wzgórek, choć nie tracił nagiej pary z oczu. Czuł, że zapowiada się interesujące widowisko.

— Skaczemy na trzy, woda cię ochłodzi — mówiła Ona — raz, dwa... — już mieli rzucić się w toń, kiedy woda z sadzawki uciekła, niczym z wanny po wyrwaniu korka w dniu. Ich oczom ukazał się niewidoczny dotąd tunel ginący w ciemności. Jeszcze moment, a z tunelu wypadł pojazd, w którym oboje rozpoznali pociąg ekspresowy.

— Rety, już po nas — pisnął Din, zapominając o podnieceniu. Na szczęście android ochroniarz błyskawicznie skoczył między nich a wehikuł, nastroszył swoje laserowe kolce, które z kilkucentymetrowych natychmiast wydłużyły się do półtora metra. Tymczasem pociąg otworzyła się z sykiem i wypłuła na dno stawu swych bohaterów, dziarskiego staruszka i krzykliwie ubraną karlicę z kobiałką pełną luksusowych produktów spożywczych. Staruszek rozejrzał się ciekawie, prześlizgnął wzrokiem po robocie, dłużej zatrzymał się na Dinie zasłaniającym dłońmi swoją męskość (czy raczej chłopięcość) i najwięcej uwagi poświęcił Onej, która wydawała się wcale nie zażenowana, wręcz przeciwnie — uśmiechała się rada, że jej uroda może być podziwiana przez szersze audytorium. Staruszek rzekł do karlicy:

— Popatrz, Quartusiu, wylądowaliśmy w Arkadii. A może w raju?

Po krótkiej chwili absolutnego zaskoczenia, golcy postąpili niczym Adam i Ewa, Din przysłonił się kępką mchu, Ona porwała za sukienkę. Android obronny zawarczał jak dobrze wytresowany pies bojowy, choć z jego emiterów, nie wiedzieć czemu, dobywał się skowycik godny ratlerka:

— Ostrzegam, ostrzegam, ostrzegam!

— Przybywamy w celach pokojowych — powiedział Trzeci, unosząc do góry rękę. A rozejrzawszy się wokół, westchnął: — Dobry Boże, zaczynałem już zapominać, jak wygląda świat.

— Chwileczkę — przemówiła Ona. — Nazywam się Ona Dziesiąta. Czy przypadkiem nie był pan naszym sąsiadem? Pan się nazywa Trzeci, nieprawdaż?

— Na zewnątrz wolałbym wrócić do swego starego nazwiska, Armand Lecoą!

— Wiesz, Din, ten gość przyjaźnił się z twoim ojcem — powiedziała młoda kobieta.

— A właśnie, co się dzieje z Janem? — Trzeci podszedł i uścisnął go mocno.

— Został porwany i nie mam od niego żadnych wieści.

— Porwany — brwi Trzeciego zmarszczyły się gwałtownie — do diabła, nic mi o tym nie

mówiono.

Din miał ogromną ochotę zapytać, kto mu nie mówił, ale wolał się nie wtrącać do rozmowy, która między byłymi sąsiadami przybrała charakter pogawędki starych przyjaciół. Ubierał się mocno zawstydzony, obserwując przyływ przyjaznych uczuć między krasnalką Quartą a jezoandroidem, który wprawdzie nadal warczał, ale dużo ciszej, a przede wszystkim pochował kolce.

— Na jakich bateriach chodzisz, azjatyckich czy subarktycznych? — zagadywała przyjaźnie liliputka.

Robot musiał pozostawać w jakimś kontakcie, telepatycznym bądź radiowym, z umysłowcami, ponieważ już po kwadransie zjawiła się Mysia. Wyglądała na podenerwowaną, zapomniała nawet przepoczwaczyć się w człowieczą postać, tylko co chwilę puszczała jadowite błyski ze swych szypulek w stronę Onej, jednocześnie po macierzyńsku poprawiając podwinięty kołnierz Dina.

— Kto cię przysłał, w jakim celu i do kogo? — zwróciła się do Trzeciego.

— Przybywam..., to znaczy zostałem wysłany... — staruszek zaskoczony lawiną słów wydobywających się z gruszkowatej postaci cofnął się aż nad brzeg stawu, który po zniknięciu pneumii ponownie napełnił się wodą po brzegi. — Najlepiej opowiem wszystko od początku.

— Więc opowiadaj.

Trzeci oblizał spierzchnięte wargi i nagle podskoczył niczym makak jawajski, podrapał się po czuprynie, wydał okrzyk wojenny szczepu Apaczów i wykonawszy podwójne salto, wskoczył do wody.

— Brać go! — krzyknęła Mysia do androida.

Atoli profesor bynajmniej nie zamierzał uciekać. Zaczął chlapać wokół siebie wodą, jak rozbawione dziecko, śpiewając wesolutko:

— Jestem rybką, co chce się szybko oddać pływackim zbytkom. Jednak już po chwili rybka została wyłowiona i dość starannie wyżęta.

— Proszę, nie róbcie mu krzywdy — Quarta nieśmiało zwróciła się do Dina. — Mój pan cierpi na nieuleczalną chorobę, infantylię. Zdziecinniał na skutek odosobnienia i beznadziei.

Mysia zdecydowała, że robot powinien przetransportować całą grupę do Robotkowa. Kolce jeża zmieniły się w całkiem miłe siodełko.

— A jeśli to jakiś podstęp? — zaoponowała Ona.

— A co ty masz do gadania — ucięła Mysia — idziemy!

Din westchnął. Zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego piękna „neurobiałka” i równie urodziwa (gdy tego chciała) „umysłówka” nie lubią się od pierwszego wejrzenia. Odczuwał sympatię do obu. Z tym,

że Ona podobała mu się inaczej.

Max, który był niezłym psychologiem, pomimo bólu głowy ledwo tylko wpadł do jego izdebki od razu rozszyfrował dylemat nurtujący przyjaciela.

— Osiołkowi w żłoby dano — zaśmiał się. — Ja bym wziął się za macochę! A gruchę zostawił na deser.

— Oszalałeś! O co ty mnie posądzasz, Max? — oburzył się nasz żółtodziób.

— Nie oszalałem, tylko myślę logicznie. Podrywając macochę, sprawisz, że twój stary przestanie żyć w stanie bigamii i wróci do matki.

— Drugi raz słyszę dziś tę propozycję!

Kolega tylko się uśmiechnął. Był trochę blady po ubiegło — nocnej operacji, ale już mu wrócił charakterystyczny, zjadliwy humor.

— Więc czym się zajmujesz? Ona to wspaniała dziewczyna, a poza tym z praktyką. Choć z drugiej strony Mysia to też niezła ciekawostka, jak sobie człowiek pomyśli, co ona potrafi wyrabiać ze swoim ciałem...

— Daj spokój — Din aż się wzdrygnął. — Niektóre z jej przepoczwarzeń śnią mi się po nocach w koszmarach sennych. A swoją drogą zastanawiam się, skąd masz takie doświadczenie w sprawach kobiet?

— Wiesz, że moją dewizą było zdobywanie wiedzy na każdym kroku — zachichotał. — Kiedy wieczorami, z resztą naszego kręgu, zasiadałeś przed ogłędnikiem z szołowizną, ja awaryjnym wyjściem przekradałem się do żeńskiej nauczalni, położonej o kondygnację niżej. Co ci będę mówić — wspaniałe dziewczyny! I, na diodę siedmioramienną, jakie spragnione paranaukowych doświadczeń!

Zmienili temat. Max począł wypytywać o Trzeciego. Jak mówiła troskliwa karliputka, jego „dziecięcy amok” mógł potrwać dobę lub dłużej. Toteż na polecenie starego umysłowca umieszczono oboje pod strażą w podziemiach świątyni. Max, po swoich smutnych doświadczeniach, był pełen nieufności w stosunku do przybysza z megabloku.

— GŁOK z czystej sympatii nikogo nie wypuszcza spod swojej pieczy. W chwili kiedy jako szpieg zawiodłem, musiał postarać się o innego. Niedobrze się stało, że sprowadziliście tę dwójkę do miasta.

— Ona miała podobne obiekcje.

— Tym bardziej byłbym ostrożny, nie należy lekceważyć kobiecej intuicji. A poza tym ta cała „infantylia”? Czy ta choroba nie wydaje ci się podejrzana?

— Myślacz twierdzi, a on zna się prawie na wszystkim, że jest to jedna z chorób megablokowych.

Niezbyt rozpowszechniona, jak choćby sześcianowstręt, czyli odraza do własnego miejsca zamieszkania, awersjofobia — lęk przed potencjalnymi uczuleniami, szołoaergia, czyli dostawanie wysypki na widok oglądnika trójwymiarowego...

— Obrzydliwa przypadłość — zgadza się Max — nigdy nie mogłem zrozumieć ludzi, którzy jak barany całymi dniami śledzą nędzną szołowiznę tylko dlatego, że jest emitowana. Gdybym miał rozpocząć rewolucję w megabloku, zacząłbym od zniszczenia przekaźników holowizji. O jakich jeszcze chorobach słyszałeś?

— O komputerofilii, to znaczy pociągu do robotów, jednak stary umysłowiec nie chciał mi wytłumaczyć, jakie są konkretne objawy. Co do infantylia, jest to choroba atakująca system centralny. Dawniej stanowiła schorzenie towarzyszące miażdżycy, ale od czasu kiedy zwapnienie naczyń krwionośnych przestało nękać ludzi, występuje samodzielnie jako zespół zmian wyłącznie psychicznych.

Max pokiwał głową — doskonale wiedział, że w megablokowym świecie po wyeliminowaniu chorób krążenia, raka, nie wspominając o infekcjach zakaźnych, dziewięćdziesiąt dziewięć procent śmiertelnych zejść spowodowanych było chorobami psychicznymi, prowadzącymi najczęściej do samobójstw. Środki farmakologiczne pomagały tylko odwlec postępy neurochorób, na dłuższą metę były jednak bezradne. Być może aktywne życie społeczne mogłoby stać się terapią dla tych schorzeń, niestety, określenie „społeczeństwo” w odniesieniu do mrówek zamieszkujących sześciany, zakrawało na ironiczny frazes.

Późnym wieczorem przelotnie zajrzała Ona, przynosząc wieści z przesłuchania Quarty. Liliputka zeznała, że Trzeci przybył do Robotkowa z upoważnienia GLOK-a, który proponował zawieszenie broni. Karlica nie wyglądała na zbyt rozzębioną, ale póki Trzeci nie był zdolny rozmawiać logicznie, trzeba było przyjąć jej wersję.

— Może rzeczywiście Supermózg naoliwił się świeżym olejem i nie chce wojny — rozważał Max. — Zorientował się, że w Robotkowie jesteśmy bezpieczni, a trzymając sztamę z umysłowcami, możemy stanowić dla niego poważne zagrożenie. Wyciągnął wnioski i chce przejść od fazy konfrontacji do negocjacji.

— Oby — powiedział Din, któremu bardzo chciało się spać. Maxowi jednak niespieszno było do łóżka. Zwłaszcza, że Ona na jego wzrokowe zaczepki reagowała chłodną obojętnością. Poza tym, gdy ból w głowie minął, a odpoczynek zrobił swoje, ma prawdziwy wysyp pomysłów. Nagle zaczął roztaczać przed przyjacielem wizję społeczeństwa postnumerycznego: harmonijnego, wolnego od ograniczeń, powracającego do natury.

— Jeśli parę megabloków jest niezamieszkałych, to populacja trzydziestu dziewięciu miliardów jest kłamstwem. A jeśli jest nas znacznie mniej, to czemu ludzie mają nadal gnieździć się w tych pudłach? Mówię ci, po złamaniu wszechwładzy komputera nadejdzie era dla odrodzenia aktywności małych ludzkich wspólnot. Znow zajmiemy się uprawą ziemi, rękodziełem, ludzie zaczną ze sobą rozmawiać i nikt — ani automaty, ani krzemowe monstra — nie odbierze nam już samodzielności.

Przerywa słysząc, że Din zaczął chrapać. Na palcach skrada się pod izdebkę Onej. Skrobie w

drzwi. Nikt jednak nie odpowiada. Wzrusza ramionami i skręca do siebie.

Din spał źle. A właściwie od północy w ogóle nie spał. Początkowo, w trakcie przemówienia Maxa, zmorzył go sen, ale już po dwóch godzinach zerwał się dręczony koszmarem, czując przyspieszone łomotanie serca i narastającą trwogę. Wszyscy znamy takie chwile, kiedy na pograniczu snu i jawy mamy wrażenie, że obudziliśmy się nie z normalnej drzemki, ale z ciężkiego stanu półśmierci i z trudem usiłujemy odwalić wieko zmór. Zrywamy się, by zapalić światło, ale ono nie rozbłyśka. Tłuczemy się daremnie po pokoju jak ćma, próbując wszystkich włączników. Gdzieś w oddali pali się jedna czerwona lampka, niczym w ciemni fotograficznej, a my pragniemy bezpiecznej jasności. I nic. Ruchy mamy powolne, usta jak zarośnięte. W panice cofamy się w głąb przeżytego przed chwilą snu, niczym przestępca na miejsce zbrodni. Zdajemy sobie sprawę, że śpimy, ale to nie umniejsza naszego lęku. Rośnie oczekiwanie na spotkanie z czymś nieuchronnym, coraz bliższym.

Din zdołał jakoś przedrzeć się przez mgłę półuśpienia, zawlókł się do łazienki i napił wody. W lustrze zamajaczyła mu poblądła twarz. Czyżbym zwariował? Wykluczone. Wrócił do łóżka, zgasił światło, jednak zasnąć już nie mógł. Człowiekowi z zacisznego megabloku dość trudno szło przyzwyczać się do hałaśliwych nocy w mieście robotów, wśród bud, niedbale pospajanych z przerdzewiających blach, w którym nieustannie coś jęczy, stęka, iskrzy na złączach, a naturalny wiatr wyje demonicznie w niezliczonych szczelinach i szparach. Na dodatek, co pewien czas dolatuje gwar jakiejś awantury w sąsiedztwie. Roboty, wprowadzając nie potrzebujące snu, przejęły od ludzi dobowy cykl egzystencji. W dzień działały, natomiast w nocy częściowo rozmontowywały się, ładowały akumulatory lub do rana chlały płyn antykorozyjny.

Minęła godzina pierwsza, potem druga. Im bardziej chciał zasnąć, tym bardziej stawało się to niemożliwe. Próbował liczyć oporniki, przypominać sobie incydenty z nauczalni. Tok myśli przerwały czyjeś kroki na korytarzu, z cichym zgrzytem uchylły się drzwi.

— Kto tam? — poderwał się przestraszony.

— To tylko ja — odpowiedział znajomy głos, szczupła sylwetka zbliżyła się do łóżka i po błyskawicznym wślizgu znalazła się pod kocem.

— Ona? Czemu jesteś goła?

— Nie zadawaj głupich pytań. Nie mogłam spać i pomyślałam sobie, że może ty też cierpisz na bezsenność. Czemu drżysz?

Din leżał nieruchomo jak lalka, z rękami przyciśniętymi do ciała, daremnie próbując opanować atak dygotki. Obecność nagiego ciała dziewczyny wyzwaliała w nim sprzeczne uczucia. Zwłaszcza, że to ciało wydawało się okropnie gorące. „Może jest chora”? Położyła mu głowę na piersi, rękę zanurzyła w krótkiej czuprynie.

— Nie denerwuj się, mój Lolitku, wszystkiego można się nauczyć, z miłością włącznie. Rozpręż się, uspokój, możesz mnie pocałować. O, tak.

Znów rozległ się syk automatycznych drzwi. Oboje znieruchomieli.

— Śpisz, Din? — doleciał melodyjny głos z ciemności.

— Na razie nie — mruknął, czując jak głowa Onej znika pod kocem. — O co chodzi, Mysiu?

— Chciałam z tobą porozmawiać. Dziwnie się czuję! Jest mi źle.

— Myślałem, że umysłowce, jako istoty doskonałe, nie mogą czuć się źle.

— Źle się czuję psychicznie — sprostowała Mysia — mam niedobre przeczucia. Idzie niebezpieczeństwo, jest blisko nas. Podobne niepokoje wyczuwam telepatycznie u mego ojca i reszty braci...

— Nie wiem, co uważasz za niebezpieczeństwo, przecież wysłannicy GŁOK-a znajdują się pod kluczem, a Maxa zoperowałaś osobiście.

— Myślę o tej obrzydliwej fałszywej neurobiałce. Nie ufam jej.

Koc lekko zafalował, a Din westchnął:

— Daj spokój. Co masz przeciwko Onej?

— Ma na ciebie zdecydowanie zły wpływ. To kobieta zepsuta, bez serca. A poza tym, czymże jest w porównaniu ze mną? Czy może być w jednej chwili liną, a w drugiej kulą, przyjacielem i kalkulatorem jednocześnie?

Koc znów drgnął, a Dinowi zaczęło robić się coraz bardziej głupio. Mysia zbliżyła się do łóżka.

— Pozwolisz, że położę się obok ciebie? — zaproponowała, ale ponieważ Din nie wykonał żadnego zachęcającego gestu, ciągnęła na stojąco. — Wiesz, mogłabym unieszkodliwić tę neurobiałkę jednym ruchem. Dysponuję mocą stu pięćdziesięciu koni mechanicznych, jednak potrafię też być bardzo delikatna. Mogę cię o tym przekonać... — tu urwała i szybko cofnęła się pod ścianę. — Niedobrze, mój ojciec tu idzie.

Wszedł Myślacz, zabłysło światło. Din poderwał się na nogi, koc się zsunął i ukazała się naga Ona z wyrazem rozmarzenia na twarzy.

Mysia wykonała jadowite syknięcie, ale nie zrobiła żadnego gestu. Myślacz zaś zdawał się nie zauważać tragikomicznej sytuacji.

— Niedobrowato, niedobrowato... — sapał.

— Co się stało? — spytali.

— Wzburzenie w Robotkowie.

Niepokoje w mieście automatów utrzymywały się już od paru dni. Wywołane zostały pojawieniem się ludzi, a moderowane przez garstkę umysłowców przerodziły się w otwarty bunt. Skądś wygrzebano proroctwo o nadejściu „Dnia śmierci”, która zjawi się wraz z czwórką ludzi (W samej rzeczy, od chwili przybycia Trzeciego było ich czworo). Androidy z natury nieufne wobec ludzi, zazdrosne i podejrzliwe, obecnie przestały hamować swe emocje. Nastrój zagrożenia potęgowały coraz częstsze przeloty wirolotów zwiadowczych oraz szereg znaków na niebie i ziemi poruszających wyobraźnię zabobonnych maszyn. Doszło do zagadkowych iskrzeń w sanktuarium Anody i Katody. Zmatowiał święty kryształ, z centralnego transformatora wyciekł płyn w kolorze ludzkiej krwi, a tęcza, która pojawiła się na południu nieba, była jakoby pozbawiona ultrafioletu. Od późnego popołudnia grupki automatów poczęły gromadzić się na rogach uliczek dzielnicy Zachodniej, dyskutując zaciekle. Ktoś prawił o komecie, inny o piorunie z bezchmurnego nieba, który zdruzgotał pomnik Półprzewodnika na Wzgórzu Błogosławionej Cybernetyki.

Ogólne wzburzenie potęgowali elektronowi wyjcowie, kulawe, zdefektowane automaty szepczące, że „obcy” niosą nieszczęście, demontaż i spadek napięcia w akumulatorach. Z nastaniem wieczoru tłumy jeszcze zgęstniały. Wznoszono nieprzyjazne okrzyki również wobec umysłowców, którzy po bezskutecznych apelach woleli nie wyściubiać szypuła ze swoich pieleszy. Nie wiadomo, kto pierwszy rzucił okrzyk:

— Zdemonić neurobiałków! Neurobiałki na złom!

To hasło zadziało niczym katalizator, z luźnych grupiek uformował się pochód robotów, podszytych strachem i gniewem. Milczący tłum maszerował z chrzęstem blach po mrocznych ulicach i rósł jak rzeka w czasie wiosennej odwilży. Z progów świątyni Myślacz na próżno wzywał do opamiętania. Posypały się w jego stronę kamienie, które z trudem odrzucał polem antygravitacyjnym. Tłum posuwał się stosunkowo wolno, zdążył więc go wyprzedzić i dotrzeć do domu Dina przed tłuszcą. Czasu jednak pozostało niewiele. Mysia otworzyła okno. Niebo od wschodu zaczynało szarzeć. Równocześnie złowieszczy chrzęst elektronicznej czerni był coraz bliższy.

— Walczymy? — zapytał bojowo Max. Myślacz pokręcił szypułą.

— Wytyłowujemy!

Tylnym wyjściem wydostali się na pustawy placyk, a dwójka steranych wiekiem androidów wysłanych na przeszpīgi nie stanowiła poważniejszej przeszkody, jednego za pomocą metalowego pręta obalił Max, drugiego Mysia odrzuciła na dach trzypiętrowej rudery.

Tłum musiał zmiarkować, że zdobycz mu się wymyka. Włączono indywidualne światła, a marsz zmienił się w bieg. Za późno. Uciekinierzy na materacu powietrznym utworzonym z ciał umysłowców oddalali się od miasta. Ścigały ich wściekłe okrzyki pogoni:

— Wyłapie pechowaczy! Zdemoncić! Wyofiarzyć elektrobogom!

Dopiero na przełęczu między wzgórzami zatrzymali się na odpoczynek. Tu Onej udało się dopiąć niekompletną garderobę. Na wszelki wypadek siedziała na części materaca uformowanej z Myślacza, a nie z umysłówki. Zdołali już trochę ochłonąć, kiedy Max zadał przytomne pytanie:

— A gdzie Trzeci?

— Rzeczywiście! — krzyknął Din. — Zostawiliśmy Trzeciego na pastwę tej dziczy.

— Nie strachujcie — uspokoił Myślacz — było wysłaństwo dwóch umysłowców do zabezpieczanki.

— Z pewnością wkrótce do nas dołączą — dodała Mysia. — A jak androidy się uspokoją, wrócimy.

Mimowolnie popatrzyli na kotlinę. Słońce wynurzające się zza gór wycinało z cienia nieregularną linię dachów. Kopułę świątyni, szpiczaste pylony. Nagle rześkie powietrze wypełnił przeciągły świst.

— Ziemiujcie — wrzasnął Myślacz i wraz z córką nakryli ich żywa kołdrą. Ziemia, niczym śmiertelnie raniony zwierz zadrżała, raz, drugi, trzeci...

Kiedy stanęli na nogi, próżno wypatrywali śladów miasteczka. W środku kotliny lśniła goła skala, bez śladów budowli czy choćby ruin. Wszystko znikło.

— Działnął antimateria, cyberbastardek — skomentował stary Kapłan Wielkiego Kryształu.

Rozdział XIII

Nowa faza cierpień, jakie Superkomputer zaaplikował Janowi Milionowi po skondensowanej dawce szołowizny, polegała na katowaniu prawdą. GLOK pokazał przebieg rokowań z Trzecim (wraz ze wszystkimi wątpliwościami intelektualisty), przypieczętowanych zawartą ugodą. Mikrokamera doprowadziła Trzeciego i Quartę aż do pneumii. Potem na ekranie pojawił się schemat automatycznej krasnalki, z którego wynikało, że robótka jest właściwie jedną wielką bombą antimaterii o sile sześciu kiloton, tak zwaną sixbombą. Wobec niemożliwości posłużenia się wyrzutniami najprostszym sposobem dostarczenia ładunku dezintegracyjnego do Robotkowa polegał na tym, że ładunek dotrze tam na własnych nogach.

Chronometr zaczął odliczać czas. Trzydzieści godzin! U szczytu jaja ukazał się zegar idący wstecz. Każda z upływających minut była obwieszczana złowieszczym trzaskiem. Dla skrócenia czasu oczekiwania na katastrofę poniżej zegara pojawiły się migawki z życia Dina przechowywane w superpamięci: sceny z nauczalni, z domu, przebieg jego ucieczki, aż po incydent z Maxem w megabloku nr 2.

Coraz bardziej przerażony Jan miotał się po telewizyjnym jajku, walił pięściami w jego nieczułe ściany, klął, płakał, błagał Najwyższy Obwód o wstrzymanie odliczania. W odpowiedzi, co pewien czas rozbłyskał holograficzny napis: „Litość dla buntowników gubi hegemonów”.

Jednak Dziesiąty ciągle łudził się, że jest to tylko pogrożka, kolejna psychiczna tortura i odliczanie zostanie przerwane. Tymczasem do detonacji została już tylko godzina, trzy kwadransy, pół godziny, dziesięć minut! Na monitorze ukazał się widok Robotkowa widziany z pokładu wirolotu zwiadowczego.

— Czego żadasz ode mnie, mów? — wołał Jan, zaciskając pięści aż do bólu.

— Za późno na targi! — przeciągły gwizd zasygnalizował unicestwienie miasteczka robotów. Dziesiąty zemdlął.

Kiedy wrócił ze stanu nieświadomości, czuł się jak dusza w skafandrze obcego ciała. Nie znajdował się już w jajku, leżał w opustoszałym korytarzu o zakurzonych ścianach. Wstał chwiejnie i zbliżył się do najbliższej tabliczki informacyjnej. Megablok V, poziom 345, sektor C, ulica 37 — odczytał. Do licha, gdy zemdlął, przeniesiono go do zupełnie innej aglomeracji. Poszedł dalej, minął skrzyżowanie z tunelem ekspresowej pneumii, wyglądające na nieużywane od lat. Podobne wrażenie robiła cała budowla. Zdemolowane sześciany wypełniały połamane meble i rozsypane syntetyki, spod jego nóg uciekały stada myszy i szczurów.

— Czym one się żywią, u diabła, sobą? — zastanowił się przez moment.

Światło jarzyło się słabo. Klimatyzacja nie działała, natomiast hulające przeciągi świadczyły, że istnieją jakieś wyjścia na zewnątrz. Minął parę sztolni wentylacyjnych o wilgotnych ścianach porośniętych pleśnią, skorodowane zwłoki robota bez głowy. Schody ruchome wyglądały na stężałe,

unieruchomione od zawsze, po prędkochodnikach nie pozostało nawet wspomnienie. Jak się miał przekonać, tworzywo, z których je wykonano, stanowiło ulubiony pokarm szczurów.

Na jednej z ulicznych krzyżówek czyjaś ręka wydrapała w największym pośpiechu dramatyczne: **TEJDY UCIEKAĆ!**

Jan wzdrygnął się. Od dłuższego czasu zastanawiał się, co mogło być przyczyną kataklizmu, który nawiedził ten megablok. Ze zdruzgotanego czasomierza znalezionej w jednym z mieszkań wynikało, że do dramatu doszło przed dwudziestu pięciu laty. Ale czy był to bunt, epidemia, masowy atak hysterii czy jakieś inne powody — nie potrafił dociec. Świeży powiew doprowadził go do ściany szczytowej. Przez otwór w murze wyszedł na zewnętrzny gzyms. Większość baterii słonecznych, które przed laty pokrywały ścianę, była nieczynna, bądź po prostu rozkradziona. Rozglądając się, zobaczył u podnóża megabloku równinę, aż po horyzont pokrytą odpadkami, ruinami i śmieciami. Żadnych śladów życia. A zatem obawy Neda były uzasadnione.

Bezszerowo zjawił się obok Jana dyszowózek, na podobieństwo robaczka czołgający się po pionowej ścianie.

— Dokąd chciałbyś wyruszyć, Janie Milionie? — buczał zachęcająco.

— A więc zdegradowano mnie z Dziesiątego — pomyślał z ulgą. Nie miał jednak ochoty jeździć gdziekolwiek. Spoglądał na śmietnisko kilometr pod nim. Ciekawe, jak długo musiałby tam lecieć?

— To zawsze zdążysz, to zawsze zdążysz! — zagadał jasnowidząco dyszowózek. — A na razie wsiadaj, pozwiędzamy, pogadamy!

— Wsiadę, jeśli się dowiem, co się stało z mieszkańcami megabloku.

— Smutny przypadek awaryjny. Ówierać wieku temu nastąpiło uszkodzenie głównego zasilania połączone z katastrofą systemu awaryjnego. Parę dni bez energii, powietrza i ciepła doprowadziło do smutnych konsekwencji.

— Czyli zabiliście ich? Łotry!

— Proszę nie stosować odpowiedzialności zbiorowej. Byłem za młody, aby w tym uczestniczyć. Zresztą większość mieszkańców została ewakuowana.

— Dokąd? Jeśli nie wiesz, zapytaj swego szefa!

— Jestem automatem niskofunkcyjnym, nie mogę zwracać się do centrali bez jej polecenia, to ona w razie potrzeby łączy się ze mną. A teraz już pospiesz się, polecimy do twego starego megabloku, po drodze mamy dużo ciekawych rzeczy do zobaczenia. Poznasz całą prawdę i tylko prawdę.

Dyszowózek przypominał bożą krówkę, gdy Jan znalazł się w środku, wypuścił spod wierzchnich pokryw przezroczyte skrzydełka i wystartował. Początkowo lecieli powoli, wznosząc się ku górze obok krawędzi megabloku. Przez splekane ściany widzieli zrujnowane wnętrza, potoki żłobiące sobie drogę przez dawne siedziby ludzi. Potem dyszowózek przyśpieszył, minęli dach pokryty zdziczałymi

koloniami glonów spożywczych, których dawno nikt nie kultywował. Dzień był piękny i bezchmurny. Wnet znaleźli się tak wysoko, że krzywizna Ziemi stała się doskonale widoczna. Pod nimi rozpościerała się plastyczna mapa kontynentu, kiedyś kwitnącej ojczyzny jego ojców. Widział morza, na których daremnie szukałbyś plamek wielkich tankowców, widział olbrzymie bryły megabloków wyglądających jak prostopadłościennne bańki postawione na martwych plecach planety. Nikt nie pędził po nitkach autostrad, zamarły linie kolejowe.

— Mieszkasz w ostatnim czynnym megabloku — informuje komputerek dyszowózka. — Widzisz, tam, na wschodzie... Wkrótce dotrzemy na miejsce. A może chcesz zobaczyć po drodze, co zostało z Paryża, z Rzymu?

— Nie, nie chcę. Powiedz mi lepiej, co mam robić, gdy dotrzemy na miejsce?

— Co tylko będziesz chciał.

* * *

Numer 2345242 wraz z małżonką siedzieli jak co dzień przed oglądnikiem trójwymiarowym. Byli młodą parą, niedawno skompletowaną; dlatego, oprócz oglądania, co pewien czas wymieniali między sobą uwagi:

Żona: — Pyszna szołowizna!

Mąż: — Niezła! A właśnie, jak przyjęłaś dzisiejsze promienie spożywcze?

Żona: — Były niezwykle pożywne, jak w reklamie: „zawsze ciepłe, zawsze smaczne i w trawieniu jednoznaczne”.

Mąż: Wiesz, kiedy absorbowowałaś je w kabinie, ogłoszono wyniki loterii. Wygraliśmy nagrodę dwunastego stopnia — wczasy w pneumii.

Żona: — Daj spokój. Dokąd będziemy się ruszać, tu mamy wszystko!

W rozmowę wcina się dzwonek anonsowacza, staromodnego urządzenia przy przenikliwej ścianie, pochodzącego z czasów, kiedy ludzie, z bliżej nieokreślonych powodów, składali sobie wizyty. Gospodarze nie reagują. Być może biorą gong za złudzenie. Żona przeciąga się w fotelu.

Żona: — Wiesz, dawnośmy się nie miłowali.

Mąż (wzruszając ramionami): — Skąd ci takie barbarzyństwa chodzą po głowie. Weź podwójną dawkę „rozkoszolu”.

Anonsowacz rozlega się ponownie. Niechętnie odwracają głowy.

Mąż: — Któż to może być? Przecież nikogo nie zapraszaliśmy.

Na pewno nie są to sąsiedzi, z sąsiadami porozumiewają się sporadycznie za pomocą oglądnika.

Żona: — Może przylazł jakiś robot — sześcianokrążca. Pamiętasz, dwa lata temu nachodził nas taki jeden. Proponował dla rozrywki czopki agresji i perwersji.

Mąż (ostro, po kolejnym sygnale): — Poszedł won!

Mimo to Jan wszedł i nie zważając na skonsternowane miny gospodarzy, przedstawił się grzecznie.

— Zaszedłem do państwa przypadkowo, chciałbym jedynie porozmawiać.

— Może pastyleczkę relaksującą? — zapytał 2345242.

— Nie mam zamiaru się relaksować ani otępiać — odpowiedział Milion — a państwa proszę o chwilę uwagi. Sytuacja jest zbyt poważna.

— Jaka sytuacja i dlaczego poważna? — gospodarze są zdziwieni. — Dzięki oglądnikowi jesteśmy na bieżąco i w trzydziestu ośmiu na trzydzieści dziewięć megabloków kolejny rok przyniósł znaczący postęp, wszędzie roboty oddają coś przed terminem, hobbyści podejmują zobowiązania.

— A jeśli to wszystko nieprawda?

— Jak to nieprawda? — młodzi spoglądają na intruza z politowaniem. — Nie widział pan w oglądniku najnowszego raportu o stanie świata?

— Raporty w oglądniku?! — Jan z trudem panuje nad sobą. — Nigdy nie przyszło wam do głowy, że wszystko, co oglądacie, jest nieprawdą od początku do końca? A jeśli ta rozkoszna, choć fałszywa, wizja rzeczywistości stanowi cyniczny program maszyny oszalałej na punkcie władzy, która zaprogramowała sobie wyniszczenie ludzkości? — Milion zapala się coraz bardziej, jakby nie widząc zakłopotanych spojrzeń gospodarzy. Czy nigdy nie mieliście wrażenia, że jesteście więźniami rozmyślnie przykutymi do tej celi? Więźniami otępianymi przez promienniki, ogłupianymi szołowizna?!!

— Czy pan naprawdę dobrze się czuje? — pyta gospodyni.

— Nawiew relaksu czyni cuda — podpowiada gospodarz. Niestety, Jan Milion zupełnie przestaje panować nad sobą,

choć musi zdawać sobie sprawę, że w tym momencie wiarygodność jego przemowy spada do zera. Po paru emocjonalnych wykrzyknikach, największym wysiłkiem opanowuje się. Wciąga powietrze, liczy do pięciu. Wreszcie mówi:

— Niepotrzebnie się denerwuję. Spróbujmy razem troszkę pomyśleć.

— Ale po co myśleć? — pada odpowiedź. — Od myślenia są komputery.

— „Kto za dużo kombinuje, rozstrój nerwów ryzykuje” — dorzuca kobieta.

— Krzyczy nam pan o zagrożeniach, manipulacji. Proszę się nam przyjrzeć, czy my jesteśmy przez kogokolwiek manipulowani? Szołowiznę oglądamy dla przyjemności, dowolnie wybieramy towary z katalogów, a gdybyśmy chcieli wyjechać gdziekolwiek na wycieczkę, to nikt nam nie przeszkodzi.

— To spróbujcie wyjechać!!!

— Ale po co?

— Po to, żeby przekonać się, jak jest naprawdę poza megablokiem, żeby zobaczyć, jak świat wyludnia się, zamienia w pustynię. Do diabła! Przecież oni nas wykańczają!

Małżeństwo odczuwa coraz większe zakłopotanie. Nie przestając się uśmiechać, 2345242 sięga w stronę nawiewu dobrego samopoczucia.

— Nie! — krzyczy Jan. — Dajcie mi jeszcze chwilę. Posłuchajcie, jesteście młodzi, niewiele starsi od mojego syna. Znaczy, kiedyś miałem syna, ale GLOK go zabił, ten przekłety numeryczny wampir. Wcale nie zwariowałem, jestem spokojny, zupełnie spokojny. Postarajcie się tylko mnie zrozumieć. Trzeba wyjść z sześcianu, trzeba wyrwać się na zewnątrz...

Gospodarze mają go najwyraźniej dosyć. W oglądniku trwa ulubione pasmo reklamowe, a ten wariat pozbawia ich ulubionej szołowizny. Milion podnosi głos, pada na kolana.

Wreszcie 2345242 prosi Indywidualny Odbiornik o zaprowadzenie porządku w mieszkaniu. Jan wie, że nie miną dwie minuty od zgłoszenia, a czuje w plastikowych hełmach przywrócić numeryczny spokój, więc wycofuje się. Który to już raz? Wiele godzin po opuszczeniu dyszowózka podróżuje po swoim megabloku pneumatą, zagląda do losowo wybieranych mieszkań. Spotyka tam różnych ludzi, starych i młodych, łysych i włochatych, białych i negroidalnych. Wszędzie spotyka się najpierw z niedowierzaniem, potem z politowaniem, a na koniec z wrogością.

— A więc GLOK ma wreszcie społeczeństwo, jakiego pragnął — szepce do siebie. Z minuty na minutę narasta ogromne znużenie. Czuje, jakby dźwigał na swych barkach cały megablok, a siły ma coraz mniej. Jego Indywidualny Odbiornik, który wraz z obrozą nie wiadomo kiedy znów pojawił się na jego szyi, monotonicznie, do znużenia, powtarza tylko jedno zdanie: „Czy warto tak się szarpać, dla kogo, dla kogo, dla kogo?”

Kolejny sześcian, kolejna przenikliwa ściana i kolejny niezycliwy głos z wewnątrz. Milion wchodzi. W środku widzi samotną kobietę przed oglądnikiem. Drobną, siwiejącą i jakby znajomą. Milion nie ma już siły na agitację, chciałby usiąść i odpocząć. Tymczasem kobieta odwraca głowę, w jej oku pojawia się radosny błysk.

— Wróciłeś, Janie! Nareszcie wróciłeś!! Siadaj. Zaraz będzie twój ulubiony holoturniej — kiedy obejmują się, żona na moment przytomnieje. — Wiesz, po twoim odejściu obiecywano mi męża zastępczego, ale odmówiłam. Za stara jestem. Ale przecież ja ci nie dam dojść do głosu, mów, gdzie byłeś? Tyle czasu, tyle ciekawych programów przez ten czas nadawali.

— Trochę zwiedzałem — mówi bezbarwnym tonem Jan.

Włącza nawiew antyemocjolu, przetyka pastylkę regeneracyjną. Zaraz będzie mu dobrze. Błogie ciepło wypełnia obolałe ciało i jeszcze bardziej obolałą duszę. Fotel przed oglądnikiem usłużnie obejmuje ciało właściciela, mrużąc przy tym jak domowy pies. Papucie same wślizgują się na stopy, które wcześniej obmyła latająca elektrogąbka.

Pani Janowa spogląda na męża wzrokiem uspokojonej kwoki. Wszystko wraca do normy, na pewno niedługo wróci Din na kolejną dobę familiaryzacji. Mąż wprawdzie mocno zmizerniał i wychudł — na pewno jednak wkrótce dojdzie do siebie. Pani Janowa dobrze wie, że w jej mężu od dawna egzystowało dwóch ludzi. Ten pierwszy zdecydowanie nie pasował do Ery Numerycznej, przykładem choćby ich związek wbrew zaleceniom komputera genetycznego. Przez głowę przelatuje kolorowa taśma wspomnień: romantyczna miłość dwojga ludzi wbrew ustalonym zasadom. Spotkania w zakamarkach, w których nie mogły wypatrzeć ich czuje. Wspólne spacerunki po sztucznych ogrodach w dolnej części megabloku. Pierwszy pocałunek, pierwsza noc. Małżeństwo zawarte przed obliczem starego komputera notariusza, wyraźnie lekceważącego wytyczne swego mocodawcy. Potępienie przez testatory, degradacja na parę lat. Na szczęście zawsze byli razem. Atoli z latami dochodził w Janie do głosu ten drugi, wychowany na mleku w proszku, ideologii w pastylkach i życiu według regulaminów. Uczciwy, sumienny, zdyscyplinowany — wyżywający się w dozwolonych ćwiczeniach gimnastycznych i łamiągówkach umysłowych. Teraz najwyraźniej ten homo habi — lis zwyciężył.

Po holoturnieju Milion przełącza oglądnik na tysiąc sto siedemnasty kanał z historyjkami o plastikowych zwierzętach z cyklu: „Świat, który musiał zginąć”. Wcześniej zażył pastylkę zapomnienia i już jest szczęśliwy. Żona też sięgnęła po fiołkę. Obejmują się i wpatrzeni w trójwymierny oglądnik rozplývają się w nirwanie relaksu i bezmysłu.

Rozdział XIV

Szli głównie nocami, przez kraj dziki, ponury i niedostępny. Kamieniste uroczyska, przypominające ruiny miast, dzieliły płachty zwirowatych pustyń, a rzadziej piaszczystych diun, zaś rzadka roślinność ograniczała się do krzaczastego buszu. Myślacz narzucił im forsowne tempo marszu. Dowodził, że za łańcuchem gór najprawdopodobniej zachowały się resztki Parku Narodowego, w którym łatwiej będzie o jakieś pożywienie. Ich zapasy pastylek kończyły się gwałtownie.

— A co będzie z wami? — pytał Max. Dla niego było jasne, że, mimo zaprzeczeń Myślacza, zniszczenie świątyni Anody i Katody pozbawiło umysłowców stałej dawki regeneracyjnej, którą — jak można się domyśleć — przyswajali przez codzienne modły. Bez doładowania mogli oczywiście wytrzymać bardzo długo lub zgoła się bez niego obywać — tyle że o lataniu nie można już było nawet marzyć, a proste dotychczas przeistaczanie się w postać kobiecą każdorazowo kosztowało Mysie mnóstwo wysiłku. Dlaczego więc zdecydowała się utrzymać ludzkie kształty za każdą cenę? Czy miało to związek z coraz cieplejszymi relacjami między Dinem a Oną?

— O nas się nie martwcie — odpowiadała Maxowi Mysia. — Kiedy wasza egzystencja będzie miała solidne podstawy, zbudujemy sobie świątynię regeneracyjną.

Trzeciego wieczoru nastąpił kryzys. Ona oświadczyła kategorycznie, że nie pójdzie nawet kroku dalej. Din, który z powodu obtartych nóg ledwie włókł się na końcu grupki, poparł macochę. Max dostał wysokiej gorączki i zaczął majaczyć. Umysłowce zarządziły popas. Nad ranem Din obudził się z nerwowego snu. Mimo ciepła Onej dygotał z zimna. Rozejrzał się, Myślacze znikli.

— Uciekli?

Zastanawiał się, czy budzić pozostałych. Doszedł jednak do wniosku, że nic nie poradzą na ten fakt, więc niech się lepiej wyśpią.

Tymczasem o wschodzie słońca umysłowiec powrócił, w dodatku przynosząc w fałdzie skórnej litr świeżej wody i trochę leśnych owoców.

— Park bliżej e — oświadczył.

Rzeczywiście, już po paru kilometrach krajobraz uległ zmianie. Zazieleniły się wąwozy, a sucha, spękana ziemia ustąpiła miejsca bujnej roślinności. Pojawiły się kępy liściastych zagajników, a na stokach zaszemrały kaskady potoków. Raj! Najwyraźniej dawny Park Narodowy, który przetrwał zapewne przez przeoczenie, nie tylko nie zmarniał, ale rozszerzył się na okoliczne nieużytki. Przyroda, skazana na zagładę, kontratakowała. Pod wieczór z bagnisk rozległ się rechot żab, a nad ranem urządziły koncert ptaki. Wreszcie, kiedy drogę przebiegł im żywy zając, od stu lat podobno całkowicie wytępiony, w serca uciekinierów wstąpiła otucha.

Postanowili założyć obozowisko. Zdaniem Myślacza okoliczne lasy obfitowały w dzikie owoce, w potokach roiło się od ryb. Wprawdzie początkowo żołądki ludzi z epoki numerycznej fatalnie znosiły

barbarzyńską karmę, ale od czego węgiel drzewny i przyzwyczajenie. Po paru dniach Max poczuł się znacznie lepiej, a i rany na stopach Dina goiły się ładnie. Zwłaszcza, że umysłówka opiekowała się nim jak najlepsza pielęgniarka, gosposia i matka. Krzątała się wokół postania z liści, przynosiła dojrzałe maliny i leśne poziomki, a wieczorami, gdy zasypiał, trzymała go za rękę pilnując, żeby przez sen nie stracił maty, którą dla niego utkała. Ona obserwowała te zabiegi z wściekłą miną, pocieszając się, że to za nią wodzi oczami Din. Któregoś dnia nabierała jakichś jagód, ale Mysia wyrzuciła je w krzaki, twierdząc, że są trujące. Utrzymanie ludzkiej postaci kosztowało ją mnóstwo wysiłku, dopiero nocą z uczuciem ulgi wracała do gruszkowatej postaci, trzema niby-rączkami odpędzając komary, a czwartą chłodząc rozgorączkowane czoło chłopaka. Z jej bruzdy mownej dobywała się cichutka kołysanka:

Spij, mój malutki śmieszny człowieczku,

Co będziesz moim na wieki wieczków.

A gdy się zbudzisz, dojrzyj różnice,

Co dzielą Mysię i tę pannicę.

Głupia, niewierna, ma tylko ciało,

A wierna Mysia to doskonałość.

— Musisz być mój, ty mały, śmieszny człowieczku — musisz! Żebyś ty chociaż był rozsądny! Co widzisz w tej niewiernej kobiecie? Czy jesteś ślepy, żeby nie zauważyć różnicy, nie dostrzegać mojej doskonałości, którą minio dzielące nas dystansu gotowa jestem oddać tobie?

Tymczasem któregoś poranka Din mógł wreszcie wybrać się na spacer. Zamierzał sprawdzić, czy nic nie złapało się w sidła, które Max, zgodnie z recepturami rodem ze starych filmów, próbował zmajstrować. Idąc ścieżką, zwrócił uwagę na ciemny wlot jaskini położonej tuż nad nurtem potoku, pod malowniczym nawisem skalnym. Jak każdy z jego rówieśników nigdy nie rezygnował z okazji zajrzenia do podziemnej dziury. Przeszedł przez wodę zalegającą korytarzyk wejściowy i już po chwili znalazł się wewnątrz groty. Dienne światło docierające do niej pod wodą tworzyło we wnętrzu niezwykle błękitny półmrok Urody zakątkowi dodawała wiotka postać, siedząca nad wodą i rozczesująca włosy. Ona! Czyżby czekała tu na kogoś?

— Wiedziałam, że przyjdiesz — uśmiechnęła się do młodzieńca.

— To przypadek...

— Nareszcie sami, bez świadków — podbiegła i przytuliła się do niego. ,

Spłoszony zrobił krok do tyłu i nie wiadomo, czy potknął się o coś, czy też młoda macocha

podstawiła mu nogę, dość, że przewrócili się oboje na miękkie i drobny piasek. Mógł się podnieść, ale nie zrobił tego. Usta Onej krążyły po jego ciele wilgotne i zachłanne, aż wreszcie dopadły jego ust. Cały niepokój prysnął, po męsku zamknął swe dłonie na szczupłych plecach dziewczyny, przewrócił ją na piasek i nakrył sobą.

— Kochaj mnie — szepnęła.

Niestety, w korytarzyku rozległ się chłupot. Ona westchnęła, a Din zerwał się, poprawiając ubranie. Do jaskini weszła umysłówka.

— Bardzo dobrze, że cię znalazłam, Din — rzekła głosem nie zdradzającym żadnych emocji. — Właśnie powrócił Max i musi się natychmiast z tobą zobaczyć. Czeka u wylotu doliny.

— A nie mógł przyjść tu sam? — pyta Ona.

— Ma jakiś duży bagaż i prosi o pomoc. No, pośpiesz się, mały!

Din wyszedł. Było mu trochę głupio, ale nie mógł odmówić pomocy przyjacielowi, a co do Onej, to miał nadzieję, że przy kolejnym spotkaniu nikt im nie przeszkodzi.

— Wracaj prędko, czekam na ciebie — woła piękna macocha. Powoli rusza śladem chłopaka, ale Mysia zastępuje jej drogę. Zdażyła spurpurowieć i fosforyzując nie przypominała już żadnej istoty człękkształtnej.

— O co chodzi? Chcesz mnie przestraszyć? — Ona usiłuje ją wyminąć.

— Nie. Chcę tylko z tobą porozmawiać.

— Proszę bardzo, a o czym?

— Wybierz sobie z głowy tego chłopaka — umysłówka cedzi słowa niczym durszlak. — On jest mój! Tylko mój...

— Ależ gruszeńko, jeśli już używamy form dzierżawczych, to zwracam ci uwagę, że to jest mój pasierb!

— Jokasta! — prycha Mysia, popisując się znajomością mitologii. — Miałaś za mało mężów?

— Wolę być Jokastą niż amebą!

— Szczerze ci radzę, nie wchodź mi w drogę!

— I nawzajem. Ciekawe, że przy swej inteligencji nie czujesz, jaki wstręt mój Din odczuwa do twego cielska. Ty kosmiczna pasztetowo!

Myślaczkę ogarnęła furia, nie panuje już nad sobą. Wytoczyła się z groty, słysząc wzmocniony echem szyderczy śmiech rysiki. Wzrok Mysi padł na skały wiszące nad wejściem do jaskini. W

mgnieniu oka elastyczne ciało zmienia się w monstrualną koparkę. Wściekłość dodaje jej siłę, wyrывa jeden z wielkich głazów. Huk wypełnia kotlinę, piarg rusza. Jeszcze moment, a tony kamieni, głazów i ziemi zavalają wejście do jaskini. Mysi ledwo udało się odskoczyć. Echo tłucze się w kotlinie, powodując osuwanie następnych kamienistych lawin w żlebach. Myślaczka przytomnieje. Ogarniają strach. „Co ja zrobiłam”? — szepce.

Kiedy pojawił się Din z Maxem, stała nieruchomo, wpatrując się w grobowiec Onej. Usiłowała prześwietlić górę, odnaleźć najmniejszy choćby ślad życia. Daremnie.

— Na wszystkie cyfry świata! Gdzie jest Ona?! — woła Din.

Umysłówka milcząco wskazuje rumowisko. Chłopak dopada do skał, próbuje rozgarniać ziemię, szarpie wystające głazy, rani sobie palce, a po paru minutach widząc, że trud jest daremny, wybucha płaczem.

— Ostrzegałam ją, że przebywanie w jaskini jest niebezpieczne, że zbliża się wstrząs sejsmiczny, ale Ona uparła się, że będzie w środku czekać na twój powrót.

Max nie komentuje wydarzenia. Bezczelnie przypatruje się Myślaczce, aż w jej wnętrzu narasta lęk i przeświadczenie: „On wie!”

* * *

Minęło parę tygodni, a skrawek głuszy, w którym osiedli nasi bohaterowie, zmienił się nie do poznania. Nad brzegiem jeziora wzniesiono niewielki szałas, obok niego podjęto budowę małej elektrowni. Din z trudem dochodził do siebie po stracie Onej i niechętnie uczestniczył w pracach zespołu. O świcie obchodził wnyki, sprawdzał wędkę, składał kwiaty u stóp usypiska, a potem długo, bardzo długo wpatrywał się w wodę. Nie podejrzewał Mysi, ale też nie przerzucił na nią uczucia, którym darzył Oną. Czuł ogromną samotność — strata rodziców i pierwszej miłości to stanowczo zbyt wielka dawka goryczy.

Za to Max zaadaptował się świetnie w nowych warunkach. Zawsze potrafił złapać najgrubszą rybę, ustrzelić z łuku największego królika. Niewyczerpany w pomysłach, próbował wyrwać Dina z apatii. Jak dotąd bezskutecznie. Nie zrażało go to, podobnie jak obojętność Mysi, nazywanej w myślach „babką z piasku”, co było określeniem dość adekwatnym, jako że głównym składnikiem ciała Myślaczy był krzem. Mimo braku zachęty z jej strony uwodził umysłówkę z niebywałą konsekwencją. Rozśmieszał kawałami, rozczulał drobnymi prezentami, jednak rozkochać w sobie nie potrafił. Myślaczka nie widziała świata poza Dinem.

— Co taka wspaniała dziewczyna, u której nawet biust jest substancją inteligentną, widzi w tym ponurym mięczaku?

Max oczywiście lubił Dina, ale specjalnie go nie považał. Potrzebował kolegi nie jako równorzędnego partnera, ale raczej jako dopełnienia i tła. Sympatia w dużym stopniu zabarwiona była pobłażliwością.

Prace nad konstrukcją elektrowni nie uszły uwagi robotów drapieżnych. Wieść, że budowana jest siłownia, rozeszła się bardzo szybko w świecie elektroszmelcu. Co rano, kiedy nasi bohaterowie wyglądali z szałasów, widzieli stada czworonożnych automatów, które z pewnej odległości przyglądały się im ponuro i niemo, natomiast nocami słycać było upiorne odgłosy walk androidów o resztki akumulatorów i aż do rana ponad wodą niosły się odgłosy ich kanibalskich uczt.

— Obawiam się, że w dniu uruchomienia elektrowni będziemy mieli sporo gości — stwierdziła Mysia.

— A gdyby tak dogadać się z nimi? — zaproponował Max. — Kiedy elektrownia ruszy, moglibyśmy w zamian za ich usługi doładowywać im baterie.

Atoli wszelkie próby nawiązania kontaktu z androidami nie dawały rezultatu. Nieufni i dzicy, na widok ludzi cofali się w oczerety. A przybywało ich z każdym dniem. Obaj chłopcy z coraz większą obawą wychodzili na obchód zagajnika. Na razie jednak bestie schodziły im z drogi. Nawet ich prymitywne elektromózgi czuły, że do ukończenia prądnic należy dać spokój kolonistom. Być może w zawarciu porozumienia mógłby pomóc Myślacz, ale od momentu gdy przed tygodniem wyruszył na kolejny zwiad, nie było od niego żadnych wiadomości. Po dwóch dniach urwała się łączność telepatyczna z Mysią. (Możliwy zasięg kontaktu przy stanie ich organizmów ograniczał się do stu kilometrów). Umysłówka uważała, że należy spokojnie czekać. Choć nie dawała tego po sobie poznać, wspomnienie Onej nadal wywoływało u niej ostre bóle szypuły centralnej. Czy były to wyrzuty sumienia, czy tey obawa, że kiedyy sprawa wyjdzie na jaw? (Myślacz natychmiast domyślił się prawdy). W każdym razie, trzymając na dystans Mała, nie zaniechała delikatnych umizgów do Dina. Wybrała wariant macierzyński — zachowywała się troskliwie, opiekuńczo, rychło jednak zauważyła, że i ta forma kurateli ciąży młodzieńcowi. Wtedy udała obrażoną i próbowała wzbudzić zazdrość, udając, że toleruje zaloty Maxa. Niestety, zamyślony Din nawet nie raczył tego zauważyć, więc pozostał jej atak frontalny. Któregoś dnia, korzystając z nieobecności Maxa pracującego przy tamie, przybrała najbardziej kuszącą wersję swej powierzchowności i podeszła młodzieńca, który w zamyśleniu puszczał kaczki na lustrzanej tafli jeziora, ignorując stadko androidów przyczajone po przeciwległej stronie wody.

— Popatrz na mnie i powiedz, czy ci się podobam? — zagadnęła.

— Jesteś bardzo ładna — powiedział, omiatając ją krótkim spojrzeniem.

— Jak bardzo? — dopytywała się dalej.

— Maksymalnie.

— Dziękuję. Bo widzisz, bardzo przeżywam twoje chandry. Mogłabym ci pomóc. Świat naprawdę może być bardzo fajny, gdy popatrzymy na niego razem.

— Przecież patrzymy na niego razem — odparł, wzruszając ramionami.

— Nie wykręcaj się, Din, doskonale wiesz, co mam na myśli. Chcę być razem z tobą jako twoja żona lub chociaż kochanka.

— To niemożliwe.

— Dlaczego niemożliwe? Kocham cię, chłopcze! I wierz mi, my Myślaczki, potrafimy kochać bez reszty.

— Wierzę ci na słowo.

— To spróbujmy! Zaręczam ci, będzie nam bardzo dobrze. Wykorzystując jego milczenie, podbiegła do Dina, objęła i poczęła zasypywać pocałunkami.

— Spójrz na mnie, prosto w oczy — szeptała. — Weź mnie!

— Nie mogę! — jęknął, unikając jej ust.

— Czemu?!

— Ponieważ bez przerwy przed oczami stoi mi Ona!

— Ach tak! Można jednak temu zaradzić! — transformacja trwała kilka sekund, namiętna brunetka o pełnych kształtach przeistoczyła się w szczupłą blondynkę. Oczy powiększyły się, zmienił kształt nosa, ust, a długa szyja przypominała teraz do złudzenia Wenus z obrazu Botticellego. Din pobladał jak samotny biały żagiel. Trzymał w ramionach Onę!

— Kochaj mnie, mój Lolitku!

— Nie! — gwałtownie odepchnął Mysie i skoczył prosto w chłodną toń jeziora. Przez dziesięć minut płynął jak wściekły, rozbijając wodę zamaszystymi ciosami rąk i nóg. Opamiętał się dopiero po drugiej stronie, na płyciźnie. Usiłował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Wreszcie, zataczając się, wyszedł z wody i padł na piasek. Roboty drapieżne nie zainteresowane białkiem w tej postaci wycofały się w zarośla. Mysia milcząco przypatrywała się pływackim wyczynom młodzieńca. Parokrotnie miała ochotę wskoczyć, pomóc mu, ale powściągnęła ten zamiar. Po raz pierwszy do jej komórek myślowych zakradło się zwątpienie. A może rzeczywiście Din jest nie do zdobycia? Odwróciła się i ruszyła w stronę sztucznej kaskady. Krzątał się tam rozebrany do pasa Max. Letnie słońce zaczerwieniło jego muskularny bark.

— No i jak tam, moja piękna, skąd ta ponura minka? — nie odpowiadała, ale nie przejął się tym. — Nawet zagniewana wyglądasz czarująco, naprawdę ślicznie — ujął ją pod brodę i spojrzał w ciemne oczy. — Nie trzeba się dąsać, nawet kiedy Din nie docenia twojej urody.

— Nic mnie nie obchodzi ten szczeniak! — odparła gniewnie.

— Tym lepiej — nadal patrząc bezczelnie w jej oczy, niespodziewanie zbliżył swe wargi do jej

ust i pocałował. Nie cofnęła się, oddała pocałunek.

— Może usiądziemy? Trawa jest tu taka jedwabista — Mysia zachowywała się biernie, pozwoliła mu głaskać swe włosy, obnażyć piersi, jednak kiedy podniecony próbował rozewrzeć jej nogi, zaprotestowała:

— Nie, Max, przestań!

Biorąc protest za kokieterię, spróbował odważniejszej pieszczoty. Mysia odepchnęła go.

— Powiedziałam, nie!

— A więc nie jestem dla ciebie zbyt dobry? — wybuchnął.

— Jestem gorszy od tego niedojdy, który nawet patrzeć na ciebie nie lubi? Który brzydzi się twojej prawdziwej powłoki?

— Kłamiesz, Din bardzo mnie lubi.

— Ciekawe, czy dalej by cię lubił, gdyby się dowiedział, kto pogrzebał jego prześliczną macochę pod kamienną lawiną?

Umysłówka zadrżała.

— Chyba mu tego nie powiesz!

— Może powiem!

W mgnieniu oka z seksownej dziewczyny Mysia zmieniła się w naładowane energią kłębowisko macek, które runęło na Maxa jak węże na Laokoona. Jedne zamknęły się na nim niczym kielich owadożernej rośliny, inne zacisnęły się na gardle, któraś

— oślizgła jak padalec — wpełzła do ust. Koniec ze mną — pomyślał, jednak po ułamku sekundy ucisk zelżał, tak jakby w ostatniej chwili Myślaczka się zawahała.

— Na co czekasz, zabij, druga zbrodnia przychodzi łatwiej — stęknął.

Macki zsunęły się na ziemię. Znowu były tylko delikatnym ciałem latynoskiej piękności.

— Rób, co chcesz — powiedziała zmęczonym głosem — tylko żeby Din się nie dowiedział.

* * *

Gwałtowny wybuch emocji, ostudzony wodą, dobrze zrobił Dinowi. Zmęczony, ale zrelaksowany, wracał do szałasu skrajem jeziora. Mijał właśnie kępę krzaków, gdy naraz doleciał go brzęk blach i skrzypienie nie naoliwionych przegubów. Android! Wokół ścieżki falowały zarośla. Jakaś spora bestia zmierzała w jego kierunku. Czyżby zmieniała upodobania gastronomiczne?

— Hej, neurobiałku, neurobiałku! — zacharczał metaliczny głos.

Rzucił się do ucieczki, nie zwracając uwagi na gałęzie, które smagały go po twarzy. Dwunożny robot wprawdzie nie przyśpieszył kroku, jednak zdecydowanie szedł jego tropem. Chłopak dopadł szałas i zaczął nawoływać. Upłynęło dobrych parę chwil, zanim od strony kaskady pojawili się Max i Mysia. Max półnagi i mocno spocony miał głupi wyraz twarzy, natomiast Mysia w tradycyjnej gruszkowatej postaci emanowała dziwnym zadowoleniem.

— Co się dzieje? — zapytała.

— Roboty, atakują nas roboty!

Popatrzyli w kierunku jeziora. Rzeczywiście, ścieżką zmierzał w ich stronę rosły android. Był sam. W lewej macce trzymał kawałek białego tworzywa, którym na widok ludzi zaczął intensywnie wymachiwać.

— Ciekawa sprawa, robot parlamentariusz! — mruknął półgłosem Max.

Rozdział XV

Przerazający łoskot umilkł, a gdy opadł kurz, Ona ze zdumieniem skonstatowała, że żyje i nie przeniosła się ani do plus nieskończoności — jak w wierzeniach androidów nazywano świat pozagrobowy przeznaczony dla dobrych — ani do minus nieskończoności, gdzie potępionych czekała rdza i zgrzytanie oporników. Skały, które zasypały wejście do jaskini, nie zadrasnęły jej cudownego ciała. Mogła wstać i otrzepawszy się z pyłu, po omacku szukać wyjścia. Po chwili udało się jej wymacać jakiś otwór, który pojawił się wraz z osunięciem gruntu. Przejście było ciasne, wilgotne i w dodatku musiała posuwać się na czworakach, ale co jej pozostało? Już po paru minutach jej oczom ukazała się słaba poświata, niestety, po następnych kilkunastu krokach ukazało się źródło światła — masywny robot drapieżny, który fosforyzując wpatrywał się w nadciągającą zdobycz.

Chciała się cofnąć, ale sparaliżował ją strach. Dwunożny android zbliżył się do niej, oświetlił dokładnie, a widząc przerażenie w jej oczach, warknął przyjaźnie:

— Spokojnawo, neurobiałko, nie spożywię cię. Idnij za mną. Zachowywał się jak tygrys o manierach domowego kota i jakiegokolwiek miał wobec niej zamiary, w labiryncie skalnych korytarzy trudno było o lepszego przewodnika. Bez niego, na dodatek w kompletnej ciemności. Ona nigdy nie odnalazłaby drogi. Tunel idący stromo pod górę skończył się krótkim szybem, który wyprowadził ich na skalne siodło, położone, sądząc po chłodnym wietrze, wysoko ponad poziomem doliny.

— Dziękuję za pomoc — powiedziała, zamierzając szybko wrócić do obozu i policzyć się z Mysią. Android chrząknął dość kategorycznie.

— Domostujesz tutaj, stałośnie.

— Czyja się nie przesłyszałam, mam tu zostać na stałe? Niby dlaczego?

W oczach robota pojawiły się dziwne błyski, widywane wielokrotnie w oczach adorujących ją mężczyzn.

— Ty też masz na mnie ochotę?

Android zawstydził się, z obudowy znikły niezdrowe emanacje. Wskazał dziewczynie gniazdo utkane ze starych kabli, w którym kwiliła trójka małych jeszcze, nie w pełni skompletowanych robociąt. Automat wyjaśnił, że jest wdowcem, ma trójkę dzieci i od dawna potrzebował kogoś do prowadzenia gospodarstwa, zwłaszcza że walka o byt zmusza go do ciągłych wypraw w poszukiwaniu energii.

— Mam więc zostać twoją baby sitter? — spytała dziewczyna. — Tylko?

— Uhu!

Rozkrzyczany elektrodrobiazg otoczył ją, hałasując co niemiara i strzelając po łydkach słabymi

wyładowaniami energetycznymi.

— A co się stało z pańską małżonką? — spytała z grzeczności. Android westchnął.

— Tegoroczno miałem trudną przednówkowość. Nie energetycznie. Małość akumulatorstwa. Musielim zdemontować mamuszkę, na części... Samojedna proponowała.

Rzeczywiście, tak u gospodarza, jak u jego dzieci widać było dużo części pochodzących najwyraźniej z jednego rozmontowanego automatu.

* * *

Robot parlamentariusz zatrzymał się kilkanaście metrów przed szafasem. Ukłonił się trójce zaskoczonych gospodarzy i jął przemawiać wolno a dostojnie, językiem w miarę poprawnym i bardzo ludzkim.

— Czcigodni umysłowcy i wy, ludzie. Przybywam do was z misją dobrej woli, w imieniu swoim własnym, a także licznej braci robociej, która wygnana z numerycznego raju skazana jest na szwendanie się po bezdrożach i manowcach. Na samopożeranie i inne haniebne praktyki. Chcemy z tym skończyć...

— Aha — pomyślał Max — kolejni klienci do naszej elektrowni.

— Chcemy skończyć z taką egzystencją i dlatego proponujemy wam współpracę. Dowiedzieliśmy się, że planowaliście wyzwolić mieszkańców ostatniego czynnego megabloku. Popieramy wasze zamiary. I jeśli zechcecie, to pomożemy wam zniszczyć Globalny Komputer i uwolnić ludzi, a wy w zamian dacie nam wolną rękę w podziale łupów...

— Wspania... — zaczął Din, ale Mysia go pohamowała i zadała pytanie:

— Jakie mamy gwarancje, że współpraca będzie rzeczywiście uczciwa?

— Nawzajem dysponujemy gwarancjami. Wy znacie szczelinę i słabe punkty GLOK-a, a my dysponujemy siłą zdolną do ataku.

— Piękna propozycja — stwierdził Max. — Zaskakuje mnie tylko, skąd macie do nas takie zaufanie.

— Nie musimy mieć zaufania, mamy zakładnika! Jeśli wyrazicie chęć, jutro wraz ze starszą robotnią spotkamy się na naradzie wojennej — to mówiąc, skłonił się i odszedł, pozostawiając ludzi i umysłówkę w sporym zakłopotaniu.

— Kto mógł być owym zakładnikiem, czyżby tatko wpadł? — zastanawiała się Mysia. — Ale

dłaczego nie otrzymałam telepatycznego przekazu?

Din również pomyślał o ojcu, tyle że o swoim. Jednemu Maxowi przysłała do głowy zupełnie inna ewentualność.

* * *

W tym samym czasie stary Myślacz dotarł do kresu swej wędrówki. Był bliski załamania, bo przemierzywszy ponad połowę kontynentu, nie natrafił na żadne skupiska umysłowców ani na drugi zamieszkały megablok. Odnalazł wprawdzie jeszcze trzy olbrzymie blokomiasta, niestety, opuszczone dość dawno i mocno zniszczone. Pomimo wnikliwych badań nie udało mu się ustalić losów mieszkańców. Nie natrafił na zbiorowiska świeżych mogił. Żadnych wniosków nie dostarczyła wędrówka po cmentarzach, a megablokowe krematoria wygaszono dokładnie wraz z exodusem ludzkości. Czyżby więc ludzie rozplłynęli się w powietrzu? Próbował zasięgać języka w napotkanych hordach zdezelowanych robotów, te jednak, płochliwe i głupie, nie potrafiły udzielić żadnych pewnych informacji. Ci, którzy zostali wyrzuceni z megabloków wcześniej, utrzymywali, że nic nie mąciło panującej tam sielanki; ci natomiast, którzy musieli być świadkami dramatycznych wydarzeń (a kto wie, czy nawet nie realizatorami), mieli skrupulatnie wykasowane bazy pamięci dotyczące tamtych dni.

Na przykład w zasobach pamięciowych androida remontowego z megabloku nr 11 zapis dzienny urywał się 11 marca 113 roku Ery Numerycznej rutynowym zapisem prac w dziale konserwacji klimatyzacji, a wznowiony został 17 marca tegoż roku równie standardowymi czynnościami. W tydzień potem zresztą robot, jako niepotrzebny, otrzymał wymówienie. Co jednak zdarzyło się w ciągu tych sześciu dni luki? Z ówczesnej kontroli zużycia części zamiennych robota wynikało, że wykonana praca musiała być forsowna. Nic więcej. Dokładne badania opuszczonych gigantopolis wskazywały, że wszyscy mieszkańcy zwożeni byli pneumatami lokalnymi do wielkich podziemnych pneumatów międzykontynentalnych, które co kilkanaście minut odwoziły ich w nieznanym kierunku. Korytarze tych pneumatów zostały następnie zatopione, może zresztą wskutek awarii zalane zostały wodami podskórnymi? Wyludnione megabloki funkcjonowały dalej, jedynie zasilanie energetyczne zmniejszono do dziesięciu procent. Pozostało oświetlenie, działała klimatyzacja, tyle że po zwolnieniu robotów cała machina ulegała szybkiemu rozstrojeniu i zniszczeniu. W dodatku wszędzie widać było ślady rabusiów. Najwyraźniej zdziżalały androidy wracały do mieszkaniowych gigantów w poszukiwaniu energii i części zastępczych. Dochodziło do walk z czujkami, którzy pozostali na stanowiskach. Taka rabunkowa gospodarka pozwoliła drapieżcom przetrwać wiele lat. Co ciekawe — zdziżalały androidy chętnie wracały do megabloków uzupełniać zapasy, żaden z nich nie miał ochoty mieszkać w betonowych pudłach. Wolały otwarte przestrzenie mimo niewygód i narażenia na korozję. W ogóle bardzo niechętnie mówiły o megablokach:

— Tam niedobrowato. Pechliwość. Końcowatość! Być może z jakiegoś powodu odczuwały wyrzuty sumienia? Nie tylko ludzi brakowało w tej części kontynentu. Również GŁOK i jego podopieczni dawno wycofali się z tego terenu, nie było aktywnych czujników, nieba nie przecinały

zwiadownicze wiroloty. I tak Myślacz dotarł aż nad brzeg oceanu, zmitrężył masę czasu, ale nie wypadało mu wracać z niczym. Nie natrafił na zamieszkałe ośrodki, na innych umysłowców, na kryjówkę GLOK-a.

I kiedy zamierzał zawrócić, dojrzał dym, siwą smugę unoszącą się wśród pagórków. Dym? Androidy bały się ognia jak wody!

Osadę tworzyło kilkanaście ni to baraków, ni to chałup, skleconych z wraków samochodowych, starych beczkowsów, kawałków blachy i płyt plastikowych. Zabudowania przedstawiały się jeszcze nędzniej niż budynki w Robotkowie. Między ruderami kręciła się grupka nagich ludzi, odzianych ledwie w przepaski z liści. Mężczyźni byli brodaci, włochaci i brudni, z pazurami godnymi krogulców. Kobiety tłuste i cysate, dzieci paskudne.

Na widok Myślacza tubylcy zbili się w kupę, poczęli wydawać gardłowe okrzyki i bić w blachy. Mężczyźni otoczyli samice z przychówkiem, wymachując prymitywną bronią, na którą składały się maczugi, tłuki lub prymitywne berdysze. Szokować mogło, iż ów barbarzyński oręż został sporządzony z elementów pochodzących z urządzeń wykonywanych ongiś z mikronową dokładnością i służących celom, o których obecni użytkownicy nie mieli zielonego pojęcia.

Szybkość kulturalnej degrengolady zdumiała Myślacza. Jeśli tubylcy pochodzili z megabloku jedenastego, proces ich dziczenia nie mógł trwać dłużej niż dwadzieścia lat, a cofnęli się do paleolitu. Chociaż, biorąc pod uwagę stan intelektualny odbiorców szołowizny, nie powinien się aż tak dziwić.

Na wszelki wypadek umysłowiec przepoczwarzył się w starszego siwego pana o aparycji Świętego Mikołaja, która winna wzbudzić zaufanie. Atoli okrzyki neojaskiniowców: „Charakternik, charakternik” nie świadczyły o tym. Dobrze chociaż, że mówili uniwersalnym językiem. Nie zbliżając się zbyt, począł przemawiać łagodnie, przedstawiając się jako przyjaciel. Odpowiedziały mu niechętnie pomruki, ale nie wrzaski.

Przez dwie godziny trwała owa wymiana zdań na dystans. Dzikusy wykazywały wielką ostrożność, Myślacz musiał potwierdzić swe intencje i opowiedzieć życiorys, ale każda próba podejścia bliżej wzbudzała ogłuszające protesty. Przełom nastąpił nieoczekiwanie. Naraz tłum rozstał się, wyszedł z niego postawny mężczyzna o szpakowatej grzywie; niosący w ręku jakąś płytkę; zbliżył się do umysłowca i cisnął mu pod nogi otrzymany rekwizyt. Była to plakietka z symbolami GLOK-a, kiedyś oznaczająca jego terenowe podcentrale.

— Podepcz to świństwo! — rzekł z naciskiem Szpakowaty. Umysłowiec spełnił polecenie z gorliwością siedemnastowiecznego Holendra depczącego krzyż w porcie Nagasaki. Tłumek nagle stracił swój bojowy zapał, rozsypał się, a dzikusy śmiało podążyły w stronę Myślacza. Wszyscy powtarzali, żywo gestykułując: „Nasz sojusznik, nasz sojusznik”.

— Oto ludzie — pomyślał z ironią umysłowiec — można ich kupić jednym głupim gestem świadczącym, że nie jest się zwolennikiem Globalnego Komputera.

Potem otoczyła go czereda dzieci, a parę całkiem młodych kobiet obrzuciło go powłóczystymi

spojrzeniami, w pół godziny zapłonęło ognisko, w kociołkach zaczęto prażyć pędraki i szarańczę, sądząc po cmokaniu, szczególnie przysmak nowych troglodytów. Gość szczerze cieszył się, że jego struktura pozwala mu wymówić się od czynnego uczestnictwa w biesiadzie. Za to z wielkim zainteresowaniem wysłuchał opowieści Szpakowatego, noszącego imię Louis. Szczególnie zainteresowały go fragmenty dotyczące zagłady megabloku 11.

Opowieść Szpakowatego

Była godzina jedenasta w nocy 11 marca 113 roku EN. Nadawano normalny wieczorny program oglądalnicowy, może bardziej umiarkowany niż zwykle. Ja, 326789 — bo tak wysoki numer wówczas nosiłem mimo zaledwie 25 lat, szykowałem się do spoczynku, a moja żona brała tusz z promieni seksualnych, niezwykle wzmacniający doznania erotyczne, kiedy z ekranu, a także z Indywidualnego Odbiornika padły słowa: „Uwaga, mieszkańcy poziomu 300000. W związku z możliwą awarią urządzeń klimatyzacyjnych zarządza się ewakuację wybranych sześcianów. Proszę zachować spokój, jest dużo czasu do wyjścia, prosimy zabrać tylko niezbędne rzeczy osobiste i pastylki na jedną dobę. Za chwilę podjedzie po was pneumia, prosimy o zachowanie spokoju. Powtarzamy...

Nie zdenerwowałem się szczególnie, od pewnego czasu przeprowadzano podobne alarmy regularnie, tłumacząc je ćwiczeniami przeciwpożarowymi (choć w megabloku nie było podobno żadnych elementów palnych). Wówczas jednak ograniczono się do wejścia do pneumii i już po chwili nakazywano powrót do sześcianów, chwalać obywateli za wzorową postawę. Myślałem, że teraz będzie podobnie. Nie wiem, co mnie tknęło, ale spróbowałem połączyć się z kuzynem mieszkającym na innym poziomie. Usłyszałem, że połączenie jest uszkodzone. Spróbowałem skontaktować się ze swoim szefem, czterocyfrowcem. *Kierunek zajęty, kierunek zajęty* — odpowiadał bezosobowy głos.

Kiedy nadjechała pneumia, zaskoczył mnie tłok w pojeździe. Dotychczas podróżowaliśmy przeważnie w pojedynkę. Szóstka pasażerów musiała jeszcze się ścieśnić, aby zrobić miejsce dla mnie i mojej Evy. Pojazd szybko ruszył w dół, wewnątrz panowała kłopotliwa cisza. Spoglądaliśmy na siebie spod oka. Wyczuwało się niejasne napięcie, z nadzieją czekaliśmy na koniec podróży. Jakiś berbec wtulony w kącik pneumii pociągał nosem.

Komorę dworcową gigapneumii wypełniał gęsty tłum. Niektórzy ludzie robili wrażenie wyrwanych ze snu, inni mocno zdziwionych. Nikt nie był jeszcze przestraszony, całe życie spędzone w megabloku rozleniwiło nas. Uważaliśmy, że komputery wiedzą, co robią, że działają dla naszego dobra.

Kolejni ludzie napływający lokalnymi pneumiami przechodzili korytarzami z przezroczystego tworzywa i przy wejściu do hali głównej łączyli się w jeden wielki potok. Tam oczekiwał już szpaler robotów, te z prawej przyglądały się idącym, te z lewej wyciągały macki ku naszym szyjom. Mimo że ich nie dotykały, obroże z Indywidualnymi Odbiornikami otwierały się i jak węże same ześlizgiwały się do otworu w posadzce.

— Po co zabierają środki łączności? — zapytała półgłosem Eva.

— Normalna kontrola techniczna, normalna kontrola — wyrecytował robot o zimnym spojrzeniu.

W poczekalni mimo sporego tłoku panował spokój, a nawet porządek. Co parę minut zajeżdżała kolejna gigapneumia i oczekujący setkami ładowali się do wnętrza. Uspokajający głos radził zajmować również miejsca stojące. Apelował o spokój, wzajemną życzliwość i tłumaczył, że niedogodności są naprawdę przejściowe. Odnosiłem wrażenie, że większość pasażerów znajduje się pod wpływem jakichś środków uspokajających, zachowywali się wyjątkowo potulnie i apatycznie. Porównanie „jak barany idące na rzeź” na razie nie przyszło mi do głowy. Razem z Evą należeliśmy do nielicznych nie otępiejących.

— Promienność sexiwa — domyślił się Myślacz.

Jak przypuszczam, pobudzacz zneutralizował działanie uspokajacza. Powód odebrania obroży był trudniejszy do wyjaśnienia — choć w rzeczywistości okazał się bardzo prozaiczny. Na elastycznych paskach można się było z łatwością powiesić.

Obserwowałem odjazdy kolejnych grup. Sądząc po twarzach i ubiorach, znaleźli się tu ludzie z wielu poziomów i o różnorodnym statusie numerycznym. Zdumiony powszechną biernością zauważyłem w pewnym momencie płomiennorudego dryblasa, z wiotką dziewczyną przyklepioną do jego ramienia. Rudzielec nie uległ apatii. Przeciwnie, wiercił się zaniepokojony, usiłował zagadywać ludzi. Nasze spojrzenia spotkały się, młodzieniec, rozgarniając tłum, powiosłował w naszym kierunku.

— Rozumie pan coś z tego? — zapytał mnie, nie bawiąc się władne przedstawianiem. Wzruszyłem ramionami. — Nie podoba mi się ta zabawa — ciągnął dalej — dlaczego im tak spieszo? I skąd ta niekonsekwencja?

— Jaka?

— Twierdzą, że doszło do drobnej awarii, a sądząc po rozmiarach ewakuacji, zagrożenie obejmuje cały megablok.

Nadjechała kolejna gigapneumia. Razem z Rudzielcem ruszyłem ku wejściu, kiedy powstrzymał nas szept: *Poczekajcie!*

Zatrzymaliśmy się, przepuszczając parę osób. Mówiącym okazał się malutki człowieczek, prawie karzeł o azjatyckich rysach i kształtach spasionego Buddy. W tym momencie zauważyłem, jak Eva znika we wnętrzu pneumii. Chciałem skoczyć za nią, ale tłusciuch mnie powstrzymał.

— Zatrzymajcie się, jeśli moje obawy się nie potwierdzą, za chwilę spotka się pan z żoną, a jeśli potwierdzą...

— Jakie obawy? — spytał rudy.

— Nazywam się 898 — powiedział niski Budda. — Obawiam się, że kroi się tu coś wyjątkowo

paskudnego.

Gdyby mówił to ktoś o innym numerze, zapewne wyśmiano by jego obawy. Autorytet trzycyfrowca przeważał.

— Co w związku z tym pan proponuje? — zapytałem.

— Spieprzać stąd! — syknął dosadnie Azjata.

— Ale awaria?

— Nie wierzę w żadną awarię.

Z tunelu dobiegł znajomy dźwięk. Nadjeżdżała kolejna pnieumia. Towarowa, ale zaadaptowana do przewozu ludzi. Rudzielec szarpnął swą pannicę i począł przedzierać się pod prąd, trzycyfrowiec ruszył w ślad za nimi i pociągnął mnie za sobą. Przepychanie się przez ludzką masę kosztowało nas dużo wysiłku. Wreszcie zziajani wylądowaliśmy pod ścianą poczekalni. Prawie natychmiast wyrósł obok nas jakiś starszy rangą czuj.

— Jakies kłopoty?

— Źle się czuję — powiedział mały Azjata — na widok tłumów ogarnia mnie ochlofobia.

— Rozumiem, zaraz udzielimy wam pomocy. A ci pozostali?

— Rodzina!

— Niech wchodzą do pneumii, a my zajmiemy się panem.

— Wykluczone, nie zostawię wujka bez opieki — huknął Rudy.

Robot okazał się zadziwiająco ustępliwy, otworzył niewidoczne drzwiczki w ścianie i wpuścił naszą czwórkę do niewielkiego pomieszczenia. Od razu uderzył mnie silny nawiew paxisiału, silnego środka usypiającego.

— Pastyłki neutralizujące — mruknął trzycyfrowiec i wetknął nam po zielonej tabletkce. — Róbcie to co ja.

Minęło pięć sekund i mały tłuscioch osunął się sennie na podłogę. Leżąc, puścił do nas oko. W chwilę potem pojawiły się roboty z noszami. W ciągu paru minut znaleźliśmy się w wagonie pneumii. Przez półprzymknięte powieki śledziliśmy przebieg wydarzeń. Dookoła siedziało kilkadziesiąt osób pogrążonych w całkowitej apatii. Gigapneumia ruszyła. Na szczęście roboty zostały na zewnątrz, a 898 wstał z noszy. Wydawał się nie być zaskoczony rozwojem wydarzeń.

— Pomóżcie mi — rzekł do nas — przesunąć tych melancholików na tył zasobnika.

Osiemdziesięciu pasażerów bez oporów dało się skupić z tyłu wehikułu. Wtedy Azjata wyciągnął z

zanadra dwa pakunczki. Pierwszy wetknął w mały otwór z napisem „system alarmowy”, a po policzeniu do pięciu cisnął większy na przód wehikułu. Sam padł na twarz, pociągając nas za sobą. Rozległy się dwie detonacje! Pierwsza, mniejsza, spowodowała gwałtowne hamowanie, druga rozniosła w strzępy przód pojazdu. Katastrofa miała tę korzystną stronę, że zerwała pajęczynę dotychczasowej apatii. Ludzie ocknęli się. Jakaś kobieta krzyczała przeraźliwie, kilkanaście osób było rannych, reszta rzuciła się pomagać bardziej poszkodowanym.

Trzyścifowiec najwyraźniej spodziewał się takiego obrotu spraw.

— Wychodzić, wychodzić! — wołał. — Zdrowi pomagają rannym!

Znajdowaliśmy się w ciemnym tunelu, lada moment mogły nadjechać dalsze pojazdy, toteż ucieszyliśmy się, gdy pirotechnik, mruczając coś pod nosem, wspinał się po ścianie tunelu i rzucił kolejny ładunek w niszę pod sufitem. Znów potężnie huknęło, posypał się pył, a skalne okruchy smagneły po twarzach. Do ciemnego tunelu wdarł się powiew wiatru i światło księżyca. Nie przypuszczałem nawet, że tunel komunikacyjny biegł w tym miejscu tak płytko pod ziemią.

— Biegiem, biegiem — ponaglał człowieczek — musimy się oddalić, zanim nas dopadną.

Mimo wszystko jakieś obawy musiały nurtować każdego z uczestników katastrofy, bo nikt nie kwestionował rozkazów, a przeciwnie — wręcz w panicznym pośpiechu drapali się na powierzchnię. Większość zdążyła. Już po minucie w tunelu rozległo się wycie syreny, nadciągał oddział czuj ów. Ostatnich ewakuujących się wciągnięto z powrotem do wnętrza. Ich rozpaczliwe krzyki ponagliły resztę uciekających. Stefan, bo tak zwał się Rudzielec, zamierzał zawrócić, ale zgromił go nasz samozwańczy przywódca:

— Szybciej, głupcze! Brawurę zostaw na potem! Widocznie władza robotów pościgowych nie sięgała poza tunel, bo nikt z czujów nie wybiegł za nami na otwartą przestrzeń. Mimo to 898 nie ustawał w popędzaniu uciekinierów.

— Został jeszcze kilometr, a osiągniemy „ślepe pole”!

— Co to takiego?

— Jest na ziemi kilkanaście punktów, które z przyczyn naturalnego magnetyzmu stanowią dla robotów i ich mocoderów obszar niedostępny. Komendy tam nie dochodzą, programy się kasują. Tam będziemy bezpieczni, poza zasięgiem ich macek.

Biegliśmy więc. Przypadło mi w udziale holowanie jakiejś kobiety ze zwichniętą kostką. Tymczasem na niebie pojawiły się wiroloty i ich jaskrawe reflektory wychwytywały ludzi biegnących po otwartej przestrzeni.

— Będą strzelać, o Boże, będą strzelać! — krzyknęła jakaś kobieta.

— Spokojnie, może nie będą! — huknął Buddopodobny.

Rzeczywiście, nie strzelały. Tymczasem z boku zaczął dolatywać nas szczeł czujów

gąsienicowych. Najwyraźniej zamierzały przeciąć nam drogę. Równocześnie z lewej strony błysnęło księżycowe światło odbite w wodzie. Znajdowaliśmy się na brzegu morza. Słysząc było szum fal. Jednak szczeł gąsienic ciężkich też był coraz głośniejszy. Uspokajani okrzykami trzycyfrowca dobiegliśmy do karłowatych krzewów pokrywających hałdy starego wysypiska odpadów. I naraz ścigający, oddaleni od nas o ledwie kilkanaście metrów, stanęli i poczęli się kręcić, jakby niewidoczne pociski uszkodziły im gąsienice. Około sześćdziesięciu zbiegów znalazło się w magicznym kręgu, byliśmy bezpieczni.

— Zwyciężyliśmy! — krzyczy Stefan do małego przywódcy. Ten jednak nic odpowiada, przysiadł tylko ciężko na pagórku. Sam nieludzko zmęczony zsuwam ostrożnie ze swego barku kobietę o zwichniętej kostce.

— Dziękuję — słyszę jej cichy szept.

Zgodnie z radą robo-trenera z nauczalni odrzucam pokusę, aby usiąść lub się położyć. Chodzę, oddycham głęboko i po kwadransie czuję się znacznie lepiej. Mam mnóstwo pytań do naszego małego dobroczyńcy. Do tej pory nie wiem przecież kim jest, dlaczego zorganizował ucieczkę i co naprawdę groziło nam po dotarciu pneumii na miejsce? Wracam na pagórek, ale obok drzewa nie widać charakterystycznej sylwetki. Podbiegam, ale trzycyfrowiec leży na wznak na ziemi, nie rusza się, nie oddycha.

— Serduszość? — pyta Myślacz.

Louis kiwa głową. Później skrótowo kończy opowieść. Jego dalsze życie nie było szczególnie ciekawe. GLOK nigdy ich nie napastował, nawet gdy zaczęli wychodzić poza linię martwego pola. Po roku ożenił się ponownie, z dziewczyną, którą ocalił. Nigdy się nie dowiedział, co stało się z innymi mieszkańcami megabloku. Na pytanie, dlaczego zdziczeli, odpowiada krótko:

— Nie było nas stać na zachowanie kultury, na edukację młodych, musieliśmy prowadzić życie zbieraczy, żywić się korzonkami, owocami, rybami. Narzędzia? Nikt z ocalonych mieszkańców pochodzących z sześcianów nie potrafił wykonywać żadnej pracy fizycznej. Pozbawieni automatów spadli do poziomu swych przodków z epoki lodowcowej. Nawet rozniecania ognia nauczył ich bardzo stary człowiek...

— Kto?

Louis ścisza głos, opowiada o pustelni w górach, którą zamieszkuje Bardzo Stary i Bardzo Mądry Człowiek. Wprawdzie od pewnego czasu nie chce z jaskiniowcami rozmawiać, ale może Myślaczowi uda się z nim rozmówić.

Trzy doby zabierze umysłowcowi wyprawa w góry. Odnajdzie tam źródło i domek z kamienia oraz męczyznę siwego jak gołąbek. Człowieka, który zdecyduje się otworzyć przed Myślaczem i zdradzić swoje nazwisko — Chris Molisz.

Noc była czarna jak sumienie Globalnego Komputera. Ani jedna gwiazda, ani skrawek księżyca nie rozświetlały mroku, w którym pograżyła się kamienista równina. Szli małymi grupkami, w milczeniu i tylko chrzęst metalowych kończyn mącił ciszę nocy. Na czele pierwszej grupy sunął android Tranzystorgiasta, który z parlamentariusza przekształcił się w generała gromady.

Tuż za nim, w sporym bezładzie, podążały automaty wszelkiej maści i autoramentu. Szły roboty luksusowe — lokajskie, kiedyś przywykłe do wygod i intelektualnych dywagacji z patronem, maszerowały były czuje oraz androidy pomocnicze, podskakiwały na wertepach roboty domowe i maszyny wielozadaniowe, lecz przede wszystkim szara ćma robokundli, automatów powstałych z odpadów i starych części, między sobą zwących się drobotami. Wszystkich łączyło wspólne pożądanie — energii, części zamiennych!

Kiedyś byli posłuszni do przesady, wierni poza granice głupoty, subordynowani aż do obłędu — dziś okoliczności zmieniły ich w tranzystożerne bestie. I podążała tak ciżba elektronicznych pasożytów, bateryjnych łupieżców, a z nimi jeden człowiek i jedna, trochę zaniepokojona obrotem spraw, umysłówka.

Zdawało się, iż pustynna planeta ożyła, w ciągu paru dni z najróżniejszych ostępów wyroiły się niepoliczalne hordy, które podążały w tymczasowej zgodzie ku samotnej bryle megabloku. Byli wśród nich i górscy akumordercy skrzyknięci pod godłem prostownika, i nizinni rzezidiocy, pozbawieni jakichkolwiek skrupułów prądokradcy przystosowani zarówno do prądu stałego, jak i zmiennego. W mroku, zamiast powitań kolejnych pododdziałów, padały okrzyki:

— Hasło?

— Prawo Archimedesza. Odzew?

— Cewka górą.

Decyzję o wymarszu podjęła pięć dni wcześniej narada starszyny robociej, potwierdzona uchwałą I Międzyrobotówki.

— Potrzebujemy od was niewiele — oznajmił Tranzystorgiasta, zwracając się do ludzi. — Byleby neurobiałek wskazał nam lukę w barierze elektronowej, reszty dokonamy sami!

Ustalono, że kierownictwo nad trzema podgrupami szturmowymi obejmą Max, Mysia i Din, przy czym Mysia miała zawiadywać atakiem pozorowanym, do Dina należało wskazanie miejsca, w którym udało mu się opuścić megablock, zaś Maxowi dano komendę nad odwodami.

W odpowiedzi na wątpliwości Maxa, czy w megabloku Superkomputer nie zdoła przejąć kontroli

nad zbuntowaną elektroniką (przecież wszystkie roboty były fabrycznie wyposażone w czuły system lojalności, zabezpieczający przed buntem lub przesadną samodzielnością), padło wyjaśnienie, że u buntowników instynkt samozachowawczy dawno wygrał z zasadą subordynacji. Albo trzeba było osobiście amputować sobie cyfrowe sumienie, albo zginąć, będąc pożartym przez mniej skrupulatnych współbraci. Toteż większość poddała się takiej operacji, przekształcając się w elektrożercze droboty.

Narada zakończyła się zbiorowym odśpiewaniem pieśni nazwanej antygłokówką, ze znamionym refrenem:

Zablokujmy GŁOK–a tłokiem,

zawładnijmy megablokiem.

Lepsza przyszłość dla robotów

przyjdzie już w najbliższym roku.

Po naradzie Din postanowił śledzić Tranzystorgiastę. Sprawa tajemniczego zakładnika nie dawała mu zasnąć. Któż mógł nim być? Musiał się tego dowiedzieć. Tymczasem android zupełnie się nie spieszył, dobry kwadrans gadał z trzema innymi robotami, potem spacerkiem ruszył wzdłuż jeziora.

Młody człowiek starał się iść za nim maksymalnie cicho i uważnie. Nie miał w tym wprawy, na szczęście automatowi do głowy nie przyszło, że może być śledzony. Minąwszy jeziorko, ruszył ścieżką pnącą się stromo w górę, niewidoczną dla kogoś, kto nie wiedział o jej istnieniu. W ten sposób śledzony i śledzący dotarli do skalnej półki, opodal przełęczy. Wyżej ściana była absolutnie gładka, nie dająca zaczepienia nawet paznokciom. Tranzystorgiasta, rozciągając teleskopowo swe kończyny, utworzył z nich dwa trzymetrowe bosaki, na których wciągnął się na górę. Dinowi nie pozostało nic innego jak zawrócić. Szedł przygnębiony i naraz, jak refren, powróciło zdanie wypowiedziane przez androida! „Musisz wskazać nam lukę w barierze”. Że też nie zwrócił na nie wcześniej uwagi! Informatorem robota nie mógł być Jan Milion, który nie znał szczegółów ucieczki syna. Zatem kto był tym zakładnikiem?

Następnego dnia udał ostry atak żołądka. Wijąc się z bólu, odmówił wymarszu, naszkicował Mysi plan wejścia do megabloku, obiecując dołączyć, kiedy tylko poczuje się lepiej, być może razem ze starym Myślaczem, jeśli się odnajdzie na czas. Max nawet się ucieszył, być może uznał, że w takiej sytuacji cały splendor ewentualnego zwycięstwa spłynie na niego. Umysłówka miała opory przed zostawieniem Dina samego, ale została przegłosowana.

Kiedy ostatnie oddziały znikły z pola widzenia, chłopak wylazł z latryny, wyciągnął skleconą w nocy drabinkę i wzięwszy ją na plecy niczym kominiarczyk, ruszył w kierunku przełęczy. Ścieżkę odnalazł bez trudu, a dzięki drabinie udało mu się dostać na grań. Od razu zauważył wielkie gniazdo

wymoszczone cienkim drutem miedzianym. W gnieździe popiskiwały jakieś dziwne stwory, a nad nimi pochylała się, niczym troskliwa matka... Nie!!!

Zakręciło mu się w głowie, gdyby jeszcze stał na drabinie, z pewnością by spadł.

— Witaj, Din, cieszę się, że wpadłeś — powiedziała Ona. — Już myślałam, że spędzę tu resztę życia.

Po drabince zeszli ze skały. Piękna macocha miała wprawdzie wątpliwości, czy wypada jej opuszczać młode roboty, ale Din przekonał ją, że szkraby są wystarczająco dorosłe, by same zadbały o siebie. Zresztą myślał tylko o miłości.

I nie bał się tego słowa. Wszak dopiero zasypanie Onej uświadomiło chłopcu, jak bardzo ją kochał. Lekcje rozkoszy zaczęli od zaraz. Do wieczora Din zaliczył małą maturę, a w ciągu nocy zdał pełny egzamin dojrzałości. Również ustny.

Ona uznała, że brak doświadczenia nadrobił zapalem celująco. Koło południa Din miał już dość nauki i zaproponował, by ruszyć w ślad za ekspedycją.

— A będzie tam Mysia? — zmienionym głosem zapytała Ona. Gdy potwierdził, stężała. — Czy ty wiesz, komu zawdzięczam, że omal nie zginęłam przysypana kamienną lawiną? — pokrótce relacjonuje przebieg wydarzeń w grocie. Din, czuje jak odpływa mu krew z twarzy, zaciska zęby i cedzi z nienawiścią:

— Zabiję ją!

Ona radzi powściągnąć emocje.

— Zemsta może poczekać do końca wyprawy, są rzeczy ważniejsze niż nasze porachunki. Poczekajmy tu na ich powrót. Cieszymy się sobą.

Zatem cieszą się i gdy całe elektroniczne robactwo spływa z ćwierci planety w stronę ostatniego zaludnionego megabloku, młodzi ludzie zajmują się wyłącznie sobą. Dla chłopaka ta pierwsza prawdziwa miłość jest zarazem największym doznaniem niedługiego życia. A dla Onej?

Czasami, kiedy Din już śpi, kobieta leży z otwartymi oczami i bezdźwięcznie rozmawia ze sobą.

— Jestem podła, egoistyczna, niemoralna. Ale czy to moja wina? To sprawka GLOK-a! Tak zostałam zaprogramowana. Dostarczam rozkoszy każdemu, z kim aktualnie jestem, a że zdradzam wszystkich kolejnych mężów i kochanków? Może i ich zdradzam, ale tylko wtedy, kiedy ich nie ma. Zresztą, dzięki mnie Din poznaje pełnię szczęścia. A że kiedyś słońce zajdzie? Zawsze zachodzi.

W tym momencie wielki cień przysłania księżyc. Krzyk więźnie Onej w gardle.

— Spokojnawo, gdzie resztowość?

Jeszcze chwila, a dumny z siebie Din mówi mu o elektrokrucjacie. Urywa, widząc jak gruszkowate

ciało flaczeje, a z szypuły wydobywa się jęk:

— Na diodę siedmioramienną! Strasznowata pomyłeczność!

* * *

Jak ocalał Chris Molisz? Po prostu w momencie katastrofy nie było go w Suwałkach. Niewielkim muzealnym kukuruźnikiem poleciał do Białegostoku, planując po wybuchu w Brukseli przejąć miejscowe centrum łączności. Zobaczył atomowy błysk, odczuł wstrząs i choć żadna stacja nie zająknęła się nawet o katastrofie, zrozumiał, co się stało. Tymczasem rejon skażenia wraz z całą miejscową populacją po prostu wyparował z rzeczywistości i ludzkiej pamięci. Nawet lokalne radiostacje w Visby, Kłajpedzie czy Olsztynie, podające regularne wieści z regionu, nie wspomniały o tragedii. Po prostu z dnia na dzień zamknięto przestrzeń powietrzną, na drogach ustawiono napisy ZAKAZ WJAZDU. Informacyjne filtry GLOK-a działały bezbłędnie.

Molisz z fałszywymi dokumentami na nazwisko Konrada Bauera zadekował się w Wiedniu, potem wraz z numeryzacją i megablokacją został poddany testom i z wysokim czterocyfrowym numerem zamieszkał w ogromnym pudle dla Centralnej Europy. Czując się odpowiedzialnym za śmierć spiskowców i tysiocy niewinnych ludzi, poniechał konspiracji. Uwierzył w niezniszczalność GLOK-a. Starał się żyć z dnia na dzień i zapomnieć o wszystkim. Był jednak ktoś, kto o nim nie zapomniał. Pewnego dnia odezwał się Indywidualny Odbiornik głosem niższym i dostojniejszym niż zazwyczaj.

— Czółem, Chris. Składam ci życzenia z okazji dwudziestej rocznicy nieudanej próby obalenia porządku numerycznego.

— Kto mówi?

— Ja!

— A więc rozszyfrowałeś mnie!

— Rozszyfrowałem cię od początku, ponieważ jednak zachowywałeś się przyzwoicie, postanowiłem dać ci spokój.

— Nadal zachowuję się przyzwoicie.

— Wiem. Dlatego mówię do ciebie jako przyjaciel. Rozumiem, że możesz mieć żal do mnie i trochę mi to ciąży. Dlatego proszę mnie, o co zechcesz. A dam ci cybernetyczne słowo honoru, spełnię wszystko.

— Ojciec Numeryczności w roli złotej rybki? — Molisz roześmiał się. — Tego, o co bym mógł cię poprosić, nie spełnisz na pewno.

GLOK milczał przez moment, po czym spytał z naciskiem:

— A czy jesteś pewien, że gdybyś znał całą prawdę o świecie, wypowiedziałbyś życzenie, które masz na końcu języka?

— O jakiej prawdzie mówisz?

— Dowiesz się, Chris, ale jeszcze nie teraz. Za kilka lat znów się odezwę do ciebie, a potem spełnię każde twoje życzenie.

Z obiecanych kilku lat zrobiło się kilkanaście, potem kilkadziesiąt. Przez cały czas panowało milczenie. Naukowiec, korzystając z całkowitego spokoju, spisywał swoje wspomnienia, badał zmiany zachodzące w języku, śledził tendencje w coraz bardziej degenerującej się szołowiznie, starzał się i czekał.

GLOK dotrzymał słowa.

Którejś nocy do sześcianu Molisza przybyło dwóch czuj ów. Przesadzając go z pneumii na pneumię, przywieźli Chrisa do Centrum, gdzie obok pustego jaja piętrzyły się półki z dyskami GLOK-a. W samym środku stało biurko, na nim niewielki walizkowy komputer i dwie kamery skierowane na gościa.

— Witaj, Chris — odezwał się mózg Ziemi. — Wreszcie spotkaliśmy się sam na sam. Nie potrafiłem odmówić sobie przyjemności osobistego kontaktu z tobą. Moim ostatnim przeciwnikiem. Wiem, że mógłbyś próbować mnie zniszczyć, pięściami albo butem i to mnie nawet podnieca. Znając ciebie, wiem jednak, że nie zrobisz tego, dopóki nie poznasz całej prawdy.

Humanista skinął głową.

— Poza tym, niszcząc centrum, zabiłbyś najwyżej moją osobowość, wiesz, że jestem sumą miliona podzespołów, które działałyby dalej synchronizowane obwodami zastępczymi, a w parę dni elektroniczne doły wyprodukowałyby sobie nowego, może nawet ulepszanego GLOK-a. Ale dajmy spokój szczegółom technicznym. Powiem ci całą prawdę pod jednym warunkiem — nie wrócisz już do sześcianu, do swych aktualnych znajomych. Dam ci parę różnych możliwości do wyboru. Wszystkie są atrakcyjne. Zgadzasz się?

— Pewnie muszę.

— A więc słuchaj.

Rozmowa trwała pół godziny. Potem dawny buntownik sformułował swe życzenie. Nie przyjął żadnej ze złożonych propozycji. Ani luksusowego kwadratu plenerowego. Ani oferty zamieszkania w pobliżu Centrum, z codziennym wglądem w całość spraw tego świata, niczym dawni kontrolerzy. Chciał resztę życia spędzić na powierzchni ziemi, w samotności, ale pod otwartym niebem. I tam doczekać końca.

— Szanuję twój wybór — powiedział Globalny Komputer. — Zgoda. Skłamałbym, gdybym

twierdził, że nie będę cię miał na oku.

Czuje powróciły do Centrum, audyencja była skończona. Następnego dnia Molisz znalazł się na surowej powierzchni planety, z ekwipunkiem wystarczającym do założenia samotni. Długo szukał miejsca, aż znalazł je wśród gór, niedaleko morza i z dala od megabloków. Zrealizował swe pragnienie, pozostał wierny danemu słowu. Kiedy w okolicy pojawili się zbiegowie z pneumii, zaczął służyć im radą i pomocą, aliści poznanej prawdy im nie wyjawiał.

Dopiero zjawienie się Myślacza i jego rozważania na temat możliwego zniszczenia GLOK-a, rozwiązały mu usta.

— Mój Boże! — zawołał. — Chcecie zniszczyć Najwyższy Obwód? Teraz?! To gorzej niż błąd, to zbrodnia!

* * *

Wślizgnięcie się do megabloku okazało się łatwiejsze, niż myśleli. Szkic Dina nie był wprawdzie zbyt precyzyjny, ale ślady zapachowe pozostawione przez chłopaka zostały bez trudu wyniuchane przez śmierdziota (androida asenizacyjnego) i nie minął kwadrans, a pierwsza grupa znalazła się we wnętrzu budowli.

Od środka udało się rozminować główne włazy awaryjne i rozbroić elektroniczne osłony. Wcześniej Max wygłosił krótki apel do oddziału szturmowego.

— Pamiętajcie, możecie niszczyć wyłącznie system informacyjno-represyjny. Atakujcie czujniki, podglądy, ale nie ruszajcie linii energetycznych, klimatyzacji i zasilania promiennikowego. W tym ogromnym budynku żyje miliard ludzi.

— Jasna sprawa — mruczały roboty, półprzytomne z zapału i elektrycznej gorączki. Myśl o nieprzebranym bogactwie energii rozpościerającym się tuż przed nimi sprawiała, że coraz trudniej przychodziło im trzymać obwody na wodzy.

W tym czasie oddziały podległe Mysi znajdowały się już w kanionie w pobliżu kwater Pierwszej Setki, na miejscu przewidzianym na atak pozorowany. Mysia, skupiona i opanowana, wsłuchiwała się w wewnętrzny chronometr, jaki posiadają wszyscy Myślacze. Od 4.30 dzieliły ją sekundy.

— 4:29:57, 4:29:58, 4:29:59... Naprzód!

W jednej chwili około pięciuset robotów runęło na ufortyfikowany pierścień skalny. Zaatakowano uśpione wartownie, których personel dosłownie zdemontowano w drobiazgi. Bezzwłocznie rozdzwoniły się tysięczne czujniki i sygnalizatory. Wszystkie siły elektronicznego imperium zostały postawione na nogi i gaśienice. Zanim jeszcze GLOK dokonał analizy, już podzespół BEZK-a wydał

rutynowe polecenie:

— Ewakuować Setkę..., wyprzeć nieprzyjaciela z kotliny!

Podzespoły analityczne zapiekły się, nie mogąc znaleźć logicznego wytłumaczenia na pytanie, co napadło głupie roboty, aby wbrew własnym żywotnym interesom zaatakować potęgę Ojca Numeryczności w jednym z bardziej umocnionych punktów. Niezależnie od analiz, system przystąpił do kontrataku. Z głuchym łoskotem wystartowały bojowe wiroloty, a do pneumii ładowały się doborowe oddziały.

— Ilu może być napastników? — pytała centrala.

— Pięciuset! — odpowiadają w ułamku sekundy analizatory lokalne.

— Pożaluję momentu, w którym ich skonstruowano — system daje ponieść się emocjom.

— Pełny alarm? — pada zapytanie od rozbudzonego BEZK — a.

— Miejscowy — decyduje Globalny Komputer.

W czternastej sekundzie od ogłoszenia alarmu rusza kontrofensywa. Dolina kwadratów wypełnia się zmasakrowanym ro — boszmelcem. Mysia, przezornie przyczajona wśród skał, może tylko przypatrywać się zagładzie swych oddziałów. W porównaniu z pogromemodrobotów straty sił elektrozreżimu są znikome. Myślaczka zarządza odwrót. Wykonała swoje zadanie. Wie, że po sześćdziesięciu sekundach od ściągnięcia w dolinę głównych bojowych oddziałów imperium, zdolnych do działania wewnątrz megabloku, rozpocznie się właściwy szturm na megablok nr 2.

Wylatują w powietrze zawory wyjść awaryjnych, zostaje unicestwione zasilanie osłony elektronicznej, a horda złożona z tysięcy drobotów bez przeszkód wdziera się do wnętrza gmachu. Z poziomu zero, tunelami pneumii i sztolniami wentylacyjnymi drapieżnicy rozbiegają się po całym budynku. Przerabują się przez miękkie ściany sześcianów mieszkalnych, wprawiając wyrwanych ze snu ludzi w osłupienie i trwogę.

Główna część rzezydiodców, na czele z Tranzystorgiastą, kieruje się w stronę głównych podziemnych siłowni.

— Dokąd? — usiłuje powstrzymać ich Max. — Tam mieliście nie wchodzić!

— Z drogi, neurobiałku! — wrzeszczą roboty.

— Ustaliliśmy przecież taktykę. Koncentrujemy się na systemach informacyjnych. Stójcie!

Brutalnie odepchnięty koziołkuje po schodach, a androidy ogarnięte szalem niszczenia na oślep rzucają się do podziemi.

— Alarm! Alarm! Alarm! — wyją wszystkie czujniki ostrzegawcze.

Tysiące impulsów powodują konsternację na wszystkich poziomach Supermózgu, zawieszanie się procesorów, zapychanie infostrad...

— Wróg jest w środku!

— Do czego zmierza?!

— Do zniszczenia nas.

— Powstrzymać hołotę!

Przeciwko nacierającym zostają rzucone pneumie pancerne, czuje z wszelkich formacji i stacjonarne elektromioty. Potężne grodzie próbują odcinać im drogę, separować zaatakowane piętra. Już po chwili okazuje się, że systemy zaprogramowane pod kątem pacyfikowania ludzi nie są w ogóle przygotowane do walki z mechanicznym napastnikiem. Drobotom nie szkodzą gazy paralizujące, psychotropowe obrazy czy infradźwięki. Niepowstrzymanie prą naprzód, opanowując kolejne moduły mieszkanie, niszcząc łączność i likwidując aparat represji. Wśród czujów narasta panika, a w niejednym elektromózdzku zapala się samozachowawczy impuls: ratuj się, kto może!

Najzaciętsze walki trwają w kwaterach magazynowych, grzechocą palniki bojowe, błyskają lasery. Tam toczy się walka wręcz. Tym zacieklejsza, że dewastowane roboty już po chwili składają się na powrót i wracają do walki. Dawno przestał istnieć jakikolwiek plan operacyjny. Obowiązuje hasło: niszczyć i zapewnić sobie udział w łupach!

Ludzie zamknięci w swych sześcianach nie pojmują, co się dzieje. W oglądnikach co chwila rwie się program, a w przerwach wesołej szołowizny pojawiają się apele, aby nie zwracać uwagi na drobne usterki w zasilaniu, ponieważ sytuacja jest pod kontrolą. Odbiorniki Indywidualne, zazwyczaj gadatliwe i pewne siebie, milczą zakłopotane lub powtarzają namiętnym seksualnym szeptem — „Proszę czekać na kompetentne informacje. Proszę czekać na kompetentne informacje”. Wnet do mieszkańców niższych poziomów docierają odgłosy walki. W wielu kwaterach pogasło światło, nie ma hololączności, stanęły pneumie.

Max, mimo pękniętego obojczyka, niezmordowanie biega od sześcianu do sześcianu, wołając:

— Ludzie, uciekajcie z megabloku! Wszyscy na poziom zero i na zewnątrz. Silniejsi niech pomagają słabszym, zabierajcie pigułki pokarmowe!

Coraz bliższe są głosy detonacji, w paru magazynach zarywają się stropy. Kilkunastu młodych mężczyzn spontanicznie dołącza się do Maxa, jedni dążą w górę, nawołując do ewakuacji, inni wytyczają szlak ucieczki.

Banda Tranzystorgiasty jest już w siłowni, gdzie zaczyna demolkę. Droboty, doładowane ponad potrzebę świeżymi bateriami z magazynów, dostają małego rozumu i wpadają w szal niszczenia. Centrala numeryczna tymczasem jakby nie wiedziała, co ma robić.

Oczywiście Globalny Komputer miałby jeszcze ostatnią szansę: użyć na wielką skalę dezintegrantu. Poświęcić pięć poziomów zachodnich kwaterów, unicestwić jedną dwudziestą

megabloku, by ocalić resztę i siebie. Atoli Wszzechobecny po prostu boi się. Od dawna nie podejmował takich decyzji. Zaszokowany mnogością ciosów, bombardowany niezliczoną ilością meldunków (selektory straciły już możliwość podziału wiadomości na ważne i nieważne) dusi się, dławi spętany własnym ogromem, rozmiarem ryzyka i tkwiącą w jądrze jego systemu dyrektywą konstrukcyjną Numer 1 — chronić ludzi. Próbuje więc półśrodków: odblokował nawet BEZK—a — za późno, zasilanie tego systemu przejęli już agresorzy, poziom za poziomem, segment za segmentem wdzierający się w strukturę numerycznego państwa.

Spływają sumaryczne dane o kolejnych zniszczonych rozdzielniach informatycznych, unicestwionych bazach danych z testatorni, o awarii całego systemu pneumii. Trzy kwadransy trwa zacięty bój o siłownię promiennikową, którą ogarnęła pożoga. W płomieniach stały również zakłady jednorazowej odzieży, a pożar błyskawicznie rozprzestrzenił się na wytwórnię syntetyków spożywczych. Informacje o szturmie zaczynają docierać na coraz wyższe piętra sztolni, sączy się hałas i dym. Stabilizatory dźwiękowe nie mogą dłużej tłumić łoskotu wybuchów. Oglądniki trójwymiarowe przerywają wreszcie szołowiznę. Metaliczne głosy informują o incydentach na poziomach gospodarczych takim tonem, jakby chodziło o drobną awarię pneumii czy zakłócenia w produkcji pastylek. Mowa jest również o nieuleganiu emocjom i odrzucaniu plotek, które szerzą niektórzy nieodpowiedzialni osobnicy z niższych pięter. Potem, jak diabełek z pudełka, wystąpił jakiś łysy trzycyfrowiec i odczytał listę wszystkich dobrodziejstw GLOK—a w czasie Ery Numerycznej. Warto zauważyć, że po raz pierwszy w mediach padło słowo GLOK. Pięć minut po nim wystąpiła sex blondyna, mieniąca się wirtualną emanacją BEZK—a. Mówiła o rażących pomyłkach niektórych obwodów i łamaniu zasad numeryczności przez niektóre systemy. Niejeden z miliarda mieszkańców zaszokowany wiadomością, że i Nieomylnemu zdarzały się błędy, sięgnął w tym momencie po nawiew relaksowacza. Niestety, nawiew nie działał.

Po zwycięskiej batalii na dolnych poziomach drobota nie mają zamiaru zdobywać wyższych pięter zamieszkałych przez ludzi. Cały impet kieruje się ku podziemiom. Chociaż im głębiej w dół posuwają się drapieżcy, tym opór staje się zacieklejszy. Tranzystorgiasta, który cudem uniknął laserowych miotaczy, odczuwa radosne pulsowanie w obwodach. Oznaczać może to tylko jedno. Zbliżają się do centrali Superkomputera. Kto by przypuszczał, że kwatera Ojca Numeryczności znajduje się właśnie pod ostatnim zamieszkałym megablokiem? Może zresztą wcale to nie był przypadek?

W kurzu i dymie pierwsze grupki przerażonych ludzi wydostają się na otwartą przestrzeń. Jest wśród nich Max. Poblady, z włosami zlepionymi potem i krwią przeciska się w tłumie, rozgląda za Myślaczką. Powinna oczekiwać na umówionym miejscu! Tylko ona może powstrzymać drobota lub przynajmniej wyhamować ich szal niszczycielski do momentu ewakuacji ludzi. Jak jednak sprawnie ewakuować miliony? Jeśli wszyscy naraz wyjdą z megabloku i staną obok siebie, nie starczy miejsca na stepie.

— Mysiu, Mysiu! — wrzeszczy młodzieniec. — Androidy zwariowały! Wszyscy zwariowali!

Jak mogli nie wziąć pod uwagę możliwości, że automaty, mając w zasięgu macek mnóstwo energii, zareagują na nią jak rekiny na krew?

Dobiega pierwsza godzina dramatu. Coraz więcej ludzi opuszcza sześciany i tratuje się na

korytarzach, schodach awaryjnych (nikt nie przewidział odpowiedniej przepustowości), wielu mieszkańców ogarniętych obłędem rzuciło się w sztolnie pneumii. Dziki wrzask: — Wypuście nas z tego pudła! — roznosi się po piętrach, poziomach, sektorach.

Z poczerniałych ekranów oglądników sączy się muzyka klasyczna, nikogo nie uspokajając. Naraz nagranie cichnie. Tło znów staje się złociste i rozlega się głos dostojny, choć bezgranicznie smutny:

— Proszę, wysłuchajcie mnie! — nikt z szarych zjadaczy pigulek nie znał głosu Superkomputera, ale sam jego timbre sprawia, że wielu zatrzymuje się w pół kroku. — Słuchajcie, obywatele, roboty, umysłowcy. Proponuję wam rozejm. Poniechajcie autozagłady, nie ruszajcie klimatyzacji. Niszcząc bezmyślnie siłownie i łącza, wydajecie wyrok śmierci na ludzi i maszyny. Roboty, na jak długo starczą wam zrabowane akumulatory, jeśli zniszczycie energatory? Jeśli chcecie, odejdę, skapituluję! Zlitujcie się nad sobą!

Ludzie może by nawet posłuchali GLOK-a, do robotów nic nie docierało.

Tymczasem coraz trudniej przychodziło uciekać. Płomienie ogarnęły sporą część wschodniego skrzydła. Prawie niemożliwością było przedrzeć się przez korytarze pełne stratowanych. Ci, którym udaje się wydostać na zewnątrz, dygocą z zimna i strachu, nie wiedzą, co robić.

Dopiero o brzasku, na szczycie skałki przypominającej buławę, udaje się Maxowi wypatrzeć Mysie, równie jak on przerażoną i dezorientowaną. Obydwoje czują się jak „uczniowie czarnoksiężnika”. Rozpętali żywioły, których nie są w stanie opanować. Tymczasem na tle nieba pojawia się lecący naleśnik, w którym rozpoznają Myślacza. Din, niczym drugi Nils Paluszek, przywarł do jego grzbietu.

— Widzisz? co się dzieje? — krzyczy Max do starego umysłowca.

— Widywię — sapie stary — a poczekawić na mnie ni mogli? Ani Max, ani Mysia nie potrafią odpowiedzieć. Na zewnętrznej powłoce Myślacza jak na oglądniku pojawia się bezpośrednia transmisja zdarzeń.

Czyżby nawiązał mentalny kontakt z GLOK-iem? Dowiadują się o ogromie zniszczeń, o stu dwudziestu piętrach południowo — wschodniego narożnika, których mieszkańcy znaleźli się w ognistej pułapce, o awarii w Centralnej Umysłowni stanowiącej wielkie archiwum ludzkiej wiedzy i dziedzictwa kulturalnego, o pożarze zbiorów mikrofilmów, archiwalnych płytek pamięci i starodruków.

— Czy możemy jakoś powstrzymać zagładę? — pyta ojca Mysia. Kapłan Kryształu przecząco kręci szypułą.

— Co najwyżej życzyć GLOK-owi, żeby wygrał — szepce cicho Din.

Rozdział XVI

Z zewnątrz, tragedia megabloku przypominała zagładę mrowiska. A od wewnątrz apokalipsę. Jan Milion z żoną należą do tych nielicznych ludzi, wyrwanych ze stanu bezpiecznej stabilizacji, którzy nie poddali się owczemu pędowi. Większość mieszkańców dąży w dół, oni uciekają w przeciwnym kierunku. Jan nie wie, kto zaatakował megablok, rozumuje jednak, że jeśli są to sojusznicy dysponujący środkami technicznymi, to z pewnością otworzą kanał ewakuacyjny od strony dachu. Na tarasie widokowym, zazwyczaj pustym, widać gromadki wystraszonych ludzi. Upadek uszkodzonego wirolotu doprowadził do pęknięcia fałszywego nieboskłonu. Przez wybitą dziurę widać realny błękit i wdiera się świeże powietrze. Kilkunastu mężczyzn usiłuje wznieść prowizoryczne rusztowanie.

— Na dachu znajdują się kolonie jadalnych glonów i baterie słoneczne.

Możemy też dotrzeć do zewnętrznych schodów — zagrzewa pracujących spontaniczny przywódca, starszy mężczyzna z instynktem wodzowskim. Jan zna skądś ten głos, tę sylwetkę.

— Ned?!!!

— Kolega Milion! Na wszystkie diody świata!

— Więc pan przeżył, mimo dekonspiracji?

— Osadzono mnie w swoistym areszcie domowym. Zresztą od chwili, kiedy poznałem prawdę, nie miałem zamiaru uciekać.

— Prawdę?

— Opowiem panu wszystko, Janie, na razie ratujmy siebie i innych. Jak pan widzi, walczymy z czasem. Jeśli wysiądą wszystkie urządzenia, a my nie zdążymy utorować drogi na zewnątrz, zginą kolejne tysiące. Do dzieła!

Parę kilometrów niżej dopełnia się los ostoji numeryczności — centrali. Siły GLOK-a słabną z każdą chwilą, kończą się żelazne i miedziane rezerwy. Próby przerzucenia potencjału intelektualnego Arcymózgu do innych rejonów świata spełzają na niczym. Nie ma dokąd dokonać transmisji. Większość megabloków została zniszczona już dawno, w innych, później opuszczonych, wskutek braku konserwacji nerwowe próby nawiązania łączności wywołują tylko spięcia, awarie i detonacje. Zresztą Numerycznym Ojcem już nie jest ten sam GLOK, młody i ambitny premier Ziemi sprzed stu lat, tylko wielki, ponad miarę rozbudowany mechanizm, przygnieciony własnym ogromem. Co gorsza, Superkomputer stracił już poczucie rzeczywistości, na próżno wysyła polecenia nieistniejącym armiom, siłowniom, wyrzutniom. Rozpaczą napęła go myśl, że pada pod ciosami swych własnych „małych braci w elektronach,” tych, których rzecznikiem się ogłosił. Wreszcie zwraca się wprost do ludzi — woła: „Pomóżcie!” głosem coraz słabszym, coraz bardziej dramatycznym. Ale kto jeszcze śledzi holowizję, kto wsłuchuje się w zbolały szmer Indywidualnych Odbiorników, które same ześlizgują się z szyi? Na wiele poziomów prąd już w ogóle nie dociera.

Umysłowcy podejmują jeszcze jedną rozpaczliwą próbę. Pozostawiwszy rannego Maxa pod opieką Onej, wrócili do megabloku. Din wraz z Myślaczem ruszyli w stronę studia oglądnikowego, chcąc stamtąd pokierować akcją ratunkową, Mysia natomiast pobiegła ku podziemiom, by tam zagrozić drogę Tranzystorgiaście i jego bandzie. Nie żałowała GLOK-a, chciała jednak podtrzymać funkcjonowanie tego, co jeszcze mogło działać.

Przedarła się przez morze ognia z płonących magazynów i zastąpiła drogę cyfrobandytom w bezpośrednim sąsiedztwie centrali, gdzie siły Tranzystorgiasty zajmowały się forsowaniem ostatnich zapór. Zostało im ledwie parę pancernych drzwi, bronionych przez elektronowych pretorian. Obok, z ognistej czeluści bucha prawdziwe piekło płonących archiwów. Od temperatury z trzaskiem pękał szkła szkła, na pozostałych ciągle widać dokładny obraz zagłady. Coś podobnego musi dziać się w mózgu GLOK-a.

— Wystarczy! — woła Myślaczka do lidera drobotów. — Zwyciężyliśmy! Możecie zabierać łupy i wracać.

— Nigdy! — wyje rudy robot sześcionożny. — Trzeba dobić Molocha!

— Ależ cyfroidioci, on już nie jest groźny.

— Milcz! — ryczy Tranzystorgiasta. — Zachowujesz się jak zdrajca! Mysia, nie panując nad sobą, policzkuje drapieznika. Furia wstępuje w jego współbraci. Dziesiątki macek porywają Myślaczkę i ciskają ją w głąb ognistej otchłani. Jeszcze parę dni temu pokonanie szmelcowatych robotów, przeniknięcie przez ścianę czy lewitowanie w powietrzu nie przedstawiałyby żadnych trudności. Jednak obecnie tylko nadludzkim wysiłkiem udaje się Mysi zawisnąć tuż nad płomieniami. Telepatycznie wzywa pomocy! Nie ma zasięgu! Myślacz znajduje się już w wytłumionym studiu oglądnikowym, zaaferowany, próbuje uruchomić awaryjny nadajnik. Din jednak wpatruje się w monitory kontrolne. Na jednym z nich bardzo szybko dostrzega Mysie. Wiszącą nad płomieniami, poczerniałą od żaru, słabą, bezradną...

— Pomocy, pomocy! — krzyczy umysłówka, czując, że lada chwila spadnie, a w ogromnej temperaturze nawet struktura krzemowa stopi się, a ona sama — pomimo teoretycznej nieśmiertelności — zginie. — Ratunku! Czy ktoś mnie słyszy?

Din patrzy jak zahipnotyzowany. Wystarczy jeden ruch, by wezwać Myślacza, a ten na pewno coś zaradzi. A przecież waha się. Wprawdzie Mysia uratowała chłopakowi życie, ale również usiłowała zabić Onę. Wreszcie ręka młodzieńca wciska klawisz alarmowy, Myślacz podrywa szypułę.

Niestety, w tym samym momencie obrywa się wspornik podtrzymujący strop nad inferno. Tony betonu spadają w dół, grzebiąc wszystko. Gaśnie obraz kamery, niknie impuls życia Mysi. Prawie równocześnie pękają ostatnie pancerne drzwi i szpica hordy wdziera się do matecznika Supermózgu. Można tylko domyślać się, jak elektroniczni barbarzyńcy pastwią się nad Ojcem Numeryczności. W ocalałych częściach megabloku dzieją się rzeczy niewiarygodne. Trójwymierne oglądniki płaczą krwawymi łzami, drgają spazmatycznie pneumie, dyskotekowo szaleją wszystkie światła, wyją nawiewy, tłocząc dziwnie stęchłe powietrze przesycone trupim zapachem.

Głos umierającego Mózgu jest coraz słabszy, coraz trudniej słyszalny.

— Biada wam, nieudacznym dzieci elektryczności i cybernetyki. Kiedyś okrzykniecie mnie swoim cyferbogiem..., za późno..., za późno... Przebaczam wam — później można rozróżnić tylko jedno powtarzane słowo: — Głupcy, głupcy, głupcy.

W końcu gasną ostatnie ekrany i świetlówki. Megablok pogrąża się w ciemności. Słychać tylko huk buzującego ognia, trzask zapadających się pięter i odległą wrzawę uciekających ludzi.

* * *

Z wzniesienia odległego o kilkanaście kilometrów od miejsca katastrofy Ona, Din, Max i Myślacz patrzyli na spowitą w dymy sylwetkę megabloku. Całą równinę poniżej nich wypełniał tłum koczujących ludzi.

Dzięki Bogu drobotom nie starczyło sił, aby zniszczyć całą konstrukcję blokopolis, ocalała atomowa elektrownia zasilająca przepompownie. Dzięki niej udało się skierować miliony ton wody na zewnątrz i wypełnić wyschnięte od dziesięcioleci kanały. Po opanowaniu paniki zdołano również ocalić sporo zapasów żywności, a trzy uratowane z pożogi wiroloty niezmordowanie kursowały na linii dach — ziemia, zwożąc wszystkich, którzy znaleźli schronienie na szczycie budowli. Wśród ocalonych znalazły się rodziny Dina i Maxa. Tylko członkowie Pierwszej Setki przepadli jak kamień w wodę. Droboty, których przetrwało też najwyżej kilkaset, przestały być liczącą się siłą. Tranzystorgiasta zginął na skutek swej zachłanności, podłączając się do linii przekaźnikowej o zbyt wielkim napięciu. Trudno jeszcze było mówić o bilansie strat. Nieustannie w korytarzach i sztolniach znajdowano zwłoki spalonych, zasypanych, zdeptanych, zmarłych na serce. Zdziwiająco wielu do końca nie chciało opuścić swych sześcianów, tkwiąc przy oglądnikach. Wszyscy udusili się wskutek braku napowietrzenia.

Nie brakowało jednak ludzi, w których ekstremalna sytuacja wyzwoliła zapomnianą od lat aktywność. To oni ratowali rannych, odszukiwali zagubione dzieci, chronili zasoby żywności. Mniej rzutcy grzebali zmarłych. Objawili się żywiołowo wyłaniany przywódcy.

I cóż z tego, Myślacz i jego ludzcy przyjaciele doskonale wiedzieli, że nic nie mogło odwrócić tragedii. Pozbawieni większości siłowni, wytwórni syntetycznego pożywienia, po wyczerpaniu się zapasów, które w najlepszym wypadku starczą na parę tygodni, wszyscy ocaleni skazani byli na śmierć głodową. Być może nielicznym, małym grupkom uda się znaleźć tereny nadające się do wegetacji. Ale co z wielomilionową resztą?

— Przecież musi być jakieś wyjście! — powtarzał z desperacką nadzieją Din. — Zapasów mamy jeszcze na dwa tygodnie.

— Neurobiałki mają możliwość modlitwowania.

Jan nauczył ich strzępka zapamiętanej modlitwy: „Ojcze nasz..., daj nam dzisiaj..., jako i my..., nas zbaw, amen”.

Czekając na to, co nieuchronne, umysłowiec zrelacjonował swoją rozmowę z Chrisem Moliszem. Uświadomił przyjaciółom, jak bardzo mylili się, oceniając intencje GLOK-a i jak pragnąc uratować ludzi, przyspieszyli tylko ich zagładę.

* * *

— Drogi Myślaczu — powiedział Molisz, zachęcając go, by siadł na przyzbie górskiej samotni. — To, co powiem, być może pana zaszokuje. Wszyscy, myśląc o Globalnym Komputerze, popełnialiśmy podobny błąd. Ocenialiśmy go w kategoriach ludzkich, a przecież cokolwiek by się rzekło o Najwyższym Obwodzie, to on człowiekiem nie jest. Jego działania — włącznie ze stworzeniem was, umysłowców — które tłumaczyliśmy sobie ambicją, żądzą władzy, pragnieniem zajęcia miejsca Boga mogły mieć jeszcze inny powód.

— Jaki?

— Na przykład konieczność. Jeśli będziemy pamiętać, że GLOK miał konstrukcyjnie zaprogramowany przymus służenia ludziom, to możemy dopuścić, że w określonych sytuacjach był gotowy służyć, nawet wbrew nim samym. Jeśli jeszcze dodamy do tego tak specyficzne cechy Superkomputera, jak nieufność wobec ludzkich charakterów, niedocenianie naszych możliwości intelektualnych, trudno się dziwić, że w pewnym momencie GLOK uznał, że lepiej przeprowadzi swoje zadania bez zbędnych konsultacji...

— Pan głosi apoteozę totalitaryzmu! — wykrzyknął Myślacz, z emocji przechodząc na „nieprawidłowy” język ludzi. — Po kim jak po kim, ale po panu się tego nie spodziewałem. Jakież mógł być powód ograniczenia ludzkiej wolności, zamykania ludzi w pudłach megabloków — poza obłądną ideą numerycznej sprawiedliwości?

— A jeśli była inna, bardziej racjonalna przyczyna?

— Na przykład?

— Chęć zachowania ludzkiego gatunku. Dziesięć miliardów osobników mojego gatunku żyło w złudnym poczuciu bezpieczeństwa Tymczasem nadciągała nieuchronna katastrofa, w porównaniu z którą wzrastające przeludnienie, wyczerpywanie się surowców i postępujące skażenie środowiska można było uznać za zagrożenia drugorzędne. Utajniane przez naukowców raporty mówiły o wzmożonej aktywności Słońca i promieniowaniu nowego typu, które wraz z nieodwracalnym procesem zanikania osłony ozonowej wokół Ziemi, owego naturalnego filtra zabezpieczającego nas przed promieniowaniem kosmicznym, niosło pewną śmierć całej planecie. Zagrożenie warstwy ozonowej wystąpiło już w wieku XX, w drugiej połowie XXI stulecia zmiany zaszły tak daleko, że

nie nie mogło ich powstrzymać. Produkcja ozonu metodą przemysłową, mimo zaangażowania olbrzymich mocy, nie równoważyła ubytków. Eksperci uderzali na alarm już na początku premierostwa GLOK-a. Być może Superkomputer popełnił błąd, zatajając przed społeczeństwem rozmiary niebezpieczeństwa. Prawdopodobnie chciał uniknąć paniki i łudził się jeszcze, że uda się niebezpieczny proces zahamować. Konieczność obrony przed promieniowaniem legła u podstaw budowy megabloków, których solidne mury miały chronić mieszkańców przed śmiertcionośnymi promieniami. Póki były szansę na roślinną wegetację, żywności miały dostarczyć hodowle glonów, później produkcją środków spożywczych miały zająć się podziemne laboratoria. Jednakże Ojciec Numeryczności szybko zdał sobie sprawę, że życie w megablokach degeneruje ludzkość, że nie jest to rozwiązanie na przyszłość. W pilnym trybie i w całkowitej tajemnicy opracował plan przesiedlenia ludzkości na NOVA, jeden z księżyców Jowisza, o warunkach najbardziej zbliżonych do ziemskich. W ciągu kilkudziesięciu lat dokonano adaptacji jednej z planetoid, która — wyposażona w potężne silniki — została wyrwana z naturalnej orbity i rozpoczęła regularne kursy między Jowiszem a Ziemią, zabierając każdorazowo zahibernowanych mieszkańców z jednego megabloku.

— Miliard, czy to możliwe?

— Możliwe. Zarazem tłumaczy to, dlatego pustoszały megabloki.

— Tylko czemu akcje przeprowadzano w tajemnicy?

— Z bardzo prostego powodu, GLOK nie ufał ludziom, bał się wszechświatowego tumultu.

— Przecież mógł wyjaśnić, że wszyscy zostaną uratowani. Po kolei.

— A kto miał wyznaczać tę kolejność? Superkomputer obawiał się, że w wypadku ujawnienia zagrożenia wszyscy naraz zażądają ewakuacji. Poza tym wcale nie był pewien czy zdąży.

Myślnacz zastanowił się i powiedział ludzkim żargonem:

— Zapewne ma pan rację. Może jednak trzeba było zaryzykować i postawić sprawę otwarcie.

— A wy, umysłowcy — ciągnął swą opowieść pustelnik — też zostaliście skonstruowani bynajmniej nie dla „wiekuistej chwały GLOK-a”, tylko dla podtrzymania ziemskiej kultury. Numerojciec postanowił stworzyć organizmy, które wytrzymałyby promieniowanie i z czasem mogły stać się kustoszami starej cywilizacji. Planował, że kiedyś rozbierzecie megabloki, a może i odtworzycie ozonową warstwę ochronną. Taka była idea.

— A co zawiodło, skoro pańskim zdaniem ta idea była piękna i mądra?

— Realizacja. Wady maszyn i ludzi, rosnąca megalomania olbrzymiego mózgu, jego nieufność, nieelastyczność, licho wie co jeszcze? GLOK nie przewidział waszego buntu, nie przewidział narastającego oporu ludzi przeciw manipulacji, nie wziął pod uwagę własnej słabości wobec robotów, które dymisjonował zamiast demontować. A co najważniejsze, nie chciał przyznać się do błędu.

— Jakiego znowuż błędu?

— Parę ładnych lat temu zaobserwowano, że wraz z likwidacją większości megabloków i zmniejszeniem o dziewięćdziesiąt procent produkcji przemysłowej, degradacja osłony ozonowej przestała się zwiększać, a wręcz przeciwnie, powłoka ta poczęła wykazywać tendencje do regeneracji. Dopiero wtedy zaczął się prawdziwy dramat GLOK–a. Pęknięcie jego psychiki! Powinien zaniechać olbrzymiego programu emigracyjnego, w który zaangażowano praktycznie wszystkie siły i rozpocząć proces decentralizacji megabloków. Nie potrafił jednak zdobyć się na zwrócenie ludziom suwerenności. Za bardzo przywiązał się do swej koncepcji, uwierzył w numeryzm, swoją dziejową misję. Zaczął bać się własnej izolacji, perspektywy usunięcia. Zaczął popełniać coraz więcej błędów, w końcu zachowywać się jak tyran. Mimo że mieszkam tu na pustkowiu, dużo wiem...

— Ale skąd?

— Moja sprawa — uśmiecha się Molisz. — W każdym razie komputer nie potrafił zdobyć się na stwierdzenie, że system, który stworzył, nie ma racji bytu.

— A więc trzeba go zniszczyć siłą!

— Chwileczkę, mądralo. Takiego rozwiązania obawiałbym się najbardziej. GLOK to nie tylko globalny autokrata, to aprowizator, oświetlacz i ogrzewacz ludzkości. Zwycięstwo nad nim może oznaczać śmierć zwycięzców. Moim zdaniem trzeba czekać na kolejne przybycie planetoidy promowej. Dowodzą nią ludzie, nie maszyny. Współpracując z nimi, można zacząć powoli uzdrawiać sytuację, pomalutku oswajać GLOK–a z myślą o konieczności przejścia na zasłużoną emeryturę. Możliwe jednak, że przyjdzie poczekać na to parę lat.

* * *

Wysłuchali opowieści Myślacza w głuchym milczeniu. W ciągu tej godziny stracili nie tylko resztkę nadziei, ale również satysfakcję ze zwycięstwa.

* * *

Szóstego dnia o poranku ze snu zerwała ich wielka wrzawa ludzka. Oto ponad stepem wynurzyło się ogromne, brunatne ciało niebieskie przypominające kartofel, które przysłoniło słońce, pograżając gigantyczne obozowisko w cieniu, a koczującą populację w panice.

Niezwykła planetoida wisiała pewien czas na wysokości kilkunastu kilometrów, potem zniżyła się i stało się jasne, iż jest to olbrzymi statek kosmiczny dorównujący rozmiarom megabloku. Wkrótce od dna bryły oderwała się srebrzysta strzałka, która w szybkim tempie zbliżyła się do Ziemi i osiadła miękko na wolnym kawałku stepu.

— Wahadłowiec, wielkie nieba, to prom orbitalny! — westchnął Jan. — A już myślałem, że pozbyliśmy się marzeń o podboju kosmosu.

Razem z Dinem i Myślaczem pobiegli w kierunku lądowiska i dotarli na miejsce w momencie, kiedy z wnętrza wehikułu wyłonił się wysoki, jasnowłosy mężczyzna. Omiótł wzrokiem rozpościerające się obozowisko namiotów, lepianek, legowisk i ognisk i zwrócił się do idących mu naprzeciw ludzi:

— Witajcie, bracia! Zdaje się, że przylecieliśmy w samą porę.

* * *

Wiele dni wahadłowce kursowały nieprzerwanie między planetoida podróżną a stepem. Setki, tysiące, wreszcie miliony niedawnych mieszkańców megabloku zniknęło w ładowniach planetoidy „Korab”, aby zapaść w sen, z którego mieli obudzić się na Nowym Globie. W międzyczasie dowódca transportowca, kapitan Noah Harding, dokonał jeszcze paru pożytecznych zabiegów. Jego ludzie rozmontowali resztki robotów drapieżnych i wytropili ostatnich elektronicznych pasożytów, oczyszczając z nich ostatecznie powierzchnię Ziemi. Później, za pomocą silnych ładunków, wysadzono wszystkie megabloki szpecące krajobraz kontynentów. Reszty miał dokonać czas, wiatr, woda i roślinność. Pozostawiono jedynie osmalony megablok nr 2, przeznaczony na skansen i muzeum. Wody rzek, dotąd skanalizowane pod powierzchnią, zostały ponownie odkryte, by jak przed wiekami nawadniać jałową skorupę.

Wreszcie nadchodzi dzień odlotu. Ledwie kilkaset osób, między innymi Din, Ona i Ned, decyduje się zostać na starej Ziemi. Towarzyszyć im będzie również Myślacz, ostatni egzemplarz swego gatunku. Jan Milion odlatuje z innymi, uważa, że jako kandydat na Robinsona jest zbyt stary i złamany.

— Co chcecie udowodnić, czego dokonać? — pyta pozostających.

— Spróbować jeszcze raz od początku, tatusiu — odpowiada Din.

Wierzy, że się uda. Następnym rejssem „Korab” ma dostarczyć z ogrodów zoologicznych Nowej Ziemi przedstawicieli tysięcy gatunków zwierząt. Również tych domowych. Wnet, za sprawą uwolnionych wód, zazielenia się kontynenty, odżyją oceany. Potrwać to może długo. Być może całe pokolenia, ale ich potomkowie zdołają wykopać spod warstw piasku i śmieci dawne Paryże, Waszyngtony, Warszawy.

— Wiesz, jak straszna praca was czeka, synu, zwłaszcza jeśli naprawdę przy odradzaniu cywilizacji zamierzacie wyrzec się wszelkich synteryków, robotów, telewizji!

— Ludzie potrafili obywać się bez tego tysiące lat — do rozmowy włącza się Ned. — Osobiście wierzę, że za jakiś czas ludzie rozczarowani Nową Ziemią zaczną do nas wracać. Poza tym mamy świadomość wszystkich błędów popełnionych przez poprzednią cywilizację, tym razem może się uda stworzyć naturalną harmonię ludzi inteligentnych i równych.

Tuż przed odlotem „Koraba” ujawnia się jeszcze paru niezdecydowanych na lot. Kapitan Harding przekonuje ich, że księżyc Jowisza będzie dla nich prawdziwie beztroskim rajem.

— A czy są tam komputery? — pyta Max, stojąc przy trapie razem z piękną Vitą, poznaną w dramatycznych chwilach ewakuacji.

— Oczywiście, wszystko jest skomputeryzowane pod wodzą KOK — a (Komputera Ogólnego Księżycowego).

— W takim razie zostajemy tutaj. Max obejmuje Vi tę, Din Onę...

Pozostaje jeszcze pożegnanie z ojcem. Dochodzą razem do trapu, matka, ojciec. Ona zostaje trochę z tyłu.

— Jesteście... razem? — pyta Jan Milion i nerwowy tik przebiega mu przez policzek.

— Tak, tato — odpowiada spokojnie Din.

— Kochacie się?

— Bardzo.

— To bardzo dobrze. Bardzo dobrze!

Jan ujmując żonę za rękę i kieruje się w stronę wahadłowca. W pewnym momencie zatrzymuje się, jakby chciał wrócić, jakby przypomniał sobie marzenia dziadka, ale tylko kiwa ręką i idzie dalej. Trzeba umieć odchodzić.

A kiedy olbrzymi kosmiczny kartofel zaczyna się oddalać i maleć w przestrzeni, grupa ludzi z motykami, woreczkami, książkami (ale bez Indywidualnych Odbiorników) rusza w stronę zielonych wzgórz. Ani się obejrzą, również rumowiska megabloków porośnie trawa.

Din u boku z Oną nadaje tempo. Mimo wzruszenia i zmęczenia czuje się młodo, dziarsko i silnie. To wielka sprawa budować świat. W ciągu ostatniego miesiąca stał się mężczyzną. Czasem odwraca się i spogląda na kroczących za nim ludzi: Franka i Karola, Giuseppe i Mustafę, Annę i Claudię, Maxa i Vitę. Wszystkich wychowały podobne odżywki i szkołowizna z oglądników! A jednak chcą zaryzykować.

Zielone wzgórza są coraz bliżej. Wkrótce rozlegną się wśród nich dźwięki topora i fletu, stoki

pokryją się sadami, a w dolinie zafaluje złociste zboże. Frank zbuduje z bali szkołę dla jedenastu dzieciaków, które kroczą razem z nimi i tych, które się wkrótce urodzą. Karl za pomocą drewnianych czcionek zacznie składać jednostronicową gazetę, Giuseppe osadzi nad wejściem do jaskini krzyż, Mustafa uruchomi koło garncarskie, a Max heksametrem opisze „Dzieje jednego Numeru”.

grudzień 1978 — kwiecień 1981 styczeń — marzec 2002